

LEW TROCKI

MOJE ŻYCIE

PRÓBA AUTOBIOGRAFII

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD Z ROSYJSKIEGO
JANA BARSKIEGO I STANISŁAWA ŁUKOMSKIEGO

PRZEDMOWA

Ukazuje się obecnie znaczna liczba pamiętników, może znaczniejsza nawet, niż w jakimkolwiek innym okresie czasu. Tłumaczy się to obfitością tematów. Bieżące wypadki historyczne tem większe budzą zainteresowanie im dramatyczniejsza i bogatsza w nagłe zmiany jest dana epoka. Malarstwo pejzażowe nie mogłoby powstać na Saharze. „Kalejdoskopowe” epoki, jak nasza, rodzą potrzebę spojrzenia na dzień wczorajszy, tak bardzo daleki, oczami tych, którzy w nim byli czynni. Tem objaśnić należy ogromny rozwój literatury pamiętnikarskiej podczas ostatniej wojny. Być może, że to usprawiedliwia również ukazanie się książki niniejszej.

Przerwa w czynnej politycznej działalności autora umożliwiła wogóle pojawienie się jej na świecie. Konstantynopol został jednym z nieprzewidywanych, jakkolwiek nie przypadkowych, etapów mego życia. Jestem tutaj na biwaku – nie po raz pierwszy zresztą, – i czekam cierpliwie na to, co się dalej stanie. Bez pewnej dozy „fatalizmu” życie rewolucjonisty byłoby wogóle niemożliwe. Tak czy inaczej, konstantynopolski antrakc okazał się najodpowiedniejszą chwilą do obejrzenia się za siebie, zanim okoliczności pozwolą znowu ruszyć naprzód.

Początkowo napisałem pobieżne szkice autobiograficzne do gazet i zamierzałem poprzestać na tem. Na tem miejscu zaznaczę, że ze swego obecnego schroniska nie miałem możności sprawdzić, w jakiej postaci szkice te doszły do czytelnika. Ale każda praca posiada własną logikę. Dopiero w chwili, gdy kończyłem artykuły dziennikarskie, naprawdę zajął mnie mój temat. Wówczas postanowiłem napisać książkę. Przyjąłem inną, bez porównania szerszą, skalę i wykonałem całą pracę na nowo. Pierwotne artykuły dziennikarskie i książka niniejsza mają tylko tyle wspólnego, że omawiają ten sam przedmiot. Poza tem zaś są to dwie różne prace.

Ze szczególną dokładnością traktuję okres rewolucji sowieckiej, którego początek przypada na chorobę Lenina i rozpoczęcie kampanji przeciw „trockizmowi”. Walka epigonów o władzę, jak tego staram się dowieść, była nietylko walką osobistą. Była wyrazem nowego politycznego okresu: reakcją przeciw Październikowi i przygotowaniem Termidora. Z tego właśnie wynika odpowiedź na pytanie, które mi tak często stawiano: „W jaki sposób utraciliście władzę?”

Autobiografia rewolucyjnego polityka zajął się w sposób nieunikniony o cały szereg zagadnień teoretycznych, związanych ze społecznym rozwojem Rosji, częściowo zaś i całej ludzkości, szczególnie zaś o te krytyczne okresy, które zwą się rewolucjami. Oczywiście, nie miałem możności rozpatrywania w tej książce istoty skomplikowanych problematów teoretycznych. Jednak tak zwana teoria ciągłej rewolucji, grająca w mem osobistem życiu tak wielką rolę, a która, co ważniejsze, staje się teraz tyle aktualna dla krajów wschodnich, przewija się przez te stronicę, jak odległy leitmotiv. Jeśli to nie zadowoli czytelnika, to mogę mu tylko powiedzieć, że rozpatrywanie istoty problemu rewolucji stanowić będzie treść oddzielnej książki, w której postaram się zreasumować ważniejsze teoretyczne wnioski z doświadczeń ostatnich dziesięcioleci.

Ponieważ na kartach mojej książki przewija się znaczna ilość osób, niezawsze w tem oświetleniu, któreby one same wybrały dla siebie lub dla swej partji, zapewne wiele z pośród nich uważać będzie, że moje wywody pozbawione są koniecznego obiektywizmu. Już ukazanie się urywków tej pracy w czasopismach wywołało tu i owdzie protesty. To jest nieuniknione. Nie należy wątpić, że gdyby mi się nawet udało zrobić z tej autobiografji poprostu dagerotyp mego życia – do czego wcale nie dążyłem – to i taka autobiografia obudziłaby echa sporów, które wywołane zostały w swoim czasie przez opisywane w niej wypadki. Książka ta nie jest jednakże obojętną fotografią mego życia, lecz jego częścią składową. Na kartach jej prowadzę w dalszym ciągu walkę, której poświęciłem całe moje życie. Opisując, charakteryzuję i oceniam, odpowiadając, bronię się i, częściej jeszcze, nacieram. Zdaje mi się, że jest to jedyny sposób, stworzenia biografji obiektywnej w pewnem wyższem tego słowa znaczeniu, tzn. uczynienia jej najwierniejszem odbiciem osoby, stosunków i epoki.

Obiektywizm nie polega na udanej obojętności, z jaką należycie skrytalizowana obłuda mówi o przyjaciółach i wrogach, narzucając czytelnikowi pośrednio to, co niezręcznie byłoby powiedzieć wprost. Tego rodzaju obiektywizm jest jedynie tylko salonową pułapką. Nie jest mi ona potrzebna. Z chwilą, gdy poddałem się konieczności mówienia o sobie – nikomu jeszcze nie udało się napisać autobiografji, nie mówiąc o sobie, – nie mam żadnych powodów do ukrywania moich sympatyj i antypatyj, mojej miłości i nienawiści.

Książka ta jest pracą polemiczną. Odbija się w niej dynamika życia społecznego, które całkowicie zbudowane, jest na sprzecznościach. Zuchwałość ucznia w stosunku do nauczyciela, szpilki zawiści, ukrywane pod pokrywką uprzejmości salonowych, nieprzerwana konkurencja handlowa, zaciekła rywalizacja we wszystkich dziedzinach techniki, wiedzy, sztuki, sportu, utarczki parlamentarne, w których pulsuje głęboka rozbieżność interesów, codzienna nieludzka walka prasowa, strejki robotnicze, rozstrzelywanie demonstrantów, pyroksylinowe posyłki, które cywilizowani sąsiedzi wymieniają drogą powietrzną, płomienne języki wojny domowej, niewygasające prawie na naszej planecie – wszystko to są rozliczne formy „polemiki” społecznej, od powszedniej, codziennej, normalnej, prawie niedostrzegalnej, mimo napięcia – do zwykłej, wybuchowej, wulkanicznej polemiki wojen i rewolucyj. Taka jest nasza epoka. Wzrosliśmy z nią razem. Oddychamy nią i żyjemy. Czyż więc możemy nie być polemistami. jeśli chcemy być wierni naszym ojczystym czasom?

Istnieje jednak inne, bardziej elementarne kryterjum, dotyczące zwykłej uczciwości w przedstawianiu faktów. Podobnie, jak najbardziej nieubłagana walka rewolucyjna liczyć się musi z okolicznościami miejsca i czasu, najbardziej polemiczny utwór musi przestrzegać tych proporcji, jakie istnieją między rzeczami i ludźmi. Mam nadzieję, że przestrzegałem tego warunku, nie tylko w stosunku do całości, ale i w szczegółach.

W niektórych, coprawda nielicznych, wypadkach podaję dyskusję w formie dialogu. Nikt nie może wymagać dosłownego odtworzenia dyskusyj, toczonych wiele lat temu. Nie roszczę nawet pretensyj do tego. Niektóre dialogi mają raczej charakter symboliczny. Ale w życiu każdego człowieka są chwile, kiedy ta czy inna rozmowa szczególnie mocno zapada w pamięć. Zazwyczaj rozmowy takie często powtarza się bliskim i politycznym

przyjaciołom. Dzięki temu utrwalają się w pamięci. Oczywiście, mam tu przede wszystkim na myśli rozmowy o charakterze politycznym.

Muszę zaznaczyć, że zwykłem zawierać mej pamięci. To, co mi przekazywała nieraz poddawałem obiektywnemu sprawdzeniu, zawsze z dobrym rezultatem. Zresztą konieczne jest tu pewne omówienie. Jeśli moja topograficzna pamięć, nie mówiąc już o muzycznej, jest bardzo słaba, a wzrokowa, podobnie jak i lingwistyczna, całkiem średnia, to jednak pamięć ideową mam znacznie wyższą od przeciętnego poziomu. A właśnie idee, ich rozwój i walka, jaką toczyli ludzie, zajmują w książce tej pierwsze miejsce.

Coprawda, pamięć nie jest automatycznym licznikiem. Przedewszystkiem nie jest bezinteresowna. Często odrzuca lub usuwa w cień epizody niedogodne dla kontrolującego ją instynktu życiowego, zwłaszcza z punktu widzenia miłości własnej. Ale to już należy do krytyki „psychoanalitycznej”, która czasami bywa dowcipna i pouczająca, częściej jednakże jest kapryśna i samowolna.

Nie potrzebuję chyba podkreślać, że wytrwale kontrolowałem mą pamięć przy pomocy dokumentów. Bez względu na trudne warunki pracy – mam tu na myśli poszukiwania biblioteczne i archiwalne – miałem możliwość sprawdzenia wszystkich najistotniejszych okoliczności i dat, które mi były potrzebne.

Począwszy od roku 1897 walczyłem przeważnie z piórem w ręku. Dzięki temu, wydarzenia mego życia pozostawiły prawie nieprzerwane drukowane ślady na przestrzeni 32 lat. Walka frakcyj w partji od 1903 roku obfitowała w osobiste wycieczki. Od czasu przewrotu październikowego historia ruchu rewolucyjnego zajmowała wiele miejsca w dociekaniach młodych uczonych sowieckich i instytucyj. Wyszukiwano w archiwach rewolucji i carskiego departamentu policji wszystko, co wzbudza zainteresowanie, i wydawano w druku z rzeczowemi, szczegółowemi komentarzami. Podczas pierwszych lat, kiedy nie trzeba było jeszcze nic ukrywać, czy maskować, pracę tę prowadzono z wielką sumiennością. „Dziela” Lenina i część moich prac opublikowało wydawnictwo państwowe z przypisami, zajmującemi dziesiątki stron w każdym tomie, i zawierającemi materiał faktyczny niezastąpiony, tyżący zarówno działalności autorów, jak i wydarzeń danego okresu. Wszystko to, oczywiście, ułatwiało mi pracę, pozwalając stworzyć prawidłową kanwę chronologiczną i uniknąć, przynajmniej rażących, omyłek faktycznych.

Nie mogę zaprzeczyć, że życie moje toczyło się niezupełnie zwykłym trybem. Jednakże przyczyn tego doszukiwać się należy raczej w warunkach epoki, niż w mojej osobie. Oczywiście, konieczne były również pewne cechy osobiste, aby wykonywać ową dobrą czy złą pracę, jaką wykonywałem. Jednakże w innych warunkach historycznych te indywidualne właściwości mogłyby spać spokojnie, jak drzemie niezliczona ilość ludzkich skłonności i namiętności, na które brak popytu w danym układzie społecznym. Wzamian za to może zdołałyby się ujawnić inne cechy, zdyskwalifikowane lub stłumione dzisiaj. Nad subiektywizmem wznosi się obiektywizm, który decyduje w ostatecznym rozrachunku.

Moja świadoma i aktywna działalność, która rozpoczęła się mniej więcej w 17-18 roku życia, upływała w ciągłej walce o określone idee. W mem życiu osobistem nie było żadnych zdarzeń, które jako takie zasługiwałyby na uwagę ogółu. Wszystkie wyróżniające się fakty mego życia związane są z walką rewolucyjną i przez nią tylko nabierają znaczenia. Tylko ta okoliczność może usprawiedliwiać ukazanie się mojej autobiografji.

Jednakże ta okoliczność jest z kolei źródłem trudności dla autora. Okazało się bowiem, że wydarzenia życia osobistego są tak ściśle splecione z tkaniną wypadków historycznych, że trudno je od siebie oddzielić. Książka zaś niniejsza mimo wszystko nie jest pracą historyczną. Wydarzenia omawiam nie ze względu na ich znaczenie obiektywne, lecz zależnie od tego, jak wiązały się z faktami mego życia osobistego. Nic więc dziwnego, że w charakterystyce poszczególnych wydarzeń i całych etapów niema tej proporcji, którejby można było żądać, gdyby książka moja stanowiła pracę historyczną. Granicę między aulobiografią i historią rewolucji musiałem ustalać empirycznie. Nie rozprasząc historii mego życia w dociekaniach dziejowych, musiałem jednakże dać czytelnikowi, jako punkt oparcia, opis wydarzeń, dotyczących rozwoju. społecznego. Wychodziłem przytem z założenia, że zasadnicze kontury wypadków znane są czytelnikowi i że pamięci jego dopomóc tylko należy krótkimi wzmiankami o faktach historycznych i kolejności ich przebiegu.

W chwili ukazania się książki tej w druku ukończyłem 50 rok życia. Dzień moich urodzin zbiega się z dniem wybuchu rewolucji październikowej. Mistycy i wieszczbiarze mogą z tego wyciągać dowolne wnioski. Ja sam zwróciłem uwagę na ten ciekawy zbieg okoliczności dopiero w trzy lata po przewrocie październikowym. Do 9 roku życia mieszkałem bez przerwy na zapadłej wsi. Osiem lat uczęszczałem do szkoły średniej. Po raz pierwszy zostałem aresztowany w rok po ukończeniu szkoły. Uniwersytetami były dla mnie, jak i dla wielu mych rówieśników, więzienie, wygnanie, emigracja. W carskich więzieniach siedziałem dwa razy, ogółem około 4 lat. Na carskim wygnaniu byłem za pierwszym razem około 2 lat, za drugim – kilka tygodni. Dwukrotnie uciekałem z Syberji. Na emigracji w różnych krajach Europy i Ameryki spędziłem ogółem około 12 lat, dwa lata przed wybuchem rewolucji 1905 roku i prawie dziesięć lat po jej zdławieniu. Podczas wojny zostałem skazany wyrokiem zaocznym na zamknięcie w więzieniu w hohenzollernowskich Niemczech (1915), w następnym roku wydano mnie z Francji do Hiszpanji, skąd, po krótkim zamknięciu w madryckim więzieniu i miesięcznym pobycie pod nadzorem policji w Kadyksie, wysłany zostałem do Ameryki. Tam też zastała mnie rewolucja lutowa. W drodze z New-Yorku w marcu 1917 r. zostałem zaaresztowany przez Anglików i przebywałem miesiąc w obozie koncentracyjnym w Kanadzie. Brałem udział w rewolucjach w latach 1905 i 1917, byłem przewodniczącym petersburskiego sowietu delegatów w 1905, później w 1917. Brałem bezpośredni udział w przewrocie październikowym i byłem członkiem rządu sowieckiego. W charakterze komisarza ludowego do spraw zagranicznych prowadziłem rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim z delegacjami Niemiec, Austro-Węgier, Turcji i Bułgarji. W charakterze komisarza ludowego do spraw wojennych i morskich poświęciłem około pięciu lat organizacji czerwonej armji i stworzeniu czerwonej floty. W ciągu 1920 roku objąłem również kierownictwo zdeorganizowanej sieci kolejowej.

Główną jednak treść mego życia – poza latami wojny domowej – stanowiła działalność partyjna i literacka. Wydawnictwo państwowe przystąpiło w 1923 roku do zbiorowego wydania mych prac. Dotychczas wydano trzynaście tomów, oprócz pięciu tomów prac wojennych, które ukazały się poprzednio. Wydawnictwo wstrzymano w 1927 roku, kiedy prześladowanie „trockizmu” stało się szczególnie zaciekle.

W styczniu 1928 roku zostałem przez ówczesny rząd sowiecki deportowany, przebyłem rok na granicy Chin, w lutym 1929 roku wygnano mnie do Turcji: piszę te słowa w Konstantynopolu.

Nawet w tym skrócie nie można nazwać monotonnym zewnętrznego biegu mego życia. Przeciwnie, sądząc według ilości zmian, nieoczekiwanych zdarzeń, ostrych konfliktów, wyniesień i upadków, rzeczby można, że życie moje raczej obfitowało w „przygody”. Tymczasem zaś pozwolę sobie powiedzieć, że w usposobieniu nie mam nic wspólnego z poszukiwaczami przygód. Jestem raczej pedantem i konserwatystą w mych przyzwyczajeniach. Lubię i cenię dyscyplinę i metodę. Zupełnie nie dla paradoksu, ale dlatego, że tak jest istotnie, muszę powiedzieć, że nie znoszę nieporządku i niszczytelstwa. Zawsze byłem bardzo pilnym i sumiennym uczniem. Te dwie cechy zachowałem i w późniejszym życiu. W latach wojny domowej kiedy w mym pociągu przebyłem przestrzeń, równą kilku długościom równika, cieszyłem się z każdego nowego płotu ze świeżych sosnowych desek. Lenin, który wiedział o tej mojej namiętności, nieraz drwił z niej po przyjacielsku. Dobrze napisana książka, w której znaleźć można nowe myśli, dobre pióro, przy pomocy którego podzielić się można własnymi myślami z innymi, zawsze były i są dla mnie najcenniejszymi i najbliższymi mi owocami cywilizacji. Dążenie do nabywania wiedzy nie opuszczało mnie nigdy, i wielokrotnie w życiu doznawałem uczucia, że rewolucja przeszkadza mi w systematycznej pracy. Tem niemniej jednak prawie trzydzieści trzy lata mego świadomego życia całkowicie wypełnia walka rewolucyjna i gdybym miał raz jeszcze rozpocząć życie na nowo, bez zastanowienia poszedłbym tą samą drogą.

Piszę te słowa na trzeciej zkolei emigracji, w czasach, kiedy moi najbliżsi przyjaciele znajdują się na zesłaniu i w więzieniach republiki sowieckiej, w utworzeniu której brali decydujący udział. Niektórzy z nich wahają się, cofają, korzą przed przeciwnikiem. Jedni dlatego, że zbankrutowali moralnie, drudzy, bo nie znajdują samodzielnego wyjścia z labiryntu okoliczności, inni jeszcze – pod naciskiem materialnych represyj. Dwa razy przeżywałem już taką masową dezercję z pod sztandarów: po upadku rewolucji 1905 roku i na początku wojny światowej. Dostatecznie dobrze wiem więc z życiowego doświadczenia, czym są te historyczne przypiływy i odpływy. Są one podporządkowane własnemu prawu. Niecierpliwością jedynie nie można przyspieszyć zmiany. Przywykłem rozpatrywać historyczną perspektywę w oderwaniu od osobistego losu. Poznać prawidłowość wydarzeń i znaleźć w tej prawidłowości własne miejsce – to pierwszy obowiązek rewolucjonisty. I jednocześnie najwyższe osobiste zadowolenie, dostępne tylko dla człowieka, który nie ogranicza swych celów do dnia dzisiejszego.

Lew Trocki

Prinkipo, dn. 14 września 1929 r.

ROZDZIAŁ I

JANÓWKA

Dzieciństwo słynie jako najszcześniejszy okres życia! Czy jest tak zawsze? Nie, tylko nieliczni mają szczęśliwe dzieciństwo. Idealizacja dzieciństwa wywodzi się ze starej literatury warstw uprzywilejowanych. Beztrudne, otoczone dostatkiem, bez żadnej chmurki dzieciństwo w rodzinach wykształconych i bogatych od pokoleń, wśród pieśczęt i zabaw, pozostawało w pamięci, jak zalana słońcem polana na początku drogi życiowej. Magnaci lub plebejusze, opiewający magnatów, kanonizowali w literaturze tę nawskroś arystokratyczną ocenę dzieciństwa. Olbrzymia większość ludzi, o ile wogóle spogląda wstecz, widzi co innego: ponure, głodne, zależne dzieciństwo. Życie krzywdzi słabych, a któż jest słabszy od dziecka?

Moje dzieciństwo nie było dzieciństwem głodu i chłodu. W okresie mego przyjścia na świat, rodzina moja знаła już dostatek. Był to jednakże surowy dostatek ludzi, wybijających się dopiero z biedy, i nie chcących zatrzymać się w połowie drogi. Wszystkie mięśnie były napięte, wszystkie myśli skierowane ku pracy i oszczędzaniu. W tym trybie życia dzieci zajmowały skromne miejsce. Nie znaliśmy braków, ale nie znaliśmy również szczodrobliwości życia i jego pieśczęt. Nie wyobrażam sobie mego dzieciństwa ani jako słonecznej polany, jak drobna mniejszość, ani jako ponurej pieczary głodu, przemocy i krzywd, jaką jest dzieciństwo wielu, dzieciństwo większości. Było to szarawe dzieciństwo, w drobnomieszczańskim rodzinie, na wsi, w zapadłym kącie, gdzie przyroda jest bujna, a obyczaje, poglądy i potrzeby skromne i przyziemne.

Atmosfera moralna, otaczająca moje najmłodsze lata, i ta, w jakiej upłynęło moje późniejsze świadome życie – to dwa różne światy, oddzielone od siebie nie tylko dziesiątkami lat i krajów, ale górskimi łańcuchami wielkich zdarzeń i, mniej może widocznymi, choć dla poszczególnej jednostki niemniej doniosłymi, wewnętrznymi przepaściami. Podczas pisania bruljonu tych wspomnień wydawało mi się nieraz, że opisuję nie własne dzieciństwo, lecz dawną wędrówkę po dalekich krajach. Usiłowałem nawet opowiadać o moim życiu w trzeciej osobie. Jednakże ta konwencjonalna forma zbyt przypomina beletrystykę, t. j. to, czego przedewszystkiem pragnąłbym uniknąć.

Mimo przeciwieństw dwóch światów, jedność indywidualności przenika jakimiś podziemnymi drogami z jednego do drugiego. Tem właśnie tłumaczy się, mówiąc ogólnie, zainteresowanie biografjami i autobiografjami ludzi, którzy – z tych czy innych względów – zajęli obszerniejsze miejsce w życiu społeczeństwa. Dlatego też spróbuję dosyć szczegółowo opowiedzieć o mem dzieciństwie i latach szkolnych, nic nie odgadując zgóry i nic nie przesądzając, t. j. nie nawiązując faktów do wybranych zgóry uogólnień – poprostu tak, jak było i jak zachowałem w pamięci.

Czasami zdawało mi się, że pamiętam, jak ssałem pierś matki. Jednakże, sądzę, że poprostu przenieśliem na siebie to, co widziałem u młodszych dzieci.

Miałem mętne wspomnienia jakiejś sceny pod jabłonią w sadzie, która rozegrała się, gdy miał półtora roku. Ale i to wspomnienie nie jest wiarogodne. Najwyraźniej pozostało mi w pamięci takie wydarzenie: jestem z matką w Bobrynce, u państwa C., gdzie jest dwu- czy trzyletnia dziewczynka. Mnie nazywają narzeczoną, dziewczynkę moją narzeczoną. Dzieci bawią się w salonie, na malowanej podłodze, potem dziewczynka znika, a mały chłopczyk stoi sam przy komodzie i przeżywa chwilę osłupienia, jak we śnie. Wchodzi matka z panią domu. Matka patrzy na chłopczyka, potem na kałużę obok niego, potem znów na chłopczyka, z wyrzutem kiwa głową i mówi: „Jak ci nie wstyd”... Chłopczyk patrzy na matkę, na siebie, potem zaś na kałużę, jak na coś całkowicie mu obcego. – To nic, to nic – mówi pani domu – dzieci zapomniały o wszystkim przy zabawie.

Mały chłopczyk nie odczuwa ani wstydu, ani skruchy. Ile lat miał wówczas? Prawdopodobnie dwa, a może i trzy.

W tym samym mniej więcej czasie, przechadzając się z nianką po ogrodzie, natknąłem się na żmiję. – Spójrz, Liowa – rzekła niania, pokazując w trawie coś błyszczącego, – tabakierka zakopana w ziemi. Niania wzięła patyczek i zaczęła odkopywać ziemię. Sama niania nie miała pewno więcej niż szesnaście lat. Tabakierka rozwinęła się, wyciągnęła i w postaci żmji z sykiem popęzła po trawie. – Aj, aj! – krzyczała nianka i, schwyciwszy mnie za rękę, szybko uciekła. Trudno mi było przebierać prędko nogami. Zachłystując się, opowiadałem potem, jak myśleliśmy, że znaleźliśmy w trawie tabakierkę, a okazało się, że była to żmija.

Przypomina mi się jeszcze jedna dawna scena w „gospodarskiej” kuchni. Ani ojca, ani matki niema w domu. W kuchni, oprócz służącej i kucharki, są ich goście. Starszy mój brat, Aleksander, który przyjechał na wakacje, też się tu kręci. Staje oboma nogami na drewnianej łopacie, jak na szczudłach, i długo tańczy na niej po klepsku kuchni. Proszę brata, żeby ustąpił mi łopaty, usiłuję wgramolić się na nią, przewracam się i płaczę. Brat podnosi mnie, całuje i na rękach wynosi z kuchni.

Miałem już na pewno z cztery lata, kiedy ktoś posadził mnie, bez siodła i uzdy, tylko z uździenicą ze sznura, na wielką szarą kobyłę, łagodną jak owca. Szeroko rozstawiwszy nogi, oboma rękami trzymałem się grzywy. Kobyła spokojnie podwoziła mnie do gruszy i przeszła pod gałązką, która uderzyła mnie po brzuchu. Nie rozumiejąc co to znaczy, zsuwałem się wdół po zadzie, póki nie spadłem w trawę. Nie bolało, ale było to coś niepojętego.

Kupnych zabawek w dzieciństwie prawie nie miałem. Raz tylko matka przywiozła mi z Charkowa papierowego konia i piłkę. Z młodszą siostrą bawiłem się lalkami własnego wyrobu. Razu pewnego ciocia Fenia i ciocia Raisa, siostry ojca, zrobiły nam kilka lalek z gałganków i ciocia Fenia wyrysowała im ołówkiem oczy, usta i nos. Lalki te wydawały mi się czymś niezwykłym i pamiętam je dotąd. Pewnego zimowego wieczoru Iwan Wasiljewicz, nasz mechanik, wyciął i skleił z kartonu wagon z oknami, na kołach. Starszy brat, który przyjechał na Boże Narodzenie, od razu oświadczył, że taki wagon można zrobić w dwie minuty. Zaczął od tego, że rozkleił mój wagon, uzbroił się w linijkę, ołówek i nożyczki, długo kreślił, ale kiedy wyciął to, co narysował, części wagonu nie chciały się zejść.

Wyjeżdżający do miasta krewni i znajomi pytali mnie nieraz: – Co ci przywieźć z Elizabetgradu, czy Mikołajowa? Oczy mi płonęły. O coby tu poprosić? Przychodzono mi z pomocą. Proponowano konika, książki,

kolorowe ołówki, wreszcie łyżwy. – łyżwy „półhalifaxy” – mówię, ponieważ słyszałem tę nazwę od brata. Ci, co obiecywali, zapominali o obietnicy, ledwo przekroczywszy próg. A ja żyłem nadzieją kilka tygodni, a potem długo gnębiło mnie rozczarowanie.

W ogródku pszczoła usiadła na słoneczniku. Ponieważ pszczoły gryzą i trzeba być ostrożnym, zrywam liść *łopuchu* i poprzez ten liść chwytam pszczołę *dwoma palcami*. Przeszywa mnie nieoczekiwany i nieznośny ból. Z wyciem biegnę przez warsztat do Iwana Wasiljewicza, który wyciąga żądło i smaruje palec zbawczym płynem.

Iwan Wasiljewicz miał słoik, w którym w oleju słonecznikowym pływały tarantule. Uważano to za najlepszy środek od ukąszeń. Tarantule łapałem razem z Wiciem Hertopanowem. W tym celu przytwierdzało się do nitki kawałeczek wosku i wpuszczało do norki. Tarantula wczepia się w wosk łapami i przylepia się doń. Potem trzeba już tylko zamknąć ją w pustym pudełku od zapalek. Zresztą, zdaje mi się, że polowanie na tarantule odnosi się do późniejszych czasów.

Przypominam sobie rozmowy starszych podczas długich, zimowych wieczorów przy herbacie, o tym jak i kiedy kupili Janówkę, w jakim wieku było wówczas każde z dzieci i kiedy nastąpił na służbę Iwan Wasiljewicz. Matka mówi: – A Liowę przewieźliśmy z folwarku już gotowiuskiego – i spogląda na mnie przekornie. Zastanawiam się nad tem pocichu, a potem mówię głośno: – To znaczy, że urodziłem się na folwarku?... – Nie – odpowiadają mi, – urodziłeś się już tutaj, w Janówce.

– A dlaczego mama mówi, że przywieziono mnie już gotowiuskiego?

– Mama powiedziała tak sobie, zażartowała... Nie jestem zadowolony i zastanawiam się nad tem, że to był dziwny żart, milknę jednak, bo na twarzach starszych dostrzegam ów szczególny uśmiech wtajemniczonych, którego bardzo nie lubię. Te właśnie wspomnienia przy zimowej herbacie, kiedy nikt nigdzie się nie śpieszy, stanowią źródła chronologii. Urodziłem się 26-go października. Rodzice moi przenieśli się z folwarku do Janówki zapewne wiosną, albo latem 1879 roku.

Rok, w którym się urodziłem, był rokiem pierwszych dynamitowych ciosów w carat. Odniedawna wówczas istniejąca partja terrorystyczna „Narodnoj Woli” wydała 26 sierpnia 1879 roku – na dwa miesiące przed mojem przyjściem na świat – wyrok śmierci na Aleksandra II. Już 19 listopada dokonano zamachu dynamitowego na carski pociąg. Rozpoczęła się groźna walka, która doprowadziła 1-go marca 1881 roku do zabójstwa Aleksandra II, ale i jednocześnie do zguby „Narodnoj Woli”.

Na rok przedtem zakończona została wojna rosyjsko-turecka. W sierpniu 1879 roku Bismarck założył podwaliny przymierza austro-niemieckiego. W tym też roku Zola wydał powieść, w której przyszły twórca Entente’y, ówczesny książę Walji, występuje w charakterze wyrafinowanego znawcy śpiewaczek operetkowych („Nana”). Wicher reakcji, który wzmógł się w polityce europejskiej od czasu wojny prusko-francuskiej i pogromu komuny paryskiej, jeszcze nie słabł wówczas. W Niemczech socjal-demokracja dostała się już pod wyjątkowe prawa Bismarcka.

Wiktor Hugo i Louis Blanc w 1879 roku wystąpili we francuskiej izbie deputowanych z żądaniem amnestji dla komunardów.

Ale echa debat parlamentarnych, aktów dyplomatycznych, ani nawet wybuchów dynamitowych nie docierały do wsi Janówki, gdzie ujrzałem

światło dzienne i spędziłem pierwsze dziewięć lat mego życia. Na bezmiernych stepach chersońskiej guberni i całej Noworosji żyło według własnych praw cesarstwo pszenicy i owiec, szczelnie odgródzone przed wtargnięciem polityki olbrzymimi przestrzeniami i brakiem dróg. Niezliczone kurhany pozostały tam, jak drogowskazy wielkiej wędrówki narodów.

Ojciec mój był rolnikiem, początkowo drobnym, później nieco zamożniejszym. Jako mały chłopiec porzuciłem wraz ze swą rodziną żydowskie miasteczko w połtawskiej guberni, aby szukać szczęścia na wolnych stepach Południa. W guberniach chersońskiej i ekaterinostawskiej istniało w tych czasach około czterdziestu żydowskich kolonij rolniczych, z ludnością około 25.000 głów. Żydzi-rolnicy byli zrównani z chłopami nie tylko pod względem praw (do 1881 r.), ale i biedą. Nieustannym, okrutnym, bezlitosnym dla siebie i innych wysiłkiem ojciec mój dążył wzwyż.

Księgi metryczne w kolonji Gromoklej nie były prowadzone zbyt dokładnie. Wiele wpisów antydatowano. Kiedy miałem wstąpić do szkoły średniej i okazało się, że jestem za młody do pierwszej klasy, przeniesiono w metrykach datę mego urodzenia z 1879 na 1878 rok. Dlatego też wiek mój podlegał zawsze podwójnej rachubie, oficjalnej i rodzinnej.

W ciągu pierwszych dziewięciu lat mego życia prawie nie wysuwałem nosa z ojcowskiej wsi. Nazywała się ona Janówka od nazwiska obywatela Janowskiego, od którego kupiono ziemię. Stary Janowskij awansował z szeregowego do rangi pułkownika, zyskał względy władz przy Aleksandrze II i otrzymał 500 dziesięcin ziemi w jeszcze niezamieszkałych stepach chersońskiej guberni. Janowskij wybudował sobie na stepie chałupę, krytą słomą, i równie niewymyślne budynki gospodarskie. Jednakże nie powiodło mu się w gospodarstwie. Po śmierci pułkownika, rodzina jego zamieszkała w Połtawie. Ojciec odkupił od Janowskiego ponad 100 dziesięcin ziemi i dzierżawił jeszcze 200 dziesięcin. Pułkownikową, wyschlą staruszkę, dobrze pamiętam: przyjeżdżała raz czy dwa do roku, aby odebrać czynsz dzierżawny za ziemię i zobaczyć, czy wszystko jest na swoim miejscu. Posyłano po nią konie na dworzec, a przed ganek wynoszono krzesło, aby łatwiej mogła zejść z wozu na resorach. Bryczkę miał ojciec dopiero później, kiedy zaczęto trzymać konie cugowe. Dla staruszki-pułkownikowej gotowano rosół z kury i jajka na miękko. Przechadzając się z siostrą moją po ogrodzie, pułkownikowa zdzierała suchutkami paznogietkami zastyglą żywicę z pni i zapewniała, że to najlepszy przysmak.

Rozszerzano obszar zasiewów, zwiększała się ilość koni i bydła. Próbowano wprowadzić hodowlę merynosów, ale jakoś to się nie powiodło. Zato mnóstwo było świń, które swobodnie laziły po podwórzu, ryły we wszystkich grządkach i całkowicie zniszczyły ogród. Gospodarstwo prowadzone było starannie, ale po staroświecku. Określić, co dawało dochód, a co przynosiło straty, można było tylko na oko. Z tego też powodu trudno było ustalić wartość posiadanego majątku. Wszystkie środki były zawsze w ziemi, w zbożu, w ziarnie, zboże leżało w komorach, albo wysyłane bywało do portów. Czasami przy herbacie albo przy kolacji ojciec przypominał sobie nagle: – Ano, zapiszcie, że dostałem od komisjonera 1300 rubli, pułkownikowej wysłałem 600, Dembowskiemu oddałem 400, a dalej zanotujcie, że 100 rubli dałem Teodozji Antonównie kiedy byłem na wiosnę w Elizabetgradzie. – W ten mniej więcej sposób prowadzono rachunkowość. Niemniej jednak ojciec powoli, ale uparcie wznosił się w górę.

Mieszkaliśmy w tej samej lepiance, którą zbudował stary pułkownik. Dach był słomiany z niezliczoną ilością wróblích gniazd pod strzechą. Ściany z zewnątrz miały głębokie szpary, w których gnieździły się węże. Czasami podejrzewano, że to żmije, i lano w szczeliny gorącą wodę z samowara, ale bezskutecznie. Podczas wielkich deszczy niskie sufity przeciekały, zwłaszcza w sieni: na ubitą podłogę stawiano wówczas garnki i misy. Pokoje były małe, szyby w oknach mętne, dwie sypialnie i dziecinny miały podłogi gliniane, w których mnożyły się pchły. W jadalni była podłoga z desek, raz na tydzień posypywana żółtym piaskiem. W głównym pokoju, długim na jakieś ośm kroków, nazwanym uroczyście salonem, podłoga była malowana. Tam umieszczano pułkownikową. W ogródku wokół domu rosły krzaki żółtej akacji, białych i czerwonych róż, latem zaś wiły się kędzierzawe powoje. Podwórze całkiem nie było ogrodzone. Wielki gliniany budynek, kryty dachówką, który już ojciec wybudował, mieścił: warsztat, kuchnię gospodarską i czeladnię. Potem szła „mała” drewniana stodoła, za nią „duża” drewniana stodoła, wreszcie „nowa” stodoła, wszystko kryte sitowiem. Aby woda nie zaciekała i żeby się ziarno nie psuło, stodoły wzniesione były na kamieniach. W czasie upałów i mrozów chroniły się między nimi psy, świnie i ptactwo domowe. Kury znajdowały tam dogodne miejsca do znoszenia jaj. Nie raz, pełzając na brzuchu między kamieniami, wydobywałem jaja kurze: dorośli nie mogli się tam precyzyjnie. Na dachu dużej stodoły co rok osiadały bociany. Podniósłszy ku niebu czerwone dzioby, łykały węże i żaby – to straszne! Ciało węża wije się z dzioba i wygląda, jakby gad pożerał bociana od wewnątrz.

W stodole, podzielonej na komory, leży świeża pachnąca pszenica, szorstki, kolący jęczmień, płaskie, śliskie, prawie płynne lniane siemię, czarne z błękitnawym odcieniem paciorki nasienia rzepy i delikatny, lekki owies. Kiedy dzieci bawią się w chowanego, to wolno, nie zawsze, tylko wtedy, gdy są specjalnie honorowani goście, chować się nawet w stodole. Przedostawszy się przez przegrodę komory, gramolę się na pszeniczne wzgórze i staczam na jego drugą stronę. Ręce po łokcie i nogi po kolana grzęzną w ustępliwej masie, w trzewiki, nieraz podarte, i za pazuchę nabiera się ziarno. Drzwi stodoły są przymknięte i na niby zawieszają się na nich kłódkę, tylko niezamkniętą – tego wymagały prawidła zabawy. Leżę w chłodzie stodoły, pogrążony w ziarnie, wdycham pył roślinny i słyszę, jak Sienia W., albo Sienia Z., albo Sienia S., albo siostra Liza, a może ktoś inny jeszcze, krąży po podwórzu, odnajduje ukrytych, ale w żaden sposób nie może odnaleźć mnie, tonącego w świeżej arnautce.

Stajnie, obora, chlew i kurniki znajdowały się po drugiej stronie domu. Wszystko to było byle jak zlepione z gliny, sitowia i słomy. W odległości jakichś stu kroków od domu sterczał ku niebu wysoki żóraw studni. Za studnią płynął strumień, omywający chłopskie ogrody. „Greblę” (tamę) co wiosnę znosiła woda, i znów ją wzmacniano: słomą, ziemią, nawozem. Na wzgórkach nad wodą stał młyn. Barak z desek osłaniał dziesięciokonną maszynę parową i dwa młyńskie kamienie. Tutaj we wczesnych latach mego dzieciństwa matka spędzała większość godzin swego dnia roboczego. Młyn pracował nie tylko dla naszego gospodarstwa, ale i dla całej okolicy. Włościanie przywozili zboże z 10-15 wiorstowej odległości i płacili za mlewo dziesiątą miarę. W gorących okresach, w przeddzień młocki, młyn czynny był przez 24 godziny na dobę, i, kiedy nauczyłem się pisać i rachować, musiałem ważyć chłopskie ziarno i wyliczać, ile należy się przemiału. Kiedy sprzątano zboże z pól, zamykano

młyn, maszynę zaś brano do młócki. Zresztą później wprowadzono nieprzenośny motor, nowy młyn został zbudowany z kamienia i cegły, a i gospodarską lepiankę zastąpił duży ceglany dom, kryty blachą. Ale to wszystko stało się dopiero później, kiedy rozpoczynałem 17-ty rok życia. Podczas mych ostatnich wakacyj, wyliczałem odległość między oknami i rozmiary drzwi przyszłego domu, ale w żaden sposób nie mogłem z tem dojść do ładu. Gdy następnym razem przyjechał na wieś, zobaczyłem już kamienne fundamenty. Nie udało mi się jednak zamieszkać w tym domu. Teraz mieści się w nim szkoła sowiecka...

We młynie chłopci czekali nieraz tygodniami. Ci, którzy mieszkali bliżej, zostawiali worki w kolejce, a sami jechali do domu. Dalej mieszkający gnieździli się na wozach, a podczas deszczu spali we młynie na workach.

Jednemu z przyjezdnych zginęła uзда. Ktoś widział, jak jakiś przyjezdny chłopak kręcił się koło cudzego konia.

Rzucono się do przeszukiwania wozu i w sianie znaleziono uzdę. Ojciec chłopca, brodaty, ponury chłop, żegnał się krzyżem na wschód i przysięgał, że to ten przeklęty chłopak-kajdaniarz sam wymyślił i że on mu za to kiszki wypruje. Jednak nikt chłopu nie wierzył, więc schwycił syna za kołnierz, rzucił go na ziemię i zaczął okładać skradzioną uzdą. Z za pleców dorosłych przyglądałem się tej scenie. Chłopak krzyczał i zaklinał się, że więcej nie będzie. Dokoła ponuro stali chłopci, obojętni na płacz wyrostka, palili papierosy i mruczeli w brody, że chłop tłucze na niby, tylko dla pozoru i że za jednym zamachem wartoby przetrzepać i ojca.

Za spichrzami i chlewami szły szopy, ogromne, długości dziesięciu sążni dachy, jeden z sitowia, drugi słomiany, oparte wprost o ziemię, bez ścian. W szopach tych zsypywano góry ziarna podczas deszczowej, albo wietrznej pogody, pracowano tam wialnią, albo sitem. Dalej za szopami znajdowało się klepisko, gdzie młócono zboże. Za wąwozem był wygon dla bydła, wyspany całkowicie suchym nawozem.

Z lepianką pułkownika i starą kanapą w jadalni związane jest całe moje dziecięce życie. Na tej kanapie, obłożonej fornierem, imitującym mahoń, siedziałem przy herbacie, przy obiedzie, przy kolacji, bawiłem się z siostrą lalkami, a później czytywałem. W dwóch miejscach pokrycie było podarte. Mniejsza dziura znajdowała się z tego końca, gdzie stało krzesło Iwana Wasiljewicza, większa zaś tam, gdzie siadywałem obok ojca. – Czasby już obić kanapę nowym sukmem, – mówi Iwan Wasiljewicz. – Już dawnoby trzeba, – odpowiedziała matka. – Nie odświeżaliśmy kanapy od tego roku, kiedy zabito cara. – Bo, wiecie, – usprawiedliwia się ojciec, – przyjedzie się do tego przeklętego miasta, biega się to tu, to tam, dorożkarz się wścieka, i tylko się o tem myśli, jakby tu najszybciej wydostać się zpowrotem do gospodarstwa, no, i zapomina się o wszystkich sprawunkach.

Nad całą jadalnią przechodziła pod niskim sufitem wielka, wybielona belka, na którą stawiano i kładziono najrozmaitsze rzeczy: talerze z jedzeniem, żeby nie zjadł kot, gwoździe, sznurki, książki, flaszeczkę z atramentem, zatkniętą papierem, obsadkę ze starą zardzewiałą stalówką. W domu nie było zbyt dużo stalówek. Bywały tygodnie, kiedy strugałem nożem pióra z drzewa, żeby móc przerysowywać konie ze starych zeszytów ilustrowanej „Niwy”. Na górze pod sufitem, gdzie znajdował się występ dymnika, mieszkała kotka. Tam przychodziły na świat kocięta, a kiedy kotce robiło się zbyt gorąco, znosiła je w zębach, śmiało skacząc wdół. O ową belkę niezmiennie uderzali głową

goście wysokiego wzrostu, wstając od stołu, i stąd pochodził zwyczaj ostrzegania gości: „ostrożnie, ostrożnie”, i wskazywania ręką w górę, pod sufit.

Najszanowniejszym przedmiotem w maleńkim salonie był klawikord, zajmujący nie mniej, niż ćwierć pokoju. Ten sprzęt pojawił się już za mojej pamięci. Zbankrutowana obywatelka, mieszkająca w odległości piętnastu, czy dwudziestu wiorst od nas, przenosiła się do miasta i wyprzedawała umeblowanie. Od niej kupiliśmy kanapę, trzy wiedeńskie krzesła i stary rozbitý klawikord, z poobrywanymi strunami, oddawna już stojący w stodole. Za klawikord ojciec zapłacił szesnaście rubli i przywiózł go do Janówki na arbie. Kiedy klawikord zaczęto rozbierać w warsztacie, wyjęto z pod wieka parę zdechłych myszy. Przez kilka zimowych tygodni warsztat był zajęty klawikordem. Iwan Wasiljewicz czyszczył go, podklejał, polerował, wydobywał struny, naciągał je i stroił. Wszystkie klawisze zostały wstawione i klawikord zadźwięczał w salonie, chociaż drżącymi, jednakże nieporównanymi tonami. Iwan Wasiljewicz przeniósł swe cudotwórcze palce z kłapek hamonji na klawisze klawikordu i grał kamaryńskiego, polkę, i „mein leber Augustin”. Starsza siostra zaczęła uczyć się muzyki. Czasami brzdąkał starszy brat, który w Elizabetgradzie przez kilka miesięcy uczył się grać na skrzypcach. Wreszcie i ja zacząłem według nut skrzypcowych brata, wygrywać na klawikordzie jednym palcem. Słuchu nie miałem i moje umiłowanie muzyki pozostało ślepe i bezradne na zawsze. Na tym to właśnie klawikordzie popisywał się zręcznością prawej ręki, „zdolnej do dawania koncertów” sąsiad nasz Mojżesz Charitonowicz M-ski. Na wiosnę podwórze staje się morzem błota. Iwan Wasiljewicz robi sobie drewniane kalosze, albo raczej koturny, a ja z zachwytem widzę przez okno, że jest on teraz nieomal o pół arszyna wyższy, niż zwykle. Wrótce zjawia się w czeladnej dziad-rymarz. Nikt, zdaje się, nie wie, jak on się nazywa. Ma przeszło 80 lat. To mikołajowski (Mikołaja I) żołnierz. Przesłużył w armji dwadzieścia lat. Olbrzymi, barczysty, z białymi włosami i brodą, ledwo poruszając ciężkimi nogami, kieruje się do stodoły, gdzie urządził sobie ruchomy warsztat. – Nogi mi osłabły, – skarżył się dziad już od lat dziesięciu. Zato ręce jego, woniejące skórą, mocniejsze są od kleszczy. Paznogie ma jak klawisze z kości słoniowej, bardzo ostre na końcach.

– Chcesz, to pokażę ci Moskwę, – mówi dziad do mnie. Naturalnie, że chcę. Dziad ujmuje mnie pod uszy wielkimi palcami i podnosi do góry. Czuję dotknięcie strasznych paznogci, boli mnie i przykro mi. Macham nogami i żądam postawienia mnie na ziemi.

– Nie chcesz, – mówi dziad, – to nie. Mimo obrazy nie odchodzę.

– Ano, – mówi dziad, – wliź-no po drabinie do stodoły, zobacz, co się tam dzieje na strychu. – Czuję, że kryje się w tem jakiś podstęp, i waham się. Okazuje się, że na strychu jest młodszy młynarczyk Konstanty z kucharką Katiuszą. Oboje ładni, weseli, robotni. – A kiedy się ożenisz z Katiuszą? – pyta gospodyni. – Nam i tak dobrze, – odpowiada Konstanty. – Żenić się, to zaraz dziesięć rubli na stół, już lepiej kupię Kati buty.

Po pałacem, stepowem, pełnem gorączki lecie, po kulminacyjnej pracy, sprzątaniu z pól, mozole rolnika, pracującego daleko od domu, zbliża się wczesna jesień, żeby zrobić obrachunek z całego roku ciężkiego trudu. Młócka jest w pełni. Centrum życia przenosi się na klepisko, za szopy, o jakieś ćwierć wiorsty od domu. Nad klepiskiem, chmura słomianego pyłu. Bęben młockarni wyje. Młynarz Filip w okularach siedzi na młockarni przy bębnie. Czarną

brodę pokrywa mu szary pył. Z wozu podają mu snopy, bierze je, nie patrząc, rozwiązuje powrósło, rozsypuje snop i wkłada w bęben. Schwyciwszy kłosa, bęben ryczy, jak pies, który schwytał kość. Roztrząsacze wyrzucają słomę, podrzucając ją w biegu. Z boku, z rękawa, biegną plewy. Odwożą je do stogu wózkiem, a ja stoję na jego drewnianym ogonie, trzymając się lejców ze sznura. – Uważaj, nie przewróć się! – woła ojciec. Ale ja przewracam się już dziesiąty raz to w słomę, to w plewy. Szara chmura pyłu gęstnieje nad klepiskiem, bęben wyje, plewy dostają się za koszulę i do nosa, zmuszają do kichania. – Ej, Filipie, wolniej! – ostrzega z dołu ojciec, kiedy bęben zagrzechocze nagle zbyt złowrogo. Podnoszę wózek, który wrywa mi się całym swym ciężarem i przygniata rękę. Boli tak, że odrazu wszystko znika mi z przed oczu. Ukradkiem wlokę się na bok, żeby nikt nie widział, że płaczę, potem biegnę do domu. Matka polewa rękę zimną wodą i obwiązuje palec. Ale ból nie ustaje. Palec rwie przez kilka męczących dni.

Worki z pszenicą zapełniają stodoły, szopy i wznoszą się piętrami pod brezentem na podwórzu. Sam gospodarz staje nieraz przy sicie, między drągami, i uczy, jak należy obracać krag, żeby odgarnąć plewy i jak potem jednym krótkim rzutem wyrzucić wszystkie oczyszczone ziarna na stos. W szopach i pod stodołą, w miejscach zasłoniętych od wiatru, obracają się wialnie. Oczyszcza się ziarno, przygotowuje na rynek.

Zjawiają się kupcy z miedzianymi naczyniami i wagami w porządnym, lakierowanym skrzynkach. Poddają ziarno próbie, podają ceny i wtykają zadatek. Przyjmuje się ich uprzejmie, częstuje herbatą i lukrowanymi sucharkami, ale zboża się im nie sprzedaje. To drobne płatki. Gospodarz wyrósł już ponad ten rodzaj handlu. Ma własnego komisjonera w Mikołajowie. – Niech jeszcze poleży, – odpowiada ojciec – ziarno nie woła jeść. Po upływie tygodnia przychodzi list z Mikołajowa, a czasami nawet depesza: cena podniosła się o pięć kopiejek na pudzie. – No, przybyło tysiąc karbowańców, – mówił gospodarz, – na drodze nie leżą. Ale bywało i inaczej: ceny spadały. Tajemne siły rynku światowego znajdowały drogę i do Janówki. Wracając z Mikołajowa, ojciec mówił ponuro:

– Powiadają, że... jak się tam nazywa... Argentyna rzuciła dużo zboża w tym roku na rynek.

Zimą jest na wsi spokojnie. Tylko młyn i warsztat pracują naprawdę. Pali się w piecach słomą, którą służba przynosi w ogromnych naręczach, rozsypując po drodze i zamiatając za każdym razem za sobą. Wesoło jest wpychać słomę do pieca i patrzeć, jak płonie. Pewnego razu wuj Grzegorz zastał mnie i młodszą siostrę Olę samych w jadalni, ciemnej od kopci. Kręciłem się pośrodku pokoju, nie poznając przedmiotów, i na wołanie wuja wpadłem w głębokie omdlenie. Podczas dni zimowych często zostawaliśmy sami w domu, zwłaszcza gdy ojciec wyjeżdżał, a cała gospodarka spadała na matkę. Czasami o zmierzchu siedzieliśmy z siostrzyczką na kanapie, przytuleni do siebie, z szeroko otwartymi oczami, bojąc się poruszyć. Czasami do ciemnej jadalni wchodził z mrozu, skrzypiąc ogromnymi wołokowymi butami, olbrzym w olbrzymiej szubie, z olbrzymim odrzuconym w tył kołnierzem, z czapką, z rękawicami na rękach, soplami lodu na brodzie i wąsach i potężnym głosem mówił w ciemności: „dzień dobry”. Zamarłszy w kącie kanapy, baliśmy się odpowiedzieć na powitanie. Wówczas olbrzym zapalał zapałkę i odnajdywał nas w kącie. Okazywało się, że to sąsiad. Czasami samotność w jadalni stawała się całkiem nie do zniesienia, wówczas, nie zważając na mróz,

wybiegałem do sieni, otwierałem drzwi, wskakiwałem na kamień – wielki płaski kamień przed progiem, – i wołałem w ciemności: – Maszka, Maszka, chodź do jadalni, chodź do jadalni! – wiele, wiele razy, dlatego, że Maszka miała swoją robotę: w kuchni, w czeladnej i gdzie indziej. Wreszcie matka przychodziła z młyna, zapalano lampę i pojawiał się samowar.

Wieczorem pozostawaliśmy zwykle w jadalni, tak długo, póki nie zapadaliśmy w sen. Do jadalni wchodzono i wychodzono, zabierano i przynoszono klucze, z za stołu wydawano dyspozycje, przygotowywano się do jutrzejszego dnia. Ja, moja młodsza siostra Ola, starsza Liza, a częściowo pokojówka, żyliśmy w ciągu tych godzin życiem, zależnym od życia dorosłych i przez nich przygłuszaniem.

Czasami, powiedziane przez kogoś ze starszych słowo budzi naszą szczególną uwagę. Mrugam porozumiewawczo na siostrzyczkę, która chichocze stłumionym śmiechem, ktoś ze starszych patrzy na nią z roztargnieniem. Znów mrugam na nią, stara się ukryć roześmianą twarz pod ceratą i uderza czołem o stół. Ten wypadek zaraża śmiechem mnie, czasami nawet i starszą siostrę, która, zachowując godność trzynastolatka, lawiruje między dziećmi i dorosłymi. Jeżeli śmiech wybuchał zbyt hałaśliwie, musiałem włączyć pod stół, przekradać się między nogami starszych i nadeptawszy kotce na ogon, przedostawać się do sąsiedniej komórki, tak zwanego dziecinnego pokoju. Po upływie kilku minut wszystko zaczynało się od początku. Ze śmiechu słabły palce, tak, że nie można było utrzymać szklanki. Głowa, usta, ręce i nogi wszystko roztopiało się i wylewało w śmiechu. – Co się z wami dzieje? – pytała zmęczona matka. Dwa kręgi życia, górny i dolny, zlewały się ze sobą na krótką chwilę. Starsi patrzyli na dzieci pytająco, czasem życzliwie, częściej z rozdrażnieniem. Wówczas śmiech, zaskoczony niespodziewanie, burzliwie dobywał się na zewnątrz. Ola znów chowała głowę pod stół, ja padałem na kanapę, Liza zagryzała dolną wargę, służąca chowała się za drzwi.

– Idźcie już spać! – mówili starsi.

My jednak nie odchodziliśmy, chowaliśmy się po kątach, bojąc się spojrzeć na siebie. Siostrzyczkę wynoszono na rękach, ja zaś najczęściej zasypiałem na kanapie. Ktoś ze starszych brał mnie na ręce. W półśnie wybuchałem czasem głośnie krzykiem. Zdawało mi się, że opadły mnie psy, albo że w dole syczą żmije, lub też że rozbójnicy uprowadzają mnie do lasu. Koszmar dziecka wdzierał się w życie dorosłych. Uspakajano mnie w drodze do łóżka, głaskano, całowano. Tak więc ze śmiechu w uśpienie, z uśpienia w koszmary, z koszmarów w przebudzenie, znów przechodziłem w sen już w pierzynach dobrze ogrzanej sypialni.

Mimo wszystko zima była najbardziej rodzinnym okresem w roku. Zdarzały się dni, kiedy ojciec i matka prawie nie wychodzili z domu. Starszy brat i siostra przyjeżdżali ze szkół na Boże Narodzenie. – W niedzielę Iwan Wasiljewicz, czysto umyty i ostrzyżony, uzbrojony w nożyce i grzebień, zabiera się do strzyżenia najpierw ojca, potem realisty Saszy, wkońcu mnie. Sasza pyta:

– Czy umiecie, Iwanie Wasiljewiczu, strzyc à la Capule? – Wszyscy podnoszą głowy, patrzą na Saszę, który opowiada, jak w Elizabetgradzie dał się cyrulikowi ostrzyc niezwykle à la Capule, a nazajutrz otrzymał za to od inspektora surową naganą.

Po strzyżeniu wszyscy siadają do obiadu. Ojciec i Iwan Wasiljewicz po obu końcach stołu na fotelach, dzieci na kanapie, matka naprzeciw nich. Iwan

Wasiljewicz jadał razem z gospodarzami, póki się nie ożenił. Zimą obiadowano wolniej, po obiedzie rozmawiano, Iwan Wasiljewicz palił i puszczał kunsztowne kółka dymu. Czasami Sasza albo Liza czytali głośno. Ojciec drzemał, siedząc na kanapie, i dokuczano mu tem. Wieczorami czasem zasiadano do gry w durnia, przyczem było wiele zamieszania i śmiechu, a nawet drobnych sprzeczek. Za rzecz szczególnie zajmującą uważaliśmy oszukiwanie ojca, który grał nieuważnie, śmiał się, kiedy przegrywał, w przeciwieństwie do matki, grającej lepiej, denerwującej się i uważnie śledzącej, czy starszy brat jej nie oszukuje.

Najbliższy oddział pocztowy odległy był od Janówki o 23 kilometry, kolej zaś – o przeszło 35 kilometrów. Daleko więc było do władzy, do sklepów, do centrów miejskich, a jeszcze dalej do wielkich historycznych wydarzeń. Życie regulowane było wyłącznie rytmem prac rolniczych. Wszystko poza tem wydawało się obojętne. Wszystko poza cenami na światowej giełdzie zbożowej. Gazet i czasopism w tych czasach na wsi nie otrzymywano: zjawily się dopiero później, kiedy byłem uczniem szkoły realnej. Listy otrzymywano rzadko, przez okazję. Częstość sąsiad, który zabrał w Bobryńcu list, nosił go tydzień albo dwa w kieszeni. – Otrzymanie listu było przeżyciem, nadejście depeszy – katastrofą.

Tłumaczono mi, że depesza biegnie po drucie, a tymczasem widziałem na własne oczy, że depeszę przywoził z Bobryńca konny, któremu należało zapłacić za to dwa ruble i 50 kopiejek. Depesza to podobny papierek do listu, na którym ołówkiem napisane są słowa. W jaki sposób może biec po drucie, czyżby przenosił ją wiatr? Odpowiedziano mi, że przenosi ją elektryczność. To było jeszcze gorsze. Wuj Abram razu pewnego tłumaczył mi dobitnie: – po drucie przebiega prąd, który wybija znaki na taśmie. Powtórz. Powtarzałem: prąd po drucie i znaki na taśmie. – Zrozumiałeś? – Zrozumiałem. – A w jaki sposób potem otrzymuje się list? – spytałem, mając na myśli blankiet telegraficzny, przychodzący z Bobryńca. – List idzie oddzielnie – odpowiada wuj. Nie mogłem pojąć naco jest prąd, jeżeli „list” przyjeżdża na koniu. Ale wuj rozgniewał się: – Zostaw list w spokoju – zawołał – ja ci tłumaczę o depeszy, a ty mi ciągle pleciesz o liście. W ten sposób kwestja ta została niewyjaśniona.

Bawiła u nas w gościnie Paulina Piotrówna, paniusia z Bobryńca, z wielkimi kolczykami w uszach i z czubem, nasuniętym na czoło. Potem matka odwoziła ją do Bobryńca, a ja jechałem razem z niemi. Kiedy mineliśmy kurhan na jedenastej wiorście, ukazały się słupy telegraficzne i zadźwięczały druty. – A jak idzie depesza? – zwróciłem się do matki. – Poproś-no Paulinę Piotrównę – ona ci wytłumaczy. – Paulina Piotrówna wytłumaczyła mi: – Znaki na taśmie oznaczają litery, telegrafista przepisuje je na papier, a papier odwozi konny. – To było zrozumiałe. – A jak biegnie prąd, kiedy nic nie widać? – spytałem, patrząc na drut. – A prąd biegnie wewnątrz – odpowiedziała Paulina Piotrówna – wszystkie te druty zrobione są jak rurki i wewnątrz nich przebiega prąd. – To było także zrozumiałe i uspokoiłem się na długo. Płyny elektro-magnetyczne, o których dowiedziałem się w cztery lata później od nauczyciela fizyki, wydały mi się znacznie mniej przekonujące.

Ojciec i matka przeszli przez swoje pracowite życie nie bez tarć, naogół jednak bardzo po przyjacielsku, chociaż byli zupełnie odmiennymi ludźmi. Matka pochodziła z miejskiej burżuazyjnej rodziny, patrzącej zgóry na „chłopa” z posiekanemi rękami. Ojciec jednakże był za młodu przystojny,

zgrabny, o męskiej i energicznej twarzy. Zdołał zebrać jakie takie oszczędności, które wkrótce dały mu możliwość kupienia Janówki. Młoda kobieta, przerzucona z gubernialnego miasta do wsi stepowej, nie od razu przystosowała się do surowych warunków gospodarstwa wiejskiego, zato przystosowała się całkowicie i odąd nie porzuciła jarzma pracy w ciągu prawie 45-ciu lat. Z ośmiorga zrodzonych w małżeństwie tem dzieci, dochoowało się czworo. Byłem piątym dzieckiem z kolei. Czwooro umarło w młodym wieku na dyfteryt, szkarlatynę, tak prawie niespostrzeżenie, jak pozostałe niespostrzeżenie żyły. Ziemia, bydło, drób, młyn, pochłaniały całkowicie uwagę, bez reszty. Pory roku następowały po sobie i fale pracy rolniczej przelewały się poprzez uczucia rodzinne. W rodzinie nie znano tkliwości, zwłaszcza w pierwszych latach. Istniał jednak głęboki łącznik pracy między matką i ojcem. – Podaj matce krzesło – mówił ojciec, kiedy tylko matka stawała na progu, pokryta białym pyłem młyńskim. – Maszka, nastaw prędeż samowar – wołała gospodyni, nie dochodząc jeszcze do domu – zaraz gospodarz przyjdzie z pola. – Oboje wiedzieli dobrze, co to jest zmęczenie.

Ojciec stał bezwątpienia wyżej od matki i pod względem rozumu i charakteru. Był od niej głębszy, bardziej opanowany, taktowniejszy. Miał wyjątkowo dobre oko, nie tylko w stosunku do rzeczy, lecz i do ludzi. Rodzice naogół kupowali mało, zwłaszcza w dawnych latach, i ojciec i matka umieli pilnować grosza, ale ojciec bez błędu oceniał to, co kupował. Sukno, kapelusz, buciki, koń, czy maszyna, na wszystkim się znał. – Ja grosza nie lubię – mówił mi później, jakby usprawiedliwiając się ze swego sknerstwa – ale nie lubię, kiedy go niema. Bieda, kiedy trzeba groszy, a ich niema. – Mówił nieprawidłową mieszaniną języka rosyjskiego i ukraińskiego, z przewagą ukraińskiego. Ludzi oceniał według ich zachowania, według wyglądu, przyzwyczajęń, a oceniał bardzo trafnie.

Po wielu porodach i pracy matka zaczęła przez pewien czas zapadać na zdrowiu i jeździła do Charkowa do profesora. Takie wyjazdy były wielkimi zdarzeniami, do których długo się przygotowywano. Matka zaopatrywała się w pieniądze, słoik z olejem, worek lukrowanych sucharków, pieczone kury i t. p. Przewidywano duże wydatki. Profesorowi trzeba było płacić za wizytę trzy ruble. Opowiadano o tem między sobą i gościom, podnosząc w górę palec z wyjątkowo znaczącym wyrazem twarzy, na który składał się i szacunek dla wiedzy i przykrość, że kosztuje ona tak wiele i дума, że ma się możliwość płacenia takich niesłychanych pieniędzy. Ze wzruszeniem czekaliśmy na powrót matki. Matka przyjeżdżała w nowej sukni, która w janowskiej jadalni wydawała się niezwykle strojna.

Kiedy dzieci były jeszcze małe, ojciec był w stosunku do nich łagodniejszy i równiejszy. Matka gniewała się często, czasami bez powodu, poprostu odbijając na dzieciach zmęczenie albo niepowodzenie gospodarskie. W owych latach uważaliśmy, że korzystniej jest prosić o coś ojca. Ale z latami ojciec stawał się surowszy. Przyczyną tego były trudności codziennego życia, troski, wzrastające razem ze wzrostem interesów, zwłaszcza w czasie kryzysu agrarnego lat 80-tych i rozczarowania w stosunku do dzieci.

Podczas długich zim, kiedy stepowy śnieg zasypywał ze wszech stron Janówkę, wnosząc zasy pywyżej okien, matka lubiła czytać. Siadała na niedużej trójkątnej kanapce w jadalni, kładąc nogi na krześle, lub też, kiedy nadchodził wczesny zimowy zmierzch, przesiadała się na ojcowski fotel pod maleńkie zamarzniete okno i głośnym szeptem czytała zniszczoną powieść z

bobryńskiej biblioteki, wodząc spracowanym palcem po wierszach książki. Nieraz myliła się w słowach i zacinała na skomplikowanym zdaniu. Czasami podpowiedzenie któregoś, z dzieci całkiem inaczej oświetlało w jej oczach to, co przeczytała. Czytała jednakże uporczywie, niestrudzenie i w wolnych od pracy godzinach zimowych, cichych dni już w sieni słysząc było jej miarowy szept.

Ojciec nauczył się sylabizować dopiero na starość, aby móc odczytać chociażby tylko tytuły moich książek. Ze wzruszeniem obserwowałem go w 1910 roku w Berlinie, kiedy uparcie dążył do zrozumienia mojej książki o niemieckiej socjal-demokracji.

Rewolucja październikowa zastała mego ojca jako już zamożnego człowieka. Matka umarła w 1910 roku, ale ojciec dożył do czasów władzy sowieckiej. W zamęcie wojny domowej, która szczególnie długo srożyła się na południu, pociągając za sobą ustawiczną zmianę władz, siedemdziesięcioletni starzec musiał przejść pieszo setki kilometrów, aby znaleźć czasowy przytułek w Odesie. Czerwoni byli niebezpieczni dla niego, jako dla wielkiego posiadacza. Biali prześladowali go, jako mojego ojca. Po oczyszczeniu południa przez wojska sowieckie, ojciec otrzymał możliwość przybycia do Moskwy. Naturalnie, rewolucja październikowa zabrała mu wszystko, co posiadał. Przeszło rok zarządzał niewielkim młynem państwowym pod Moskwą. Lubił z nim dysputować o kwestjach gospodarczych ówczesny ludowy komisarz aprowizacji Ciurupa. Ojciec umarł na wiosnę 1922 r. na tyfus o tej godzinie, kiedy występowałem z referatem na IV kongresie Kominternu.

Bardzo ważnym miejscem, głównym miejscem w Janówce, był warsztat, w którym pracował Iwan Wasiljewicz Grebień. Wstąpił do nas na służbę, mając 20 lat, w roku, w którym się urodziłem. Wszystkim dzieciom, starszym również, mówił „ty”, my zaś zwracaliśmy się do niego na „wy”, z szacunkiem nazywając Iwanem Wasiljewiczem. Kiedy miał stawać do poboru, ojciec jeździł z nim razem, kogoś tam przekupili i Grebień pozostał w Janówce. Był to człowiek o wielkich zdolnościach, przystojny, z ciemnoblonde włosami i francuską bródką. Technikę posiadał uniwersalną: remontował maszyny parowe, wykonywał roboty kotlarskie, toczył drewniane i metalowe kule, odlewał miedziane gniazda do osi, wyrabiał sprężyny, reperował zegary, stroił fortepian, obijał meble, skonstruował całkowicie dwukołowy rower, tylko bez gum. Między wstępną i pierwszą klasą nauczyłem się na tym przyrządzie jeździć, jak na rowerze. Do warsztatu Niemcy-koloniści przywozili do remontu siewniki i wiązałki do snopów i zapraszali Iwana Wasiljewicza, aby towarzyszył im przy kupowaniu młockarni albo lokomobili. Ojca radzili się w kwestjach gospodarczych, Iwana Wasiljewicza w technicznych.

W warsztacie pracowali również pomocnicy i uczniowie. W wielu przypadkach byłem uczniem tych uczniów.

Nieraz nacinałem w warsztacie mutry i śruby. Praca ta sprawiała mi satysfakcję, gdyż jej widomy rezultat miałem natychmiast przed sobą. Czasami zabierałem się do rozcierania farb na gładko oszlifowanym kręgu kamiennym. Wkrótce jednak przychodziło zmęczenie, coraz częściej pytałem, czy to już gotowe? Potarłszy końcem palca tłustą mieszaninę, Iwan Wasiljewicz kiwał przecząco głową. Odstępowałem wówczas kamień któremukolwiek z uczniów.

Czasami Iwan Wasiljewicz siadał na kufierku z narzędziami, w kącie za warsztatem, palił i patrzył w przestrzeń, obmyślając coś, czy wspominając, czy też poprostu odpoczywając i nie myśląc o niczem. W takich chwilach

przekradałem się z boku do niego i zaczynałem pieszczotliwie kręcić jeden z jego wspaniałych, ciemnoblonde wąsów, albo uważnie przyglądać się jego rękom – tym wyjątkowym, całkiem niezwykłym dłoniom majstra. Cała skóra rąk usiana była czarnymi punktami: to drobniutkie drzazgi, które raz na zawsze utkwily w ciele przy nacinaniu młyńskich kamieni. Palce poskręcane, jak korzenie, ale wcale nie szorstkie, niesłychanie ruchliwe, rozszerzają się ku końcowi, wielki daje się mocno odgiąć wtył, tworząc łuk. Każdy palec obdarzony jest świadomością, żyje i działa po swojemu, a wszystkie razem stanowią niezwykłą roboczą drużynę. Chociaż mam tak mało lat, widzę jednakże i czuję, że ta ręka zupełnie inaczej, niż wszystkie inne ręce, ujmuje młotek czy cęgi. Wielki palec lewej ręki obwiedziony jest naukos obwódka szramy. W dzień moich urodzin Iwan Wasiljewicz zaciął się w lewą rękę toporem tak, że palec wisiał prawie tylko na skórze. Ojciec zobaczył przypadkiem, jak młody mechanik, położywszy rękę na desce, gotuje się do odrąbania sobie palca doreszty. – Czekajcie! – zawołał. – Palec jeszcze się zrośnie. – Myślicie, że przyrośnie? – spytał mechanik i odłożył topór. Palec przyrósł istotnie, pracuje sprawnie, tylko odchyła się wtył nie tak daleko, jak u prawej ręki.

Iwan Wasiljewicz przerobił starą berdanę na strzelbę śrutową i teraz próbował, czy dobrze bije: wszyscy pokolei usiłowali z odległości kilku kroków ślepy młotem zgasić świecę. Nie wszystkim to się udawało. Przypadkiem wszedł mój ojciec. Kiedy składał się do strzału – drżały mu ręce, i wogóle trzymał broń jakoś niepewnie. Tem niemniej jednak od razu zgasił świecę. Miał dobre oko we wszystkich sprawach, rozumiał to Iwan Wasiljewicz. Między nimi nigdy nie było utarczek, a do innych ojciec zwracał się, jak gospodarz, często robił wymówki i uwagi.

W warsztacie nigdy nie wałęsałem się beczynnym. Wprawiałem w ruch rączkę miecha, urządzonego przez Iwana Wasiljewicza według własnego systemu: wentylator był niewidoczny, ponieważ znajdował się na strychu ku wielkiemu zdumieniu wszystkich odwiedzających. Obracałem aż do ostatecznego wyczerpania sił koło warsztatu tokarskiego, zwłaszcza kiedy toczono na nim kule krokietowe z pełnego słoju drzewa akacji. Tymczasem w warsztacie prowadzono rozmowy, jedną ciekawszą od drugiej. Nie zawsze przestrzegano przytem przyzwoitości. Raczejby rzecz należało, że nie przestrzegano jej wcale. Zato mój horyzont rozszerzał się nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę. Tomasz opowiadał o majątkach, w których pracował, o różnych przypadkach, jakie wydarzyły się dziedzicom i dziedzicom. Należy przyznać, że nie zdradzał dla nich wielkiej sympatii. Młynarz Filip rozwijał na ten temat swoje wspomnienia ze służby wojskowej. Iwan Wasiljewicz zadawał pytania, przerywał, uzupełniał. Palacz Jaszka, niegdyś kowal, ponury, rudy mężczyzna około lat trzydziestu, nie umiał siedzieć długo na jednym miejscu. Coś go opętywało: to jesienią, to wiosną zniknął, a po upływie pół roku znów się pojawiał. Pił rzadko, ale kiedy już pił, to się porządnie rozpijał. Był namiętnym myśliwym, ale przepił strzelbę. Tomasz opowiadał, jak Jaszka w Bobryńcu przyszedł do sklepu boso, z nogami oblepionymi ze wszystkich stron czamem błotem, i, zażądawszy pistona do swej kapiszonowej jednorurki, rozsypał umyślnie pudełko, zaczął zbierać jego zawartość, nadepnął na piston zabłoconą stopą i zabrał go sobie.

– Czy Tomasz kłamie? – spytał Iwan Wasiljewicz.

– Pocoby kłamał – odpowiedział Jaszka – nie miałem przecież grosza przy

duszy. – Ten sposób zdobywania sobie potrzebnych przedmiotów wydawał mi się niezwykle i godny naśladownictwa.

– Przyjechał nasz Ignac, – komunikowała służąca Masza, – a Duńki niema, poszła na święto do rodziny. – Palacza Ignaca nazywano naszym w odróżnieniu od garbatego Ignaca, który przed Tarasem był sołtysem. „Nasz” Ignac wyjechał, aby stanąć do poboru. Sam Iwan Wasiljewicz mierzył mu piersi i mówił: – Za nic go nie wezmą. Komisja poborowa umieściła Ignaca na miesiąc w szpitalu, na badaniu. Tam też poznał się z miejskimi robotnikami i postanowił spróbować szczęścia w fabryce. Ignac nosił miejskie buty i kożuszek z barwnym wyszyciem. Przepędził cały dzień w warsztacie, opowiadał o mieście, o pracy, o porządkach, o warsztatach, o płacy.

– Wiadomo – fabryka... – mówił z zamyśleniem Tomasz.

– Fabryka to nie to, co warsztat. – dorzucił Filip.

I wszyscy z zamyśleniem spoglądali ponad warsztat.

– Dużo tam jest tych tokarni? – chciwie spytał Wiktor.

– Cały las.

Słuchałem, nie mrugnawszy nawet okiem, i wyobrażałem sobie fabrykę tak, jak dawniej wyobrażałem sobie las: ani w górze, ani na prawo, ani na lewo, ani za sobą, ani przed sobą, nie widać nic innego prócz maszyn, a pośród tych maszyn – Ignac, mocno ściągnięty skórzanym pasem. Okazało się, że Ignac ma także jeszcze zegarek, który przechodził teraz z rąk do rąk. Wieczorem gospodarz przechadzał się z Ignacem po podwórzu, za nimi zaś karbowy. Ja obok nich, to po stronie ojca, to znów Ignaca. – No, a utrzymanie? Chleb kupujesz? Mleko kupujesz? Za mieszkanie płacisz? – To bezwarunkowo, za wszystko, co jest, płąć – zgadza się Ignac... – Tylko że zarobek inny.

– Wiem, że inny, tylko, że cały swój zarobek pójdzie na utrzymanie.

– A jednakowoż, – twierdził z uporem Ignac, – przez pół roku i ubrałem się troszkę i zegarek sobie kupiłem. Mam maszynkę w kieszeni. – I znów pokazał zegarek. Ten dowód był nieodparty. Gospodarz milkł, poczem znów pytał: – A czy aby nie pijesz, Ignac? Tam pełno takich nauczycieli, co prędko nauczą.

– Ale ja do niej nawet smaku nie czuję, co mi tam jakaś wódka.

– No, jak tam, Ignac, weźmiesz Duńkę ze sobą? – pytała gospodyni.

Ignac uśmiechał się krzywo, troszeczkę jakby z poczuciem winy, ale nie odpowiadał.

– Aha, widzę już, widzę, – mówiła gospodyni, – masz pewnie jakąś miastową flandrę, przyznaj się, gałganie.

I Ignac wyjechał z Janówki.

Dzieciom zabraniano chodzić do czeladnej. Ale kto mógł tego upilnować? W czeladnej było zawsze dużo nowości. Przez długi czas była kucharką kobieta o wystających kościach policzkowych, ze złamanym nosem. Mąż jej, starzec ze sparaliżowaną połową twarzy, pasał bydło. Nazywano ich kacapami, dlatego, że pochodzili z centralnej guberni. Para ta miała ośmioletnią córeczkę, bardzo milutką, niebieskooką i jasnowłosą. Dziewczynka przyzwyczaiła się do tego, że tatko z mamką zawsze się kłóca.

W dni świąteczne dziewczyny iskały głowy parobkom, albo sobie wzajemnie. Na wiązce słomy leżą w czeladnej obok siebie dwie Tatjany, Tatjana wysoka i Tatjana mała. Koniuch Atanazy, syn karbowego Puda i brat kucharki Paraski, usiadł w poprzek między nimi, przerzucił nogi przez małą Tatjanę, a oparł się o wysoką.

– Patrzcie go, co za Mahomet, – mówi karbowy z zazdrością. – A czy to nie

czas poić konie?

Ten rudawy Atanazy i czarny Mutuzok byli moimi prześladowcami. Kiedy trafiałem na chwilę rozdawaniu żuru albo kaszy, zawsze rozlegał się drwiący głos: – A możebyś ty, Liowa, zjadł z nami obiad – albo: – A możebyś tak, Liowa, poprosił mamy o kuraki dla nas. – Zawstydzony odchodziłem w milczeniu. Na Wielkanoc pieczono dla robotników ciasto i kraszono jajka. Ciotka Raisa była mistrzynią w barwieniu jaj. Przywiozła z kolonji kilka wzorzystych jaj, z których mi dwa podarowała. Za piwnicą, na zboczu bawiono się jajkami, stukano jednym o drugie: czyje mocniejsze. Przyszedłem na sam koniec zabawy, kiedy pozostał już tylko Atanazy. – Ładne? – spytałem, pokazując mu pisanki. – Niczego sobie – odpowiedział Atanazy z obojętną miną. – Chcesz, stukniemy, czyje mocniejsze? – Nie odważyłem się nie przyjąć wyzwania. Atanazy stuknął i moja pisanka pękła na czubku. – Znaczy się moje, – rzekł Atanazy. – A teraz dawaj drugie. – Pokornie podstawiłem drugą pisankę. Atanazy znów stuknął. – I to moje. – Zabrał obie pisanki i odszedł, nie oglądając się. Patrzałem ze zdumieniem i bardzo chciało mi się płakać, ale rzecz była nie do naprawienia.

Stałych robotników, nie porzucających majątku przez cały rok, było niewiele. Główną masę, liczącą setki ludzi w latach wielkich zasiewów, stanowili robotnicy czasowi, kijowianie, czernihowcy, połtawcy, których godzono do 1-go października. W latach urodzajów chersońska gubernia zatrudniała 200-300 tysięcy takich robotników. Za cztery letnie miesiące kosiarze otrzymywali 40-50 rb. i utrzymanie, kobiety 20-30 rubli. Za mieszkanie służyło otwarte pole, a podczas deszczu – stogi. Na obiad – postny barszcz i kasza, na kolację – żurek pszeniczny. Mięsa nie dawano wcale, tłuszcze prawie wyłącznie roślinne i w skąpej ilości. Na tem tle czasami wybuchało niezadowolenie. Robotnicy porzucali żniwa, zbierali się na podwórzu, kładli się na brzuchach w cieniu stodół i, podnosząc do góry bosc, popękane, pokłóte słomą stopy, czekali. Dawano im zsiadłe mleko, albo arbuzy, albo pół worka tarani (suszone ryby) i znów szli do roboty, często nawet ze śpiewem. Podobnie działo się we wszystkich majątkach. Byli żeńcy chudzi, żyłaści, opaleni, którzy przychodzili do Janówki przez dziesięć lat zrzędu, wiedząc, że dla nich zawsze znajdzie się robota. Otrzymywali kilka rubli dodatkowo i od czasu do czasu kieliszek wódki, ponieważ nadawali tempo pracy. Inni znów zjawiali się na czele całej rodziny. Szli ze swych guberni pieszo cały miesiąc, żywiąc się chlebem, nocując zaś na placach targowych. Pewnego lata wędrowni robotnicy chorowali masowo na kurzą ślepotę. O zmierzchu poruszali się powoli, wyciągając ręce przed siebie. Bawiący na wsi siostrzeniec matki, napisał o tem korespondencję do gazet, na którą zwrócono uwagę w urzędzie ziemskim i przysłano inspektora. Rodzice, którzy bardzo kochali „korespondenta”, obrazili się na niego. On sam zresztą nie był zadowolony. Jednakże żadnych przykrych następstw nie było. Inspekcja stwierdziła, że choroba pochodzi z braku tłuszczów, że szerzy się prawie w całej guberni, ponieważ wszędzie żywią ludzi tak samo, a gdzie niedzie nawet gorzej.

W warsztacie, w kuchni czeladnej, na podwórkach otwierało się przede mną życie szersze i inne, niż w rodzinie. Życiowy film nie ma końca, a ja byłem dopiero na samym jego początku. Nikt nie krępował się moją obecnością, kiedy byłem młodszy. Języki rozwiązywały się swobodnie, zwłaszcza w nieobecności Iwana Wasiljewicza, lub karbowego, którzy mimo wszystko

częściowo należeli do rządzących. W blasku ogniska, w kuźni, lub w kuchni rodzice, krewni, sąsiedzi, często stawali przede mną w zupełnie nowym świetle. Wiele z tych rozmów utkwiło mi na zawsze w pamięci. Być może, że wiele z nich wywarło wpływ na kształtowanie się mego stosunku do współczesnego społeczeństwa.

ROZDZIAŁ II

SĄSIEDZI – PIERWSZA SZKOŁA

W odległości mniej więcej wiorsty od Janówki znajdował się majątek Dembowskich. Ojciec dzierżawił od nich ziemię i związany był z nimi wieloletnimi interesami. Właścicielką majątku była Teodozja Antonówna, stara Polka-obywatelka, dawna guwernantka. Po śmierci pierwszego bogatego męża, wyszła za mąż za swego zarządzającego, Kazimierza Antonowicza, młodszego od niej o lat 20. Teodozja Antonówna wkrótce przestała żyć ze swym drugim mężem, który po dawnemu administrował majątkiem, Kazimierz Antonowicz był wysokim, wąsatym, wesołym i krzykliwym Polakiem. Nieraz pijał u nas herbatę przy dużym owalnym stole i hałaśliwie opowiadał blahe historie po dwa-trzy razy, powtarzając poszczególne wyrazy i trzaskając palcami.

Kazimierz Antonowicz miał sporą pasiekę, daleko od stajen i chlewów, ponieważ pszczoły nie znoszą końskiego zapachu. Pszczoły zbierały miód z drzew owocowych, z białych akacyj, z rzepy, gryki, słowem miały pole do działania. Od czasu do czasu Kazimierz Antonowicz sam przynosił nam w serwetce dwa złożone, jeden na drugim talerzyki, między którymi leżał kawałek plastra w przejrzystym złocie miodu.

Pewnego razu Iwan Wasiljewicz wybrał się ze mną razem do Kazimierza Antonowicza po gołębie do założenia hodowli. W jednym z narożnych pokojów pustego domu Kazimierz Antonowicz podejmował nas herbatą. Na dużych, pachnących wilgocią talerzach leżało masło, twaróg i miód. Piłem herbatę ze spodka i przysłuchiwałem się powolnej rozmowie: – Czy się nie spóźnimy? – pytałem cichutko Iwana Wasiljewicza. – Nie, poczekaj – odpowiadał Kazimierz Antonowicz, – trzeba, żeby się zebrały spokojnie na poddaszu. Mnóstwo ich tam jest. – Strych był długi, ciemny, poprzegradzany belkami w różnych kierunkach. Pachniało myszami, kurzem, pajęczyną i ptasim pomiotem. Zgaszono latarnię. – Tutaj są łąpcie – powiedział cicho Kazimierz Antonowicz. I po tych słowach zaczęło się coś nie do opisania. W najgłębszych ciemnościach rozpoczęło się piekielne szamotanie: strych ożył i zawirował, jak wiatr. Przez chwilę wydawało mi się, że świat się wali, że wszystko przepadło. Stopniowo przyszedłem do siebie, słysząc wyteżone głosy: – Tu jeszcze... tutaj, tutaj... wsuńcie do worka... tak go trzeba. – Iwan Wasiljewicz niósł worek i w ciągu całej powrotnej drogi na jego plecach odbywał się jakby dalszy ciąg tego, co działo się na strychu. Gołębnik urządzono pod dachem nad warsztatem. Dziesięć razy dziennie wchodziłem po drabinie, nosiłem gołębiom wodę, proso, pszenicę, okruchy. Po tygodniu w jednym z gniazd pojawiły się dwa jajeczka. Jednakże jeszcze nie wszyscy zdążyli nacieszyć się, jak należy, tym faktem, kiedy gołębie, para za parą, zaczęły wracać na dawne miejsca. Pozostały wszystkiego trzy pary z podciętymi skrzydłami, ale i one po jakimś tygodniu, kiedy odrosły im pióra,

porzuciły ślicznie urządzone gołębnik korytarzowego systemu. Tem skończyła się próba hodowania gołębi.

Pod Elizabetgradem ojciec dzierżawił ziemię od pani T-ckoj. Była to wdowa, pod czterdziestkę, z charakterem. Z nią mieszkał pop, również wdowiec, amator muzyki, kart i wielu innych przyjemności. Pani T-ckaja z wdowcem popem przyjeżdżała do Janówki, aby przejrzeć warunki dzierżawy. Oddaje się im salon i sąsiedni pokój. Do obiadu podaje się kury na maśle, wiśniową nalewkę i placuszki z wiśniami. Po obiedzie pozostają w salonie i widzę, jak pop przysiadł do pani T-ckoj i coś bardzo śmiesznego mówi jej na ucho. Zaś podczas jej nieobecności, odwinąwszy połą sutanny i wyciągnąwszy z kieszeni pasiastych spodni srebrną papierośnicę z monogramem, pop zapala papierosa i, zręcznie wypuszczając kółka dymu, opowiada, jak to w powieściach czytuje tylko rozmowy. Wszyscy uśmiechają się przez grzeczność, ale powstrzymują od wydawania sądów, ponieważ wiedzą, że pop wszystko powtórzy pani T-ckoj, a i od siebie jeszcze coś doda.

Ojciec dzierżawił ziemię od pani T-ckoj wspólnie z Kazimierzem Antonowiczem. W owym czasie Kazimierz Aotonowicz owdowiał i odrazu się zmienił: zniknęła siwizna na brodzie, zjawił się wykrochmalony kołnierzyk, krawat, szpilka i w kieszeni fotografia jakiejś damy. Kazimierz Antonowicz, chociaż, jak i wszyscy, podkpiwał z wuja Grzegorza, ale właśnie jemu spowiadał się ze wszystkich spraw sercowych i pokazywał mu fotografię, wyjmując ją z koperty, – Spójrzcie, – mówił mdlejącemu z zachwytu wujowi Grzegorzowi, – mówię tej osobie: pani, pani usta stworzone są do pocałunków. – Kazimierz Antonowicz ożenił się z tą osobą, ale w rok czy półtora po ślubie zmarł nagłą śmiercią: na podwórzu majątku p. T-ckoj złapał go byk na rogi i zabódl na śmierć...

W odległości ośmiu wiorst znajdował się majątek braci F-zer. Obszar ziemi wynosił tysiące dziesięcin. Dom wyglądał, jak pałac, był bogato urządzone, zawierał liczne pomieszczenia dla gości, bilardową salę i tem podobne. Bracia F-zer, Lew i Iwan, otrzymali to wszystko w spadku po ojcu Tymoteuszu i stopniowo przejadali ów spadek. Majątek, który był w rękach administratora, mimo podwójnej buchalterji, przynosił straty. – Chociaż Dawid Leontjewicz mieszka w lepiance, jest bogatszy ode mnie – mówił czasami starszy F-zer o moim ojcu, który był bardzo zadowolony, kiedy mu to powtarzano. Młodszy z braci, Iwan, przejeżdżał pewnego razu przez Janówkę konno z dwoma myśliwymi, ze strzelbami na plecach, ze sforą białych chartów. Czegoś podobnego Janówka nigdy nie widziała. – Rychło patrzeć, jak przepolują puściznę – rzucił w jego stronę z przyganą ojciec.

Pieczęć przeznaczenia leżała na tych obywatelskich rodzinach z chersońskiej guberni. Przechodziły one niesłychanie szybką ewolucję i wszystkie raczej w jednym kierunku – ku upadkowi, pomimo, że pochodzeniem bardzo różniły się między sobą: rodowa szlachta, urzędnicy, obdarowani za wierną służbę, Polacy, Niemcy, Żydzi, którzy zdążyli nabyć ziemię przed 1881 rokiem. Założycielami wielu tych stepowych dynastji byli ludzie w swoim rodzaju wybitni, szczęśliwcy, drapieźnicy z natury. Zresztą nie znałem osobiście nikogo z nich, ponieważ powymierali na początku lat osiemdziesiątych. Wielu z nich rozpoczynało z paroma groszami, ale śmiałym chwytem, nieraz ocierając się o kryminał, zgarniali wielkie kęski. Następne pokolenie dorastało już jako nowo z bogaceni pankowie, z bilardem, francuskim językiem i innymi zbytkami. Kryzys agrarny lat 80-tych, wywołany

konkurencją zaoceaniczną, uderzył w nich bezlitośnie. Padali, jak zwiędłe liście z drzew. Trzecie pokolenie wydało bardzo wielu napół zdemoralizowanych ludzi, marnych, nie zrównoważonych i przedwczesnych inwalidów.

Najczystszy okazem szlacheckiej ruiny była rodzina Hertopanowych. Od ich nazwiska – Hertepanowskiej – nazywała się duża wieś i cała gmina. Niegdyś cała okolica należała do tej rodziny. Teraz staremu pozostało 400 dziesięcin, zastawionych dwukrotnie. Ojciec mój dzierżawi tę ziemię, a pieniądze za dzierżawę idą do banku. Tymoteusz Isajewicz utrzymywał się z pisania dla chłopów podań, skarg i listów. Gdy przyjeżdżał do nas z wizytą, chował w rękaw tytoń i cukier. Tak samo postępowała jego żona. Bryzgając śliną, opowiadała o swej młodości, o niewolnicach, fortepianach, jedwabiach, perfumach. Ich dwaj synowie wyrosli na prawie analfabetów. Młodszy, Wiktor, był u nas uczniem w warsztacie.

W odległości 5-6 wiorst od Janówki mieszkali właściciele ziemscy, Żydzi, M-skije. Była to dziwaczna i szalona rodzina. Stary, sześćdziesięcioletni Mojżesz Charitonowicz, wyróżniał się wychowaniem szlacheckim: mówił biegle po francusku, grał na fortepianie, znał cośniewielko z literatury. Lewą rękę miał słabą, prawa zaś zdolna była, według jego słów „do dawania koncertów”. Uderzał po klawiszach starego klawikordu zaniedbanymi paznogiemi, jak kastanjetami, poczynając polonezem Ogińskiego, przechodził niepostrzeżenie do rapsodji Liszta i od razu przerzucał się na Modlitwę Dziewicy. Podobne skoki zdarzały mu się również w rozmowie. Urwawszy niespodzianie grę, starzec podchodził do lustra i, jeżeli nikogo nie było w pobliżu, opalał sobie papierosem z różnych stron brodę, doprowadzając ją w ten sposób do porządku. Palił zaś bezustannie, krztusząc się i jakby ze wstrętem. Z żoną, ociężałą, starą babą, nie rozmawiał już od 15 lat. Trzydziestopięcioletni syn jego, Dawid, zawsze z białym bandażem na twarzy, był odratowanym samobójcą. Podczas służby wojskowej nawymyślał, stojąc w szeregu, oficerowi, który go uderzył. Dawid wymierzył oficerowi policzek, uciekł do koszar i usiłował zastrzelić się z karabinu. Kula przebiła mu policzek i odtąd nosił zawsze biały bandaż. Żołnierzowi groził surowy wyrok. Jednakże w owym czasie żył jeszcze założyciel tej dynastji, stary Chariton, bogaty, możny, ledwo piśmienny despota. Postawił na nogi całą gubernię i osiągnął to, że jego wnuka uznano za niepoczytalnego. Być może, zresztą, że nie było to zbyt dalekie od prawdy. Odtąd Dawid żył z przestrzelonym policzkiem i paszportem warjata.

Upadek M-skich miał miejsce za mojej pamięci. Za moich najmłodszych lat Mojżesz Charitonowicz przyjeżdżał jeszcze powozem i dobrymi, cugowymi końmi. Kiedy byłem całkiem mały, miałem może jakieś 4-5 lat, byłem u M-skich ze starszym bratem. Ogród był duży, dobrze utrzymany, były tam nawet pawie. Po raz pierwszy widziałem wówczas to niezwykle stworzenie z koroną na kapryśnej główce, z prześlicznymi okami na bajkowym ogonie i z ostrogami na nogach. Potem zniknęły pawie, a z nimi i wiele innych rzeczy. Płot, otaczający ogród, zawalił się. Bydło zniszczyło drzewa owocowe i kwiaty. Mojżesz Charitonowicz przyjeżdżał do Janówki na furze, chłopskimi końmi. Synowie robili próbę odrodzenia majątku nie po pańsku, lecz po chłopsku. – Kupimy klacze, będziemy rano sami wyjeżdżać, jak Bronstein. – Nic z tego nie będzie – mówił mój ojciec. Po zakup „klaczy” wysłany został do Elizabetgradu na jarmark Dawid. Chodził po jarmarku, przyglądał się koniom okiem

kawalerzysty i dobrał trójkę. Na wieś wrócił późnym wieczorem. Dom pełen był gości w lekkich letnich strojach. Abram z lampą w ręku wyszedł na ganek, aby obejrzyć konie. Razem z nim wyszły panie, studenci, wyrostki. Dawid od razu poczuł się w swoim żywiole i wyjaśniał zalety każdego konia, zwłaszcza tej klaczy, która, jego zdaniem, wyglądała jak panienka. Abram drapał się w brodę i powtarzał: – Konie są dobre... – Skończyło się na pikniku, Dawid zdjął pantofelek ślicznej damie, nalał doń piwa i podniósł do ust.

– Czyżby pan chciał to wypić? – spytała pani, zarumieniwszy się ze strachu, czy z zachwyty.

– Jeśli się nie bałem strzelić do siebie... – odpowiedział bohater i wychylił zawartość pantofelka.

– Lepiejbyś się już nie chwalił twemi wielkimi czynami – nieoczekiwanie zawołała zawsze milcząca matka, duża, pulchna kobieta, na której barkach spoczywało całe gospodarstwo.

– Czy to jest ozima pszenica? – pyta Abram M-skij mego ojca, żeby popisać się swą fachowością.

– No, przecież, że nie jara.

– Nikopolka?

– Przecie mówię, że ozima.

– Wiem, że ozima, tylko jakiego gatunku: nikopolka czy girka?

– Pierwsze słyszę, żeby była ozima nikopolka. Może ktoś tam ma, ale ja nie. Ja mam ozimą sandomierkę.

Tak więc i ten wysiłek spelzł na niczem. Po upływie roku ziemię znów oddano w dzierżawę mojemu ojcu.

Osobną grupę stanowili Niemcy-koloniści. Wśród nich byli prawdziwi bogacze. Stosunki rodzinne były tam surowsze, synów rzadko który posyłał do miasta, córki zwykle pracowały w polu. Jednocześnie zaś domy mieli murowane, kryte malowaną na zielono i czerwono blachą, konie rasowe, porządną uprząż, bryczki na resorach nazywano nawet niemieckimi. Najlepiej znaleźmy Iwana Iwanowicza Dorna, siwawego, ruchliwego tłuściocha, w półbutach na bosych stopach, o twardych policzkach, porośłych szczecina, zawsze jeżdżącego prześliczną bryczką, pomalowaną jaskrawymi kolorami i zaprzężoną we wronę ogiery, bijące kopytami o ziemię. Takich Dornów było wielu. Nad nimi zaś górowała postać Falzfeina, króla owiec.

Ciągną niezliczone stada. – Czyje to owce? – Falzfeina. Jadą czumacy, wioząc siano, słomę, plewy. – Do kogo? – Do Falzfeina. Pędzi trójką na malowanych saniach piramida futer. To administrator Falzfeina. Albo nagle, szerząc strach swym wyglądem i rykiem, przechodzi karawana wielbłądów. Hodowano je tylko u Falzfeina. Falzfein miał żrebce z Ameryki, byki ze Szwajcarii.

Protoplasta tej rodziny, jeszcze tylko Falz, a nie Fein służył jako specjalista hodowli owiec u księcia Oldenburgskiego, któremu skarb państwa dał subsydjum na wprowadzenie hodowli merynosów. Książę zrobił około miliona rubli długu, lecz nic nie zrobił dla hodowli. Falz wykupił gospodarstwo i poprowadził je nie po książęcemu, lecz po owczarsku. Stada jego owiec powiększały się, podobnie jak jego pastwiska i majątki. Córka jego wyszła za żonę za hodowcę owiec – Feina. W ten sposób zjednoczyły się dwie owczarskie dynastje. Nazwisko Falz-Feina brzmiało, jak tętent dziesiątków tysięcy owczych kopyt, jak bek niezliczonych owczych głosów, jak krzyk i świst stepowych czabanów z długimi batami za plecami, jak szczekanie

niezliczonych owczarków. Sam step oddychał tem nazwiskiem podczas upałów i ostrych mrozów.

Zostało poza mną pierwsze pięć lat życia. Doświadczenie moje rozszerza się. Życie strasznie bogate jest w niespodzianki i równie starannie prowadzi swe kombinacje w małym zaścianku, jak i na światowej arenie. Wydarzenia wała się na mnie, jedno za drugim.

Z pola przywieziono robotnicę, którą żmija ukąsiła przy żniwie. Dziewczyna żałośnie płakała. Nabrzmiąłą nogę przewiązano jej mocno ponad kolanem i włożono do baryłki z zsiadłym mlekiem. Dziewczynę odwieziono do Bobryńca, do szpitala, skąd znów powróciła do pracy. Na pokąsanej nodze nosiła pończochę, brudną i podartą. Robotnicy nie nazywali dziewczyny inaczej tylko panienką.

Knur pokąsał w czoło, ramiona i rękę parobka, który dawał mu jeść. Był to nowy olbrzymi knur, powołany do odnowienia całej trzody chlewnej. Parobek był śmiertelnie przerażony i chlapał, jak mały chłopiec. Jego również odwieziono do szpitala.

Dwuch młodych robotników, stojąc na wozach ze snopami, rzucali do siebie żelaznymi widłami. Pożerałem oczami to widowisko. Jednemu z nich widły wbiły się w bok i runął z jękiem na ziemię.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu jednego lata. A przecież ani jedno lato nie mijało bez wypadków.

Pewnej nocy jesiennej burza zniosła do strumienia cały drewniany budynek młyński. Pale dawno nadgniły i, pod naporem huraganu, drewniane ściany ruszyły szepem z miejsca, jak żagle. Lokomobila, kamienie młyńskie, zapora, obnażone patrzyły na ruiny. Z pod desek co chwila wyskakiwały ogromne młynarskie szczury.

Na pół pokryjomu chodziłem za woziwodą w pole na polowanie na świstaki. Trzeba było uważnie, nie za szybko, ale i nie powoli, wlewać do nory wodę i z kijem w rękę czekać póki nad otworem nie pokaże się szczurzy pyszczek, o szczelnie przylegającej mokrej sierści. Stary świstak długo się opiera, zatykając zadem norę, ale po drugim wiadrze poddaje się i wyskakuje na przeciw śmierci. Zabitemu trzeba odciąć łapy i nawlec je na sznurek: urząd ziemski płaci za każdego świstaka kopiejkę. Poprzednio żądano przedstawienia ogonka, ale spryciarze wycinali ze skórki z dziesięć ogonków i ziemstwo przeszło na łapki. Wracam do domu cały zabłocony i mokry. W domu nie pochwalano takich wypraw, rodzice woleli raczej, kiedy siedziałem na kanapie w jadalni i przerysowywałem ślepego Edypa z Antygoną.

Pewnego razu wracaliśmy z matką saniami z Bobryńca, najbliższego od nas miasta. Oślepiiony śniegiem, ukołysany jazdą, drzemałem. Na zakręcie sanie przewracają się, ja zaś wypadam z nich na twarz. Z góry przygniata mnie dywan i siano. Słyszę trwogi pełne wołania matki, ale nie mogę odpowiedzieć. Niedawno przyjęty woźnica – młody, rosły, ryży – podnosi dywan i znajduje mnie. Znów siadamy w sanie i jedziemy. Zaczynam narzekać, że z zimna przebiegają mi mrówki po plecach.

– Mrówki? – zwraca się do mnie młody, o rudej brodzie woźnica, ukazując mocne, białe zęby. Patrzę mu w usta i mówię: – Tak, wicie, jakby mrówki! – Woźnica śmieje się. – Nie szkodzi, – odpowiada, – zaraz dojeżdżamy! – i pogania bułanego. Następnej nocy, ten sam woźnica zniknął wraz z bułankiem. W majątku popłoch. Konna ekspedycja ze starszym bratem na czele, wybiera się w pogoń. Brat siodła dla siebie Muca i obiecuje, że okrutnie rozprawi się ze

złodziejem. – Najpierw go dogoń, – ponuro zwraca się do niego ojciec. Pogoń powraca dopiero po dwóch dobach. Brat skarży się na mgłę, która przeszkodziła dopędzić koniokrada. To znaczy, że przystojny, wesoły parobek – jest koniokradem? Z takimi białymi zębami?

Męczyła mnie gorączka i miałałem się niespokojnie. Przeszkadzały mi ręce, nogi i głowa, pęczniały, opierały się o ściany i sufit i nie miałem dokąd uciec przed wszystkimi zawadami, ponieważ zawady te szły z wewnątrz. Boli mnie gardło, cały płonę. Matka zaglądała mi do gardła, potem robi to samo ojciec, patrząc z lękiem na siebie i postanawiają zalapisować mi gardło. – Boję się, – mówi matka, – że Liowa ma dyfteryt, – Gdyby to był dyfteryt, – odpowiada Iwan Wasiljewicz, – już dawno leżałby na ławce. – Domyślam się mętnie, że leżeć na ławce, to znaczy być umarłym, jak umarła młodsza siostra, Różycka. Ale nie wierzę, że to może stosować się do mnie i spokojnie przysłuchuję się rozmowie. Ostatecznie postanawiają odwieźć mnie do Bobryńca. Matka nie jest bardzo religijna, mimo to, w sobotę nie decyduje się jechać do miasta. Wyjeżdża ze mną Iwan Wasiljewicz. Zatrzymujemy się u Tatjany, naszej dawnej służącej, która wyszła zamaż do Bobryńca. Tatjana jest bezdzietna, dlatego niema obawy o zarażenie kogoś. Doktor Szatunowskij zagląda mi do gardła, mierzy temperaturę i, jak zawsze, orzeka, że jeszcze nic nie można powiedzieć. Gospodyni Tania daje mi butelkę po piwie, wewnątrz której z patyczków i deszczulek zbudowano całą cerkiew. Ręce i nogi przestają mi dokuczać.

Wracam do zdrowia. Kiedy to się stało? Na krótko przed odkryciem ery.

Rzecz się miała tak. Wuj Abram, stary egoista, który całymi tygodniami nie zwracał na dzieci uwagi, nagle w przystępie dobrego humoru przywołał mnie do siebie i spytał: – Powiedz-no, proszę ja ciebie, który mamy rok? Nie wiesz? 1885! powtórz, zapamiętaj, bo później znów spytam. – Nie mogłem pojąć, co to ma znaczyć. – Tak, teraz mamy 1885 rok, – powiedziała cioteczna siostra, spokojna Olga, – a potem będzie 1886. – Temu już nie dałem wiary. Jeżeli ostatecznie można się zgodzić na to, że czas ma swą nazwę, to 1885 rok istnieć będzie wiecznie, to znaczy bardzo, bardzo długo, podobnie jak wielki kamień, zastępujący próg, jak młyn, a wreszcie, jak ja sam. Becia, młodsza siostra Olgi, nie wiedziała komu wierzyć. Wszyscy troje odczuwaliśmy niepokój dlatego, że wkroczyliśmy w nową dziedzinę, jakbyśmy otwarli z rozpędu drzwi do pełnego mroku pokoju, gdzie niema mebli, a głosy dźwięczą głucho. Wkońcu musiałem się poddać: wszyscy stawali po stronie Olgi. W ten sposób pierwszym numerowanym rokiem, który przeniknął do mej świadomości, był 1885-ty. Położył on koniec nieujętemu w żaden kształt czasowi przedhistorycznej epoki mego istnienia, zakończył chaos: od tego węzła rozpoczęła się rachuba czasu. Miałem wówczas sześć lat. Dla Rosji był to rok nieurodzaju, kryzysu i pierwszych wielkich zaburzeń robotniczych. Mną jednakże wstrząsnął jedynie swą niepojętą nazwą. Z lękiem usiłowałem odnaleźć tajemny związek między czasem i liczbami. Potem zaczął rok następować po roku, początkowo powoli, potem coraz szybciej. Jednak 85 długo wyróżniał się wśród nich, jak starszy, jak protoplasta. On właśnie stał się moją erą.

Pewnego razu zdarzył się następujący wypadek. Wsiadłem na bryczkę przed gankiem i, oczekując na ojca, ująłem lejce. Młode konie ruszyły z miejsca, popędziły obok domu, obok stodoły, ogrodu, naprzelaj, przez pola, w kierunku osady Dembowskich. Poza sobą słyszałem krzyki. Przedemną był rów. Konie

mknęły jak szalone. Dopiero przed, samym rowem, szarpnąwszy w bok, i omal nie przewróciwszy bryczki, stanęły, jak wryte. Za mną biegł woźnica, za nim kilku robotników, dalej ojciec, jeszcze dalej krzycząca matka, starsza siostra załamywała ręce. Matka nie przestała krzyczeć nawet wówczas, kiedy pobiegłem jej na spotkanie. Nie mogę przemilczeć, że dostałem dwa klapsy od bladego, jak śmierć, ojca. Nawet się nie obraziłem, tak dalece to wszystko było niezwykle.

W tym samym roku, zdaje się, odbyłem z ojcem podróż do Elizabetgradu. Ruszyliśmy o świcie, jechaliśmy nie śpiesząc się, w Bobryńcu karmiliśmy konie, nad wieczorem dotarliśmy do Wsziwoj, którą przez grzeczność zwano Szwiwoj, przeczekaliśmy tam do świtu, dlatego że pod miastem hulali rabusie. Żadna ze stolic świata – ani Paryż, ani New-York, – nie wywarły na mnie później takiego wrażenia, jak Elizabetgrad, z jego chodnikami, zielonymi dachami, balkonami, sklepami, policjantami i czerwonymi balonami na nitkach. W ciągu kilku godzin patrzyłem szeroko otwartymi oczami w oblicze cywilizacji.

W rok po odkryciu ery, zacząłem się uczyć. Pewnego razu, rankiem wypawszy się i umywszy naprędce (w Janówce zawsze myliśmy się naprędce), z przedsmakiem nowego dnia, a przede wszystkim herbaty z mlekiem i białego chleba z masłem, wszedłem do jadalni. Siedziała tam matka z nieznanym człowiekiem, szczupłym, uśmiechającym się blado i jakby przypodchlebnie. I matka i nieznamy spojrzeli na mnie tak, że zrozumiałem od razu: rozmowa miała jakiś związek ze mną.

– Przywitaj się, Liowa, – rzekła matka, – to twój przyszły nauczyciel. – Spojrzałem na nauczyciela z pewnym lękiem, choć nie bez zainteresowania. Nauczyciel przywitał się ze mną z serdecznością, z jaką każdy nauczyciel wita swego przyszłego ucznia w obecności rodziców. Matka zakończyła przy mnie omawianie warunków: za tyle a tyle rubli i tyle a tyle pudów mąki, nauczyciel podejmował się w swojej szkole, w kolonji, uczyć mnie rosyjskiego, arytmetyki i biblji w staro-hebrajskim języku. Zakres nauki oznaczono zresztą niewyraźnie, ponieważ matka nie była mocna w tej dziedzinie. W herbacie z mlekiem czułem już przedsmak przyszłej zmiany w moim życiu.

Najbliższej niedzieli ojciec odwiózł mnie do kolonji i umieścił u ciotki Racheli. Tą samą bryczką przywieźliśmy ciotce pszeniczną i jęczmienną mąkę, grykę, proso i tym podobne zapasy.

Do Gromokleja z Janówki były cztery wiorsty. Kolonja leżała wzdłuż wąwozu: z jednej strony – część żydowska, z drugiej – niemiecka, wyraźnie różniące się między sobą. W niemieckiej dzielnicy stały porządne domy, częściowo kryte sitowiem, częściowo dachówką, były rosłe konie i spasiose krowy. W żydowskiej części – zrujnowane chałupy, obdarte dachy, nędzne bydło.

Na pierwszy rzut oka musi wydawać się dziwne, że pierwsza szkoła pozostawiła mi po sobie bardzo mało wspomnień. Szyfrowa tabliczka, na której przepisywałem po raz pierwszy litery rosyjskiego alfabetu, zgięty na obsadce, chudy wskazujący palec nauczyciela, chóralne czytanie biblji, ukaranie jakiegoś chłopca za kradzież – niejasne strzępy, mgliste plamy, ani jednego wyraźnego obrazu. Jedyny wyjątek stanowiła chyba żona nauczyciela, wysoka, tęga kobieta, która od czasu do czasu brała udział w naszym szkolnym życiu, przytem zawsze nieoczekiwanie. Pewnego razu podczas lekcji poskarżyła się mężowi, że nową mąkę czemś czuć i, kiedy nauczyciel

wyciągnął ku jej ręce z mąką ostry nos, wytrząsnęła mu całą mąkę na twarz. To miał być żart. Chłopcy i dziewczęta śmieli się. Tylko nauczyciel był smutny. Żał mi go było, kiedy tak stał na środku klasy z umączoną twarzą.

Mieszkałem u dobrej ciotki Racheli, wcale jej nie widząc. Tam też, w podwórzu w głównym domu panował wuj Abram. Traktował swych siostrzeńców i siostrzenice z zupełną obojętnością. Czasami wyróżniał mnie, przywoływał do siebie i częstował kością ze szpikiem, dogadując: – Tej kości jabym, proszę ja ciebie, nie sprzedał nawet za dziesięć rubli.

Dom wuja stał prawie u samego wjazdu na kolonję. W przeciwległym końcu mieszkał wysoki, czarny, chudy Żyd, osławiony koniokrada i mistrz w ciemnych sprawach. Miał córkę. O niej również źle mówiono. Niedaleko od koniokrada szył na maszynie czapnik, młody Żyd, o ogniście rudej bródce. Żona czapnika przychodziła do rządowego inspektora kolonji, który zatrzymywał się u wuja Abrama, ze skargą na córkę koniokrada, uwodzącą jej męża. Widocznie jednak inspektor nie pomógł bo wracając pewnego razu ze szkoły, widziałem, jak tłum z krzykiem, wyciem i pluciem włókł przez ulicę młodą kobietę, córkę koniokrada. Tę biblijną scenę zapamiętałem na zawsze. W kilka lat później z tą samą kobietą ożenił się wuj Abram. Nim to się stało, ojciec jej, na żądanie kolonistów, został zesłany na Syberję, jako szkodliwy członek społeczeństwa.

Moja dawna niania Masza służyła u wuja Abrama. Często biegałem do niej do kuchni, ona bowiem uosabiała łączność z Janówką. Do Maszy przychodzili goście, czasem bardzo niecierpliwi i wówczas delikatnie wyprowadzono mnie. Pewnego pięknego poranku, dowiedziałem się, wraz z całą dziecięcą ludnością domu, że Masza urodziła dziecko. Szeptaliśmy o tem po kątach z radosnym lękiem. Po upływie kilku dni z Janówki przyjechała matka i poszła do kuchni, żeby zobaczyć Maszę i jej dziecko. Prześlizgnąłem się za matką. Masza stała w chusteczce, nasuniętej na oczy, a na szerokiej ławie leżało boczkim maleńkie stworzonko. Matka patrzyła na Maszę, potem na dziecko, z naganą kiwała głową, nic nie mówiąc. Masza w milczeniu utkwiała oczy w ziemi, potem spojrzęła na dziecko i rzekła: – Widzicie go, jak podłożył rączkę pod policzek, jak dorosły. – A żal ci go? – spytała matka. – Nie, – odpowiedziała obłudnie Masza, – wszystko mi jedno. – Kłamiesz, żal ci... – odpowiedziała usposobiona już pojednawczo matka. Po tygodniu dzieciątko zmarło równie tajemniczo, jak zjawiło się na świecie.

Często przyjeżdżałem ze szkoły na wieś, gdzie zostawałem prawie za każdym razem tydzień i dłużej. Do żadnego z kolegów szkolnych nie udało mi się zbliżyć, ponieważ nie mówiłem żargonem. Nauka trwała zaledwie kilka miesięcy. Należy sądzić, że właśnie tem wszystkim tłumaczy się ubóstwo moich wspomnień szkolnych. Mimo to jednak Szuter – tak nazywał się gromoklejowski pedagog – nauczył mnie czytać i pisać, i obie te sztuki przydały mi się w mojem dalszem życiu. Dlatego też zachowuję o mym pierwszym nauczycielu wdzięczne wspomnienie.

Zacząłem przedzierać się przez drukowane stronice. Przepisywałem wiersze. Sam pisałem wiersze. Później przystąpiłem wraz z mym ciotecznym bratem, Sienią Z-skim, do wydawania dziennika. Jednakże nowa droga obfitowała w ciernie. Zaledwie osiągnąłem sztukę pisania, kiedy zaraz zawiodła mnie na pokuszenie. Pewnego razu, pozostawszy sam w jadalni, zacząłem drukowanymi literami zapisywać te szczególne słowa, które słyszałem w warsztacie i w kuchni, a których nie używano w rodzinie.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że robię to, czego nie wolno, ale wyrazy były kuszące właśnie dlatego, że zakazane. Fatalną kartkę postanowiłem włożyć do pudełka od zapalek, a pudełko zakopać w ziemi za stodołą. Daleko było jeszcze do końca dokumentu, kiedy zainteresowała się nim starsza siostra, która weszła do jadalni. Złapałem papierek ze stołu. Za siostrą weszła matka. Zażądano ode mnie, żebym pokazał ów dokument. Pałac się ze wstydu, rzuciłem papierek za oparcie kanapy. Siostra chciała go wyciągnąć, ale zawołałem histerycznie: – Ja sam, ja sam wyjmę! – Włazłem pod kanapę i tam zaczęłem drzeć mój papierek. Rozpacz moja nie miała granic, zalewałem się łzami.

Na Boże Narodzenie, zapewne 1886 roku, bo już umiałem pisać, wpadła do jadalni wieczorem podczas herbaty gromadka przebranych ludzi. Było to tak nieoczekiwane, że ze strachu przewróciłem się na kanapę, na której siedziałem. Uspokojono mnie i chciwie słuchałem cesarza Maksymiliana. Po raz pierwszy otworzył się przede mną świat fantazji, przetworzonej w teatralną rzeczywistość. Byłem wstrząśnięty, kiedy się dowiedziałem, że główną rolę grał robotnik Prochor, dawny żołnierz. Nazajutrz, natychmiast po obiedzie, z ołówkiem i papierem wybrałem się do czeladnej i zaczęłem prosić cesarza Maksymiliana o podyktowanie mi jego monologu. Prochor odmawiał. Ale uczepliłem się go, prosiłem, żądałem, błagałem, nie dałem mu się ruszyć. Ostatecznie, umieściliśmy się pod oknem i zaczęłem zapisywać na spaczonym parapecie rymowaną mowę cesarza Maksymiliana. Nie minęło nawet pięć minut, kiedy przez drzwi zajrzał ojciec, zobaczył scenę pod oknem i surowo powiedział: – Liowa, wracaj do pokoju. – Do wieczora rzewnie płakałem na kanapie.

Pisałem poezje, niedołążne wiersze, które zdradzały może wczesne umiłowanie słowa, ale na pewno nie wróżyły rozwoju poetyckiego w przyszłości. O moich wierszach wiedziała starsza siostra, przez nią – matka, a za pośrednictwem matki – ojciec. Żądano ode mnie, żebym odczytywał je przy gościach. Palił mnie męczący wstyd. Odmawiałem. Namawiano mnie, najpierw pieszczotliwie, potem z rozdrażnieniem, wreszcie pogrózkami. Często uciekałem. Ale starsi umieli postawić na swoim. Z bijącym sercem, ze łzami w oczach, czytałem moje wiersze, wstydząc się zapożyczonych zdań i złych rymów.

Jednak tak, czy inaczej, zakosztowałem już owoców z drzewa poznania. Życie rozszerzało się nie z każdym dniem, lecz z każdą godziną. Od dziurawej kanapy w jadalni snuły się nici ku innym światom. Czytanie otwierało w mem życiu nową erę.

ROZDZIAŁ III

RODZINA I SZKOŁA

W roku 1888 w życiu mem zaczęły się wielkie zdarzenia. Wysłano mnie na naukę do Odesy. Stało się to tak. Latem mieszkał na wsi siostrzeniec mojej matki, 28-letni Mojżesz Filipowicz Szpencer, mądry i dobry człowiek, który „ucierpiał” nieco w swoim czasie, jak to wówczas nazywano, i dlatego, po skończeniu gimnazjum, nie studjował na uniwersytecie. Zajmował się trochę dziennikarstwem, trochę statystyką. Na wieś przyjechał, aby walczyć z grożącą mu gruźlicą. Monia, jak go nazywano, był źródłem dumy swej matki i kilku siostr. ze względu na swój charakter i zdolności. Szacunek dla niego udzielił się i naszej rodzinie. Wszyscy zawczasu cieszyli się jego przyjazdem. Razem z innymi cieszyłem się skrycie i ja. Kiedy Monia wszedł do jadalni, stałem za progiem tak zwanego „dziecinnego”, małego, bocznego pokoju, i nie mogłem zdecydować się na ruszenie naprzód, ponieważ oba moje buciki otwierały dwie zięjące paszcze. Nie świadczyło to o biedzie – w tym okresie rodzice byli już bardzo zamożni – tylko o wiejskiej obojętności, o przeciążeniu pracą, o niewysokim poziomie potrzeb rodziny. – Dzieńdobry chłopcze – powiedział Mojżesz Filipowicz, – chodź-no tutaj... Dzieńdobry – odpowiedział chłopiec, ale nie ruszał się z miejsca. Gościowi wytłumaczano ze wstydlivym uśmiechem o co chodzi, on zaś wesoło wybawił mnie z trudnej sytuacji, przeniósłszy przez próg i mocno uściskawszy.

Podczas obiadu Monia był ośrodkiem uwagi: matka podsuwała mu najlepsze kaski, pytała, czy mu smakuje, i dopytywała się, co lubi. Wieczorem, kiedy stado zapędzono na wygon, Monia zwrócił się do mnie: – Jazda pić parujące mleko, bierz szklanki... Ale ujmij je, kochanie, palcami z zewnątrz, a nie z wewnątrz. – Od Moni dowiadywałem się wielu rzeczy, o których nie wiedziałem dawniej: jak należy trzymać szklanki i jak się myć, i jak wymawiać prawidłowo rozmaite wyrazy i dlaczego dobre jest na płuca mleko prosto od krowy. Szpencer spacerował, pisywał, grał w kręgle i uczył mnie arytmetyki i rosyjskiego, przygotowując do pierwszej klasy. Odnosiłem się do niego z zachwytem, ale i z obawą: wyczuwałem w nim zasady jakiejś bardziej wymagającej dyscypliny. To był początek miejskiej kultury.

Monia był uprzejmy dla swych wiejskich krewnych, często dowcipkował i nucił miękkim tenorem. Chwilami jednak na jego nastrój padał jakiś cień, siedział wówczas przy obiedzie milczący i zamknięty w sobie. Patrzano na niego z lękiem, pytano, co mu jest, czy aby nie jest chory. Odpowiadał krótko i wymijająco. Dopiero pod koniec pobytu gościa na wsi, i to bardzo niewyraźnie, zaczęłem domyślać się powodów takich ataków skrytości: Monię uraziła jakaś wiejska niesprawiedliwość, albo brutalność. Wuj czy ciotka bynajmniej nie byli szczególnie surowymi gospodarzami, nie, tego w żadnym razie nie można było powiedzieć. Stosunek do robotników i chłopów nie był wcale gorszy, niż w innych majątkach. Ale i niewiele lepszy. A to znaczy, że był surowy. Kiedy karbowy wychłostał pewnego razu długim biczem pastucha,

który przetrzymywał do wieczora konie u wody, Monia zbladł i powiedział przez zęby: „Co za ohyda!” I ja czułem, że to jest ohyda. Nie wiem, czy poczułbym tak, gdyby nie on. Myślę, że tak. W każdym jednak razie pomógł mi w tem i już choćby to jedno przywiązało mnie do niego na całe życie uczuciem wdzięczności.

Spencer zamierzał ożenić się z kierowniczką odeskiej szkoły rządowej dla żydowskich dziewcząt. Nikt nie znał jej w Janówce, ale wszyscy zgóry sądzili, że musi być wybitnym człowiekiem i jako kierowniczka szkoły i jako przyszła żona Moni. Postanowiono, że na przyszłą wiosnę pojedę do Odessy, mieszkać będę u rodziny Szpencera i wstąpię do gimnazjum. Krawiec z kolonji przydzielił mi jako tako, do dużej skrzyni wstawiono garneczki z masłem, słoiki z konfiturami i inne podarki dla miejskich krewnych. Zegnałem się długo, płakałem mocno, płakała matka, płakały siostry i wówczas po raz pierwszy zrozumiałem, jak droga mi jest Janówka i wszyscy jej mieszkańcy. Na stację jechaliśmy końmi przez step, ja zaś płakałem aż do zakrętu u wielkiej drogi. Z Nowegu Bugu jechaliśmy pociągiem do Mikołajowa, tam zaś przesiadliśmy się na statek parowy. Gwizd parowca wstrząsnął mną i zadźwięczał, jak zapowiedź nowego życia. Ale to była dopiero rzeka Boh, czekało mnie jeszcze morze. Wiele, wiele rzeczy jest jeszcze przede mną. Oto przystań, dorożki, Pokrowski zaułek i stary, duży dom, w którym mieści się szkoła dla dziewcząt i jej kierowniczka. Oglądają mnie ze wszystkich stron, całują w czoło i policzki, najpierw jakaś młoda kobieta, potem stara, jej matka. Mojżesz Filipowicz żartuje, jak zawsze, wypytuje o Janówkę, o wszystkich mieszkańców, a nawet o znajome krowy. Mnie jednakże krowy wydają się teraz stworzeniami tak mało znaczącymi, że krępuję się nawet o nich mówić w tak wyjątkowem towarzystwie. Mieszkanie jest niewielkie. W jadalni przeznaczono dla mnie kąt za firanką. Tutaj właśnie spędziłem pierwsze cztery lata mego szkolnego życia.

Odrzuć i całkowicie znalazłem się we władzy tej pociągającej, ale i wymagającej dyscypliny, która wionęła na mnie jeszcze na wsi od Mojżesza Filipowicza. Tryb życia w rodzinie był nie tyle surowy, ile regularny, dzięki temu właśnie, wydawał mi się początkowo surowy. O 9-ej powinienem był kłaść się spać. Dopiero w miarę mego przechodzenia do wyższych klas przesuwała się godzina snu. Stopniowo tłumaczono mi, że trzeba witać się z rana, utrzymywać w czystości ręce i paznokcie, nie jeść nożem, nigdy się nie spóźniać, dziękować służbie, kiedy coś podaje, i nie wyrażać się źle o ludziach poza ich plecami. Dowiadywałem się, że dziesiątki słów, które na wsi wydawały się czemś naturalnem, są słowami nierosyjskimi, ale zepsutemi ukraińskimi. Każdy dzień otwierał przede mną cząstkę środowiska kulturalniejszego, niż to, w którym spędziłem pierwsze dziewięć lat mego życia. Nawet warsztat zaczął blaknąć i tracić swój czar wobec uroków literatury klasycznej i czarowności teatru. Stawałem się małym urbanistą. Czasami jednak wieś jaskrawo zapalała się w mej świadomości i ciągnęła ku sobie, jak raj utracony. Wówczas tęskniłem, wałęsałem się, pisałem palcem na szybach pozdrowienia dla matki i płakałem w poduszkę.

Życie w rodzinie Mojżesza Filipowicza było skromne, środki ledwo pozwalały wiązać koniec z końcem. Głowa rodziny nie miała określonego zajęcia. Mojżesz Filipowicz przekładał tragedje greckie z przypisami, pisał opowiadania dla dzieci, studjował Schlossera i innych histoRyków, zamierzając zestawić poglądowe tablice chronologiczne i pomagał żonie w

kierowaniu szkołą. Dopiero później stworzył małe wydawnictwo, które w pierwszych latach wegetowało, aby następnie szybko się rozwinąć. W dziesięć-dwanaście lat później, został jednym z wybitniejszych wydawców na południu Rosji, posiadaczem dużej drukarni i własnego domu. Mieszkałem w tej rodzinie sześć lat, które przypadły na pierwszy okres rozwoju wydawnictwa. Zapoznałem się dobrze ze składaniem, korektami, odbitkami, drukiem, falcowaniem i broszurowaniem. Robienie korekt stało się moją ulubioną rozrywką. Moje umiłowanie świeżo zadrukowanego papieru wywodziło się z tych dalekich, szkolnych lat.

Jak zwykle w mieszczańskich, zwłaszcza zaś w drobnomieszczańskich rodzinach, służąca grała, choć mało zwracającą uwagę, lecz znaczną rolę w moim życiu. Pierwsza służąca, Dasza, zawarła ze mną szczególnie poufną przyjaźń, powierzając mi różne swoje tajemnice. Po obiedzie, kiedy wszyscy odpoczywali, szedłem ukradkiem do kuchni. Tam Dasza opowiadała mi urywkami o swoim życiu i o swej pierwszej miłości. Po Daszy nastąpiła Żydówka z Żytomierza, która rozeszła się z mężem: „taki zły, taki wstrętny” – skarżyła mi się. Zacząłem uczyć ją czytać. Codziennie spędzała nie mniej niż pół godziny przy moim stole, wnikając w tajemnicę liter i ich związków w słowach. W tym okresie w rodzinie było już niemowlę i przyjęto mamkę. Dla mamki psywałem listy. Skarżyła się przed mężem, który wyjechał do Ameryki, na swoje niedole. Zgodnie z jej prośbą malowałem wszystko najmroczniejszymi barwami, poczem dodawałem: „jedynie tylko nasze niemowlę jest jasną gwiazdą na ponurym firmamencie mego życia”. Mamka była zachwycona. Sam odczytywałem z zadowoleniem list nagłos, chociaż zakończenie, które dotyczyło przysłania dolarów, zawstydzalo mnie. Potem mamka prosiła:

– A teraz jeszcze jeden list.

– Do kogo? – pytałem, gotując się do pracy.

– Do brata ciotecznego – odpowiadała mamka, ale jakoś niepewnie. List również mówił o mrocznym życiu, nie wspominał o gwiazdzie, a kończył się wyrażeniem zgody na przyjazd do niego, jeśli tego zapragnie. Ledwo mamka zdążyła odejść z listami, kiedy wchodziła służąca, moja uczennica, która widocznie podsłuchiwała pod drzwiami. – To wcale nie jest jej cioteczny brat – szeptała z oburzeniem. – Któż więc? – pytałem. – Poprosto tak sobie... – odpowiadała. I miałem temat do rozmyślań nad złożonością ludzkich stosunków.

Przy obiedzie Fanny Salomonówna rzekła mi ze szczególnym uśmiechem: – No, cóż, pisarzu, chcesz jeszcze zupy? – Bo co? – spytałem z obawą. – Ależ nic. Przecież pisałeś listy dla mamki, więc jesteś pisarzem... Jaki tam napisałeś „gwiazda na ponurym firmamencie” – prawdziwy pisarz. – I, nie zdoławszy utrzymać powagi, roześmiała się.

– Napisane jest dobrze – powiedział, uspakajając mnie, Mojżesz Filipowicz.

– Tylko wiesz, nie pisuj już więcej listów dla niej, niech lepiej pisuje Fanny.

Zawiła odwrotna strona życia, nieuznawana ani przez rodzinę, ani przez szkołę, nie przestała istnieć z tego powodu i okazywała się dostatecznie potężna i wszechobecna, aby ściągnąć na siebie uwagę dziesięcioletniego chłopca. Nie wpuszczano jej ani przez pokój szkolny, ani przez frontowe drzwi mieszkania. Znalazła sobie drogę przez kuchnię.

Dziesięcioprocentowe ograniczenie dla Żydów w rządowych zakładach naukowych wprowadzone zostało w 1887 roku. Dostanie się do gimnazjum

było rzeczą prawie beznadziejną: potrzebna była protekcja, albo przekupstwo. Szkoła realna różniła się od gimnazjum brakiem wykładu języków klasycznych i obszerniejszym kursem matematyki, przyrodoznawstwa i języków współczesnych. „Ograniczenie” dotyczyło również szkół realnych. Jednak napływ do nich był mniejszy i dlatego szanse większe. W czasopiśmie i dziennikach długo ciągnęła się polemika na temat realnego i klasycznego wykształcenia. Konserwatyści uważali, że klasycyzm zaszczerpia dyscyplinę, a raczej, mieli nadzieję, że obywatel, który wytrzymał w dzieciństwie kucie greki, wytrzyma w ciągu dalszego życia carski régime. Liberali zaś, nie zarzekając się klasycyzmu, który niby to jest mlecznym bratem liberalizmu, jako że jeden i drugi wywodzi się z Odrodzenia, jednocześnie popierali i realne wykształcenie. W czasie, kiedy wstępowałem do szkoły, spory te ucichły skutkiem specjalnego okólnika, zabraniającego rozważania sprawy o wyższości różnych rodzajów wykształcenia.

Na jesieni zdawałem do pierwszej klasy szkoły realnej św. Pawła. Egzamin wstępny zdałem średnio: trójka z rosyjskiego, czwórka z arytmetyki. To nie wystarczało, ponieważ „ograniczenie” wiodło do jak najsurowszej selekcji, którą, naturalnie, komplikowało łapownictwo. Postanowiono zatem umieścić mnie w klasie wstępnej, istniejącej przy szkole rządowej w charakterze szkoły prywatnej, z której promowano Żydów do pierwszej klasy, jakkolwiek z „ograniczeniem”, jednak z pierwszeństwem w stosunku do eksternów.

Szkoła realna św. Pawła dawniej była niemieckim zakładem naukowym. Powstała przy luterańskiej gminie kościelnej i przeznaczona była dla licznych Niemców z Odesy i całego okręgu południowego. Szkole św. Pawła przyznano prawa szkół rządowych, ponieważ jednak miała tylko sześć klas, więc chcąc wstąpić do wyższego zakładu naukowego, trzeba było przejść siódmą klasę w innej szkole realnej: widocznie przypuszczano, że w ostatniej klasie zostanie usunięty nadmiar niemieckiego ducha. Zresztą i w samej szkole św. Pawła duch ów z roku na rok kurczył się coraz bardziej. Uczniowie-Niemcy stanowili mniej, niż połowę, zaś z administracji szkolnej Niemców systematycznie usuwano.

Pierwsze dni nauki w szkole były dniami smutku, następnie dniami radości. Szedłem do szkoły w nowym, prosto z igły mundurze, w nowej czapce z żółtą wypustką i z zadziwiającym metalowym znakiem, który między dwiema trójlistnymi gałązkami nosił skomplikowany monogram szkoły. Na plecach miałem nowiutki tornister, a w nim nowiutkie podręczniki we wspaniałych oprawkach i ładny piórnik ze świeżo zatemperowanym ołówkiem, nowiutką obsadkę i gumę. Z zachwytem niosłem cały ten ładunek wspaniałości po długiej Uspieńskiej ulicy, ciesząc się, że droga do szkoły jest daleka. Zdawało mi się, że wszyscy przechodnie patrzą ze zdumieniem, a niektórzy może nawet i z zazdrością na mój zdumiewający ekwipunek. Ufnie i z zainteresowaniem oglądałem wszystkie napotykaną twarze. Nagle, całkiem nieoczekiwanie, wysoki, chudy trzynastoletni chłopiec, zapewne z warsztatu, ponieważ nioś coś żelaznego w rękach, zatrzymał się w odległości dwóch kroków przed dumnym realistą, odrzucił wtył głowę, głośno odchrząknął, obficie splunął mi na ramię nowiutkiej bluzy, spojrzął na mnie z pogardą i, nie odezawszy się ani słowem, poszedł dalej. Co pchnęło go do takiego postępuku? Teraz rozumiem go. Nieszczęśliwy chłopak w podartej koszuli i w łapciach na bosych nogach, zmuszony do spełniania brudnych posług dla swych gospodarzy, podczas gdy ich synkowie zadają tonu w mundurach

gimnazjalnych, zmanifestował w stosunku do mnie swój społeczny protest. Ale wówczas daleki byłem od uogólnień. Długo ocierałem ramię liśćmi kasztana, pieniełem się bezsilną złością i resztę drogi przeszedłem w ponurym nastroju.

Drugi cios czekał mnie na podwórzu szkoły. – Piotrze Pawłowiczu, jest jeszcze jeden, – wołali uczniowie – także w mundurze, nieszczęsny wstępniak.

Cóż to znaczyło? Oto co się okazało: ponieważ wstępną klasę uważano za szkołę prywatną, wstępniakom zabraniano jak najsurowiej noszenia munduru. Piotr Pawłowicz, wychowawca z czarną brodą, wyjaśnił mi, że trzeba zdjąć znak, odpruć wypustki, zdjąć kłamrę i zastąpić guziki z orłami zwyczajnymi rogowymi guzikami. W ten sposób spadło na mnie drugie nieszczęście.

Dnia tego w szkole nie było lekcji. Uczniowie-Niemcy, a z nimi i wielu innych, zebrali się w luterańskim kościele, pod wezwaniem którego była szkoła. Odrazu dostałem się pod opiekę barczystego chłopca, który pozostał we wstępnej klasie na drugi rok, znał wszystkie przepisy i posadził mnie obok siebie na ławce kirchy. Po raz pierwszy usłyszałem organy, których dźwięki wstrząsnęły mą duszą. Potem wystąpił wysoki, wygolony mężczyzna z białymi wyłogami, którego głos toczył się po kościele tak, że jedna fala doganiała drugą. Nieznajomość języka dziesięciokrotnie wzmagala wspaniałość kazania. – Kto to przemawia? – pytałem ze wzruszeniem. – To sam pastor Binneman, – objaśnił mi Karlson, – to okropnie mądry człowiek, najmądrzejszy w Odesie. – A co on mówi? – No, wiesz, wszystko, co należy – ze znacznie już mniejszym entuzjazmem objaśniał Karlson: – że trzeba być dobrym uczniem, porządnie się uczyć i po przyjacielsku żyć z kolegami... Ten adorator Binnemana o wydatnych kościach policzkowych okazał się beznadziejnym leniuchem i strasznym zabijaką, który podczas pauz dekorował kolegów siniakami na prawo i lewo.

Następny dzień przyniósł mi pociechę. Odrazu odznaczyłem się w arytmetyce i dobrze przepisałem z tablicy zdania. Nauczyciel Rudienko pochwalił mnie wobec całej klasy i postawił mi dwie piątki. To pogodziło mnie z rogowymi guzikami na bluzie. W niższych klasach języka niemieckiego udzielał sam dyrektor, Chrystjan Chrystjanowicz Schwannebach. Był to przylizany urzędnik, który dostał się na tak wysokie stanowisko tylko dlatego, że był zięciem samego Binnemana. Chrystjan Chrystjanowicz zaczął od tego, że obejrzał wszystkim uczniom ręce i uznał, że mam czyste. Następnie, kiedy dokładnie przepisałem z tablicy, dyrektor pochwalił mnie i postawił mi piątkę. Tak więc po pierwszym już dniu nauki wracałem ze szkoły, obciążony trzema piątkami. Niosłem je w tornistrze, jak drogocenny skarb, nie szedłem, lecz biegłem na Pokrowski zaułek, gnany pragnieniem rodzinnej sławy.

W ten więc sposób zostałem uczniem. Wstawałem wcześniej, spiesznie wypijałem poranną herbatę, wpychałem do kieszeni płaszcz zawinięte w papier śniadanie i biegłem do szkoły, żeby zdążyć na poranną modlitwę. Nie spóźniałem się. Spokojnie siedziałem w ławce. Słuchałem uważnie i starannie przepisywałem z tablicy. Porządnie odrabiałem lekcje w domu. Kładłem się spać o oznaczonej godzinie, aby nazajutrz spiesznie wypić herbatę i znów biec do szkoły w strachu przed spóźnieniem się na poranną modlitwę. Porządnie przechodziłem z klasy do klasy. Spotykając któregoś z nauczycieli na ulicy, kłaniałem się z wszelkiem możliwym uszanowaniem.

Procent dziwaków jest wśród ludzi bardzo znaczny, szczególnie jednak wielki jest wśród nauczycieli. W realnej szkole św. Pawła poziom

nauczycielstwa był bodaj-że powyżej średniego. Szkołę uważano za dobrą i nie bezpodstawnie: régime był surowy, wymagający, cugle z roku na rok ściągano mocniej, zwłaszcza po przejściu dyrektorskiej władzy z rąk Schwannebacha w ręce Mikołaja Antonowicza Kaminskigo. Był to fizyk z zawodu, wróg ludzi z usposobienia. Nigdy nie patrzył na tego, z kim mówił, po korytarzach i w klasie chodził niedosłyszalnie na gumowych podszewkach, nie miał normalnego głosu, tylko ochryple fałset, który, mimo to, umiał budzić przerażenie. Zdawało się, że Kaminskij ma równe usposobienie, w rzeczywistości jednak nigdy nie wychodził ze stanu chronicznego rozdrażnienia. Jego stosunek nawet do lepszych uczniów był stosunkiem zbrojnej neutralności. Taki też poczęści był jego stosunek do mnie.

Jako fizyk Kaminskij skonstruował własny przyrząd do dowodzenia prawa Boyle-Mariotte'a o prężności gazów. Po demonstrowaniu przyrządu zawsze znajdowało się kilku uczniów, którzy dobrze odmierzoną szeptem mówili do siebie: – A to sprytnie! – któryś wstawał, niby niepewnie, i pytał: – A kto jest wynalazcą tego przyrządu? – Kaminskij odpowiadał niedbale swym przeziębionym fałsetem: – Ja go zbudowałem. – Wszyscy wymieniali spojrzenia, a dwójkowcy wydawali jak najgłośniejsze westchnienia zachwytu.

Kiedy w celach rusyfikacji zastąpiono Schwannebacha przez Kamińskiego, inspektorem został Antoni Wasiljewicz Krzyżanowski, nauczyciel języków. Był to rudobrody spryciarz, były seminarzysta, wielki zwolennik podarunków, z niewielkim nalotem liberalizmu, bardzo umiejętnie pokrywający wszystkie uboczne myśli pozorną dobroduszością. Otrzymał nominację na inspektora, od razu stał się surowszy i konserwatywniejszy. Krzyżanowski wykładał język rosyjski od pierwszej klasy. Wyróżniał mnie za inteligencję i umiłowanie języka. Moje wypracowania piśmienne, według raz na zawsze ustalonej reguły, odczytywał nagłos w klasie i stawiał mi piątkę z plusem.

Matematyk Jurczenko był to barczysty, przebiegły flegmatyk, z przydomkiem „bandażysta”, co w odeskiej gwarze oznacza woźnicę furgonów ciężarowych. Jurczenko zwracał się do wszystkich na „ty” od pierwszej do ostatniej klasy i nie przebierał w wyrażeniach. Swą zrównoważoną ordynarnością wywoływał dla siebie pewnego rodzaju szacunek, który jednakże rozwiął się z biegiem czasu, kiedy chłopcy dowiedzieli się z pewnego źródła, że Jurczenko bierze łapówki. Zresztą łapówki w różnej postaci brali i inni nauczyciele. Ucznia, nie robiącego dostatecznych postępów, jeśli pochodził z innego miasta, umieszczano na stacji u tego nauczyciela, w stosunku do którego był najbardziej zainteresowany. Jeśli zaś uczeń był miejscowy, to brał od najgroźniejszego dla siebie pedagoga prywatne, bardzo drogo opłacane lekcje.

Drugi matematyk, Złotczanski, był przeciwieństwem Jurczenki: chudy, z kołąciami wąsami na zielonkowo-żółtej twarzy, z wiecznie mętnymi oczami i zmęczonymi ruchami, jakby zaspany, co chwilę głośno chrząkał i spluwał w klasie. Wiedzano o nim, że ma nieszczęśliwy romans i że hula i pije. Jakkolwiek niezły matematyk, Złotczanski jednak niewiele interesował się uczniami, lekcjami i nawet samą matematyką. W kilka lat później poderżnął sobie gardło brzytwą.

Stosunki z obu matematykami układały się dla mnie gładko i pomyślnie, ponieważ byłem mocny w matematyce. W ostatnich klasach szkoły realnej zamierzałem nawet poświęcić się czystej matematyce.

Historję wykładał Liubimow, tegi i okazały człowiek, w złotych okularach

na niewielkim nosie, z młodzieńczą bródką, okalającą pełną twarz. Jedyne, kiedy się uśmiechał, okazywało się nagle i z najzupełniejszą oczywistością nawet dla nas, chłopców, że okazałość tego człowieka jest złudzeniem, że jest bezwolny, nieśmiały, szarpie się czemś wewnątrz i lęka tego, że coś o nim. wiedzą, albo mogą się czegoś dowiedzieć.

Historji uczyłem się ze wzrastającym, chociaż bardzo rozproszonym zainteresowaniem. Stopniowo rozszerzałem krąg mych wiadomości, odchodząc od nędznych oficjalnych podręczników do skryptów uniwersyteckich lub do ciężkich tomów Schlossera. W mojem zajęciu się historją istniał bezwątpienia pierwiastek sportowy: uczyłem się mnóstwa niepotrzebnych nazwisk i szczegółów, obciążających pamięć, aby tylko czasem postawić w trudnej sytuacji nauczyciela. Liubimow nie był w możności prowadzić lekcji. W klasie wybuchał czasem niespodziewanie i ze złością oglądał się dokoła, łowiąc szept, w których doszukiwał się jakoby obraźliwych dla siebie słów. Zdziwiona klasa miała się na baczności. Liubimow wykladał również w jednym z żeńskich gimnazjów, gdzie także zaczęto zwracać uwagę na jego dziwactwa. Skończyło się tem, że Liubimow w ataku obłędu powiesił się na ramie okiennej.

Geografa Żukowskiego baliśmy się, jak ognia. Ścinał uczniów, jak automatyczna maszyna. Podczas lekcji Żukowski żądał jakiejś nieosiągalnej ciszy. Nieraz, przerywając słowa ucznia, skupiał się w sobie z miną drapieżcy, przysłuchującego się dźwiękom dalekiego niebezpieczeństwa. Wszyscy wiedzieli, co to znaczy: trzeba się nie ruszać i w miarę możności nie oddychać. Za mojej pamięci Żukowski raz tylko cośnecoś popuścił cugli, zdaje się, że było to w dniu jego urodzin. Któryś z uczniów zwrócił się do niego z czemś na poły prywatnem, t. j. odnoszącem się niebezpośrednio do lekcji. Żukowski puścił to płazem. To samo już było wydarzeniem. Nie zwlekając, wstał z ławki Wakker, lizus, i szczerząc zęby, rzekł: – Wszyscy mówią, że Liubimow nie dorósł Żukowskiemu do pięty. – Żukowski odrazu cały się sprężył. – Co takiego? Siadać. – Zaległa natychmiast ta szczególna cisza, która panowała tylko na lekcjach geografji. Wakker przysiadł, jak uderzony. Ze wszystkich stron zwracały się do niego pogardliwe albo potępiające twarze. – Jak Boga kocham, prawda, – odpowiadał Wakker szeptem, spodziewając się jednakże wzruszyć tem serce geografa, u którego miał złe noty.

Właściwym nauczycielem języka niemieckiego był Struwe, ogromny Niemiec, z wielką głową i brodą, sięgającą do pasa. Na malutkich, prawie dziecięcych nóżkach człowiek ów przenosił swe olbrzymie ciało, które wydawało się naczyniem dobroduszości. Struwe był najuczciwszym w świecie człowiekiem, martwił się złemi postępami swych uczniów, denerwował się, namawiał, gorzko przeżywał każdą, postawioną przez siebie dwójkę, – do pałki nigdy się nie zniżał, – starał się nie zostawiać nikogo na drugi rok. Wpakował do szkoły siostrzeńca swej kucharki, wspomnianego przed chwilą Wakkera, który, zresztą, okazał się niezdolnym i bardzo niepociągającym chłopcem. Struwe był troszkę śmieszny, ale naogół sympatyczną figurą.

Języka francuskiego wykladał Gustaw Samojłowicz Burnand, – Szwajcar, szczupły, z płaskim, jakby wydobytym z pod prasy, profilem, z niewielką łysiną, z wąskimi, sinemi, niedobremi ustami, z ostrym nosem i tajemniczą wielką blizną w kształcie litery X na czole. Burdnand'a wszyscy zgodnie znieść nie mogli, i nie bez powodu. Cierpiąc na katar żołądka, połykał podczas

lekcyj jakieś cukierki i w każdym uczniu widział osobistego wroga. Blizna na czole była ustawicznym źródłem domysłów i hipotez. Zapewniano, że w młodości Gustaw miał pojedynek i przeciwnik zdołał rapirem nakreślić mu skośny krzyż na czole. Po kilku miesiącach dały się słyszeć zaprzeczenia. To nie był pojedynek, tylko zabieg chirurgiczny, przy którym zużyto część czoła na poprawienie nosa. Uczniowie pilnie wpatrywali się w nos Francuza, a najodważniejsi twierdzili, że wyraźnie widzą linię szwu. Znalazły się umysły spokojne, szukające genezy blizny w wypadku wczesnego dzieciństwa: spadł z drabiny i potłukł się. Jednakże to tłumaczenie odrzucono, jako zbyt prozaiczne. Poza tem, całkowitem niepodobieństwem było wyobrazić sobie Burnand'a jako dziecko.

Starszym oddźwiernym, grającym niemałą rolę w naszym życiu, był niewzruszony Niemiec, Antoni, z robiącymi duże wrażenie, siwiejącymi bokobrodami. W sprawach spóźniania się, zostawiania bez obiadu, zamykania do karceru, Antoni miał niby tylko techniczną, istotnie zaś wielką władzę, i należało zachowywać z nim przyjazne stosunki.

Ja, zresztą, odnosiłem się do niego dosyć obojętnie, jak i on do mnie, ponieważ nie należałem do liczby jego klientów: do szkoły przychodziłem punktualnie, tornister miałem w porządku, a matrykuła szkolna z pewnością spoczywała w lewej kieszeni bluzy. Jednakże dziesiątki uczniów co dnia stawały się zależne od Antoniego i różnemi drogami kupowały jego przychylność. W każdym razie Antoni wydawał się nam wszystkim jednym z filarów szkoły realnej św. Pawła. Jakież więc było nasze zdumienie, kiedy, wróciwszy z wakacyj, dowiedzieliśmy się, że stary Antoni strzelał do ośmnastoletniej córki drugiego oddźwiernego na tle namiętności i zazdrości, a teraz siedzi w więzieniu.

Tak więc w uregulowane życie szkoły i w całe ówczesne zdławienie życie społeczne wdzierały się poszczególne katastrofy osobiste, budząc za każdym razem olbrzymie wrażenie, jak jęk pod pustem sklepieniem.

Przy kościele św. Pawła istniał dom sierot, dla którego wydzielono kąt naszego szkolnego podwórza. Chłopcy z przytułku, w niebieskich, spranych płóciennych ubraniach zjawiali się na podwórzu ze smutnymi twarzami, posepnie wałęsali się w swym kącie i ponuro wchodzili po schodach do siebie. Bez względu na to, że podwórze było wspólne i sierocy kąt niczem nie był odgradzony, realiści i „wychowańcy”, jak ich nazywano, stanowili dwa całkowicie zamknięte światy. Próbowałem ze dwa razy zagadywać chłopców w niebieskim płótnie, ale odpowiadali mi posepnie, niechętnie i śpieszyli z powrotem do siebie: mieli surowy nakaz nie mieszania się do spraw realistów. Tak więc w ciągu siedmiu lat spacerowałem po owym podwórzu, nie znając imienia ani jednego sieroty. Pastor Binneman, jak należy przypuszczać, błogosławił ich na początku roku według skróconego rytuału.

W tej części podwórza, która przytykała do domu sierot, wznosiły się skomplikowane przyrządy gimnastyczne: pierścienie, maszty, drabiny prostopadłe i pochylone, trapezy, równoległe drążki i tym podobne. Wkrótce po wstąpieniu do szkoły, chciałem powtórzyć ćwiczenie, wykonane w moich oczach przez jednego z chłopców z domu sierot. Wspiąwszy się na prostopadłą drabinę i uczepiwszy noskami butów o górną poprzeczkę, zawisłem głową na dół i, schwyciwszy rękami możliwie najniżej położoną poprzeczkę drabiny, odbiłem się nogami od górnej poprzeczki, aby, zatoczywszy w powietrzu 180°-y łuk, stanąć na ziemi elastycznym skokiem. Jednakże nie wypuściłem we

właściwym czasie poprzeczki z rąk i, opasawszy łuk, uderzyłem całym ciałem o drabinę. Pierś zgniotły mi, jakby kleszcze, zaparło mi oddech, wilem się na ziemi, jak robak, chwytalem za nogi stojących wokół chłopców i straciłem przytomność. Po tym wypadku byłem ostrożniejszy przy gimnastyce.

Bardzo mało żyłem życiem ulicy, placów, sportów i rozrywek na otwartym powietrzu. Odbijałem to sobie na wsi na wakacjach. Wydawało mi się, że miasto stworzone jest dla nauki i czytania. Bijatyki chłopców na ulicy wydawały mi się hańbą. Tymczasem nigdy nie brakło powodów do bójk.

Gimnazystów, ze względu na ich srebrne guziki i znaki nazywano śledziami, miedziano-żółtych realistów zaś – wędzonkami. Kiedy wracałem ulicą Jamską do domu, uporczywie prześladował mnie długonogi gimnazysta, dopytując się: –Po czemu sprzedajecie wędzonki?–i, nie otrzymując odpowiedzi na swe pytanie, poszturgiwał mnie ramieniem. – Czego się mnie czepiacie? – spytałem go tonem wścieklej uprzejmości. Gimnazysta spieszył się, pomyślał chwilę, a potem zapytał:

– A czy macie procę?

– Procę? – powtórzyłem, – a co to takiego? Długonogi gimnazysta w milczeniu wyjął z kieszeni niewielki przyrząd: gumę na drewnianych widelkach i kawałek ołowiu: „Biję gołębie z okienka na dachu, a potem je piekę”. Patrzałem na mego nowego znajomego ze zdziwieniem. Takie zajęcie wydawało mi się nawet dość zajmujące, jednakże niewłaściwe i jakby nieprzyzwoite w miejskich warunkach.

Wielu z chłopców pływało łódkami po morzu, łowiło z łamacza fal ryby na wędkę. Zupełnie nie znałem tych przyjemności. W jakiś dziwny sposób morze w tym okresie wogóle nie zajmowało w moim życiu żadnego miejsca, chociaż przeżyłem siedem lat na jego brzegu. Przez cały ten czas ani razu nie jeździłem łódką, nie łowiłem ryb i zasadniczo spotykałem się z morzem tylko podczas jazdy na wieś i zpowrotem. Kiedy Karlson przychodził w poniedziałek z opalonym nosem, na którym łuszczyła się skóra, i chwalił się, że wczoraj łowił byczki, radości te wydawały mi się dalekie i nie pasujące do mnie. Wówczas jeszcze nie budził się we mnie namiętny myśliwy i wędkarz.

We wstępnej klasie zbliżyłem się bardzo do Kostia R., syna lekarza. Kostia był ode mnie o rok młodszy, niższy, pozornie spokojny, ale figlarz i łobuz, o bystrych oczkach. Kostia znał dobrze miasto i pod tym względem miał wielką nade mną przewagę. Pilnością się nie odznaczał, ja zaś jak zacząłem od pierwszego dnia, tak szedłem dalej z piątkami. W domu Kostia ciągle opowiadał o swym nowym przyjacielu. Skończyło się tem, że matka Kostia, szczupła, malutka kobieta, przyszła do Fanny Salomonówny z prośbą: – Czyby chłopcy nie mogli uczyć się razem? Po naradzie, do której i ja zostałem przywołany, postanowiono przyjąć propozycję. W ciągu dwóch czy trzech lat siedzieliśmy na jednej ławce, póki Kostia nie został w klasie na drugi rok i w ten sposób nie oderwał się ode mnie. zresztą stosunki utrzymały się nadal.

Kostia miał siostrę gimnazystkę, o dwa lata starszą od niego. Siostra miała przyjaciółki. Przyjaciółki zaś braci. Siostry uczyły się muzyki. Bracia kręcili się koło przyjaciółek siostr. Na urodziny rodzice zapraszali gości. Powstawał mały świątek sympatyj, rywalizacji, walca, fantów, zazdrości i nienawiści. Centrum tego świątka była rodzina bogatego kupca A., zamieszkała w tym samym domu i na tem samym piętrze, co rodzina Kostia, tak, że korytarze obu mieszkań wychodziły od podwórza na wspólną wiszącą galeryjkę, na której miały miejsce przypadkowe i nieprzypadkowe spotkania. W rodzinie A.

panowała zupełnie inna atmosfera, niż ta, do jakiej przywykłem w rodzinie Szpencera. Bywało tam zawsze wielu gimnazystów i wiele gimnazistek, wprawiających się we flirt pod pobłażliwym uśmiechem matki. W rozmowach wspomniano nieraz, kto nie jest dla kogoś obojętny. Okazywałem zawsze dla tej sprawy jak największą pogardę, zresztą dość obłudną. – Jeżeli się zakochacie, – mówiła mi pouczająco czternastoletnia gimnazistka, starsza z sióstr A., – to musicie mi o tym powiedzieć. – Ponieważ nic nie ryzykuję, mogę wam to obiecać, – odpowiadałem trochę zarozumiale, z godnością człowieka, znającego swą wartość: byłem już w drugiej klasie. W dwa tygodnie później dziewczęta urządziły żywe obrazy. Młodsza z sióstr na tle wielkiej czarnej chustki, usianej gwiazdami ze srebrnego papieru, z podniesioną ku górze ręką, wyobrażała noc. – Spójrzcie, jaka ona śliczna, – mówiła starsza, trącając mnie lekko. Patrzałem, zgadzałem się w myśli i nagle niespodzianie zdecydowałem: nadszedł czas dotrzymania obietnicy. Wkrótce starsza poddała mnie badaniom: – Czy nie macie mi nic do powiedzenia? – Niestety, spuściwszy oczy: odpowiedziałem: – Mam.

– Kto jest ta ona?

Ale język mi zdrętwiał. Zaproponowała mi, żebym powiedział pierwszą literę. To było łatwiejsze. Starsza nazywała się Anna, młodsza Berta. Wymieniłem drugą, nie pierwszą literę alfabetu.

– Be? – powtórzyła z rozczarowaniem i na tem skończyła się nasza rozmowa.

Nazajutrz szedłem odrabiać lekcje do Kosti długim korytarzem trzeciego piętra, jak zwykle, od podwórza. Już na schodach zauważyłem, że obie siostry z matką siedzą przed swymi drzwiami na galeryjce. Kiedy od grupy kobiet dzieliło mnie tylko parę kroków, poczułem, że krzyżują się na mnie igły ironicznych spojrzeń, przesywające mnie nawskroś. Młodsza siostra nie uśmiechała się, przeciwnie, odwróciła gdzieś na bok oczy z wyrazem przeraźliwej obojętności. Od razu upewniło mnie to w przekonaniu, że zostałem zdradzony. Matka i starsza siostra podały mi rękę z wyrazem twarzy, mówiącym wyraźnie: „dobry ananas, teraz wiemy, co kryje się pod twoją powagą”, młodsza zaś siostra wyciągnęła rękę, jak deszczułkę, nie patrząc na mnie i nie odpowiadając na uścisk. Po tem powitaniu miałem jeszcze przejść kawałek galerji, zawrócić i ruszyć pod spojrzeniami gnębicielek wzdłuż całej poprzecznej strony. Przez cały czas czułem te same zabójcze igły za plecami. Po takiej niesłychanej zdradzie, postanowiłem całkowicie zerwać z tem podstępem plemieniem, nie chodzić do nich, zapomnieć, wyrwać na zawsze z serca. Pomogły mi w tem wakacje, które wkrótce nastąpiły.

Nieoczekiwanie dla mnie okazało się, że mam krótki wzrok. Zaprowadzono mnie do okulisty, który zapisał mi szkła. Nie mogę powiedzieć, żeby to mnie zmartwiło: bądź co bądź, okulary dodawały mi powagi. Nie bez przyjemności myślałem o mem zjawieniu się w okularach w Janówce. Ale dla ojca okulary okazały się ciosem nie do zniesienia. Uważał, że to wszystko jest udawanie i stawianie się i kategorycznie żądał, żebym zdjął okulary. Napróżno zapewniałem go, że w klasie nie widzę liter na tablicy, a na ulicy nie mogę odczytać szyldów. W Janówce okulary nosić mogłem tylko potajemnie.

Na wsi byłem znacznie śmielszy, bardziej przedsiębiorczy i miałem większy rozmach. Strząsałem niejako miejską dyscyplinę z ramion. Jeździłem sam konno do Bobryńca. demonstrowałem na ulicach okulary, i nie wątpiłem, że wywołuję wrażenie. W Bobryńcu istniała tylko męska szkoła miejska.

Najbliższe gimnazjum było w Elizabetgradzie, w odległości 50 kilometrów. Natomiast w Bobryńcu było żeńskie progimnazjum. Partnerami gimnazistek byli zazwyczaj uczniowie szkoły miejskiej. Latem jednakże rzecz miała się inaczej. Z Elizabetgradu wracali gimnaziści i realiści i przygnębiali wspaniałością munduru i wyszukanem obejściem uczniów szkoły miejskiej. Antagonizm panował okrutny. Pokrzywdzeni bobrynieccy uczniowie zbierali się w niewielkie bojowe bandy, i puszczali przy okazji w ruch nie tylko pałki i kamienie, ale i noże. Spokojnie siedziałem na gałęzi morwy w ogrodzie u znajomych i delektowałem się jagodami, kiedy ktoś z poza płotu uderzył mnie w głowę porządym kamieniem. Był to maleńki epizod długiej i nawet krwawej walki, która przerywała się dopiero z chwilą wyjazdu warstwy uprzywilejowanej z Bobryńca na naukę. W Elizabetgradzie sprawa inaczej się miała. Tam gimnaziści i realiści gospodarowali na ulicach i w sercach w ciągu roku szkolnego. Na lato jednak z Charkowa, Odesy i dalszych miast uniwersyteckich wracali studenci i odrazu spychali gimnazystów na drugi plan. Antagonizm i tutaj panował okrutny. Wiarołomność gimnazistek była niedoopisania. Jednak, według przyjętej ogólnej zasady, walkę prowadzono przeważnie bronią duchową.

Na wsi grałem w krokieta i kręgle, kierowałem grą w fanty i mówiłem zuchwalstwa pannom. Na wsi również nauczyłem się jeździć na dwukołowym welocypedzie, całkowicie skonstruowanym przez Iwana Wasiljewicza. Tylko dzięki temu, odważyłem się później ćwiczyć na odeskim welodromie. Nie koniec na tem, na wsi powoziłem samodzielnie pełnej krwi ogierem, zaprzężonym do lekkiego. powoziku. W tym okresie w Janówce były już dobre konie cugowe. Proponuję wujowi Brodskiemu piwowarowi, że go zawiozę na spacer. – A nie wywrócisz mnie? – pyta wuj, który, zgodnie ze swym charakterem, nie jest skłonny do śmiałych przedsięwzięć. – Co znowu, wuju, – odpowiadam tak oburzonym tonem, że wuj z westchnieniem, ale bez szemrania siada za mną. Jadę przez wąwóz, obok młyna, po drodze dopiero co skropionej letnim deszczem. Gniademu źrebcowi zachciało się rozpędu, gniewa go, że musi jechać pod górę i z miejsca zrywa się kłusem. Ściągam lejce, opieram się nogami o przodek powozu i podnoszę się tylko tyle, żeby wuj nie zauważył, że wiszę na lejcach. Ale źrebiec ma swoją ambicję. Jest przeszło trzy razy młodszy ode mnie, ma cztery lata. Gniady z irytacją podrywa pod górę lekki powozik, jak kotka, która pragnie uciec od przywiązanej do ogona blaszanki. Czuję, jak za moimi plecami wuj przestał palić, oddycha szybciej i zamierza postawić ultimatum. Siadam głębiej, puszczam gniademu lejce i celem nadania sobie pozorów zupełnej pewności, cmokam językiem do taktu śledzienie, która gra wspaniale gniademu. – Nie warjaj, mały, – mówię protekcyjnie do źrebca, kiedy ów usiłuje przejść w galop, i szerzej rozkładam łokcie. Czuję, że wuj się uspokoił i znów pociąga papierosa. Sprawa wygrana, chociaż serce gra mi, jak śledziona gniadego.

Wróciwszy do miasta, znów wkładam szyję w jarzmo dyscypliny. Czynię to bez wielkiego wysiłku. Zabawy i sport ustępują miejsca książkom, poczęści teatrowi. Poddaję się miastu, prawie się z niem nie stykając. Życie miasta prawie całkowicie przechodzi obok mnie. Zresztą, nietylko obok mnie jednego. Dorośli obywatele również starali się nie wysuwać głów przez okno. Odesa była, bodajże, najbardziej policyjnym miastem w policyjnej Rosji. Główną osobą w mieście był naczelnik miasta, dawny kontr-admirał Zielenoj Drugi. Nieograniczoną władzę łączył z nieokiełznanym temperamentem. Krążyły o nim

niezliczone anedoty, które mieszkańcy Odesy powtarzali sobie szeptem. Zagranicą, w wolnej drukarni wyszedł w owych czasach cały zbiór opowiadań o wyczynach kontr-admirała Zielonego Drugiego. Widziałem go zaledwie raz i to tylko z tyłu. Ale to wystarczyło mi najzupełniej. Naczelnik miasta stał wyprostowany w powozie, ochrypłym głosem wymyślał na całą ulicę i potrzasał pięścią. Przed nim stali na baczność policjanci z rękami u daszka czapki i stróże z czapkami w rękach, a z poza firanek wyglądały przerażone twarze. Podciągnąłem rzemienie tornistra i przyspieszonym krokiem skierowałem się do domu.

Kiedy pragnę odtworzyć w pamięci obraz oficjalnej Rosji i lata mej wczesnej młodości, widzę plecy naczelnika miasta, jego wyciągniętą w przestrzeń pięść i słyszę ochryple przekleństwa, których zazwyczaj nie umieszcza się w słownikach.

ROZDZIAŁ IV

KSIĄŻKI I PIERWSZE KONFLIKTY

Przyroda i ludzie nie tylko w szkolnych, ale i w późniejszych latach młodości, zajmowali w mem duchowym życiu mniej miejsca, niż książki i myśli. Mimo, że pochodziłem ze wsi, nie odczuwałem przyrody. Wrażliwość na nią i rozumienie jej rozwinęłem w sobie później, kiedy już nie tylko dzieciństwo, ale i pierwsza młodość została poza mną. Ludzie długo prześlizgiwali się obok mej świadomości, jak przypadkowe cienie. Patrzyłem w siebie i w książki, w których szukałem znów siebie lub swej przyszłości.

Czytywać zaczęłem w 1887 roku, od czasu przyjazdu do Janówki Mojżesza Filipowicza, który przywiózł na wieś paczkę książek, wśród nich zaś były ludowe opowiadania Tołstoja. Zaczytywanie się książkami początkowo było nie tyle rozkoszną, ile ciężką pracą. Każda nowa książka nastęczała nowe trudności: nieznanne słowa, niezrozumiałe stosunki życiowe, niepewność, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna fantazja. W większości wypadków nie miałem kogo pytać. Zniechęcałem się, zaczynałem, rzucałem, i znów zaczynałem, łącząc niepewną radość poznania z obawą przed nieznanem. Może najlepiej da się porównać moje ówczesne czytanie z nocną jazdą przez stepowe drogi: słycać skrzypienie kół, krzyżujące się głosy, ogniska przydrożne wychylają się z mroku: wszystko jest jakby znane i jednocześnie niezrozumiałe, co się dzieje, kto i z czym jedzie i nawet niewiadome, dokąd się jedzie samemu. w tę, czy tamtą stronę. I niema nikogo, kto, jak wuj Grzegorz, mógłby objaśnić: to nasi czumacy wiozą pszenicę.

W Odesie wybór książek był bez porównania większy, kierownictwo było uważne i zyczliwe. Zaczęłem czytać zachłannie. Trzeba było zmuszać mnie do pójścia na spacer. Na przechadzce przeżywałem to, co przeczytałem, i śpieszyłem się do dalszego ciągu. Wieczorami prosiłem, żeby mi dano choć kwadrans, no, choćby pięć minut, abym mógł doczytać do końca rozdziału. Co wieczór na tem tle toczyły się drobne spory.

Budzące się pragnienie widzenia, poznania, opanowania znajdowało sobie ujście w tem niezmordowanym połykaniu drukowanych wierszy, w tych, zawsze wyciągających się do naczynia fantazji, dziecięcych rękach i ustach. Wszystko, co mi później życie przyniosło interesującego, porywającego, radosnego, czy smutnego, już oddawna znałem z przeżyć książkowych, jako aluzję, jako obietnicę, jako nieśmiały i lekki szkic ołówkiem lub akwarelą.

Głośne wieczorne czytanie w pierwszych latach mego życia w Odesie, stanowiło me najlepsze godziny lub raczej półgodziny między ukończeniem odrabiania lekcji i snem. Mojżesz Filipowicz czytał zwykle Puszkina, częściej Niekrasowa, ale w oznaczonej godzinie Fanny Salomonówna mówiła: – Czas już, Liowuszka, pójść spać. – Patrzałem na nią błagalnie. – Trzeba, chłopcze, spać, – mówił Mojżesz Filipowicz, – Jeszcze pięć minut, – błagałem i zgadzano się na te pięć minut. Poczem całowałem ich i odchodziłem z

uczuciem, że mógłbym słuchać jeszcze całą noc, ale zasypiałem, ledwo przyłożywszy głowę do poduszki.

Daleka krewna Szpencera, Zofja, gimnazistka z ósmej klasy, przyjechała do niego na parę tygodni, aby przeczekać szkarlatynę, panującą u niej w rodzinie. Była to bardzo zdolna i ocytana panna, która jednak nie odznaczała się oryginalnością i charakterem i wkrótce zwiędła. Zachwyciałem się nią, codziennie odnajdując w niej coraz to nowe umiejętności i zalety i bezustannie odczuwając własną zupełną nicość. Przepisywałem dla niej programy egzaminów i wogóle oddawałem jej cały szereg drobnych przysług. Zato o poobiedniej godzinie, kiedy starsi odpoczywali, ósmoklasistka czytywała ze mną głośno, później zaś zaczęliśmy pisać razem poemat satyryczny wierszem: „Podróż na księżyc”. Przy pracy tej nie mogłem jej nadażyć. Gdy tylko występowałem z jakąś skromną propozycją, starsza współpracownica natychmiast podchwytowała myśl, szybko ją rozwijała, wprowadzała warjanty, z łatwością dobierała rymy, ciągnąc mnie za sobą jak holownik. Kiedy minęło sześć oznaczonych tygodni i Zofja wróciła do siebie, poczułem, że jestem doroślejszy.

Do najwybitniejszych znajomych rodziny należał Siergiej Iwanowicz Syczewskij, stary dziennikarz, romantyk i ceniony na południu znawca i badacz Szekspira. Był to zdolny, ale zapijaczony człowiek. Wskutek tego, że bardzo dużo pił, stosunek jego do ludzi, nawet do dzieci, nosił piętno zażenowania. Fanny Salomonównę znał od dzieciństwa i nazywał ją Faniuszką. Siergiejowi Iwanowiczowi od pierwszej chwili mocno przypadłem do serca. Dowiedziawszy się ode mnie co przechodzimy w szkole, staruszek dał mi temat: porównać „Poeta i księgarz” Puszkina z „Poeta i obywatel” Niekrasowa. Zdrętwiałem. Drugiego utworu nawet nie czytałem, głównie zaś onieśmiał mnie Syczewskij, jako *literat*. Samo to słowo dźwięczało dla mnie z nieosiągalnej wysokości. – Zaraz przeczytamy to wszystko, – rzekł Siergiej Iwanowicz i natychmiast zaczął czytać, czytał zaś prześlicznie. – Zrozumiałeś? No, to napisz. – Posadzono mnie w gabinecie, dano mi Puszkina i Niekrasowa, papier i atrament. – Ale ja nie mogę, – zaklinałem tragicznym szeptem Fanny Salomonównę, – co ja tu napiszę? – Nie denerwuj się – odpowiedziała, gładząc mnie po głowie, – napisz tak, jakieś to zrozumiał, poprosto tak napisz. – Fanny miała pieśczośliwe ręce i łagodny głos. Uspokoilem się trochę, to jest jako tako opanowałem mą wystraszoną miłość własną, i zaczęłem pisać. Mniej więcej, po upływie godziny, upomniano się o odpowiedź. Przyniosłem wielką zapisaną stronicę i z takim lękiem, jakiego nigdy nie zaznałem w szkole, wręczyłem ją *literatowi*. Siergiej Iwanowicz przebiegł oczami kilka wierszy, potem sychnął jasnemi skrami z oczu i zawołał: – Ależ posłuchajcie tylko, co on tu napisał, o, jaki zuch, – i zaczął czytać głośno: „Poeta żył z ukochaną przezeń przyrodą, każdy dźwięk której, radosny i smutny, odbijał się w jego sercu”. Siergiej Iwanowicz podniósł palec do góry: – Ależ on to ślicznie powiedział: każdy dźwięk, której, – słyszycie – radosny i smutny odbijał się w sercu poety. – I te słowa wżarły się wówczas tak głęboko w moje własne serce, że zapamiętałem je na całe życie.

Przy obiedzie Siergiej Iwanowicz żartował, wspominał, opowiadał, szukał natchnienia w kieliszku: wódka była dla niego przygotowana. Od czasu do czasu spoglądał na mnie poprzez stół i wołał: – Aleś ty to wszystko dobrze wyłożył, niech cię pocałuję – i zaczynał starannie ocierać serwetką wąsy i usta, wstawał z krzesła i niepewnymi krokami zabierał się do obejścia wokoło stołu.

Siedziałem, jakby spadła na mnie katastrofa, radosna wprawdzie, ale katastrofa. – Wstań, Liowoczka, idź mu naprzeciw, – zwrócił mi szeptem uwagę Mojżesz Filipowicz. Po obiedzie Siergiej Iwanowicz wygłosił z pamięci satyryczny „Sen Popowa”. Z wielką uwagą wpatrywałem się w siwe wąsy, z pod których wychodziły takie zabawne słowa. To, że literat był podchmielony, ani trochę nie zmniejszało w moich oczach jego autorytetu. Dzieci posiadają wielką siłę abstrahowania.

Czasami przed nastaniem zmierzchu szedłem na przechadzkę z Mojżeszem Filipowiczem, który, kiedy był w dobrym humorze, rozmawiał ze mną o najrozmaitszych rzeczach. Pewnego razu opowiedział mi treść opery Faust, którą bardzo lubił. Chciwie słuchałem opowiadania, marząc o tem, aby usłyszeć kiedykolwiek operę ze sceny. Z tonu opowiadającego wyczułem, że rzecz dochodzi do jakiegoś drażliwego punktu. Denerwowałem się bardziej niż opowiadający i bałem się, że nie usłyszę dalszego ciągu. Ale Mojżesz Filipowicz opanował się i tak ciągnął dalej: – Tymczasem Gretchen urodziło się dziecko przed ślubem... Kiedy przebyliśmy Rubikon, obaj poczuliśmy ulgę i opowiadanie zostało pomyślnie doprowadzone do końca.

Leżałem z obandażowanym gardłem i dano mi na pociechę „Oliwera Twista”. Pierwsze zaraz zdanie doktora w przytułku położniczym na temat braku obrączki ślubnej na rękę kobiety, wprawiło mnie w osłupienie. – Co to ma znaczyć? – pytałem Mojżesza Filipowicza – Co ma tu obrączka do rzeczy? – To – odpowiedział mi, zająknawszy się, – że kiedy się nie brało ślubu, to niema obrączki. – Przypomniałem sobie Gretchen. I los Oliwera Twista rozwijał się w mojej wyobraźni z obrączki, z tej obrączki, której nie było. Zakazany świat ludzkich stosunków sporadycznie wdzierał się w moją świadomość, poprzez książki i wiele rzeczy, już słyszanych przypadkowo, najczęściej w ordynarnej i nieprzyzwoitej formie, teraz uogólniało się przez literaturę i uszlachetniało, wznosząc się do jakiejś wyższej sfery.

W tym okresie rozpalala umysły niedawno wydana „Potęga ciemnoty” Tołstoja. Mówiono o niej znacząco, różnie ją sądząc. Pobiedonoscew uzyskał od Aleksandra III zakaz wystawienia sztuki w teatrach. Wiedziałem, że Mojżesz Filipowicz i Fanny Salomonówna, kiedy kładłem się spać, czytali dramat ten w sąsiednim pokoju: dochodził do mnie stłumiony szmer głosów. – A czy ja mógłbym przeczytać? – pytałem. – Nie, kochanie, masz jeszcze czas – odpowiedziano mi tak kategorycznie, że dłużej nie nalegałem. Zauważyłem jednak, że nowa cieniutka książka zjawiała się na znanej mi półce. Korzystając z nieobecności starszych, w ciągu kilku posiedzeń przeczytałem tołstojowski dramat, który nie wywarł na mnie tak głębokiego wrażenia, jak się tego widocznie obawiali moi wychowawcy. Najtragiczniejsze miejsca, jak uduszenie dziecka i rozmowa o chrzeście kości, robiły na mnie wrażenie nie rzeczywistości, lecz książkowej fantazji, teatralnego pomysłu, to jest właściwie nie absorbowiałem ich wcale.

Podczas wakacyj, znalazłem na starej szafie, pod samym sufitem, pośród starych papierów, małą książeczkę, przywiezioną przez starszego brata z Elizabetgradu, i otwartszy ją, poczułem, że jest to coś niezwykłego i tajemniczego. Było to sprawozdanie sądowe ze sprawy o zabójstwo dziewczynki na tle seksualnym. Czytałem książkę, pełną medycznych i prawniczych szczegółów, załęczony jakbym znajdował się nocą w lesie, gdzie wpadam na półoświetlone księżycem widmowe drzewa i nie mogę znaleźć wyjścia. Ale bardzo szybko wrażenie to się rozwiało. W psychologii ludzkiej, a

zwłaszcza dziecięcej, istnieją własne bufory, hamulce, klapy bezpieczeństwa i amortyzatory – wielki i dobrze skonstruowany system, ochraniający przed zbyt gwałtownymi lub przedwczesnymi wstrząśnieniami.

Do teatru poszedłem po raz pierwszy, będąc we wstępnej klasie. To było coś niezwykłego i niemożliwego do odtworzenia. Posłano mnie na ukraińskie widowisko w towarzystwie stróża szkolnego, Grzegorza Chołoda. Siedziałem blady, jak płótno, – tak Grzegorz opowiadał później Fanny Salomonównie – męczyła mnie radość, której nie mogłem ogarnąć. Podczas antraktów nie wstawałem z miejsca, żeby, broń Boże, czegoś nie opuścić. Na zakończenie dawano wodewil: „Lokator z trombonem”. Napięcie, wywołane przez dramat, odprężyło się teraz w hucznym śmiechu. Kiwałem się na miejscu, odrzucając wtył głowę, i znów wpijałem się oczami w scenę. W domu odpowiadałem treść „Lokatora z trombonem”, dodając coraz to nowe szczegóły, aby wywołać taki sam śmiech, jakim dopiero co wybuchałem w teatrze. Jednakże przekonywałem się z goryczą, że nie osiągam celu.

– Ale zdaje się, że „Nazar Stodoła” wcale ci się nie podobał? – spytał Mojżesz Filipowicz. Odczułem te słowa, jak wewnętrzny wyrzut, przypomniałem sobie cierpienia Nazara i rzekłem: – Nie, to było całkiem nadzwyczajne.

Przed przejściem do trzeciej klasy mieszkałem przez krótki czas na letnisku pod Odesą u wuja-inżyniera, gdzie byłem na przedstawieniu amatorskim, w którym służącego grał uczeń z naszej szkoły – Kruglakow. Był to piegowaty, bardzo chory na płuca chłopiec o mądrych oczach. Przywiązałem się całą duszą do niego i błagałem, aby dał razem ze mną jakieś przedstawienie. Wybraliśmy „Skąpego Rycerza” Puszkina. Mnie przypadła rola syna, a Kruglakowowi ojca. Całkowicie poddałem się jego kierownictwu i całymi dniami kułem puszkiniowskie strofy. Cóż to było za rozkoszne wzruszenie! Ale wkrótce wszystko runęło: rodzice zabronili Kruglakowowi urządzić przedstawienia ze względu na jego zdrowie. Kiedy rozpoczęły się lekcje, przychodził do szkoły tylko przez kilka pierwszych tygodni. Czekałem na niego zawsze przed wyjściem, aby móc w powrotnej drodze prowadzić z nim literackie rozmowy. Wkrótce jednak Kruglakow znikł zupełnie. Dowiedziałem się że choruje, a po upływie kilku miesięcy nadeszła wiadomość, że umarł na suchoty.

Czar teatru panował nade mną kilka lat. Później roznamiętniłem się do opery włoskiej, z której Odesa bardzo była dumna. W szóstej klasie zacząłem nawet dawać płatną korepetycję poto tylko, aby mieć pieniądze na teatr. W ciągu kilku miesięcy byłem milcząco zakochany w sopranie koloraturowym, który nosił tajemnicze imię Giuseppiny Uget i, według mnie, zstąpił chwilowo z niebios na deski odeskiego teatru.

Nie wolno mi było czytać gazet, ale nie przestrzegano tego zbyt surowo. Stopniowo, z pewnymi ograniczeniami, zdobyłem sobie prawo czytania dzienników, głównie zaś feljetonów. Centrum zainteresowania prasy odeskiej stanowił teatr, przede wszystkim zaś opera i ważniejsze ugrupowania społeczne łączyły się bodaj na podstawie upodobań teatralnych. Tylko w tej dziedzinie wolno było prasie ujawniać coś nakształt temperamentu.

W owym czasie wysoko weszła gwiazda feljetonisty Doroszewicza, który wkrótce został władcą dusz, chociaż pisał o drobiazgach, a nieraz o głupstwach. Jednakże posiadał niewątpliwy talent i zuchwała forma jego nieszkodliwych w gruncie rzeczy feljetonów, była jakby prądem świeżego

powietrza dla duszonej przez Zielonego Drugiego Odesy. Niecierpliwie chwyciłem poranną gazetę, szukając Podpisu Doroszewicza. Zachwyt nad jego artykułami dzielili wówczas umiarkowani liberalni ojcowie ze swymi dziećmi, które nie zdążyły jeszcze stać się nieumiarkowane.

Miłość słowa towarzyszyła mi od wczesnych lat, to słabnąc to wzrastając, zasadniczo jednak krzepnąc bez wątpienia. Literaci, dziennikarze, artyści pozostawali dla mnie najbardziej pociągającym światem, do którego dostęp mają tylko wybrani.

W drugiej klasie wzięliśmy się do wydawania pisma. Wiele narad odbyłem na ten temat z Mojżeszem Filipowiczem, który wymyślił nawet tytuł: „Kropla”. Myśl była taka: druga klasa szkoły realnej świętego Pawła wnosi swą kroplę do oceanu literatury. Napisałem na ten temat wiersz, który odegrał rolę artykułu programowego. Były wiersze i opowiadania, przeważnie moje. Jeden z rysowników ozdobił okładkę skomplikowanym ornamentem. Ktoś zaproponował, aby pokazać „Kroplę” Krzyżanowskiemu. Misji tej podjął się J., mieszkający u Krzyżanowskiego na stacji. Wypełnił świetnie swe zadanie: wstał z ławki, podszedł do katedry, zdecydowanym ruchem położył na niej „Kroplę”, uklonił się grzecznie i pewnymi krokami wrócił na miejsce. Wszyscy zamarli. Krzyżanowski popatrzał na okładkę, poruszał węsami, brwiami i brodą i w milczeniu zaczął czytać. W klasie panowała najzupełniejsza cisza, szeleściły tylko stronicie „Kropli”. Potem Krzyżanowski wstał z katedry i z dużym odczuciem przeczytał moją „Czystą kropelkę”. – Ładne? – spytał. – Ładne, – odpowiedział dość zgodny chór. – Ładne, jak ładne, – rzekł Krzyżanowski, – tylko autor nie zna zasad wierszowania. No, wiesz, co to jest daktyl? – zwrócił się do mnie, domyśliwszy się z przejrzystego pseudonimu, kto jest autorem. – Nie, nie wiem, – przyznałem się. – No, to ci opowiem. – I, zarzuciwszy na kilka lekcji gramatykę i składnię, Krzyżanowski tłumaczył drugoklasistom tajemnicę metrycznego wiersza. – Co się zaś tyczy pisma, – rzekł wkońcu, – niech to lepiej nie będzie pismo i nie potrzebny jest ten ocean literatury, niech to będzie poprostu zeszyt z waszemi ćwiczeniami. Chodziło o to, że pisma szkolne były zabronione. Sprawa jednak została załatwiona w zupełnie nieoczekiwany sposób. Spokojny bieg mej nauki został niespodzianie przerwany: zostałem wydalony ze szkoły realnej św. Pawła.

Od lat dziecięcych miałem w życiu niemało zajść – mówiąc stylem prawniczym – na gruncie walki o znieważone prawo. Ten motyw decydował nieraz o zbliżeniach i zrywaniach z kolegami. Zbyt wiele czasu zajęłoby wyliczanie poszczególnych epizodów. W szkole jednak miały miejsce dwa zdarzenia, zasługujące na wyróżnienie.

Najpoważniejsze zajście miało miejsce w drugiej klasie z Burnand'em, którego uważano za Francuza, chociaż był Szwajcarem. W szkole język niemiecki rywalizował do pewnego stopnia z rosyjskim. Z językiem francuskim zaś, przeciwnie, szło nietęgo. Większość uczniów po raz pierwszy zapoznawała się z francuskim w szkole, a dla Niemców-kolonistów był on szczególnie trudny. Burnand prowadził okrutną wojnę z Niemcami. Ulubioną jego ofiarą był Wakker, który istotnie, uczył się słabo. Tym razem jednak wielu, jeśli nie wszyscy, mieli wrażenie, że Burnand niesłusznie postawił

Wakkerowi pałkę. Wogóle dnia tego Burnand szalał, połykając podwójną ilość ułatwiających trawienie cukierków.

– Urządzimy mu koncert – szeptali uczniowie do siebie, dając sobie znaki oczami i poszturgując się łokciami. Byłem w ich liczbie nie na ostatnim miejscu, a może nawet na pierwszym. Takie koncerty urządzano czasami i dawniej, zwłaszcza na cześć nauczyciela rysunków, którego nie lubiliśmy za złośliwą głupotę. Urządzić koncert – znaczyło to odprowadzić nauczyciela, kierującego się do wyjścia, zgodnym wyciem poprzez zaciśnięte wargi, aby nie można było określić na oko, kto bierze udział w chórze. Raz czy dwa uczciliśmy tak i Burnand’a, ale cichutko, z tłumikiem, bośmy się go bali. Tym jednak razem byliśmy bardziej zdecydowani. Zaledwie Francuz wziął dziennik pod pachę, kiedy z samego końca klasy rozległo się wycie, które dobiegło zgodną falą aż do ławki przy drzwiach. Ja ze swojej strony robiłem, co mogłem. Burnand, który stawiał już nogę na progu, odwrócił się szybko i wbiegłszy na środek klasy, bladzielony, stał twarzą w twarz z wrogami, miotając iskry z oczu, ale nie mówiąc ani słowa. Chłopcy przybrali za pulpitemi jak najniewinniejsze miny, zwłaszcza w pierwszych rzędach, w dalszych szperali w tornistrach, jakby nic się nie stało. Postawszy jakieś pół minuty, Burnand tak wściekle zwrócił się do wyjścia, że poły jego fraka rozwiały się, jak żagle. Tym razem Francuzowi towarzyszyło jednomyślne natchnione wycie, które go niósło daleko na korytarzu.

Na początku następnej lekcji do klasy weszli Burnand, Schwannebach i wychowawca Meier, którego potocznie nazywano baranem dla wylupiających oczu, upartego czoła i głupoty. Schwannebach wygłosił coś w rodzaju wstępnej przemowy, starannie unikając podwodnych raf rosyjskich trybów i przypadków. Burnand płonął pragnieniem zemsty. Meier przeglądał wylupiającymi oczami twarze uczniów, wywołując największych łobuzów, i dogadując: – Ty już na pewno byłeś przy tem. Jedni zaprzeczali, drudzy milczeli. W ten sposób zostawiono w klasie „bez obiadu” naogół jakichś dziesięciu – piętnastu chłopców, jednych na godzinę, innych na dwie. Pozostałym pozwolono wrócić do domu, ja znalazłem się w ich liczbie, chociaż Burnand, jak mi się zdawało, podczas wywoływania nazwisk, rzucił i na mnie badawcze spojrzenie. Nie zrobiłem nic, aby zostać zwolniony. Ale nie oskarżyłem się również. Wychodziłem z klasy raczej niechętnie, ponieważ zdawało mi się, że weselej byłoby zostać ze wszystkimi.

Nazajutrz, kiedy szedłem do szkoły, prawie zapomniawszy o wczorajszej historii, przed bramą spotkał mnie kolega z grupy ukaranych wczoraj, – Słuchaj, – zwrócił się do mnie, – będzie źle z tobą, wczoraj Daniłow doniósł na ciebie Meierowi, Meier wezwał Burnand’a, potem przyszedł dyrektor i dopytywali się, czyś ty był prowodyrem.

Zamarło mi serce. A tu tymczasem wychowawca klasy, Piotr Pawłowicz, mówi: – Idź do dyrektora! – Fakt, że wychowawca czekał na mnie przed progiem, i ton, w jakim zwrócił się do mnie, nie obiecywały nic dobrego. Dopytując się woźnych, któredy mam iść, wkroczyłem na ten nieznany mi korytarz, gdzie mieścił się gabinet dyrektora, i zatrzymałem się przed drzwiami. Przechodząc obok, dyrektor spojrzał na mnie znacząco i pokiwał głową. Stałem napół martwy. Dyrektor znów wyszedł z gabinetu i rzucił tylko: – Dobrze, dobrze. – Rozumiałem, że w gruncie rzeczy to wcale niedobrze. Po kilku minutach nauczyciele zaczęli się rozchodzić z sąsiedniego pokoju nauczycielskiego, większość szła spieszenie do klas i nie zwracała na mnie

uwagi. Krzyżanowski w odpowiedzi na mój ukłon zrobił chytry grymas, mający zapewne znaczyć: „wpadłeś w kabałę i żal mi cię, ale co zrobić”. Burnand zaś, po moim grzecznym ukłonie, podszedł tuż do mnie, pochylił nade mną złą bródkę i, rozkładając ręce, rzekł: – Pierwszy uczeń klasy drugiej – to moralny potwór. – Postać chwilę, zionąc na mnie nieświeżym oddechem i, powtórzywszy: – potwór moralny – odwrócił się i odszedł. Po jakimś czasie zbliżył się również i Baran: – Toś ty taki ananas – rzekł z widocznym zadowoleniem, – my ci tu pokażemy. – I zaczęły się dla mnie długotrwałe tortury. W mojej klasie, do której mnie nie dopuszczano, nie było lekcji: odbywało się badanie. Burnand, dyrektor, Meier, inspektor Kaminskij tworzyli naczelną komisję śledczą w sprawie, tyczącej moralnego potwora.

Zaczął się, jak się okazuje, od tego, że jeden z uczniów podczas odsiadki kary, powiedział Meierowi: – niesprawiedliwie nas tu zostawiono, a tego, który krzyczał, wypuszczono. B. innych buntował i sam krzyczał, a jego puszczono do domu, Karlson także wie o tem. – Nie może być, – odpowiedział Meier – B. to porządny chłopiec. – Ale Karlson, ten sam, który przedstawił mi Binnemana jako najmądrzejszego człowieka w Odesie, potwierdził te słowa, a za nim jeszcze inni. Wówczas Meier przywołał Burnand’a. Podjudzani i zachęceni zgóry, zarażając się wzajemnie przykładem, znaleźli się w klasie donosiciele, jakichś dziesięciu, czy dwunastu chłopców.

Zaczęto przypominać sobie wszystko: – W przeszłym roku B. powiedział to a to na przechadzce o dyrektorze. – B. temu a temu podpowiadał. – B. brał udział w koncercie dla Żmigrodzkiego. – Wakker, o którego wszystko poszło, przymilnie opowiadał: – Jak wiadomo, płakałem dlatego, że Gustaw Samojłowicz postawił mi pałkę, a B. podszedł do mnie, położył mi rękę na ramieniu i powiedział: „Nie płacz, Wakker, napiszemy do kuratora taki list, że wypędzi Burnand’a”. – Do kogo list? – Do kuratora! – Nie może być! – A coś ty powiedział? – Ja, naturalnie, nic nie powiedziałem. – Daniłow podchwycił: – tak, tak, B. proponował, żeby napisać list do kuratora okręgu szkolnego, ale nie podpisywać nazwisk, żeby nie wydalono ze szkoły i tylko każdy miał napisać w liście po jednej literze. – Ach, więc to tak, – pinił się Burnand – każdy po literze? – Badano wszystkich bez wyjątku. Część chłopców przeczyła wszystkiemu, co było i czego nie było. Wśród nich Kostia R., który płakał gorzko, widząc, jak gubią jego najlepszego przyjaciela, pierwszego ucznia. Tych uparcie przeczących donosiciele kompromitowali, jako moich przyjaciół. W klasie panowała panika. Większość uczniów zacięła się i milczała. Daniłow grał pierwsze skrzypce w klasie, co mu się nigdy nie zdarzało, ani pierwej, ani później. Ja stałem na korytarzu koło gabinetu dyrektora, przy żółtej lakierowanej szafie, jak groźny zbrodniarz stanu. Tam też wzywano kolejno głównych świadków na konferencję z oskarżonym. Skończyło się tem, że odesłano mnie do domu.

- Idź i powiedz rodzicom, żeby przyszli do szkoły.
- Moi rodzice są daleko stąd, na wsi.
- To twoim wychowawcom.

Jeszcze wczoraj byłem niezaprzeczenie primusem, znacznie lepszym od drugiego ucznia. Meier nawet nie myślał mnie podejrzewać. A dzisiaj zostałem strącony z piedestału i Daniłow, znany z lenistwa i zepsucia, pomiata mną wobec całej klasy i władzy szkolnej. Co się stało? To, że zbyt energicznie ująłem się za skrzywdzonym, który nie był mi bliski i którego osoba nie budziła we mnie sympatii? To, że za bardzo wierzyłem w solidarność klasy?

Daleki byłem zresztą od uogólnień, idąc na Pokrowski zaułek. Z wykrzywioną twarzą, z zamierającym sercem, zachłystując się słowami i łzami, opowiadałem, jak to było. Moi wychowcy uspokajali mnie, jak mogli, chociaż sami byli bardzo zaniepokojeni. Fanny Salomonówna chodziła do dyrektora, do inspektora Krzyżanowskiego, do Jurczenki, tłumaczyła, przekonywała, odwoływała się do własnego pedagogicznego doświadczenia. Wszystko to działo się bez mojej wiedzy. Siedziałem w moim kącie, zamknięty tornister leżał na stole, a ja się zamartwiałem. Tak mijały dni. Jak to się skończy? Dyrektor orzekł: zostanie zwołana rada pedagogiczna celem rozpatrzenia sprawy w całej rozciągłości. To brzmiało groźnie. Posiedzenie odbyło się. O decyzji poszedł dowiedzieć się Mojżesz Filipowicz. Czekałem na jego powrót ze znacznie większym zdenerwowaniem, niż później na wyrok carskiego sądu. Rozległ się znany odgłos zatrzaśniętych drzwi wejściowych na dole, znajome kroki rozległy się na żelaznych schodkach, otworzyły się drzwi do jadalni i jednocześnie wyszła na spotkanie z sąsiedniego pokoju Fanny Salomonówna. Ja sam ledwo uniosłem zasłonę. – Wydalili – rzekł Mojżesz Filipowicz tonem wielkiego zmęczenia. – Wydalili? – powtórzyła, tracąc oddech, Fanny Salomonówna. – Wydalili – potwierdził jeszcze ciszej Mojżesz Filipowicz. Nie odezwałem się ani słowem. Powiodłem oczami od Mojżesza Filipowicza do Fanny Salomonówny i wróciłem za moją firankę. Fanny Salomonówna, bawiąc w Janówce latem, podczas wakacyj, opowiadała o mnie. – Kiedy zabrzmiało to słowo, cały zzieleniał, tak, że złękłam się o niego. – Nie płakałem, lecz dręczyłem się.

Na radzie pedagogicznej walczone o wybór jednego z trzech rodzajów wydalenia: bez prawa wstąpienia do jakiegokolwiek zakładu naukowego, bez prawa wstąpienia do szkoły realnej św. Pawła i wreszcie z prawem powrotu do niej. Zatrzymano się na ostatniej, najłagodniejszej formie. Wzdrygałem się na myśl o tym, jak przyjmą tę historję ojciec i matka. Moi wychowawcy zrobili wszystko, co było można, aby przygotować i osłabić cios. Fanny Salomonówna napisała do starszej siostry obszerny list z instrukcją na temat uświadomienia rodziców. Do końca roku szkolnego pozostawałem w Odesie i przyjechałem na wakacje, jak zawsze. Podczas długich wieczorów, kiedy ojciec i matka już spali, opowiadałem siostrze i starszemu bratu, jak to było, naśladując nauczycieli i uczniów. Brat i siostra mieli jeszcze świeżo w pamięci lata własnej nauki. Jednocześnie zaś patrzyli na mnie, jak starsi. To kiwali głowami, to śmieli się z mego opowiadania. Od śmiechu siostra przeszła do łez i długo płakała, oparłszy o stół głowę. Postanowiono, że wyjadę na tydzień, czy dwa do kogokolwiek w odwiedzin, a podczas mojej nieobecności siostra opowie wszystko ojcu. Sama drżała na myśl o tej misji. Po niepowodzeniu z kształceniem starszego brata, ambicja ojca skupiła się na mnie. Pierwsze lata obiecywały najzupełniejsze powodzenie, a tu nagle wszystko poszło naopak...

Wróciwszy po tygodniu z odwiedzin z mym przyjacielem Griszą, wnukiem tego Mojżesza Charitonowicza, którego prawa ręka „zdolna była do dawania koncertów”, zrozumiałem odrazu, że rodzice wszystko już wiedzą. Matka uprzejmie powitała Griszę, ale miała taką minę, jakby mnie wcale nie widziała. Ojciec, przeciwnie, zachowywał się tak, jakgdyby nic nie zaszło. Dopiero w parę dni później, wróciwszy w upalny dzień z pola i odpoczywając w chłodnej sieni, nagle spytał mnie przy matce: – Opowiedz-no mi, jakieś to wygwizdywał twego dyrektora? Czy tak: dwa palce w usta? – pokazał sam i roześmiał się nagle. Matka ze zdziwieniem patrzyła to na ojca, to na mnie. Na twarzy jej

uśmiech walczył z oburzeniem: czy można tak lekko traktować tak straszne rzeczy? Ale ojciec dalej się dopytywał: – Pokaż, jakieś ty gwizdał? – I śmiał się coraz weselej. Chociaż był poważnie zmartwiony, widać było, że mimo wszystko, podobała mu się myśl, że jego latorośli nie zważając na stopień pierwszego ucznia, odważyła się gwizdać na wysoką władzę. Naprawdę zapewniałem go, że gwizdania nie było, tylko spokojne, całkiem nieobrazliwe wycie. Ojciec upierał się przy gwizdaniu. Skończyło się tem, że matka się rozplakała.

Latem prawie nie przygotowywałem się do egzaminów. To, co się stało, zabiło we mnie narazie chęć do nauki. Spędziłem niespokojne lato, z ustawicznymi wybuchami kłótni i wróciłem do Odesy na dwa tygodnie przed egzaminami, ale i tutaj uczyłem się niechętnie. Najstaranniej przygotowywałem się bodaj-że z francuskiego. Ale na egzaminie Burnand ograniczył się do kilku pobieżnych pytań. Inni pytali jeszcze mniej. Przyjęto mnie do trzeciej klasy. Spotkałem tam większość tych samych uczniów, którzy zdradzali mnie, lub bronili, lub też trzymali się nauboczu. Te okoliczności długo stanowiły o moich osobistych stosunkach z kolegami. Z wieloma nie rozmawiałem i nie witałem się, zato zżyłem się bardziej z tymi, którzy w trudnych chwilach stali po mojej stronie.

Takie było moje pierwsze w swoim rodzaju polityczne doświadczenie. Grupy, które utworzyły się w czasie tego epizodu: oszczercy i zazdrośnicy na jednym biegunie, szczerzy i odważni chłopcy na drugim i neutralna, chwiejna, niestała masa po środku – te trzy ugrupowania wcale nie znikły całkowicie w ciągu następnych lat. W późniejszym życiu spotykałem je nieraz w najrozmaitszych warunkach.

Jeszcze nie sprzątnięto całego śniegu z ulic, – ale już było ciepło. Dachy, drzewa i wróble tchnęły już wiosną. Uczeń klasy czwartej wracał ze szkoły, trzymając, wbrew przepisom, jeden rzemień tornistra w rękę, dlatego że oderwał się haczyk. Długi płaszcz wydawał się niepotrzebny, zbyteczny, ciężki, wywoływał rozchodzące się po całym ciele poty. Razem z potami przychodziło osłabienie. Chłopiec inaczej patrzył na wszystko dokoła, a przede wszystkim na siebie. Wiosenne słońce mówiło, że jest coś bez porównania potężniejszego, niż szkoła, inspektor i nieprzepisowo wiszący na plecach tornister, niż nauka, szachy, obiady, nawet czytanie i teatr, niż całe wogóle powszednie życie. I tęsknota do tego niezbadanego, władczego, wznoszącego się ponad poszczególnego człowieka opanowała istotę chłopca do samego szpiku kości i wywołała słodki ból wyczerpania.

Wrócił do domu z szumem w głowie, z chorobliwą muzyką w skroniach, rzucił tornister na stół, położył się na łóżku i, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął płakać w poduszkę. Aby móc usprawiedliwić swe łzy, zaczął przypominać sobie smutne sceny z książek i własnego życia, jakby dorzucając świeże paliwo do ognia i płakał, płakał łzami wiosennej tęsknoty. Zaczął wówczas 14-ty rok życia.

Od dzieciństwa chłopiec cierpiał na chorobę, którą lekarze w oficjalnych świadectwach nazywali chronicznym katarzem przewodu pokarmowego i która mocno wplatała się w całe jego życie. Często musiał połykać lekarstwa i przestrzegać diety. Wstrząsy nerwowe prawie zawsze odbijały się na kiszkiach.

W czwartej klasie choroba tak się zaostrzyła, że paraliżowała naukę. Po przewlekłem, choć niedającym rezultatów leczeniu, lekarze orzekli, że chorego należy wysłać na wieś.

Wyrok lekarzy przyjąłem w danej chwili raczej z zadowoleniem, niż z przykrością. Jednakże trzeba było jeszcze uzyskać zgodę rodziców. Trzeba było sprowadzić na wieś korepetytora, aby nie stracić roku szkolnego. To oznaczało dodatkowe wydatki, a w Janówce nie lubiono dodatkowych wydatków. Jednak przy pomocy Mojżesza Filipowicza sprawę ostatecznie ułożono. Korepetytora znaleziono w osobie byłego studenta G., malutkiego człowieka, o wspaniałej czuprynie, porządnie posiwiiałej na skroniach. Był to odrobinę próżny, odrobinę fantasta, rozmowny i bez charakteru człowiek z kategorii pechowców z póluniwersyteckim wykształceniem. Pisywał wiersze i nawet dwa z nich wydrukowano w odeskim piśmie. Oba numery gazety miał zawsze przy sobie i chętnie je pokazywał. Stosunek jego do mnie był porywczy, o stałej tendencji na gorsze. Początkowo G. usiłował nawiązać ze mną bardziej familijne stosunki, podkreślając przy lada okazji, że chce być moim przyjacielem. W tym celu pokazywał mi fotogratję niejakiej Klaudji i mówił o swych skomplikowanych z nią stosunkach. Potem niespodzianie cofał się i żądał ode mnie szacunku ucznia dla nauczyciela. Ten cały nonsens skończył się źle: gwałtowną kłótnią i całkowitem zerwaniem. Ale i epizod z korepetytorem nie minął bez śladu. W każdym bądź razie, człowiek o siwiejących skroniach powierzał mi tajemnicę swego stosunku z kobietą, która na fotofrafi wyglądała bardzo ponętnie. Poczułem się doroślejszy.

W wyższych klasach wykład literatury przeszedł z rąk Krzyżanowskiego do rąk Hamowa. Był to młody jeszcze, pulchny, bardzo krótkowzroczny i chorowity blondyn bez cienia ognia i miłości dla swego przedmiotu. Ponuro wlekleśmy się za nim od rozdziału do rozdziału. W dodatku Hamow był również niesumienny i przewlekał do ostateczności przeglądanie naszych piśmiennych wypracowań. W piątej klasie należało wykonać w ciągu roku cztery domowe prace. Odczuwałem do nich wzrastające zamyślenie. Czytywałem nie tylko te źródła, które wskazywał wykładowca, ale i cały szereg innych książek, notowałem fakty i cytaty, przerabiałem i przyswajałem sobie zdania, które mi się podobały, wogóle pracowałem z zapalem, niezawsze zatrzymując się na granicy niewinnego plagiatu. Było jeszcze kilku uczniów, którzy nie odnosili się do wypracowań, jak do przykrego jarzma. Niespokojni, jedni z lękiem, inni z nadzieją – oczekiwali piątoklasiści na ocenę swych prac. Ale ocena nie nadchodziła. To samo powtórzyło się i w drugim kwartale. W trzecim złożyłem wypracowanie, obejmujące cały zeszyt. Minął jeden tydzień, drugi, trzeci – o naszych pracach po dawnemu ani słycho. Ostrożnie przypomnieliśmy Hamowowi. Odpowiedział wymijającym frazesem. Na następnej lekcji Jabłonowskij, również jeden z rywalizujących autorów, spytał wprost Hamowa: czym się tłumaczy fakt, że nie możemy się dowiedzieć o losie naszych piśmiennych wypracowań i co się właściwie z nimi dzieje? Hamow przerwał mu ostro. Jabłonowskij nie dał za wygraną. Zmarszczywszy i tak już zrosnięte brwi, zaczął nerwowo szarpać górną deskę pulpitu i, podniósłszy głos, powtórzył, że tak nie można pracować. – Proponuję, żebyście zamilkli i usiedli, – odpowiedział Hamow. Jabłonowskij jednakże nie siadł i nie milknął. – Proszę wyjść z klasy! – krzyczał na niego Hamow. Moje stosunki z Jabłonowskim były oddawna złe. Historia z Burnand'em w drugiej klasie nauczyła mnie ostrożności. W tej chwili jednak uważałem, że nie wolno

milczeć: – Antoni Michajłowiczu, – oświadczyłem, – Jabłonowskij ma słuszość, my wszyscy popieramy go... – Tak jest... – rozległy się głosy. Hamow narazie zmieszał się, potem zaś rozwściekił. – Co to ma znaczyć? – krzyknął nieswoim głosem – sam wiem, kiedy i co mam robić... Nie będziecie mnie uczyć. Zakłóćcie porządek... – Uderzyliśmy go w czule miejsce.

– Chcemy zobaczyć nasze wypracowania i nic więcej – odezwał się trzeci głos. Hamow stracił panowanie nad sobą: – Jabłonowskij, proszę wyjść z klasy. – Jabłonowski nie ruszył ię z miejsca. – Ależ wyjdź, wyjdź, co ci tam, – szeptano mu z różnych stron. Wzruszając ramionami, przewracając oczami i stukając obcasami, Jabłonowski wyszedł z klasy, trzasnąwszy z całej siły drzwiami. Na początku następnej lekcji do klasy wsunął się cicho na gumowych podszwach Kaminskij. To nie zapowiadało nic dobrego. Zapanowała cisza. Falsetem, ochryplym, jakby z przepicia, dyrektor wypowiedział krótką ale bardzo surową naganę, grożąc wydaleniem ze szkoły i oznajmił karę: Jabłonowskij miał pójść na dwadzieścia cztery godziny do karceru z trójką ze sprawowania, ja – do karceru na dwadzieścia cztery godziny, trzeci zaś z protestujących – na dwanaście godzin. Tak wyglądało drugie moje potknięcie się na drodze wiedzy. Znaczniejszych następstw tym razem sprawa nie miała. Hamow jednakże nie zwrócił nam naszych wypracowań. Machnęliśmy na nie ręką.

W tym samym roku zmarł car. Wypadek ten wydawał się czemś olbrzymiem, nawet nieprawdopodobnem, ale dalekiem, jakby trzęsienie ziemi w obcym kraju. Współczucia dla chorego cara, sympatji dla niego i żalu z powodu jego śmierci nie czułem ani ja, ani nikt z otaczających mnie. Kiedy nazajutrz przyszedłem do szkoły, panowało tam coś w rodzaju bezpodstawnej paniki. – Car umarł, – mówili uczniowie do siebie i nie wiedzieli, co więcej dodać, nie znajdowali słów na wyrażenie swego uczucia, bo nie wiedzieli, na czym ono właściwie polega. Wiedzieli zato, że nie będzie lekcji, i pocichutku cieszyli się w głębi duszy, zwłaszcza ci, którzy nie odrobili zadań, albo bali się wyrwania do tablicy. Wszystkich nadchodzących woźny kierował do auli, gdzie przygotowywano się do żałobnego nabożeństwa. Pop w złotych okularach wyrzekł kilka okolicznościowych słów: dzieci smuć się, kiedy umiera ojciec, o ileż więc większy jest smutek, gdy umiera ojciec całego narodu. Smutku jednakże nie było. Nabożeństwo wlokło się długo. Było męczące i nudne. Kazano wszystkim przyszyć krepę żałobną na lewym rękawie i przykryć nią znak na czapce. Poza tem wszystko poszło po staremu.

W piątej klasie uczniowie zaczęli już wymieniać poglądy na temat wyższego zakładu naukowego, i wyboru dalszej drogi życiowej. Wiele mówiono o egzaminach konkursowych, o tem, jak ścinają petersburscy profesorowie, jakie dają zawikłane zadania i jacy bywają w Petersburgu specjaliści od naciągania zdających. Wśród starszych znajdowali się tacy, którzy rok rocznie jeździli do Petersburga, ścinali się, znów się przygotowywali i znów odbywali tę samą drogę. Na myśl o owych przyszłych udrękach wielu z nas zamierały serca na dwa lata zgóry.

Szósta klasa minęła bez żadnych wydarzeń. Wszyscy pragnęli jaknajszybciej skończyć z jarzmem szkoły. Egzaminy końcowe miały uroczysty charakter: odbywały się w auli, z udziałem profesorów uniwersytetu, przydzielonych przez okręg szkolny. Dyrektor za każdym razem uroczystie otwierał nadesłaną przez kuratora kopertę, zawierającą temat egzaminu piśmiennego. Po ogłoszeniu tematu rozlegało się ogólne westchnienie trwogi,

jakgdyby wszystkich naraz pogrążono w zimną wodę. Wskutek zdenerwowania zdawało się, że praca jest całkowicie ponad siły. Później jednakże okazywało się, że nie jest tak strasznie. Pod koniec oznaczonych dwóch godzin nauczyciele pomagali nam oszukiwać czujność okręgu. Ukończywszy pracę, nie oddawałem jej, lecz – za milczącą zgodą inspektora Krzyżanowskiego, – pozostawałem w sali i nawiązywałem ożywioną korespondencję z tymi, których sytuacja przedstawiała się niepomyślnie.

Siódmą klasę uważano za dopełniającą, nie było jej przy szkole św. Pawła, – trzeba się więc było przenieść do innej szkoły. W międzyczasie zaś zostaliśmy wolnymi obywatelami. W tym celu każdy z nas robił sobie cywilny garnitur. Już w dniu otrzymania dyplomów zasiedliśmy wieczorem wielką grupą w letnim ogrodzie, gdzie na estradzie śpiewały śpiewaczki i dokąd uczniom wstęp był surowo wzbroniony. Wszyscy nosili krawaty, na stole stały dwie butelki piwa, w zębach tkwiły papierosy. W głębi duszy byliśmy przerażeni naszą śmiałością. Nie zdołaliśmy jeszcze odkorkować pierwszej butelki, kiedy zjawił się przy naszym stole wychowawca klasowy Wilhelm, zwany kozą, dzięki beczącemu głosowi. Zrobiliśmy instynktowny ruch do wstania i wszystkim zlekka zabiły serca. Ale przebieg sprawy był pomyślny. – Już tu jesteście? – rzekł Wilhelm z odcieniem ubolewania i miłościwie uściśnął nam ręce. Najstarszy z pośród nas, K., z pierścionkiem na małym palcu, beczelnie zaproponował wychowawcy, żeby napił się z nami piwa. Tego było już nadto. Wilhelm odmówił z godnością i, pożegnawszy się spiesźnie, ruszył na poszukiwanie uczniów, którzy przekroczyli zakazany próg parku. Ze zdwojonym poczuciem swej wagi zabraliśmy się do piwa.

Siedem lat, które przebyłem w szkole realnej, począwszy od wstępnej klasy, nie były pozbawione radości. Mniej jednak były one widoczne, niż smutki. Naogół, wspomnienia ze szkoły zostały zabarwione jeśli nie czarno, to w każdym razie szaro. Ponad wszystkimi epizodami szkolnego życia, czy to gorzkimi, czy radosnymi, górował régime bezduszności i urzędniczej formalistyki. Trudno mi wymienić choćby jednego nauczyciela, którego mógłbym wspominać ze szczerą miłością. A jednak nasza szkoła nie należała do najgorszych. Mimo wszystko czegoś mnie nauczyła: dała mi elementarne wiadomości, przyzwyczaiła do systematycznej pracy i zewnętrznej dyscypliny. Wszystko to przydało mi się w późniejszym życiu. Jednakże właśnie szkoła, wbrew swemu wyraźnemu przeznaczeniu, posiadała we mnie ziarna wrogości dla istniejącego stanu rzeczy. W każdym razie, ziarna te nie padły na kamienistą glebę.

ROZDZIAŁ V

WIEŚ I MIASTO

Na wsi przeżyłem, nigdzie nie wyjeżdżając, pierwsze dziewięć lat mego życia. W ciągu następnych siedmiu lat corocznie przyjeżdżałem na wieś na lato, czasami na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Prawie do 18-tego roku życia byłem mocno związany z Janówką i z tem, co ją otaczało. W ciągu pierwszych lat dzieciństwa wpływ wsi był przemożny. W następnym okresie walczył już z wpływem miasta i na całej linii ustępował mu.

Wieś zapoznała mnie z gospodarstwem rolnem, młynem, amerykańską wiązałką snopów. Wieś zbliżyła mnie z chłopami miejscowymi i przyjeżdżającymi do młyna i odleglejszymi, przychodzącymi z kosą i sakwą na ramieniu, z ukraińskich gubernij, na zarobek. Potem wiele szczegółów życia wiejskiego uległo jakby zapomnieniu, zatarało się w pamięci, ale przy każdym przełomie życiowym wypływało to to, to owo na powierzchnię i pomagało w wielu wypadkach.

Wieś pokazała mi w naturze typy szlacheckiego zubożenia i kapitalistycznego bogacenia się. Ukazała mi wiele stron ludzkich stosunków w ich istotnej postaci i, dzięki temu, pozwoliła mi żywiej odczuć inny typ kultury, miejskiej, wyższej, lecz bogatszej w przeciwieństwie.

Już pierwsze wakacje doprowadziły jakby do konfrontacji w mej świadomości miasta i wsi. Jechałem do domu z niesłychaną niecierpliwością. Serce skakało mi z radości. Pragnąłem znów wszystkich zobaczyć i pokazać się wszystkim. W Nowym Bugu spotkał mnie ojciec. Pokazałem mu moje piątki i wyjaśniłem, że jestem teraz w pierwszej klasie i że koniecznie muszę mieć galowy mundur. Jechaliśmy nocą wozem, powoził młody karbowy. Na stepie, zwłaszcza w jarach, czuło się wilgotny chłodek, to też owinięto mnie wielką burką. Upojony zmianą otoczenia, jazdą, wspomnieniami, wrażeniami, opowiadałem niezmiernie: o szkole, o łaźni, o mym przyjacielu Kostu R., o teatrze. Nie milkłem ani na chwilę, streściłem najpierw „Nazara Stodołę”, potem „Lokatora z trombonem”. Ojciec słuchał, chwilami drzemał, otrząsał się ze snu i śmiał się z zadowoleniem. Młody karbowy kręcił od czasu do czasu głową i oglądał się na gospodarza: to dopiero opowiadanie. Nad ranem zasnąłem i obudziłem się w Janówce. Dom wydał mi się strasznie mały, wiejski pszenny chleb – szary, a cały wiejski tryb życia – i swój i obcy zarazem. Opowiadałem matce i siostrze o teatrze, ale już nie z takim uniesieniem, jak ojcu. W warsztacie nie poznałem prawie Wicia i Dawida, tak bardzo urosli i zmężnieli. Ale i ja wydałem im się inny. Odrazu zaczęli zwracać się do mnie na „wy”. Zaprotestowałem.

– Na, a jak? – odpowiedział smagły, chudy i cichy Dawid. – Teraz jesteście uczone.

Iwan Wasiljewicz był już żonaty. Kuchnię czeladną obok warsztatu oddano mu na mieszkanie, a kuchnię urządziło w nowej lepiance za warsztatem.

Jednakże nie o to chodziło. Między mną a tem, z czem związane było moje

dzieciństwo, wzniósł się mur czegoś nowego. Wszystko było tem samem i innem. Rzeczy i ludzie byli jakby ich ktoś zmienił. Naturalnie, przez rok to i owo zmieniło się istotnie. Znacznie jednak bardziej zmieniły się moje oczy. Od owego pierwszego przyjazdu między mną i rodziną zaczęło ujawniać się coś w rodzaju obcości, najpierw przejawiającej się w drobiazgach, z biegiem zaś lat – poważniejszej i pogłębiającej się.

Dwoistość wpływów, pochodzących z miasta i ze wsi, była charakterystyczna dla całego okresu mej nauki. W mieście czułem się bez porównania bardziej zrównoważony w stosunkach z ludźmi i poza poszczególnymi, choć burzliwymi konfliktami, jak z Francuzem lub filologiem, w szkole dosyć równo szedłem w cuglach rodzinnej i szkolnej dyscypliny. Przyczyniał się do tego nie tylko tryb życia w rodzinie Szpencera, gdzie panowały rozumne wymagania i stosunkowo wysoki poziom osobistych stosunków, ale wogóle układ miejskiego życia. Coprawda, sprzeczności tego życia nie były w żadnym razie mniejsze, niż na wsi, przeciwnie, większe, ale w mieście były one bardziej przysłonięte, uporządkowane i uregulowane. Ludzie różnych klas stykali się ze sobą tylko w sferze interesów, poczem zaś znikali dla siebie. Na wsi natomiast wszyscy byli sobie wzajem na widoku. Niewolnicza zależność jednego człowieka od drugiego sterczała tu na zewnątrz, jak sprężyna ze starej kanapy. Na wsi ujawniałem daleko większą nierówność charakteru i kłótniwość. Nawet z Fanny Salomonówną, kiedy bawiła u nas na wsi i ostrożnie występowała po stronie matki albo siostry, nieraz się kłóciłem, a czasami bywałem dla niej zuchwały, chociaż w mieście łączyły nas nie tylko dobre, ale tkliwe stosunki. Sprzeczki wybuchały czasem o głupstwa. Często jednakże miewały i poważniejsze tło.

Noszę świeżo wypraną płócienną bluzę, skórzany pas z miedzianą klamrą, na białej czapce żółty znak, błyskający w słońcu – słowem wyglądam wspaniale. To trzeba wszystkim pokazać. Jadę z ojcem w pole, w czasie najgorętszej pracy przy sprzątaniu ozimej pszenicy. Starszy kosiarz, Archip, ponury i dobry zarazem, idzie pierwszy wzgórzem, za nim 2 kosiarzy i 12 kobiet, wiążących snopy. 12 kos tnie oziminę i rozpalone powietrze. Archip nosi portki na jeden rogowy guzik. Kobiety są w podartych spódnicach, albo tylko w zgrzebnych koszulach. Zdaleka dźwięk kos wydaje się dźwiękiem upału.

– Ano, daj i mnie, – mówi ojciec, – poprobuję jaka jest ozima słoma... Bierze od Archipa kosę i staje na jego miejscu. Patrzą na to ze wzruszeniem. Ojciec czyni proste, zwykłe ruchy, jakgdyby wcale nie pracował, tylko zabierał się dopiero do roboty, i kroki stawia lekkie, próbne, jakby szukał miejsca, gdzieby mógł nabrać rozmachu. Kosa porusza się w jego rękach zwyczajnie, wcale nie zuchowato, nawet jakby niebardzo pewnie, jednakże kosi bardzo nisko, bardzo równo, – tnie i naodlew kładzie zboże równa wstęgą po lewej ręce. Archip spogląda jednym okiem i bez słów widać, że chwali. Pozostali patrzą rozmaicie. Jedni niby z uznaniem: widać, że gospodarz nie ułomek. Inni zaś chłodno: dobrze mu kosie swoje i to tylko na pokaz. Być może, że nie uzmysławiam sobie tego wszystkiego zupełnie wyraźnie, ale mocno odczuwam skomplikowany mechanizm stosunków. Po odejściu ojca na inne pole, usiłuję sam władać kosą.

– Na piętę, na piętę zabierajcie słomę, czubek niech będzie swobodny, nie trzeba naciskać.

Jednakże ze wzruszenia nie wyobrażam sobie nawet, gdzie jest właściwie

owa piętka, czubek zaś za trzecim razem chowa się w ziemię.

– Ehe, tak to i kosę spotka prędko koniec, – mówi Archip, – pouczcie się u ojca.

Czuję na sobie drwiące oczy smagłej i zakurzonej żniwiarki i śpieszę, aby wydostać się z szeregu, razem z mym znakiem na czapce, z pod której spływa pot.

– Idź lepiej do mamusi po pierniczek, – słyszę za plecami kpiący głos Mutuzka. Znam tego czarnego, jak but, kosiarza: kolonista, pracuje w Janówce trzeci rok, zręczny, zuchwały w języku, w zeszłym roku mówił czasem o gospodarzach, naumyślnie przy mnie, złe ale trafne słowa. Mutozok podoba mi się, bo jest zręczny i śmiały, jednocześnie zaś wywołuje we mnie bezsilną nienawiść swymi bezczelnymi drwinami. Chciałbym powiedzieć coś takiego, coby przekonało Mutuzka do mnie, albo przeciwnie – przerwać mu rozkazująco, ale nie mogę znaleźć odpowiedniego słowa.

Wróciwszy z pola, spostrzegam przed progiem naszego domu bosą kobietę. Siedzi opodal kamienia, oparłszy się o ścianę, nie ma odwagi sięść na kamieniu, – to matka półgłupiego Ignatki. Szła siedem wiorst, żeby odebrać rubla, ale w domu niema nikogo i nikt nie może dać jej tego rubla. Czekać będzie do wieczora. Jakoś dziwnie ścisza mi się serce, gdy patrzę na tę postać, uosobienie nędzy i pokory.

Po upływie roku stosunki się nie poprawiły, przeciwnie. Wracając z krokietą, spotkałem na podwórzu ojca, który przed chwilą wrócił z pola, zmęczony i zirytowany, cały pokryty kurzem, za nim przestępował z nogi na nogę bosy, z czarnymi piętami, piegowaty chłopina. – Wypuście, na miłość boską krowę, – prosił i przysięgał, że nie puści jej więcej w zboże. Ojciec odpowiadał: – Twoja krowa zeżre za dziesięć groszy, a szkody zrobi za dziesięć rubli. Chłopina powtarzał swoje, a w błaganu jego dźwięczała nienawiść. Scena ta wywarła na mnie wstrząsające wrażenie, targnęła wszystkimi fibrami duszy. Nastrój krokietowy, wyniesony z placyku wśród grusz, gdzie zwyczajem pobiliśmy me siostry, odrazu zastąpiła gwałtowna rozpacz. Przemknąłem się obok ojca, przedostałem do sypialni, upadłem na łóżko i płakałem zapamiętale, mimo matrykuły ucznia klasy drugiej. Ojciec wszedł przez sień do jadalni, chłop przywłókł się za nim, aż na próg. Rozlegały się głosy. Potem chłop odszedł. Matka wróciła ze młyna, odróżniłem jej głos, słyszałem, jak zaczęto nakrywać do stołu, jak matka wołała mnie... Nie odpowiadałem i płakałem dalej. Wkońcu lzy nabrały błogiego posmaku. Drzwi się otworzyły i matka nachyliła się nade mną:

– Czego płaczesz, Liowoczka? – Nie odpowiadałem. Matka poszeptala z ojcem.

– O tego chłopca? Zwróciło mu się krowę i nie ściągnęło kary.

– Wcale nie o to, – odpowiedziałem z pod poduszki, wstydząc się boleśnie przyczyny mych łez.

– I nie ściągnęliśmy z niego kary, – w dalszym ciągu upewniała matka.

To ojciec odgadł powód mego zmarwienia i powiedział matce. Ojciec umiał mimochodem, jednym bystrem spojrzeniem, wiele zauważyć.

Pewnego razu, przyjechał pod nieobecność gospodarza strażnik ziemski, ordynarny, chciwy, zuchwały człowiek i zażądał paszportów od robotników. Znalazł dwa przedawnione. Natychmiast ściągnął z pola ich posiadaczy, oświadczył, że są aresztowani i zostaną odesłani etapem do domu. Jednym z aresztowanych był starzec z głębokimi brózdami na brunatnej szyi, drugim –

młody chłopiec, siostrzeniec owego staruszka. W sieni obaj padli na kolana na ubitą podłogę, najpiew starszy, za nim młody, pochylali głowy do ziemi i powtarzali. – Wyświadcźcie nam takie zmiłowanie boskie, nie gubcie nas. Tęgi i spocony strażnik, bawiąc się szablą i popijając przyniesione dla niego z piwnicy zimne mleko, odpowiadał: – Zmiłowanie mam tylko w święta, a dziś dzień powszedni. Siedziałem, jak na rozpalonych węglach i wyrzekłem urywanym głosem jakieś słowa protestu. – To, mój młody panie, was się nie-tyczy – ryknął surowo strażnik, a starsza siostra dała mi trwożny znak palcem. Strażnik zabrał obu robotników ze sobą.

Podczas wakacyj pracowałem jako rachunkowy, to jest na zmianę ze starszym bratem i siostrą, zapisywałem do księgi najętych robotników, warunki najmu i poszczególne wypłaty w naturze i pieniądzech. Podczas rozrachunków z robotnikami nieraz pomagałem ojcu i przy tej sposobności wybuchały między nami krótkie, hamowane obecnością robotników, starcia. Oszustw przy rozrachunkach nie było nigdy, ale warunki umowy komentowano zawsze surowo. Robotnicy, starsi zwłaszcza, zdawali sobie sprawę, że chłopiec idzie im na rękę i to właśnie drażniło ojca.

Po ostrych starciach, wychodziłem z domu z książką i czasem nawet nie wracałem na obiad. Pewnego razu po takiej kłótni zaskoczyła mnie w polu burza: pioruny były bez przerwy, stepowy deszcz aż zachłystywał się nadmiarem wody, zdawało się, że błyskawice szukają mnie to z jednej, to z drugiej strony. Przechadzałem się tam i zpowrotem, cały mokry, w chlupocących bucikach i czapce, podobnej do wylotu rynny. Kiedy wróciłem do domu, wszyscy zukosa patrzyli na mnie i nie wyrzekli słowa. Siostra przyniosła mi ubranie na zmianę i coś do jedzenia.

Po wakacjach wracałem zwykle do Odesy z ojcem. Przy przesiadaniu się nie braliśmy tragarza, tylko sami nieśliśmy nasze rzeczy. Ojciec brał cięższe pakunki, ja zaś widziałem po jego plecach i wyciągniętych rękach, że mu ciężko nieść. Żal mi go było i starałem się nieść sam, co tylko mogłem. Jeżeli jednak mieliśmy ze sobą drewnianą skrzynkę z wiejskimi upominkami dla odeskich krewnych, to braliśmy tragarza. Ojciec płacił skapo, tragarz był niezadowolony i ze złością kręcił głową. Zawsze boleśnie to przeżywałem. Kiedy jeździłem sam i musiałem uciekać się do tragarzy, wydawałem zawsze własne kieszonkowe pieniądze, obawiając się, że płacę za mało i niespokojnie zaglądałem tragarzowi w oczy. Była to reakcja na sknerstwo w domu rodzinnym, i to pozostało mi na całe życie.

I na wsi i w mieście żyłem w drobno-mieszczańskim środowisku, gdzie główne wysiłki czyniono przede wszystkim dla zdobywania pieniędzy. Pod tym względem odsunętem się i od wsi mego wczesnego dzieciństwa i od miasta moich lat szkolnych. Instynkty gromadzenia, drobno-mieszczański tryb życia i jego horyzont – odskoczyłem od tego wszystkiego gwałtownym skokiem i to na całe życie.

W dziedzinie religii i nacjonalizmu, miasto i wieś nie przeczyły sobie wzajemnie, przeciwnie nawet, pod wieloma względami dopełniały się raczej. Mój dom rodzinny nie był religijny. Początkowo pozory religijności istniały siłą inercji: w wielkie święta rodzice jeździli do kolonji do synagogi, matka nie szła w sobotę, w każdym razie nie szła jawnie. Jednakże i ta obrzędowa religijność słabła z latami, w miarę tego, jak rosły dzieci i dobrobyt rodziny. Ojciec od wczesnych lat był niewierzący, w późniejszych latach mówił o tem otwarcie przy matce i dzieciach. Matka wolała raczej omijać te kwestje, a w

odpowiednich wypadkach wznosiła oczy ku niebu.

Kiedy miałem jakieś siedem, czy osiem lat, wiara w Boga jednak była jeszcze ogólnie jakby oficjalnie uznawana. Razu pewnego przyjezdny gość, przed którym rodzice, jak zwykle, chwalili się synem, każąc mi pokazywać moje rysunki i czytać wiersze, spytał mnie:

– A co to jest Bóg? – Bóg – odpowiedziałem bez wahania – to taki człowiek. – Ale gość pokiwał głową: – Nie, Bóg to nie człowiek.

A czym jest Bóg? – spytałem z kolei, ponieważ poza człowiekiem, znałem tylko zwierzęta i rośliny. Gość, ojciec i matka spojrzeli po sobie z uśmiechem zmieszania, jak to zawsze czynią dorośli, kiedy dzieci zaczynają wstrząsać najbardziej ustalonymi ogólnymi zasadami.

– Bóg – to duch, – rzekł gość. Teraz ja patrzyłem z niewyraźnym uśmiechem na dorosłych, aby odczytać na ich twarzach, czy aby nie żartują sobie ze mnie. Ale nie, to nie były żarty. Trzeba się było poddać. Szybko przywykłem do tego, że Bóg jest duchem. Jak każdy mały dzikus, wiązałem Boga z moim własnym „duchem”, nazywając go duszą, i wiedziałem już o tem, że duch, to jest oddychanie, kończy się wraz z życiem. Jednak wówczas nie wiedziałem jeszcze o tem, że ta nauka nazywa się animizmem.

Podczas pierwszych wakacyj, kładąc się spać na leżaku w jadalni, zawiązałem rozmowę o Bogu ze studentem Z., bawiącym w Janówce i spijającym na kanapie. W tym okresie ani wierzyłem, ani nie wierzyłem w istnienie Boga, nie zajmowałem się tem szczególnie, ale wcale nie byłem od tego, aby mi tę sprawę ostatecznie rozwiązano.

– A gdzie podziewa się dusza po śmierci? – spytałem, kładąc głowę na poduszce. – A gdzie się podziewa człowiek, kiedy śpi? – zabrzmiała odpowiedź. – No, wtedy, jednakże... – podjąłem, walcząc ze snem. – A gdzie podziewa się dusza konia, kiedy koń zdycha? – nalegał Z. Ta odpowiedź zadowoliła mnie w zupełności i spokojnie zasnąłem.

Rodzina Szpencera wcale nie była religijna, oprócz starej ciotki, która zresztą nie wchodziła w rachubę. Ojciec chciał jednakże, żebym znał biblię w oryginale, to był jeden z punktów jego rodzicielskiej ambicji. To też w Odesie chodziłem na prywatne lekcje religii do bardzo uczonego staruszka. Lekcje te trwały wszystkiego tylko kilka miesięcy i ani trochę nie umocniły mnie w wierze ojców. Dosłyszawszy w słowach nauczyciela pewien dwuznaczny odcień w stosunku do tekstu, któregośmy się uczyli, ostrożnie i dyplomatycznie spytałem: – Jeżeli uznać, jak uważają niektórzy, że niema Boga, to w jaki sposób powstał świat? – Hm, – odpowiedział mój nauczyciel, – ale przecież można to pytanie zwrócić na niego samego. – W taki zagadkowy sposób wyraził się starzec. Zrozumiałem, że nauczyciel religii nie wierzy w Boga i ostatecznie się uspokoiłem.

Uczniowie realnej szkoły należeli do różnych narodowości i różnych wyznań. Wykład „religii” prowadził, zależnie od wyznania, duchowny prawosławny, pastor protestancki, ksiądz katolicki i żydowski nauczyciel religii. Pop, siostrzeniec archijereja, i, jak mówiono, ulubieniec dam, był młodym, o wspaniałych złocistych włosach blondynem, o wielkiej urodzie, przypominającej Chrystusa, tylko zupełnie salonowego, w złotych okularach. Wogóle był człowiekiem nieznośnie wspaniałym. Przed lekcjami religii uczniowie dzielili się na grupy, inowiercy wychodzili z klasy, czasami przed samym nosem duchownego. Wówczas zawsze przybierał szczególną minę, patrząc na wychodzących z wyrazem pogardy, ledwo łagodzonej prawdziwie

chrześcijańską pobłażliwością. – Dokąd idziecie? – pytał któregokolwiek z wychodzących. – Jesteśmy katolikami, – odpowiadał pytany. – A, katolicy... – powtarzał pop, kiwając głową – tak, tak, tak... A wy? – Żydzi... – Żydki, Żydki, tak, tak, tak... – Do katolików przychodził, jak czarny cień, ksiądz, zjawiając się zawsze pod samą ścianą i niknąc niepostrzeżenie, tak, że przez te wszystkie lata nie mogłem dostrzec jego wygolonej twarzy. Dobroduszny mężczyzna, nazwiskiem Zigelman, wykładał uczniom-Żydom biblię po rosyjsku i historię narodu żydowskiego. Tych lekcji nikt nie brał na serjo.

Czynnik nacjonalistyczny nie zajmował w mej psychologii samodzielnego miejsca, ponieważ mało wyczuwało się go w codziennym życiu. Wprawdzie, po wydaniu w 1881 roku praw, ograniczających Żydów, ojciec nie mógł już nabywać ziemi, czego tak pragnął, dzierżawić zaś ją mógł tylko pokryjomu, mnie jednakże to wszystko niewiele obchodziło. Jako syn zamożnego obywatela ziemskiego, należałem raczej do uprzywilejowanych, niż do uciskanych. Językiem rodziny i dworu była gwara rosyjsko-ukraińska. Przy wstępowaniu do szkoły istniało wprawdzie procentowe ograniczenie dla Żydów, przez które straciłem rok, następnie jednak byłem przez cały czas pierwszym uczniem i bezpośrednio nie odczuwałem ograniczeń. W szkole nie było wyraźnej naganki narodowościowej. Stała temu bowiem, do pewnego stopnia, na przeszkodzie narodowościowa pstrokacizna nie tylko wśród uczniów, ale i wśród nauczycielstwa. Mimo to wyczuwało się podziemny szowinizm, który od czasu do czasu wybuchał nazewnątrz. Historyk Liubimow pytał ze szczególnym upodobaniem ucznia-Polaka o prześladowania prawosławnych przez Polaków na Białej Rusi i Litwie. Mickiewicz, smagły, szczupły chłopiec, stał z pozieleniałą twarzą, zacisnąwszy zęby, nie mówiąc ani słowa. – No, co się stało? – zachęcał go Liubimow z odcieniem oczywistej rozkoszy. – Dlaczego nie mówisz? – Jeden z uczniów nie wytrzymał: – Mickiewicz sam jest Polakiem i katolikiem. – A... a... – przeciągle odpowiedział Liubimow z wyraźnie udanym zdziwieniem, – my tutaj żadnych różnic nie robimy...

Odczuwałem równie dotkliwie maskowane podłości historyka w stosunku do Polaków, jak złośliwe przyczepianie się Francuza Burnand'a do Niemców i kiwanie głową na temat „Żydków”. Brak równouprawnienia narodowościowego stanowił, prawdopodobnie, jeden z podziemnych bodźców do niezadowolenia z istniejącego ustroju, jednakże ten motyw był całkowicie pochłonięty przez inne przejawy niesprawiedliwości społecznej i nie grał nie tylko zasadniczej, ale nawet samodzielnej roli.

Poczucie wyższości spraw ogólnych nad prywatnymi, prawa nad faktem, teorii nad osobistym doświadczeniem, zbudziło się we mnie wcześniej i wzmacniało z biegiem lat. Miasto odegrało decydującą rolę w sformowaniu się tego poczucia, stanowiącego później jedną z podstaw mego światopoglądu. Kiedy chłopcy, uczący się fizyki i przyrodoznawstwa, robili zabobonne uwagi na temat „fernalnego” poniedziałku, albo popa, który przeciął im drogę, opanowywało mnie gwałtowne oburzenie, miałem wrażenie, że skrzywdzono myśl. Gotów byłem głową przebijać mur, aby tylko odwieźć ich od tych haniebnych przesądów.

Kiedy w Janówce długo mozolono się przy wymierzaniu powierzchni pola, mającego kształt trapezu, posłużyłem się Euklidesem, straciwszy na to raptem dwie minuty. Jednakże otrzymany przeze mnie rezultat nie zgadzał się tym, jaki osiągnięto „praktycznie” i nie uwierzono mi. Przyniosłem podręcznik

geometrii, zaklinałem się na naukę denerwowałem się, byłem zuchwały, widziałem jednakże, że ludzie nie dawali się przekonać i wpadłem w rozpacz.

Zacięte spory wiodłem z naszym wioskowym mechanikiem, Iwanem Wasiljewiczem, który nie chciał wyrzec się nadziei skonstruowania perpetuum mobile. Prawo zachowania energii wydawało mu się wymysłem niewiele mającym ze sprawą wspólnego. – To książka, a to praktyka... – mówił. Fakt, że ludzie odrzucają niewzruszone pewniki w imię zwykłych błędów lub bezsensownych urojeń, wydawał mi się czymś niepojętym i nieznośnym...

W późniejszych latach poczucie wyższości spraw ogólnych nad prywatnymi stało się integralną częścią mej literackiej i politycznej pracy. Tępy empiryzm, nędzna ucieczka przed faktem, czasami tylko wyimaginowanym, często źle zrozumianym, były mi nienawistne. Ponad faktami szukałem praw. Oczywiście, nieraz prowadziło to do zbyt spieszonych i błędnych uogólnień, zwłaszcza w młodości, kiedy do uogólnień brakło mi zarówno wiedzy książkowej, jak i życiowego doświadczenia. We wszystkich jednak, bez wyjątku, dziedzinach czułem, że potrafię działać i iść naprzód tylko w tym wypadku, jeśli mam w rękach nić ogólną. Socjalno-rewolucyjny radykalizm, będący moją duchową osią w ciągu całego życia, wyrósł właśnie z tej intelektualnej wrogości w stosunku do walki o drobiazgi, do empiryzmu, wogóle do wszystkiego, co nie jest ideowo sformowane i teoretycznie uogólnione.

Usiłuję obejrzeć się na siebie. Chłopiec był, bez wątpienia, samolubny, gwałtowny, bodaj że trudny w pożyciu. Wątpię, czy przy wstępowaniu do szkoły miał poczucie wyższości nad swymi rówieśnikami. Coprawda, na wsi popisywano się nim przed gośćmi, ale tam nie miał przecież z kim się porównywać, bo chłopcy z miasta, którzy bywali w Janówce, zawsze posiadali nieosiągalną wyższość gimnazystów, związaną ze starszeństwem, tak, że patrzeć na nich mógł tylko wznosząc w górę oczy. Szkoła jednakże jest areną zaciętej rywalizacji. Od tej chwili, w której ów chłopiec został primusem, bez porównania lepszym od drugiego ucznia, mały wychodźca z Janówki poczuł, że potrafi więcej, niż inni. Chłopcy, którzy się z nim przyjaźnili, uznawali jego wyższość. To nie mogło nie odbić się na jego charakterze. Nauczyciele również chwalili go, a niektórzy, jak Krzyżanowski, bardzo nawet wyróżniali. Naogół jednak, nauczyciele odnosili się do niego wprawdzie dobrze, ale raczej chłodno. Koledzy dzielili się na gorących przyjaciół i przeciwników.

Chłopiec nie był pozbawiony samokrytycyzmu. Raczej miał sobie wiele do zarzucenia. Własne wiadomości i rysy własnego charakteru, nie zadawały go i to im później, tem bardziej. Zaciekle chwycił się na tem, że powiedział nieprawdę i wyrzucał sobie na każdym kroku, że nie czytał książek, które inni wymieniali z pewnością siebie. To, oczywiście, było ściśle związane z ambicją. Myśl o tem, że trzeba stać się lepszym, wyższym, bardziej czytany, coraz częściej dręczyła mu serce. Myślał o przeznaczeniu człowieka wogóle, o swem własnym zaś w szczególności.

Pewnego wieczoru, Mojżesz Filipowicz, przechodząc obok, zwrócił się do mnie uroczyście. – No, cóż, bracie, czy zastanawiasz się nad życiem? – Mój wychowawca często uciekał się do takiej żartobliwej retoryki, do ironiczno-teatralnego tonu. Jednakże pytanie to oblało mnie jakby żarem. Tak, właśnie zastanawiałem się nad życiem, tylko nie umiałem nazwać tem słowem mego chłopięcego lęku przed przyszłością. Zdawało mi się, że mój wychowawca podsłuchał moje wyśli. – Widać, że trafiłem w sedno, – zauważył Mojżesz

Filipowicz, zupełnie już innym tonem i, łagodnie poklepując mnie po plecach, poszedł do siebie.

Czy rodzina Szpencera miała jakieś polityczne poglądy? Umiarkowanie liberalne, na humanitarnym podłożu. Mojżesz Filipowicz zaś – mgliście socjalistyczne sympatie, z zabarwieniem ludowym i tołstojowskim. Prawie nigdy nie poruszano tematów politycznych, zwłaszcza przy mnie: może obawiano się poprostu, żebym nie powiedział czegoś niepotrzebnego kolegom i nie wywołał wilka z lasu. Kiedy zaś w rozmowach starszych powoływano się przypadkowo na wydarzenia ruchu rewolucyjnego, na przykład: „to było w roku, kiedy zabito Aleksandra II”, to zatraćtało to taką daleką przeszłością, jakby ktoś powiedział: „to było w roku, w który Kolumb odkrył Amerykę”. Środowisko, w którym żyłem, było apolityczne. W ciągu moich lat szkolnych nie miałem poglądów politycznych, ani też nawet nie odczuwałem potrzeby ich posiadania. Jednakże moje nieuświadomione dążenia były opozycyjne. Żywiłem głęboką niechęć do istniejącego ustroju, do niesprawiedliwości, do gwałtu. Skąd ją czerpałem? Z warunków epoki Aleksandra III, z policyjnej samowoli, z eksploatacji posiadających, urzędniczego łapownictwa, ograniczeń narodowościowych, z niesprawiedliwości w szkole i na ulicy, z bliskiej przyjaźni z chłopskimi dziećmi, służbą, robotnikami, z rozmów w warsztacie, z humanitarnego nastroju w rodzinie Szpencera, z czytania wierszy Niekrasowa i wszelkich innych książek, z całej wogóle atmosfery społecznej. Owe nastroje opozycyjne odkryłem w sobie wyraźnie przy zetknięciu się z dwoma kolegami z tej samej klasy: Rodziewiczem i Kołogriwowem.

Włodzimierz Rodziewicz był synem pułkownika i przez pewien czas drugim uczniem w klasie. Nalegał na rodziców, żeby pozwolili mu zaprosić mnie na niedzielę. Przyjęto mnie dosyć sztywno, ale dobrze. Pułkownik i pułkownikowa rozmawiali ze mną niewiele, jakby mnie badając. W ciągu owych trzech-czterech godzin, które spędziłem w rodzinie Rodziewiczów, dwukrotnie natknąłem się na coś obcego i niepokojącego, nawet wrogiego: kiedy rozmowa mimochodem dotykała religii, albo władzy. W rodzinie panował ton konserwatywnej prawowierności, który odczułem, jak cios w pierś. Włodzimierzowi rodzice nie pozwolili przyjść do mnie i przyjaźń nasza przerwała się. Po pierwszej rewolucji w Odesie, wielką popularność zyskało nazwisko czarnosecińca Rodziewicza, zapewne jednego z członków tej rodziny.

Jeszcze jaskrawszy przebieg miała sprawa z Kołogriwowem. Kołogriwow wstąpił od razu do drugiej klasy na drugie półrocze i wyróżniał się w klasie swą obcością, wzrostem i niezgrabnością. Pilności był niezwyklej. Gdzie tylko i co tylko można było, wykuwał na pamięć. Już w ciągu pierwszego miesiąca zakuł się całkiem. Kiedy nauczyciel geografji wywołał go do tablicy, Kołogriwow, nie czekając na pytanie, zaczął od razu: – Jezus Chrystus nauczał świat...– Rzecz w tem, że po geografji miała być lekcja religji. W rozmowie z tym Kołogriwowem, który odnosił się do mnie, jako do pierwszego ucznia, z pewnym szacunkiem, wyraziłem jakiś krytyczny sąd, czy to o dyrektorze, czy o kimś innym: – Czy można tak mówić o dyrektorze? – spytał ze szczerem oburzeniem Kołogriwow. – A dlaczego nie? – z jeszcze szczerzem zdziwieniem spytałem z kolei ja. – Przecież on jest władzą. Jeśli władza każe ci chodzić na głowie, to obowiązany jesteś to zrobić, a nie krytykować. – Powiedział to całkiem dosłownie. Ta skryzalizowana formuła zrobiła na mnie wrażenie. Nie domyślałem się wówczas, że chłopiec powtórzył to tylko, co

zapewne nie raz słyszał w swej niewolniczej rodzinie. I chociaż nie miałem własnych poglądów, zrozumiałem jednakże, że istnieją takie poglądy, których przyjąć nie mogę, podobnie, jak nie mógłbym jeść robaczywej stawy.

Równoległe z głuchą nienawiścią do politycznego régime'u Rosji, rozwijała się niepostrzeżenie idealizacja zagranicy, Zachodniej Europy i Ameryki. Z poszczególnych uwag i urywków, uzupełnianych przez własną wyobraźnię, stworzyłem sobie pojęcie o wysokiej, równomiernie obejmującej wszystkich kulturze. Później związało się z tem pojęcie idealnej demokracji. Młody racjonalizm twierdził, że jeśli się coś zrozumiało, to tem samem i urzeczywistniło. Dlatego wydawało mi się czemś nieprawdopodobnem, że w Europie mogą istnieć przesady, że kościół może grać tam dużą rolę, że w Ameryce mogą prześladować czarnych. Ta idealizacja, niepostrzeżenie zaszczipiona mi przez otaczające mnie mieszczańsko-liberalne środowisko, utrzymała się również i później, kiedy już zaczęłem się przejmować poglądami rewolucyjnymi. Prawdopodobnie bardzobym się zdziwił, gdybym usłyszał w owych latach – gdybym mógł usłyszeć – że republika niemiecka, z rządem socjal-demokratycznym na czele, wpuszcza monarchistów, ale odmawia prawa azylu rewolucjonistom. Od tego czasu, na szczęście, już wiele przestało mnie dziwić. Życie wytrzebiło ze mnie racjonalizm i nauczyło mnie djalektyki. Nawet Herman Müller nie jest w możności mnie zadziwić.

ROZDZIAŁ VI

PRZEŁOM

Polityczny rozwój Rosji od połowy ubiegłego wieku liczył się na dziesięciolecie. Lata sześćdziesiąte, po wojnie krymskiej, były epoką oświecenia, naszym krótkim wiekiem 18-tym. W następnych dziesiątkach lat inteligencja próbowała już wyciągnąć praktyczne wnioski z idei oświecenia: rozpoczęła od pójścia w lud z propagandą rewolucyjną, a zakończyła terorem. Lata siedemdziesiąte weszły do historii, przeważnie jako lata „Narodnej Woli”. Najlepsze jednostki owego pokolenia spłonęły w ogniu walki dynamitowej. Wrogowie utrzymali wszystkie swe pozycje. Nastąpiło dziesięć lat upadku, rozczarowania, pesymizmu, poszukiwań religijnych i moralnych – lata osiemdziesiąte. Pod osłoną reakcji szła natomiast głucha praca sił kapitalistycznych. Lata dziewięćdziesiąte przynoszą ze sobą strejki robotnicze i idee marksizmu. Nowa fala osiąga swój punkt kulminacyjny w pierwszym dziesięcioleciu nowego wieku: to rok 1905.

Lata osiemdziesiąte biegły pod znakiem oberprokuratora najświętszego synodu, Pobiedonoscewa, klasyka samowładnej władzy i powszechnego bezruchu. Liberali uważali go za czysty typ biurokraty, nieznającego życia. Ale to nie było prawdą. Pobiedonoscew zdawał sobie sprawę ze sprzeczności, ukrytych w głębiach życia narodowego, o wiele trzeźwiej i poważniej, niż liberali. Rozumiał, że gdy śruby zostaną osłabione, ciśnienie od dołu zerwie pokrywę społeczną i wtedy rozsypie się w proch wszystko to, co nietylko Pobiedonoscew, lecz również i liberali uważali za ostoję kultury i moralności. Pobiedonoscew po swojemu patrzył dalej, niż liberali. Nie jego w tym wina, że proces historyczny okazał się potężniejszy od tego bizantyńskiego systemu, którego z taką energią bronił ten inspirator Aleksandra III i Mikołaja II.

W ciągu martwych lat 80-tych, kiedy liberałom zdawało się, że wszystko już zamarło, Pobiedonoscew wyczuwał pod nogami chwanie się gruntu i głuche, podziemne wstrząsy. Nie był spokojny nawet w najspokojniejszych latach panowania Aleksandra III. „Ciężko było i jest – i choć gorzko to powiedzieć – będzie tak dalej – pisał Pobiedonoscew do swoich zaufanych. – Ciężar ani na chwilę nie spada mi z serca, dlatego, że czuję i widzę w każdej godzinie, jaki jest duch czasu i jacy stali się ludzie. Porównywując terażniejszość z tem, co dawno minęło, czujemy, że żyjemy w jakimś innym świecie, *gdzie wszystko dąży wstecz ku pierwotnemu chaosowi*, my zaś wśród tego całego fermentu czujemy się bezsilni”. Pobiedonoscew dożył roku 1905, kiedy tak bardzo niepokojące go siły podziemne wybuchnęły nazewnątrz i pierwsze głębokie pęknięcia porysowały fundament i kapitalne ściany całego starego gmachu.

Za oficjalny rok przełomu politycznego w kraju uważany jest rok 1891, który upamiętnił się nieurodzajem i głodem. Nowe dziesięciolecie nietylko w Rosji stało pod znakiem sprawy robotniczej. W roku 1901 niemiecka partja socjalistyczna ustaliła w Erfurcie swój program. Papież Leon XIII wydał

encyklikę, poświęconą położeniu robotników, Wilhelm nosił się z ideami społecznymi, w których nieprawdopodobne nieuctwo łączyło się z biurokratycznym romantyzmem. Sojusz cara z Francją zapewnił napływ kapitału do Rosji. Mianowanie Wittego ministrem finansów stworzyło erę protekcjonizmu przemysłowego. Gwałtowny rozwój kapitalizmu rodził tego właśnie „ducha czasu”, który dręczył Pobiedonoscewa groźnymi przeczuciami.

Zwrot do politycznej aktywności ujawnił się przedewszystkiem w kołach inteligencji. Coraz częściej i coraz bardziej stanowczo zaczęli występować młodzi marksiści. Jednocześnie obudzili się z uspienia ludowcy. W 1893 roku wydano pierwszą legalną książkę marksowską, pióra Struwego. Miałem wówczas 14-ty rok i daleki byłem od podobnych zagadnień.

W 1894 roku zmarł Aleksander III. Jak zawsze w podobnych wypadkach, liberalne nadzieje usiłowały znaleźć oparcie w następcy tronu. Odpowiedział im kopnięciem. Na przyjęciu członków samorządu ziemskiego młody car nazwał nadzieje konstytucyjne „bezsensownymi marzeniami”. Mowa ta została wydrukowana we wszystkich gazetach. Podawano sobie z ust do ust pogłoskę, jakoby na papierku, z którego car odczytywał mowę, było napisane: „bezpodstawne marzenia”, ale ze wzruszenia car powiedział brutalniej, niż zamierzał. W owym czasie miałem 15 lat. Byłem nieświadomie po stronie bezpodstawnych marzeń, a nie po stronie cara. Miałem nieokreśloną ściśle wiarę w stopniowe doskonalenie się, które powinno zacofaną Rosję zbliżyć do przodującej Europy. Poza tę granicę moje ideały polityczne nie sięgały.

Handlowa, różnoplemienna, pstra i krzykliwa Odesa, pod względem politycznym pozostawała daleko w tyle poza innymi centrami. W Petersburgu, Moskwie, Kijowie istniały już w owych czasach liczne kółka socjalistyczne w zakładach naukowych. W Odesie jeszcze ich nie było. W roku 1895 zmarł Fryderyk Engels. W różnych miastach Rosji poświęcono Engelsowi potajemne odczyty w kółkach studenckich i uczniowskich. Miałem już wówczas 16 rok. Jednakże nie znałem nawet nazwiska Engelsa i wątpię, czy mógłbym powiedzieć coś określonego o Marksie, bodaj-że wogóle nic jeszcze o nim nie wiedziałem.

Moje polityczne nastroje w szkole nie były ściślej określone, – były opozycyjne, to wszystko. O kwestiach rewolucyjnych za moich czasów nie było jeszcze w szkole mowy. Powtarzano sobie szeptem, że w prywatnej szkole gimnastycznej Czecha, Nowaka, zbierały się jakieś kółka, że miały miejsce aresztowania, że właśnie zato Nowak, uczący nas gimnastyki, został zwolniony ze szkoły i zastąpiony przez oficera. W środowisku ludzi, z którymi byłem związany przez rodzinę Szpencera, panowało niezadowolenie z régime'u, jednakże uważano go za niewzruszony. Najśmielsi marzyli o konstytucji za kilkadziesiąt lat. O nastrojach w Janówce niema co mówić. Kiedy, po skończeniu szkoły, zdradziłem się na wsi z niewyraźnymi ideami demokratycznymi, ojciec od razu nasepił się i rzekł wrogo: – Tego nie będzie jeszcze nawet za trzysta lat. – Przekonany był o bezcelowości reformatorskich wysiłków i lękał się o syna. W roku 1921, kiedy, uratowawszy się od białych i czerwonych niebezpieczeństw, ojciec przybył do mnie na Kreml, rzekłem mu żartem: – A pamiętasz, jakieś mówił, że porządki carskie starczą jeszcze na trzysta lat? – Starzec uśmiechnął się chytrze i odpowiedział po ukraińsku: – Pust' na siej raz twoja prawda starsze...

W początkach lat dziewięćdziesiątych w środowisku inteligencji zamierały nastroje tołstojowskie, marksizm zaś coraz bardziej zwycięsko wypierał

ludowość. Echami tej walki ideowej przepelniona była prasa wszystkich kierunków. Wszędzie wspomniano o zarozumiałych młodych ludziach, którzy nazywają siebie materialistami. Zetknąłem się z tem wszystkim po raz pierwszy dopiero w roku 1896.

Zagadnienia, dotyczące osobistej moralności, tak ściśle związane z bierną ideologią lat 80-tych, prześliznęły się po mnie w tym okresie, kiedy „samodoskonalenie się” wydawało mi się nie tyle kierunkiem ideowym, ile raczej organiczną potrzebą rozwoju duchowego. Samodoskonalenie się natychmiast jednak natknęło się na sprawę „światopoglądu”, który z kolei doprowadził do zasadniczej alternatywy: ludowość, albo marksizm. Walka kierunków ogarnęła mnie z opóźnieniem tylko kilkoletniem w stosunku do ogólnego przełomu ideowego w kraju. Kiedy zapoznałem się z abecadłem ekonomji i stawiałem sobie pytanie, czy Rosja powinna przejść stadjum kapitalizmu, marksieści starszego pokolenia zdążyli już znaleźć drogę do robotników i stać się socjal-demokratami.

Do pierwszych rozstajnych dróg w mojej życiowej wędrówce podszedłem z niewielkim przygotowaniem politycznym nawet, jak na moje siedemnaście lat. Zbyt wiele pytań nastęczało mi się naraz bez przestrzegania koniecznego związku i kolejności. Gubiłem się wtem. Jedno tylko można z całą pewnością powiedzieć: w mojej świadomości życie nagromadziło już poważny zapas społecznego protestu. Z czego składał się ów protest? Ze współczucia dla krzywdzonych i oburzenia nad niesprawiedliwością. To ostatnie uczucie było chyba najsilniejsze. We wszystkich moich wrażeniach życiowych, począwszy od wczesnego dzieciństwa, nierówność między ludźmi występowała w wyjątkowo brutalnych i bezpośrednich formach, niesprawiedliwość nosiła nieraz charakter bezczelnej bezkarności, godność ludzką deptano na każdym kroku. Wystarczy wspomnieć o chłóście włościan. Wszystko to absorbowало mocno mój umysł jeszcze przed wszelkimi teorjami, tworząc zapas wrażeń o wielkiej sile wybuchowej. Być może dlatego właśnie wahałem się jakby przez pewien czas przed czynieniem zasadniczych wniosków, które koniecznie należało wyprowadzić z obserwacji pierwszego okresu mego życia.

Jednakże w moim rozwoju była również i druga strona. W chwili, gdy nowe pokolenie wchodzi w świat, umarły nieraz pociąga za sobą żywego. Tak było również z tem pokoleniem rosyjskich rewolucjonistów, których wczesna młodość przeszła w przygniatającej atmosferze lat 80-tych. Nie bacząc na szerokie perspektywy, jakie otwierała nowa nauka, w praktyce wszyscy marksieści najzupełniej tkwili w niewoli nastrojów konserwatywnych lat ośmdziesiątych, zdradzali brak zdolności do śmiałej inicjatywy, ustępowali przed przeszkodami, odsuwali rewolucję w nieokreśloną przyszłość, socjalizm zaś skłonni byli uważać za produkt ewolucyjnej pracy stuleci.

W takiej rodzinie, jak rodzina Szpencera, kilka lat wcześniej, lub w kilka lat później, głos politycznej krytyki brzmiałby bez porównania głośniejsz. Moim udziałem były lata największej martwoty. Rozmów politycznych w rodzinie prawie wcale nie prowadzono, wielkie zagadnienia zaś pomijano milczeniem. W szkole działo się tak samo. Bez wątplenia wiele wchłonełem w siebie z tej atmosfery lat 80-tych. I później, kiedy już zacząłem się formować jako rewolucjonista, chwyciłem się na niedowierzaniu w działanie mas, na książkowym, abstrakcyjnym i dlatego sceptycznym stosunku do rewolucji. To wszystko musiałem sam w sobie zwalczać – rozmyślaniami, czytaniem, a głównie doświadczeniem – póki nie zmołem w sobie elementów psychicznej

opieszalności.

Jednak niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Może właśnie ta okoliczność, że musiałem świadomie zwalczać w sobie echa lat ośmdziesiątych, dała mi możliwość poważniej, konkretniej i bezpośredniej podejść do zasadniczych problematów ruchu masowego. Trwałe jest to tylko, co zdobyte zostało w walce. Wszystko to jednak odnosi się do dalszych rozdziałów mej opowieści.

Do siódmej klasy chodziłem już nie w Odesie, lecz w Mikołajowie.

Miasto to było bardziej prowincjonalne, szkoła stała na niższym poziomie. Jednakże rok 1896 – rok nauki w Mikołajowie, – stał się przełomowym rokiem mej młodości, ponieważ postawił przede mną zagadnienie obrania sobie miejsca w społeczności ludzkiej. Mieszkałem przy rodzinie, w której były dorosłe dzieci, ogarnięte już zlekka nowymi prądami. Rzecz szczególnie: początkowo zdecydowanie negowałem w rozmowach „socjalistyczne utopje”. Odgrywałem rolę sceptyka, który przeszedł już przez to wszystko. Na pytania o charakterze politycznym reagowałem tonem ironicznej wyższości. Gospodyni, u której mieszkałem, patrzyła na mnie z podziwem i nawet stawiała mnie za przykład, co prawda, bez przekonania, swym własnym dzieciom, trochę starszym ode mnie i skłaniającym się ku lewicy. Z mej strony jednakże była to tylko nierówna walka o samodzielność. Starałem się uniknąć osobistego wpływu tych młodych socjalistów, z którymi zetknął mnie los. Ta nierówna walka trwała wszystkiego parę miesięcy. Idee, krążące w powietrzu, były silniejsze ode mnie. Tem bardziej, że w głębi duszy niczego tak nie pragnęłem, jak poddania się im. Już po kilku-miesięcznym Pobytku w Mikołajowie zachowanie moje uległo radykalnej zmianie. Wyrzekłem się sztucznego konserwatyzmu i szedłem na lewo, z szybkością, odstraszącą niektórych z mych nowych przyjaciół. – Jak to być może? – pytała moja gospodyni. – Niesłusznie więc stawiałem was za przykład moim dzieciom.

Zaniedbałem naukę w szkole. Zresztą, wywiezione z Odesy wiadomości wystarczały na to, żeby utrzymać jako-tako oficjalne stanowisko pierwszego ucznia. Coraz częściej opuszczałem lekcje. Pewnego razu w moim mieszkaniu zjawił się z wizytą inspektor, aby sprawdzić przyczynę moich nieobecności. Czuję się tem niesłychanie poniżony. Inspektor jednakże był uprzejmy, przekonał się, że zarówno w domu, w którym mieszkałem, jak i w moim pokoju panował porządek, i spokojnie oddalił się. Pod materacem mego łóżka leżało kilka nielegalnych broszur.

Poza młodzieżą, skłaniającą się ku marksizmowi, po raz pierwszy spotkałem w Mikołajowie kilku dawnych zesłańców, pozostających pod nadzorem policji. Były to drugorzędne postacie z okresu upadku ruchu ludowców. Socjal-demokraci nie wracali jeszcze z zesłania, przeciwnie udawali się na nie dopiero. Dwa spotykające się kierunki tworzyły wiry ideowe, w których czas jakiś kręciłem się i ja również. Od ludowców biła woń stęchlizny. Marksizm odstraszał tak zwaną „wąskością”. Pałać się z niecierpliwości, starałem się przyswajać sobie idee wycuciem. Jednakże nie było to takie proste. Wokoło siebie nie znajdowałem nikogo, kto by mógł być dla mnie podporą. Poza tem każda nowa dysputa zmuszała mnie do stwierdzenia z goryczą, rozpaczą i uczuciem obrazy własnego nieuctwa.

Poznałem i zaprzyjaźniłem się z ogrodnikiem Szwigowskim, Czechem z pochodzenia. W jego postaci po raz pierwszy zobaczyłem robotnika, otrzymującego gazety, czytającego po niemiecku, znającego klasyków,

biorącego swobodnie udział w sporach marksistów z ludowcami. Jego domek w ogrodzie, składający się z jednego pokoju, był miejscem, gdzie spotykali się przyjezdni studenci, dawni zesłańcy i młodzież miejscowa. Przez Szwigowskiego można było dostać zakazaną książkę. W rozmowach zesłańców wymieniano nazwiska narodowolców: Żelabowa, Perowskiej, Figner, nie jak bohaterów legendy, lecz jak żywych ludzi, z którymi spotykali się, jeśli nie owi właśnie zesłańcy, to ich starsi przyjaciele. Doznawałem takiego uczucia, jakbym włączał się jako małe ognisko do wielkiego łańcucha..

Rzucałem się na książki, w obawie, że nie starczy mi całego życia na przygotowanie się do działania. Czytałem nerwowo, niecierpliwie i niesystematycznie. Od nielegalnych broszurek z minionej epoki, przechodziłem do „Logiki” Johna Stuarta Milla, potem zasiadałem do „Kultury Pierwotnej” Lipperta, nie doczytawszy „Logiki” nawet do połowy. Utylitaryzm Benthama uważałem za ostatnie słowo ludzkiej myśli. W ciągu kilku miesięcy byłem zaciętym benthamistą. Równocześnie zachwyciłem się realistyczną estetyką Czernyszewskiego. Nie skończywszy z Lippertem, przerzuciłem się do „Historji rewolucji francuskiej” Mignet. Każda książka żyła własnym życiem, nie znajdując dla siebie miejsca w systemacie. Walka o systemat była pełna napięcia, chwilami zaś nawet zaciętości. Jednocześnie odsuwałem się od marksizmu, po części właśnie dlatego, że stanowił on gotowy już systemat.

Jednocześnie zaczęłem czytywać gazety nie tak jednak, jak w Odesie, lecz przede wszystkim zwracając uwagę na politykę. Największym autorytetem cieszyła się wówczas moskiewska liberalna gazeta „Russkija Wiedomosti”. Nie czytaliśmy jej, lecz poprostu studjowaliśmy ją, poczynając od impotentnych profesorskich artykułów wstępnych, a kończąc na naukowych felietonach. Dumą gazety były korespondencje zagraniczne, zwłaszcza z Berlina. Dzięki „Russkim Wiedomostiom”, otrzymałem pierwsze pojęcie o politycznym życiu Zachodniej Europy, zwłaszcza zaś o partjach parlamentarnych. Dziś trudno jest nawet wyobrazić sobie to wzruszenie, z jakim śledziliśmy mowy Bebla, a nawet Eugenjusza Richtera. Dotychczas pamiętam zdanie, które Daszyński rzucił wchodzącym do gmachu parlamentu policjantom: „Jestem przedstawicielem 30.000 robotników i włościan Galicji, któż ośmieli się mnie dotknąć!” Czytając te słowa, usiłowaliśmy sobie wyobrazić tytaniczną postać galicyjskiego rewolucjonisty. Teatralne dekoracje parlamentaryzmu okrutnie oszukiwały nas, niestety. Zdobycze niemieckiego socjalizmu, wybory prezydenta w Stanach Zjednoczonych, zmiany w austriackim reichsracie, wystąpienia francuskich rojalistów, wszystko to interesowało nas znacznie więcej, niż osobiste życie każdego z nas.

Tymczasem stosunki z rodziną pogorszyły się. Przyjeżdżając do Mikołajowa celem sprzedaży zboża, ojciec dowiedział się w jakiś sposób o moich nowych znajomościach. Ojciec czuł, że nadchodzi niebezpieczeństwo, ale spodziewał się, że zdoła odwrócić je swym ojcowskim autorytetem. Doszło między nami do kilku burzliwych scen. Nieustępliwie walczyłem o mą samodzielność, o prawo wyboru drogi życiowej. Skończyło się tem, że zrzekłem się materialnej pomocy od rodziny, porzuciłem me uczniowskie mieszkanie i zamieszkałem razem ze Szwigowskim, który w owym czasie dzierżawił inny ogród z obszerniejszym lokalem. Tutaj w sześciu żyliśmy w „komunie”. Latem liczba ta zwiększała się o jednego lub dwóch suchotników-studentów, szukających czystego powietrza. Zaczęłem dawać lekcje. Żyliśmy

jak spartanie, bez bielizny pościelowej, i żywiliśmy się zupkami, któreśmy sobie sami gotowali. Nosiliśmy granatowe bluzy, okrągłe słomkowe kapelusze i czarne laski. W mieście uważano, że przystąpiliśmy do jakiejś tajemniczej sekty. Czytaliśmy bezładnie, zacięcie dysputowali, namiętnie zaglądaliśmy w przyszłość i byliśmy po swojemu szczęśliwi.

Po jakimś czasie stworzyliśmy związek, mający na celu rozpowszechnianie wśród ludu pożytecznych książek. Zbieraliśmy składki pieniężne, kupowali tanie wydawnictwa, ale nie umieliśmy ich rozpowszechniać. W ogrodzie Szwigowskiego pracował jeden wynajęty robotnik i jeden wyrostek-uczeń. Przedewszystkiem na nich skierowaliśmy naszą akcję oświatową. Jednakże okazało się, że robotnik był przebrany żandarmem, którego specjalnie umieszczono w ogrodzie, aby nas śledził. Nazywał się Cyryl Tchorzewskij. Wciągnął w stosunki z żandarmami również i wyrostka, który ukradł nam dużą paczkę książek ludowych i zaniósł ją do dowództwa żandarmerji. Początek był więc wyraźnie nieudany. Jednakże niezachwianie wierzyliśmy w powodzenie w przyszłości.

Napisałem dla wydawnictwa ludowego w Odesie artykuł polemiczny przeciw pierwszemu czasopismu marksowskiemu. W artykule było mnóstwo aforyzmów, cytaty i jadu. Treści było w nim znacznie mniej. Artykuł wysłałem pocztą, a w tydzień później sam poszedłem po odpowiedź. Redaktor z sympatją patrzył przez wielkie okulary na autora, na którego głowie piętrzyła się olbrzymia czupryna, przy zupełnym braku zarostu na twarzy. Artykuł nie ujrzał światła dziennego. Nikt nic na tem nie stracił, a najmniej ja sam.

Kiedy obieralny zarząd biblioteki społecznej podniósł roczną opłatę abonamentową z pięciu do sześciu rubli, dopatrzyliśmy się w tem chęci odgrodenia się od demokracji i uderzyliśmy na alarm. Przez kilka tygodni zajmowaliśmy się wyłącznie przygotowaniem ogólnego zebrania członków biblioteki. Wytrząsaliśmy wszystkie nasze demokratyczne kieszenie, zbieraliśmy ruble i półrublówki i za te pieniądze wpisywaliśmy nowych radykalniejszych członków, z których bardzo niewielka garstka posiadała oprócz sześciu rubli, również przewidzianą w ustawie pełnoletniość. Książkę zażaleń w bibliotece zamieniliśmy na zbiór płomiennych pamfletów. Na dorocznym zebraniu stały się dwie partje: urzędnicy, nauczyciele, liberalni obywatele i oficerowie marynarki z jednej strony, i my, demokracja, z drugiej. Zwycięstwo przypadło nam w udziale na całej linii: przywróciliśmy pięciurublową opłatę i wybraliśmy nowy zarząd.

Rzucając się na wszystkie strony, postanowiliśmy stworzyć uniwersytet na zasadach wzajemnego nauczania. Słuchaczy było około dwudziestu. Mnie przypadły wykłady socjologii. Brzmiało to bardzo szumnie. Przygotowywałem się niesłychanie strannie do mego kursu. Po dwóch wykładach, które przeszły całkiem pomyślnie, poczułem nagle, że moje zapasy wiedzy się wyczerpały. Drugi lektor, obarczony kursem francuskiej rewolucji, zaplątał się w pierwszych zdaniach i obiecał dostarczyć wykład w formie pisemnej. Naturalnie, obietnicy nie dotrzymał. Na tem skończyło się to przedsięwzięcie.

Wówczas z tym właśnie drugim lektorem, starszym z braci Sokołowskich, postanowiliśmy napisać dramat. W tym celu opuściliśmy na jakiś czas komunę i ukryliśmy się w oddzielnym pokoju, nie podając nikomu naszego adresu. Sztuka nasza była przepojona tendencjami społecznymi na tle walki pokoleń. Chociaż obaj dramaturgowie odnosili się na poły nieufnie do marksizmu, tem niemniej jednak ludowiec w sztuce był raczej postacią kaleką, a odwaga,

świeżość, nadzieja stanowiły cechy młodych marksistów. Taka jest siła czasu! Element romantyczny reprezentował rewolucjonista – rozbitek życiowy ze starszego pokolenia, zakochany w marksistce, która odtrąca go, wygłaszając przytem bezlitosną przemowę o bankructwie ludowców.

Niem mało pracy kosztowała nas ta sztuka. Czasami pisaliśmy wspólnie, podniecając się i poprawiając wzajemnie, czasami rozbijaliśmy akty na części i każdy z nas w ciągu dnia przygotowywał scenę albo monolog. Trzeba przyznać, że na monologach w sztuce tej nie zbywało. Wieczorem Sokołowski wracał ze służby, która pozwalała mu swobodnie opracowywać żalose przemowy rozbitka życiowego z lat siedemdziesiątych. Ja zaś wracałem z lekcji albo od Szwigowskiego. Córka gospodarstwa podawała nam samowar. Sokołowski wyciągał z kieszeni chleb i kielbasę. Odgradzeni panczerem tajemniczości od całego świata, dramaturgowie spędzali resztę wieczoru na gorączkowej pracy. Pierwszy akt ukończyliśmy cały, nawet – jak to być powinno – z efektem przed zapadnięciem kurtyny. Pozostałe akty w liczbie czterech, były dopiero naszkicowane. Im dalej jednak posuwaliśmy się, tem bardziej chłodliśmy w stosunku do naszej pracy. Po jakimś czasie doszliśmy do wniosku, że należy zlikwidować nasz tajemny pokój, a wykończenie dramatu odłożyć na przyszłość. Sokołowski przeniósł zwitek rękopisów do jakiegoś innego mieszkania. Później, kiedy siedzieliśmy już w odeskim więzieniu, Sokołowski przez swych krewnych starał się odszukać rękopis. Być może, że świtała mu myśl, że zesłanie będzie najodpowiedniejszym miejscem do opracowania utworu dramatycznego. Jednakże rękopisu nie było nigdzie, znikł bez śladu. Najprawdopodobniej, gospodarze, u których był na przechowaniu, po aresztowaniu nieszczęsnych autorów, uważali za wskazane skazać go na spalenie. Godzę się z tem tem łatwiej, że na mej dalszej, nie zawsze gładkiej drodze życia, zginęły mi rękopisy o bez porównania większem znaczeniu.

ROZDZIAŁ VII

MOJA PIERWSZA ORGANIZACJA REWOLUCYJNA

Mimo wszystko na jesieni 1896 roku odwiedziłem wieś. Sprawa jednakże ograniczyła się do przelotnego tylko pogodzenia się z rodziną. Ojciec chciał, żebym został inżynierem, ja zaś wahałem się jeszcze między czystą matematyką, do której czułem wielki pociąg, i rewolucją, która opanowywała mnie stopniowo. Każde poruszenie tej kwestji doprowadzało do ostrego kryzysu w rodzinie. Wszyscy byli ponurzy, wszyscy cierpieli, starsza siostra pokryjomu płakała, i nikt nie wiedział, co przedsięwziąć. Bawiący na wsi wuj, inżynier i właściciel fabryki w Odesie, namówił mnie, żebym na jakiś czas pojechał do niego. Było to w każdym razie choćby czasowe wyjście z błędnego koła. U wuja mieszkałem kilka tygodni. Dysputowaliśmy o dochodzie i o nadwartości. Wuj mój był mocniejszy w przyswajaniu sobie dochodu, niż w tłumaczeniu jego istoty. Wstąpienie na wydział matematyczny odwlekało się ciągle. Mieszkałem w Odesie i szukałem. Czego? Głównie samego siebie. Zawiazywałem przypadkowe znajomości z robotnikami, zdobywałem nielegalną literaturę, dawałem lekcje, miewałem tajne wykłady dla starszych uczniów szkoły rzemieślniczej, prowadziłem dysputy z marksistami, ciągle jeszcze usiłując nie poddawać się. Ostatnim jesiennym parowcem wyjechałem do Mikołajowa i znów zamieszkałem ze Szwigowskim w ogrodzie.

Wróciliśmy do dawnego trybu życia. Omawialiśmy ostatnie zeszyty pism radykalnych, dysputowaliśmy o darwinizmie, przygotowywaliśmy się do czegoś i czekali. Co stało się bezpośrednim bodźcem do rozpoczęcia propagandy rewolucyjnej? Trudno dać na to odpowiedź. Bodziec był wewnętrzny. W tym środowisku inteligenckim, w jakim się obracałem, nikt nie prowadził prawdziwej roboty rewolucyjnej. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że między naszymi bezustannymi rozmowami przy herbacie i organizacją rewolucyjną jest cała przepaść. Wiedzieliśmy, że stosunki z robotnikami wymagają wielkiej *konspiracji*. Wyraz ten wymawialiśmy poważnie, z prawie mistycznym szacunkiem. Nie wąpiliśmy, że wkońcu przejdziemy od picia herbaty do konspiracji, ale nikt w sposób określony nie mówił, kiedy i jak to się stanie. Najczęściej, chcąc usprawiedliwić zwłokę, mówiliśmy sobie: trzeba się przygotować. Nie było to zresztą tak bardzo pozbawione słuszności.

Jednakże, widać, coś wisiało w powietrzu i gwałtownie przybliżyło nasze przejście na drogę propagandy rewolucyjnej. Zwrot w sytuacji nastąpił nie bezpośrednio w samym Mikołajowie, lecz w całym kraju, przede wszystkim zaś w stolicy, ale odbił się echem i u nas. W roku 1896 w Petersburgu wybuchły stawne masowe strejki tkaczy. To dodało ducha inteligencji. Widząc przebudzenie się wielkich rezerw, studenci nabrali odwagi. Latem, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc dziesiątki studentów zjawiały się w Mikołajowie i przynosiły ze sobą echa walk petersburskich, moskiewskich i kijowskich. Niektórych studentów wydalono z uniwersytetu i niedawni gimnaziści wracali w aureoli bojowników. W lutym 1897 r. kursistka Wietrowa odebrała sobie

życie w Pietropawłowskiej twierdzy, podpaliwszy się. Tragedja ta, która nigdy nie została ostatecznie wyjaśniona, wywołała ogólne poruszenie. W miastach uniwersyteckich wybuchały rozruchy. Aresztowania i deportacje stawały się coraz częstsze.

Przystąpiłem do roboty rewolucyjnej przy akompaniamencie „wietrowskich demonstracyj”. Rzecz się miała tak: szedłem ulicą z młodszym uczestnikiem naszej komuny – Grzegorzem Sokołowskim, młodzieńcem w mniej więcej moim wieku. – Powinniśmy właściwie i my zacząć – mówiłem. – Trzeba zacząć – odpowiedział Sokołowski. – Tylko jak? – No, właśnie: jak? – Należy wyszukać robotników, na nikogo nie czekać, nikogo nie pytać, tylko znaleźć robotników i zacząć. – Uważam, że możnaby znaleźć, – rzekł Sokołowski. – Miałem znajomego stróża na bulwarze, sekciarza. Pójdę więc do niego.

Sokołowski tego samego dnia wstąpił na bulwar do sekciarza. Nie było go tam już oddawna. Na jego miejscu zastał jakąś kobietę, a ta kobieta miała znajomego, również sekciarza. Przez tego znajomego nieznaną nam kobietę Sokołowski tego samego dnia zapoznał się z kilkoma robotnikami, między innymi z elektrotechnikiem Iwanem Andrejewiczem Muchinem, który stał się wkrótce główną postacią w organizacji. Sokołowski wrócił z poszukiwań z płonącej oczami: „Ci ludzie, to prawdziwi ludzie”.

Nazajutrz siedzieliśmy w szynku w pięć czy sześć osób. Automat muzyczny wściekle huczał nad nami i maskował naszą rozmowę przed osobami postronnymi. Muchin, szczupły, z bródką w klin, mruży przebiegle mądre lewe oko, patrzy przyjaźnie, ale lekko na mą bezwąsą i bezbrodą twarz i dokładnie, z przebiegłymi przerwami, wyjaśnia mi: – Ewangelja jest dla mnie w tej spawie jakby haczykiem. Zaczynam od religii, a przechodzę do życia. W tych dniach pokazałem sztundystom całą prawdę na ziarnkach fasoli. – Jaki na fasoli? – Bardzo prosto: kładę ziarno na stół – to jest car, dokoła otaczam innymi ziarnami: to ministrowie, archijereje, generałowie, dalej – szlachta, kupiectwo, a te fasolki na kupie – to prosty lud. Teraz pytam: gdzie jest car? Pokazuje na środek. Gdzie ministrowie? Pokazuje na koło. Jakem mu powiedział, tak on mi powtarza. No, a teraz poczekaj, – mówi Iwan Andrejewicz, – teraz poczekaj. – Przymyka całkiem lewe oko i robi pauzę. – Tu, znaczy się, zmieszałem ręką wszystkie ziarna fasoli. – Ano, pokaż teraz, gdzie jest car? Gdzie ministrowie? – A któż ich teraz – powiada – rozróżni? Teraz go się już nie znajdzie... O, właśnie, – mówię, – o to chodzi, że nie znajdziesz, tak właśnie, – mówię, – trzeba wszystkie ziarna zmieszać.

Ażem się spocił z zachwytu, słuchając Iwana Andrejewicza. To jest właśnie wszystko naprawdę, a myśmy mądrzyli się i gadali i czekali. Automat gra – to jest konspiracja, Iwan Andrejewicz obala przy pomocy fasoli mechanizm klasowy – to jest propaganda rewolucyjna.

Tylko, jak tuby ich zmieszać, niech ich gęś kopnie, o to właśnie chodzi? – mówi Muchin całkiem już innym tonem i patrzy mi surowo prosto w oczy. – To przecież nie fasola, co? – I teraz już on czeka na odpowiedź z mojej strony.

Od owego dnia zanurzyliśmy się po szyję w robocie. Nie mieliśmy starszych kierowników, brak nam było własnego doświadczenia, ale bodajże ani razu nie doświadczyliśmy ani trudności, ani zwątpienia. Jedno wypływało z drugiego, z równą koniecznością, jak wówczas w szynku w rozmowie z Muchinem.

Życie ekonomiczne Rosji w końcu ubiegłego wieku zdecydowanie przesuwało się na południo-wschód. Na południu wyrastały jedna za drugą

wielkie fabryki, dwie z nich powstały w Mikołajowie. W roku 1897 Mikołajów liczył około 8000 robotników fabrycznych i około 2000 zatrudnionych w rzemiosłach. Kulturalny poziom robotników, zarówno jak ich zarobki, był stosunkowo wysoki. Analfabeci stanowili znikomy procent. Miejsce organizacyj zajmowało do pewnego stopnia sekciarstwo, prowadzące z powodzeniem walkę z rządem prawosławiem. Ponieważ w Mikołajowie nie było wielkich obaw o rozruchy, żandarmerja drzemała spokojnie. To było nam jak najbardziej na rękę. Gdyby służba śledcza postawiona była jak się należy, zaarrestowanoby nas już w pierwszych tygodniach. Ale okazało się, że byliśmy pionierami i korzystaliśmy z wszelkich związanych z tem przywilejów. Rozruszaliśmy żandarmów dopiero po rozruszaniu mikołajowskich robotników.

Zawierając znajomość z Muchinem i jego przyjaciółmi, przedstawiłem się im jako Lwow. Niełatwo mi przyszło popełnić to pierwsze konspiracyjne kłamstwo: męczyło mnie, że „oszukiwałem” ludzi, z którymi spotykałem się dla tak wielkiej i dobrej sprawy. Ale pseudonim Lwow wkrótce przylgnął do mnie i ja sam przyzwyczałem się do niego.

Robotnicy zwracali się do nas samorzutnie, jakby dawno już oczekiwali nas w fabrykach. Każdy przyprowadzał przyjaciela, niektórzy przychodzili z żonami, kilku starszych robotników przystąpiło do kółek wraz z synami. Nie myśmy szukali robotników, lecz oni nas. Jako młodzi i niedoświadczeni kierownicy, wkrótce zaczęliśmy się upajać wywołanym przez nas ruchem. Każde słowo spotykało się z odzewem. Na potajemne czytanki i rozmowy po mieszkaniach, w lesie, nad rzeką, schodziło się 20-25 osób i więcej. Przeważali nieźle zarabiający, wykwalifikowani robotnicy. W mikołajowskiej stoczni istniał już wówczas ośmiogodzinny dzień roboczy. Robotnicy ci nie interesowali się strejkami, lecz szukali prawdy stosunków społecznych. Niektórzy z nich nazywali siebie baptystami sztundystami, ewangelicznymi chrześcijanami. Jednakże nie było to dogmatyczne sekciarstwo. Robotnicy poprostu odchodzili od prawosławia, baptyzm zaś stanowił dla nich krótki etap na drodze rewolucyjnej. W ciągu pierwszych tygodni naszych rozmów, niektórzy z nich używali jeszcze sekciarskich zwrotów i uciekali się do porównań z epoki pierwszych chrześcijan. Jednak wkrótce prawie wszyscy wyzbyli się tej frazeologii, z której kpili bezceremonialnie młodszy robotnicy.

Najbarwniejsze typy nawet dziś jeszcze stoją przede mną jak żywe. Stolarz Korotkow, który dawno już wziął rozbrat z wszelką mistyką, hulaka i wierszokleta w meloniku: – Jestem racjalista (racjonalista), – mówił uroczyście. A kiedy Taras Saweljewicz, stary ewangelista, który miał już wnuki, po raz setny zaczynał mówić o pierwotnych chrześcijanach, zbierających się, podobnie jak i my, potajemnie, Korotkow przerywał mu: – Ot, co sobie robię z twojego kazania! – I, zdejmując z głowy melonik, ciskał go z pogardą gdzieś w górę między drzewa. Potem, postawszy chwilę, udawał się na poszukiwania swego nakrycia głowy. Rzecz się miała za miastem, w lesie.

Wielu robotników, ogarniętych nowymi uczuciami, zaczęło pisywać wiersze. Korotkow napisał „marsz proletarjacki”, zaczynający się od słów: „Jesteśmy alfy i omegi. początki i końce”. Niestierenko, również cieśla, członek kółka Aleksandry Lwowny Sokołowskiej, razem ze swym synem napisał ukraińską dumkę o Karolu Marksie. Śpiewano ją chórem. Sam Niestierenko jednak źle skończył: wdał się w konszachty z policją i zdradził jej

całą organizację.

Młody wyrobnik Efimow, jasnowłosy olbrzym o błękitnych oczach, pochodzący z oficerskiej rodziny, nie tylko piśmienny, ale nawet czytany, mieszkał na samem dnie nędzy miejskiej. Wynałazłem go w knajpie włóczęgów. Efimow pracował w porcie jako tragarz, nie pił i nie palił, był opanowany i grzeczny, ale tkwiła w nim jakaś tajemnica, czyniąca go ponurym, mimo jego 21 lat. Efimow wkrótce oświadczył mi, że jakoby poznał tajną organizację narodowolców, i zaproponował, że zetknie nas z nimi. We troje – ja, Muchin i Efimow – piliśmy herbatę w gwarnym szynku „Rosja”, słuchaliśmy ogłuszającej muzyki automatu i czekaliśmy. Wreszcie, Efimow pokazał mi oczami wysokiego, tęgiego człowieka z kupiecką bródką. „To on”. Osobnik ów długo pił herbatę przy osobnym stoliku, potem wstał, aby się ubrać, i automatycznym gestem przeżegnał się przed ikonami. – Dobry narodowolec – jęknął cichutko Muchin. „Narodowolec” wykręcił się od znajomości z nami, dając przez Efimowa jakieś mgliste wyjaśnienie. Historia ta pozostała na zawsze tajemnicą. Sam Efimow wkrótce zakończył swe rachunki z życiem, zatruwszy się czadem węglowym. Być może, że olbrzym o błękitnych oczach był poprostu zabawką w rękach szpiega, może było i gorzej...

Muchin, elektrotechnik z zawodu, skonstruował u siebie w mieszkaniu skomplikowany system sygnalizacyjny na wypadek najścia policji. Muchin miał lat 27, trochę pluł krwią, był bogaty w doświadczenia życiowe, pełen praktycznej mądrości i wydawał mi się nieomal starcem. Pozostał rewolucjonistą przez całe życie. Po jego pierwszym zesłaniu, nastąpiło znów więzienie, potem nowe zesłanie. Spotkałem go w roku 23 na konferencji ukraińskiej partji komunistycznej w Charkowie. Siedzieliśmy długo w kącie, rozstrząsając przeszłość, wspominając poszczególne epizody i opowiadając sobie wzajemnie o dalszych losach tych ludzi, z którymi byliśmy związani w zaraniu rewolucji. Na tej konferencji wybrano Muchina do centralnej komisji kontrolnej partji ukraińskiej. Całem swem życiem w zupełności zasłużył sobie na to wyróżnienie. Wkrótce jednak po owej konferencji Muchin zachorował i nie wstał więcej.

Natychmiast po zapoznaniu się ze mną, Muchin zetknął mnie ze swym przyjacielem, również sekciarzem, Babienką, który miał własny nieduży domek i własne jabłonie na podwórzu. Babienko był kulawy, powolny, zawsze trzeźwy. Nauczył mnie pić herbatę z jabłkami, zamiast z cytryną. Babienko został aresztowany razem z innymi, odsiedział swoje, potem znów wrócił do Mikołajowa. Los rozdzielił nas całkowicie. Przypadkiem przeczytałem w jakiejś gazecie w 1925 roku, że na Kubaniu mieszka były członek Południowo-Rosyjskiego związku roboczego, Babienko. W owym czasie stracił władzę w nogach. Udało mi się postarać – w 1925 roku było to już dla mnie niełatwe – o przeniesienie staruszka do Essentuk na kurację. Znowu odzyskał władzę w nogach. Odwiedziłem Babienkę w sanatorium. Nie wiedział nawet, że Trocki i Lwow – to ta sama osoba. Znowu piliśmy razem herbatę z jabłkiem i wspominaliśmy przeszłość. Jakżeż musiał się zdziwić, usłyszawszy wkrótce potem, że Trocki jest kotrewolucjonistą.

W Mikołajowie wiele było ciekawych postaci i trudno je wszystkie wymienić. Znałem wspaniałą młodzież, bardzo kulturalną, która ukończyła szkołę techniczną przy stoczni. Młodzieńcy ci rozumieli kierownika w pół słowa. W ten sposób okazało się, że propaganda rewolucyjna jest bez

porównania dostępniejsza, niż to się nam wydawało w marzeniach. Upajała nas i zadziwiała wielka produktywność pracy. Z opowiadań o działalności rewolucyjnej wiedzieliśmy, że liczba pozyskanych przez propagandę robotników, wyrażała się zwykle w jednostkach Rewolucjonista, który zjednał dla sprawy dwóch, czy trzech robotników, uważał to za niezgorszy rezultat. U nas zaś liczba robotników, należących i pragnących należeć do kółek, wydawała się w praktyce nieograniczona. Brak było tylko kierowników. Brakło literatury. Kierownicy wyrwali sobie z rąk jeden jedyny zniszczony rękopiśmienny egzemplarz „Manifestu komunistycznego” Marksa-Engelsa, przepisany rozmaitemi charakterami pisma w Odesie, z licznymi opuszczeniami i zniekształceniami tekstu.

Wkrótce sami zaczęliśmy tworzyć literaturę. To właśnie był początek mej pracy literackiej, który zbiegał się z początkiem mej pracy rewolucyjnej. Pisałem proklamacje albo artykuły, potem przepisywałem je drukowanymi literami na hektograf. Wówczas jeszcze nie podejrzewaliśmy, że istnieją maszyny do pisania. Wypisywałem drukowane litery z największą starannością, uważając za punkt honoru osiągnięcie tego, aby nawet słabo czytający robotnik mógł bez wysiłku odczytać proklamację, odbitą na naszym hektografie. Każda strona wymagała co najmniej dwóch godzin pracy. Czasami w ciągu tygodnia nie rozprostowywałem pleców, odrywając się tylko dla uczestniczenia w zebraniach i pracy w kółkach. Zato jakież uczucie zadowolenia budziły wiadomości z fabryk i warsztatów o tem, jak chciwie czytają robotnicy, oddają sobie z rąk do rąk i gorąco omawiają tajemnicze arkusiki, pokryte fioletowymi literami. Wyobrażali sobie, że autor tych kartek jest jakąś potężną i tajemniczą postacią, która przenika do wszystkich fabryk, wie, co dzieje się w warsztatach, i już po 24 godzinach odpowiada na wypadki nowymi arkusikami.

Początkowo gotowaliśmy masę hektograficzną i drukowaliśmy proklamacje po nocach w naszych pokojach. Jeden z nas stał na podwórzu na straży. W otwartym piecu były przygotowane zapalki i nafta, aby w razie niebezpieczeństwa spalić wszelkie dowody rzeczowe. Wszystko to było niesłychanie naiwne. Ale mikołajowscy żandarmi byli wówczas niewiele doświadczeńsi od nas. Później przenieśliśmy naszą drukarnię do mieszkania starszego robotnika, który stracił wzrok podczas nieszczęśliwego wypadku. Mieszkanie dał nam bez wahania. – Ślepy jest wszędzie w więzieniu, – mówił ze spokojnym uśmiechem. Stopniowo zgromadziliśmy u niego duży zapas gliceryny, żelatyny i papieru. Pracowaliśmy nocami. Zapuszczony pokój z sufitem nad samą głową wyglądał nędznie, prawdziwie po żebracku. Na żelaznym piecyku gotowaliśmy rewolucyjną mieszaninę, wylewając ją potem na arkusz blachy. Ślepy, pomagając nam, najpewniej z nas wszystkich krążył po na poły ciemnym pokoju. Miody robotnik i robotnica spoglądali z nabożeństwem na siebie, kiedy zdejmowałem z hektografu świeżo wydrukowany arkusz. Gdyby tak ktoś spojrział zgóry „trzeźwym okiem” na tę gromadkę młodzieży, tłoczącej się w półmroku wokół nędznego hektografu, – jakąż ubogą fantazją wydałby mu się ich zamiar obalenia potężnego, wiekowego państwa. A jednak zamiar został osiągnięty w ciągu jednego ludzkiego pokolenia: do 1905 roku od owych nocy ubiegło zaledwie ośm lat, do 1917 – niecałe dwadzieścia.

Ustna propaganda nie dawała mi chyba takiego zadowolenia, jak drukowana. Wiadomości posiadałem niedostateczne i brak mi było

umiejętności podania ich słuchaczom w należyty sposób. Przemówień w pełnym tego słowa znaczeniu prawie nie wygłaszaliśmy wówczas. Raz tylko w lesie, w dniu 1-szym maja, musiałem powiedzieć coś w rodzaju mowy. Byłem tem ogromnie zakłopotany. Każde poszczególne słowo, zanim wyszło z gardła, wydawało mi się nieznośnie fałszywe. Ale dysputy w kółkach udawały się czasem niezłe. Naogół zaś praca rewolucyjna szła pełną parą. Łączność z Odesą podtrzymywałem i rozszerzałem. Wieczorem udawałem się na mikołajewską przystań, kupowałem za rubla bilet trzeciej klasy, kładłem się na pokładzie parowca, blisko komina, podkładałem marynarkę pod głowę i zakrywałem się paltem. Następnego rana budziłem się w Odesie i udawałem pod znane mi adresy. Następną noc znów spędzałem na statku. W ten sposób nie traciłem dnia na jazdę. Stosunki moje w Odesie wzbogaciły się niespodzianie. Przy wejściu do Biblioteki Publicznej zapoznałem się z robotnikiem w okularach: uważnie przyjrzelśmy się sobie i domyślili wszystkiego. To był Albert Polak, zecer, organizator sławnej później centralnej drukarni partji. Znajomość z nim stała się epoką w życiu naszej organizacji. Już po kilku dniach przywiozłem do Mikołajowa kufer, wypełniony nielegalną bibułą w zagranicznym wydaniu. Były to wszystko nowiutkie broszurki agitacyjne w wesołych, barwnych okładkach. Wielokrotnie otwieraliśmy kufer, żeby móc zachwycać się naszym skarbem. Broszurki szybko rozeszły się i bardzo podniosły nasz autorytet w kołach robotniczych.

Od Polaka dowiedziałem się przypadkiem w rozmowie, że technik Szrencl, podający się za inżyniera i od dawna kręcący się przy nas, jest starym prowokatorem. Był to głupi i natrętny człowieczek w mudurowej czapce ze znaczkiem. Instynktownie nie dowierzaaliśmy mu, ale jednak coś niecoś wiedział i znał niektórych z nas. Zaprosiłem Szrencla do mieszkania Muchina. Tutaj wyłożyłem dokładnie biografię Szrencla, nie wymieniając jego nazwiska, i doprowadziłem go w ten sposób do całkowitego oszołomienia. Zagroziliśmy mu, że na wypadek zdrady krótko się z nim rozprawimy. Widocznie to podziałało, ponieważ przez trzy miesiące po tej rozmowie mieliśmy spokój. Zato po naszym aresztowaniu Szrencl podawał w swych zeznaniach okropności nad okropnościami.

Organizację nazwaliśmy „Południowo-rosyjskim związkiem robotniczym”, mając na celu wciągnięcie doń i innych miast. Sporządziłem statut Związku w duchu socjal-demokratycznym. Administracja fabryk usiłowała walczyć przeciw nam przemówieniami do robotników. Nazajutrz odpowiadaliśmy nowemi proklamacjami. Ten pojedynek poruszył nie tylko robotników, ale i szerokie koła ludności miejskiej. Wkońcu całe miasto mówiło tylko o rewolucjonistach, zalewających fabryki swemi ulotkami. Ze wszystkich stron wymieniano nasze nazwiska. Policja jednakże zwlekała, nie wierząc, że „chłopcy z ogrodu” zdolni są do prowadzenia podobnej kampanji i przypuszczając, że za naszymi plecami stoją bardziej doświadczeni kierownicy. Najwidoczniej podejrzewano dawnych zesańców. To pozwoliło nam działać przez kilka jeszcze miesięcy. Wkońcu jednak śledzenie nas nabrało zbyt jawnego charakteru i żandarmi dowiadywali się bez przeszkód o jednym kółku po drugim. Postanowiliśmy rozjechać się na kilka tygodni z Mikołajowa w różne strony, aby przerwać policyjne nici. Ja miałem pojechać na wieś do rodziców, Sokołowska z bratem do Ekaterynosławia i t. d. Jednocześnie postanowiliśmy w razie masowych aresztów nie ukrywać się, lecz pozwolić się aresztować, żeby żandarmi nie mogli mówić robotnikom:

„wasi kierownicy porzucili was”.

Przed moim odjazdem Niestierenko zażądał, żebym bezpośrednio jemu dał paczkę proklamacyj. Wyzначył mi spotkanie za cmentarzem, późnym wieczorem. Leżał głęboki śnieg. Noc była księżycowa. Za cmentarzem ciągnęła się zupełnie pusta przestrzeń. Na umówionym miejscu spotkałem Niestierenkę. Ale w tej chwili, kiedy podawałem mu wyjętą z pod płaszcza paczkę, od cmentarnego muru oderwała się jakaś postać i przeszła obok nas, potrafiwszy Niestierenkę łokciem. – Kto to? – spytałem ze zdziwieniem. – Nie wiem, – odpowiedział Niestierenko, patrząc za odchodzącym. Był on już wówczas w stosunkach z policją. Jednak do głowy mi nie przyszło podejrzewać go.

Dnia 28 stycznia 1898 roku miały miejsce masowe aresztowania. Ogółem ujęto przeszło 200 osób. Rozpoczął się proces. Jeden z aresztowanych, żołnierz Sokołów, terorem został doprowadzony do tego, że skoczył wdół z więziennego korytarza drugiego piętra, ale poniósł tylko ciężkie obrażenia. Drugiego z więźniów, Lewandowskiego, żandarmi doprowadzili do rozstroju umysłowego. A były i inne ofiary.

Wśród aresztowanych wielu wpadło tylko przypadkiem. Niektórzy z tych, na których liczyliśmy, odsuwali się od nas, a nawet zdradzali. I odwrotnie, niektórzy ze stojących w cieniu okazywali siłę charakteru. Zaaresztowany, i to na długo, został niewiadome dlaczego tokarz, pięćdziesięcioletni Niemiec, August Dorn, który wszystkiego raz czy dwa zajrzał do naszego kółka. Zachowywał się wspaniale, śpiewał na całe więzienie wesołe, coprawda niezawsze cnotliwe, niemieckie piosenki, żartował łamanym rosyjskim językiem, podtrzymując ducha wśród młodych. W moskiewskim więzieniu etapowym, gdzie siedzieliśmy w ogólnej celi, Dorn namawiał samowar, żeby się sam do niego przybliżył, i kończył dialog tak: „nie chcesz, no, to Dorn przyjdzie do ciebie!” I chociaż scena ta powtarzała się dzień w dzień wszyscy śmieli się dobrodusznie.

Mikołajowska organizacja otrzymała dotkliwy cios, ale nie zniknęła. Wkrótce zastąpili nas inni. I rewolucjoniści i żandarmi nabierali doświadczenia.

ROZDZIAŁ VIII

MOJE PIERWSZE WIĘZIENIA

Podczas ogólnej obławy w styczniu 1898 r. zostałem aresztowany nie w Mikołajowie, lecz w majątku bogatego obywatela Sokownika, do którego Szwigowski przeniósł się na służbę w charakterze ogrodnika. Wstąpiłem do niego po drodze z Janówki do Mikołajowa z wielką teką rękopisów, rysunków, pism i wszelkiej nielegalnej bibuły. Na noc Szwigowski ukrył niebezpieczny pakunek w dole z kapustą, a o świcie, wybierając się do lasu na sadzenie drzew, wyjął go z dołu, żeby wręczyć mi papiery do pracy. Właśnie o tej porze wpadli żandarmi. Szwigowski zdążył jeszcze w przedpokoju rzucić pakunek za kadrę z wodą. Szwigowski zdołał szepnąć gospodyni, która pod nadzorem żandarmów przyniosła nam obiad, żeby podniosła paczkę i jak najlepiej ją schowała. Staruszka nie wymyśliła nic lepszego od zakopania paczki w śniegu w ogrodzie. Liczyliśmy bardzo na to, że dokumenty nie wpadną do rąk wroga. Nadeszła wiosna, śnieg stopniał, wyrosła trawa i znów zasłoniła tekę, napęczniała od wiosennej wody. Siedzieliśmy w więzieniu. Nadeszło lato. Robotnik kosił w ogrodzie dworskim trawę, dwaj jego synowie, bawiący się obok, znaleźli paczkę i oddali ojcu, który zaniósł ją do dworu. Śmiertelnie przerażony liberalny obywatel natychmiast odwiózł papiery do Mikołajowa i oddał je pułkownikowi żandarmerji. Charaktery pisma posłużyły jako dowód przeciwko kilku osobom.

Stare mikołajowskie więzienie wcale nie było przygotowane na przyjęcie politycznych przestępców i, w dodatku w takiej ilości. Dostałem się do jednej celi z introligatorem Jawiczem. Cella była bardzo duża, obliczona na jakieś trzydzieści osób, pozbawiona zupełnie mebli i ledwo opalana. W drzwiach był wielki kwadratowy otwór na korytarz, wychodzący wprost na podwórze. Panowały styczniowe mrozy. Na noc kładziono na podłogę siennik, a o szóstej rano zabierano go. Wstawanie i ubieranie się było męczarnią. W paltach, czapkach i kaloszach siadaliśmy z Jawiczem ramie przy ramieniu na podłodze i, oparłszy się plecami o zaledwie ciepły piec, marzyliśmy i drzemaliśmy całymi godzinami. Były to bodajże najszczęśliwsze chwile w ciągu dnia. Nie wzywano nas na badanie. Biegaliśmy z kąta w kąt, żeby się rozgrzać, dzieliliśmy się wspomnieniami, domysłami i nadziejami. Zaczęłem uczyć Jawicza. Tak minęły trzy tygodnie. Potem nastąpiła zmiana. Sprowadzono mnie wraz z rzeczami do więziennego biura i przekazano dwóm roslym żandarmom, którzy przewieźli mnie końmi do chersońskiego więzienia. Był to jeszcze starszy budynek. Cella była obszerna, ale z wąskim, głucho zabitem oknem w ciężkiej, żelaznej ramie, ledwo przepuszczającym światło. Samotność była całkowita, absolutna, beznadziejna. Ani spacerów, ani sąsiadów. Przez zaopatrzone po zimowemu okno nic nie było widać. Przesyłek z zewnątrz nie otrzymywałem. Nie miałem ani cukru, ani herbaty. Aresztancką zupkę dawano raz dziennie na obiad. Porcja razowego chleba z solą była moim śniadaniem i kolacją. Prowadziłem z sobą długie dialogi o tem, czy mam prawo zwiększać

ranną porcję kosztem wieczornej. Poranne argumenty okazywały się wieczorem bezsensowne i występne. Przy kolacji nienawidziłem tego człowieka, który jadł śniadanie. Nie miałem bielizny na zmianę. Trzy miesiące nosiłem ten sam komplet. Nie miałem mydła. Więzienne insekty pożerały mnie żywcem. Dawałem sobie zadania: przejść po przekątnej tysiąc sto jedenaście kroków. Miałem wówczas dziewiętnasty rok. Izolacja była absolutna, jakiej później nie znałem nigdzie i nigdy, chociaż byłem w dwudziestu więzieniach. Nie miałem ani jednej książki, ani ołówka, ani papieru. Celi nie wietrzono. O tem, jakie w niej było powietrze, sądziłem po krzywieniu się pomocnika naczelnika, kiedy wchodził do mnie. Odgryzałem kawałeczek więziennego chleba, chodziłem po przekątnej i układałem wiersze. Ludową „dubinuszkę” przerobiłem na proletarjacką „maszinszkę” Ułożyłem rewolucyjnego kamaryńskiego. Te bardzo mierne wiersze zyskały sobie później wielką popularność. Dotychczas przedrukowuje się je w śpiewnikach. Czasami jednak gryzł mnie okrutny smutek samotności. Wówczas przesadnie mocno wybijałem zdatemi zelówkami tysiąc sto jedenaście kroków. Pod koniec trzeciego miesiąca, kiedy chleb więzienny, worek, nabity słomą, i wszy stały się dla mnie tak niewzruszalnymi elementami życia, jak dzień i noc, dozorca wnieśli do mojej celi górę przedmiotów z innego fantastycznego świata: świeżą bieliznę, kołdrę, poduszkę, biały chleb, herbatę, cukier, wędlinę, konserwy, pomarańcze, jabłka, tak, wielkie jaskrawo zabarwione pomarańcze... I dziś, po upływie 31 lat, nie bez wzruszenia wyliczam te niezwykle rzeczy i wyrzucam sobie, że nie wymieniłem słoika konfitur, mydła i grzebienia. – To matka wam przysłała, – powiedział pomocnik. I jakkolwiek nie umiałem wówczas czytać w ludzkich duszach, to jednak z tonu jego zrozumiałem odrazu, że dostał łapówkę.

Wkrótce przewieziono mnie parowcem do Odessy i umieszczono tam w więzieniu celkowym, zbudowanym przed kilku laty według ostatnich wymogów techniki. Po Mikołajowie i Chersoniu odeskie więzienie wydało mi się idealną instytucją. Stukanie w ścianę, kartki, „telefon”, zwykłe wołanie przez okno – słowem służba łączności funkcjonowała prawie bez przerwy. Wystukiwałem sąsiadom moje chersońskie wiersze, oni zaś w odpowiedzi zaopatrywali mnie w nowiny. Od Szwigowskiego udało mi się dowiedzieć przez okno, że żandarmi mają w rękach paczkę z moimi papierami i dzięki temu bez wysiłku rozbiłem plan podpułkownika Dremlugi, usiłującego zastawić na mnie pułapkę. Zaznaczyć należy, że w owym okresie nie odmawialiśmy jeszcze składania zeznań, jak w kilka lat później.

Więzienie było przepelnione po wszechrosyjskiej wiosennej „wsypie”. 1-go marca, podczas mego pobytu w chersońskim więzieniu, w Mińsku zebrał się zjazd organizacyjny partii socjal-demokratycznej. Składał się on wszystkiego z dziewięciu osób i natychmiast utonął w fali aresztowań. Po kilku miesiącach przestano już o nim mówić. Jednak późniejsze następstwa jego istnienia odbiły się na historii całej ludzkości... Uchwalony przez zjazd manifest malował taką perspektywę walki politycznej: „...im dalej na wschód Europy, tem burżuazja staje się tchórzliwsza i podlejsza w stosunkach politycznych i tem większe zadania kulturalne i polityczne spadają na proletarjat”. Nie pozbawionym pikanterji historycznej faktem jest, że autorem manifestu był Piotr Struwe, który stał się później leaderem liberalizmu, a jeszcze później publicystą cerkiewnej i monarchistycznej reakcji.

W ciągu pierwszych miesięcy pobytu w odeskim więzieniu nie

dostawałem z poza więzienia książek i musiałem zadawać się biblioteką więzienną, która składała się przeważnie z czasopism konserwatywno-historycznych i religijnych z całego szeregu lat. Studjowałem je niezmordowanie. Poznałem wszystkie sekty i wszystkie herezje z dawniejszych lat i współczesne, wszelkie zalety obrządku prawosławnego, najlepsze argumenty przeciw katolicyzmowi, protestantyzmowi, tołstojowszczyźnie i darwinizmowi. Świadomość chrześcijańska – czytałem w „Przeglądzie Prawosławnym”, – miłuje prawdziwą wiedzę, między innymi również i przyrodoznawstwo, jako intelektualną siostrę wiary. Cud z oślicą Balaama, która rozpoczęła dyskusję z prorokiem, nie może być obalony nawet z przyrodoznawczego punktu widzenia: „przecież istnieją gadające papugi, a nawet kanarki”. Ten argument arcybiskupa Nikanora zajmował mnie całymi dniami, czasem zaś śnił mi się nawet po nocach. Dociekania na temat biesów, czyli demonów, ich książąt, djabła i ponurego djabelskiego państwa za każdym razem robiły na mnie wrażenie i swoiście zachwycały młodą racjonalistyczną myśl kodyfikowaną głupotą tysiącleci. Obszerne studjum o raju, o jego wewnętrznym ustroju i o miejscu, w którym się znajdował, kończyło się melancholijną nutą: „ścisłych danych, gdzie znajduje się raj, niema”. Powtarzałem to zdanie przy obiedzie, przy herbacie, na przechadzce. Niema danych co do długości geograficznej rajszych rozkoszy. Z podoficerem żandarmerji Miklinem nawiązywałem przy każdej nadarzającej się sposobności dysputy religijne. Miklin był chciwy, kłamliwy, złośliwy, odcytany w religijnej literaturze i bogobojny do przesady. Przebiegając z kluczami dzwiczące żelazne schody, mruczał cerkiewne pieśni. – Przez jedno, jedyne słowo Chrystorodzica, zamiast Bogurodzica, – pouczał mnie Miklin, – heretykowi Arji pękł brzuch. – A dlaczego teraz heretycy mają brzuchy w całości? – Teraz, teraz... – odpowiadał obrażony Miklin, – teraz są inne czasy.

Przybyła ze wsi siostra przywiozła mi na moją prośbę cztery ewangelje w cudzoziemskich językach. Opierając się na szkolnej znajomości niemieckiego i francuskiego, wiersz za wierszem czytałem ewangelje po angielsku i włosku. Przez kilka miesięcy zrobiłem w ten sposób znaczne postępy. Trzeba jednakże przyznać, że moje lingwistyczne zdolności są całkiem mierne. Dotychczas nawet nie znam zupełnie dobrze ani jednego obcego języka, chociaż długo mieszkałem w różnych krajach Europy.

Podczas widzeń z rodziną, więźniów umieszczano w wąziutkich drewnianych klatkach, oddzielonych od odwiedzających dwiema kratami. Przy pierwszym spotkaniu ze mną ojciec mój wyobraził sobie, że przez cały czas uwięzienia muszę stać w tym ciasnym pudle. Wewnętrzny wstrząs pozbawił go mowy. W odpowiedzi na moje pytania, bezdźwięcznie poruszał poblądłymi wargami. Nigdy nie zapomnę jego twarzy. Matka przyszła już uprzedzona i dlatego była spokojniejsza.

Echa wydarzeń światowych dochodziły do nas urywkami. Wojna południowo-afrykańska ledwo nas obeszła. Byliśmy jeszcze prowincjonalistami w pełnym tego słowa znaczeniu. Walkę Anglików z Boerami skłonniśmy byli rozpatrywać głównie z punktu widzenia nieuniknionego zwycięstwa wielkiego kapitału nad drobnym. Sprawa Dreifusa, znajdująca się wówczas w kulminacyjnym punkcie rozwoju, od czasu do czasu porywała nas swą dramatycznością. Pewnego razu przeniknęła do nas wiadomość, że we Francji miał miejsce przewrót i przywrócono władzę królewską. Uważaliśmy to za hańbę nie do darowania. Żandarmi niespokojnie

biegali po żelaznych korytarzach i schodach, aby uciszyć stukania i krzyki. Sądziło, że dano nam znów nieświeży obiad. Nie, polityczne skrzydło więzienia protestowało przeciwko restauracji monarchii we Francji.

Interesowały mnie artykuły o masonerii w pismach religijnych. Zadawałem sobie pytanie, skąd powstał ten dziwny prąd? Jak wyjaśniłby go marksizm? Stosunkowo długo opierałem się materialistycznemu pojmowaniu dziejów, trzymając się teorii mnogości czynników historycznych, która – jak wiadomo – obecnie w dalszym ciągu jest najbardziej rozpowszechnioną teorią wiedzy społecznej. Różne strony swej działalności społecznej ludzie nazywają czynnikami, nadając temu pojęciu charakter ogólnospołeczny, swą własną zaś działalność społeczną przesądnie przedstawiają potem, jako produkt współdziałania tych samodzielnych sił. Skąd wzięły się owe czynniki, to jest pod wpływem jakich warunków rozwinęły się z pierwotnego społeczeństwa ludzkiego, nad tym oficjalny eklektyzm prawie się nie zastanawia. Z zachwytem czytałem w mojej celi dwa znane szkice starego włoskiego heglisty-marksisty Antonio Labriola, które przedostały się do więzienia we francuskim tłumaczeniu. Labriola opanował dialektykę materialistyczną, jak niewielu latyńskich pisarzy, jeśli nie w polityce, gdzie był bezradny, to w dziedzinie historjografii. Pod wspaniałym dyletantyzmem jego wywodów w rzeczywistości kryła się prawdziwa głębia. Labriola świetnie się rozprawiał z teorią licznych czynników, zamieszkujących Olimp historii i rządzących stamtąd naszymi losami. Choć od tego czasu, kiedy czytałem jego szkice, minęło trzydzieści lat, to jednak ogólny bieg jego myśli mocno wbił mi się w pamięć, podobnie jak i ustawiczny refrain: „idee nie spadają z nieba”. Po tej lekturze rosyjscy teoretycy różnorodności czynników: Ławrow, Michajłowski, Karejew i inni wydali mi się słabi. Znacznie później w żaden sposób nie mogłem zrozumieć tych marksistów, na których wywarła wpływ bezpłodna praca niemieckiego profesora Stammlera: „Gospodarstwo i prawo”, stanowiąca jedną z niezliczonych prób przepuszczenia wielkiego przyrodniczego i historycznego potoku, płynącego od ameby do nas i jeszcze dalej, przez zamknięty pierścień wiecznych prawd, w rzeczy samej zaś będąca odblaskami żywego procesu w mózgu pedanta.

W tym właśnie okresie zaciekała mnie sprawa wolno-mularstwa. W ciągu kilku miesięcy gorliwie czytałem książki o historii masonerii, które dostarczali mi z miasta krewni i przyjaciele. Dlaczego i poco handlowcy, artyści, bankierzy, urzędnicy i adwokaci, począwszy od pierwszej ćwierci XVII wieku, zaczęli nazywać się mularzami, wskrzeszając rytuał średniowiecznego cechu? Skąd się wzięła ta dziwna maskarada? Stopniowo obraz stawał się dla mnie wyraźniejszy. Stary cech był nie tylko organizacją fachową, lecz zarazem moralno-obyczajową. Ogarniał całkowicie życie ludności miejskiej, zwłaszcza pół-rzemieślników-pół-artystów sztuki budowniczey. Upadek gospodarki cechowej oznaczał moralny kryzys społeczeństwa, które dopiero co pozostawiło za sobą średniowiecze. Powstawanie nowej moralności szło znacznie wolniej, niż upadek starej. Stąd to nierzadkie w historii ludzkości usiłowanie zachowania tych form dyscypliny moralnej, której podstawy społeczne, w danym wypadku wytwórczo-cechowe, dawno już zostały podkopane przez proces historyczny. Produktywne mularstwo zamieniło się w „mularstwo” spekulatywne. Jednak, jak zawsze w takich wypadkach, przeżyte już formy moralno-obyczajowe, które ludzie starali się utrzymać dla nich samych, nabierały pod naporem życia całkiem nowej treści. W poszczególnych

gałęziach wolno-mularstwa wyraźnie zaznaczały się elementy reakcji feodalnej, jak na przykład w lożach szkockiego obrządku. W XVIII wieku treścią wolno-mularstwa w szeregu krajów jest wojujące oświecenie, luminarstwo, grające rolę wstępu do rewolucji, na lewym zaś skrzydle wolno-mularstwo przechodziło w carbonaryzm. Do wolno-mularzy należał Ludwik XVI, ale również i doktor Guillotin, wynalazca gilotyny. W południowych Niemczech wolno-mularstwo przybierało wyraźnie rewolucyjny charakter, a na dworze Katarzyny stało się maskaradowym odzwierciedleniem szlachecko-urzędniczej hierarchji. Wolnomularza Nowikowa wolno-mularska caryca zesłała na Syberję

Dziś, w epoce gotowych i tanich ubrań, nikt już prawie nie donasza redingote'ów swego dziadka, natomiast w dziedzinie ideowej redingote'y i krynoliny zajmują jeszcze bardzo dużo miejsca. Inwentarz ideowy przechodzi z pokolenia na pokolenie, mimo to, że od poduszek i kołder babuni zalatuje stęchlizną. Nawet ludzie, zmuszeni do zmiany istoty swych poglądów, wtłaczają je najczęściej w stare formy. W technice naszej wytwórczości zaszedł przewrót znacznie potężniejszy, niż w technice naszego myślenia, które woli raczej cerować i nicować, niż budować na nowo. Oto dlaczego francuscy drobno-mieszczańscy parlamentarzyści, usiłując przeciwstawić odśrodkowej sile społecznych stosunków pewne podobieństwo moralnych związków między ludźmi, nie znajdują nic lepszego, niż włożenie białego fartucha i uzbrojenie się w cyrkiel, czy kielnię. Sami zaś przytem mają właściwie na widoku nie budowę nowego gmachu, lecz przedostanie się do dawno zbudowanego gmachu parlamentu, czy ministerstwa.

Ponieważ w więzieniu przy wydawaniu nowego zeszytu zabierano mi zapisany, sprawiłem sobie do wolno-mularstwa zeszyt z tysiącem numerowanych stron i drobniutkim pismem wpisywałem weń wyciągi z licznych książek, przeplatając je momi własnymi poglądami o wolno-mularstwie i o materialistycznym pojmowaniu dziejów. Praca ta zajęła mi ogółem niemal rok. Opracowywałem poszczególne rozdziały, przepisywałem do przemycanych zeszytów i posyłałem do przejrzenia przyjaciółom z innych cel. W tym celu mieliśmy bardzo skomplikowany system, nazwany telefonem. Adresat, jeżeli jego cela była niedaleko od mojej, uwiązywał na sznurku jakiś ciężki przedmiot i wprawiał ów przyrząd w ruch obrotowy, wysunąwszy jak najdalej rękę poza kratę w oknie. Umówiwszy się poprzednio przez pukanie, wysuwałem jak najdalej szczotkę od podłogi za okno i, kiedy wędka owijała się wokół niej, wciągałem szczotkę do siebie i przywiązywałem do końca sznurka mój rękopis. Jeżeli adresat znajdował się daleko, to przesyłka odbywała się za pośrednictwem całego szeregu poszczególnych etapów, co – naturalnie – bardzo komplikowało sprawę.

Pod koniec mojego pobytu w więzieniu odeskim, gruby zeszyt, uwierzytelniony i opatrzony podpisem przez starszego podoficera żandarmerji Usowa, stał się prawdziwą skarbnicą historycznej erudycji i filozoficznej głębi. Nie wiem, czy możnaby było dziś go wydrukować w takiej postaci, w jakiej został napisany. Zbyt wielu rzeczy dowiadywałem się jednocześnie z różnych dziedzin, epok i krajów i, obawiam się, że zbyt wiele chciałem odrazu powiedzieć w mej pierwszej pracy. Sądzę jednak, że podstawowe myśli i wnioski były słuszne. Wówczas czułem się już dość pewnie na nogach i uczucie to wzrastało wraz z postępem pracy. Dałbym dziś wiele za odszukanie tego grubego zeszytu. Towarzyszył mi on również na wygnaniu, gdzie,

coprawda, przestałem pracować nad masonerją przeszedłszy do studjowania ekonomicznego systemu Marksa. Po ucieczce zagranicę, Aleksandra Lwowna dostarczyła mi ten zeszyt z zesłania przez rodziców, którzy odwiedzili mnie w Paryżu w 1903 roku. Kiedy nielegalnie wróciłem do Rosji, zeszyt wraz z całym mem skromnym emigranckim archiwum pozostał w Genewie i wszedł w skład archiwów „Iskry”, które stały się dlań przedwczesnym grobem. Po drugiej ucieczce z Syberji zagranicę, usilnie starałem się odszukać mą pracę. Zapewne zużyła ją na podpałkę do pieca albo do innych celów szwajcarska gospodyni, której oddano archiwum na przechowanie. Nie mogę nie czynić wyrzutów tej szanownej niewieście.

Okoliczność, że pracę nad wolno-mularstwem wykonywałem w warunkach więziennych, rozporządzając bardzo ograniczoną ilością książek, okazała się dla mnie korzystna. Do owego czasu wogóle nie znałem podstawowej literatury marksowskiej. Szkice Antonia Labrioli miały charakter filozoficznych pamfletów. Wymagały posiadania wiadomości, jakich nie miałem, i które musiałem zastępować domysłami. Szkice Labrioli skończyłem studjować, postawiwszy sobie całą masę hipotez. Praca nad wolno-mularstwem stała się dla mnie sprawdzianem własnych hipotez. Nie odkryłem nic nowego. Wszystkie owe metodologiczne wnioski, do których dochodziłem, były poczynione już oddawna i stosowane w praktyce. Ja jednak dochodziłem do nich poomacku i, do pewnego stopnia, samodzielnie. Sądzę, że miało to znaczenie dla całego mego późniejszego rozwoju ideowego. Później znajdowałem w dziełach Marksa, Engelsa, Plechanowa, Mehringa potwierdzenie tego, co w więzieniu wydawało mi się mym własnym domysłem, który poddać tylko należało sprawdzeniu i uzasadnieniu. Historycznego materializmu nie przyjąłem odrazu w formie dogmatycznej. Dialektyka ukazała się po raz pierwszy nie w swych abstrakcyjnych formułach, lecz w postaci żywej sprężyny, którą odnajdywałem w samym procesie historycznym w miarę jak starałem się go poznać.

W owym czasie w kraju zaczynała wzbierać nowa fala. Dialektyka historyczna pracowała tu również znakomicie, ale praktycznie i w bardzo szerokiej skali. Ruch studencki uzewnętrzniał się w demonstracjach. Kozacy bili studentów. Liberali oburzali się, jakoże krzywdzono ich synów. Socjal-demokracja mężniała coraz bardziej, zlewając się z ruchem robotniczym. Rewolucja przestawała być uprzywilejowanym zajęciem inteligenckich kółek. Ilość aresztowanych robotników wzrastała. W więzieniu, mimo ciasnoty, można było lżej oddychać. Pod koniec drugiego roku zapadł wyrok w procesie Południowo-rosyjskiego związku: czterech głównych oskarżonych zostało zesłanych na 4 lata na wschodnią Syberję. Przebyliśmy jeszcze przeszło pół roku w moskiewskim więzieniu etapowym. Był to okres wzmózonej pracy teoretycznej. Tutaj po raz pierwszy usłyszałem o Leninie i przestudjowałem jego tylko co wtedy wydaną książkę o rozwoju rosyjskiego kapitalizmu. Tam też napisałem i wysłałem poza więzienie broszurę o ruchu robotniczym w Mikołajowie, którą wkrótce potem wydano w Genewie. Z moskiewskiego więzienia etapowego wywieziono nas latem. Następnie zatrzymano nas jeszcze kilkakrotnie w szeregu więzień. Na miejsce wygnania dotarliśmy dopiero jesienią 1900 roku.

ROZDZIAŁ IX

PIERWSZE ZESŁANIE

Płynęliśmy wdół Leny. Prąd unosił powoli kilka barek z aresztantami i konwojem. Noce były chłodne i futra, którymi okrywaliśmy się, nad ranem pokrywały się szronem. Po drodze, w zawczasu oznaczonych wsiach, pozostawiano jednego lub dwóch z nas. Do wsi Ust'-Kut płynęliśmy, pamiętam, około trzech tygodni. Tam zostawiono mnie wraz z bliską mi zesłanką, towarzyszką mikołajowskiej roboty. Aleksandrowa Lwowna zajmowała jedno z pierwszych miejsc w południowo-rosyjskim związku robotniczym. Głębokie oddanie się socjalizmowi i całkowite wyzbycie interesów osobistych stworzyły jej niezachwiany autorytet moralny. Wspólna praca mocno związała nas ze sobą. Aby nas nie osiedlono oddzielnie, wzięliśmy ślub w moskiewskim więzieniu etapowym.

Wieś składała się z około stu chałup. Zamieszkaliśmy w ostatniej. Dokoła las, wdole rzeka. Dalej na północ nad Leną były złotonośne złoża. Odblask złota migotał wzdłuż całej Leny. Wieś Ust'-Kut znała dawniej lepsze czasy, – szalony zamęt, grabież i rozbój. Ale za naszych czasów ucichła. Pijaństwo, zresztą, pozostało. Gospodarze naszej chałupy pili nieprzeciętnie. Życie ciemne, głuche, w odległej dali od świata. Nocą karaluchy napełniały izbę trwożnym szmerem, pełzały po stole, po łóżku, po twarzy. Od czasu do czasu trzeba się było na parę dni wyprowadzać i naoścież otwierać drzwi na trzydziesto stopniowy mróz. Latem męczyły nas roje much. Pocięły one na śmierć krowę, która zabłądziła w lesie. Chłopi nosili na twarzach siatki z końskiego wtosia, nasyconego dziegciem. Wiosną i jesienią tonęliśmy w błocie. Zato przyroda była przepiękna. Jednak w owych latach byłem na nią obojętny. Poniekąd szkoda mi było tracić na nią uwagę i czas. Żyłem między lasem i rzeką, prawie nie spostrzegając ich. Książki i stosunki osobiste pochłaniały mnie całkowicie. Studjowałem Marksa, spędzając karaluchy ze stronic książki.

Lena była wielką drogą wodną zesłańców. Ci, których termin zesłania się skończył, wracali rzeką na południe. Łączność pomiędzy oddzielnymi gniazdami zesłańcami, liczba których rosła wraz z przybierającą falą rewolucji, prawie nie ulegała przerwie. Zesłańcy pisywali do siebie listy, urastające do rozmiarów teoretycznych traktatów. Pozwolenie na przeniesienie się z miejsca na miejsce można było stosunkowo łatwo uzyskać od gubernatora irkuckiego. Przeniosłem się wraz z Aleksandrą Lwowną o 250 wiorst dalej na wschód, nad rzekę Ilim, gdzie mieszkali nasi przyjaciele. Przez krótki czas pracowałem tam w biurze u kupca-miljonera. Jego składy futer, sklepy i karczmy rozrzucone były na przestrzeni wielkości Belgji i Holandji razem. Był to potężny handlowy władca feodalny. O licznych tysiącach podwładnych mu tunguzów mówił: „moi tunguskowie”. Nie umiał nawet podpisać swego nazwiska i stawiał tylko znak krzyża. Przez cały rok żył skąpo i oszczędnie, a dziesiątki tysięcy wydawał na hulankę na niżegorodskim jarmarku.

Pracowałem u niego ze sześć tygodni. Pewnego razu zapisałem funt farby, jako pud, i posłałem do daleko położonego sklepu potworny rachunek. Straciłem reputację i podałem się do dymisji. Znów wróciliśmy do Ust'-Kut. Panowała sroga zima, mrozy dochodziły do 44° Reaumura. Woźnica zdzierał rękawicą sople lodu z końskich pysków. Na kolanach trzymałem dziesięcio-miesięczną dziewczynkę. Oddychała przez futrzaną rurę, skonstruowaną nad jej głową. Na każdym przystanku z lękiem wydobywaliśmy dziewczuszkę ze spowicia. Jednak podróż minęła pomyślnie. Ale w Ust'-Kut nie mieszkaliśmy długo. Po kilku miesiącach gubernator pozwolił nam przenieść się trochę bardziej na południe, do Wiercholenska gdzie również mieliśmy przyjaciół.

Arystokracją zesłańczą byli starcy-ludowcy, którzy w ciągu długich lat zdążyli się jakoś urządzić. Młodzi marksiści stanowili oddzielną warstwę. Już za moich czasów pociągnęli na północ robotnicy, skazani za strejki, przypadkiem wyrwani z masy, często pół-analfabeci. Dla tych robotników zesłanie było niezastąpioną szkołą polityki i ogólnej kultury. Ideową rozbieżność zdań, jak zawsze w miejscach przymusowego zgromadzenia ludzi, komplikowały plotki. Konflikty osobiste, a zwłaszcza romantyczne, nabierały nieraz dramatycznego charakteru. Na tem tle zdarzały się nawet samobójstwa. W Wiercholensku pokolei pilnowaliśmy pewnego kijowskiego studenta. Zauważyłem strużyny metalowe na jego stole. Potem dopiero wyjaśniło się, że wycinał z ołowiu kule do strzelby myśliwskiej. Nie ustrzeżliśmy go jednak. Skierowawszy sobie lufę w serce, spuścił kurek palcem stopy. W milczeniu grzebaliśmy go na wzgórzu. Wówczas wstydziliśmy się jeszcze mów, jako fałszu. We wszystkich dużych kolonjach zesłańczych były groby samobójców. Niektórych z pośród zesłańców pochłaniało otaczające środowisko, zwłaszcza w miastach. Inni rozpijali się. Na zesłaniu, jak i w więzieniu, ratowała tylko wytężona praca nad sobą. Przyznać należy, że teoretycznie pracowali nad sobą tylko marksiści.

Na wielkiej leńskiej drodze zapoznałem się w owych latach z Dzierżyńskim, Urickim i innymi młodymi rewolucjonistami, którzy w przyszłości mieli odegrać tak wielkie role. Z niecierpliwością czekaliśmy na każdą nową partję zesłańców. W ciemną noc wiosenną, przed ogniskiem, na brzegu szeroko rozlanej Leny, Dzierżyńskij czytał swój poemat, pisany po polsku. Twarz i głos jego były wspaniałe, ale poemat słaby. Życie tego człowieka stało się później samo posepnym poematem.

Wkrótce po przybyciu do Ust'-Kut zacząłem współpracować w irkuckiej gazecie „Wostocznoje Obozrenije” Był to legalny prowincjonalny organ, stworzony przez starych zesłańców-ludowców, przejściowo opanowany przez marksistów. Zaczętem od korespondencyj ze wsi, czekałem ze wruszeniem pojawienia się pierwszej z nich, zostałem zachęcony przez redakcję i przeszedłem do krytyki literackiej i publicystyki. Szukając pseudonimu, otworzyłem na chybił trafił włoski słownik – znalazłem wyraz antidoto, i w ciągu długich lat podpisywałem me artykuły Antid Oto, tłumacząc żartobliwie przyjaciółom, że chcę wprowadzić marksowską odtrutkę do prasy legalnej. Gazeta, niespodzianie dla mnie, podniosła moje honorarium z dwóch kopiejek do czterech od wiersza. Był to wyraz najwyższego powodzenia. Pisałem o włościaństwie, o rosyjskich klasykach, o Ibsenie, Hauptmanie, Nietschem, Maupassant'ie, Estaunié, o Leonidzie Andrejewie i Gorkim. Przesiadywałem nocami, kreśląc wzdłuż i wszerz moje rękopisy w poszukiwaniu potrzebnej myśli, albo brakującego słowa. Stawałem się pisarzem.

Od roku 1896, kiedy usiłowałem bronić się przed ideami rewolucyjnymi, i od roku 1897, kiedy prowadziłem już robotę rewolucyjną, ale jeszcze broniłem się przed teorią marksizmu, odbyłem porządną część drogi. Przed samem zesłaniem, marksizm stał się dla mnie ostatecznie podstawą światopoglądu i metodą myślenia. Teraz na zesłaniu, usiłowałem rozpatrzeć pod przyswojonym sobie kątem widzenia, tak zwane „odwieczne” zagadnienia życia ludzkiego: miłość, śmierć, przyjaźń, optymizm, pesymizm i t. p. W różnych epokach i w różnych środowiskach społecznych człowiek inaczej kocha, nienawidzi i inaczej żywi nadzieję. Jak drzewo przez korzenie odżywia swe kwiaty i owoce sokami gleby, podobnie jednostka znajduje pokarm dla swych uczuć i myśli, choćby „najwyższych” – w ekonomicznym fundamencie społeczeństwa. W ówczesnych moich artykułach o literaturze opracowywałem w istocie jeden tylko temat: jednostka i społeczeństwo. Niedawno artykuły te zostały wydane w oddzielnym tomie. Gdybym dziś je pisał, oczywiście, napisałbym je inaczej. Istoty ich jednak nie potrzebowałbym zmieniać wcale.

Oficjalny albo legalny marksizm rosyjski przeżywał w tym okresie bardzo silny kryzys. Teraz zobaczyłem już na żywym przykładzie, jak nowe potrzeby społeczne bezceremonialnie stwarzają sobie ideowe umundurowanie z teoretycznego sukna, mającego całkiem inne przeznaczenie. Do lat dziewięćdziesiątych, rosyjska inteligencja w olbrzymiej swej części kostniała w ludowości z jej zaprzeczaniem kapitalizmu i idealizacją wspólnoty włościańskiej. Tymczasem zaś kapitalizm stukał do wszystkich drzwi, obiecując inteligencji wszelkie dobra materialne i okazałą polityczną rolę w przyszłości. Ostry nóż marksizmu przydał się burżuazji inteligenckiej na to, aby przeciąć pepowinę ideologii ludowców, wiążącą ją z wygasłą przeszłością. Tem tłumaczyć należy szybkie i zwycięskie rozpowszechnienie się idei marksizmu w ciągu ostatnich lat ubiegłego wieku. Załedwie jednak teoria Marksa spełniła to swoje zadanie, kiedy już zaczęła krępować inteligencję. Dialektyka wystarczała do wykazania progresywności kapitalistycznych metod rozwoju. Ale tam, gdzie zaczynało się rewolucyjne zaprzeczenie samego kapitalizmu, dialektyka stawała się czemś krępującem i uznawano ją za przestarzałą. Na rubieży dwóch wieków – przypadało to dla mnie na lata więzienia i zesłania – rosyjska inteligencja przeszła stadjum epidemicznej krytyki marksizmu. Przyswajała zeń sobie historyczne uzasadnienie kapitalizmu, odrzucając jednak jego rewolucyjną negację. Takimi okólnymi drogami anarchiczno-ludowcowa inteligencja zmieniała się w liberalno-burżuazyjną.

Europejska krytyka marksizmu znajdowała teraz szeroki zbyt w Rosji, zupełnie niezależnie od swych zalet. Wystarczy powiedzieć, że Edward Bernstein został jednym z popularnych przewodników od socjalizmu do liberalizmu. Normatywna filozofja coraz triumfalniej rugowała materialistyczną dialektykę. Formującej się burżuazyjnej opinii społecznej właśnie potrzebne były nieugięte normy, nie tylko przeciw samowoli samowładnej biurokracji, ale i przeciw nieokiełznaniu mas rewolucyjnych. Wywróciwszy Hegla, Kant niedługo jednak utrzymał się na nogach. Rosyjski liberalizm zjawiał się późno i od samego początku istniał na wulkanicznym gruncie. Kategoryczny imperatyw okazał się dla niego zbyt abstrakcyjną i niepewną asekuracją. Przeciw masom rewolucyjnym potrzebne były silniej działające środki. Transcendentalni idealisci przekształcali się w prawosławnych chrześcijan. Profesor ekonomji politycznej Bułhakow zaczął od rewizji

marksizmu w sprawie agrarnej, przeszedł do idealizmu, a skończył na tem, że

nic nie ma, ale że w jego osobie chciał uderzyć rządową przemoc. Dostał się na ciężkie roboty.

W tym czasie, kiedy na dalekich, zaspanych śniegiem kolonjach syberyjskich, namiętnie omawiano sprawy różniczkowania rosyjskiego włościaństwa, angielskich trade-unions'ów, stosunku kategorycznego imperatywu do interesów klasowych, zagadnienia darwinizmu i marksizmu, w sferach rządowych prowadzono inną walkę ideową. Najświętszy synod w lutym 1901 roku wykluczył z cerkwi Lwa Tołstoja. Orędzie synodu drukowały wszystkie gazety. Tołstojowi zarzucano sześć przestępstw: 1) „zaprzecza istnieniu osobowego żywego Boga, w Trójcy Świętej sławionego”, 2) „zaprzecza istnieniu Chrystusa, człowieka-Boga, wskrzeszonego z martwych”, 3) „zaprzecza niepokalanemu poczęciu i dziewictwu Przczystej Bogurodzicy, przed urodzeniem i po urodzeniu Chrystusa”, 4) „nie uznaje życia zagrobowego i kary”, 5) „zaprzecza błogosławionemu działaniu Ducha Świętego”, 6) „naigrawa się z tajemnicy eucharystji”. Brodaci i siwowłosi metropolici i inspirujący ich Pobiedonoscew, oraz wszystkie inne filary państwa, uważające nas, rewolucjonistów, nie tylko za przestępców, ale i za obłąkanych fanatyków, a siebie – za przedstawicieli trzeźwej myśli, opierającej się na historycznym doświadczeniu całej ludzkości, ci ludzie żądali od wielkiego artysty-realisty wiary w Niepokalane Poczęcie i w Ducha Świętego, komunikowanego przez pszenne opłatki. Odczytywaliśmy wielokrotnie wyszczególnienie herezji Tołstoja ze wzrastającym zdumieniem i myśleliśmy: nie, na doświadczeniu całej ludzkości opieramy się my, my stanowimy przyszłość, – a tam w górze zasiadają nie tylko przestępcy, ale i maniacy. I byliśmy zupełnie pewni, że damy sobie radę z tym domem warjatów.

Stary gmach państwa trzeszczał we wszystkich spojeniach. Rolę harcowników w walce grali ciągle jeszcze studenci. Trawieni niecierpliwością, zaczęli uciekać się do aktów teroru. Po strzałach Karpowicza i Bałmaszowa całe zesłanie drgnęło, jakby usłyszawszy sygnał na trwogę. Zaczęły się spory o taktykę teroru. Po pewnych wahaniach, marksowska część zesłania wypowiedziała się przeciwko terrorowi. Chemja materiałów wybuchowych nie może zastąpić działania mas – mówiliśmy. Samotnicy spłoną w heroicznej walce, nie postawiwszy na nogi klasy robotniczej. Naszą sprawą jest nie zabójstwo carskich ministrów, lecz rewolucyjne obalenie caratu. Na tem tle nastąpił rozłam między socjal-demokratami i socjal-rewolucjonistami. Jeżeli więzienie było dla mnie okresem teoretycznego formowania się, to zesłanie stało się okresem politycznego samookreślenia.

Tak upłynęły mi dwa lata życia. Przez ten czas wiele wody przepłynęło pod mostami Petersburga, Moskwy i Warszawy. Z pod ziemi ruch zaczął wylewać się na ulice miast. W niektórych guberniach poruszyło się włościaństwo. Organizacje socjal-demokratyczne powstawały również i na Syberji, wzdłuż linii kolejowej. Weszły ze mną w stosunki. Pisałem dla nich proklamacje i ulotki. Po trzyletniej przerwie znów przyłączyłem się do aktywnej walki.

Zesłańcy nie chcieli dłużej pozostawać na miejscach. Zaczęła się epidemia ucieczek. Trzeba było ustanawiać kolejność. Prawie w każdej wsi znajdowali się poszczególni chłopci, którzy jeszcze jako młodzi chłopcy, podlegali wpływom rewolucjonistów starszego pokolenia. Ci chłopci właśnie pokryjomu wywozili politycznych łódką, na wozie, saniami, przekazując ich z rąk do rąk. Syberyjska policja była w istocie równie bezradna, jak i my. Ogromne przestrzenie były jej sprzymierzeńcem, ale i wrogiem zarazem. Schwytać

uciekiniera-zesłańca było trudno. Więcej przemawiało za tem, że utonie w rzece, albo zamarźnie w tajdze.

Rozrósłszy się wszcz, ruch rewolucyjny pozostał jednak rozproszony. Każdy okręg, każde miasto, prowadziło walkę na własną rękę. Carat miał ogromną przewagę jedności działań. Konieczność stworzenia zcentralizowanej partji zajmowała w tym czasie wiele umysłów. Napisałem na ten temat rozprawę, która w odbitkach krążyła po kolonjach i wywoływała gorące dyskusje. Zdawało się nam, że nasi współwyznawcy w kraju i na emigracji za mało myślą o tej sprawie. Jednakże myśleli o tem i działali. Latem 1902 roku otrzymałem przez Irkuck książki, w których okładki wklejone były ostatnie zagraniczne wydawnictwa, drukowane na bibułce. Dowiedzieliśmy się, że zagranicą powstała gazeta marksowska „Iskra”, która miała za zadanie stworzenie zcentralizowanej organizacji zawodowych rewolucjonistów, związanych żelazną dyscypliną czynu. Nadeszła wydana w Genewie książka Lenina: „Co począć?”, całkowicie poświęcona temu zagadnieniu. Moje rękopiśmienne rozprawy, artykuły dziennikarskie i proklamacje dla Związku Syberyjskiego, wydały mi się czemś małym i zaściankowym w obliczu nowego, olbrzymiego zadania. Trzebabyło szukać innego pola pracy. Trzeba było uciekać.

W tym okresie miałem już dwie córeczki: młodsza zaczynała czwarty miesiąc. Życie w syberyjskich warunkach nie było łatwe. Ucieczka moja zwałaby na Aleksandrę Lwownę podwójne brzemie. Ona jednak rozstrzygnęła sprawę jednym słowem: *trzeba*. Obowiązek rewolucyjny stał dla niej przed wszystkimi innymi względami, przedewszystkiem zaś przed osobistymi. Ona pierwsza poddała mi myśl ucieczki, skoro tylko zdaliśmy sobie sprawę z nowych, wielkich zadań. Rozproszyła wszelkie powstające w związku z tem wątpliwości. W ciągu kilku dni po mej ucieczce, z powodzeniem maskowała moją nieobecność przed policją. Z zagranicy z trudnością mogłem z nią korespondować. Czekają ją jeszcze drugie zesłanie. Później spotykaliśmy się tylko dorywczo. Życie rozdzieliło nas, ale zachowało między nami nietkniętą łączność ideową i przyjaźń.

ROZDZIAŁ X

PIERWSZA UCIECZKA

Zbliżała się jesień i groziły roztopy. Aby przyspieszyć moją ucieczkę, postanowiono, że ucieknę razem z osobą, której kolej teraz nadchodziła. Przyjaciel-chłop podjął się wywieźć mnie z Wiercholenska razem z E. G., tłumaczką Marksa. Nocą, w polu, zakrył nas na wozie sianem i rogożą, jak ładunek towaru. Jednocześnie, żeby choć na dwa dni wprowadzić w błąd policję i zyskać na czasie, w moim mieszkaniu otuliło się kołdrą manekin, mający wyobrażać mnie jako chorego. Woźnica wioził nas po syberyjsku, t. j. z szybkością dwudziestu wiorst na godzinę. Odczuwałem na własnych plecach wszystkie wyboje i słyszałem tłumione jęki sąsiadki. Po drodze dwa razy zmienialiśmy konie. Nie dojeżdżając do dworca kolejowego, rozstałem się z moją towarzyszką podróży, aby nie pomnażać wzajemnie naszych ewentualnych błędów i niebezpieczeństw. Bez przygód wsiadłem do wagonu, do którego irkucy przyjaciele dostarczyli mi kufer ze sztywną bielizną, krawatem i innymi atrybutami cywilizacji. W rękach trzymałem Homera w rosyjskich heksametrach Gniedicza. W kieszeni miałem paszport na nazwisko Trockiego, które sam wpisałem na chybił trafił, nie przewidując, że to nazwisko będę nosił przez całe życie. Jechałem koleją syberyjską na zachód. Żandarmi na dworcach obojętnie przepuszczali mnie obok siebie. Rosłe syberyjskie chłopki sprzedawały na stacjach pieczone kury i prosięta, mleko w butelkach, stopy świeżo upieczonego chleba. Każda stacja wyglądała jak wystawa syberyjskiego dobrobytu. W ciągu całej drogi wszyscy w wagonie pili herbatę, zagryzając taniemi syberyjskimi pączkami. Czytałem heksametry i marzyłem o zagranicy. Okazało się, że ucieczka wcale nie była romantyczna: romantyzm utonął całkowicie w potokach wypijanej herbaty.

Zatrzymałem się w Samarze, gdzie skoncentrowany był wówczas wewnętrzny, t. j. nie-emigrancki sztab „Iskry”. Na jego czele, pod konspiracyjnym pseudonimem Claire, stał inżynier Krzyżanowski, dzisiejszy przewodniczący Gosplanu. On i jego żona byli współpracownikami Lenina w robocie socjal-demokratycznej w Petersburgu w latach 1894/5 i na syberyjskim wygnaniu. Wkrótce po stłumieniu rewolucji 1905 roku, Claire, razem z wieloma tysiącami innych, wystąpił z partji i, w charakterze inżyniera, zajął bardzo wysokie stanowisko w świecie przemysłowym. Konspiratorzy uskarżali się, że odmawia im nawet takiej pomocy, jakiej dawniej udzielali liberali. Po 10-12 letniej przerwie, kiedy bolszewicy zdobyli władzę, Krzyżanowski wrócił do partji. Była to droga bardzo licznej warstwy inteligencji, która teraz jest najważniejszą podporą Stalina.

W Samarze, oficjalnie, że tak powiem, przyłączyłem się do organizacji „Iskry” pod nadanym mi przez Claire’a konspiracyjnym pseudonimem „Pióro”: był to hołd dla mych syberyjskich triumfów dziennikarskich. Organizacja „Iskry” budowała partję od nowa. Na pierwszym zjeździe, który odbył się w marcu 1898 r. w Mińsku, nie udało się stworzyć scentralizowanego

kierownictwa partyjnego. Epidemja aresztowań rozbiła młodą organizację, nie posiadającą jeszcze w kraju koniecznego punktu oparcia. Po tych wypadkach ruch rewolucyjny wzrastał w rozproszonych, ogniskach, zachowując prowincjonalny charakter. Jednocześnie zaś obniżał się jego poziom ideowy. W walce o masy socjal-demokracji odsuwali na drugi plan hasła polityczne. Powstał t. zw. kierunek „ekonomiczny”, wyzyskujący burzliwe nastroje na tle handlowo-przemysłowem i strejkowem. Pod sam koniec zaszłego stulecia wybuchł kryzys, który zaostriżył wszystkie antagonizmy w kraju i był bodźcem dla ruchu politycznego. „Iskra” stoczyła z prowincjonalnymi „ekonomistami” decydującą walkę o stworzenie scentralizowanej partji rewolucyjnej. Główny sztab „Iskry” znajdował się zagranicą, zapewniając ideową stałość organizacji, którą tworzone z tak zwanych „zawodowych” rewolucjonistów, ściśle zespolonych jednością teorii i zadań praktycznych. W owym czasie większość iskrowców stanowili inteligenci, walczący o zawładnięcie miejscowemi komitetami socjal-demokratycznymi i o przygotowanie takiego zjazdu partji, który zapewniłby zwycięstwo ideom i metodom „Iskry”. Był to, że tak powiem, pierwszy bruljonowy szkic tej organizacji rewolucyjnej, która, rozwijając się, hartując, atakując i cofając, wiążąc się coraz mocniej z masami robotniczymi i stawiając przed niemi coraz szersze zadania, po piętnastu latach obaliła panowanie burżuazji i ujęła władzę w swe ręce.

Z polecenia biura samarskiego, odwiedziłem w Charkowie, Połtawie i Kijowie szereg rewolucjonistów, którzy wchodzili już w skład organizacji „Iskry”, oraz tych, których dopiero należało dla niej pozyskać. Wróciłem do Samary z nader mizernemi wynikami: stosunki na południu były jeszcze słabo nawiązane, adres w Charkowie okazał się fałszywy, w Połtawie spotkałem się z lokalnym patriotyzmem. Przelotnie nic nie można było zrobić, potrzebna była poważna praca. Tymczasem Lenin, z którym biuro samarskie utrzymywało ożywioną korespondencję, przynaglał mnie do wyjazdu zagranicę. Claire zaopatrzył mnie w pieniądze na drogę i udzielił niezbędnych wskazówek dla przekroczenia granicy austriackiej pod Kamieńcem Podolskim.

Łańcuch przygód raczej zabawnych, niż tragicznych, zaczął się na dworcu w Samarze. Aby nie włązić poraz wtóry żandarmom w oczy, postanowiłem przyjść w ostatniej chwili. Student Sołowjew, jeden z dzisiejszych kierowników syndykatu naftowego, miał zająć dla mnie miejsce i oczekiwać mnie z kufrem. Spokojnie spacerowałem po polu daleko za dworcem, spoglądając na zegarek, kiedy nagle usłyszałem drugi dzwonek. Domyśliwszy się, że źle mnie poinformowano o godzinie odejścia pociągu, pobiegłem z całych sił. Sołowjew, który uczciwie czekał na mnie w wagonie i już w biegu wyskoczył z kufrem w rękę na tor, był otoczony przez urzędników kolejowych i żandarmów.

Widok człowieka, chwyającego z trudem oddech, który przybiegł po odejściu pociągu – człowiekiem tym byłem ja, – zwrócił powszechną uwagę. Protokół, którym żandarmi grozili Sołowjewowi, skończył się na rubasznych drwinach z nas obu.

Do pasa pogranicznego dojechałem pomyślnie. Na ostatniej stacji policjant zażądał ode mnie paszportu. Byłem szczerze zdziwiony, kiedy znalazł w zupełnym porządku sfabrykowany przeze mnie dokument. Jak się okazało, nielegalnemi przeprawami kierował pewien gimnazista. Dzisiaj jest on znanym chemikiem, stojącym na czele jednej z instytucyj naukowych sowieckiej republiki. Gimnazista był sympatykiem socjal-rewolucjonistów.

Dowiedziawszy się ode mnie, że należę do organizacji „Iskry”, z punktu przybrał ton groźnego oskarżyciela. – Czy wiadomo wam, że w ostatnich numerach „Iskra” prowadzi niegodną polemikę przeciwko terroryzmowi? – Ledwo zabrałem się do rozpoczęcia zasadniczej dyskusji, kiedy gimnazista dodał gniewnie: – Nie przeprowadzę was przez granicę! – Ten argument był dla mnie zupełną niespodzianką. A jednakże był on całkiem słuszny. W piętnaście lat później musieliśmy z bronią w rękę obalać władzę socjal-rewolucjonistów. Ale w danej chwili daleki byłem od historycznych przewidywań. Dowodziłem, że nie wolno karać mnie za artykuł „Iskry” i wkońcu oświadczyłem, że nie ruszę się z miejsca, póki nie dostanę przewodnika. Gimnazista zmiękł. – Dobrze, – powiedział, – niech tak będzie, ale powiedzcie im tam, że to ostatni raz!

Gimnazista ulokował mnie na noc w pustym mieszkaniu samotnego komiwojażera, który miał wrócić dopiero następnego dnia. Pamiętam jak przez mgłę, że do zamkniętego przez gospodarza mieszkania wchodzić musiałem przez okno. W nocy nagle obudziło mnie światło. Nade mną stał pochylony jakiś obcy, maleńki człowiek w meloniku, ze świecą w jednej, a kijem w drugiej ręce. Z sufitu spełzał na mnie cień w ogromnym melonie. – Kto jesteście? – spytałem z oburzeniem. – To mi się podoba, – odpowiedział tragicznym tonem nieznajomy, – on leży w moim łóżku i pyta, kto ja jestem! – Rzecz jasna – przede mną stał właściciel mieszkania. Próba wytłumaczenia mu, że powinien być wrócić dopiero następnego dnia, nie miała żadnego powodzenia. – Sam wiem, kiedy mam wracać! – odpowiedział nie bez racji. – Sytuacja komplikowała się. – Rozumiem! – krzyknął nieznajomy, nie przestając oświetlać mej twarzy. – To są sztuczki Aleksandra. Jutro z nim pogadamy! – Chętnie poparłem szczęśliwą myśl, że winowajcą wszystkich nieporozumień jest nieobecny Aleksander. Resztę nocy spędziłem u komiwojażera, który nawet łaskawie poczęstował mnie herbatą.

Następnego rana gimnazista, po burzliwej rozmowie z moim gospodarzem, przekazał mnie kontrabandzistom miasteczka Brodów. Cały dzień spędziłem na słomie w stodole u chochła, który żywił mnie arbuzami. Nocą w deszcz poprowadził mnie przez granicę. Długo trzeba było brnąć, potykając się w mroku nocnym. – No, teraz włączcie mi na plecy, – powiedział przewodnik, – dalej jest woda. – Nie chciałem się zgodzić. – Nie możecie przemoczeni iść na tamtą stronę, – nalegał chochoł. Musiałem więc odbyć podróż na plecach człowieka, lecz mimo to miałem pełno wody w butach. W jakieś piętnaście minut później suszyliśmy się w żydowskiej chałupie, już w austriackiej części Brodów. Zapewniano mnie tam, że przewodnik umyślnie zaprowadził mnie w głęboką wodę, żeby dostać więcej pieniędzy. Z kolei chochoł z głębi serca ostrzegał mnie na pożegnanie przed Żydami, lubiącymi potrójnie zdzierać. Istotnie, moje zapasy pieniężne topniały szybko. Trzeba było przejechać jeszcze osiem kilometrów szosą do stacji. Na przestrzeni paru kilometrów, wzdłuż samej granicy, droga, rozmyta przez deszcze, była trudna i niebezpieczna. Stary Żyd-robotnik wiozł mnie dwukołowym wózkiem. – Jeszcze kiedy głową przyplączę tę robotę – mrucał. – Dlaczego? – Żołnierze nawołują, a jeżeli się nie odpowiada, to strzelają. To ich właśnie ogieniek widać. Jeszcze dziś na szczęście noc jest dobra. – Noc istotnie była dobra: nieprzejrzana, zła jesienna mgła, nieustanny deszcz prosto w twarz, głęboki chlupot błota pod kopytami konia. Jechaliśmy, wózek kołysał się, stary ochryłym półszepcetem przynaglał konia, koła grzęzły, lekki wózek coraz

bardziej pochylał się i nagle – przewrócił. Błoto było październikowe, t. j. głębokie i zimne. Na płask zagłębiłem się w nie do połowy i na dodatek zgubiłem binokle. Ale najstraszniejsze było to, że natychmiast po naszym upadku, gdzieś blisko, obok nas, rozległ się przesywający krzyk, jęk rozpacz, błaganie o pomoc, mistyczne wołanie do niebios i nie sposób było zorientować się w tej czarnej, mokrej nocy, do kogo należy ten tajemniczy głos, tak bardzo wyrazisty – a jednak nieludzki. – On nas zgubi, mówię wam, – bełkotał stary z rozpaczą, – on nas zgubi... – Ale co to takiego? – spytałem, wstrzymując oddech. – To kogut, niech będzie przeklęty, kogut, dała mi go gospodyni do rzezaka, żeby go zarznął na sobotę... – Przeszywające krzyki rozlegały się teraz w miarowych odstępach czasu. – On nas zgubi, stąd tylko dwieście kroków do posterunku, zaraz wyskoczy żołnierz... – Zaduście go!... – syczałem z wściekłością. – Kogo? – Koguta! – A gdzie ja go znajdę? Coś go przygniotło... – Obaj pełzaliśmy w ciemności, przebieraliśmy w błocie rękami, deszcz siekł zgóry, przeklinaliśmy koguta i los. Wreszcie stary wyswobodził nieszczęsną ofiarę z pod mojej koldry. Wdzięczny kogut umilkł odrazu. Wspólnymi siłami podnieśliśmy wózek i pojechali dalej. Na stacji, przed nadejściem pociągu, ze trzy godziny suszyłem się i czyściłem.

Po wymianie pieniędzy okazało się, że nie starczy mi na kolej do miejsca przeznaczenia, t. j. do Zurychu, gdzie miałem zgłosić się do Axelroda. Wziłem bilet do Wiednia. tam zaś zobaczymy, co dalej robić. W Wiedniu uderzyło mnie najbardziej to, że mimo mej szkolnej znajomości języka niemieckiego, nikogo nie mogłem zrozumieć, większość przechodniów odpłacała mi tem samem. Mimo wszystko wytłumaczyłem staruszkowi w czerwonej czapce, że szukam redakcji „Arbeiter-Zeitung”. Postanowiłem wytłumaczyć samemu Wiktorowi Adlerowi, wodzowi austriackiej socjaldemokracji, że interesy rewolucji rosyjskiej wymagają mego niezwłocznego przybycia do Zurychu. Przewodnik obiecał zaprowadzić mnie, gdzie trzeba. Szliśmy godzinę. Okazało się, że już dwa lata temu dziennik przeniósł się gdzie indziej. Szliśmy jeszcze pół godziny. Portjer oświadczył nam, że dziś przyjęć niema. Nie miałem czem zapłacić przewodnikowi, byłem głodny, przede wszystkim zaś musiałem jechać do Zurychu. Ze schodów schodził wysoki pan o niezbyt uprzejmym wyrazie twarzy. Zwróciłem się do niego, pytając o Adlera. – Czy wie pan, co dziś za dzień? – spytał mię surowo. Nie wiedziałem. W wagonie, na wozie, w stodole u chochła, w nocnej walce z komiwojażerem, straciłem rachubę dni. – Dziś jest niedziela! – dobitnie wyrzekł wysoki pan i chciał mnie minąć. – Wszystko jedno, – odpowiedziałem, – muszę się widzieć z Adlerem. – Wówczas mój rozmówca odpowiedział mi takim tonem, jakby dowodził podczas burzy bataljonem: – Przecież mówi się panu, że z doktorem Adlerem nie można się widzieć w niedzielę! – Ale ja mam ważny interes, – twierdziłem uparcie. – A choćby nawet pański interes był dziesięć razy ważniejszy, rozumiano? – Był to sam Fritz Austerlitz, postrach własnej redakcji, którego mowa, jakby się wyraził Wiktor Hugo, składała się z samych błyskawic. – Gdyby pan nawet przywiózł wiadomość, że – słyszy pan? – że wasz car został zabity i że tam u was zaczęła się rewolucja, – słyszy pan? – i to nawet nie dałoby panu prawa naruszenia niedzielnego odpoczynku doktora! – Jegomość ów formalnie imponował mi grzmiotem swego głosu. Mimo to jednak zdawało mi się, że mówi głupstwa. Nie może być, żeby niedzielny wypoczynek stał ponad wymaganiami rewolucji. Postanowiłem nie poddawać się. Musiałem jechać do Zurychu.

Czekała na mnie redakcja „Iskry”. Poza tem uciekłem z Syberji. To przecież także coś znaczy. Stojąc na ulicy i zagradzając groźnemu rozmówcy drogę, ostatecznie dopiąłem swego. Austerlitz podał mi tak pożądany adres. W towarzystwie tego samego przewodnika udałem się do mieszkania Adlera.

Na spotkanie wyszedł mi niski człowiek, krępy, prawie garbaty, z opuchniętymi oczami w zmęczonej twarzy. W Wiedniu odbywały się wybory do Landtagu, poprzedniego dnia Adler brał udział w kilku zebraniach, a w nocy pisał artykuły i odezwy. O tem dowiedziałem się w kwadrans później od jego synowej.

– Niech mi pan wybaczy doktorze, że naruszyłem pański niedzielny wypoczynek...

– Dalej, dalej, – przerwał mi z pozorną surowością, ale takim tonem, który nie wzbudzał lęku, lecz zachęcał. Ze wszystkich zmarszczek jego twarzy przebijał rozum.

– Jestem Rosjaninem...

– No, tego nie potrzebuje mi pan mówić, miałem czas, aby się domyśleć.

Opowiedziałem doktorowi, badającemu mnie wzrokiem, moją rozmowę przed wejściem do redakcji.

– Czyżby? Tak powiedziano panu? Ktoby to mógł być? Wysoki? Krzyczy? To Austerlitz. Mówi pan, że krzyczy? To Austerlitz. Niech pan tego nie bierze z abardzo naserjo. Jeżeli przywiezie pan z Rosji wiadomości o rewolucji, może pan w nocy do mnie dzwonić... Katia, Katia! – zawołał niespodzianie. Weszła jego synowa, Rosjanka. – Teraz pójdzie panu lepiej, – rzekł, zostawiając nas samych.

Moja dalsza podróż była zapewniona.

ROZDZIAŁ XI

PIERWSZA EMIGRACJA

Do Londynu – z Zurychu przez Paryż – przyjechałem na jesieni 1902 roku, zdaje się, że w październiku, wczesnym rankiem. Wynajęty prawie wyłącznie na mięgi cab odwiózł mnie pod adresem, napisanym na papierku, na miejsce przeznaczenia. Tem miejscem było mieszkanie Lenina. Pouczono mnie zawczasu, jeszcze w Zurychu, żeby zastukać trzy razy kółkiem od drzwi. Drzwi otworzyła mi Nadieżda Konstantynówna, którą – zapewne – wyrwałem z łóżka mem stukaniem. Godzina była wczesna i każdy, bardziej przyzwyczajony do kulturalnego współżycia, człowiek, przesiedziałby spokojnie godzinę czy dwie na dworcu, zamiast stukać po nocy do cudzych drzwi. Ja jednak ciągle jeszcze byłem w ogniu mej ucieczki z Wiercholenska. W taki sam zresztą barbarzyński sposób zaatakowałem w Zurychu mieszkanie Axelroda, tylko nie o świcie, lecz głęboką nocą. Lenin leżał jeszcze w łóżku i mina jego wyrażała uprzejmość wraz ze zrozumiałym zdziwieniem. W takich warunkach odbyło się moje pierwsze spotkanie i pierwsza rozmowa z Leninem. Włodzimierz Iljicz i Nadieżda Konstantynówna wiedzieli już o mnie z listu Claire'a i oczekiwali mnie. Zostałem przywitany okrzykiem: – Przyjechało pióro! – Natychmiast wyłożyłem mój skromny zapas rosyjskich wrażeń: łączność na południu jest słaba, adres w Charkowie fałszywy, redakcja „Jużnawo Raboczewo” sprzeciwia się zjednoczeniu, austriacka granica jest w rękach gimnazysty, który nie chce pomagać iskrowcom. Fakty, jako takie, nie budziły zbyt wiele nadziei. Ale zato wiary w przyszłość było aż nadto. Tego samego ranka, czy może następnego dnia, odbyłem z Włodzimierzem Iljiczem wielki spacer po Londynie. Lenin pokazywał mi z mostu Westminster i inne godne uwagi gmachy. Nie pamiętam, co powiedział przytem, ale ton tego był taki: – To jest ten ich sławny Westminster. – „Ich” znaczyło, oczywiście, nie Anglików, ale klasy rządzącej. Ten ton, ani trochę nie podkreślony, głęboko organiczny, wyrażający się raczej w barwie głosu, był zawsze właściwością Lenina, kiedy mówił o jakichkolwiek zabytkach kultury, lub nowych jej zdobyczach, o bogactwie bibliotecznym Muzeum Brytyjskiego, o informacjach wielkiej europejskiej prasy, lub też – w wiele lat później – o niemieckiej artylerji, albo francuskim lotnictwie: umieją albo mają, zrobili czy osiągnęli – co za wrogowie! Niedostrzegalny cień klasy rządzącej, według niego, padał jakby na całą kulturę ludzkości, zaś cień ów wyczuwał zawsze tak niewątpliwie, jak światło dzienne. Zdaje się, że tym razem okazałem minimalną uwagę londyńskiej architekturze. Przerzucony odrazu z Wiercholenska zagranicę, gdzie wogóle byłem po raz pierwszy, wchłaniałem Wiedeń, Paryż i Londyn bardzo sumarycznie i daleki byłem jeszcze od „szczegółów” w rodzaju Westminsterskiego pałacu. A zresztą i Lenin, oczywiście nie w tym celu, wyciągnął mnie na ów wielki spacer. Chodziło mu o to, żeby zapoznać się ze mną bliżej i niewidocznie przeegzaminować mnie. I istotnie egzamin był „z całego kursu”.

Opowiedziałem o naszych syberyjskich sporach, głównie w sprawie organizacji centralistycznej, o mojej pisemnej rozprawie na ten temat, o mej burzliwej potyczce ze starymi ludowcami w Irkucku, dokąd pojechałem na kilka tygodni, o trzech zeszytach Machajskiego i t. p. Lenin umiał słuchać. – A jak tam stoi sprawa w dziedzinie teorii? – Opowiadałem, jakżeśmy w moskiewskim więzieniu etapowo zbiorowo studjowali jego książkę: „Rozwój kapitalizmu w Rosji”, a na zesłaniu pracowali nad „Kapitałem” i utknęli na drugim tomie. Studjowaliśmy sumiennie, według źródeł, spór między Bernsteinem i Kautsky’em. Wśród nas nie było zwolenników Bernsteina. W dziedzinie filozofji zachwycała nas książka Bogdanowa, który skojarzył z marksizmem teorię poznania Mach-Avenariususa. Lenin wówczas również uważał poglądy Bogdanowa za słuszne. – Nie jestem filozofem, – mówił zatroskany, – ale Plechanow, naprzykład, surowo potępia bogdanowską filozofję, jako zamaskowaną różnopostaciowość idealizmu. – W kilka lat później Lenin poświęcił filozofji Mach-Avenariususa obszerne studjum, oceniając ją zasadniczo tak, jak Plechanow. Wspomniałem w trakcie rozmowy, że na zesłańcach wywarła duże wrażenie olbrzymia ilość, opracowanych w książce Lenina, materiałów statystycznych, dotyczących rosyjskiego kapitalizmu. – Przecież to robiło się nieodrazu... – odpowiedział Włodzimierz Iljicz z pewnym zmieszaniem. Widać, było mu bardzo przyjemnie, że młodszy towarzysze ocenili olbrzymią pracę, jaką włożył w swe główne studjum ekonomiczne. O mojej działalności tym razem mówiliśmy tylko zupełnie ogólnikowo. Projektowało się, że pobędę jakiś czas zagranicą, zapoznam się z nową literaturą, rozejrzę się, a potem – zobaczymy. W każdym razie po pewnym czasie zamierzałem wrócić nielegalnie do Rosji, aby podjąć robotę rewolucyjną.

Nadieżda Konstantynówna zaprowadziła mnie do położonego o kilka ulic dalej domu, w którym mieszkali Wiera Zasulicz, Martow i zarządzający drukarnią „Iskry” Blumenfeld. Znalazł się tam dla mnie wolny pokój. Mieszkanie to, w zwykły sposób angielski, miało rozkład nie poziomy, lecz pionowy: w pokoju na dole mieszkała gospodyni, a potem jeden nad drugim lokatorzy. Był jeszcze wspólny pokój, gdzie piło się kawę, paliło i bez końca prowadziło rozmowy i gdzie, nie bez winy Wiery Zasulicz, choć i nie bez współdziałania Martowa, panował wielki nieporządek. Plechanow, po pierwszej wizycie, nazwał ten pokój spelunką.

Tak rozpoczął się krótki londyński okres mego życia. Zaczęłem chciwie pochłaniać wydane dotychczas numery „Iskry” i zeszyty „Zorzy”, wydawanej przez tę samą redakcję. To była wspaniała literatura, łącząca głębię naukową z rewolucyjną namiętnością. Zakochałem się w „Iskrze”, wstydzilem się własnego nieuctwa i dążyłem ze wszystkich sił do przewyciężenia go. Wkrótce zacząłem współpracować w „Iskrze”. Początkowo pisywałem drobne notatki, potem zaś polityczne artykuły i nawet artykuły wstępne.

Wówczas też wystąpiłem z odczytem w Whitechapel, gdzie walczyłem z patriarchą emigracji Czajkowskim i również już niemłodym anarchistą Czerkezowem. Szczerze dziwiły mnie dziecinne argumenty, za pomocą których szanowni starsuszkowie atakowali marksizm. Pamiętam, że wracałem w bardzo podniosłym nastroju, nie czując wcale bruku pod stopami. Łącznikiem z Whitechapel i wogóle ze światem zewnętrznym był dla mnie dawny mieszkaniec Londynu Aleksiejew, marksista-emigrant, zaprzyjaźniony z redakcją „Iskry”. On wtajemniczał mnie w angielskie życie i wogóle był dla

mnie źródłem wszelkiej wiedzy. Aleksiejew odnosił się do Lenina z najwyższym szacunkiem: – Uważam, – mówił do mnie, – że dla rewolucji ważniejszy jest Lenin, niż Plechanow. – Oczywiście, nie powtórzyłem tego Leninowi, lecz Martowowi, który nic na to nie odpowiedział.

Pewnej niedzieli udałem się z Leninem i Krupską do londyńskiego kościoła, gdzie socjal-demokratyczny meeting przeplatany był śpiewaniem psalmów. Jako mówca występował zecer, który wrócił z Australji. Mówił o rewolucji społecznej. Potem wszyscy wstawali i śpiewali „Wszechmocny Boże, uczyn tak, aby nie było królów, ani bogaczy”. Nie wierzyłem ani oczom, ani uszom. – W angielskim proletariacie tkwi mnóstwo rozsznanych elementów rewolucji i socjalizmu, – mówił mi z tej racji Lenin po wyjściu z kościoła, – ale wszystko to kojarzy się z konserwatyzmem, religją, przesądami i w żaden sposób nie może przedostać się nazewnątrz i rozpowszechnić.

Wróciwszy z socjal-demokratycznego kościoła, zjedliśmy obiad w małej kuchence-jadalni przy dwupokojowym mieszkaniu. Jak zwykle żartowaliśmy z tego, czy trafię sam do domu, bardzo źle bowiem orjentowałem się w ulicach i, wskutek skłonności do systematyzacji, nazywałem tę moją cechę „topograficznym kretynizmem”. Później zrobiłem w tym kierunku pewne postępy, łatwo mi one jednak nie przyszły.

Moje skromne wiadomości z języka angielskiego, wyniesione z odeskiego więzienia, prawie nie wzbogaciły się w ciągu londyńskiego okresu mego życia. Byłem zbyt pochłonięty sprawami rosyjskimi. Brytyjski marksizm był nieciekawym. Ideowym centrum socjal-demokracji były wówczas Niemcy, to też z uwagą śledziliśmy walkę ortodoksów z rewizjonistami.

W Londynie, i później w Genewie, znacznie częściej spotykałem się z Wierą Zasulicz i Martowem, niż z Leninem. Mieszkając w Londynie w jednym mieszkaniu, a w Genewie – jadając obiady i kolacje zwykle w tych samych restauracyjkach – spotykaliśmy się z Martowem i Wierą Zasulicz kilka razy dziennie, podczas gdy Lenin żył w rodzinie i każde spotkanie z nim, poza oficjalnymi posiedzeniami, było już jakby małym wydarzeniem. Przyzwyczajenia i upodobania cyganerji, tak bardzo ciężące na Martowie, były najzupełniej obce Leninowi. Lenin wiedział, że czas, bez względu na całą swą względność, jest najabsolutniejszym z dóbr. Spędzał wiele czasu w bibliotece Muzeum Brytyjskiego, gdzie pracował teoretycznie i gdzie zwykle pisywał artykuły dziennikarskie. Przy jego pomocy uzyskałem również wstęp do tej świątyni. Miałem uczucie nienasyconego głodu, upajałem się obfitością książek. Wkrótce jednak musiałem pojechać na kontynent.

Po mych „próbnych” wystąpieniach w Whitechapel wysłano mnie z odczytem do Brukselli, Leodium i Paryża. Referat mój poświęcony był obronie materializmu historycznego przed krytyką tak zwanej rosyjskiej szkoły subiektywnej. Lenin bardzo zainteresował się tym tematem. Dałem mu do przejrzania mój szczegółowy konspekt, on zaś poradził mi, abym opracował referat, jako artykuł do najbliższego zeszytu „Zorzy”. Jednakże nie ośmielałem się wystąpić z czysto-teoretycznym artykułem obok Plechanowa i innych.

Z Paryża wezwano mnie wkrótce depeszą do Londynu. Chodziło o wyprawienie mnie nielegalnie do Rosji: z kraju bowiem dochodziły skargi na niepowodzenia, brak ludzi i żądano mego powrotu. Zanim jednak dojechałem do Londynu, plan uległ już zmianie. Deutsch, który mieszkał wówczas w Londynie i bardzo dobrze się do mnie odnosił, opowiedział mi, że „ujął się” za mnie, dowodząc, że „młodzieniec” (inaczej mnie nie nazywał) powinien

pomieszkać zagranicą i poduczyć się i że Lenin zgodził się z nim. Praca w rosyjskiej organizacji „Iskry” była nęcąca, tem niemniej jednak bardzo chętnie zostałem jeszcze na jakiś czas zagranicą. Wróciłem do Paryża, gdzie w przeciwieństwie do Londynu, istniała duża rosyjska kolonia studencka. Partje rewolucyjne toczyły zaciętą walkę o wpływ na studenterję. Oto, odnosząca się do owych czasów, kartka ze wspomnień N. I. Siedowoj:

„Jesień 1902 roku obfitowała w odczyty w rosyjskiej kolonii w Paryżu. Grupa „Iskry”, do której należałam, ujrzała najpierw Martowa, potem Lenina. Toczyła się walka z „ekonomistami” i z socjal-rewolucjonistami. W naszej grupie mówiono o przyjeździe młodego towarzysza, który uciekł z zesłania. Towarzysz ów wstąpił do mieszkania K. M. Aleksandrowej, która dawniej należała do narodowolców, później przyłączyła się do „Iskry”. My, młodzi, lubiliśmy bardzo Katarzynę Michajłównę, słuchaliśmy jej z wielką ciekawością i byliśmy pod jej wpływem. Kiedy w Paryżu pojawił się młody współpracownik „Iskry”, Katarzyna Michajłówna poleciła mi dowiedzieć się, czy niema gdzieś w pobliżu wolnego pokoju. Pokój za 12 franków miesięcznie znalazł się w tym samym domu, gdzie mieszkalam, ale był bardzo mały, wąski, ciemny, podobny do celi więziennej. Kiedy opisywałam ów pokój, Katarzyna Michajłówna przerwała mi: – „No, no, niema o czym mówić – będzie dobry, niech go bierze”. – Kiedy ów młody człowiek (nie wymieniono nam jego nazwiska) urządził się w swym pokoju, Katarzyna Michajłówna pytała mnie: „No, cóż, czy przygotowuje się do swego odczytu?” – Nie wiem, pewnie się przygotowuje, – odpowiadałam, – wczoraj w nocy, idąc po schodach, słyszałam, jak pogwizdywał u siebie w pokoju. – „Powiedzcie mu, żeby nie gwizdał, tylko porządnie pracował”. Katarzyna Michajłówna bardzo troszczyła się, aby „jego” występ był udany. Jednak obawy jej były płonne. Występ miał duże powodzenie, kolonia była zachwycona, młody iskrowiec przeszedł nasze oczekiwania”.

Zapoznawałem się z Paryżem bez porównania uważniej, niż z Londynem. Zawdzięczam to wpływom N. I. Siedowoj. Urodziłem się i wychowałem na wsi, ale do natury zbliżyć się zaczęłem w Paryżu. Tutaj także stanęłem oko w oko z prawdziwą sztuką. Zrozumienie malarstwa, zarówno jak i natury, przychodziło mi z trudem.

Z późniejszych notatek Siedowoj: „Ogólne wrażenie, jakie odniósł z Paryża: – Podobny do Odesy, ale Odesa ładniejsza. – Ten bezsensowny wniosek tłumaczyć należy tem, że L. D. był całkowicie pochłonięty życiem politycznym, wszystkie zaś inne przejawy życia widział tylko o tyle, o ile mu się same narzucały, traktując je przytem, jak coś natrętnego, czego nie można uniknąć. Nie zgadzałam się z nim w ocenie Paryża i trochę z niego podkpiwałam!”

Tak, tak było istotnie. Wchodziłem w atmosferę światowego centrum, sprzeciwiając się i opierając. Początkowo „negowałem” Paryż i nawet usiłowałem ignorować go. W istocie zaś była to walka barbarzyńcy o swoją całość. Czuję, że na to, aby przybliżyć się do Paryża i ująć go prawdziwie, trzeba dać zbyt wiele z siebie. A ja miałem własną dziedzinę, bardzo wymagającą i niedopuszczającą rywalizacji: rewolucję. Stopniowo i z trudem zapoznawałem się ze sztuką. Opierałem się Louvre’owi, Luxembourgowi i wystawom. Rubens wydawał mi się nazbyt syty i zadowolony z siebie, Puvis-de-Chavannes zbyt wybladły i ascetyczny. Portrety Carrières’a irytowały mnie swemi mrocznymi niedopowiedzeniami. To samo było z rzeźbą i architekturą.

W istocie opierałem się sztuce tak samo, jak w swoim czasie opierałem się rewolucji, następnie marksizmowi, jak w ciągu lat opierałem się Leninowi i jego metodom. Rewolucja 1905 roku wkrótce przerwała proces mego zapoznawania się z Europą i jej kulturą. Dopiero podczas drugiej emigracji zbliżyłem się do sztuki – patrzałem, czytałem i cośnecoś pisałem. Jednakże nie przestałem być dyletantem. W Paryżu słuchałem Jaurès'a. Był to okres rządów Waldeck-Rousseau z Millerandem, jako ministrem poczty, i Galliffet, jako ministrem wojny. Brałem udział w licznej manifestacji guesde'istów i wraz z innymi gorliwie wykrzykiwałem różne nieprzyjemne rzeczy pod adresem Milleranda. Jaurès nie wywarł na mnie w tym okresie należytego wrażenia, zbyt bezpośrednio odczuwałem w nim przeciwnika. Dopiero w kilka lat później nauczyłem się cenić tę wspaniałą postać, wcale nie łagodząc mego stosunku do jaurès'izmu.

Lenin, na skutek nalegań marksowskiej części studenterji miał wygłosić w Wyższej Szkole, zorganizowanej w Paryżu przez wyrzuconych z rosyjskich uniwersytetów profesorów, trzy wykłady w sprawie agrarnej. Liberalni profesorowie prosili niepożądanego przez nich lektora, aby w miarę możliwości nie wdawał się w polemikę. Lenin jednakże niczem nie związał się w tej sprawie, i pierwszy swój wykład zaczął od oświadczenia, że marksizm jest teorią rewolucyjną, a co za tem idzie, polemiczną z samej swej istoty. Pamiętam, że przed pierwszym wykładem, Włodzimierz Iljicz bardzo się denerwował. Na trybunie jednak opanował się odrazu, przynajmniej zewnątrz. Profesor Hambarow, który przyszedł, aby go posłuchać, w ten sposób sformułował przed Deutschem swe wrażenie: – Prawdziwy profesor! Uważał to widocznie za najwyższą pochwałę.

Postanowiono pokazać Leninowi operę. Zajęcie się tem powierzono Siedowej. Lenin poszedł do Opera Comique z tą samą teką, która towarzyszyła mu na odczyt. Siedzieliśmy gromadką na galerji. Oprócz Lenina, Siedowej i mnie, był, zdaje się, Martow. Z tą bytnością w operze wiąże się całkiem niemuzyczne wspomnienie. Lenin kupił sobie w Paryżu trzewiki, które okazały się dla niego za ciasne. Jakby na złość i moje obuwiu natarczywie domagało się zmiany. Dostałem buciki Lenina i w pierwszej chwili wydało mi się, że są w sam raz. Droga do opery przeszła pomyślnie. Ale już w teatrze poczułem, że jest źle. W powrotnej drodze cierpiałem okrutnie, Lenin zaś tem bezlitośniej podrwiwał ze mnie przez całą drogę, że sam męczył się w tych trzewikach kilka godzin.

Z Paryża wyjeżdżałem z odczytami do rosyjskich kolonij studenckich w Brukselli, Leodium, Szwajcarji i miastach niemieckich. W Heidelbergu słuchałem wykładów starego Kuno Fischera, ale Kant mnie nie uwiódł. Normatywna filozofja była mi organicznie obca. Jak można dawać pierwszeństwo suchej słomie, jeśli obok rośnie miękka i soczysta trawa?... Heidelberg słynął jako gniazdo rosyjskich studentów, zwolenników szkoły idealistycznej. Między innymi był tam Awksentjew, przyszły minister spraw wewnętrznych za Kierenskiego. Skruszyłem tam niejedną kopję w gorącej walce o materialistyczną dialektykę.

ROZDZIAŁ XII

ZJAZD PARTJI I ROZŁAM

Lenin przyjechał zagranicę jako całkowicie dojrzały 30-letni mężczyzna. W Rosji, w kółkach studenckich, w pierwszych grupach socjal-demokratycznych, na kolonjach zesłańczych zajmował pierwsze miejsce. Nie mógł nie odczuwać swej siły, choćby tylko dlatego, że uznawali ją wszyscy, którzy się z nim stykali i którzy z nim pracowali. Z kraju wyjechał już z dużym bagażem teoretycznym i z poważnym zapasem rewolucyjnych doświadczeń. Zagranicą czekała go współpraca z „Grupą Wyzwolenia Pracy” i przede wszystkim z Plechanowem, wspaniałym komentatorem Marksa, nauczycielem kilku pokoleń, teoretykiem, politykiem, publicystą, mówcą europejskiej miary i socjalistą z europejskimi stosunkami. Obok Plechanowa stały dwa potężne autorytety: Wiera Zasulicz i Axelrod. Nie tylko bohaterska przeszłość wysuwała Wierę Iwanównę na pierwszy plan. Był to umysł przenikliwy, o szerokim, głównie historycznym wykształceniu i wyjątkowej intuicji psychologicznej. Zasulicz była w swoim czasie ogniwem, łączącym „Grupę” ze starym Engelsem. W przeciwieństwie do Zasulicz i Plechanowa, najmocniej związanych z socjalizmem romańskim, Axelrod reprezentował w „Grupie” idee i doświadczenia socjal-demokracji niemieckiej. Dla Plechanowa jednakże rozpoczynał się już w owych latach okres upadku. Osłabiało jego stanowisko właśnie to, co dodawało sił Leninowi: zbliżanie się rewolucji. Cała działalność Plechanowa miała charakter ideowo-przygotowawczy. Był propagatorem i polemistą marksizmu, nie zaś rewolucyjnym politykiem proletariatu. Im realniejsza była bliskość rewolucji, tem wyraźniej Plechanow tracił grunt pod nogami. Nie mógł sam nie zdawać sobie z tego sprawy i to właśnie było przyczyną jego nerwowego stosunku do młodych.

Kierownikiem politycznym „Iskry” był Lenin. Główną siłą publicystyczną gazety – Martow. Pisał łatwo i niezamordowanie – tak, jak mówił. Martowowi ciążył już ciągły kontakt z Leninem, który był wówczas jego najbliższym współpracownikiem. Mówili jeszcze do siebie po imieniu, ale we wzajemnych stosunkach wyraźnie już przebijał chłód. Martow znacznie bardziej żył dniem dzisiejszym, jego aktualnymi wypadkami, bieżącą pracą literacką, publicystyką, nowościami i rozmowami. Lenin podporządkowywał sobie dzień dzisiejszy, biegnąc myślą w przyszłość. Martow miewał niezliczone i częstokroć dowcipne pomysły, hipotezy, projekty, o których wkrótce nieraz sam zapominał, a Lenin brał to, co mu było potrzebne, i wówczas, kiedy mu to było potrzebne. Nad filigranową kruchością martowskich pomysłów, Lenin nieraz z obawą kiwał głową. Różne kierunki polityczne nie zdołały się jeszcze wówczas nie tylko ukształtować, lecz nawet uzewnętrznić. Później, podczas rozłamu na drugim zjeździe, iskrowcy podzielili się na „twardych” i „miękkich”. Te nazwy, jak wiadomo, początkowo były bardzo popularne. Dowodziły zaś, że jeśli narazie rozłam nie zarysował się jeszcze zupełnie

wyraźnie, to jednak istniała już różnica w sposobie ujmowania sprawy, w zdecydowaniu, w gotowości posunięcia się aż do końca. Co do Lenina i Martowa, to rzecz można, że już przed rozłamem i przed zjazdem, Lenin był „twardy”, a Martow „miękki”. I obaj o tym wiedzieli. Lenin krytycznie i nieco podejrzliwie spoglądał na Martowa, którego zresztą bardzo cenił, Martow zaś czując takie spojrzenia, był przygnębiony i nerwowo wzruszał chudymi ramionami. Kiedy się spotykali, w rozmowie ich nie było już ani przyjacielskiego tonu, ani żartów, przynajmniej w mojej obecności. Lenin mówił, nie patrząc na Martowa, a oczy Martowa stawały się szkliste pod przekrzywionymi i nigdy nie przecieranymi binoklami. Kiedy zaś Lenin mówił ze mną o Martowie, to głos jego miał szczególny odcień: – Cóż to takiego, powiedział Juljusz? – przyczem imię Juljusz wymawiał jakoś szczególnie z lekkim podkreśleniem, jakby ostrzegawczo: – Dobry, bo dobry, nawet wyjątkowy człowiek, ale zbyt miękki. – Na Martowa zaś wpływała bez wątpienia również i Wiera Zasulicz, nie politycznie, lecz psychicznie, odgradzając go od Lenina.

Łączność z Rosją skoncentrował Lenin w swych rękach. Sekretarzem redakcji była jego żona, Nadieżda Konstantynówna Krupskaja. W jej rękach ześrodkowana była cała praca organizacyjna, przyjmowała przyjeżdżających towarzyszy, pouczała i wyprawiała odjeżdżających, ustanawiała łączność, dawała adresy, pisała listy, szyfrowała i odszyfrowywała. W pokoju jej, od nagrzewania konspiracyjnych listów, prawie zawsze czuć było zapach spalonego papieru. I nieraz skarżyła się z właściwym sobie łagodnym uporem, że piszą mało, albo że pomyłono szyfr, albo że napisano chemicznym atramentem, tak, że jeden wiersz wlaź na drugi i t. p.

Lenin dążył do tego, aby w bieżącej organizacyjno-politycznej pracy jaknajbardziej uniezależnić się od starych, przede wszystkim zaś od Plechanowa, z którym miał już ostre starcia z różnych powodów, zwłaszcza zaś przy opracowywaniu projektu programu partji. Pierwotny projekt Lenina, przeciwstawiony projektowi Plechanowa, spotkał się ze strony tego ostatniego z bardzo surową oceną we wzniosło-drwiącym tonie, tak charakterystycznym w podobnych wypadkach dla Grzegorza Walentynowicza. Jednakże tem nie można było, oczywiście, ani zniechęcić, ani odstraszyć Lenina. Walka przybrała wysoce dramatyczny charakter. Jako pośrednicy występowali Zasulicz i Martow: Zasulicz ze strony Plechanowa, Martow – Lenina. Obaj pośrednicy byli bardzo pokojowo nastroszeni i, poza tem, zaprzyjaźnieni ze sobą. Wiera Iwanówna, według jej własnych słów, mówiła do Lenina: – Żorż (Plechanow) jak chart: poszarpie, poszarpie i rzuci, a wy – jak buldog: macie martwy chwyt. – Powtarzając mi następnie ten dialog, Wiera Iwanówna dodała: – Jemu (Leninowi) bardzo się to spodobało. – Martwy chwyt? – powtórzył z zadowoleniem. – I Wiera Iwanówna dobrodusnie przedrzeźniała intonację pytania i gardłową wymowę Lenina.

Wszystkie te ostre starcia rozegrały się przed moim przyjazdem zagranicę. Nawet nie podejrzewałem, że miały miejsce. Nie wiedziałem również i o tem, że stosunki w redakcji zaostrzyły się jeszcze bardziej w związku z moją osobą. Po upływie czterech miesięcy od mego przyjazdu zagranicę Lenin pisał do Plechanowa: „2.III.03. (Paryż). Proponuję wszystkim członkom redakcji dokooptowanie „Pióra”, jako równouprawnionego członka redakcji (sądzę, że kooptacja wymaga nie większości głosów, lecz decyzji jednomyślnej). *Bardzo* nam jest *potrzebny* siódmy członek redakcji i dla wygody przy głosowaniu (6

jest liczbą parzystą) i dla uzupełnienia sił. „Pióro” pisze już parę miesięcy do każdego numeru. Wogóle pracuje dla „Iskry” w najenergiczniejszy sposób, wygłasza referaty (ciesząc się przytem wielkiem powodzeniem). W dziale artykułów i uwag na tematy aktualne będzie dla nas nie tylko ze wszech miar pożyteczny, ale wprost nieodzowny. Jest to bezwątpienia człowiek o nietuzinkowych zdolnościach, z przekonaniami, energiczny, który pójdzie jeszcze naprzód. W dziedzinie tłumaczeń i literatury popularnej potrafi zrobić wiele.

Przewidywane objeKCje: 1) młodość, 2) bliski (być może) wyjazd do Rosji, 3) pióro (bez cudzysłowu) nosi ślady stylu feljetonowego o nadmiernej pretensjonalności i t. d.

Ad 1) Proponuję, aby „Pióru” powierzyć nie samodzielne stanowisko, lecz miejsce w kolegium. Nabierze na niem doświadczenia. „Wyczucie” człowieka partyjnego, człowieka frakcji ma bezwątpienia, a wiadomości i doświadczenie – to są rzeczy do nabycia. Że uczy się i pracuje, także nie ulega kwestji. Dokooptowanie jest konieczne, aby go ostatecznie przywiązać i zachęcić.

Ad 2) Jeżeli „Pióro” wejdzie w tok wszystkich prac, to być może, że prędko nie wyjedzie. Jeżeli wyjedzie, to i wówczas organizacyjny związek z kolegium i podporządkowanie się mu nie jest minusem, lecz olbrzymim plusem.

Ad 3) Braki stylu są niewielkim defektem. Wyrówna się. Teraz przyjmuje „poprawki” w milczeniu (i nienazbyt śichętnie). W kolegium będą dysputy, głosowania i „wskazówki” przybiorą bardziej sformułowaną i bardziej kategoryczną postać.

Wobec tego proponuję: 1) głosowanie wszystkich sześciu członków redakcji za kooptacją „Pióra” bez zastrzeżeń, 2) przystąpienie następnie, jeśli będzie przyjęty, do ostatecznego uregulowania wewnętrznych stosunków redakcyjnych, sprawy głosowań, oraz do opracowania ścisłego regulaminu. *To jest potrzebne dla nas i ważne dla zjazdu.*

P. S. *Odkładanie* kooptacji uważam za rzecz wysoce niezręczną i *niepotrzebną*, ponieważ stwierdziłem już oznaki *poważnego* niezadowolenia „Pióra” (naturalnie, niewypowiedanego wprost) z tego, że ciągle wisi w powietrzu, że ciągle jeszcze traktuje się go (tak mu się wydaje), jak młokosa”. Jeżeli natychmiast nie przyjmujemy „Pióra” i ten wyjedzie, powiedzmy za miesiąc, do Rosji, to przekonany jestem, że zrozumie to, jako naszą *wyraźną niechęć* przyjęcia go do redakcji. Możemy go „stracić”, a to byłoby ze wszech miar niepożądane”.

List ten, z którym sam zapoznałem się dopiero niedawno przytaczam prawie w całości (z wyjątkiem technicznych szczegółów), dlatego, że jest wyjątkowo charakterystyczny dla wewnętrznych stosunków redakcji, dla samego Lenina i dla jego stosunku do mnie. O walce, toczącej się za moimi plecami, w sprawie mego współdziałania w redakcji, jak już wspomniałem, wcale nie wiedziałem. Niesłuszne są i ani trochę nie odpowiadają memu ówczesnemu nastrojowi słowa Lenina, jakobym był „poważnie niezadowolony” z tego, że nie zaliczono mnie do składu redakcji. W rzeczywistości nie powstało mi to nawet w głowie. Mój stosunek do składu redakcji był stosunkiem ucznia do nauczycieli. Miałem 23 lata. Najmłodszy członek redakcji, Martow, był o siedem lat ode mnie starszy. Lenin – o dziesięć. Byłem w najwyższym stopniu zadowolony z losu, który zetknął mnie tak blisko z tą niezwykłą gromadką ludzi. Od każdego z nich mogłem się wiele nauczyć i uczyłem się gorliwie.

Co skłoniło Lenina do powoływania się na moje niezadowolenie? Sądzę, że

było to poprostu posunięcie taktyczne. Cały list Lenina przeniknięty jest dążeniem do wykazania, przekonania i dopięcia celu. Lenin umyślnie straszy innych członków kolegum mem przypuszczalnem niezadowoleniem i możliwością odsunięcia się od „Iskry”. Jest to jego dodatkowy argument, nic więcej. Podobny charakter nosi również dowód na temat „młokosa”. Tak nazywał mnie często stary Deutsch i to tylko on jeden. Ale właśnie z Deutschem, który pod względem politycznym nie miał i nie mógł mieć na mnie żadnego wpływu, wiązały mnie bardzo przyjazne stosunki. Lenin używa tego argumentu tylko po to, aby wpoić starym konieczność liczenia się ze mną, jak z dojrzałym politycznie człowiekiem.

Po upływie dziesięciu dni od listu Lenina, Martow pisał do Axelroda: „10 marca 1903. Londyn. Włodzimierz Iljicz proponuje nam przyjęcie do kolegum redakcji z pełnią praw znane wam „Pióro”. Jego prace literackie zdradzają niewątpliwie zdolności, jest całkowicie „nasz”, jeśli chodzi o kierunek, najzupełniej wszedł w interesy „Iskry” i cieszy się już tutaj (zagranicą) dużym wpływem, dzięki nietuzinkowemu talentowi krasomówczemu. Mówi wspaniale – wcale nie trzeba lepiej. Przekonaliśmy się o tem i ja i Włodzimierz Iljicz. Posiada wiedzę i usilnie pracuje nad jej uzupełnieniem. Bezwarunkowo przyłączam się do wniosku Włodzimierza Iljicza”. W liście tym Martow jest tylko wiernem echem Lenina. Jednakże nie powtarza argumentu, tycaącego mego niezadowolenia. Z Martowem mieszkaliśmy w jednym mieszkaniu, tuż obok siebie, obserwował mnie zbyt bezpośrednio, aby móc podejrzewać o niecierpliwie dążenie do zostania członkiem redakcji.

Dlaczego Lenin tak natarczywie nalegał na konieczność zaliczenia mnie do składu kolegum? Dlatego, bo dążył do rozporządzenia w niem stałą większością. Różnica poglądów na szereg ważnych kwestyj dzieliła redakcję na dwie trójki: starych (Plechanow, Zasulicz, Axelrod) i młodych (Lenin, Martow, Potresow). Lenin nie wątpił, że w najważniejszych sprawach będę po jego stronie. Pewnego razu, kiedy trzeba było wystąpić przeciw Plechanowowi, Lenin odwołał mnie na bok i powiedział złośliwie: – Niech już lepiej wystąpi Martow, będzie dyplomatyzował, wy zaś rąbacie. – I zauważywszy, widocznie, pewne zdziwienie na mojej twarzy, dorzucił natychmiast. – Ja osobiście wolę rąbać, ale przeciw Plechanowowi lepiej będzie tym razem dyplomatyzować.

Propozycja Lenina wprowadzenia mnie do redakcji rozbiła się o sprzeciw Plechanowa. Co gorsza: propozycja ta stała się główną przyczyną ostrej niechęci ku mnie Plechanowa, który domyślał się, że Lenin szuka trwałej większości – przeciw niemu. Sprawa przebudowy redakcji została odłożona do zjazdu. Redakcja jednakże postanowiła, nie czekając na Zjazd, dopuszczać mnie na zebrania z głosem doradczym. Plechanow kategorycznie wypowiadał się również przeciw temu. Ale Wiera Iwanówna powiedziała: – A ja go przyprowadzę. – I rzeczywiście „przyprowadziła” mnie na najbliższe posiedzenie. Nie znając zakulisowej strony sprawy, byłem mocno zaskoczony, kiedy Grzegorz Walentynowicz przywitał się ze mną z wyszukanym chłodem, w czym był mistrzem. Nieżyczliwość Plechanowa dla mnie trwała długo, w istocie zaś nigdy nie minęła. W kwietniu 1904 r. Martow w liście do Axelroda pisze o „osobistej, poniżającej go (Plechanowa) i nieszlachetnej nienawiści do danej osoby” (mowa była o mnie).

Ciekawa jest uwaga w liście Lenina na temat mojego ówczesnego stylu. Jest słuszna z obu względów: i co do pewnej pretensjonalności i co do niebardzo

chętnego przyjmowania przeze mnie cudzych poprawek. Miałem wówczas za sobą jakieś dwa lata działalności literackiej i sprawa stylu zajmowała duże i samodzielne miejsce w mej pracy. Dopiero poznawałem smak materiału słownego. Jak dzieci, którym wyrzynają się zęby, czują konieczności pocierania dziąseł nawet niezbyt odpowiednimi przedmiotami, tak samorzutna pogoń za słowem, formułą, sposobem, odpowiadała okresowi wyrzynania się mych literackich zębów. Oczyszczenie stylu mogło przyjść tylko z biegiem czasu. A ponieważ walka o formę nie była ani przypadkowa, ani powierzchowna, lecz odpowiadała wewnętrznym procesom duchowym, nic w tym dziwnego, że przy całym szacunku dla redakcji, instynktownie broniłem mej formującej się indywidualności pisarskiej przed interwencją pisarzy, całkowicie ukształtowanych, lecz z innej gliny...

Tymczasem termin zjazdu przybliżał się i ostatecznie postanowiono przenieść redakcję do Szwajcarii, do Genewy: życie było tam bez porównania tańsze, a łączność z Rosją łatwiejsza, Lenin, zaciąwszy zęby, zgodził się na to. „W Genewie zamieszkaliśmy w dwóch maleńkich pokoikach mansardowych – pisze Siedowa, – L. D. pochłonięty był pracą na zjazd. Ja przygotowywałam się do wyjazdu do Rosji na robotę partyjną”. Zaczęli zjeżdżać się pierwsi delegaci na zjazd i odbywały się bezustanne z nimi narady. Kierownictwo tą pracą przygotowawczą należało bezpośrednio, choć niezawsze widocznie, do Lenina. Część delegatów przyjechała z wątpliwościami, albo z pretensjami. Prace przygotowawcze zabierały dużo czasu, znaczną część którego poświęcano naradom nad statutem, przyczem ważnym punktem w schematach organizacyjnych było określenie wzajemnych stosunków pomiędzy organem centralnym („Iskrą”), a działającym w Rosji Centralnym Komitetem. Przyjechałem zagranicę z poglądem, że redakcja powinna „podporządkować się” C. K. Tak nastrojona była większość rosyjskich iskrowców.

– Nic z tego nie będzie, – mówił mi Lenin, – to nie odpowiada stosunkowi sił. No, w jaki sposób będą oni nami z Rosji kierować? Nic z tego... My jesteśmy stałym centrum, jesteśmy silniejsi ideowo i my stąd będziemy kierować.

– Ależ w ten sposób powstanie zupełna dyktatura redakcji? – pytałem.

– A cóż w tem złego? – odpowiadał Lenin. – W obecnym położeniu tak właśnie być powinno.

Organizacyjne plany Lenina nasuwały mi pewne wątpliwości. Ale jakże byłem daleki od myśli, że te sprawy rozbiją zjazd partyjny.

Mandat otrzymałem od Związku Syberyjskiego, z którym byłem ściśle związany w okresie zesłania. Razem z delegatem Tuły, lekarzem Uljanowem, młodszym bratem Lenina, jechałem na zjazd nie z Genewy, aby nie zwrócić uwagi „szpiclów”, lecz z następnej maleńkiej i cichej stacji, Nion, gdzie pociąg pośpieszny przystawał tylko na pół minuty. Jako prawdziwi rosyjscy prowincjonałści, czekaliśmy na pociąg nie z tej strony, z której należało, i kiedy nadszedł ekspres, rzuciliśmy się do wagonu przez bufory. Zanim zdołaliśmy dostać się na platformę wozu, pociąg ruszył. Naczelnik stacji, zobaczywszy dwóch pasażerów między buforami, dał sygnał gwizdkiem. Pociąg zatrzymał się. Natychmiast po naszym wejściu do wagonu, konduktor dał nam do zrozumienia, że takie warjackie typy widzi po raz pierwszy w życiu

i że należy się od nas po 50 franków za zatrzymanie pociągu. Zkolei daliśmy mu do zrozumienia, że nie umiemy ani słowa po francusku. W rzeczywistości niecałkiem odpowiadało to prawdzie, ale nie chybiło celu: pokrzykawszy na nas jeszcze ze trzy minuty, gruby Szwajcar zostawił nas w spokoju. Postąpił zaś tem mądrzej, że nie posiadaliśmy pięćdziesięciu franków. Dopiero później, przy sprawdzaniu biletów, konduktor znów podzielił się z innymi pasażerami miażdżącą pogardą dla tych dwóch panów, których trzeba było ściągać z buforów. Nieszczęsny nie wiedział, że jechaliśmy tworzyć partję.

Obrady zjazdu otwarto w Brukselli, w lokalu kooperatywy robotniczej w Maison du Peuple. W przeznaczonym dla naszych prac składzie, dostatecznie ukrytym przed oczami postronnych, przechowywano bele wełny i ulegliśmy atakowi niezliczonej ilości pcheł. Nazywaliśmy je armją Anseelego, zmobilizowaną do szturm na burżuazyjne społeczeństwo. Posiedzenia były prawdziwą męką fizyczną. Gorsze jeszcze było to, że już w pierwszych dniach delegaci zauważyli, że są gorliwie śledzeni. W Brukselli mieszkałem za paszportem nieznanego mi Bułgara Samokowlijewa. W drugim tygodniu, późną nocą, wyszedłem razem z Wierą Zasulicz z restauracyjki „Złoty Bażant”. Przeciał nam drogę delegat odeski Z., który, nie patrząc na nas, syknął: – Za wami idzie szpicel, rozejdźcie się w różne strony, szpicel pójdzie za mężczyznę. – Z. był wybitnym specjalistą w kwestji szpicelowskiej, a oko miał pod tym względem, jak instrument astronomiczny. Mieszkając opodal „Bażanta”, na wyższym piętrze, Z. zamienił swe okno na punkt obserwacyjny. Natychmiast pożegnałem Zasulicz i poszedłem wprost przed siebie. W kieszeni miałem bułgarski paszport i pięć franków. Szpicel – wysoki, chudy Flamand, z kaczym nosem – poszedł za mną. Północ minęła i ulica była całkiem pusta. Z miejsca zawróciłem. – M’sieur, jak nazywa się ta ulica? – Flamand zmieszał się i przyłgął plecami do muru. – Je ne sais pas. Bez wątpienia czekał na strzał rewolwerowy. Poszedłem dalej, ciągle wprost bulwarem. Gdzieś woddali wybiła godzina pierwsza. Natknąwszy się na pierwszy poprzeczny zaułek, skręciłem i puściłem się pędem z całych sił. Flamand za mną. Tak dwaj obcy ludzie biegli jeden za drugim głęboką nocą po ulicach Brukselli. Nawet dziś jeszcze słyszę tupot ich nóg. Obiegłszy dzielnicę z trzech stron, znów wyprowadziłem Flamanda na bulwar. Obaj zmęczeni i wściekli, ponuro poszliśmy dalej. Na ulicy stało kilka dorożek. Bezcelowe było branie jednej z nich, ponieważ szpicel wsiałby do drugiej. Idziemy dalej. Niesłychanej długości bulwar zaczął się jakby kończyć, wychodziliśmy na krańce miasta. Obok małego nocnego szynku, stała samotna dorożka. Z rozpędu skoczyłem do środka wehikułu. – Proszę jechać, śpieszę się! – Pan dokąd? – Szpicel nastawił uszu. Wymieniłem park, znajdujący się w odległości pięciu minut drogi od mego mieszkania. – Sto su! – Proszę jechać! – Dorożkarz ujął lejce. Szpicel rzucił się do szynczku, wyszedł stamtąd z kelnerem i wskazywał mu swego wroga. W pół godziny później byłem już w moim pokoju. Zapaliwszy świecę, zauważyłem na nocnym stoliku list na me bułgarskie nazwisko. Kto mógł tu do mnie pisać? Okazało się, że to zaproszenie dla sieur Samokowlieff’a do stawienia się nazajutrz o godzinie 10 rano w policji z paszportem. To znaczy, że inny szpicel wyszedł mnie już poprzedniego dnia i cała ta gonitwa po bulwarze okazała się dla obu uczestników całkowicie bezcelowym ćwiczeniem. Podobnymi zaproszeniami zostali również zaszczytzeni inni delegaci. Ci, którzy stawili się w policji, otrzymali nakaz opuszczenia w ciągu 24 godzin granic Belgji. Nie zgłaszałem się do

komisarjatu, tylko poprostu wyjechałem do Londynu, dokąd też został przeniesiony zjazd.

Harting, zarządzający wówczas rosyjską agenturą wywiadowczą w Berlinie, donosił departamentowi policji, że „policja brukselska zdziwiona była znacznym napływem cudzoziemców, przyczem podejrzewała 10 osób o działalność anarchistyczną”. Brukselską policję „zadziwił” sam Harting, w rzeczywistości Hekkelmann, prowokator-terorysta, skazany zaocznie przez sąd francuski na ciężkie roboty, następnie generał Ochrony carskiej i, pod przybranym nazwiskiem, kawaler orderu francuskiej legji honorowej. Hartinga uświadamiał zkolei agent-prowokator, doktor Żytomirskij, który, jako delegat z Berlina, brał aktywny udział w organizacji zjazdu. Wszystko to jednak ujawniło się dopiero po upływie szeregu lat. Zdawałoby się, że carat ma wszystkie nici w rękach. Nic mu to jednak nie pomogło...

W ciągu zjazdu ujawniły się przeciwności wśród głównej kadry „Iskry”. Ujawnił się podział na „twardych” i „miękkich”. Różnica zdań skoncentrowała się początkowo wokół pierwszego punktu statutu: kogo uważać za członka partji? Lenin nalegał, żeby utożsamić partję z nielegalną organizacją. Martow chciał, żeby za członków partji uważano i tych, którzy pracują pod kierownictwem nielegalnej organizacji. Bezpośredniego praktycznego znaczenia ta różnica zdań nie miała, ponieważ prawo decydującego głosu obie formuły przyznawały tylko członkom nielegalnych organizacji. Tem niemniej istnienie dwóch rozbieżnych tendencji było niewątpliwe. Lenin dążył do sformalizowania i całkowitego uregulowania stosunków partyjnych. Martow był zwolennikiem płynności. Ustosunkowanie się uczestników zjazdu do tej sprawy wpłynęło na cały dalszy przebieg zjazdu, częściowo zaś również na skład kierowniczych organów partji. Za kulisami toczyła się walka o każdego poszczególnego delegata. Lenin nie szczędził usiłowań, żeby przeciągnąć mnie na swoją stronę. Ze mną i z Krasikowem odbył duży spacer, podczas którego obaj starali się przekonać mnie, że droga Martowa nie może być moją drogą, bo Martow jest „miękki”. Krasikow tak bezceremonialnie kreślił charakterystyki członków redakcji „Iskry”, że Lenin marszczył brwi, a ja się wzdygałem. W moim stosunku do redakcji było jeszcze wiele młodzieńczego sentymentu. Rozmowa ta raczej odepchnęła mnie, niż przyciągnęła. Różnice zdań były jeszcze niewyraźne, wszyscy błędzili poomacku i operowali niewiadomymi wielkościami. Postanowiono zwołać naradę rdzennych iskrowców, celem wypowiedzenia się. Jednakże już wybór przewodniczącego nastroczał trudności. – Proponuję, żeby wybrać naszego Benjaminka, – powiedział Deutsch, szukając jakiegoś wyjścia. W ten sposób ja przewodniczyłem na tem zebraniu iskrowców, na którym zarysował się przysły rozłam między bolszewikami i mieńszewikami. Nerwy wszystkich napięte były do ostateczności. Lenin opuścił zebranie, trzaskając drzwiami. Był to jedyny wypadek, kiedy w mojej obecności stracił panowanie nad sobą podczas ostrej wewnętrznej walki partyjnej. Sytuacja zaostrzyła się jeszcze bardziej. Różnice zdań uzewnętrzniły się na samym zjeździe. Lenin zrobił jeszcze jedną próbę przeciągnięcia mnie na stronę „twardych”, nasławszy na mnie delegatkę Z. i swego młodszego brata Dymitra. Rozmawiałem z nimi w parku przez kilka godzin. Wysłannicy w żaden sposób nie chcieli mnie puścić. – Mamy rozkaz przyprowadzenia was za wszelką cenę. – Ostatecznie kategorycznie odmówiłem pójścia z nimi.

Rozłam wybuchł niespodzianie dla wszystkich uczestników zjazdu. Lenin,

najaktywniejsza postać w walce, nie przewidywał i nie chciał rozłamu. Obie strony nad wyraz ciężko przeżywały rozgrywające się wypadki. Lenin po zjeździe przez kilka tygodni cierpiał na chorobę nerwową. – „L. D. pisywał z Londynu prawie codziennie – czytamy w notatkach Siedowej, – listy były coraz niespokojniejsze, wreszcie zaś list o rozłamie w „Iskrze”, komunikował z rozpaczą, że „Iskry” niema już, że umarła... – Rozłam w „Iskrze” przeżywaliśmy bardzo boleśnie. Po powrocie L. D. ze zjazdu wyjechałam wkrótce do Petersburga, zabierając ze sobą materiały, dotyczące zjazdu, napisane drobnym pismem na cienkim papierze i ukryte w okładce francuskiego słownika Larousse’a”.

Dlaczego na zjeździe znalazłem się po stronie „miękkich”? Z pośród członków redakcji najmocniej związany byłem z Martowem, Wierą Zasulicz i Axelrodem. Ich wpływ na mnie był niezaprzeczony. Do chwili zjazdu w redakcji istniały różne odcienie poglądów, ale nie było sformułowanych sprzeczności. Najdalej stałem od Plechanowa: po pierwszych, w gruncie rzeczy podrzędnych, starciach Plechanow zaczął mnie bardzo nie lubić. Lenin odnosił się do mnie doskonale. Ale teraz właśnie porywał się w moich oczach na redakcję, dla mnie stanowiącą jedną całość i noszącą czarowną nazwę „Iskra”. Myśl o rozłamie wśród kolegów wydała mi się świętokradztwem.

Centralizm rewolucyjny to szorstka, rozkazująca i wymagająca zasada. W stosunku do poszczególnych jednostek i całych grup wczorajszych współwyznawców przyobleka się ona nieraz w formę bezlitosną. Nie napróżno w słowniku Lenina tak często powtarzają się słowa: *nieublagany i bezlitosny*. Jedynie tylko najwyższe rewolucyjne dążenie do celu, wolne od wszelkich poziomych, osobistych względów, usprawiedliwić może tego rodzaju bezwzględność. W 1903 r. sprawa toczyła się wyłącznie o to, aby usunąć Axelroda i Zasulicz z redakcji „Iskry”. Mój stosunek do nich przeniknięty był nie tylko szacunkiem, lecz i osobistą serdecznością. Lenin również cenił ich wysoko za ich przeszłość. Doszedł jednak do wniosku, że stają się coraz większą przeszkodą na drodze do przyszłości. Wówczas wystąpił z organizacyjnym wnioskiem: usunięcia ich ze stanowisk kierowniczych. Nie mogłem się z tem pogodzić. Cała moja istota protestowała przeciw temu bezlitosnemu odseparowaniu starych, którzy doszli wreszcie do progu partji. Właśnie to moje oburzenie było źródłem zerwania z Leninem na drugim zjeździe. Jego zachowanie wydało mi się czemś niedopuszczalnym, okropnym, oburzającym. A tymczasem było ono politycznie słuszne i co za tem idzie organizacyjnie konieczne. Zerwanie ze starymi, którzy ugrzęźli w epoce przygotowawczej, było i tak nieuniknione. Lenin zrozumiał towcześniej, niż inni. Usiłował jeszcze zachować Plechanowa, oddzieliwszy go od Axelroda i Zasulicz. Jednak i ta próba, jak tego wkrótce dowiodły zdarzenia, była bezowocna.

W ten sposób moje zerwanie z Leninem odbyło się jakby na „moralnym”, a nawet osobistym gruncie. Były to jednak tylko pozory. Istotnie zaś owo rozejście się miało tło polityczne i jedynie uzewnętrzniło się w dziedzinie organizacyjnej.

Uważałem siebie za zwolennika centralizmu. Niema jednak najmniejszych wątpliwości, że w tym okresie nie zdawałem sobie dokładnie sprawy z tego, jak bezwzględny i władczy centralizm potrzebny będzie partji rewolucyjnej, aby mogła poprowadzić milionowe masy do walki przeciw staremu społeczeństwu. Moja wczesna młodość przeszła w mrocznej atmosferze reakcji, trwającej w

Odesie o pięć lat dłużej, niż gdzie indziej. Młodość Lenina przypadła na okres Narodnej Woli. Ci, którzy byli o kilka lat młodszy ode mnie, wychowywali się już w nastroju nowego ruchu politycznego. W czasie zjazdu londyńskiego w 1903 r. rewolucja była dla mnie ciągle jeszcze w znacznej mierze teoretyczną abstrakcją. Centralizm Lenina jeszcze nie wypływał dla mnie z jasnej i samodzielnie przemyślanej koncepcji rewolucyjnej. Potrzeba zaś zrozumienia samodzielnego problemu i wyciągnięcia zeń wszystkich koniecznych wniosków była zawsze, jak sądzę, najbardziej dominującą koniecznością mego duchowego życia.

Niedocenianie przez starych miary i znaczenia Lenina zaostrzyło znacznie konflikt, który wybuchł na zjeździe. Podczas zjazdu i zaraz po nim, oburzenie Axelroda i innych członków redakcji na Lenina łączyło się ze zdziwieniem: jak on mógł się na to zdecydować? – Przecież nie tak dawno, jak przyjechał zagranicę, jako uczeń, – rozważali starzy, – i zachowywał się jak uczeń. Skąd nagle ta pewność siebie? Jak on mógł się zdecydować?

Lenin jednak mógł i zdecydował się. Wystarczyło mu przekonanie o niezdolności starych do ujęcia w swe ręce bezpośredniego kierownictwa organizacji bojowej awangardy proletariackiej w okresie zbliżającej się rewolucji.

Starzy, i nie wyłącznie starzy, pomylili się: Lenin był już nie tylko wybitnym pracownikiem, lecz wodzem, nawskroś świadomym celów, który, jak sądzę, ostatecznie zdał sobie sprawę, że jest w całej pełni wodzem wtedy, kiedy stanął ramieniem w ramię ze starszymi, z nauczycielami, i przekonał się, że jest silniejszy i potrzebniejszy od nich. Wśród dość jeszcze niewyraźnych nastrojów ludzi, zgrupowanych pod sztandarem „Iskry”, jedynie Lenin całkowicie i do końca reprezentował dzień jutrzejszy, ze wszystkimi jego surowymi zadaniami, okrutnymi starciami i niezliczonymi ofiarami.

Na zjeździe Lenin pozyskał Plechanowa, ale niezupełnie, jednocześnie stracił Martowa i to na zawsze, Plechanow widocznie przeczuł coś na zjeździe. W każdym bądź razie powiedział wówczas Axelrodowi o Leninie: – Z takiej mąki powstają Robespierre'y. – Sam Plechanow grał na zjeździe niezbyt godną zazdrości rolę. Raz tylko udało mi się widzieć i słyszeć Plechanowa w całej jego sile: było to na programowej komisji zjazdu. Z jasnym, naukowo oszlifowanym schematem programu w głowie, pewny siebie, swej wiedzy, swej wyższości, z wesołym, ironicznym płomyczkiem w oczach, z kłującymi siwawymi wąsami, z nieco teatralnymi, ale żywymi i wyrazistymi gestami, Plechanow, zasiadający jako przewodniczący, rzucał blask na całą liczną sekcję, jak żywy fajerwerk uczości i dowcipu.

Leader mieńszewików, Martow, był jedną z najtragiczniejszych postaci ruchu rewolucyjnego. Utalentowany literat, pomysłowy polityk, przenikliwy umysł, Martow stał znacznie wyżej od prądu ideowego, który sam stworzył. Jednak myślom jego brakło męstwa, przenikliwość pozbawiona była woli. Temperament nie mógł tego zastąpić. Pierwsza reakcja Martowa na wypadki zawsze ujawniała dążenia rewolucyjne. Jednak natychmiast myśl jego, niepodtrzymywana sprężyną woli, opadała. Moje zbliżenie z nim nie zniosło próby pierwszych wielkich wydarzeń zbliżającej się rewolucji.

Tak czy inaczej drugi zjazd był w moim życiu bardzo ważnym etapem, chociażby tylko dlatego, że odsunął mnie od Lenina na szereg lat. Kiedy teraz obejmuję spojrzeniem całą przeszłość, nie żałuję tego. Po raz wtóry przyszedłem do Lenina później, niż wielu innych, ale przyszedłem własnymi

drogami, przerobiwszy i przemyślawszy doświadczenie rewolucji, kontrrewolucji i imperjalistycznej wojny. Dzięki temu przyszedłem pewniej i poważniej, niż ci „uczniowie”, którzy za życia powtarzali nie zawsze à propos słowa i gesty mistrza, a po jego śmierci okazali się bezwładnymi epigonami i nieświadomymi narzędziami w rękach wrogich sił.

ROZDZIAŁ XIII

POWRÓT DO ROSJI

Moja łączność z mniejszością drugiego zjazdu była krótkotrwała. Już w ciągu najbliższych miesięcy wśród tej mniejszości zaznaczyły się dwa kierunki. Byłem zwolennikiem przygotowania jak najszybszego zjednoczenia się z większością, uważając rozłam za ważny wprawdzie epizod, ale tylko epizod. Dla innych rozłam na drugim zjeździe był impulsem do rozwoju w kierunku oportunistów. Cały rok 1904 wypełniły mi zatargi polityczne i organizacyjne z kierowniczą grupą mieńszewików. Konflikty powstawały wokół dwóch punktów: stosunku do liberalizmu i stosunku do bolszewików. Obstawiałem za nieprzejednanym zwalczaniem usiłowań liberałów oparcia się o masę i jednocześnie, właśnie dlatego, coraz kategoryczniej żądałem zjednoczenia obu frakcji socjal-demokratycznych. We wrześniu formalnie zakomunikowałem o moim wystąpieniu z mniejszości, w skład której w istocie nie wchodziłem już od kwietnia 1904 roku. W tym okresie spędziłem kilka miesięcy zdala od rosyjskiej emigracji w Monachjum, które uważano wówczas za najdemokratyczniejsze i najartystyczniejsze miasto w Niemczech. Niezłe znałem bawarską socjal-demokrację, monachijskie galerje i – karykaturzystów z „Simplicissimusa”.

Już w czasie obrad zjazdu partyjnego całe południe Rosji było ogarnięte ruchem strejkowym. Rozruchy chłopskie powtarzały się coraz częściej. Uniwersytety wrzały. Wojna rosyjsko-japońska zatrzymała ten ruch na czas jakiś, ale pogrom wojenny caratu stał się wkrótce potężnym motorem rewolucji. Prasa stawała się śmielsza, akty teroru były coraz częstsze, poruszyli się liberali, rozpoczęli kampanję bankietową. Zasadnicze problemy rewolucji weszły na porządek dzienny. Dla mnie zaś abstrakcje zaczęły się naprawdę wypełniać społeczną treścią. Mieńszewicy, zwłaszcza Zasulicz, coraz większe nadzieje pokładali w liberałach.

Jeszcze przed zjazdem, po jednym z posiedzeń redakcji w kawiarni „Landolf”, Zasulicz, z właściwą jej w takich wypadkach nieśmiałą natarczywością, zaczęła skarżyć się, że zbyt ostro napadamy na liberałów. Była to dla niej najboleśniejша kwestja.

– Spójrzcie, jak oni się starają, – mówiła, nie patrząc na Lenina, ale przede wszystkim jego mając na względzie. – Struwe żąda, żeby rosyjscy liberali nie zrywali z socjalizmem, gdyż wtedy grozi im marny los niemieckiego liberalizmu, lecz żeby brali przykład z francuskich radykałów-socjalistów.

– Tem bardziej trzeba ich bić, – odrzekł Lenin, uśmiechając się wesoło i jakby drażniąc Wierę Iwanównę.

– No, tak, tak! – zawołała Zasulicz w zupełnej rozpacz. – Oni wyciągają do nas rękę, a my mamy ich bić!

Całkowicie stałem po stronie Lenina w tej sprawie, która z biegiem czasu nabierała decydującego znaczenia.

Podczas liberalnej kampanji bankietowej, która wkrótce stanęła na martwym punkcie, na jesieni 1904 roku, zadałem sobie pytanie: „co dalej?” i odpowiedziałem: „Wyjściem może być tylko strejk powszechny, potem zaś powstanie proletariatu, który stanie na czele mas ludowych przeciwko liberalizmowi”. To pogłębiło rozdzwitek między mną a mieńszewikami.

Dnia 23 stycznia (1905) rano wróciłem do Genewy z podróży odczytowej, zmęczony i rozbity po bezsennej nocy w wagonie. Gazeciarz sprzedał mi wczorajszy numer gazety. O pochodzie robotników do pałacu Zimowego mówiło się w czasie przyszłym. Wnioskowałem zatem, że nie miał on jeszcze miejsca. Po paru godzinach wstąpiłem do redakcji „Iskry”. Martow był niesłychanie zdenerwowany. – Nie odbył się? – spytałem go. – Jakto nie odbył się? – rzucił się Martow na mnie. – Całą noc przesiedzieliśmy w kawiarni, czytając świeże depeche. Czyżbyście o niczem nie wiedzieli? Macie, macie, macie... I wtykał mi do rąk gazetę. Przebiegłem oczyma pierwsze dziesięć wierszy sprawozdania telegraficznego o krwawej niedzieli. Oszałamiająca i paląca fala uderzyła mi do głowy.

Nie mogłem dłużej pozostawać zagranicą. Z bolszewikami od czasu zjazdu nic mnie nie łączyło. Z mieńszewikami, jako organizacją, zerwałem. Trzeba było działać na własne ryzyko. Za pośrednictwem studentów dostałem paszport. Z żoną, która na jesieni 1904 roku, znów wróciła zagranicę, udałem się do Monachjum. Parvus zainstalował nas u siebie. Tutaj przeczytał mój rękopis, poświęcony przebiegowi wydarzeń do dnia 9-go stycznia, i lektura ta wprowadziła go w podniosły nastrój. „Wypadki całkowicie potwierdziły tę prognozę. Teraz nikt nie może zaprzeczyć, że strejk powszechny jest zasadniczą metodą walki. Dziewiąty stycznia – to pierwszy strejk polityczny, choć przysłonięty sutanną. Należy tylko dodać, że rewolucja w Rosji może oddać władzę w ręce demokratycznego rządu robotniczego”. W tym duchu napisał Parvus przedmowę do mej broszury.

Parvus był bezwątpienia wybitną marksowską postacią końca ubiegłego i początku bieżącego wieku. Swobodnie władał metodą Marksa, patrzył daleko, śledził wszystkie istotne przejawy życia na światowej arenie, co przy wybitnej śmiałości myśli i męskim, jędrnym stylu czyniło go naprawdę wyjątkowym pisarzem. Dawne jego prace przybliżyły mnie do problemów rewolucji społecznej, przestałem uważać zdobycie władzy przez proletariatu za astronomiczny „ostateczny” cel i uznałem je za praktyczne zadanie naszych czasów. Tem niemniej w Paryżu było zawsze coś szalonego i nieobliczalnego. Mimo wszystko, ten rewolucjonista opanowany był całkiem niespodzianem marzeniem: wzbogacenia się. I to marzenie kojarzył w owych latach ze swą socjalno-rewolucyjną koncepcją. – Aparat partyjny skostniał, – skarżył się Parvus, – nawet Beblowi trudno przemówić do rozumu. Nam, rewolucyjnym marksistom, potrzebne jest wielkie pismo codzienne, wydawane jednocześnie w trzech europejskich językach. Ale na to trzeba pieniędzy, dużo pieniędzy. – Tak w tej ciężkiej, mięsistej głowie buldoga myśli o rewolucji splatały się z myślami o bogactwie. Próbował stworzyć w Monachjum własne wydawnictwo, próba jednak skończyła się dla niego dość smutnie. Potem nastąpiła podróż Parvusa do Rosji i jego udział w rewolucji 1905 roku. Pomimo inicjatywy i wynalazczości umysłu: absolutnie nie ujawnił zalet wodza. Po porażce rewolucji 1905 roku, rozpoczął się dla niego okres upadku. Z Niemiec przeniósł się do Wiednia, stamtąd zaś do Konstantynopola, gdzie zastała go wojna światowa. Odrazu wzbogacił się na jakichś wojenno-

handlowych operacjach. Jednocześnie występuje publicznie, jako obrońca postępowej misji niemieckiego militarysty, zrywa ostatecznie z lewicą i zostaje jednym z duchowych przywódców skrajnie prawego skrzydła niemieckiej socjal-demokracji. Nie trzeba chyba zapewniać, że od czasu wojny zerwałem z nim wszelkie stosunki nie tylko polityczne, lecz i osobiste.

Z Monachjum pojechałem z Siedowej do Wiednia. Potok emigracyjny popłynął już zpowrotem do Rosji. Wiktor Adler był całkowicie pochłonięty sprawami rosyjskimi: dostarczał emigrantom pieniędzy, paszportów, adresów... W jego mieszkaniu fryzjer zmienił moją powierzchowność, dostatecznie już znaną zagranicznym agentom ochrony rosyjskiej.

– Dopiero co otrzymałem, – zakomunikował mi Adler, – depezę od Axelroda, że Hapon przyjechał zagranicę i zadeklarował się jako socjal-demokrata. Szkoda... Gdyby zniknął na zawsze, pozostałaby piękna legenda. Na emigracji zaś będzie śmieszną postacią. Czy wiecie, – dorzucił, z zapalającym się w oczach płomykiem, który łagodził szorstkość jego ironji, – lepiej, żeby tacy ludzie byli historycznymi męczennikami, niż towarzyszami w partji...

W Wiedniu zastała mnie wiadomość o zabójstwie wielkiego księcia Sergjusza. Zdarzenia goniły jedno drugie. Prasa socjal-demokratyczna zwróciła oczy na wschód. Moja żona wyjechała pierwej, żeby wynaleźć w Kijowie mieszkanie i nawiązać stosunki. Za paszportem chorążego rezerwy Arbusowa przyjechałem w lutym do Kijowa, gdzie w ciągu kilku tygodni przenosiłem się z jednego mieszkania do drugiego, mieszkając początkowo u młodego adwokata, który bał się własnego cienia, potem u profesora instytutu technologicznego, później jeszcze u jakiejś liberalnej wdowy. Przez pewien czas ukrywałem się nawet w lecznicy okulistycznej. Z polecenia naczelnego lekarza, wtajemniczonego w moją historję, siostra robiła mi, ku memu niemałemu zawstydzeniu, naporzanie nóg i niewinne zastrzyki do oczu. Zmuszony byłem do podwójnej konspiracji: proklamacje pisywałem, ukrywając się przed siostrą, która surowo pilnowała, abym nie przemęczał oczu.

Podczas wizytacji, profesor, uwolniwszy się od zawadzającego asystenta, wpadał do mego pokoju z asystentką, której ufał, szybko zamykał za sobą drzwi na klucz i zasłaniał okno, jakoby dla zbadania moich oczu, poczem we troje śmieliśmy się pocichu, ale wesoło. – Papierosy są? – pytał profesor. – Są, – odpowiadałem. – Quantum satis? – pytał profesor. – Quantum satis! – odpowiadałem. I znów śmieliśmy się. Na tem kończyło się badanie i wracałem do moich proklamacyj. Ogromnie bawiło mnie takie życie. Przykro mi było tylko wobec uprzejmej staruszki-siostry, która tak gorliwie zajmowała się naporzaniem mi nóg.

W Kijowie istniała wówczas sławna nielegalna drukarnia, która mimo licznych aresztowań dokoła przetrwała kilka lat pod samym nosem generała żandarmerji Nowickiego. W drukarni tej drukowano na wiosnę 1905 roku również i moje proklamacje. Jednak większe odezwy zaczętem oddawać młodemu inżynierowi Krasinowi, z którym zapoznałem się w Kijowie. Krasin należał do składu bolszewickiego Centralnego Komitetu i zarządzał dużą, dobrze zaopatrzoną, zakonspirowaną drukarnią na Kaukazie. W Kijowie napisałem dla tej drukarni cały szereg ulotek, które drukowano z niezwykłą, jak na nielegalne warunki, starannością.

Partja, zarówno jak i rewolucja, były w tym okresie jeszcze bardzo młode: i

w ludziach i w poczynaniach rzucały się w oczy brak doświadczenia i niewyrobienie. Naturalnie, że i Krasin nie był wolny od tych braków. Jednak istniało w nim coś twardego, zdecydowanego i „administracyjnego”. Był inżynierem z dużą praktyką fachową, miał stanowisko, i to dobre stanowisko, wysoko go ceniono, krąg znajomości miał bezporównania szerszy i bardziej urozmaicony, niż którykolwiek z ówczesnych młodych rewolucjonistów. Dzielnice robotnicze, mieszkania inżynierów, salony liberalnych moskiewskich fabrykantów, koła literackie – Krasin wszędzie miał stosunki. Umiejętnie potrafił kojarzyć to wszystko i otwierały się przed nim takie możliwości praktyczne, jakie dla innych były całkiem niedostępne. W roku 1905 Krasin, poza uczestnictwem w ogólnej pracy partji, kierował najniebezpieczniejszymi jej dziedzinami: drużynami bojowymi, zdobywaniem broni, przygotowywaniem materiałów wybuchowych i t. p. Mimo szerokiego horyzontu umysłowego, Krasin był w polityce, i wogóle w życiu, przede wszystkim człowiekiem bezpośrednich celów. To właśnie było jego siłą, ale i jego piętą Achillesową zarazem. Długie lata żmudnego zbierania sił, politycznego szkolenia, teoretycznego przerabiania doświadczeń – nie, do tego nie czuł powołania. Kiedy rewolucja 1905 roku nie usprawiedliwiła pokładanych w niej nadziei, zainteresowania Krasina zwróciły się w pierwszym rzędzie ku elektrotechnice i przemysłowi wogóle. Krasin i w tej dziedzinie okazał się wybitnym realizatorem, człowiekiem wyjątkowych możliwości. Bez wątpienia, najwybitniejsze sukcesy jego inżynierskiej działalności dawały mu to osobiste zadowolenie, jakie w poprzednich latach dawała mu walka rewolucyjna. Krasin powitał przewrót październikowy z wrogiem zdziwieniem, jak awanturę, skazaną zgóry na niepowodzenie. Długo nie wierzył w naszą zdolność do opanowania zamętu. Potem jednakże możliwość szerokiej działalności pociągnęła go...

Dla mnie stosunki z Krasinem w roku 1905 były prawdziwym skarbem. Umówiliśmy się, że spotkamy się w Petersburgu. Od niego również otrzymałem adresy sympatyków. Pierwszy i najważniejszy był adres starszego lekarza konstantynowskiej szkoły artyleryskiej, Aleksandra Aleksandrowicza Litkensa, z rodziną którego los związał mnie na długo. W mieszkaniu Litkensów, w gmachu szkolnym na Zabałkańskim prospekcie, nieraz musiałem się ukrywać w groźnych dniach i nocach 1905 roku. Nieraz do mieszkania starszego lekarza przychodziły do mnie, pod nosem wartownika, takie postacie, jakich podwórze szkoły wojennej i jej schody nigdy nie widziały. Ale niższy personel służbowy odnosił się do starszego lekarza z sympatją, denuncjacyj nie było i wszystko szło pomyślnie. Starszy syn doktora, Aleksander, mający 18 lat, należał już do partji, kierował w kilka miesięcy później ruchem chłopskim w Orłowskiej guberni, ale nie zniósł zbyt silnego napięcia nerwów, rozchorował się i umarł. Młodszy syn, Ewgraf, w tym okresie gimnazysta, grał później wybitną rolę w wojnie domowej i w pracy oświatowej władzy sowieckiej. W 1921 roku zabity został przez bandytów na Krymie.

Oficjalnie mieszkalem w Petersburgu za paszportem obywatela ziemskiego, Wikentjewa. W kołach rewolucyjnych występowałem jako Piotr Piotrowicz. Organizacyjnie nie należałem do żadnej z frakcyj. W dalszym ciągu współpracowałem z Krasinem, który był w owym czasie bolszewikiem-pojednawcą, co ze względu na moje ówczesne stanowisko jeszcze bardziej zbliżyło nas do siebie. Jednocześnie utrzymywałem łączność z miejscową

grupą mieńszewików, o zdecydowanie rewolucyjnym kierunku. Pod moim wpływem grupa stanęła na stanowisku bojkotu pierwszej Dumy i weszła w konflikt ze swym zagranicznym centrum. Jednakże, owa grupa mieńszewicka „wyspała” się wkrótce. Zdradził ją jej czynny członek Dobroskok, „Mikołaj – Złote okulary”, jak się okazało, zawodowy prowokator. Wiedział, że jestem w Petersburgu i znał mnie z widzenia. Żona moja została zaarrestowana na wiecu pierwszego maja, który odbywał się w lesie. Trzeba było bezwzględnie ukryć się na jakiś czas. Latem wyjechałem do Finlandji. Tam zaczął się dla mnie odpoczynek, na który składała się intensywna praca literacka i krótkie przechadzki. Pochłaniałem gazety, śledziłem formowanie się partji, robiłem wycinki, grupowałem fakty. W tym okresie ugruntowały się ostatecznie moje poglądy na wewnętrzne siły rosyjskiego społeczeństwa i perspektywy rosyjskiej rewolucji.

Rosja stoi, – pisałem wówczas, – przed rewolucją burżuazyjno-demokratyczną. Osnowę tej rewolucji stanowi sprawa rolna. Władzę zagarnie ta partja, ta klasa, która przeciwko caratowi i ziemiaństwu pociągnie za sobą chłopów. Ani liberalizm, ani inteligencja demokratyczna nie zdołają tego uczynić: ich historyczna misja się skończyła. Na scenie rewolucyjnej pojawił się już proletarjat. Tylko socjal-demokracja może przez robotników pociągnąć za sobą włościaństwo. To otwiera przed socjal-demokracją perspektywę wcześniejszego zdobycia władzy w Rosji, niż w państwach zachodnich. Bezpośrednim zadaniem socjal-demokracji będzie przeprowadzenie demokratycznej rewolucji. Ale zdobywszy władzę, partja proletarjacka nie zdoła ograniczyć się do wykonywania programu demokratycznego. Zmuszona będzie przejść na drogę reform socjalistycznych. Jak daleko zajdzie po tej drodze, zależy będzie nie tylko od wewnętrznego wzajemnego ustosunkowania się sił, ale również od ogólnej sytuacji międzynarodowej. Następnie, podstawowa zasada strategiczna wymaga, aby socjal-demokracja, nieubłaganie walcząc z liberalizmem o wpływ na włościaństwo, już podczas burżuazyjnej rewolucji postawiła sobie za zadanie opanowanie władzy.

Zagadnienie ogólnych celów rewolucji jak najściślej wiąże się z problematami taktycznymi. Głównym politycznym hasłem partji była konstytuanta. Jednak w toku walki rewolucyjnej wyłoniło się pytanie, kto i jak zwoła konstytuante. Perspektywa powstania ludowego, kierowanego przez proletarjat, nasuwała myśl o stworzeniu tymczasowego rządu rewolucyjnego. Kierownicza rola proletariatu w rewolucji powinna mu być zapewnić decydującą rolę w rządzie tymczasowym. Na ten temat w kierownictwie partji toczyły się gorące spory, w szczególności pomiędzy mną i Krasinem. Napisałem tezy, w których dowodziłem, że skutkiem całkowitego zwycięstwa rewolucji nad caratem będzie albo władza proletariatu, opierającego się na włościaństwie, albo wstęp do takiej władzy. Krasin zląkł się tak kategorycznego postawienia sprawy. Aprobował hasło tymczasowego rządu rewolucyjnego i naszkicowany przeze mnie program jego prac, ale nie chciał przesądzać sprawy większości socjal-demokratycznej w rządzie. W tej postaci tezy moje zostały wydrukowane w Petersburgu, Krasin zaś podjął się ich obrony na ogólnym zjeździe partji, planowanym w maju zagranicą. Jednakże ogólny zjazd nie doszedł do skutku. Krasin natomiast wziął czynny udział w dyskusji nad zagadnieniem rządu tymczasowego na zjeździe bolszewików i zgłosił moje tezy, jako poprawki do rezolucji Lenina. Epizod ten, pod względem politycznym, jest tak dalece interesujący, że uważam za słuszne

przytoczenie protokołu III-go Zjazdu.

„Co się tyczy rezolucji tow. Lenina, – mówił Krasin, – uważam, że braki jej polegają na niepodkreśleniu zagadnienia rządu tymczasowego i niedostatecznym uwypukleniu łączności między rządem tymczasowym i zbrojnym powstaniem. W rzeczywistości rząd tymczasowy stworzony zostaje przez powstanie ludowe, jako jego organ... Dalej, uważam za niesłuszny pogląd, wyrażony w rezolucji, jakoby tymczasowy rząd rewolucyjny powstać miał dopiero po ostatecznym zwycięstwie powstania narodowego i po upadku samowładztwa. Nie, właśnie tworzy się on podczas samego przebiegu powstania i bierze najżywszy udział w jego prowadzeniu, swem organizacyjnym współdziałaniem zapewniając mu zwycięstwo. Pogląd, że socjal-demokracja będzie mogła wziąć udział w tymczasowym rządzie rewolucyjnym dopiero po ostatecznym upadku samowładztwa, jest wysoce naiwny kiedy ktoś inny wyciągnie kasztany z ognia, to ani mu się będzie śniło dzielić swą zdobycz z nami”. To jest prawie dosłowne powtórzenie moich tez.

Lenin, który w zasadniczym referacie rozpatrywał sprawę z czysto teoretycznego punktu widzenia, odniósł się do stanowiska Krasina niezwykle przychylnie. Oto, co wówczas powiedział: – Zasadniczo całkowicie podzielam pogląd tow. Krasina. Oczywiście, ja, jako literat, zwróciłem uwagę na literackie postawienie zagadnienia. Znaczenie celu walki, wskazane zostało przez tow. Krasina bardzo słusznie, ja zaś całkowicie przyłączam się do jego zdania. Nie można walczyć, nie licząc na zajęcie punktu, o który się walczy...

Rezolucja została w odpowiedni sposób przerobiona. Zauważyć tu muszę, że w trakcie polemiki, odbywającej się w ostatnich latach, rezolucje III-go zjazdu w sprawie rządu tymczasowego setki razy przeciwstawiano „trockizmowi”. „Czerwoni profesorowie” stalinowskiego chowu nie mają pojęcia o tem, że jako wzór leninizmu cytują przeciwko mnie słowa, napisane przeze mnie.

Warunki, w jakich mieszkałem w Finlandji, niebardzo sprzyjały rozmyślaniom o rewolucji ciągłej: wzgórza, sosny, jeziora, przejrzyste jesienne powietrze, spokój. W końcu września przenieśliem się jeszcze dalej w głąb Finlandji i osiadłem w lesie na brzegu jeziora w samotnym pensjonacie „Rauha”. Słowo to po fińsku oznacza spokój. Ogromny pensjonat całkowicie opustoszał na jesieni. Szwedzki literat i angielska aktorka spędzali w nim ostatnie dni pobytu i wyjechali, nie zapłaciwszy. Gospodarz rzucił się za nimi w pogoń do Helsingforsu. Gospodyni leżała ciężko chora, podtrzymując działalność serca szampanem. Nigdy jej, zresztą, nie widziałem. Umarła w czasie nieobecności męża. Ciało jej leżało w pokoju nade mną. Starszy kelner wyjechał do Helsingforsu, aby odszukać gospodarza. Do posługi został tylko mały chłopiec. Spadł obfity, wczesny śnieg. Sosny otulone były całunem. Sanatorium zamarło. Chłopak przepadał w kuchni, gdzieś w suterynie. Nade mną w pokoju leżała zmarła gospodyni. Byłem sam. Wszystko razem było „rauha” – spokój. Ani żywej duszy, ani dźwięku. Pisałem i przechadzałem się. Wieczorem pocztyljon przywiózł paczkę petersburskich gazet. Rozwijałem je, jedną za drugą. Jakby przez otwarte okno wtargnęła wściekła wichura. Strejk wzrastał, rozszerzał się, przerzucał z miasta do miasta. W ciszy hotelu szelest gazet dźwięczał w uszach, jak grzmot lawiny. Rewolucja była w pełnym biegu.

Zażądałem od chłopca rachunku, zamówiłem konie i, porzuciwszy mój „spokój”, pojechałem w stronę lawiny. Tegoż wieczoru zabrałem głos w Petersburgu, w auli politechniki.

ROZDZIAŁ XIV

ROK 1905-ty

Strejk październikowy bynajmniej nie wybuchł zgodnie z planem. Rozpoczął się strejkiem drukarzy w Moskwie, poczem zaczął wygasać. Partje zamierzały stoczyć walkę decydującą w rocznicę 9/22 stycznia. Oto dlaczego, nie spiesząc się zbyt, wykańczałem moje prace w fińskim zaciszu. Ale przypadkowy strejk, już wygasający, przerzucił się niespodzianie na koleje żelazne i – rozszerzył się. Począwszy od dziesiątego października strejk, już pod politycznymi hasłami, rozszerzać się począł z Moskwy po całym kraju. Równie powszechnego strejku świat jeszcze nie widział. W wielu miastach miały miejsca starcia uliczne z wojskiem. Ale zasadniczo wypadki październikowe utrzymywały się całkowicie na poziomie strejku politycznego, nie przechodząc w zbrojne powstanie. Mimo to absolutyzm, straciwszy głowę, cofnął się. Dnia 17/30 października ogłoszono manifest konstytucyjny, jednakże napół pokonany carat utrzymał machinę władzy w swych rękach. Polityka rządowa była, według określenia Wittego, bardziej, niż kiedykolwiek „splotem tchórzliwości, ślepoty, chytryści i głupoty”. W każdym razie rewolucja odniosła po raz pierwszy zwycięstwo, niezupełne wprawdzie, ale wiele obiecujące.

„Najistotniejsza treść rewolucji rosyjskiej 1905 roku, – pisał później ten sam Witte, – wypowiedała się, oczywiście... w hasła włościańskie: dajcie nam ziemię”. Można się z tem zgodzić. Witte jednak idzie dalej. „Radzie robotniczej, – mówi, – nie przypisywałem szczególnego znaczenia. Nie miała go też w istocie”. To zdanie dowodzi tylko, że nawet najwybitniejszy z biurokratów nie zrozumiał znaczenia wydarzeń, które były ostatniem ostrzeżeniem pod adresem klas rządzących. Witte zmarił na tyle w porę, że nie był zmuszony do rewizji swych poglądów na znaczenie rad robotniczych.

Kiedy przyjechałem do Petersburga, strejk październikowy dosięgnął kulminacyjnego punktu. Fala strejków rozszerzała się coraz bardziej, ale groziło niebezpieczeństwo, że ruch mas, nieopanowany przez organizację, spełźnie na niczem. Przyjechałem z Finlandji z planem wybieralnej organizacji bezpartyjnej: każdy tysiąc robotników wybierał jednego delegata. Dowiedziałem się w dniu przyjazdu od literata Jordanskiego, późniejszego posła sowieckiego w Italji, że mieńszewicy wysunęli już hasło obieralnego organu rewolucyjnego, przyczem jednego delegata miało wybierać pięćset osób. To było słuszne. Obecna w Petersburgu część bolszewickiego Komitetu Centralnego była zdecydowanie przeciwna wybieralnej organizacji bezpartyjnej, obawiając się z jej strony konkurencji dla partji. Robotnikom-bolszewikom obawa ta była całkowicie obca. Doktrynerski stosunek kierowniczych warstw bolszewickich do Rady trwał do listopada, to jest do przyjazdu Lenina do Rosji. O kierownictwie „leninowców” bez Lenina, możnaby wogóle napisać pouczający rozdział. Lenin tak dalece przewyższał swych najbliższych uczniów, że zdawało się im, jakoby przy nim są raz na

zawsze uwolnieni od konieczności samodzielnego rozwiązywania problemów teoretycznych i taktycznych. Pozbawieni w krytycznej chwili Lenina, razili wprost swą bezradnością. Tak było na jesieni 1905 roku. Tak było na wiosnę 1917 roku. W obu tych, jak i w wielu innych, mniej ważnych historycznie, wypadkach, szerokie koła partji znacznie lepiej wyczuwały właściwy kierunek, niż zostawieni sami sobie pół-wodzowie. Opóźnienie przyjazdu Lenina z zagranicy przyczyniło się, między innymi, do tego, że frakcji bolszewickiej nie udało się zająć stanowiska kierowniczego, podczas wypadków pierwszej rewolucji.

Wspominałem już, że N. I. Siedowa została ujęta przez obławę w lesie, na wiecu w dniu 1-szym maja. Przesiedziała prawie pół roku w więzieniu, poczem wysłana została pod nadzór policji do Tweru. Po manifestie październikowym wróciła do Petersburga. Pod nazwiskiem Wikentjewych wynajęliśmy pokój, jak się okazało, u spekulanta giełdowego. Interesy na giełdzie szły źle. Wielu spekulantów musiało ograniczyć swe potrzeby mieszkaniowe. Roznosiciel przynosił nam co rano wszystkie gazety. Właściciel mieszkania pożyczał je czasem od mej żony, czytał i zgrzytał zębami. Interesy jego szły coraz gorzej. Pewnego razu, poprostu wdarł się do naszego pokoju, potrząsając gazetą: – Spójrzcie, – ryknął wskazując palcem na mój ostatni artykuł. „Dzieńdobry, petersburski stróžu!” – Spójrzcie, zabierają się już do stróży. Gdyby ten bandyta dostał się w moje ręce, tembym go zastrzelił. – Wyciągnął rewolwer z kieszeni i potrząsał nim w powietrzu. Wyglądał, jak szalony. Czekał na życzliwe potakiwanie. Żona przyjechała do mnie do redakcji z tą, budzącą obawę, wiadomością. Trzeba było szukać nowego mieszkania. Nie mieliśmy jednak ani chwili wolnej i zdaliśmy się na los szczęścia. W ten sposób mieszkaliśmy u zrozpaczonego giełdjarza do chwili mego zaareztowania. Na szczęście, ani gospodarz, ani policja do samego końca nie dowiedzieli się, kto mieszkał pod nazwiskiem Wikentjewa. Po mem arestowaniu nawet nie zrobiono w mieszkaniu rewizji.

W Radzie występowałem pod nazwiskiem Janowskiego, od nazwy wsi, w której się urodziłem. Do prasy pisywałem jako Trocki. Pracowałem dla trzech gazet. Razem z Parvusem staliśmy na czele maleńkiej „Russkoj Gazety”, przekształciwszy ją w bojowy organ mas. W ciągu kilku dni nakład wzrósł z 30 do 100.000 egzemplarzy. Po miesiącu zapotrzebowanie dochodziło do pół miliona. Technika jednak nie mogła nadążyć za koniecznością zwiększania nakładu. Trudności te udało się nam wkońcu przewyciężyć jedynie dzięki pogromowi rządu. 13-go listopada wypuściliśmy, w bloku z mieńszewikami, pierwszy numer wielkiego organu politycznego „Naczało”. Nakład pisma wzrastał z każdą godziną. Bolszewicka „Nowaja Żiźń”, bez udziału Lenina była bezbarwna. „Naczało” zaś cieszyło się olbrzymim powodzeniem. Sądzę, że pismo to, bardziej, niż jakiegokolwiek inne wydawnictwo ostatnich lat pięćdziesięciu, zbliżało się do swego klasycznego pierwowzoru – „Nowej Gazety Reńskiej”, wydawanej przez Marksa w roku 1848. Kamieniew, należący do redakcji „Nowej Żizni”, opowiadał mi później, jak, jadąc koleją, obserwował w kioskach stacyjnych sprzedaż świeżych gazet. Na przyjazd petersburskiego pociągu oczekiwały olbrzymie tłumy. Popyt był tylko na rewolucyjne wydawnictwa. – „Naczało! Naczało! Naczało!” – wykrzykiwano w ogonkach. – „Nowaja Żiźń!” – znów: – „Naczało! Naczało! Naczało!” – Wówczas, – przyznał się Kamieniew, – z przykrością powiedziałem sobie: tak, oni w „Naczale” lepiej piszą, niż my.

Poza pracą w „Russkoj Gazetie” i „Naczale” pisywałem jeszcze artykuły wstępne do „Izwestij”, oficjalnego organu Rady, jak również rozliczne odezwy, manifesty i rezolucje. Pięćdziesiąt dwa dni istnienia pierwszej Rady były przesycone pracą do upadłego: Rada, Komitet Wykonawczy, nieustannie wiece i trzy gazety. Jakiś żyli w tym wirze, sam dobrze nie wiem. Ale liczne fakty z przeszłości wydają się niemożliwe, we wspomnieniach bowiem odpada moment aktywności: człowiek patrzy na siebie z boku. My zaś byliśmy w owych dniach dostatecznie aktywni. Nie tylko obracaliśmy się w owym wirze, ale samiśmy go tworzyli. Wszystko robiło się w pośpiechu, ale nie najgorzej, a niejedno robiło się nawet bardzo dobrze. Nasz redaktor odpowiedzialny, stary demokrat, doktor D. M. Herzenstein, wstępował czasem do redakcji, w nieposzlakowanym, czarnym surducie, stawał na środku pokoju i zakochanymi oczami przyglądał się panującemu chaosowi. Po roku musiał przed sądem odpowiadać za rewolucyjną zaciekłość gazety, na którą nie miał żadnego wpływu. Starzec nie wyparł się nas. Przeciwnie, ze łzami w oczach opowiadał przed sądem o tem, jak redagując najpopularniejsze pismo, żywiliśmy się w czasie pracy suchymi pierożkami, które stróż przynosił nam w papierze z najbliższej piekarni. Starzec musiał odsiedzieć rok w więzieniu za rewolucję, która nie odniosła zwycięstwa, za brać emigranczką i za suche pierożki.

We wspomnieniach swych Witte pisał później, że w roku 1905 „olbrzymia większość Rosji jakgdyby postradała zmysły”. Rewolucja wydaje się konserwatyście masowym obłędem tylko dlatego, że doprowadza „normalne” szaleństwo przeciwieństw społecznych do najwyższego napięcia. Tak to ludzie nie chcą w śmiałej karykaturze poznawać siebie. Tymczasem właśnie cały rozwój współczesnego życia zgęszcza, zaostrza, potęguje przeciwieństwa, aż stają się nie do zniesienia i przygotowują taki stan, w którym olbrzymia większość „traci zmysły”. Ale w podobnych wypadkach szalona większość nakłada kaftan bezpieczeństwa na mądrą mniejszość. I dzięki temu historia idzie naprzód.

Chaos rewolucyjny, to całkiem coś innego, niż trzęsienie ziemi lub powódź. W zamęcie rewolucji natychmiast zaczyna formować się nowy porządek, ludzie i idee w sposób naturalny układają się wokół nowych osi. Rewolucja wydaje się całkowitem szaleństwem tym, których zmiata i obala. Dla nas rewolucja była przyrodzonym, choć bardzo buntowniczym, żywiołem. Wszystko miało swój czas i swe miejsce. Niektórzy potrafili jeszcze żyć życiem osobistym, kochać się, zawiązywać nowe znajomości, a nawet odwiedzać teatry rewolucyjne, Parvusowi tak spodobała się nowa sztuka satyryczna, że odrazu kupił 50 biletów dla przyjaciół na następne przedstawienie. Wyjaśnić należy, że poprzedniego dnia otrzymał honorarium za swoje książki. Podczas aresztowania znaleziono w jego kieszeni pięćdziesiąt biletów teatralnych. Żandarmi długo biedzili się nad tą rewolucyjną zagadką. Nie wiedzieli, że Parvus wszystko robił z rozmachem.

Rada postawiła na nogi ogromne masy. Za Radą stali wszyscy robotnicy. Po wsiach szerzyły się rozruchy, zarówno jak i w wojsku, powracającym po portsmutskim pokoju z Dalekiego Wschodu. Jednak pułki gwardyjskie i kozackie trzymały się jeszcze mocno. Wszystkie czynniki zwycięskiej rewolucji już istniały, ale były jeszcze niedojrzałe.

18 października, nazajutrz po opublikowaniu manifestu, przed uniwersytetem petersburskim stały dziesięcio-tysięczne tłumy, które nie

zdały ochłonąć po walce, i pijane były zachwytem pierwszego zwycięstwa. Wołałem do nich z balkonu, że półzwycięstwo nie daje pewności, że wróg jest nieubłagany, że grozi nam zasadzka, darłem carski manifest i rzucałem jego strzępy na wiatr. Jednak tego rodzaju polityczne ostrzeżenia pozostawiają zaledwie lekkie ślady w świadomości mas. Masom potrzebne są szkoły wielkich wydarzeń.

W związku z tem przypominają mi się dwie sceny z życia petersburskiej Rady. Pierwsza – 29 października, kiedy miasto pełne było wieści o pogromie, przygotowywanym przez czarną sotnię. Delegaci, przyszedłszy bezpośrednio z fabryk na posiedzenie Rady, pokazywali z trybuny wzory broni, którą przygotowywali robotnicy przeciwko czarnej sotni. Potrzęsali w powietrzu fińskimi nożami, kastetami, kindzałami, drucianymi batami, ale raczej wesoło, niż ponuro, z żartami i przypowiadkami. Jakgdyby uważali, że sama ich gotowość do stawienia oporu już rozstrzyga kwestję. Większość ich nie była jeszcze nawskroś przesiąknięta myślą, że walka toczy się na śmierć i życie. I właśnie tego nauczyły ich dni grudniowe.

Wieczorem, 3-go grudnia, Rada petersburska została otoczona przez wojsko. Wejścia i wyjścia zostały zamknięte. Z galerji, gdzie zasiadał Komitet Wykonawczy, zawołałem wdół, gdzie tłoczyły się już setki delegatów: – Nie stawiać oporu, nie oddawać nieprzyjacielowi broni. – Broń była krótka: rewolwery. I oto w sali posiedzeń, już otoczonej ze wszystkich stron oddziałami gwardyjskiej piechoty, kawalerji i artylerji, robotnicy zaczęli niszczyć swą broń. Umiejętną ręką uderzali mauserem browning i browningiem mauser. A to dźwięczało inaczej, niż żart i przypowiadka w dniu 29-ym października. W dźwięku i szczęku, w zgrzycie łamanego metalu, słycać było zgrzytanie zębów proletarjatu, który po raz pierwszy poczuł w całej pełni, że trzeba innego, potężniejszego i bezlitońszego wysiłku, aby obalić i zmiażdżyć wroga.

Półowiczne zwycięstwo strejku październikowego, oprócz politycznego, miało dla mnie niezmiernie znaczenie teoretyczne. Nie opozycyjny ruch liberalny burżuazji, nie żywołowe powstanie chłopów, nie terrorystyczne akty inteligencji, lecz strejk robotniczy po raz pierwszy rzucił carat na kolana. Rewolucyjna hegemonja proletarjatu ujawniła się jako fakt bezsporny. Uważałem, że teoria rewolucji ciągłej wytrzymała pierwszą wielką próbę. Rewolucja wyraźnie otwierała przed proletarjatem perspektywę zdobycia władzy. Z tego stanowiska nie mogły mnie już zepchnąć lata reakcji, która wkrótce nastąpiła. Ale stąd również wyciągałem wnioski i dla Zachodu. Jeżeli młody proletarjat w Rosji posiada taką siłę, to jakaż będzie jego rewolucyjna potęga w krajach przodujących?

Łunaczarskij, w charakterystyczny dla niego, nieścisty i nieporządny sposób, charakteryzował później moją rewolucyjną koncepcję: „Tow. Trocki stał (w r. 1905) na stanowisku, że obie rewolucje (burżuazyjna i socjalistyczna), wprawdzie nie następują jednocześnie, lecz wiążą się ze sobą tak, że mamy do czynienia z rewolucją ciągłą. Wszedłszy w okres rewolucyjny, dzięki burżuazyjnemu przewrotowi politycznemu, rosyjska część ludzkości, a razem z nią i świat, nie zdoła już wyjść z tego okresu, aż do ukończenia rewolucji społecznej. Nie można zaprzeczyć, że formułując te poglądy, towarzysz Trocki wykazał wielką przenikliwość, chociaż pomylił się o piętnaście lat”.

Uwaga o omyłce o lat piętnaście nie staje się głębsza przez to, że później

powtórzył ją Radek. Wszystkie nasze plany i hasła w 1905 roku liczyły się ze zwycięstwem rewolucji, nie zaś z jej upadkiem. Nie wywalczyliśmy wówczas ani republiki, ani reformy rolnej, ani ośmiodzinnego dnia roboczego. Czy znaczy to, że myliliśmy się, wysuwając te żądania? Upadek rewolucji przekreślił *wszystkie* plany, a nie tylko te, które ja rozwijałem. Zagadnienie tyczyło nie terminów rewolucji, lecz analizy jej sił wewnętrznych i przewidzenia zgóry jej rozwoju, jako całości. Jakie były podczas rewolucji 1905 roku wzajemne stosunki między mną i Leninem? Po jego śmierci oficjalną historję przerabiano nanowo, przyczem do dziejów 1905 roku wprowadzono również walkę dwóch pierwiastków, dobra i zła. Jak było w istocie? W pracy Rady Lenin nie brał bezpośredniego udziału i w Radzie nie występował. Nie trzeba chyba nadmieniać, że jednak uważnie śledził każdy krok Rady, wpływał na jej politykę przez przedstawicieli frakcji bolszewickiej i oświeślał jej działalność w swej gazecie. W żadnej sprawie nie było sprzeczności między poglądami Lenina i polityką Rady. A, jak świadczą dokumenty, wszystkie decyzje Rady, z wyjątkiem może niektórych przypadkowych i małoważnych, były formułowane przeze mnie i przeze mnie wnoszone najpierw na Komitet Wykonawczy, a potem, w jego imieniu, na Radę. Kiedy powstała komisja federacyjna, złożona z przedstawicieli bolszewików i mieńszewików, również ja musiałem występować z jej ramienia w Komitecie Wykonawczym. Nie było przytem ani jednego nieporozumienia.

Na pierwszego przewodniczącego Rady wybrany został w przeddzień mego przyjazdu z Finlandji, młody adwokat, Chrustalew, przypadkowa w rewolucji postać, pośredni stopień między Haponem i socjal-demokracją. Chrustalew przewodniczył, lecz politycznie nie kierował. Po jego aresztowaniu wybrane zostało przyjdum ze mną na czele. Swierczkow, jeden z dość wybitnych uczestników Rady, pisze w swych wspomnieniach: „Ideowym kierownikiem Rady był L. D. Trocki. Przewodniczący Rady – Nosar-Chrustalew – był raczej parawanem, ponieważ sam nie potrafił rozstrzygnąć żadnej zasadniczej kwestji. Będąc człowiekiem o chorobliwej ambicji, zniechędził L. D. Trockiego właśnie zato, że musiał ustawicznie zwracać się do niego o rady i wskazówki”. Lunaczarskij opowiada w swych pamiętnikach: „Pamiętam, jak ktoś odezwał się przy Leninie: – Gwiazda Chrustalewa zachodzi i silnym człowiekiem w Radzie jest teraz Trocki. – Lenin spochmurniał, jakby na chwilę, potem zaś rzekł: – No, cóż, Trocki zdobył to swą nieustanną i wybitną pracą”. Stosunki między obu redakcjami były jak najrzyżniejsze. Nie zawiązywała się między nimi żadna polemika. „Wyszedł pierwszy numer „Naczała” – pisała bolszewicka „Nowaja Żiźń”. – Witamy towarzysza walki. W pierwszym numerze zwraca uwagę wspaniały opis strejku listopadowego, pióra towarzysza Trockiego”. Tak się nie pisze o kimś. z kim się toczy walkę. Ale walki nie było. Przeciwnie, oba pisma broniły się wzajemnie przed burżuazyjną krytyką. „Nowaja Żiźń” już po przyjeździe Lenina wystąpiła w obronie moich artykułów o rewolucji ciągłej. Zarówno gazety, jak i obie frakcje, dążyły do zjednoczenia. Centralny Komitet bolszewicki z udziałem Lenina powziął jednogłośnie rezolucję w tym duchu, że rozłam wywołały jedynie warunki, istniejące na emigracji, i że wypadki rewolucyjne czynią walkę frakcyjną całkowicie bezpodstawną. Te same poglądy, przy biernym sprzeciwie Martowa, wyrażałem i ja w „Naczale”.

Pod naciskiem mas, w pierwszym okresie, mieńszewicy ze wszystkich sił starali się iść ramię w ramię z lewym skrzydłem Rady. Zmienili front dopiero

po pierwszym ciosie ze strony reakcji. W lutym 1906 roku wódz mieńszewików, Martow, skarżył się w liście do Axelroda: „Oto już dwa miesiące... nie mogę zakończyć ani jednej rozpoczętej pracy... czy to neurastenja, czy zmęczenie psychiczne, ale nie mogłem skupić myśli”. Martow nie wiedział, jak nazwać swą chorobę. Tymczasem zaś nazwa jej była ściśle określona: *mieńszewizm*. W epoce rewolucji oportunizm oznacza przede wszystkim utratę równowagi i niemożność „skupienia myśli”.

Kiedy mieńszewicy zaczęli publicznie kajać się i krytykować politykę Rady, bronilem jej w prasie rosyjskiej, później zaś w niemieckiej, oraz w polskim piśmie Róży Luxemburg. Z tej walki o metody i tradycje 1905 roku, powstała moja książka, zatytułowana uprzednio „Rosja podczas rewolucji”, potem wielokrotnie wydawana w różnych krajach pod tytułem „1905”. Po przewrocie październikowym książka ta zaczęła nosić charakter oficjalnego podręcznika partyjnego, nie tylko w Rosji, lecz w partjach komunistycznych na Zachodzie. Dopiero po śmierci Lenina, kiedy rozpoczęła się starannie przygotowywana kampanja przeciwko mnie, w strefę ataku wciągnięto również książkę o roku 1905. Początkowo ograniczano się do oddzielnych uwag i zaczepek, nędznych i bez znaczenia. Stopniowo jednak krytyka nabierała odwagi, wzrastała, mnożyła się, komplikowała, stawała się bardziej zuchwała i tem głośniejsza, im bardziej musiała zagłuszać głos własnej trwogi. W ten sposób stworzono post factum legendę o walce kierunków Lenina i Trockiego podczas rewolucji 1905 roku.

Rewolucja 1905 r. stanowiła przełom w życiu kraju, w życiu partji i mem życiu osobistem. Przełom znamionował dojrzałość. Pierwsza moja robota rewolucyjna w Mikołajowie była prowincjonalną próbą, wykonaną poomacku. Próba ta jednak nie przeszła bez śladu. Nigdy może we wszystkich następnych latach nie wchodziłem w tak bliską styczność z prostymi robotnikami, jak w Mikołajowie. Nie miałem wówczas jeszcze żadnego „imienia” i nic mnie od nich nie odróżniało. Zasadnicze typy rosyjskiego proletariusza na zawsze utkwily w mej świadomości. Później spotykałem już prawie wyłącznie tylko odmiany tych typów. W więzieniu rozpocząć musiałem naukę rewolucyjną prawie od abecadła. Dwa i pół roku więzienia, dwa lata zesłania, umożliwiły mi stworzenie sobie teoretycznych podstaw rewolucyjnego światopoglądu. Pierwsza emigracja była wielką szkołą polityki. Pod kierunkiem wybitnych marksistów-rewolucjonistów uczyłem się tu ujmowania zdarzeń w wielkiej historycznej perspektywie i z punktu widzenia związków międzynarodowych. Pod koniec emigracji odsunęłem się od obu grup kierowniczych: bolszewickiej i mieńszewickiej. Do Rosji przyjechałem w lutym 1905 roku, podczas gdy pozostali kierownicy-emigranci przybyli dopiero w październiku i listopadzie. Wśród rosyjskich towarzyszy nie było ani jednego, od którego mógłbym się czegoś nauczyć. Przeciwnie, sam znalazłem się w sytuacji nauczyciela. Zdarzenia burzliwego roku tłoczyły się jedno za drugim. Odrazu, z miejsca, trzeba było zajmować stanowisko. Proklamacja wprost z pod pióra szła do zakonspirowanej drukarni. Teoretyczne podstawy, zdobyte w więzieniu i na zesłaniu, polityczna metoda, przyswojona na emigracji, teraz po raz pierwszy znajdowały bezpośrednie, bojowe zastosowanie. Czulem się pewnie w obliczu wydarzeń. Rozumiałem ich mechanikę, – tak mi się przynajmniej zdawało, – wyobrażałem sobie, jak powinny oddziaływać na świadomość robotników, i w zasadniczych zarysach przewidywałem dzień jutrzejszy. Od lutego do października mój udział w zdarzeniach miał głównie literacki charakter. W

październiku wpadłem odrazu w olbrzymi wir, który dla mnie osobiście stanowił najostrożniejszą próbę. Każdą decyzję należało powziąć w ogniu. Nie mogę nie zaznaczyć tu, że owe decyzje nasuwały mi się jako coś oczywistego. Nie oglądałem się na to, co powiedzą inni, rzadko kiedy mogłem się kogokolwiek radzić, wszystko robiło się w pośpiechu. Ze zdziwieniem i niezrozumieniem obserwowałem później najmądrzejszego z mieńszewików, Martowa, którego każdy większy wypadek zastawał nieprzygotowanego i wytrącał z równowagi. Nie zastanawiając się nad tem, zbyt mało czasu miałem na analizowanie się, poczułem jednak podświadomie, że lata nauki pozostały poza mną. Skończyły się one dla mnie nie w tym sensie, że przestałem się uczyć. Nie, potrzebę i gotowość do nauki w całej świeżości i ostrości zachowałem przez całe życie. Później jednak uczyłem się, jak nauczyciel, a nie jak uczeń. W chwili mego powtórnego aresztowania, miałem 26 lat. I stary Deutsch dał mi świadectwo dojrzałości: w więzieniu uroczyście przestał nazywać „mnie młodzieńcem i zaczął mówić mi „wy”.

W cytowanej już, a obecnie zakazanej, książce p. t. „Sylwetki”, Łunaczarskiej w ten sposób ocenia rolę kierowników pierwszej rewolucji: „Popularność jego (Trockiego) wśród petersburskiego proletariatu w okresie aresztowania, była bardzo wielka i powiększyła się wskutek jego niezwykle sugestywnego (?) i bohaterskiego (?) zachowania przed sądem. Muszę przyznać, że Trocki okazał się, bezwątpienia, mimo swej młodości, najlepiej przygotowany ze wszystkich socjal-demokratycznych przywódców 1905-6 r. Na nim najmniej znać było śladów pewnej emigranckiej ciasnoty, która, jak już mówiłem, przeszkadzała w owym czasie nawet Leninowi, bardziej, niż inni odczuwał, co to jest walka państwowa. Jemu również przyniosła rewolucja największą zdobycz w postaci popularności: ani Lenin, ani Martow w rzeczywistości nic nie zyskali, Plechanow zaś stracił bardzo wiele, zdradzał bowiem napoły kadeckie tendencje. Odtąd Trocki wysunął się na pierwszy plan”. Słowa te, napisane w roku 1923, brzmią tem wyraziściej, że Łunaczarskiej dzisiaj niebardzo „sugestywnie” i niebardzo po „bohatersku” pisze coś wręcz przeciwnego.

Żadnej wielkiej roboty nie można przedsięwziąć bez intuicji, t. j. bez tego podświadomego wyczucia, które, dzięki teoretycznej i praktycznej pracy, może rozwinąć się i wzbogacić, ale które musi być wrodzone. Ani teoretyczne wykształcenie, ani praktyczna rutyna, nie mogą zastąpić politycznego rzutu oka, który pozwala zorientować się w okolicznościach, ocenić ich całokształt i przewidzieć ich dalszy rozwój. Decydującego znaczenia nabierają te zdolności w okresach gwałtownych zaburzeń i przewrotów, t. j. w warunkach rewolucji. Zdaje mi się, że wypadki 1905 r. ujawniły tę moją rewolucyjną intuicję i pozwoliły mi później z całą pewnością polegać na niej. Zaznaczę na tem miejscu, że omyłki, jakie popełniałem, bez względu na ich znaczenie, – a miały miejsce błędy olbrzymiej wagi, – dotyczyły się zawsze zagadnień pochodnych, organizacyjnych, albo taktycznych, nigdy zaś zasadniczych, albo strategicznych. Jeżeli idzie o ocenę ogólnej sytuacji politycznej i jej rewolucyjnej perspektywy, z czystym sumieniem mogą nie oskarżać się o poważne omyłki.

W życiu Rosji rewolucja 1905 roku była próbą generalną rewolucji roku 1917. Podobne znaczenie miała ona również w mem osobistym życiu. Wypadki 1917 r. zastały mnie najzupełniej zdecydowanego i pewnego siebie, dlatego, że były one dla mnie tylko dalszym ciągiem i rozwinięciem tej pracy

rewolucyjnej, którą 3-go grudnia 1905 roku przerwało aresztowanie Rady Piotrogradzkiej.

Aresztowanie nastąpiło nazajutrz po opublikowaniu przez nas tak zwanego manifestu finansowego, który głosił nieuniknione bankructwo finansowe caratu i ostrzegwał kategorycznie, że zobowiązania finansowe Romanowych nie będą uznane przez zwycięski lud. „Samowładztwo nie cieszyło się nigdy zaufaniem narodu, – głosił manifest Rady delegatów robotniczych, – i nie miało odeń pełnomocnictw. Dlatego też postanawiamy nie pozwolić na spłatę długów z tytułu tych wszystkich pożyczek, które rząd carski zaciągał – w czasie kiedy jawnie i otwarcie prowadził wojnę z całym narodem”. Giełda francuska po kilku miesiącach odpowiedziała na nasz manifest nową pożyczką dla cara w wysokości 3/4 miljarda franków. Prasa reakcyjna i liberalna drwiła z bezsilnej groźby Rady pod adresem carskich finansów i europejskich bankierów. Potem postarano się zapomnieć o manifeście. Ale on sam przypominał o sobie. Finansowe bankructwo caratu, przygotowywane przez całą przeszłość, nastąpiło jednocześnie z jego klęską wojenną. A później, po zwycięstwie rewolucji, dekret Rady Komisarzy Ludowych z 10 lutego 1918 roku uznał za nieistniejące wszystkie carskie długi. Dekret ten i dziś jest w mocy. Nie mają słuszności ci, którzy twierdzą, jakoby rewolucja październikowa nie uznawała żadnych zobowiązań. Swoje zobowiązania rewolucja uznaje. Zobowiązań, które zaciągnęła 2-go grudnia 1905 roku, dotrzymała 10 lutego 1918 roku. Wierzycielom caratu rewolucja ma prawo przypomnieć: – Panowie, byliście uprzedzeni w swoim czasie!

Pod tym względem, jak i pod wszystkimi innymi, 1905 przygotował 1917.

ROZDZIAŁ XV

SĄD, ZESŁANIE, UCIECZKA

Rozpoczął się drugi cykl więzienny. Znosiłem go znacznie lepiej, niż pierwszy, a zresztą warunki były bez porównania lepsze, niż osiem lat temu. Pewien czas przesiedziałem w „Krestach”, potem w twierdzy Pietropawłowskiej, pod koniec zaś w więzieniu śledczym. Przed wysłaniem na Syberję, przeniesiono nas jeszcze do więzienia etapowego. Wszystko razem trwało piętnaście miesięcy. Każde z więzień miało swoje właściwości, do których należało się przystosować. Jednak opowiadanie o tem byłoby zbyt nużące, ponieważ przy całej swej różnorodności, wszystkie więzienia jednak podobne są do siebie. Znowu nastął okres systematycznej naukowej i literackiej pracy. Zajmowałem się teorią renty gruntowej i historią stosunków społecznych w Rosji. Duża, choć nieskończona praca o rencie gruntowej zginęła mi w pierwszych latach po październikowym przewrocie. Była to dla mnie najprzykrejsza strata po zagubieniu pracy o wolnomularstwie. Studja nad historią społeczną Rosji znalazły wyraz w artykule: „Rezultaty i perspektywy”, stanowiącym najbardziej wyczerpujące w owym czasie uzasadnienie teorii rewolucji ciągłej.

Po przeniesieniu nas do więzienia śledczego adwokaci otrzymali do nas dostęp. Pierwsza Duma wniosła ożywienie do ruchu politycznego. Gazety znowu śmieiej przemówiły. Odżyły marksowskie wydawnictwa. Można było powrócić do bojowej publicystyki. W więzieniu dużo pisałem, adwokaci w tekach wynosili moje rękopisy.

Do tego okresu odnosi się mój pamflet „Piotr Struwe w polityce”. Pracowałem nad nim z takim zapałem, że przechadzki więzienne wydawały mi się irytującą przeszkodą. Pamflet, wymierzony przeciw liberalizmowi, w rzeczywistości stanowi obronę Rady Petersburskiej, październikowego zbrojnego powstania w Moskwie i wogóle rewolucyjnej polityki przeciwko krytyce oportunistów. Bolszewicka prasa przyjęła pamflet więcej, niż przychylnie. Mieńszewicka – nabrała wody w usta. Pamflet w ciągu kilku tygodni rozszedł się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

Mój towarzysz więzienny, D. Swierczkow, w następujący sposób opisywał ten okres w książce: „O świecie rewolucji”: „L. D. Trocki jednym tchem pisał i oddawał częściami do druku książkę: „Rosja i Rewolucja”, w której po raz pierwszy (nieścisle! L. T.) wypowiedział wyraźnie pogląd, że rewolucja, rozpoczęta w Rosji, nie może skończyć się dopóty, póki nie będzie wprowadzony ustrój socjalistyczny. Jego teorii „rewolucji ciągłej” – jak ją nazywano – prawie nikt wówczas nie podzielał, jednakże Trocki mocno stał na swoim stanowisku i już wówczas dopatrywał się w sytuacji państw świata wszystkich oznak rozkładu burżuazyjno-kapitalistycznej gospodarki i stosunkowej bliskości rewolucji socjalistycznej...”

„Więzienna cela Trockiego, – pisze Swierczkow dalej, – przekształciła się

wkrótce w jakąś bibliotekę. Przynoszono mu absolutnie wszystkie, choć trochę zasługujące na uwagę, nowe książki, czytał je i całymi dniami, od rana do późnej nocy, zajęty był pracą literacką. – Czuję się świetnie, – mówił do nas. – Siedzę, pracuję i wiem na pewno, że w żaden sposób nie mogą mnie zaaresztować... Zgodzicie się, że w granicach carskiej Rosji jest to dość niezwykle wrażenie”...

Na odpoczynek czytywałem klasyków europejskiej literatury. Leżąc na więziennej pryczy, upijałem się nimi z takim uczuciem fizycznej rozkoszy, z jakimi smakosze sączą wino, lub palą wonne cygaro. To były najlepsze godziny. Ślady mojego obcowania z klasykami widoczne są w całej mej publicystyce tego okresu, w postaci cytat i epigramatów. Wówczas po raz pierwszy bliżej zapoznałem się w oryginale z magnatami (*grands seigneurs*) francuskiej powieści. Sztuka opowiadania jest przede wszystkim sztuką francuską. Chociaż język niemiecki znam bodaj nieco lepiej, niż francuski, zwłaszcza w dziedzinie terminologii naukowej, ale francuską beletrystykę czytam łatwiej, niż niemiecką. Umiłowanie francuskiej powieści nie opuściło mnie dotychczas. Nawet w wagonie, w okresie wojny domowej, znajdowałem czas na nowości literatury francuskiej.

Ostatecznie, nie mogę skarżyć się na moje więzienia. Były dla mnie dobrą szkołą. Szczelnie zakorkowaną separatkę twierdzy Pietropawłowskiej porzucałem z odcieniem smutku: było tam cicho, jednostajnie, tak spokojnie, tak idealnie dobrze dla pracy umysłowej. Śledcze zaś, przeciwnie, przepełnione było ludźmi i rozgwarem. Sporo było skazanych na śmierć: akty teroru i zbrojne ekspropriacje zalewały kraj szeroką falą. Régime w więzieniu ze względu na pierwszą Dumę był liberalny, cel we dnie nie zamykano, przechadzki były ogólne. Całymi godzinami z upojeniem graliśmy w „zbiżaka”. Skazani na śmierć skakali i podstawiali plecy wraz z innymi. Żona dwa razy w tygodniu przychodziła do mnie na widzenie. Dyżurni pomocnicy patrzyli przez palce na to, jak wymienialiśmy między sobą pisma i rękopisy. Jeden z nich, już starszy, szczególnie był nam przychylny. Na jego prośbę podarowałem mu moją książkę i fotografię z podpisem. – Mam córki kursistki, – szeptał z zachwytem i tajemniczo mrużył oko. Spotkałem go za czasów władzy sowieckiej i zrobiłem dla niego, co mogłem w tych latach głodu.

Parvus spacerował ze starym Deutschem po podwórzu. Często przyłączałem się do nich. Istnieje fotografja, na której jesteśmy we trzech w więziennej kuchni. Niestrudzony Deutsch planował gromadną ucieczkę, z łatwością zdobył dla tej sprawy Parvusa i natarczywie namawiał i mnie. Opierałem się temu, ponieważ pociągało mnie polityczne znaczenie oczekującego nas procesu. Jednakże do planu wciągnięto zbyt wiele ludzi. W bibliotecę więziennej, grającej rolę ośrodka operacyjnego, dozorca znalazł komplet instrumentów ślusarskich. Coprawda, administracja zatuszowała sprawę, podejrzewając, że instrumenty podrzucili żandarmi, aby wywołać zmianę więziennego régime'u. Swą czwartą ucieczkę Deutsch doprowadził do skutku jednak nie z więzienia, lecz z Syberji.

Po grudniowej klęsce na nowo ostro ujawnił się podział partji na frakcje. Rozpędzenie Dumy zaktualizowało wszystkie problemy rewolucji. Poświęciłem im taktyczną broszurę, którą Lenin opublikował w bolszewickim wydawnictwie. Mieńszewicy ruszyli już do odwrotu na całej linii. Stosunki frakcyjne w więzieniu nie zaostrzyły się jednak tak dalece, jak na wolności. To pozwoliło nam wydać wspólnie z mieńszewikami zbiorową pracę o Radzie

petersburskiej.

Proces sądowy Rady delegatów rozpoczął się 19 września w miodowych tygodniach stołypinowskich sądów wojenno-połowych. Podwórze gmachu sądowego i przyległe doń ulice zostały przekształcone na obóz wojskowy. Wszystkie siły policyjne Petersburga były zmobilizowane. Sam proces jednak prowadzono dosyć jawnie: reakcja chciała ostatecznie skompromitować Wittego, ujawniając jego „liberalizm”, jego słabość w stosunku do rewolucji. Wezwano około czterechset świadków, z których stawiło się i złożyło zeznania ponad dwustu. Robotnicy, fabrykanci, żandarmi, inżynierowie, służba, obywatele, dziennikarze, urzędnicy pocztowo-telegraficzni, policmajstrzy, gimnaziści, posłowie do Dumy, stróże, senatorowie, chuligani, deputowani, profesorowie, żołnierze defilowali w ciągu miesiąca przed sądem i pod krzyżowym ogniem z ław sądu, prokuratury, obrony i podsądnych, zwłaszcza podsądnych, kreska po kresce, punkt po punkcie odtworzyli epokę działalności Rady robotniczej. Podsądni zeznawali. Ja mówiłem o roli zbrojnego powstania w rewolucji. W ten sposób główny cel został osiągnięty. Kiedy Sąd odmówił nam wezwania na świadka senatora Łopuchina, który na jesieni 1905 r. otworzył w departamencie policji pogromową drukarnię, zerwaliśmy proces, zmusiwszy do odprowadzenia nas do więzienia. Po nas odeszli obrońcy, świadkowie i publiczność. Sędziowie zostali oko w oko z prokuratorem. W naszej nieobecności wydali wyrok. Stenograficzne sprawozdanie z tego wyjątkowego procesu, trwającego miesiąc, do dziś nie zostało wydane i zdaje się, że go nawet nie odszukano. O najistotniejszych rzeczach w procesie opowiedziałem w mojej książce „1905”.

I ojciec i matka obecni byli na procesie. Ich myśli i uczucia podlegały rozdzieleniu. Teraz nie można już było tłumaczyć mojego zachowania szaleństwem chłopięcem, jak za czasów mego mikołajowskiego okresu w ogrodzie u Szwigowskiego. Byłem redaktorem gazet, przewodniczącym Rady, miałem imię, jako literat. Imponowało to staruszkom. Matka nawiązywała rozmowę z obrońcami, pragnąc usłyszeć od nich jeszcze coś pochlebnego na mój temat. Podczas mojej przemowy, sens której nie mógł być dla niej całkiem zrozumiały, matka płakała cicho. Płakała mocniej, kiedy dwudziestu obrońców podeszło kolejno do mnie, ściskając mi ręce. Jeden z adwokatów zażądał przedtem przerwania posiedzenia, powołując się na ogólne wzruszenie. To był A. S. Zarudnyj. W rządzie Kierenskiego został ministrem sprawiedliwości i trzymał mnie w więzieniu pod zarzutem zdrady państwa. Ale to miało miejsce po upływie dziesięciu lat... W przerwie staruszkowie patrzyli na mnie promieniejącymi oczami. Matka była pewna, że mnie nie tylko uniewinnią, ale jeszcze w jakiś sposób odznaczą. Przekonywałem ją, że trzeba być przygotowanym na ciężkie roboty. Z przestachem i zdumieniem spoglądała to na mnie, to na obrońcę, starając się zrozumieć, jak to być może. Ojciec był błądy, milczący, szczęśliwy i przybity jednocześnie.

Pozbawiono nas wszelkich praw obywatelskich i skazano na zesłanie na osiedlenie. Był to stosunkowo łagodny wyrok. Oczekiwaliśmy ciężkich robót. Jednak zesłanie na osiedlenie to było coś innego, niż owo zesłanie administracyjne, na które skazano mnie pierwszym razem.

Zesłanie na osiedlenie było bezterminowe, wszelkie zaś usiłowania ucieczki karane były dodatkowo trzema latami ciężkich robót. Czterdzieści pięć batów, jako dodatek do ciężkich robót, zniesiono kilka lat temu.

„Oto już od kilku godzin jesteśmy w więzieniu etapowym – pisałem do

żony 3-go stycznia 1907 roku. – Przyznaję, że z nerwowym niepokojem rozstawałem się z moją celą w „śledczem”. Tak się przyzwyczailem do tej małej kajuty, która dawała mi najzupełniejszą możliwość pracy.

W etapowem, jakeśmy wiedzieli, mieli nas umieścić w ogólnej celi, a cóż może być bardziej męczącego? Potem zaś – tak znane mi błoto, zamęt i bezsensowny chaos etapów. Któż wie, ile czasu minie, zanim dojdziemy na miejsce? I kto przepowie, kiedy wrócimy zpowrotem? Czyżby nie lepiej było siedzieć, jak poprzednio, w Nr. 462, czytać pisać i – czekać...

Przewieziono nas tutaj niespodziewanie dziś, bez uprzedzenia. W poczekalni kazano nam przebrać się w aresztanckie ubrania. Wykonaliśmy tę procedurę z ciekawością sztabaków. Zabawnie wyglądaliśmy w szarych spodniach, szarych bluzach i szarych czapkach. Jednakże niema klasycznego asa karowego na plecach. Pozwolono nam zachować własną bieliznę i własne obuwie. Całą podnieconą kompanją wtargnęliśmy w naszych nowych strojach do celi...”

Zachowanie własnego obuwia miało dla mnie duże znaczenie: w podszewie ukryty był doskonały paszport, a w wysokich obcasach złote monety. Wszystkich nas wysyłano do wsi Obdorskoje, daleko poza krąg polarny. Wieś ta była odległa od kolei żelaznej o 1500 wiorst, zaś od najbliższego urzędu telegraficznego o 800. Poczta przychodziła raz na dwa tygodnie, podczas roztopów, na wiosnę i na jesieni, wogóle nie dochodziła w ciągu półtora do dwóch miesięcy. W drodze zachowywano wyjątkowe środki ostrożności. Petersburski konwój uważano za niepewny. Rzeczywiście, podoficer, stojący z gołą szablą w naszym aresztanckim wagonie na warcie, deklamował nam nowe rewolucyjne wiersze. W sąsiednim wagonie znajdował się pluton żandarmów, który na każdej stacji otaczał nasz wagon. Jednocześnie zaś władze więzienne odnosiły się do nas z uprzedzającą grzecznością. Wagi rewolucji i kontrrewolucji chwiały się jeszcze i niewiadomo było, na którą stronę się przechyła. Konwojujący oficer zaczął od tego, że pokazał nam zarządzenie swej władzy, dające mu prawo nienakładania nam na ręce kajdan, przewidzianych przez regulamin. 11-go stycznia pisałem z drogi do żony: „Oficer jest uprzedzająco grzeczny, a o dowództwie niema co mówić: prawie wszyscy czytali sprawozdanie z naszego procesu i odnoszą się do nas z jak największym współczuciem... Żołnierze do ostatniej chwili nie wiedzieli kogo i dokąd wiozą. Wnosząc z ostrożności, z jaką ich niespodzianie przywieziono z Moskwy do Petersburga, sądzili, że będą odwozić do Szlisselburga skazanych na śmierć. W poczekalni „etapowego” zauważyłem, że konwojujący są bardzo zdenerwowani i jakoś dziwnie usłużni, z odcieniem zażenowania. Dopiero w wagonie dowiedziałem się, z jakiej to pochodziło przyczyny. Jakżeż się ucieszyli, kiedy dowiedzieli się, że mają przed sobą „delegatów robotniczych”, skazanych tylko na osiedlenie. Żandarmi, będący konwojem dodatkowym, wcale nie pokazują się w naszym wagonie. Stanowią oni ochronę zewnętrzną: otaczają wagon na stacjach, stoją na warcie z zewnętrznej strony drzwi, przedewszystkiem zaś najwidoczniej pilnują konwojentów”. Listy nasze z drogi ukradkiem rzucali do skrzynek konwojenci.

Do Tiumenia jechaliśmy koleją żelazną. Z Tiumenia – końmi. Na 14 zesłańców dano pięćdziesięciu dwóch konwojujących żołnierzy, nie licząc kapitana, komisarza i strażnika ziemskiego. Zajmowaliśmy około 40 sań. Droga ciągnęła się z Tiumenia przez Tobolsk, wzdłuż Obi. „Ostatnio – pisałem do żony: – posuwamy się codziennie o 90-100 wiorst na północ, t. j. prawie o

stopień. Dzięki temu, stwierdzamy naocznie jaskrawe obniżanie się kultury – jeżeli to wogóle można nazwać kulturą. Codziennie schodzimy o jeszcze jeden stopień włąb państwa chłodu i dzikości”.

Przebywszy zarażone tyfusem okręgi, 12 lutego, na 33 dzień podróży, dojechaliśmy do Berezowa, dokąd niegdyś zesłany został zaufany cara Piotra, książę Mieńszikow. W Berezowie zatrzymaliśmy się na dwa dni. Do Obdorska pozostało do przebycia jeszcze 500 wiorst. Mieliśmy swobodę ruchów. Władze nie obawiały się, że stąd uciekniemy. Zpowrotem wiodła tylko jedna jedyna droga – brzegiem Obi, wzdłuż linii telegraficznej: każdy uciekinier zostałby schwytyany z łatwością. W Berezowie mieszkał na zesłaniu geometra Roszkowskij. Z nim właśnie rozważałem sprawę ucieczki. Powiedział mi, że można spróbować drogi wprost na zachód, wzdłuż rzeki Soświ, w stronę Uralu, przejechać na renach do kopalni, dotrzeć do wąskotorowej kolei żelaznej przy Bogostowskiej kopalni i dojechać do Kuszwy, gdzie łączy się ona z linią permską. Tam zaś – Perm, Wiatka, Wołogda, Petersburg, Helsingfors!... Jednak nie było dróg wzdłuż Soświ. Za Berezowem odrazu zaczyna się głąsz i dzicz. Na przestrzeni tysięcy wiorst niema policji, ani jednego rosyjskiego osiedla, tylko nieliczne ostiackie jurty, o telegrafii ani słychu, na całej drodze niema nawet koni, siłą pociągową są wyłącznie reny. Policja nie dogoni. Zato można zabłąkać się w pustyni, zginąć w śniegach. Był to luty, okres zamieci...

Doktor Veit, stary rewolucjonista, jeden z pośród naszej zesłańczej gromady, nauczył mnie symulowania ischiasu, abym mógł zostać na kilka jeszcze dni w Berezowie. Z powodzeniem wykonałem tę skromną część obmyślonego planu. Ischiasu, jak wiadomo, nie można stwierdzić przez badanie. Umieszczono mnie w szpitalu, w którym régime był całkowicie swobodny. Wychodziłem na całe godziny, kiedy robiło mi się „lepiej”. Lekarz zachęcał mnie do spacerów. Nikt, jak już mówiłem, nie obawiał się o tej porze roku ucieczki z Berezowa. Trzeba się było zdecydować. Wypowiedziałem się za zachodnim kierunkiem: wprost na Ural.

Roszkowskij zwrócił się o radę do miejscowego włościanina, przezwiskiem „Kozia Nóżka”. Ten mały, suchy, rozsądny człowieczek został organizatorem ucieczki. Działał całkowicie bezinteresownie. Kiedy wydała się jego rola, ucierpiał dotkliwie. Po rewolucji październikowej Kozia Nóżka nieprędko dowiedział się, że właśnie mnie pomógł do ucieczki przed dziesięciu laty. Dopiero w r. 1923 przyjechał do mnie do Rosji, przywitaliśmy się bardzo gorąco. Przyodziano go w galowy czerwono-gwardyjski mundur, oprowadzano po teatrach, obdarzono gramofonem i innymi prezentami. Wkrótce potem starzec zmarł na swej dalekiej północy.

Z Berezowa trzeba było jechać na renach. Rzecz sprowadzała się do znalezienia przewodnika, który zaryzykowałby o tej porze roku udanie się w niepewną drogę. Kozia Nóżka znalazł zyrianina, zręcznego i doświadczonego, jak większość zyrian. – A czy nie jest pijakiem? – Jakto, czy nie jest? Pierwszorzędny pijak. Zato swobodnie mówi po rosyjsku, po zyriańsku i dwoma ostiackimi narzeczami: górnem i nizinnem, prawie wcale niepodobnymi do siebie. Nie znajdziecie takiego drugiego woźnicy: to szelma. – I właśnie ów szelma zdradził później Kozią Nóżkę. Mnie jednakże wywiózł z powodzeniem.¹

¹ W książce mej „1905” ta część ucieczki opowiedziana jest w umyślnie zmienionej postaci. W owych czasach opowiadanie o wszystkim, jak było, równało się naprowadzaniu carskiej

Odjazd wyznaczony był na niedzielę o północy. Dnia tego władze miejscowe wystąpiły z amatorskim przedstawieniem. Pokazałem się w koszarach, służących za teatr i, spotkawszy tam naczelnika, powiedziałem mu, że czuję się znacznie lepiej i będę mógł w najbliższym czasie udać się do Obdorska. Było to bardzo przewrotne, ale konieczne.

Kiedy na dzwonnicy wybiła 12 godzina, skradając się, przemknąłem na podwórze Koziej Nózki. Sanie były gotowe. Położyłem się na dnie, podesaławszy sobie drugą szubę, Kozia Nózka pokrył mnie zimną, zmarzłą słomą, przewiązał ją na krzyż i ruszyliśmy. Słoma tajała i chłodne strumyki spływały mi po twarzy. Ujechawszy kilka wiorst, zatrzymaliśmy się. Kozia Nózka rozwiązał sznury. Wygramoliłem się z pod słomy. Mój woźnica gwizdnął. W odpowiedzi rozległy się głosy, niestety, nietrzeźwe. Zyrianin był pijany, a w dodatku, przyjechał z przyjaciółmi. To był zły początek. Jednakże nie było wyboru. Przesiadłem się na lekkie sanki wraz z moim niewielkim bagażem. Miałem na sobie dwie szuby, futrem nawewnątrz i futrem nazewnątrz, futrzane pończochy i futrzane buty, czapkę z podwójnego futra i także rękawice, słowem pełny zimowy ekwipunek ostiaka. W bagażu miałem kilka butelek spirytusu, t. j. najpewniejszą walutę w śnieżnej pustyni.

„Z czatowni strażackiej Berezowa – opowiada Swierczkow w swych pamiętnikach – widać było dokoła przynajmniej na wiorstę każdego, dążącego po białej płaszczyźnie śniegu w kierunku miasta i opuszczającego miasto. Słusznie przypuszczając, że policja będzie wypytywać dyżurującego strażaka, czy ktoś nie wyjechał tej nocy z miasta, Roszkowskij urządził tak, że jeden z mieszkańców powiózł tobolskim traktem zaszlachtowanego cielaka. Wyjazd ten, jak oczekiwano, został zauważony i policja, ujawniwszy po dwóch dniach ucieczkę Trockiego, przedewszystkiem rzuciła się w pogoń za wozem z cielęcina, skutkiem czego straciła jeszcze dwa dni bezużytecznie...” O tem jednak dowiedziałem się dopiero znacznie później.

Udaliśmy się drogą wzdłuż Sołwi. Przewodnik mój kupił reny, wybierając ze stada, liczącego kilkaset sztuk. Pijany woźnica z początku zasypiał często i reny zatrzymywały się. Obu nam groziła klęska. Ostatecznie całkiem przestał reagować na moje szturchańce.

Zdjąłem wówczas czapkę z jego głowy, włosy wkrótce przyprószył mu szron i zaczął trzeźwieć. Ruszyliśmy dalej. Była to naprawdę piękna podróż poprzez dziewiczą śnieżną pustynię, wśród choin i śladów, pozostawionych przez zwierzęta. Reny biegły rażno, wywiesiwszy na bok języki i szybko dysząc: czu-czu-czu-czu... Droga była wąska, zwierzęta stłoczyły się do kupy i dziw brał, że nie przeszkadzają sobie nawzajem w biegu. Zdziwiająca stworzenia – nie znają głodu, ani zmęczenia. Ostatni raz jadły na dobę przed naszym wyjazdem, a doba już upływa, jak jedziemy bez nakarmienia ich. Według relacji woźnicy, teraz dopiero się „rozruszały”. Biegają równo, wytrwale, robiąc co najmniej 8 do 10 wiorst na godzinę. Pokarm dla siebie reny zdobywały same. Przywiązywano każdemu do szyi polano i puszczano je na wolność. Wybierały miejsca, w których wyczuwały mech pod śniegiem, kopytami wykopywały głęboki dół, zanurzały się w nim niemal wraz z głową i pasły się. Do zwierząt tych żywiłem takie uczucie, jakiem lotnik powinien obdarzać swój motor, gdy znajduje się na wysokości kilkuset metrów ponad

policji na ślad mych współuczestników. Teraz jednak spodziewam się, że Stalin nie będzie ich prześladował, tem bardziej, że przestępstwo ich dawno już uległo przedawnieniu. Przytem w ostatnim etapie ucieczki, jak to się dalej okaże, pomagał mi również Lenin.

oceanem.

Główny z trzech renów, przodownik, okulał. Co za rozpacz! Trzeba go było koniecznie zastąpić innym. Szukaliśmy ostiackiego obozu, które tutaj rozrzucone są w odległości kilkudziesięciu wiorst jeden od drugiego. Przewodnik mój odnajdywał obóz według najbardziej nieuchwytnych oznak. Czuł zapach dymu już z odległości kilku wiorst. Na zamianę renów straciliśmy zgórą dobę. Zato o świcie byłem świadkiem cudownego obrazu: trzech ostiaków chwyciło na arkan upatrzone zgóry reny z cwałującego stada, składającego się z kilkuset sztuk, które psy pędziły na łowców. Jechaliśmy znowu przez las, bądź przez śniegiem pokryte bagna, to znów przez olbrzymie leśne ugory. Na ogniu topiliśmy śnieg i gotowaliśmy herbatę. Przewodnik mój wołał zresztą spirytus, ale uważałem pilnie, aby nie przekroczył normy.

Droga była niby wciąż ta sama, ale coraz inna. Poznać to można po renach. Teraz jedziemy przez otwartą przestrzeń: między gajem brzozowym a korytem rzeki. Droga zabójcza. Wiatr w oczach naszych zwiewa wąski ślad, który pozostawiają po sobie małe sanki. Trzeci ren potyka się co chwila. Tonie w śniegu aż po brzuch i nawet głębiej, robi kilka rozpaczliwych skoków, wydostaje się znów na drogę, przeszkadza środkowemu renowi i spycha na bok przodownika. Na jednym z następnych odcinków ogrzana słońcem droga staje się tak trudna, że u przednich sanek rwą się dwukrotnie rzemienie: na każdym postoju płozy przymarzają do ziemi i sanki ciężko ruszyć z miejsca. Już po pierwszych dwóch odcinkach widać, że reny się zmęczyły... Ale słońce schowało się, droga przymarzła i stawała się coraz lepsza. Miękka, ale nie grząska, – „najdzielniejsza droga”, jak powiada woźnica. Reny stapały tak lekko, że ledwie było je słyszeć i bez wysiłku ciągnęły sanki. Trzeba było wkońcu wyprząc trzeciego i przywiązać go ztyłu, bo z braku pracy, reny rzucały się w bok i mogły rozbić bagaż. Sanie sunęły równo i bez szmeru, jak łódź po lustrzanej powierzchni stawu. W gęstniejącym zmroku las wydawał się jeszcze ogromniejszy. Drogi nie widziałem zupełnie, ruchu sanek prawie nie odczuwałem. Zaczarowane drzewa szybko pędziły na nas, krzaki uciekały w bok, stare pnie, pokryte śniegiem, obok wysmukłych brzózek, przelatwały obok nas. Zdawało się, że wszystko jest pełne tajemnic. Cz-czu-czu-czu... – słyszeć było szybki i równomierny oddech renów w ciszy nocy leśnej.

Podróż trwała tydzień. Zrobiliśmy 700 kilometrów i zbliżaliśmy się do Uralu, Coraz częściej spotykaliśmy po drodze obozy. Podawałem się za inżyniera z ekspedycji polarnej barona Tolla. Niedaleko Uralu napotkaliśmy subjekta, który przedtem służył w tej ekspedycji i znał jej skład. Zasypał mnie gradem pytań. Na szczęście nie był trzeźwy. Aby wyplątać się z trudnej sytuacji, uciekłem się spieszenie do pomocy butelki rumu, którą zabrałem na wszelki wypadek. Wszystko skończyło się pomyślnie. Przez Ural prowadziła droga jezdna. Teraz już podawałem się za urzędnika i wraz z rewizorem akcyzowym, który objeżdżał swój rewir, dojechałem do kolejki wąskotorowej. Na stacji żandarm przyglądał się obojętnie, gdym wyzwał się z moich ostiackich futer.

Na podjazdowej drodze uralskiej nie czułem się bynajmniej zupełnie bezpieczny: na odnodze tej, na której każdy „obcy” zwraca na siebie uwagę, mogli mnie zaaresztować na pierwszej lepszej stacji na skutek telegraficznego zawiadomienia z Tobolska. Jechałem pełen niepokoju. Ale gdy po upływie doby znalazłem się w wygodnym wagonie permskiej kolei żelaznej, poczułem odrazu, że wygrałem sprawę. Pociąg mijał te same stacje, na których niedawno

witali nas tak uroczyście żandarmi, strażnicy i policjanci. Teraz jednak podążałem w innym kierunku i przepełniały mnie inne uczucia. W pierwszej chwili przestronny i pusty prawie wagon wydał mi się ciasny i duszny. Wyszedłem na platformę, gdzie dał wiatr i było ciemno, a z piersi mych wyrwał się mimowoli głośny okrzyk – radości i wolności!

Na jednej z najbliższych stacyj zadeszowałem do żony, aby przyjechała na stację, na której krzyżowały się pociągi. Nie oczekiwała tej depeszy, w każdym razie, nie oczekiwała jej tak prędko. Nic w tym dziwnego. Podróż nasza do Berezowa trwała zgórą miesiąc. Gazety petersburskie pełne były opisów naszego posuwania się na północ. Korespondencje wciąż jeszcze nadchodziły. Wszyscy przypuszczali, że znajduję się w drodze do Obdorska. Tymczasem całą drogę powrotną odbyłem w jedenaście dni. Rozumie się, że spotkanie ze mną pod Petersburgiem żona moja musiała uważać za rzecz zupełnie nieprawdopodobną. Tem lepiej: spotkanie jednak odbyło się.

Oto jak opowiada o tem N. I. Siedowa w swych wspomnieniach: „Gdy otrzymałam telegram w Terjokach, wsi fińskiej pod Petersburgiem, w której mieszkałam sama z małym synkiem, nie posiadałam się z radości i niepokoju. Tego samego dnia otrzymałam od L. D. obszerny list z drogi, który, prócz opisu podróży, zawierał jeszcze prośbę, abym, kiedy będę jechała do Obdorska, przywiozła mu książki i szereg niezbędnych na północy przedmiotów. Wyglądało to, jakgdyby rozmyślił się nagle i jakąś niedocieczoną drogą pędzi zpowrotem, a nawet wyznacza spotkanie na stacji, na której krzyżują się pociągi. Dziwnym trafem nazwę stacji opuszczono w depeszy. Nazajutrz rano, udaję się do Petersburga i przy pomocy rozkładu jazdy staram się wyrozumieć, do jakiej stacji powinnam wziąć bilet. Zasięgnąć informacji nie śmiem, wyruszam więc w drogę, nie dowiedziawszy się nazwy stacji. Kupuję bilet do Wiatki, wyjeżdżam wieczorem. Wagon pełen jest obywateli ziemskich, którzy wracają z Petersburga do majątków, wioząc ze sobą sprawunki, poczynione na ostatki w handlach delikatesów. Rozmawiają o blinach, kawiorze, bałyku, winach i t. p. Nie łatwo mi było znieść te rozmowy, gdyż byłam bardzo podniecona mającym nastąpić spotkaniem i dręczyły mnie myśli o możliwych komplikacjach. A jednak w głębi duszy pewna byłam, że spotkanie dojdzie do skutku. Ledwie doczekałam się ranka, kiedy pociąg, zdążający w przeciwnym kierunku, miał nadejść na stację Samino. Dopiero w drodze dowiedziałam się, jaka jest nazwa tej stacji i zapamiętałam ją na całe życie. Pociągi zatrzymały się – nasz i tamten. Wybiegłam na stację – niema nikogo. Wskoczyłam do tamtego pociągu, przebiegłam przez wszystkie wagony – niema. Nagle spostrzegłam w jednym z przedziałów futro L. D. – a więc jest, ale gdzie? Wskoczyłam z wagonu i natychmiast natrafiłam na L. D., który wybiegł na dworzec, aby mnie szukać. Oburzony był z powodu przekręcenia telegramu i chciał odrazu wnieść zażalenie. Z trudem udało mi się odwieść go od tego zamiaru. Kiedy wysłał do mnie depeszę, zdawał sobie, oczywiście, sprawę z tego, że zamiast mnie mogą go oczekiwać żandarmi, ale uważał, że ze mną będzie mu łatwiej dać sobie radę w Petersburgu i liczył na swą szczęśliwą gwiazdę. Wsiadliśmy do przedziału i dalszą drogę odbywaliśmy razem. Podziwiałam swobodę zachowania się L. D. i dezynwolturę, z jaką śmiał się i rozmawiał głośno w wagonie i na dworcu. Chciałam uczynić go niewidzialnym, schować gdzieś w bezpiecznym miejscu: przecież za ucieczkę groziła mu katorga. A on był widoczny dla wszystkich i utrzymywał, że to jest właśnie najpewniejsza obrona”.

Z dworca udaliśmy się wprost do szkoły artyleryjskiej, do naszych oddanych przyjaciół. Nigdy w życiu nie widziałem ludzi, ogarniętych takim osłupieniem, jak rodzina doktora Litkensa. Stałem, jak upiór w wielkim jadalnym pokoju, wszyscy zaś patrzyli na mnie, nie mogąc tchu złapać. Kiedyśmy się wycalowali, wszyscy zaczęli dziwić się i nie wierzyć po raz drugi swym własnym oczom. Przekonali się jednak wreszcie, że to jestem ja. Nawet teraz czuję, że były to szczęśliwe chwile. Ale niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze bynajmniej. Pierwszy o tem przypomniał nam doktor. Pod pewnemi względami niebezpieczeństwo zaczynało się dopiero. Z Berezowa rozesłano już oczywiście depeze o mojem zniknięciu. W Petersburgu zbyt wielu ludzi znało mnie z Rady delegatów. Postanowiliśmy z żoną przedostać się do Finlandji, w której zdobytą przez rewolucję wolność zdołano znacznie dłużej utrzymać, niż w Petersburgu. Najniebezpieczniejszym punktem był dworzec finlandzki. Tuż przed odejściem pociągu do wagonu naszego weszło kilku oficerów żandarmerji, rewidujących pociąg. Z oczu żony, która twarzą zwrócona była ku drzwiom wejściowym, wyczytałem, jakie niebezpieczeństwo nam grozi. Przeżyliśmy chwilę silnego naprężenia nerwów. Żandarmi spojrzeli na nas obojętnie i poszli dalej. Bo też nic lepszego uczynić nie mogli.

Zarówno Lenin, jak i Martow, znacznie wcześniej opuścili Petersburg i mieszkali w Finlandji. Zjednoczenie frakcyj, dokonane na zjeździe sztokholmskim w kwietniu 1906 roku, zaczęło się znowu kruszyć. Rewolucyjny odpływ trwał nadal. Mieńszewicy bili się w piersi, żałując szaleństw 1905 roku. Bolszewicy nie objawiali żadnej skruchy, byli tylko nastawieni na nową rewolucję. Odwiedziłem Lenina i Martowa, którzy mieszkali w sąsiednich wioskach. W pokoju Martowa panował, jak zwykle, szalony nieład. W kącie leżał olbrzymi stos gazet wysokości człowieka. W czasie rozmowy Martow od czasu do czasu zanurzał się w tym stosie, aby wydobyć potrzebny artykuł. Na stole leżały zasypane popiołem rękopisy. Nieprzetarte szkła binokli zwiisały z cienkiego nosa. W głowie Martowa roiło się, jak zwykle, moc myśli, wspaniałych, ale brakowało tej najważniejszej: nie wiedział, co należy przedsięwziąć. W pokoju Lenina panował, jak zwykle, wzorowy porządek, Lenin nie palił. Potrzebne gazety z zakreślonymi ustępami znajdowały się tuż pod ręką. Przedewszystkiem zaś na jego prozaicznej, ale niezwyklej twarzy malowała się niezłomna choć zaczajona, pewność siebie. Nie było jeszcze wiadomo, czy to ostateczny odpływ rewolucji, czy też tylko krótka przerwa przed nowym przypiływem. Ale zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku zachodziła konieczność walki ze sceptykami, teoretycznego skontrolowania doświadczeń 1905 roku, wychowania kadr dla nowej fali przypiływu lub dla następnej rewolucji. Lenin zaaprobował podczas rozmowy moje prace więzienne, ale zarzucał mi, że nie wyciągam z nich niezbędnych konsekwencyj organizacyjnych, to znaczy, że nie przechodzę na stronę bolszewików. Miał rację. Na pożegnanie podał mi adresy w Helsingforsie, które, jak się okazało później, miały dla mnie nielada znaczenie. Przyjaciele, wskazani przez Lenina, pomogli nam urządzić się wygodnie w Oglbü pod Helsingforsem, gdzie i Lenin również mieszkał po nas przez pewien czas. Komendant policji w Helsingforsie był aktywistą, t. zn. rewolucyjnie usposobionym nacjonalistą fińskim. Przyrzekł ostrzec mnie w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa ze strony Petersburga. W Oglbü spędziłem kilka tygodni wraz z żoną i małym synkiem, który urodził się, kiedym siedział w więzieniu. Tam, w samotności, opisałem podróż moją w

książce, zatytułowanej „Tam i zpowrotem” i za otrzymane honorarium wyjechałem zagranicę przez Sztokholm. Żona z synem została narazie w Rosji. Do granicy odprowadzała mnie młoda fińska aktywistka. W owym okresie byli to przyjaciele. W 1917 roku stali się faszystami i zawziętymi wrogami rewolucji październikowej.

Na okręcie skandynawskim wyjechałem na nową emigrację, która trwała dziesięć lat.

ROZDZIAŁ XVI

DRUGA EMIGRACJA I SOCJALIZM NIEMIECKI

Zjazd partyjny w 1907 roku obradował w londyńskim kościele socjalistycznym. Był to zjazd liczny, długotrwały, burzliwy i chaotyczny. W Petersburgu wegetowała jeszcze druga Duma. Rewolucja wygasła, ale zainteresowanie nią, nawet w angielskich kołach politycznych, było jeszcze bardzo wielkie. Co znakomitszych delegatów zjazdu wybitni liberali zapraszali do swych domów, aby pokazać gościom. Odpływ fali rewolucyjnej, który dopiero się rozpoczął, dawał się już jednak we znaki kasie partyjnej. Środków brakło nie tylko na drogę powrotną dla delegatów, ale nawet na dokończenie zjazdu. Gdy smutna ta wiadomość rozbrzmiała pod sklepieniami kościoła, mącąc dyskusję o zbrojnym powstaniu, delegaci spoglądali na siebie w trwożnym zdumieniu. Co począć? Nie zostaną przecież w londyńskim kościele? Ale wyjście znalazło się i to zgoła nieoczekiwane. Jeden z liberałów angielskich zgodził się pożyczyć rewolucji rosyjskiej, jeśli mnie pamięć nie myli, trzy tysiące funtów szterlingów. Zażądał jednak, żeby weksel rewolucji podpisali wszyscy delegaci na zjazd. Anglik otrzymał do rąk dokument, na którym widniało kilkaset podpisów, nakreślonych w językach wszystkich ludów Rosji. Długo trzeba było jednak czekać na zapłatę wekslu. W latach rewolucji i wojny partja nawet marzyć nie mogła o takich sumach. Dopiero rząd sowiecki wykupił weksel zjazdu londyńskiego. Zobowiązań swoich rewolucja dotrzymuje, choć zwykle z opóźnieniem.

W pierwszych dniach zjazdu zatrzymał mnie w przedsionku kościoła wysoki, kanciasty człowiek o okrągłej twarzy i wydatnych kościach policzkowych, w okrągłym kapeluszu na głowie: – Jestem waszym wielbicielem – rzekł, uśmiechając się zyczliwie. – Wielbicielem? – spytałem ze zdumieniem. Dowiedziałem się, że chodziło o moje polityczne pamflety, pisane w więzieniu. Okazało się, że rozmówcą moim jest Maksym Gorkij. Widziałem go po raz pierwszy. – Mam nadzieję, że nie muszę zapewniać, że jestem również waszym wielbicielem, – odpowiedziałem uprzejmością na uprzejmość. W tym okresie Gorkij zbliżył się do bolszewików. Towarzyszyła mu znana atrystka Andrejewa. Razem zwiedzaliśmy Londyn. – Pojmujecie, – mówił Gorkij, wskazując ze zdumieniem na Andrejewą: – władza wszystkimi językami. – Sam mówił tylko po rosyjsku, ale zato dobrze. Kiedy żebrak zamykał za nami drzwiczki cab'u, Gorkij mówił prosząco: – Trzebaby mu dać trochę tych pensów. – Na co Andrejewą odpowiadała: – Załatwione, Alioszeńka, już załatwione.

Na zjeździe londyńskim zbliżyłem się do Róży Luxemburg, którą znałem jeszcze z 1904 roku. Małego wzrostu, delikatna, nawet chorowita, o szlachetnym owalu twarzy i cudownych, tryskających mądrością oczach, zniewalała męstwem charakteru i myśli. Styl jej – zwarty, dokładny, bezlitosny – pozostanie na zawsze zwierciadłem jej bohaterskiego ducha. Była to natura wielostronna i bogata. Rewolucja i jej namiętności, człowiek i jego sztuka,

przyroda, ptaki i trawy potrafiły jednako rozśpiewać jej duszę, w której brzmiało wiele strun. „Muszę przecież mieć kogoś – pisała ona do Ludwika Kautsky’ej, – ktoby uwierzył mi, że wskutek nieporozumienia kręcę się w wirze historii świata, w rzeczywistości zaś stworzona jestem do pasania gęsi”. (173). Żadne bliższe, osobiste stosunki nie istniały między mną i Różą: widywaliśmy się zbyt mało i rzadko. Podziwiałem ją zdaleka. A mimo wszystko, może nie doceniałem jej w owym czasie... W kwestji tak zwanej ciągłej rewolucji Róża Luxemburg broniła tego samego zasadniczego stanowiska, co i ja. Z tego powodu między mną i Leninem wynikła żartobliwa sprzeczka. Delegaci otoczyli nas ciasnym kołem. – To wszystko dlatego, – mówił Lenin o Róży – że ona niedość dobrze mówi po rosyjsku. – Za to – odparłem – mówi dobrze po marksowsku – Delegaci śmieli się i my wraz z nimi.

Na posiedzeniu zjazdu miałem znowu zreferować moje poglądy na rolę proletariatu w burżuazyjnej rewolucji, a zwłaszcza na stosunek jego do włościanstwa. Lenin w swym końcowym przemówieniu powiedział, nawiązując do tego: – Trocki stoi na płaszczyźnie wspólności interesów proletariatu i włościanstwa we współczesnej rewolucji – dlatego – istnieje tu solidarność w zasadniczych punktach zagadnienia o stosunku do partji burżuazyjnych. – Jakież to podobne do legendy o tem, że w roku 1905 rzekomo „ignorowałem” włościanstwo! Należy tylko dodać jeszcze, że moją programową mową londyńską z 1907 roku, którą po dziś dzień uważam za zupełnie słuszną, niejednokrotnie przedrukowywano po rewolucji październikowej, jako wzór bolszewickiego stosunku do włościanstwa i burżuazji.

Z Londynu udałem się do Berlina na spotkanie żony, która miała przyjechać z Petersburga. W tym czasie Parvus uciekł już z Syberji. Przyczynił się on do opublikowania przez socjal-demokratyczne wydawnictwo Kadena w Dreźnie mojej książki pod tytułem „Tam i zpowrotem”. Do broszury, poświęconej mojej ucieczce, podjąłem się napisać przedmowę o samej rewolucji. Z przedmowy tej w przeciągu kilku miesięcy urosła książka „Russland in der Revolution”. We trójkę – żona moja, Parvus i ja – wybraliśmy się pieszo do Saskiej Szwajcarii. Był koniec lata, dni były piękne, ranki chłodnawe, piliśmy mleko i górskie powietrze. Próby zejścia po bezdrożu do dolin o mało nie przepłaciliśmy wraz z żoną życiem. Przeszliśmy na czeską stronę do miasteczka Hirschberg, letniska drobnych urzędników, i spędziliśmy w niem szereg tygodni. Kiedy pieniądze były już na wyczerpaniu – a zdarzało się to periodycznie – Parvus albo ja pisaliśmy spiesznie jakiś artykuł do prasy socjal-demokratycznej. W Hirschbergu napisałem dla bolszewickiego wydawnictwa w Petersburgu książkę o niemieckiej socjal-demokracji. W książce tej po raz drugi (pierwszy raz w 1905 roku) wypowiedziałem myśl, że olbrzymia machina niemieckiej socjal-demokracji może w chwili kryzysu społeczeństwa burżuazyjnego stać się główną ostoją ustroju konserwatywnego. Sam jednak w owym czasie nie przewidywałem, do jakiego stopnia to teoretyczne przypuszczenie sprawdzi się w rzeczywistości. Z Hirschbergu rozjechaliśmy się w różne strony. Ja – na kongres do Sztutgardu, żona – do Rosji po dziecko, Parvus – do Niemiec.

Na kongresie Międzynarodówki dawał się jeszcze odczuć powiew rewolucji rosyjskiej 1905 r. Równano się na lewo. Ale można już było dostrzec rozczarowanie do metod rewolucji. Rosyjskich rewolucjonistów traktowano

jeszcze z zainteresowaniem, jednakże już z pewną dozą ironji jednak znowu wróciliście do nas. Kiedy w lutym 1905 r. w drodze do Rosji przejeżdżałem przez Wiedeń, spytałem się Wiktora Adlera, co sądzi o udziale socjal-demokracji w przyszłym rządzie tymczasowym. Adler odpowiedział mi po swojemu: – Zbyt wiele macie jeszcze roboty z *obecnym* rządem, żeby łamać sobie głowę nad *przyszłym*. – W Sztutgardzie przypomniałem Adlerowi jego słowa: – Przyznaję, że byliście bliżsi rządu tymczasowego, niż przypuszczałem. – Adler wogóle był dla mnie bardzo przychylnie usposobiony: przecież powszechne prawo wyborcze w gruncie rzeczy zdobyła dla Austrii Petersburska Rada Delegatów Robotniczych.

Delegat angielski, Quelch, który w 1902 r. umożliwił mi wstęp do muzeum Brytyjskiego, w czasie kongresu w Sztutgardzie nazwał lekceważąco konferencję dyplomatyczną zebraniem zbójów. Nie mogło się to podobać księciu Bülowowi. Rząd wirtemberski pod presją Berlina wydalil Quelch'a. Bebel odrazu poczuł się nieswojo. Partja nie zdecydowała się na przedsięwzięcie czegokolwiek przeciwko wydaleniu. Nie odbyły się nawet protestacyjne demonstracje. Międzynarodowy kongres upodobił się do szkoły: niegrzecznego ucznia wyrzucono za drzwi, reszta klasy milczy. Poza imponującą liczebnością niemieckiej socjal-demokracji wyczuwało się cięć niemocy.

W październiku (1907 r.) byłem już w Wiedniu. Wkrótce przyjechała żona z dzieckiem. W oczekiwaniu nowej fali rewolucji zamieszkaliśmy za miastem w Hütteldorfie. Czekać musieliśmy długo. Z Wiednia uniosła nas po siedmiu latach fala nie rewolucyjna, ale zgoła inna, owa fala, która krwią nasyciła glebę Europy. Dlaczego wybraliśmy Wiedeń wtedy, gdy pozostała emigracja grupowała się w Szwajcarii i w Paryżu? W owym okresie najmocniej związany byłem z niemieckim życiem politycznym. Ale w Berlinie nie można było zamieszkać ze względów policyjnych. Wybór nasz padł więc na Wiedeń. Jednak w ciągu tych siedmiu lat dużo uważniej śledziłem bieg życia niemieckiego, niż austriackiego, które zbyttnio przypominało krążenie wiewiórki w kole.

Wiktora Adlera, poważanego przez wszystkich przywódcę partji, znałem od roku 1902. Obecnie nadszedł czas zapoznania się z jego najbliższem otoczeniem i z partją, jako całością.

Hilferdinga poznałem w lecie 1907 roku w domu Kautsky'ego. Hilferding znajdował się wówczas u zenitu swej rewolucyjności, co nie przeszkadzało mu nienawidzić Róży Luxemburg i gardzić Karolem Liebknechtem. Ale dla Rosji gotów był podówczas, jak wielu innych, powziąć najsłrajniejsze decyzje. Chwalił moje artykuły, które „Neue Zeit” zdążyły jeszcze przed moją ucieczką zagranicę przetłumaczyć z rosyjskich wydań. I, niespodziewanie dla mnie, zaproponował po kilku pierwszych słowach mówienie sobie „ty”. Na skutek tego wzajemny nasz stosunek nabrał pozorów zażyłości. Zażyłość ta nie miała jednak żadnej moralno-politycznej podstawy.

Hilferding w owym okresie traktował pogardliwie nieruchliwą i bierną socjal-demokrację niemiecką, przeciwstawiając jej austriacką aktywność. Krytyka ta nosiła jednak charakter poufny. Oficjalnie Hilferding był w dalszym ciągu literackim urzędnikiem w służbie partji niemieckiej i niczem więcej. Hilferding bywał u mnie, gdy przyjeżdżał do Wiednia, i wieczorami spotykałem się dzięki niemu w kawiarni z jego przyjaciółmi, austriackimi marksistami. Z kolei, w czasie wycieczek do Berlina, odwiedzałem tam

Hilferdinga. Razem z nim mieliśmy w pewnej kawiarni berlińskiej spotkanie z Macdonaldem. Tłumaczem był Edward Bernstein. Hilferding zadawał pytania, Macdonald odpowiadał. Nie pamiętam obecnie ani pytań, ani odpowiedzi, gdyż były poprostu banalne. Zapytywałem siebie w myślach, który z tych trzech ludzi odbiegł najdalej od tego, co zwykłem nazywać socjalizmem, i byłem w kłopotcie, co odpowiedzieć.

W czasie rokowań w Brześciu otrzymałem list od Hilferdinga. Nie spodziewałem się niczego ważnego, ale otworzyłem list z zaciekawieniem: po przewrocie październikowym był to pierwszy bezpośredni głos z socjalistycznego Zachodu. I cóż? W liście tym Hilferding prosił mnie o uwolnienie jakiegoś jeńca, należącego do pospolitego gatunku wiedeńskich „doktorów”. O *rewolucji list nie wspomnieli ani słowem*. Choć pisany był „per ty”. Osoba Hilferdinga dobrze mi była znana. Zdawało się, że nie mam co do niego żadnych złudzeń. A jednak nie wierzyłem własnym oczom. Do dziś dnia pamiętam, z jak żywym zaciekawieniem Lenin zapytał mnie: – Dostaliście podobno list od Hilferdinga? – Dostałem. – No i cóż? – Wstawia się za jeńcem rodakiem. – A co mówi o rewolucji? – O rewolucji nic. – Ni-ic? – Nic! – To niemożliwe! – Lenin patrzył na mnie szeroko rozwartymi oczyma. Miałem nad nim przewagę: zdążyłem już oswoić się z myślą, że dla Hilferdinga rewolucja październikowa i tragedia brzeska były tylko okazją do wstawiennictwa za rodakiem. Nie powtórzę czytelnikom tych dwóch czy trzech epitetów, w których wylało się zdumienie Lenina.

Dzięki Hilferdingowi zetknąłem się po raz pierwszy z jego wiedeńskimi przyjaciółmi: Ottonem Bauerem, Maksem Adlerem i Karolem Rennerem. Byli to ludzie bardzo wykształceni, którzy w rozmaitych dziedzinach umieli więcej ode mnie. Z najwyższą, można powiedzieć, pełną szacunku, uwagą słuchałem ich pogawędki w „Central-Café”. Ale wkrótce obok uwagi zaczęło się budzić we mnie zdumienie. Ludzie ci nie byli rewolucjonistami. Więcej nawet: byli przedstawicielami typu ludzkiego, wręcz przeciwnego typowi rewolucjonisty. Znajdowało to swój wyraz we wszystkim: w ich sposobie ujmowania kwestyj, w ich obserwacjach politycznych i psychologicznych ocenach, w ich zadowoleniu ze siebie – nie pewności siebie – ale właśnie zadowoleniu – zdawało mi się nawet, że wyczuwałem filisterstwo w brzmieniu ich głosów.

Uderzało mnie, że ci wykształceni marksiści nie potrafili zupełnie posługiwać się metodą Marksa, gdy chodziło o wielkie zagadnienia polityki, a zwłaszcza gdy polityka zbaczała na tory rewolucji. Najpierw przekonałem się o tem co do Rennera. Zasiedzieliśmy się w kawiarni. Tramwajów do Hütteldorfu, gdzie mieszkalem, już nie było i Renner zaproponował mi, żebym przenocowałem u niego. Ten wykształcony i utalentowany urzędnik habsburski daleki był wówczas od myśli, że nieszczęsny los Austro-Węgier, których był historycznym adwokatem, uczyni go za lat kilkanaście kanclerzem republiki austriackiej. Po drodze z kawiarni mówiliśmy o perspektywach rozwoju Rosji, w której w owej chwili ugruntowała się już kontr-rewolucja. Renner rozprawił o tych kwestjach z uprzejmością wykształconego cudzoziemca. Kolejny rząd austriacki barona Becka interesował go znacznie więcej. Istota jego poglądów na Rosję sprowadzała się do twierdzenia, że przymierze obywateli ziemskich i burżuazji, które po przewrocie państwowym 3 czerwca 1917 roku znalazło swój wyraz w konstytucji Stołypina, odpowiada w zupełności rozwojowi twórczych sił kraju i wobec tego ma wszelkie szansę, żeby się nadal utrzymać. Odparłem mu, że według mnie rządzący blok ziemian i burżuazji przygotowuje

grunt do drugiej rewolucji, która najpewniej odda władzę w ręce rosyjskiego proletariatu. Pamiętam przelotne, zdumione, pobłażliwe spojrzenie Rennera pod latarnią. Uważał zapewne mój prognostyk za brednie nieuka, w rodzaju apokaliptycznych przepowiedni pewnego Austriaka-mistyka, który na międzynarodowym kongresie socjalistycznym w Sztutgardzie przepowiedział przed kilku miesiącami dzień i godzinę wybuchu rewolucji wszechświatowej. – Tak sądzicie? – zapytał Renner. – Oczywiście, może ja niedość dobrze znam warunki, panujące w Rosji, – dodał z zabójczą uprzejmością. Nie mieliśmy, jak się okazało, wspólnego gruntu pod nogami, aby kontynuować rozmowę. Zrozumiałem, że człowiek ten jest równie daleki od dialektyki rewolucyjnej, jak najkonserwatywniejszy z egipskich faraonów.

Pierwsze moje wrażenia nabierały mocy z biegiem czasu. Ludzie ci umieli dużo i mogli – w ramach rutyny politycznej – pisać dobre artykuły w duchu Marksa. Ale byli mi zupełnie obcy. Upewniałem się o tym tem bardziej, im bardziej rozszerzał się krąg moich znajomości i obserwacji. W nieskrępowanych rozmowach między sobą, w sposób o wiele szerszy, niż w artykułach i przemówieniach, ujawniali szowinizm bez obłonek, chętność drobnego posiadacza, święty lęk przed policją, lub wreszcie nikczemność w stosunku do kobiet. I ze zdumieniem myślałem sobie: „Ładni rewolucyoniści!”

Nie mam tu na myśli robotników, u których, oczywiście, można było również dostrzec wiele cech mieszczańskich, ale prostszych i naiwniejszych. Nie, stykałem się wszak z kwiatem przedwojennego marksizmu austriackiego, z posłami, pisarzami i literatami. Podczas spotkań tych nauczyłem się rozumieć, jak różnorodne pierwiastki może zawierać w sobie psychika tego samego człowieka i jak odległa jest droga od biernego przyjęcia pewnych części systemu do psychologicznego wchłonięcia go jako całości, do przekształcenia siebie samego w duchu tego systemu. Psychologiczny typ marksisty powstać może tylko w epoce wstrząsów społecznych, rewolucyjnego przełamania tradycji i przyzwyczajzeń. Austriacki marksista zaś nazbyt często okazywał się filistrem, wyuczył się, jak ktoś inny prawa (jus), tych, lub innych części teorii Marksa i żyje teraz z procentów z jego „Kapitału”. W starym carskim, hierarchicznym, ruchliwym i próżnym Wiedniu marksisiści z akademickim wykształceniem tytułowali się nawzajem z rozkoszą „Herr Doktor”. Robotnicy nazywali ich częstokroć „Genosse Herr Doktor”. Przez całe siedem lat pobytu w Wiedniu nie mogłem z nikim z tych przywódców szczerze porozmawiać, chociaż byłem członkiem socjal-demokracji austriackiej, uczęszczałem na jej zebrania, brałem udział w demonstracjach, współpracowałem w jej wydawnictwach i wygłaszałem czasami niewielkie referaty po niemiecku. Owi liderzy socjal-demokracji byli mi obcy, a jednak bez trudu znajdowałem wspólny język z robotnikiem socjal-demokratycznym na zebraniu, lub podczas demonstracji pierwszomajowej.

Listy Marksa i Engelsa stały się dla mnie w tych warunkach najpotrzebniejszą i najbliższą lekturą, największym i najpewniejszym sprawdzianem nie tyle moich poglądów, ile całego sposobu ujmowania świata zewnętrznego. Wiedeńscy liderzy socjal-demokracji używali tych samych formuł, których i ja używałem. Ale wystarczyło pierwsze lepsze z tych twierdzeń obrócić o pięć stopni dokoła osi, aby okazało się, że te same pojęcie wypełniamy zupełnie inną treścią. Solidarność nasza była chwilowa, powierzchowna i pozorna. Listy Marksa i Engelsa były dla mnie rewelacją nie teoretyczną, lecz psychologiczną. Toutes proportions gardées, każda stronica

przekonywała mnie, że z tymi dwoma łączy mnie bezpośrednie psychologiczne pokrewieństwo. Ich stosunek do ludzi był mi również bliski. Odgadywałem to, czego oni nie domawiali, podzielałem ich sympatje, oburzałem się i nienawidziłem razem z nimi. Marks i Engels byli rewolucjonistami do szpiku kości. Ale jednocześnie wolni byli zupełnie od sekciarstwa lub ascezy. Obaj, a zwłaszcza Engels, mogli w każdej chwili powiedzieć o sobie, że nic ludzkiego nie jest im obce. Ale światopogląd rewolucyjny, który wżarł im się w nerwy, wywyższał ich zawsze ponad przypadki losu i ponad sprawy rąk ludzkich. Drobnostkowość nie kojarzyła się nie tylko z nimi, ale nawet z ich obecnością. Trywialność nie miała się nawet ich podeszew. Sądy ich, sympatje, żarty, nawet najpowszedniejsze, owiane były górskim powietrzem wzniosłości ducha. Mogą wydać zabójczy sąd o człowieku, ale nie będą o nim szerzyć plotek. Mogą być bezwzględni, ale nie splamią się przeniewierstwem. Dla zewnętrznego blichtru, tytułów, rang i urzędów mają tylko spokojną pogardę. To, co filistrzy i kabotyni uważali za ich arystokratyzm, było w istocie tylko ich rewolucyjną wyższością. Główna cecha tej wyniosłości – to całkowita i organiczna niezależność od oficjalnej opinii publicznej, zawsze i we wszelkich warunkach. Gdym czytał ich listy, wyczuwałem jeszcze wyraźniej, niż podczas lektury ich dzieł, że to samo, co wiąże mnie wewnątrz ze światem Marksa i Engelsa, przeciwstawia mnie w sposób nieprzejednany austro-marksistom.

Ludzie ci pysznili się swym realizmem i rzeczową działalnością. Ale i tu pływali tylko po powierzchni. W r. 1907 partja, chcąc zwiększyć swe dochody, postanowiła otworzyć własną mechaniczną piekarnię. Była to ordynarna awantura, niebezpieczna w swoim założeniu i beznadziejna w praktyce. Zwalczałem ten pomysł od pierwszej chwili, ale wiedeńscy marksieści odpowiadali mi tylko wyrozumiałym uśmiechem wyższości. Po bezmała dwudziestu latach różnych kłopotów, partja austriacka ze wstydem i stratą ustąpić musiała przedsięwzięciu osobom prywatnym. Broniąc się przed niezadowolaniem robotników, którzy ponieśli niepotrzebnie tyle ofiar, Otto Bauer, chcąc dowieść, że wyzbycie się piekarni jest rzeczą konieczną, dopiero wówczas powołał się, między innymi, na przestrogi, jakie czyniłem w chwili, gdy cała sprawa dopiero powstawała. Nie wytłumaczył jednak robotnikom, dlaczego nie dostrzegł tego, co ja widziałem i nie usłuchał moich przestroż, które nie były wcale owocem osobistej mojej przenikliwości. Wyciągałem wnioski nie z koniunktury rynku chlebowego i nie ze stanu kasy partyjnej, ale z położenia partji proletariackiej w społeczeństwie kapitalistycznym. Wydało się to doktrynerstwem, okazało się jednak najbardziej realistycznym kryterjum. Sprawdzenie się moich przewidywań wykazało tylko przewagę metody marksowskiej nad jej austriackim falsyfikatem.

Wiktor Adler pod każdym względem stał o całe niebo wyżej od swych współpracowników. Ale oddawna był już sceptykiem. W austriackim rozgardiaszu trwonił na drobnostki swój temperament bojownika. Trudno było dojrzeć perspektywy i Adler niekiedy demonstracyjnie odwracał się do nich plecami. „Rzemiosło proroka jest niewdzięcznym rzemiosłem, zwłaszcza w Austrii”. To stały refrain przemówień Adlera. – Jak wolicie – mówił w kularach kongresu w Sztutgardzie z powodu wspomnianego wyżej austriackiego proroctwa, – mnie osobiście więcej przypadają do gustu przepowiednie polityczne na podstawie apokalipsy, aniżeli proroctwa na podstawie materialistycznego pojmowania dziejów. – Był to, rozumie się, żart, ale nietylko żart. I to sprawiało, że byłem antytezą Adlera w najistotniejszej dla

mnie sprawie: bez rozległej prognozy historycznej nie mogę wyobrazić sobie nie tylko działalności politycznej, ale wogóle jakiegokolwiek życia wewnętrznego. Wiktor Adler stał się sceptykiem i, jako sceptyk, znosił wszystko i przystosowywał się do wszystkiego, zwłaszcza zaś – do nacjonalizmu, przeżerającego nawskroś austriacką socjal-demokrację.

Stosunki moje z przywódcami partji zepsuły się jeszcze bardziej, gdy wystąpiłem otwarcie przeciwko szowinizmowi austriacko-niemieckiej socjal-demokracji. Stało się to w r. 1909. Gdy spotykałem się z bałkańskimi, przeważnie serbskimi socjalistami, zwłaszcza zaś z Dymitrem Tucowiczem, który później poległ jako oficer podczas wojny bałkańskiej, nieraz słyszałem pełne oburzenia skargi na to, że cała serbska prasa burżuazyjna cytuje ze złośliwą radością szowinistyczne wycieczki „Arbeiter Zeitung” przeciwko Serbom, jako dowód, że solidarność międzynarodowa robotników, to tylko kłamliwa bajka. Napisałem do „Neue Zeit” bardzo ostrożny i umiarkowany artykuł przeciwko szowinizmowi „Arbeiter Zeitung”. Po długich wahaniach Kautsky artykuł mój wydrukował. Stary rosyjski emigrant S. L. Klaczko, z którym łączyły mnie bardzo przyjazne stosunki, zawiadomił mnie zaraz nazajutrz, że koła kierownicze partji są na mnie niesłychanie oburzone. „Co za śmiałość”... Otto Bauer i inni austriacy marksiści przyznawali w prywatnych rozmowach, że Leitner, redaktor działu zagranicznego, posuwa się zbyt daleko. Zgadzało się to ze zdaniem samego Adlera, który, tolerując krańcowości szowinistyczne, nie aprobował ich jednak. Ale, wobec zuchwałego wtrącenia się z zewnątrz, wszyscy kierownicy stali się jednomyślni. Otto Bauer podszedł w najbliższą sobotę do stolika w kawiarni, przy którym siedziałem wraz z Klaczko, i zaczął mi prawie kazanie. Wyznam, że wprost zmieszałem się pod wpływem potoku jego wymowy. Zdumiał mnie nie tyle mentorski ton Bauera, ile sam charakter jego wywodów – Jakie znaczenie mają artykuły Leitnera? – mówił z komiczną wyniosłością. – Polityka zewnętrzna nie istnieje dla Austro-Węgier. Żaden robotnik nie czyta tego. Nie ma to najmniejszego znaczenia... – Słuchałem z szeroko rozwartymi oczyma. Ludzie ci, jak się okazało, nie wierzyli nie tylko w możliwość rewolucji, ale i w możliwość wojny. Pisali wprawdzie w swych manifestach na dzień 1-go maja o wojnie i rewolucji, ale nie brali tego nigdy na serjo. Zupełnie nie dostrzegali, że nad owym mrowiskiem, w którym grzebali się z takim zaparciem się siebie, zawisł już olbrzymi but żołnierski. Po upływie sześciu lat przekonali się, że i dla Austro-Węgier istnieje polityka zewnętrzna. Sami zaś od chwili wybuchu wojny zaczęli przemawiać tym samym bezwstydnym językiem, którego nauczyli ich Leitner i podobni szowiniści.

W Berlinie panował inny duch, może nie o wiele lepszy, ale inny. Śmiesznego chińskiego ceremonjału wiedeńskich doktorów nie odczuwało się tam prawie. Stosunki były o wiele prostsze. Mniej tu było nacjonalizmu, a w każdym razie nie miał on okazji do tak częstego i krzykliwego uzewnętrzniania się, jak w złożonej z różnych narodowości Austrii. Uczucie narodowe przyćmiewała, jakgdyby do czasu, дума partyjna: najpotężniejsza socjal-demokracja, pierwsze skrzypce Międzynarodówki!

Dla nas, Rosjan, socjal-demokracja niemiecka była matką, nauczycielką, żywym wzorem. Idealizowaliśmy ją na odległość. Nazwiska Bebla i Kautsky’ego wymawiało się ze czcią. Mimo wyżej wspomnianych, pełnych trwogi, teoretycznych przeczuć moich w stosunku do socjal-demokracji w owym czasie znajdowałem się niewątpliwie pod jej urokiem. Sprzyjała temu w

znaczej mierze okoliczność, że mieszkałem w Wiedniu i, odwiedzając od czasu do czasu Berlin, porównywałem obydwie stolice socjal-demokracji i mówiłem sobie na pocieszenie: nie, Berlin to nie Wiedeń. W Berlinie parę razy byłem obecny na zebraniach lewicy, odbywających się co tydzień. Odbywały się one w piątki w restauracji „Rheingold”. Główną osobą na tych zebraniach był Franciszek Mehring. Bywał tu również Karol Liebknecht, który zawsze przychodził później i wychodził wcześniej od innych. Po raz pierwszy zaprowadził mnie tam Hilferding. Uważał się wówczas za lewicowca, chociaż już wtedy nienawidził Róży Luxemburg tą nienawiścią, którą zaszczerpał w Austrii Daszyński. Z dysput nie pozostało mi w pamięci nic szczególnego. Kurcząc policzek – cierpiał na tik nerwowy – Mehring zapytywał mnie ironicznie, które z jego „nieśmiertelnych dzieł” przetłumaczone zostały na język rosyjski. Hilferding w rozmowie zrobił wzmiankę o niemieckich lewicowcach, jako o rewolucjonistach. – Cóż z nas za rewolucjoniści? – przerwał mu Mehring. – Rewolucjoniści, to oni! – i wskazał na mnie głową. Za mało znałem Mehringa, zbyt często spotykałem się z ironicznym stosunkiem filistrów do rewolucjonistów rosyjskich, nie wiedziałem więc, czy Mehring żartuje, czy mówi poważnie. Ale mówił poważnie i dowiódł tego swem późniejszym życiem. Kautsky’ego ujrzałem po raz pierwszy w r. 1907. Zaprowadził mnie do niego Parvus. Z pewnym niepokojem wstępowałem po schodach czyściutkiego domku, w Friedenau pod Berlinem. Siwiutki, wesóły staruszek, o jasno-niebieskich oczach, przywitał mnie po rosyjsku: „Dzieńdobry”. W połączeniu z tem, co wiedziałem o Kautsky’u z jego książek, tworzyło to bardzo pociągający obraz. Zniewalał zwłaszcza brak bezładu wewnętrznego, co, jak zrozumiałem później, było rezultatem niezaprzeczości jego autorytetu w owym czasie i wynikającego stąd spokoju wewnętrznego. Przeciwnicy nazywali Kautsky’ego „papieżem” Międzynarodówki. Czasami tytułowali go tak również przyjaciele, ale z odcieniem serdeczności. Stara matka Kautsky’ego, autorka tendencyjnych powieści, które poświęcała „swemu synowi i nauczycielowi”, otrzymała w siedemdziesiątą rocznicę urodzin od socjalistów włoskich życzenia: „Alla mamma del papa”.

Za główną swą misję teoretyczną Kautsky uważał pogodzenie reformy z rewolucją. Sam jednak ukształtował się ideowo w epoce reformy. Zjawiskiem realnem dla niego była tylko reforma. Rewolucja zaś była dlań mglistą historyczną perspektywą. Przyjąwszy marksizm, jako gotowy system, Kautsky popularyzował go, jak nauczyciel szkolny... Do wielkich wydarzeń, jak się okazało, nie dorósł. Zmierzch jego zaczął się już od rewolucji 1905 roku. Osobista rozmowa z Kautsky’em dawała mało. Posiada on umysłowość kanciastą, oschłą, jałową, nie psychologiczną, sądy jego są schematyczne, żarty banalne. Z tych samych powodów Kautsky jest zupełnie słabym mówcą.

Przyjaźń z Różą Luxemburg zbiegła się z najlepszym okresem duchowej twórczości Kautsky’ego. Ale już wkrótce po rewolucji 1905 r. w ich stosunkach ukazały się pierwsze oznaki oziębienia. Kautsky sympatyzował bardzo z rewolucją rosyjską i niezłe ją komentował – zdaleka. Stosunek jego do wszelkich usiłowań przeniesienia metod rewolucyjnych na grunt niemiecki, był jednak organicznie wrogi. Przed uliczną demonstracją w parku Treptowskim zastałem u Kautsky’ego Różę, spierającą się z nim zajadle. Chociaż mówili do siebie jeszcze „per ty” i tonem bliskiej przyjaźni, w replikach Róży czuło się wyraźnie powściągane oburzenie, w replikach zaś

Kautsky'ego głębokie wewnętrzne zakłopotanie, maskowane niezręcznymi żartami. Na demonstrację poszliśmy razem: Róża, Kautsky, żona jego, Hilferding, nieboszczyk Gustaw Eckstein i ja. Po drodze również dochodziło do ostrych starć: Kautsky chciał być tylko widzem, Róża Luxemburg chciała uczestniczyć czynnie.

Stosunek do walki o pruskie prawo wyborcze przyczynił się w roku 1910-ym do ujawnienia otwartego antagonizmu między nimi. Kautsky rozwinął wtedy filozofję strategii wyczerpania wroga, strategię d'usure (Ermattungsstrategie), jako przeciwstawienie strategii zniszczenia wroga (Niederwerfungsstrategie). Chodziło o dwie tendencje nie do pogodzenia. Kierunek Kautskyego był kierunkiem coraz głębszego przystosowania się do istniejącego ustroju. „Wyczerpywało się” przytem nie społeczeństwo burżuazyjne, lecz rewolucyjny idealizm mas roboczych. Wszyscy filistrzy, wszyscy urzędnicy, wszyscy karierowicze stali po stronie Kautsky'ego, który tkął dla nich ideowe pokrowce, aby mieli czem przykryć swą przyrodzoną nagość.

Wybuchła wojna i polityczną strategję wyczerpania wyparła strategia okopów. Kautsky przystosował się do wojny tak samo, jak przedtem przystosowywał się do pokoju. Róża zaś pokazała, jak rozumie wierność swoim ideom...

Przypominam sobie, jak w mieszkaniu Kautsky'ego świętowano sześćdziesięciolecie urodzin Ledeboura. Między kilkunastoma gośćmi obecny był też August Bebel, który rozpoczął już wówczas ósmy krzyżyk. Był to okres, w którym partja znajdowała się u szczytu swego rozwoju. Jedność taktyki wydawała się zupełna. Starcy rejestrowali powodzenia i śmiało spoglądali w przyszłość. Solenizant Ledebour rysował przy kolacji zabawne karykatury. W tem właśnie ścisłem gronie poznałem się z Beblem i jego Julją. Obecni (Kautsky między innymi również) chwyтали w lot każde słowo starego Bebla. O mnie nie ma co mówić.

Bebel uosabiał powolne i wytrwałe wspinanie się nowej klasy wgóre. Zdawało się, że ten stary, szczupły człowiek utkany jest z cierpliwej, ale niezniszczalnej woli, dążącej do jednego celu. W swoim sposobie myślenia, w swoim krasomówstwie, w swoich artykułach i książkach Bebel nie uznawał wcale takiego wydatkowania energii duchowej, które nie służyły bezpośrednio do urzeczywistnienia jakiegoś praktycznego celu. Na tem polegało szczególne piękno jego politycznego patosu. Był uosobieniem klasy, która uczy się w ciągu kilku krótkich wolnych godzin, ceni każdą chwilę i chciwie wchłania to, co jest konieczne. Co za niezrównana postać! Bebel umarł w okresie konferencji pokojowej w Bukareszcie, między wojną bałkańską, a wojną światową. Dowiedziałem się o tem na dworcu w Ploesci, w Rumunji. Wiadomość ta wydała mi się nieprawdopodobna: „Bebel umarł. Cóż więc się stanie z socjal-demokracją?” Odrazu przyszły mi do głowy słowa Ledeboura o życiu wewnętrznem w partji niemieckiej: 20 proc. radykałów, 30 proc. oportunistów reszta idzie za Beblem.

Na następcę swego Bebel upatrzył Haasego. Starca pociągał niewątpliwie idealizm Haasego – nie szeroki rewolucyjny idealizm, którego Haase nie posiadał, ale ciaśniejszy, bardziej osobisty i życiowy, w rodzaju gotowości wyrzeczenia się w imię interesów partyjnych rozległej praktyki adwokackiej w Królewcu. O tem, nie tak znów nadzwyczajnie bohaterskiem, poświęceniu Bebel, ku wielkiemu zakłopotaniu rewolucjonistów rosyjskich, nadmieniał

nawet w swej mowie na zjeździe partyjnym, zdaje się, że w Jenie, gorąco polecając Haasego na stanowisko drugiego prezesa Centralnego Komitetu partji. Znałem Haasego dosyć dobrze. Po jednym z kongresów partyjnych podróżowaliśmy razem po Niemczech i zwiedzaliśmy Norymbergę. Miękki i uprzedzająco grzeczny w stosunkach osobistych Haase w polityce pozostawał do końca tem, do czego predestynowała go jego natura: uczciwą przeciętnością, prowincjonalnym demokratą, pozbawionym rewolucyjnego temperamentu i teoretycznych horyzontów. Twierdził z pewnem zażenowaniem, że w dziedzinie filozofji jest wyznawcą Kanta. W krytycznych sytuacjach nie był skory do powzięcia ostatecznych decyzji, uciekając się raczej do półśrodków i wyczekiwania. Nic dziwnego, że partja niezależnych obrała go później na swego wodza.

Innym zgoła typem był Karol Liebknecht. Znałem go przez długie lata, ale spotykałem się z nim rzadko. Berlińskie mieszkanie Liebknechta było główną kwaterą rosyjskich emigrantów. Kiedy trzeba było głośno zaprotestować przeciwko przysługom, wyświadczanym caratowi przez policję niemiecką, zwracaliśmy się przedewszystkiem do Liebknechta, który kołatał następnie do wszystkich drzwi i do wszystkich głów. Liebknecht, chociaż posiadał wykształcenie marksowskie, nie był jednak teoretykiem. Był to człowiek czynu o naturze impulsywnej, namiętnej i ofiarnej, obdarzony polityczną intuicją, wyczuciem nastrojów mas i sytuacji, i niezrównaną odwagą inicjatywy. Był to rewolucjonista. Dlatego właśnie był zawsze napół obcy w domu socjal-demokracji niemieckiej, z jej urzędniczym zrównoważeniem i wieczną gotowością do odwrotu. Iluż to filistrów i kabotynów mierzyło Liebknechta w mojej obecności zgóry ironicznem spojrzeniem!

Na zjeździe socjal-demokracji w Jenie, w początkach września 1911 roku, zaproponowano z inicjatywy Liebknechta, abym zabrał głos w sprawie gwałtów, jakie rząd carski popetniał na Finlandji. Zanim jednak zdążyłem wystąpić, nadszedł telegram, zawiadamiający o zabójstwie Stołypina w Kijowie. Bebel zaraz wziął mnie na indagację:

Co oznacza zamach? Jaka partja może zań ponieść odpowiedzialność? Czy wystąpieniem swoim nie zwrócę na siebie niepożądaney uwagi policji niemieckiej? – Obawiacie się, – spytałem starca ostrożnie, przypominając sobie historję z Quelch'em w Sztutgardzie, – że wystąpienie moje może pociągnąć za sobą pewne komplikacje? – Tak – odpowiedział Bebel – przyznaję, że wolałbym, abyście nie zabierali głosu. – W takim razie nie może być nawet mowy o mojem wystąpieniu. – Bebel odetchnął z ulgą. Po chwili podbiegł do mnie zaniepokojony Liebknecht. – Czy to prawda, że zaproponowano wam, żebyście nie przemawiali? I zgodziliście się? – Jakże mogłem się nie zgodzić? – odrzekłem, tłumacząc się. – Przecież Bebel, a nie ja, jest tu gospodarzem. – Oburzeniu swemu Liebknecht dał ujście w przemówieniu, w którym bezlitośnie atakował rząd carski, nie zwracając uwagi na znaki ostrzegawcze prezydum, które nie chciało stwarzać komplikacyj w rodzaju obrazy majestatu. W tych niewielkich epizodach tkwił już w załączku cały dalszy rozwój partji...

Kiedy czeskie organizacje zawodowe przeszły do opozycji przeciwko niemieckiemu kierownictwu, austro-marksieści wysunęli przeciwko rozłamowi

w związkach zawodowych argumentację, dosyć misternie podszywającą się pod międzynarodowość. Na kongresie międzynarodowym w Kopenhadze sprawę tę referował Plechanow.

Jak wszyscy Rosjanie, popierał on całkowicie i bez zastrzeżeń politykę niemiecką przeciwko czeskiej. Kandydaturę Plechanowa postawił stary Adler, który uznał, że lepiej będzie, gdy w tak drażliwej sprawie głównym oskarżycielem przeciwko słowiańskiemu szowinizmowi będzie Rosjanin. Mnie osobiście, rozumie się, nic nie łączyło z pożałowania godnym zasklepieniem narodowym takich ludzi, jak Nemeč, Soukup lub Smeral, który przekonywał mnie nieustannie o słuszności stanowiska Czechów. Ale jednocześnie zbyt dobrze znałem życie wewnętrzne austriackiego ruchu robotniczego, aby całą lub choćby główną część winy zwać na Czechów. Wiele przemawiało za tem, że w masie swej partja czeska była bardziej radykalna od partji austro-niemieckiej i że słuszne niezadowolenie robotników czeskich z oportunistycznego kierownictwa Wiednia wykorzystują zręcznie szowiniści czescy w rodzaju Nemeca.

Gdy jechałem z Wiednia na kongres kopenhaski, na jednej ze stacyj spotkałem niespodziewanie podczas przesiadania Lenina, który wracał z Paryża. Musieliśmy czekać około godziny i wywiązała się między nami dłuższa rozmowa, bardzo przyjazna na początku i niezbyt przyjazna na końcu. Dowodziłem, że winę za odłączenie się czeskich związków zawodowych ponosi przede wszystkim kierownictwo wiedeńskie, które ostentacyjnie nawołuje robotników wszystkich krajów, a w tej liczbie i Czechów, do walki, kończy zaś zawsze na zakulisowych transakcjach z monarchją. Lenin słuchał z ogromnym zaciekawieniem. Miał on właściwy sobie sposób uważania, gdy badawczo wyszukiwał w słowach rozmówcy tego, co mu było potrzebne, a patrzył jednocześnie obok niego, gdzieś daleko w przestrzeń. Rozmowa nasza jednak przybrała całkiem inny charakter, kiedy opowiedziałem Leninowi o moim ostatnim artykule w „Vorwärts”, poświęconym rosyjskiej socjaldemokracji. Artykuł napisany był w związku ze zbliżającym się kongresem i poddawał surowej krytyce zarówno mieńszewików, jak i bolszewików. Ostro zwłaszcza potraktowałem w artykule tym sprawę tak zwanych „ekspropriacyj”. Po rozbiciu rewolucji, zbrojne ekspropriacje i napady terrorystyczne stają się narzędziem dezorganizacji samej partji rewolucyjnej. Zjazd londyński głosami mieńszewików, Polaków i części bolszewików nakazał zaniechania ekspropriacyj. W odpowiedzi na wołanie z sali: – A Lenin? A Lenin? – Lenin uśmiechał się zagadkowo. Ekspropriacje po zjeździe londyńskim trwały nadal, szkodząc partji. Na tym punkcie skupiłem swe uderzenie w „Vorwärts”. – Czyżbyście mieli naprawdę tak napisać? – pytał Lenin z wyrzutem, kiedy na jego własne żądanie zacytowałem mu z pamięci główne myśli i ustępy artykułu. – Czy nie można go wstrzymać telegraficznie? – Nie, – odpowiedziałem – artykuł miał się ukazać dziś zrana i dlatego właściwie miałoby się go wstrzymać, wszak jest słuszny.

Artykuł w istocie nie był słuszny, liczył bowiem na to, że partja powstanie drogą połączenia się bolszewików z mieńszewikami, wyłączwszy najskrajniejszych, w rzeczywistości zaś partja utworzyła się drogą bezlitosnej walki bolszewików z mieńszewikami. Lenin usiłował osiągnąć w delegacji rosyjskiej potępienie mego artykułu. Było to nasze najostrzejsze starcie w życiu. Lenin w dodatku nie był zdrow, cierpiał na silny ból zębów, całą głowę miał obandażowaną. W delegacji wytworzył się wrogi stosunek do artykułu i

jego autora, gdyż mieńszewicy nie byli również z niego zadowoleni, gdyż w zasadzie skierowany był głównie przeciwko nim. „A jakże oburzający jest artykuł jego w „Neue Zeit” – pisał Axelrod do Martowa w październiku 1910 r. – może jeszcze bardziej oburzający, niż poprzedni w Vorwärts”. „Plechow, który zdecydowanie nie znosił Trockiego – opowiada Łunaczarskij – skorzystał z tej okoliczności i zaaranżował coś w rodzaju sądu nad nim. Wydawało mi się to niesprawiedliwe, dość energicznie wypowiedziałem się więc za Trockim i wogóle przyczyniłem się wraz z Riazanowem do zupełnego upadku planu Plechanowa”... Większość delegacji знаła artykuł tylko z opowiadania. Zażądałem odczytania go. Zinowjew dowodził, że znajomość artykułu jest zupełnie niepotrzebna, aby go potępić. Większość nie zgodziła się z nim. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, odczytał artykuł na głos i tłumaczył Riazanow. W poprzedniej, kularowej wersji, artykuł wydawał się wszystkim czemś tak okropnym, że odczytanie go wywołało wrażenie wręcz odwrotne: wydał się niewinny. Delegacja olbrzymią większością głosów uchyliła potępienie. Nie bacząc na to, sam dzisiaj potępiam ten artykuł, jako fałszywie oceniający frakcję bolszewików.

W sprawie czeskich związków zawodowych delegacja rosyjska głosowała na kongresie za rezolucją wiedeńską przeciwko praskiej. Zgłosiłem poprawkę, ale bezskutecznie. Ostatecznie sam nie uświadamiałem sobie jeszcze wyraźnie tej „poprawki”, jaką należało zrobić w całej polityce socjal-demokracji. Poprawka powinna była polegać na wypowiedzeniu jej świętej wojny. Ale na tę drogę weszliśmy dopiero w roku 1914.

ROZDZIAŁ XVII

PRZYGOTOWANIA DO NOWEJ REWOLUCJI

Praca moja w ciągu lat reakcji polegała w znacznej części na komentowaniu rewolucji 1905 r. i na teoretycznym torowaniu dróg drugiej rewolucji.

Wkrótce po przyjeździe zagranicę dokonałem objazdu rosyjskich kolonii emigracyjnych i studenckich, wygłaszając odczyty: „Los rewolucji rosyjskiej (w związku z obecną sytuacją polityczną)” i „Kapitalizm a socjalizm (perspektywy socjalno-rewolucyjne)”. Pierwszy odczyt dowodził, że pogląd na rewolucję rosyjską, jako na rewolucję ciągłą, opiera się na doświadczeniu 1905 r. Drugi wiązał rewolucję rosyjską z wszechświatową.

W październiku 1908 r. zaczęłem wydawać w Wiedniu rosyjską gazetę „Prawda”, przeznaczoną dla szerokich kół robotniczych. Do Rosji przemycano ją przez granicę galicyjską, albo przez Morze Czarne. Gazeta wychodziła przez trzy i pół roku, nie częściej, niż dwa razy na miesiąc, ale wydawanie jej wymagało wielkiej i drobiazgowej pracy. Konspiracyjna korespondencja z Rosją pochłaniała dużo czasu. Ponadto utrzymywałem bliskie stosunki z nielegalnym związkiem czarnomorskich marynarzy, którym pomagałem wydawać pismo.

Głównym moim współpracownikiem w „Prawdzie” był A. A. Joffe, późniejszy znany dyplomata sowiecki. Przyjaźń między nami zawiązała się w Wiedniu. Joffe był człowiekiem ideowym, o wielkiej dobroci w stosunkach osobistych i nieugiętym oddaniu się sprawie. Poświęcał „Prawdzie” swój majątek i siły. Joffe leczył się na nerwy przy pomocy psychoanalizy u znanego lekarza wiedeńskiego Alfreda Adlera, który zaczął praktykę, jako uczeń Freuda, ale przeszedł do opozycji względem mistrza i założył własną szkołę psychologii indywidualnej. Dzięki Joffemu zapoznałem się z problematami psychoanalizy, które wydały mi się nadzwyczaj ciekawe, chociaż w tej dziedzinie dużo jest jeszcze niejasności i niepewności, pozostawiających rozległe pole dla fantastyki i samowoli. Drugim współpracownikiem był student Skobielew, późniejszy minister pracy w rządzie Kierenskiego. W r. 1917 spotkaliśmy się z nim jako wrogowie. Sekretarzem „Prawdy” był przez czas pewien Wiktor Kopp, obecny poseł sowiecki w Szwecji.

Joffe wyjechał do Rosji na robotę w sprawie wiedeńskiej „Prawdy”. Aresztowano go w Odesie, siedział przez długi czas w więzieniu, wreszcie zesłano go na Syberję. Dopiero rewolucja lutowa 1917 r. przywróciła mu wolność. Joffe był jednym z najczynniejszych uczestników przewrotu październikowego. Męstwo osobiste tego ciężko chorego człowieka budziło doprawdy podziw. Jak żywą mam przed oczyma jego przyciężką postać na tle zrytego przez pociski pola pod Petersburgiem na jesieni 1919 r. W wytornym ubraniu dyplomaty, z łagodnym uśmiechem na spokojnej twarzy, z laseczką niby na Unter den Linden, Joffe z zacięciem spoglądał na bliskie wybuchy pocisków, nie przyspieszając, ani też nie zwalniając kroku. Był dobrym, wnikliwym mówcą, chwytającym swą wymową za serce. Te same

zalety cechowały go, jako pisarza. W każdej pracy Joffe zawsze zwracał uwagę również na szczegóły, czego brak tak się daje we znaki u wielu rewolucjonistów. Lenin bardzo cenił pracę dyplomatyczną Joffego. Przez długi szereg lat byłem związany z tym człowiekiem ściślej, niż ktokolwiek inny. Jego oddanie w przyjaźni, zarówno jak wierność ideom, były niezrównane. Życie swe Joffe zakończył tragicznie. Ciężkie choroby dziedziczne niszczyły z wolna jego organizm. Niszczyła go również rozwydrzona naganka na marksistów, uprawiana przez epigonów. Pozbawiony możliwości prowadzenia walki z chorobą, a tem samem i walki politycznej, Joffe popełnił samobójstwo na jesieni 1927 r. Przedśmiertny list jego, napisany do mnie, wykradli z jego szafki nocnej agenci Stalina. Słowa, przeznaczone dla bliskiego przyjaciela, zostały wyrwane z tekstu, zniekształcone, przekreścone przez Jarosławskiego i innych zdemoralizowanych do głębi osobników. Nie zdołała to stanąć na przeszkodzie temu, że imię Joffego widnieć będzie po wieczne czasy na stronicach księgi rewolucji, jako jedno z najlepszych jej imion.

W najbardziej ponurym i beznadziejnym okresie reakcji, spokojnie czekaliśmy wraz z Joftem na wybuch drugiej rewolucji i właśnie w takiej formie, w jakiej wybuchła ona w r. 1917. Swierczkow, który wówczas był mieńszewikiem, obecnie zaś jest zwolennikiem Stalina, pisze w swoich wspomnieniach o wiedeńskiej „Prawdzie”: „W gazecie tej (Trocki) nadal wytrwale i uparcie głosił ideę „ciągłości” rewolucji rosyjskiej, to znaczy dowodził, że skoro się ona raz rozpoczęła, nie może się skończyć, zanim nie doprowadzi do upadku kapitalizmu i do zaprowadzenia ustroju socjalistycznego na całym świecie. Zarówno bolszewicy, jak i mieńszewicy wysmiewali go, oskarżali o romantyzm i o siedem grzechów głównych, ale Trocki uparcie i niewzruszenie rozwijał swój pogląd, nie zwracając uwagi na napaści”.

W r. 1909 w artykule, zamieszczonym w polskim piśmie Róży Luxemburg, w następujący sposób scharakteryzowałem wzajemny stosunek rewolucyjny proletariatu i włościactwa: „Kretynizm lokalny jest historycznym przekleństwem ruchów chłopskich. Pierwsza fala rewolucji rosyjskiej (r. 1905) rozbiła się o niedorozwój polityczny chłopu, który u siebie na wsi niszczył pana, aby zawładnąć jego ziemią, gdy zaś wciągał na siebie kurtkę żołnierską – rozstrzeliwał robotników. Wszystkie wydarzenia rewolucji 1905 roku można rozpatrywać, jako szereg bezlitosnych lekcji pogładowych, przy pomocy których historia wbija chłopu do głowy świadomość łączności, jaka istnieje między jego lokalnymi potrzebami, a głównym zagadnieniem władzy państwowej”.

Powołując się na przykład Finlandji, gdzie socjal-demokracja na gruncie sprawy chłopów małorolnych uzyskała olbrzymie wpływy na wsi, konkludowałem: „Jakiż więc wpływ na chłopstwo zdobędzie nasza partja podczas kierowania nowym, o wiele szerszym ruchem mas miast i wsi i wskutek tego kierowania! Oczywiście, wtedy tylko, jeżeli my sami nie złożymy broni, uląkłszy się pokus władzy politycznej, na której spotkanie uniesie nas bezwątpienia nowa fala Czyż to wszystko podobne jest do „ignorowania włościactwa”, lub świadomego pomijania „sprawy rolnej”?!

Dnia 4 października 1909 r., kiedy rewolucję, jak się zdawało, zgnieciono już na zawsze i bezpowrotnie, pisałem w „Prawdzie”: „Już dziś. poprzez czarne chmury reakcji, które nas otoczyły, dostrzegamy zwycięski błysk nowego Października”. Nie tylko liberali, ale i mieńszewicy szydzili

podówczas z tych słów, które wydawały się im zwykłym okrzykiem agitacyjnym, frazesem bez treści. Profesor Milukow, do którego należy honor wynalezienia terminu „trockizm”, zareplikował na moje słowa: „Idea dyktatury proletariatu – przecież to dzieciństwo. Niema takiego człowieka w Europie, któryby ją na serjo popierał”. Mimo to w r. 1917 zaszły wypadki, które niewątpliwie mocno zachwiały ową wspianą pewność siebie liberalnego profesora.

W ciągu lat reakcji pracowałem nad zagadnieniami konjunktur handlowo-przemysłowych w skali zarówno światowej, jak i narodowej. Kierowały mną potrzeby rewolucji: chciałem wyjaśnić współzależność, istniejącą między wahaniami handlowo-przemysłowymi z jednej strony, oraz między okresami ruchu robotniczego i walki rewolucyjnej – z drugiej strony. Jak i w innych kwestjach tego rodzaju, tak też i w tej sprawie wystrzegałem się przede wszystkim ustalania automatycznej zależności między zjawiskami politycznymi i gospodarczymi. Wzajemne wpływy należało wydedukować z samego procesu, potraktowanego jako pewien całościowy kształt.

Znajdowałem się jeszcze w Czeskim miasteczku Hirschberg, kiedy w giełdę nowojorską uderzył *czarny piątek*. Był on zwiastunem kryzysu światowego, który w sposób nieunikniony ogarnąć musiał także i Rosję, osłabioną przez wojnę japońską, a następnie przez rewolucję. Jakie skutki pociągnie za sobą ten kryzys? W partji, w obydwu jej frakcjach, panował jednaki pogląd, że kryzys pociągnie za sobą zaostrzenie się walki rewolucyjnej. Zająłem inne stanowisko. Po okresie wielkich walk i wielkich porażek, kryzys nie wywiera na masę robotniczą wpływu podniecającego, lecz przeciwnie, działa przygnębiająco, pozbawia ją wiary we własne siły i powoduje jej polityczny rozkład. Tylko nowe ożywienie przemysłowe może w takich warunkach zespolic proletariatu, ożywić go, przywrócić mu wiarę w siebie, uczynić go zdolnym do dalszej walki. Rysowane przeze mnie perspektywy wywołały krytykę i niedowierzanie. Oficjalni ekonomiści partyjni rozwijali ponadto pogląd, że pod panowaniem kontrrewolucji ożywienie się przemysłu jest wogóle niemożliwe. Przeciwwstawiając się temu pogładowi, wychodziłem z założenia, że ożywienie ekonomiczne jest nieuniknione, że musi ono wywołać nową falę ruchu strejkowego, poczem nowy kryzys ekonomiczny może stać się bodźcem do walki rewolucyjnej. Prognoza ta sprawdziła się całkowicie. Ożywienie przemysłowe nastąpiło w r. 1910 bez względu na kontrrewolucję. Wraz z niem rozpoczęła się walka strejkowa. Rozstrzelanie robotników w kopalniach złota nad Leną w r. 1912 rozległo się potężnym echem po całym kraju. W r. 1914, kiedy kryzys był niewątpliwym, Petersburg stał się znów areną walki robotników na barykadach. Świadkiem ich był Poincaré, który odwiedził cara w przeddzień wojny.

To teoretyczne i polityczne doświadczenie miało dla mnie później olbrzymie znaczenie. Na trzecim kongresie Międzynarodówki komunistycznej, kiedy dowodziłem, że dalsze kryzysy rewolucyjne mogą nastąpić jako skutek niechybnego ekonomicznego ożywienia w powojennej Europie, olbrzymia większość delegatów wypowiedziała się przeciwko mnie. W ostatnich czasach musiałem czynić znowu zarzut VI-mu kongresowi Międzynarodówki komunistycznej, że nie zrozumiałwszy zupełnie przełomu w stosunkach ekonomicznych i politycznych Chin, daremnie oczekiwał po okrutnych porażkach rewolucji, dalszego jej rozwoju, jako wyniku zaostrzenia się panującego w kraju kryzysu ekonomicznego.

Dialektyka procesu sama przez się nie jest zbyt skomplikowana, ale łatwiej sformułować ją w ogólnych zarysach, niż odkrywać za każdym razem na nowo w żywych faktach. Ja przynajmniej napotykałem dotychczas w tej sprawie najbardziej zakorzenione przesady, które w polityce są przyczyną wielkich błędów i ciężkich doświadczeń.

W swym sądzie o dalszych losach mieniszewizmu i o zadaniach organizacyjnych partii, „Prawda” była bardzo daleka od wyrazistości właściwej Leninowi. Miałem wciąż jeszcze nadzieję, że nowa rewolucja, jak w r. 1905, zmusi mieniszewików do wkroczenia na drogę rewolucyjną. Nie potrafiłem ocenić wagi przedwstępnego doboru ideowego, oraz uodpornienia politycznego. Jeżeli chodzi o stosunek do zagadnień wewnętrznego rozwoju partii, grzeszyłem pewnym swoistym rodzajem socjal-rewolucyjnego fatalizmu. Było to z gruntu fałszywe stanowisko, ale poziom jego był o całe niebo wyższy od tego wyzutego z ideowości *biurokratycznego* fatalizmu, który jest cechą charakterystyczną większości moich dzisiejszych krytyków z obozu Międzynarodówki komunistycznej.

W r. 1912, kiedy niewątpliwie już ujawniło się nowe ożywienie polityczne, usiłowałem zwołać przedstawicieli wszystkich frakcyj socjal-demokracji na konferencję połączeniową. Na przykładzie Róży Luxemburg widzimy, że i inne osoby również liczyły na zjednoczenie rosyjskiej socjal-demokracji. W lecie 1911 roku Róża Luxemburg pisała: „Mimo wszystko, jedność partii może być jeszcze ocalona, jeżeli obie strony zostaną *zmuszone* do zwołania wspólnej konferencji” (str. 160). W sierpniu 1911 roku powtarza: „Jedyna droga do ocalenia jedności, to zwołanie wspólnej konferencji z ludźmi, przysłanych z Rosji, gdyż w Rosji wszyscy pragną zgody i zjednoczenia i ludzie z kraju stanowią jedyną siłę, która może doprowadzić do opamiętania kogutów zagranicznych” (str. 163).

Wśród samych bolszewików tendencje pojednawcze były w owym okresie bardzo silnie, nie traciłem więc nadziei, że skłoni to również i Lenina do wzięcia udziału we wspólnej konferencji. Lenin jednak całą swą mocą oparł się zjednoczeniu. Dalszy bieg wypadków dowiódł, że Lenin miał rację. Konferencja zebrała się w Wiedniu w lipcu 1912 roku bez bolszewików, ja zaś znalazłem się formalnie w „bloku” z mieniszewikami i poszczególnymi grupami bolszewików-dysydentów. Blok ten nie posiadał podstaw politycznych: we wszystkich sprawach zasadniczych nie zgadzałem się z mieniszewikami. Walka z nimi rozpoczęła się na nowo nazajutrz po konferencji. Codziennie urastały coraz to nowe konflikty, wynikające z głębokiej różnicy, która zachodziła między dwoma kierunkami: socjalno-rewolucyjnym i demokratyczno-reformistycznym.

„List Trockiego – pisze Axelrod 4 maja, na krótko przed konferencją, – wywarł na mnie bardzo przykre wrażenie: w gruncie rzeczy nie pragnie on wcale rzeczywistego poważnego zbliżenia się do nas i do naszych przyjaciół w Rosji „dla wspólnej walki z wrogiem”. Zamiaru takiego – połączenia się z mieniszewikami, aby zwalczać bolszewików, – rzeczywiście nie miałem i mieć nie mogłem. Po konferencji Martow skarży się w liście do Axelroda na to, że Trocki wskrzesza „najgorsze obyczaje leninowsko-plechanowskiego literackiego indywidualizmu”. Ogłoszone przed kilku laty listy Axelroda i Martowa dają świadectwo uczucia szczerzej nienawiści, jaką do mnie pałali. Mimo przepaści, jaka nas dzieliła, nigdy nie żywiłem do nich takiego uczucia. Dotychczas wspominam z wdzięcznością, że zawdzięczałem im dużo zamłodu.

Epizod bloku sierpniowego zarejestrowany został we wszystkich „antytrockistowskich” podręcznikach z epoki epigonów. Dla nowicjuszy i nieuków przeszłość została przytem w taki sposób spreparowana, aby mogło wydawać się, że bolszewizm od razu wyszedł z laboratorium historii w pełnym rynsztunku bojowym. A w istocie, historia walki bolszewików z mieńszewikami jest zarazem historią nieustannych prób zjednoczenia.

Po powrocie do Rosji w 1917 roku Lenin czyni ostatnią próbę porozumienia z mieńszewikami-internacjonalistami. Kiedy w maju przyjechałem z Ameryki, większość organizacji socjal-demokratycznych na prowincji składała się ze zjednoczonych bolszewików i mieńszewików. Na naradzie partyjnej w marcu 1917 roku na kilka dni przed przyjazdem Lenina, Stalin głosił zjednoczenie z partją Ceretelego. Już po rewolucji październikowej Zinowjew, Kamieniew, Rykow, Łunaczarskij i dziesiątki innych zaciekle kruszyły kopje w obronie koalicji z eserowcami i mieńszewikami. I oto ci ludzie usiłują dziś podtrzymać swą egzystencję ideową przy pomocy strasznych opowieści o wiedeńskiej konferencji zjednoczeniowej z 1912 roku!

„Kijewska Myśl” zaproponowała mi, abym udał się na Bałkany jako korespondent wojenny. Propozycja ta była tem bardziej na czasie, że nie ulegało już wtedy wątpliwości, iż konferencja sierpniowa jest poronioną imprezą. Odczuwałem potrzebę oderwania się, choćby na krótki przeciąg czasu, od spraw rosyjskiej emigracji. Parę miesięcy, które spędziłem na półwyspie bałkańskim, były miesiącami wojny. Nauczyły mnie one wielu rzeczy.

We wrześniu 1912 roku jechałem na południo-wschód, uważając zgóry, że wojna jest nie tylko prawdopodobna, ale wręcz nieunikniona. Ale kiedy znalazłem się na bruku belgradzkim i ujrzałem długie szeregi rezerwistów, kiedy przekonałem się na własne oczy, że niema już odwrotu, że wojna wybuchnie i to lada dzień, kiedy dowiedziałem się, że kilku dobrych moich znajomych stoi już pod bronią, na granicy, i że oni pierwsi będą musieli zabijać i umierać – natenczas wojna, którą dotąd tak lekko traktowałem w myślach i artykułach, wydała mi się czemś nieprawdopodobnym i niemożliwym. Jak na widmo patrzałem na 18 pułk piechoty, idący na wojnę w mundurach koloru ochronnego, w opankach (łapciach), z zielonemi gałązkami na czapkach. Łapcie na nogach i gałązki na czapkach – przy pełnem uzbrojeniu bojowem – nadawały żołnierzom wygląd ofiar, prowadzonych na stracenie. I nic w owej chwili nie paliło tak nieznośnie świadomości poczuciem niedorzeczności wojny, jak właśnie ta gałązka i te chłopskie łapcie. Jak odległe jest pokolenie dzisiejsze od przyzwyczajień i nastrojów 1912 roku. Już wtedy zdawałem sobie dokładnie sprawę, że humanitarnie-moralistyczny pogląd na proces historyczny, jest poglądem najbardziej jałowym. Ale wówczas nie chodziło o analizę, lecz o przeżycia. Do duszy wdzierало się bezpośrednio, niewymowne poczucie tragizmu historycznego: niemoc wobec przeznaczenia, dojmujący ból nad losem szarańczy ludzkiej.

W kilka dni później wypowiedziano wojnę. „Wy w Rosji wiecie o tem i wierzycie w to, – pisałem – ja zaś, znajdując się tu, na miejscu, nie wierzę”. To skojarzenie rzeczy życiowo-codziennych, powszednio-ludzkich: kur, papierosów, bosych zasmarkanych chłopców – z nieprawdopodobnie tragicznym faktem wojny nie mieści się w mojej głowie. Wiem, że wojna została wypowiedziana, że się już zaczęła, ale nie potrafię jeszcze wierzyć w jej istnienie”. Musiałem jednak uwierzyć mocno i na długo.

Rok 1912-13 przyniósł mi bliską znajomość z Serbią, Bułgarią, Rumunią i – z wojną. Było to pod wieloma względami poważne przygotowanie nie tylko do roku 1914, ale i do 1917. W artykułach moich rozpocząłem walkę przeciwko kłamstwu panslawizmu, przeciwko szowinizmowi wogóle, przeciwko złudzeniom wojny, przeciwko naukowo zorganizowanemu systemowi tumanienia opinii publicznej. Redakcja „Kijewskiej Myśli” zdobyła się na decyzję wydrukowania mego artykułu, opisującego bestjałskie znęcanie się Bułgarów nad rannymi i wziętymi do niewoli Turkami i dezawuującego spisek milczenia prasy rosyjskiej. Rozpętało to burzę oburzenia ze strony gazet liberalnych. 30 stycznia 1913 roku wniosłem do Milukowa „interpelację pozaparlamentarną” w sprawie „słowiańskich” bestjałstw, dokonywanych nad Turkami. Przyciśnięty do muru Milukow, przysięgły obrońca oficjalnej Bułgarii, odpowiedział bezradnym bełkotem. Polemice, która trwała kilka tygodni, towarzyszyły nieodłączne aluzje gazet rządowych, że pod pseudonimem Antid Oto, ukrywa się nie tylko emigrant, ale i agent Austro-Węgier.

Miesiąc spędzony w Rumunii zbliżył mnie do Dobrudżanu-Gherea i umocnił na zawsze przyjaźń moją z Rakowskim, którego znałem od roku 1903.

Rewolucjonista rosyjski z siódmego lat dziesiątka, „przejazdem” zatrzymał się w Rumunii w przeddzień wojny rosyjsko-tureckiej, przypadkiem pozostał tam, – i po kilka zaledwie latach, rodak nasz, pod nazwiskiem Gherea, pozyskał wielki wpływ najpierw na inteligencję rumuńską, później zaś również na przodujących robotników. Krytyka literacka, oparta na podłożu społecznym, była głównie dziedziną, w której Gherea kształtował świadomość przodujących grup inteligencji rumuńskiej. Od kwestji estetyki i moralności osobistej, prowadził on do naukowego socjalizmu. Większość polityków rumuńskich wszystkich niemal partij w młodości swej przeszła pod kierownictwem Gherei powierzchowną szkołę marksizmu. Zresztą, nie przeszkodziło im to zgoda w przeprowadzaniu w wieku bardziej dojrzałym polityki reakcyjnego bandytyzmu.

Ch. G. Rakowskij to jedna z najbardziej międzynarodowych postaci w ruchu europejskim. Bułgar z pochodzenia, urodzony w samym sercu Bułgarii, lecz jak to bywa na Bałkanach, – obywatel rumuński, z wykształcenia – lekarz francuski, z upodobań, stosunków i pracy literackiej – Rosjanin, Rakowskij włada wszystkimi językami bałkańskimi i czterema europejskimi. Brał w różnych okresach czynny udział w życiu wewnętrznym czterech partij socjalistycznych – bułgarskiej, rosyjskiej, francuskiej i rumuńskiej, – aby w następstwie zostać jednym z przywódców federacji sowieckiej, jednym z założycieli Międzynarodówki komunistycznej, prezesem ukraińskiej rady komisarzy ludowych, dyplomatycznym przedstawicielem Związku w Anglii i we Francji, później zaś podzielić wreszcie losy opozycji lewicowej. Cechy osobiste Rakowskiego, jego rozległy widnokrąg międzynarodowy i wielce szlachetny charakter sprawiły, że Stalin, uosabiający cechy wprost przeciwne, szczególnie go znienawidził.

W roku 1913 Rakowskij był organizatorem i wodzem rumuńskiej partij socjalistycznej, która później przyłączyła się do Międzynarodówki Komunistycznej. Partja rozwijała się pomyślnie. Rakowskij redagował pismo codzienne, które sam finansował. Na brzegu Morza Czarnego, w pobliżu Mangalji, Rakowskij posiadał niewielki majątek dziedziczny, z którego dochód szedł na subsydja dla rumuńskiej partij socjalistycznej i szeregu rewolucyjnych

ugrupowań i osobistości w innych krajach. Trzy dni w tygodniu Rakowski spędzał w Bukareszcie, pisał artykuły, przewodniczył zebraniom Centralnego Komitetu, występował na wiecach i brał udział w demonstracjach ulicznych. Potem pociągiem udawał się na wybrzeże Morza Czarnego, dostarczał do swego majątku szpagat, gwoździe i inne przedmioty powszedniego użytku, jeździł w pole, sprawdzał, jak pracuje nowy traktor, biegając za nim po bródach w swym miejskim surducie, po upływie zaś dnia znów pędził zpowrotem, żeby się nie spóźnić na wiec lub na zebranie. Towarzyszyłem Rakowskiemu w jego podróży i podziwiałem jego kipiącą energię, wytrwałość, odporność na zmęczenie, nieodmienną świeżość ducha i uprzejmą uwagę, jaką darzył małuczkich. Na ulicy w Mangalji w przeciągu piętnastu minut przechodził on z języka rumuńskiego na bułgarski, z bułgarskiego na turecki, potem na niemiecki i francuski – rozmawiając z kolonistami, z agentami handlowymi, w końcu zaś na rosyjski, rozmawiając z bardzo licznymi w tej okolicy rosyjskimi sekciarzami – skopcami. Prowadził rozmowy jako dziedzic, jako lekarz, jako Bułgar, jako obywatel rumuński, najczęściej zaś jako socjalista. Widziałem na własne oczy, jak, niby żywy cud, chodził po ulicach tej zapadłej, beztroskiej i leniwej nadmorskiej miejsciny. W nocy zaś znowu pędził pociągiem na pole walki. I czuł się równie dobrze i pewnie w Bukareszcie, Sofji, Paryżu, Petersburgu, czy w Charkowie.

Okres drugiej emigracji był dla mnie okresem współpracownictwa w rosyjskiej prasie demokratycznej. Zadebiutowałem w „Kijewskiej Myśli” wielkim artykułem o monachijskim piśmie „Simplicissimus”, które przez pewien czas zaciekało mnie tak dalece, że przejrzałem uważnie wszystkie jego roczniki, poczynając od jego założenia, kiedy to rysunki T. T. Heinego miały jeszcze wyraźnie społeczny charakter. W tym samym czasie zapoznałem się też bliżej z nową beletrystyką niemiecką. O Wedekindzie napisałem nawet obszerny społeczno-krytyczny artykuł, ponieważ w Rosji zainteresowanie się tym pisarzem wzrastało równoległe z upadkiem nastrojów rewolucyjnych.

„Kijewska Myśl” była na południu najpoczytniejszym pismem radykalnym o zabarwieniu marksowskim. Gazeta taka mogła istnieć tylko w Kijowie, w którym życie przemysłowe było słabo rozwinięte, przeciwieństwa klasowe niezbyt się uwydatniały, zaś piękne tradycje inteligentckiego radykalizmu były bardzo żywe. Mutatis mutandis można powiedzieć, że powstało ono w Kijowie z tej samej przyczyny, z której „Simplicissimus” powstał w Monachium. Poruszałem w tej gazecie najróżnorodniejsze, nieraz bardzo ryzykowne, ze względu na cenzurę, tematy. Niewielkie artykuły były częstokroć owocem długiej pracy przygotowawczej. Rozumie się, że nie mogłem w legalnej bezpartyjnej gazecie powiedzieć tego wszystkiego, co chciałem powiedzieć. Nigdy jednak nie napisałem tego, czego powiedzieć nie chciałem. Artykuły moje z „Kijewskiej Myśli” zostały opublikowane w kilku tomach przez wydawnictwo sowieckie. Nie musiałem wyrzekać się czegokolwiek. Warto może obecnie przypomnieć i o tem, że na współpracę w prasie burżuazyjnej uzyskałem formalną zgodę Centralnego Komitetu, w którym Lenin miał większość.

Wspomniałem już o tem, że po przyjeździe zamieszkaliśmy za miastem. „Hütteldorf spodobał mi się – pisała żona. – Mieszkanie mieliśmy lepsze, niż

mieć mogliśmy, gdyż wille wynajmują tu zwykle wiosną, myśmy zaś wynajęli na jesień i zimę. Z okien widać było góry ciemno-czerwonego, jesiennego koloru. Na wolną przestrzeń można było wyjść przez furtkę, omijając ulicę. W zimowe niedziele przyjeżdżali tutaj udający się w góry wiedeńczycy z sankami i nartami, w kolorowych czapczkach i sweaterach. W kwietniu, kiedy musieliśmy opuścić nasze mieszkanie, na wiosnę bowiem komorne wzrastało dwukrotnie, w ogrodzie za ogrodzeniem kwitły już fjołki i woń ich przez otwarte okna wypełniała pokoje. Tutaj urodził się Sierioża. Musieliśmy przenieść się do demokratyczniejszego Sieveringu.

Dzieci mówiły zarówno po rosyjsku, jak i po niemiecku. W freblówce i w szkole porozumiewały się po niemiecku, dlatego też, bawiąc się w domu, mówiły również po niemiecku, wystarczyło jednak, by ktoś z nas ojciec, lub ja, przemówił do nich, aby przechodziły od razu na rosyjski. Gdyśmy się do nich zwracali po niemiecku, mieszały się i odpowiadały po rosyjsku. W ciągu ostatnich lat nauczyły się także wiedeńskiego narzecza i władały niem doskonale.

Lubiły bardzo odwiedzać rodzinę Klaczków, gdzie wszyscy, zarówno głowa rodziny, jak gospodyni i dorosłe dzieci, traktowali je bardzo dobrze, pokazywali im dużo ciekawych rzeczy i, w dodatku, częstowali wybornymi przysmakami.

Dzieci lubiły także Riazanowa, znanego badacza Marksa. Riazanow, który mieszkał podówczas w Wiedniu, zdumiewał wyobraźnię chłopców swymi wyczynami gimnastycznymi i podobał im się dzięki swej hałaśliwości. Pewnego razu młodszego chłopca strzygł fryzjer, ja zaś siedziałem obok. Sierioża skinieniem przywołał mnie do siebie i rzekł po cichu do ucha: „Chciałbym mieć taką fryzurę, jaką ma Riazanow”. Wielka gładka łysina Riazanowa budziła w nim zachwyt – wyglądała inaczej, niż wszystkie inne fryzury, a przytem dużo lepiej.

Gdy Liowik wstąpił do szkoły, wyłoniła się kwestja nauczania religji. Według ówczesnego prawa austriackiego, dzieci do lat 14 musiały wychowywać się w duchu religji swych ojców. Ponieważ w dokumentach naszych nie było żadnej wzmianki o wyznaniu, wybraliśmy dla dzieci luteranizm, jako tę religję, która wydawała nam się najlżejszą może do udźwignięcia dla dziecięcych ramion i duszyczek. Religję luterancką wykladała nauczycielka w godzinach pozaszkolnych, jednak w gmachu szkolnym. Liowikowi podobała się ta lekcja, co było widać po jego pyszczku, nie uważał jednak za stosowne rozwodzić się nad tem w domu zbyt szeroko. Pewnego razu wieczorem usłyszałam, jak szepce coś, leżąc w łóżku. Na pytanie moje odpowiedział: „To modlitwa, wiesz, modlitwy bywają bardzo ładne, jak wiersze”.

Jeszcze podczas mojej pierwszej emigracji rodzice moi zaczęli od czasu do czasu wyjeżdżać zagranicę. Odwiedzili mnie w Paryżu, potem przyjechali do Wiednia z moją starszą córką, która mieszkała u nich na wsi. W roku 1910 przyjechali do Berlina. Zdążyli już w tym czasie pogodzić się definitywnie z moim losem. Ostatnim argumentem najgrubszego kalibru była może moja pierwsza książka w języku niemieckim. Matka moja była ciężko chora (actinomicosis). Przez ostatnie dziesięć lat swego życia dźwigała chorobę, jako dodatkowy ciężar, nie przestając jednak pracować. W Berlinie usunięto jej nerkę. Matka miała wtedy 60 lat. W ciągu pierwszych miesięcy po operacji odżyła i rozkwitła. Wypadek ten uzyskał znaczny rozgłos w świecie lekarskim.

Choroba jednak powróciła wkrótce i zabrała ją po kilku miesiącach. Umarła w Janówce, w której spędziła swe pracowite życie i wychowała dzieci.

Wielki wiedeński rozdział mego życia nie byłby zupełny, gdybym nie nadmieniał, że najbliższymi naszymi przyjaciółmi w Wiedniu byli, stary emigrant S. L. Klaczko i jego rodzina. Historia mojej drugiej emigracji splata się ściśle z tą rodziną, która była prawdziwym ogniskiem rozległych politycznych i umysłowych zainteresowań, przybytkiem muzyki, czterech języków europejskich. i ośrodkiem najrozmaitszych stosunków europejskich. Śmierć głowy rodziny Siemiona Lwowicza Klaczki w kwietniu 1914 roku, dotknęła nas bardzo. Lew Tołstoj pisał o swym szczerze uposażonym przez naturę bracie Siergieju, że brakowało mu tylko kilku drobnych wad, aby mógł zostać wielkim malarzem. To samo można powiedzieć o Siemionie Lwowiczu: posiadał on wszystkie dane, aby stać się wybitnym działaczem politycznym, oprócz niezbędnych do tego wad. W rodzinie Klaczków znajdowaliśmy zawsze pomoc i przyjaźń, często zaś potrzeba nam było jednego i drugiego.

Zarobek mój z „Kijewskiej Myśli” wystarczałby w zupełności na nasz skromny byt. Zdarzały się jednak miesiące, kiedy praca dla „Prawdy” nie pozostawiała mi czasu do napisania jednego chociażby płatnego wiersza. Następował wtedy kryzys. Żona dobrze знаła drogę do lombardu, ja zaś nieraz sprzedawałem antykwaryuszom książki, kupione za lepszych czasów. Zdarzało się, że skromne nasze urządzenie zajmowano za nieopłacone komorne. Mieliśmy dwoje małych dzieci i nie mieliśmy niańki. Życie nasze podwójnym ciężarem dławilo moją żonę. Jednak znajdowała jeszcze czas i siły, aby pomagać mi w pracy rewolucyjnej.

ROZDZIAŁ XVIII

POCZĄTEK WOJNY

Na parkanach wiedeńskich ukazały się napisy: „Alle Serben müssen sterben”. Stało się to hasłem łobuzów ulicznych. Nasz młodszy synek, Sierioża, powodowany, jak zwykle instynktem przekory, zawołał na łączce w Sievering „Hoch Serbien!” – Wrócił do domu posiniaczony, doświadczywszy na własnej skórze, czym jest polityka międzynarodowa.

Buchanan, były poseł brytyjski w Petersburgu, z zachwytem mówi w swych pamiętnikach o „cudownych pierwszych dniach sierpnia”, kiedy „Rosja wydawała się całkiem odmieniona”. Podobny zachwyty spotkać można również w pamiętnikach innych mężów stanu, nawet gdy nie uosabiają tak dokładnie, jak Buchanan, pełnej zadowolenia ze siebie ciasnoty umysłowej klas rządzących. We wszystkich ośrodkach życia europejskiego dni sierpniowe były jednak „cudowne”, wszystkie kraje przystępowały jak „odmienione” do trudu niszczenia się i mordowania wzajemnego.

Czemuś zupełnie nieoczekiwanem wydawało się zwłaszcza patryjotyczne ożywienie mas w Austro-Węgrzech. Cóż pchało wiedeńskiego czeladnika szewskiego, półniemca, półczecha, Pospisila, lub naszą sprzedawczynią jarzyn, Frau Maresch, lub dorożkarza Frankla na plac przed ministerstwem spraw wojskowych? Poczucie narodowe? Jakże? Austro-Węgry były zaprzeczeniem myśli narodowej. Nie, działały tu inne siły.

Niemają jest na świecie ludzi, których całe życie, dzień po dniu, upływa w monotonnej beznadziejności. Na nich opiera się społeczeństwo współczesne. Alarm mobilizacji wdiera się w ich życie, jak zapowiedź. Wszystko, do czego przyzwyczaili się i co dokuczyło im do żywego, wywraca się, ustępując miejsca czemuś nowemu i niezwykłemu. Przyszłość brzemienna jest w jeszcze bardziej nieprzewidziane zmiany. Na lepsze, czy na gorsze? Ma się rozumieć, że na lepsze: czyż Pospisilowi może być kiedykolwiek jeszcze gorzej, niż było w czasach „normalnych”?

Włączyłem się po głównych ulicach, tak dobrze znanego mi, Wiednia i obserwowałem ten niespotykany zazwyczaj na eleganckich Ringach tłum, w którym ocknęły się nadzieje. I czyż częśćka tych nadziei nie ziściła się już dziś? Czyż kiedyindziej tragarze, praczki, czeladnicy, szewcy i wyrostki z przedmieść mogliby się czuć panami sytuacji na Ringach? Wojna zagarnia wszystkich, to też upośledzeni, oszukani przez życie czują się na równym jakgdyby poziomie z bogatymi i silnymi. Nie jest to wcale paradoksem, ale w nastrojach tłumu wiedeńskiego, urządzającego demonstracje ku czci oręża Habsburgów, dostrzegałem cechy, znane mi z październikowych dni 1905 roku w ówczesnym Petersburgu. Przecież wojna nieraz już w historii była matką rewolucji.

A jednak jakże odmienny a raczej przeciwny jest stosunek klas panujących do wojny i rewolucji. Buchananowi owe dni wydawały się cudowne, Rosja zaś – przebudzona. Tymczasem hrabia Witte o najbardziej patetycznych dniach

rewolucji 1905 roku pisze co następuje: „Olbrzymia większość Rosji jakgdyby postradała zmysły”.

Podobnie jak rewolucja, wojna spycha całe życie z udeptanych ścieżek. Ale rewolucja kieruje ciosy swe przeciwko istniejącej władzy. Wojna zaś, przeciwnie, umacnia z początku władzę państwa, która w chaosie wywołanym przez wojnę, stanowi jedyny punkt stałego oparcia... aż do chwili, gdy ta sama wojna nie zachwieje i tym punktem. Wszelkie nadzieje na burzliwe rozruchy społeczne i narodowościowe, czy to w Pradze, lub w Tryjeście, zarówno jak i w Warszawie, lub Tyflisie, są na początku wojny pozbawione wszelkich podstaw. We wrześniu 1914 roku pisałem do Rosji: „Zdawałoby się, że mobilizacja i wybuch wojny starty z oblicza ziemi wszelkie społeczne i narodowościowe przeciwieństwa w kraju. Ale to tylko odroczenie historyczne, swego rodzaju moratorium polityczne. Weksle przepisane są coprawda na nowy termin, ale zapłacić je trzeba będzie mimo to”. W tych ocenionych zdaniach miałem na myśli nie tylko Austro-Węgry, ale i Rosję, Rosję przede wszystkim.

Wydarzenia następowały szybko po sobie. Nadszedł telegram o zabójstwie Jaurès'a. W gazetach tyle było złośliwych kłamstw, że w przeciągu kilku godzin przynajmniej można było jeszcze wątpić i ludzi się nadzieją. Ale wkrótce nadzieja rozviała się. Jaurès został zabity przez wrogów i zdradzony przez własną partję.

Jaki był stosunek do wojny kierowniczych kół austriackiej socjal-demokracji? Jedni otwarcie się z niej cieszyli, klęli Serbów i Rosjan, niebardzo odróżniając rządy od ludów: byli to organiczni nacjonaści, za ledwie pokryci lakierem kultury socjalistycznej, który schodził z nich teraz szybko. Pamiętam, jak Hans Deutsch, w następstwie coś w rodzaju ministra wojny, mówił, że wojna ta jest nieunikniona i zbawcza, gdyż uwolni wreszcie Austrię od „zmory” serbskiej. Inni znów – na ich czele stał Wiktor Adler – traktowali wojnę, jako katastrofę zewnętrzną, którą trzeba przetrwać. Wyczekująca bierność była jednak tylko parawanem dla czynnego nacjonalistycznego skrzydła. Niektórzy wspominali filozoficznie niemieckie zwycięstwo z 1871 roku, które posunęło naprzód przemysł niemiecki, a z nim razem i socjal-demokrację.

Dnia 2 sierpnia Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. Ale Jeszcze przedtem rozpoczął się wyjazd Rosjan z Wiednia. 3 sierpnia udałem się zrana na Wienzeile, aby naradzić się tam z posłami socjalistycznymi, jak my, emigranci rosyjscy, mamy postępować. Fryderyk Adler, prawem bezwładu, krzątał się jeszcze w swoim gabinecie nad jakimiś książkami, papierkami, markami kongresu międzynarodowego, który miał wkrótce odbyć się w Wiedniu. Ale kongres w owej chwili pochłonęła już przeszłość. Inne siły występowały na arenę... Stary Adler zaproponował, abym udał się natychmiast wraz z nim do pierwszego źródła, a mianowicie do szefa policji politycznej Geyera. W samochodzie w drodze do prefektury, zwróciłem uwagę Adlera na to, że wojna wywołała jakiś świąteczny nastrój. – To cieszą się ci, którzy nie idą na wojnę, – odparł z miejsca. – Oprócz tego, teraz wychodzą na ulicę wszyscy ludzie niezrównoważeni, wszyscy warjaci: czas ten należy do nich. Zabójstwo Jaurès'a – to dopiero początek. Wojna otwiera drogę wszystkim instynktom, wszystkim rodzajom szaleństwa.

Jako psychiatra ze swego dawnego zawodu lekarskiego, Adler ujmował często wydarzenia polityczne – „zwłaszcza austriackie”, jak mawiał z ironją –

z punktu widzenia psychopatologii. Jakże daleki był w owej chwili od przypuszczenia, że własny syn jego dokona zabójstwa politycznego. W piśmie „Der Kampf”, które redagował Adler-syn, zamieściłem akurat w przeddzień wojny artykuł, rzucający światło na bezcelowość indywidualnego teroru. Co ciekawsze, redaktor bardzo chwalił ten artykuł. Wystrzał Fredyryka Adlera był tylko wybuchem zrozpaczonego oportunizmu i niczem ponadto. Adler dał ujście rozpacz i powrócił na dawne tory.

Geyer wypowiedział ostrożnie przypuszczenie, że nazajutrz zrana może wyjść rozkaz o uwięzieniu Rosjan i Serbów.

– A więc radzi pan wyjechać?

– W dodatku im prędzej, tem lepiej.

– Dobrze, jutro wyjadę z rodziną do Szwajcarii.

– Hm... wołałbym, żeby pan to zrobił dziś. Rozmowa ta miała miejsce o 3 po południu, o 6-ej zaś minut 10 siedzieliśmy już z rodziną w pociągu, udającym się do Zurychu. Za nami pozostały stosunki z okresu siedmiu lat, książki, archiwum i rozpoczęte prace, a między nimi polemika z profesorem Massarykiem o losach kultury rosyjskiej.

Depsza o kapitulacji niemieckiej socjal-demokracji zrobiła na mnie większe wrażenie, niż wybuch wojny, mimo że daleki byłem od naiwnego idealizowania socjalizmu niemieckiego. „Europejskie partje socjalistyczne – pisałem jeszcze w 1905 roku, potem zaś nieraz powtarzałem – wytworzyły właściwy sobie konserwatyzm, który jest tem silniejszy, im większe masy ogarnia socjalizm... Wobec tego, socjal-demokracja może stać się w pewnej chwili bezpośrednią przeszkodą na drodze otwartego starcia robotników z reakcją burżuazyjną. Innemi słowy, propagandowo-socjalistyczny konserwatyzm partji proletarjackiej może w pewnej chwili powstrzymać otwartą walkę proletariatu o władzę”. Nie spodziewałem się wcale, aby w razie wybuchu wojny oficjalni przywódcy Międzynarodówki mieli zdobyć się na poważną inicjatywę rewolucyjną. Ale zarazem nie śniło mi się nawet, że socjal-demokracja będzie się wprost płaszczyła przed nacjonalistycznym militarystycznym.

Kiedy w Szwajcarii ukazał się numer „Vorwärts’u” ze sprawozdaniem z posiedzenia Reichstagu z dnia 4 sierpnia, Lenin zdecydował, że jest to sfalszowany numer, wydany przez niemiecki sztab generalny, aby oszukać i nastraszyć wrogów. Tak wielka jeszcze była, mimo całego krytycyzmu Lenina, wiara w niemiecką socjal-demokrację. Zaś w tym samym czasie wiedeńska „Arbeiter-Zeitung” uznała dzień kapitulacji socjalizmu niemieckiego za „wielki dzień narodu niemieckiego”. Był to szczyt, osiągnięty przez Austerlitz. Jego „Austerlitz”... Nie sądziłem, że „Vorwärts” został sfalszowany: pierwsze bezpośrednie wrażenia wiedeńskie przygotowały mnie już na najgorsze. Jednakowoż głosowanie w dniu 4 sierpnia pozostało w mej pamięci, jako jedno z najbardziej tragicznych wydarzeń w moim życiu. Cóż powiedziałby na to Engels? – zadawałem sobie pytanie. Odpowiedź nie nastęrczała mi wątpliwości. A jak byłby postąpił Bebel? W tym wypadku odpowiedź nie była dla mnie tak wyraźna. Ale Bebla nie było. Był tylko Haase, uczciwy, prowincjonalny demokrat, pozbawiony teoretycznego widnokregu i temperamentu rewolucyjnego. W każdej krytycznej sytuacji wolał powstrzymać się od rozstrzygających decyzji, uciekając się do półśrodków i wyczekiwania. Nie dorósł do wydarzeń tej miary. Dalej zaś szli już Scheidemannowie, Ebertowie, Wellsowie...

Szwajcaria była odbiciem Niemiec i Francji, ale w postaci neutralnej t. j. złagodzonej i jednocześnie bardzo zmniejszonej. Oto przykład: w parlamencie szwajcarskim było dwóch posłów socjalistycznych o jednakowych imionach i nazwiskach: Johann Sigg z Zurychu i Jean Sigg z Genewy. Johann był zaciekle germanofilem, Jean zaś jeszcze bardziej zaciekle frankofilem. Takie było szwajcarskie zwierciadło Międzynarodówki.

W drugim, zdaje się, miesiącu wojny, spotkałem w Zurychu na ulicy starego Molkenbuhra, który przybył tu, aby wpływać na opinię publiczną. Na pytanie moje, jak partja jego wyobraża sobie dalszy przebieg wojny światowej, stary członek zarządu partyjnego odpowiedział: – W ciągu najbliższych dwóch miesięcy załatwimy się z Francją, później zwrócimy się na wschód i załatwimy się z wojskami cara i za trzy, najdalej za cztery miesiące dąmy Europie trwały pokój. – Odpowiedź tę zapisałem dosłownie w moim dzienniku. Molkenbuhr nie wypowiedział oczywiście swego osobistego zdania. Powtórzył tylko oficjalne zdanie socjal-demokracji. W tym samym czasie poseł francuski w Petersburgu założył się z Buchananem o 5 funtów szterlingów, że wojna zostanie zakończona przed Bożym Narodzeniem. Nie, my, „utopiści”, przewidzieliśmy niektóre rzeczy o wiele trafniej od tych realistycznych panów – z socjal-demokracji i z dyplomacji.

Szwajcaria, w której mieliśmy przeczekać wojnę, przypominała mi fiński pensjonat „Rauha”, w którym w 1905 roku otrzymałem wiadomości o wzmożeniu się ruchu rewolucyjnego. Oczywiście, w Szwajcarii armja również została zmobilizowana, w Bazylei zaś słyszało się nawet odgłosy kanonady. Mimo to, przestronny pensjonat helwecki, którego główną troską była nadmierna ilość sera i brak kartofli, podobny był do cichej oazy, otoczonej płomiennym kręgiem wojny. Może bliska jest już godzina, zapytywałem się w duchu, kiedy można będzie opuścić szwajcarską oazę Rauha (spokój), aby spotkać się znów z petersburskimi robotnikami w sali Instytutu Technologicznego? Ale godzina ta nastąpiła dopiero po trzydziestu trzech miesiącach.

Potrzeba zdania sobie samemu sprawy z tego, co się dzieje, zmusiła mnie do prowadzenia dziennika. Już 9 sierpnia pisałem w nim: „Oczywista, nie chodzi tu o błędy i poszczególne posunięcia oportunistyczne, ani o niefortunne oświadczenia z trybuny parlamentarnej, ani o głosowanie za budżetem badeńskich wielkoksiążących socjal-demokratów, ani o eksperymenty ministerializmu francuskiego, ani też zaprzaństwo kilku przywódców, – chodzi o *krach Międzynarodówki* w epoce najbardziej odpowiedzialnej, wobec której cała poprzednia praca była jedynie przygotowaniem”.

11 sierpnia wpisałem do dziennika: „Dopiero przebudzenie rewolucyjnego ruchu socjalistycznego, które będzie musiało od razu przybrać najbardziej burzliwe formy, położy podwaliny nowej Międzynarodówki. Nadchodzące lata będą epoką rewolucji socjalnej”.

Począłem brać czynny udział w życiu szwajcarskiej partji socjalistycznej. W jej warstwach robotniczych internacjonalizm cieszył się niepodzielną niemal sympatją. Każde zebranie partyjne przekonywało mnie nanowo o słuszności mego stanowiska. Pierwszy punkt oparcia znalazłem w robotniczym związku o składzie międzynarodowym „Eintracht”. Na zasadzie porozumienia z zarządem, opracowałem w początkach września projekt manifestu przeciwko wojnie i socjalistycznemu patriotyzmowi. Zarząd zaprosił przywódców partji na zebranie, na którym wygłosiłem po niemiecku referat w obronie manifestu.

Przywódcy nie stawili się jednak. Uważali, że zajęcie jakiegokolwiek stanowiska w tak zaognionej kwestji jest rzeczą zbyt ryzykowną, woleli przeto poczekać, poprzestając narazie na pokątną krytykę „krańcowości” niemieckiego i francuskiego szowinizmu. Zebranie „Eintracht’u” jednogłośnie prawie przyjęło manifest, który, mimo wszystkie swe niedomówienia, był poważnym bodźcem dla partyjnej opinji publicznej: Był to pierwszy może od początku wojny dokument o charakterze międzynarodowym, wydany w imieniu organizacji robotniczej.

W owym czasie poznałem się bliżej z Radkiem, który na początku wojny przybył z Niemiec do Szwajcarii. Znajdował się on w partji niemieckiej na skrajnej lewicy, miałem więc nadzieję, że będzie to człowiek, myślący tak samo, jak i ja. I w istocie, Radek potępiał bardzo surowo warstwę rządzącą socjal-demokracją niemiecką. W tej sprawie byliśmy z nim zupełnie zgodni. Ale ze zdziwieniem przekonałem się z rozmowy z nim, że nie myśli on nawet o możliwości rewolucji proletarjackiej w związku z wojną i wogóle w najbliższym okresie czasu. Nie, odpowiedział na to, że siły wytwórcze całej ludzkości są jeszcze zbyt mało rozwinięte. Przyzwyczailem się już do częstego wysłuchiwania powiedzeń, że siły wytwórcze Rosji nie wystarczą do wywalczenia władzy przez klasę robotniczą. Nie wyobrażałem sobie jednak, że odpowiedź tego rodzaju może dać rewolucyjny polityk przodującego kraju kapitalistycznego. Radek wkrótce po moim wyjeździe z Zurychu wygłosił w tym samym związku „Eintracht” obszerny referat, w którym dowodził szczegółowo, że świat kapitalistyczny nie jest jeszcze przygotowany do rewolucji socjalistycznej.

O referacie Radka, zarówno jak wogóle o zurychskim rozstaju socjalistycznym na początku wojny, opowiada pisarz szwajcarski Brupbacher w swych wcale ciekawych wspomnieniach. Rzecz szczególna – Brupbacher ówczesne moje poglądy określa jako... pacyfistyczne. Niepodobna zrozumieć, co ma przez to na myśli. Własną swą ewolucję w owych czasach charakteryzuje w tytule jednej ze swych książek w sposób następujący: „Od mieszczanina do bolszewika”. Miałem dość wyraźne pojęcie o ówczesnych poglądach Brupbachera, aby zgodzić się całkowicie z pierwszą połową tego tytułu. Co się zaś tyczy drugiej połowy, to zrzekam się za nią wszelkiej odpowiedzialności.

Gdy z niemieckich i francuskich gazet socjalistycznych wyłonił się wyraźnie obraz katastrofy politycznej i moralnej socjalizmu oficjalnego, odłożyłem mój dziennik, aby napisać broszurę polityczną na temat wojny i Międzynarodówki. Pod wrażeniem pierwszej rozmowy z Radkiem napisałem przedmowę do tej broszury, w której ze zwiększoną jeszcze energją podkreślałem, że wojna obecna to nic innego, jak powstanie w skali światowej sił twórczych kapitalizmu przeciwko własności prywatnej z jednej strony i przeciwko granicom państwowym – z drugiej... Książka „Wojna i Międzynarodówka” przeszła koleje zmiennego losu najpierw w Szwajcarii, potem w Niemczech i we Francji, następnie w Ameryce i wkońcu w republice Sowieckiej. O tem wszystkim należy powiedzieć tu kilka słów.

Z rosyjskiego rękopisu pracę moją tłumaczył Rosjanin, daleki od doskonałego władania językiem niemieckim. Zredagowania przekładu podjął się profesor zurychski, Ragatz. Dało mi to okazję do zawarcia znajomości z tą oryginalną osobistością. Wierzący chrześcijanin, co więcej teolog z wykształcenia i z zawodu, Ragatz należał zarazem do skrajnie lewicowego

skrzydła socjalizmu szwajcarskiego, uznawał najostrożniejsze metody walki z wojną i wypowiadał się za rewolucją proletariacką. Zarówno on, jak i jego żona, pociągali ku sobie głęboką moralną powagą swego stosunku do zagadnień politycznych, czem wyróżniali się korzystnie na tle austriackich, niemieckich, szwajcarskich i innych, wyzuty z ideowości, urzędników socjal-demokracji. Jeśli się nie mylę, Ragatza zmuszono później, aby w ofierze twoim poglądom złożył katedrę uniwersytecką. Jak na sferę, do której należał, była to niemała ofiara. Ale podczas owych rozmów, które toczyłem z nim, obok szacunku, jaki żywiłem do tego nie tuzinkowego człowieka, wyczuwałem niemal fizycznie, że dzieli nas jakaś cienka, ale absolutnie nieprzenikliwa błona. Ragatz był mistykiem w każdym celu i choć nie narzucał się wcale ze swoją wiarą, a nawet nigdy o niej nie mówił, to jednak, gdy tylko wspominał o powstaniu zbrojnym, owiewał je natychmiast jakimiś podmuchami z tamtego brzegu, które budziły we mnie tylko przykry dreszcz. Od czasu, jak zaczęłem myśleć, byłem materialistą, z początku intuicyjnym, później świadomym, i niedość, że nie odczuwałem potrzeby istnienia innych światów, ale nigdy nie mogłem znaleźć łączności psychologicznej z ludźmi: którzy potrafią uznawać jednocześnie teorię Darwina i Trójcę Świętą.

Dzięki Ragatzowi, książka ukazała się w dobrym niemieckim przekładzie. Ze Szwajcarii już w grudniu 1914 roku trafiła do Austrii i Niemiec. Postarali się o to przede wszystkim lewicowcy szwajcarscy: F. Platten i inni. Przeznaczona dla krajów niemieckich, broszura była wymierzona przede wszystkim przeciwko socjal-demokracji niemieckiej, przodującej partii drugiej Międzynarodówki. Pamiętam, że dziennikarz Heibmon, który grał pierwsze skrzypce w orkiestrze szowinizmu, powiedział o mojej książce, że jest szalona, ale konsekwentna w swym szaleństwie. O większej pochwie nie mogłem marzyć! Nie brakowało, rozumie się, też aluzji do tego, że broszura jest narzędziem zręcznej propagandy na rzecz Entente'y.

Później, gdy byłem we Francji, przeczytałem nieoczekiwanie w gazetach francuskich depeszę ze Szwajcarii, donoszącą o wyroku sądu niemieckiego, skazującym mnie zaocznie za moją broszurę zurychską na karę więzienia. Wywnioskowałem z tego, że broszura trafiła w samo sedno. Sędziowie Hohenzollerna wyświadczyli mi tym wyrokiem, z którego honorowaniem nie spieszyłem się wcale, niemałą przysługę. Dla szlachetnych wysiłków oszczerców i szpiclów z pod znaku Entente'y, starających się udowodnić, że w gruncie rzeczy jestem agentem niemieckiego sztabu generalnego, wyrok sądu niemieckiego był zawsze kamieniem obrazy.

Nie przeszkodziło to jednak władzom francuskim do zatrzymania na granicy mojej książki przez wzgląd na jej „niemieckie pochodzenie”. W obronę przed francuską cenzurą wzięła broszurę gazeta Gustawa Hervé, w której umieszczono dwuznaczną wzmiankę. Sądzę, że wzmiankę tę napisał niepozobawiony pewnego rozgłosu Ch. Rappaport, będący sam prawie marksistą, a w każdym razie – autorem największej ilości kalamburów, jaką kiedykolwiek spłodził człowiek, który poświęcił tej twórczości swe długie życie.

Po rewolucji październikowej, pomysłowy nakładca z Nowego Jorku wydał moją niemiecką broszurę w postaci solidnej książki amerykańskiej. W myśl relacji nakładcy, Wilson zażądał od niego z Białego Domu przez telefon, aby przysłał mu odbitki korekty: prezydent fabrykował podówczas swe 14 punktów i, jak utrzymują wtajemniczeni, nie mógł strawić tego w żaden sposób, że

bolszewicy uprzedzili najlepsze jego tezy. Książka rozeszła się w Ameryce w ciągu dwóch miesięcy w ilości 16.000 egzemplarzy. Ale nastaly dni pokoju brzeskiego. Prasa amerykańska wszczęła szaloną naganę na mnie, dzięki której książka odrazu zniknęła z rynku.

W tym samym czasie moja broszura zurychską osiągnęła w republice Sowieckiej szereg wydań, służąc za podręcznik do studjowania metody marksowskiej w zastosowaniu do wojny. Z „rynku” Międzynarodówki komunistycznej wycofano ją dopiero po roku 1924-ym, kiedy dokonano odkrycia „trockizmu”. W chwili obecnej jest to utwór zakazany, jakim był przed rewolucją. Widzimy więc, że i książki mogą naprawdę przechodzić zmienne koleje losu.

ROZDZIAŁ XIX

PARYŻ I ZIMMERWALD

Dnia 19 listopada przyjechałem do Francji, jako korespondent wojenny „Kijewskiej Myśli”. Zgodziłem się na propozycję tej gazety tem chętniej, że dawała mi możliwość przyjrzenia się wojnie zbliżająca. Paryż był smutny, ulice wieczorami tonęły w ciemnościach. Zeppelinów często napadały na miasto. Po zatrzymaniu armij niemieckich nad Marną, wojna stawała się coraz bardziej wymagająca i bezlitosna. W nieskończonym chaosie, pożerającym Europę, w obliczu milczących mas robotniczych, oszukanych i zdradzonych przez socjal-demokrację, maszyny zniszczenia rozwijały swą automatyczną siłę. Cywilizacja kapitalistyczna doprowadzała siebie ad absurdum, usiłując przebić grubą czaszkę ludzkości.

W owej chwili, kiedy Niemcy zbliżali się do Paryża, francuscy zaś patryjoci burżuazyjni opuszczali go, dwóch emigrantów rosyjskich założyło w Paryżu małą gazetkę codzienną w języku rosyjskim. Zadaniem jej było tłumaczenie znajdującym się w Paryżu Rosjanom wydarzeń bieżących i podtrzymywanie ducha solidarności międzynarodowej. Przed ukazaniem się pierwszego numeru, w „kasie” wydawnictwa znajdowało się całego kramu 30 franków. Żaden „rozsądny” człowiek nie uwierzyłby, że z takim kapitałem można wydawać pismo codzienne. I rzeczywiście, raz w tygodniu przynajmniej gazeta, mimo bezpłatnej pracy redakcji i współpracowników, przechodziła, jak zdawało się, ostateczny kryzys. Wyjście z sytuacji zawsze się jednak znajdowało. Oddani swej gazecie zecerzy przymierali z głodu, redaktorzy uganieli się po mieście w poszukiwaniu kilkudziesięciu franków – i następny numer ukazywał się. W ten sposób, pod ciosami deficytu i cenzury, znikając i natychmiast ukazując się pod nową nazwą, gazeta istniała przez dwa lata, t. zn. aż do rewolucji lutowej 1917 roku. Po przyjeździe do Paryża zacząłem pilnie pracować w „Naszem Słowie”, które podówczas nosiło jeszcze nazwę „Głosu”. Gazeta codzienna stała się dla mnie samego ważnym narzędziem orientacji w wydarzeniach dnia. Doświadczenie „Naszego Słowa” przydało mi się później, kiedy musiałem zetknąć się bliżej ze sprawami wojskowymi.

Rodzina moja przyjechała do Francji dopiero w maju 1915 roku. Zamieszkaliśmy w Sèvres, w małym domku, który na kilka miesięcy oddał nam do dyspozycji nasz młody przyjaciel, malarz włoski, René Paresce. Chłopcy zaczęli uczęszczać do miejscowej szkoły. Wiosna była piękna, zieleń wydawała się szczególnie delikatna i miła. Ale liczba czarno ubranych kobiet wciąż wzrastała. Uczniowie tracili ojców. Dwie armje zagrzebały się w ziemi. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Clemenceau w gazecie swej zaczął atakować Joffre’a. Podziemna reakcja szykowała się do zamachu stanu. Wiadomości o tem podawano sobie z ust do ust. Na łamach „Temps’a” przez jeden czy dwa dni, parlamentu nie nazywano inaczej, jak osłem. Od socjalistów wszakże „Temps” domagał się surowo przestrzegania jedności narodowej.

Brakowało Jaurès'a. Odwiedziłem kawiarnię „Croissant”, w której został zabity: opanowała mnie chęć znalezienia jego śladów. Politycznie był mi Jaurès daleki, nie można jednak było oprzeć się urokowi tej potężnej postaci. Świat wewnętrzny Jaurès'a, na który składały się tradycje narodowe, metafizyka pierwiastków moralnych, ukochanie maluczkich i wyobraźnia poetycka, nacechowany był w takim samym stopniu wyraźnym piętnem arystokratyzmu, w jakim oblicze duchowe Bebla cechowała plebejuszowska prostota. Obaj jednak o całą głowę przerastali swych następców. Słyszałem Jaurès'a na paryskich zebraniach ludowych, na kongresach międzynarodowych i podczas obrad komisyjnych. Ale za każdym razem słuchałem go tak, jakbym go słyszał po raz pierwszy: Nie operował rutyną, nie powtarzał się nigdy w głównym wątku, zawsze odnajdywał siebie samego, zawsze mobilizował na nowo podglebne źródła swego ducha. Obok potężnej siły żywiołowej, jak spadająca wdół kaskada, posiadał wielkie zasoby łagodności, która przebijała w jego twarzy, niby odbłask wyższej kultury ducha. Kruszył skały, grzmiał, wstrząsał, nigdy jednak nie ogłuszał siebie samego, zawsze stał na posterunku, bacznie chwycił uchem każdy odgłos, odpierał zarzuty, czasami bezlitośnie, jak huragan, zmiatał wszelkie przeszkody na swej drodze, czasem znowu pouczał wyrozumiale i łagodnie, jak nauczyciel, jak starszy brat. Jaurès i Bebel byli antypodami, a jednocześnie szczytami drugiej Międzynarodówki. Obaj posiadali wybitne cechy narodowe: Jaurès ze swym ptomiennym lатыńskim krasomówstwem i Bebel ze swą protestancką oschłością. Kochałem obu, ale w odmienny sposób. Bebel wyczerpał się fizycznie. Jaures padł w pełni rozkwitu. Obaj jednak umarli we właściwym czasie. Śmierć ich jest znakiem granicznym owego okresu, w którym skończyła się postępową misją historyczną Drugiej Międzynarodówki.

Francuska partja socjalistyczna była w stanie zupełnej demoralizacji. Nie było nikogo, ktoby mógł zająć miejsce Jaurès'a. Vaillant, stary „antymilitarysta”, wypisywał codziennie artykuły o skrajnie szowinistycznym charakterze. Spotkałem starego przypadkiem w Komitecie Działania, składającym się z delegatów partji i związków zawodowych. Vaillant stał się podobny do swego własnego cienia, – cienia blankizmu, połączonego z tradycjami wojen sansculotte'ów w epoce Rajmunda Poincaré'go. Francja przedwojenna, pozbawiona przyrostu ludności, posiadająca konserwatywne formy życia i myślenia gospodarczego, wydawała się Vaillant'owi jedynym krajem postępu i ruchu, krajem wybranym, narodem-oswobodzicielem, którego dotknięcie wystarczy, aby pobudzić inne narody do życia duchowego. Socjalizm jego był w równej mierze szowinistyczny, jak jego szowinizm – mesjanistyczny. Jules Guesde, przywódca odłamu marksowskiego, wyczerpany długą męczącą walką z fetyszami demokracji, zdobył się tylko na złożenie swego nieposzlakowanego autorytetu moralnego na „ołtarzu” obrony narodowej. Wszystko się pomieszało. Marcel Sembat, autor książki „Zróbcie króla, albo zróbcie pokój!” sekundował Guesde'owi w rządzie... Briand'a. Pierre Renaudel został tymczasowo „kierownikiem” partji. Ostatecznie musiał przecież ktoś zająć puste miejsce po Jaurès'ie. Nadwyrężając swe siły, Renaudel naśladował zabitego wodza gestami i grzmiącym głosem. Longuet szedł w ślady Renaudel'a, ale zdradzał przy tem pewną nieśmiałość, którą podawał za lewicowość. Całem swem zachowaniem przypominał o tem, że Marks nie ponosi odpowiedzialności za swych wnuków. Oficjalny syndykalizm, reprezentowany przez prezesa Powszechnej Konfederacji

Jouhaux, zblakł w ciągu dwudziestu czterech godzin. „Nie uznawał” on państwa w czasie pokoju, aby paść przed niem na kolana w czasie wojny. Błazen rewolucyjny, Hervé, wczorajszy skrajny antymilitarysta, wyrzucił się na nice i, jako skrajny szowinista, pozostał nadal tym samym zadowolonym ze siebie błaznem. Jakby gwoli jaskrawszemu szyderstwu z idei dnia wczorajszego, pismo jego nazywało się w dalszym ciągu „La guerre sociale”. Wszystko razem wzięte przypominało jakąś żalobną maskaradę, jakiś taniec makabryczny. Trudno było powstrzymać się od uwagi: nie, my zrobieni jesteśmy z solidniejszego materiału, – zdarzenia nie zaskoczyły nas znieca, przewidzieliśmy coś niecoś, przewidujemy wiele i teraz i na niejedną rzecz jesteśmy przygotowani. Ileż to razy zaciskaliśmy pięści, kiedy tacy Renaudelowie, tacy Hervé e tutti quanti usiłowali na odległość bratać się z Karolem Liebknechtem! Poszczególne jednostki opozycyjne rozsiane były tu i owdzie w partji i w związkach zawodowych, ale nie dawały prawie znaków życia.

Najwybitniejszą postacią wśród emigrantów rosyjskich w Paryżu był niewątpliwie Martow, przywódca mieńszewików, jeden z najzdolniejszych ludzi, jakich wogóle spotkałem w swem życiu. Los, na nieszczęście Martowa, uczynił zeń polityka w dobie rewolucyjnej, nie obdarzywszy go niezbędnym do tego zapasem woli. W gospodarce duchowej Martowa brak było równowagi, co ujawniało się w sposób tragiczny za każdym razem, kiedy następowały wielkie wydarzenia. Obserwowałem Martowa podczas trzech etapów historycznych: w r. 1905, w r. 1914 i w r. 1917. Pierwsza reakcja na wydarzenia miała u Martowa prawie zawsze charakter rewolucyjny. Ale zanim zdążył utrwalić idee swe na papierze, już ogarniały go wątpliwości. Nieprzeciętnym jego, giętkim i różnorodnym myśлом brakowało cementu woli. W listach z r. 1905 do Axelroda, w czasie największego napięcia pierwszej rewolucji, Martow utyskuje, że nie potrafi skupić swych myśli. Nie skupił ich w istocie aż do chwili, kiedy nastąpiła reakcja. W początkach wojny skarży się znów Axelrodowi, że zdarzenia doprowadziły go do granicy szaleństwa. W 1917 roku wreszcie robi niezdecydowany ruch w lewo i we frakcji swej ustępuje kierownictwo Ceretemu i Danowi, czyli dwum osobnikom, z których pierwszy pod względem umysłowym, drugi zaś pod wszystkimi względami nie sięgali mu nawet do kolan.

14 października 1914 roku Martow pisał do Axelroda: „Prędzej, niż z Plechanowem, moglibyśmy się może dogadać z Leninem, który, zdaje się, szykuje się do walki z oportunizmem w Międzynarodówce”. Nastroje te nie trwały jednak u Martowa długo. W Paryżu zastałem go już w stanie stopniowego wędnięcia. Współpraca nasza w „Naszem Słowie” w pierwszych dniach zaraz stała się zaciętą walką, która zakończyła się wystąpieniem Martowa z redakcji, a następnie nawet zaprzestaniem przezeń współpracy w tem piśmie.

Wkrótce po przyjeździe do Paryża odszukałem razem z Martowem Monatte'a, jednego z redaktorów pisma syndykalistycznego „La vie ouvrière”. Były nauczyciel, później korektor, z wyglądu typowy robotnik paryski, człowiek bardzo mądry i obdarzony silnym charakterem, Monatte ani na chwilę nie skłaniał się na stronę przymierza z militaryzmem i państwem burżuazyjnym. Ale gdzie należało szukać wyjścia z sytuacji? Nie zgadzaliśmy się na tym punkcie. Monatte „nie uznawał” państwa i walki politycznej. Państwo zlekceważyło jego poglądy i zmusiło go do włożenia czerwonych

spodni po jego wystąpieniu z jawnym protestem przeciwko szowinizmowi syndykalistycznemu. Dzięki Monatte'owi, poznałem się bliżej z dziennikarzem Rosmerem, który również należał do szkoły anarchistyczno-syndykalistycznej, ale, jak dowiodły dalsze wypadki, wtedy już w zasadzie znacznie bliższy był marksizmu, niż stronnicy Guesde'a. Z Rosmerem od tego czasu łączyła nas serdeczna przyjaźń, która wytrzymała próbę wojny, rewolucji, rządu sowieckiego i pogromu opozycji... W ten sam sposób zawarłem znajomość z szeregiem nieznanymi mi przedtem działaczy francuskiego ruchu robotniczego: z sekretarzem związku metalowców, ostrożnym, wyrachowanym, przymilnym Merrheimem, którego okres był pod wszelkimi względami tak smutny, z dziennikarzem Guilbeaux, skazanym później zaocznie na śmierć za domniemaną „zdradę”, z sekretarzem syndykatu bednarzy „tatuńciem” Bourderon, z nauczycielem Lorient, który szukał drogi wyjścia ku rewolucyjnemu socjalizmowi, i z wieloma innymi. Spotykaliśmy się co tydzień na Quai Jemappe, czasami zbieraliśmy się w większej liczbie na Gronge-aux-Belles, dzieliliśmy się zakulisowymi wiadomościami o wojnie i robocie dyplomatów, krytykowaliśmy oficjalny socjalizm, doszukiwaliśmy się oznak ocknienia socjalistycznego, przekonywaliśmy wahających się, przygotowaliśmy przyszłość.

4 sierpnia 1915 roku pisałem w „Naszem Słowie”: „Mimo wszystko, obchodzimy krwawą rocznicę, nie tracąc animuszu i nie oddając się sceptycyzmowi politycznemu. My, międzynarodowcy rewolucyjni, wytrwaliśmy podczas olbrzymiej katastrofy światowej na stanowiskach analizy, krytyki i przewidywania. Wyrzekliśmy się wszystkich „narodowych” okularów, które wydawano ze sztabów generalnych nie tylko tanio, ale nawet z dopłatą. Widzieliśmy nadal rzeczy takimi, jakimi są w rzeczywistości, nazywaliśmy je po imieniu i przewidywaliśmy logiczną linię ich dalszego ruchu”.

I teraz, po upływie lat trzynastu, śmiało mogę powtórzyć te słowa. Poczucie przewagi nad oficjalną myślą polityczną, wliczając również i patriotyczny socjalizm, które nie opuszczało nas ani na chwilę, nie było owocem bezpodstawnej zarozumiałości. Uczucie to nie miało w sobie nic osobistego, wynikało ono z naszego zasadniczego stanowiska: staliśmy na Wysokim wzniesieniu. Krytyczny punkt widzenia dawał nam przede wszystkim możliwość łatwiejszego dostrzegania perspektywy samej wojny. Jak wiadomo, obie strony liczyły na szybkie zwycięstwo. Świadectw lekkomyślnego optymizmu można by zebrać bez liku. „Mój francuski kolega – opowiada w swych pamiętnikach Buchanan – był przez pewien czas tak optymistycznie usposobiony, że założył się ze mną o 5 funtów szterlingów, że wojna skończy się przed Bożym Narodzeniem”. Sam Buchanan odkładał w głębi duszy koniec wojny najdalej do Wielkiejnocy. Poczynając od jesieni 1914 roku, powtarzaliśmy codziennie w naszej gazecie, naprzekór wszystkim oficjalnym prorocstwom, że wojna przeciągnie się do nieskończoności i że cała Europa wyjdzie z niej zrujnowana. Dziesiątki razy pisaliśmy w „Naszem Słowie”, że nawet na wypadek zwycięstwa sprzymierzonych, Francja po wojnie, kiedy rozwieje się dym i swąd, będzie w najlepszym wypadku odgrywać na arenie międzynarodowej rolę dużej Belgii. Przewidywaliśmy z całą pewnością przyszłą dyktaturę światową Stanów Zjednoczonych. „Imperializm – pisaliśmy po raz setny w dniu 5 września 1916 roku – stawia w tej wojnie na silnych: do nich będzie należał świat”.

Z Sèvre rodzina moja dawno już przeniosła się do Paryża na małą uliczkę Oudry. Paryż wyludniał się coraz bardziej. Zegary uliczne stawały jeden po drugim. Z paszczy lwa z Belfort, niewiadomo dlaczego, sterczała brudna słoma. Wojna dalej zakopywała się w ziemię. Wydostać się z okopów, z bezwładu, z jamy, z nieruchomości – oto był jęk patriotyczny. Ruchu! Ruchu! W ten to sposób wyhodowano straszliwe szaleństwo walk pod Verdun. W owe dni, wijąc się pod ciosami cenzury wojennej, pisałem w „Naszem Słowie”: „Aczkolwiek walki pod Verdun są z wojskowego punktu widzenia zmaganiem wielkiej wagi, to jednak polityczne ich znaczenie jest jeszcze o wiele większe. W Berlinie i w innych miejscowościach (sic) ci, co domagali się „ruchu” – będą go mieli. Uwaga! Pod Verdun kują nasz „dzień jutrzejszy”. W lecie 1915 roku przyjechał do Paryża włoski deputowany Morgnari, sekretarz frakcji socjalistycznej parlamentu rzymskiego, naiwny eklektyk. Miał on zamiar wpłynąć na francuskich i angielskich socjalistów, aby wzięli udział w konferencji międzynarodowej. Na tarasie kawiarni na jednym z wielkich bulwarów urządziliśmy, przy udziale Morgnari’ego, naradę z kilkoma deputowanymi socjalistycznymi, którzy z niewiadomych powodów uważali siebie za „lewicowców”. Wszystko szło dość składnie, dopóki rozmowa polegała na deklamacjach pacyfistycznych i powtarzaniu komunałów o konieczności przywrócenia stosunków międzynarodowych. Ale kiedy Morgnari zagadał tragicznym szeptem o fałszywych paszportach, które należy wydostać, aby móc wyjechać do Szwajcarii – pociągała go, najwidoczniej, „carbonarska” strona sprawy, – miny panów deputowanych bardzo zrzedły, jeden z nich zaś, nie pamiętam już który, skinął na kelnera i zapłacił spieszenie za kawę, skonsumowaną przez uczestników narady. Duch Molière’a unosił się nad tarasem i bodaj że również i duch Rabelais. Na tem skończyła się cała sprawa. Śmieliśmy się bardzo, śmiechem wesołym i gniewnym zarazem, gdyśmy wraz z Martowem wracali z tej narady. Monatte i Rosmer zostali już zmobilizowani, nie mogli więc pojechać. Wybrałem się na konferencję wraz z Bourderon’em i Merrheim’em, bardzo umiarkowanymi pacyfistami. Fałszywe paszporty okazały się zupełnie zbędne, gdyż władze, nie wyzbywszy się jeszcze całkowicie zwyczajów przedwojennych, wydały nam legalne dokumenty.

Organizacją konferencji zajmował się berneński przywódca socjalistów, Grimm, który za wszelką cenę usiłował podówczas wznieść się ponad filisterski poziom swej partji i swój własny. Przygotował lokal konferencyjny w odległości dziesięciu kilometrów od Berna, w położonej wysoko w górach małej wiosce Zimmerwald. Delegaci wcisnęli się do czterech breków i wyruszyli w góry. Przechodnie przyglądali się z zaciekawieniem tej niepowседневnej karawanie. Delegaci żartowali sobie z tego, że po upływie pięćdziesięciu lat od chwili założenia Międzynarodówki można było wszystkich intemacjonalistów wpakować do czterech pojazdów. Żarty te nie tchnęły jednak sceptycyzmem. Nić historii przerywa się niejednokrotnie. Trzeba wtedy zadzierzgnąć nowy węzeł. Nad tem trudziliśmy się właśnie w Zimmerwaldzie.

Konferencja, która trwała od 5 do 8 września, miała przebieg burzliwy. Rewolucyjne skrzydło z Leninem na czele nie tak łatwo mogło dojść do porozumienia, w sprawie wydania zaprojektowanego przeze mnie manifestu, ze skrzydłem pacyfistycznym, które zgrupowało większą część delegatów. Manifest nie mówił bynajmniej o wszystkim, o czem mówić należało.

Stanowił jednak znaczny krok naprzód, Lenin reprezentował na konferencji kierunek najskrajniej lewicowy. W szeregu spraw nie uzyskał poparcia lewicy zimmerwaldzkiej, do której nie należałem formalnie, aczkolwiek byłem jej bardzo bliski we wszystkich kardynalnych zagadnieniach. W Zimmerwaldzie Lenin mocno przykręcił śrubę, gotując się do przyszłej działalności międzynarodowej. W górskiej wiosce szwajcarskiej kładł podwaliny rewolucyjnej Międzynarodówki.

Delegaci francuscy wskazali w swym referacie na rolę, jaką odegrało u nich „Nasze Słowo” przez nawiązanie łączności ideowej z ruchem internacjonalistycznym w innych krajach. Rakowski nadmienił, że „Nasze Słowo” w znacznym stopniu przyczyniło się do skryształowania stanowiska międzynarodowego wśród bałkańskich partii socjal-demokratycznych. Włoska partja знаła „Nasze Słowo” dzięki licznym przekładom Bałabanowej. Najczęściej jednak, cytowano „Nasze Słowo” w prasie niemieckiej nie wyłączając też prasy pół-oficjalnej: podczas gdy Renaudel chciał oprzeć się na Liebknechte, Scheidemann gotów był zaliczyć nas do grona swych sprzymierzeńców.

Liebknecht nie przyjechał do Zimmerwaldu. Zanim został jeńcem, zamkniętym w murach więziennych, był już. zawczasu jeńcem armji Hohenzollernów. Przesłał na konferencję list, który był świadectwem ostrego zwrotu od pacyfistycznej ku rewolucyjnej linii postępowania. Imię Liebknechta wymawiano często na konferencji. Stało się już ono zawołaniem w walce, która rozdierała socjalizm całego świata.

Surowo zabroniono nam pisać z Zimmerwaldu o konferencji, aby wiadomości o niej nie ukazały się przedwcześnie w prasie, co mogłoby narazić delegatów na trudności podczas przejazdu przez granicę na powrotnej drodze. Nieznana przedtem nikomu nazwa Zimmerwaldu rozbrzmiewała po upływie kilku dni we wszystkich zakątkach świata. Wywarło to wstrząsające wrażenie na właścicielu hotelu. Rycerski Szwajcar oświadczył Grimmowi, że gotów jest wpłacić pewną kwotę na fundusz Trzeciej Międzynarodówki, gdyż spodziewa się, że posiadłość jego zyska poważnie na wartości. Przypuszczam jednak, że szybko to sobie wyperswadował.

Konferencja w Zimmerwaldzie przyczyniła się bardzo do rozwoju antywojennego ruchu w wielu krajach. Spartakusowcy w Niemczech rozszerzyli zakres swej roboty. We Francji powstał „Komitet do nawiązywania stosunków międzynarodowych”. Robotnicze żywiły rosyjskiej kolonji w Paryżu zespoliły się przy „Naszem Słowie”, aby ratować je z pieniężnych i wszelkich innych kłopotów. Martow, który początkowo były gorliwym współpracownikiem „Naszego Słowa”, odsunął się teraz od pisma. Drobne w istocie swej różnice, które dzieliły mnie od Lenina w Zimmerwaldzie, wyrównały się zupełnie w ciągu kilku miesięcy.

A tymczasem nad naszymi głowami zbierały się chmury, które w ciągu 1916 roku stawały się coraz groźniejsze. Reakcyjna gazeta „Liberté” drukowała jako płatne ogłoszenia czyjeś wzmianki, w których pomawiano nas o germanofilstwo. Coraz częściej otrzymywaliśmy listy anonimowe z pogrózkami. Zarówno zarzuty, jak i pogróżki pochodziły niewątpliwie z poselstwa rosyjskiego. Koło naszej drukarni kręciły się stale jakieś podejrzone indywidua. Hevré groził nam palcem policjanta. Profesor Durckheim, przewodniczący rządowej komisji do spraw wychodźców rosyjskich, poinformował nas, że w kołach rządowych mówią o zamknięciu „Naszego

Słowa” i wydaleniu redaktora. Sprawa odwlekała się jednak. Nie było do czego się przyczepić, gdyż nie uchybiałem żadnym przepisom prawa, a szanowałem nawet bezprawia cenzury. Bez jakiegoś przyzwoitego pretekstu nic nie można było przesiewzić. To też pretekst taki znalazł się wreszcie, a właściwie został sztucznie stworzony.

ROZDZIAŁ XX

WYDALENIE Z FRANCJI

Po moim przyjeździe do Konstantynopola, niektóre pisma francuskie zamieściły wiadomość, że rozkaz, wydawalający mnie z granic Francji, nie utracił jeszcze dzisiaj, po 13 latach, mocy obowiązującej. Gdyby wiadomość ta miała być prawdziwa, to możnaby jeszcze raz się przekonać, że nie wszystkie wartości uległy zniszczeniu podczas najokropniejszej ze wszystkich katastrof, jakie dotknęły świat. Coprawda w owych latach całe generacje legły, skoszone kartaczami, w gruzy rozpadły się liczne miasta, cesarskie i królewskie korony poniewierały się na ugorach Europy, państwa zmieniły granice, przesunęły się zakazane dla mnie granice Francji. Ale zato rozkaz, podpisany przez p. Malvy wczesną jesienią roku 1916-go, zdołał przetrwać szczęśliwie ten straszliwy kataklizm. I cóż z tego, że sam p. Malvy zdążył przez ten czas być na wygnaniu i wrócić zpowrotem do kraju? Nieraz to już w historii się zdarzało, że dzieło rąk ludzkich okazywało się silniejsze od samego twórcy.

Jakiś surowy prawnik może coprawda zaoponować, że nie widzi niezbędnej ciągłości w istnieniu rozkazu. Wszak w roku 1918 francuska misja wojskowa w Moskwie oddała swych aktywnych oficerów do mojej dyspozycji. Wątpię, czy byłoby to możliwe w stosunku do „niepożądanego” cudzoziemca, któremu zabroniono wjazdu do Francji. Wszak dnia 10-go października 1922 roku Herriot złożył mi w Moskwie wizytę, nie po to chyba, żeby przypomnieć „mi o rozkazu, wydalającym mnie z Francji. Przeciwnie, to ja wspomniałem o tym rozkazu, gdy p. Herriot zapytał mnie uprzejmie, kiedy mam zamiar zawitać do Paryża. Ale i uczyniona przeze mnie aluzja miała żartobliwy charakter. Śmieliśmy się obydwaj, każdy z nas coprawda z czego innego, ale bądź co bądź obydwaj jednocześnie. Wszak w roku 1925, podczas otwarcia szatarskiej elektrowni, poseł francuski, p. Herbet, odpowiedział w imieniu obecnych dyplomatów na moją mowę bardzo uprzejmymi życzeniami, w których nawet najrygorystyczniejsze ucho nie mogłoby doszukać się jakichkolwiek odgłosów rozkazu p. Malvy. I cóż z tego wszystkiego wynika? Słuszną rację miał jeden z dwóch inspektorów policyjnych, którzy na jesieni roku 1916-go odwozili mnie z Paryża aż do Irunu, gdy tłumaczył mi: – Rządy zmieniają się, przychodzą i odchodzą, – policja pozostaje.

Aby okoliczności, towarzyszące mojemu wydaleniu z Francji, były bardziej zrozumiałe, należy poświęcić kilka słów warunkom, w których egzystowała redagowana przeze mnie mała gazeta rosyjska. Największym jej wrogiem było, ma się rozumieć, poselstwo carskie. Tłumaczono tam pilnie artykuły z „Naszego Słowa” na język francuski i, zaopatrzwszy je w odpowiednie komentarze, posyłało na Quai d’Orsay i do ministerstwa wojny. Z ministerstwa zaczynały się pełne niepokoju telefony do naszego cenzora wojskowego, monsieur Chasles’a, który, jako nauczyciel języka francuskiego, spędził przed wojną w Rosji wiele lat. Chasles nie odznaczał się zbytnią stanowczością. Wahał się zazwyczaj i wątpliwości swe rozstrzygał w myśl

zasady, że lepiej skreślić, niż zostawić. Szkoda wielka, że nie zastosował tej zasady również do napisanego przez siebie po kilku latach niesłuchanie marnego życiorysu Lenina... Jako nastraszony cenzor, Chasles niedość, że brał w obronę cara, carową, Sazonowa, marzenia dardanelskie Milukowa, ale opiekował się też i Rasputinem. Bez wielkich wysiłków możnaby udowodnić, że walka, prowadzona z „Naszem Słowem” – prawdziwa wojna aż do wyczerpania – nie była skutkiem kierunku międzynarodowego, któremu hołdowała gazeta, lecz że walkę tę spowodowała rewolucyjna pozycja, zajęta wobec carskiego absolutyzmu. Pierwszego ostrego paroksyzmu cenzury doświadczyliśmy na sobie podczas rosyjskich zwycięstw w Galicji: poselstwo carskie zyskiwało niepomiernie na zuchwalstwie z każdym najdrobniejszym triumfem oręża rosyjskiego. Doszło tym razem do całkowitego skreślenia nekrologu hrabiego Witte, włącznie z nazwą artykułu, która składała się z pięciu liter zaledwie: Witte. Należy nadmienić, że w tym samym czasie w oficjalnym organie petersburskiego urzędu morskiego ukazywały się artykuły, zawierające niesłuchanie zuchwałe napaści na republikę francuską, oraz drwiny z parlamentu wraz z jego „marnymi królikami”-deputowanymi. Z zeszytem pisma petersburskiego w ręku, udałem się do cenzora, aby uzyskać wyjaśnienia.

– Ja tu, właściwie, nic nie mam do powiedzenia, – oświadczył mi p. Chasles – gdyż wszelkie instrukcje w sprawach wydawnictwa panów pochodzą z ministerstwa spraw zagranicznych. Może życzy pan sobie pomówić z jednym z naszych dyplomatów?

Po upływie pół godziny zgłosił się do ministerstwa wojny siwowłosy dyplomatyczny gentelman. Pomiedzy nami wywiązał się taki, mniej-więcej, dialog, zanotowany przeze mnie niebawem po jego ukończeniu.

– Czy pan nie może mi wytłumaczyć, dlaczego skreślono mi artykuł o biurokracie rosyjskim, dymisjonowanym, ponadto – znajdującym się w niełasce, a co więcej – zmarłym i co ma właściwie wspólnego zastosowany to środek z operacjami wojennymi?

– Otóż, widzi pan, artykuły tego rodzaju sprawiają im przykrość – odparł dyplomata, kiwając głową w sposób nieokreślony, przypuszczalnie w kierunku, w którym znajdowało się poselstwo rosyjskie.

– Ale my właśnie piszemy, żeby im było przykro...

Dyplomata uśmiechnął się pobłażliwie na tę odpowiedź, jakgdyby usłyszał niewinny żart.

– Jesteśmy w stanie wojny. Zależymy od naszych sprzymierzeńców.

– Pan chce powiedzieć, że ustrój wewnętrzny Francji znajduje się pod kontrolą dyplomacji carskiej? Czyż wobec tego przodkowie wasi nie popełnili aby błędu, ścinając głowę Ludwikowi Capet’owi?

– O, pan przesadza. Proszę przytem nie zapominać, że my prowadzimy wojnę...

Rozmowa stawała się zupełnie bezprzedmiotowa. Dyplomata tłumaczył mi z wyszukaniem uprzejmym uśmiechem, że żywi dygnitarze, jako że są śmiertelni, nie lubią, kiedy mówi się źle o umarłych. Po tem spotkaniu wszystko szło dawnym trybem. Cenzor kreślił. Częstokroć zamiast gazety ukazywał się arkusz białego papieru.

Nigdy nie zawiniliśmy uchybieniem w czemkolwiek woli pana Chasles’a. Pan Chasles jeszcze mniej skłonny był do sprzeciwiania się woli tych, którzy go wysłali.

Mimo wszystko, we wrześniu 1916 roku zaprezentowano mi w prefekturze rozkaz wydalenia mojej osoby z granic Francji. Co wywołało ten rozkaz? Nie powiedziano mi o tem ani słowa. Zczasem tylko wykryło się, że za pretekst posłużyła złośliwa prowokacja, zorganizowana we Francji przez rosyjską ochronę.

Kiedy deputowany Jean Longuet zjawił się u Brianda, aby zgłosić protest, a właściwie dać wyraz żalowi – protesty Longuet’a brzmią zawsze, jak najdelikatniejsza melodia – z powodu wydalenia mnie, francuski prezes ministrów odparł mu: – A czy panu wiadome, że „Nasze Słowo” znalezione w Marsylii u żołnierzy rosyjskich, którzy zabili swego pułkownika? – Longuet nie spodziewał się tego. Wiedział o „zimmerwaldzkim” kierunku gazety – z tem mógł się jeszcze jako tako pogodzić, – ale zabójstwo pułkownika musiało go zaskoczyć. Longuet zwrócił się po informacje do moich francuskich przyjaciół, ci z kolei do mnie, ale wiedziałem o zabójstwie w Marsylii nie więcej od nich. Do sprawy tej wtrącili się przypadkowo korespondenci rosyjskiej prasy liberalnej, patriotyczni przeciwnicy „Naszego Słowa”, i wyjaśnili szczegóły historii marsylskiej. Chodziło o to, że jednocześnie z dostarczeniem na ziemię republikańską żołnierzy rosyjskich – ze względu na niewielką ich liczbę, oddziały te nazywano „symbolicznymi”, rząd carski mobilizował spieszenie odpowiednią ilość szpiegów i agentów-prowokatorów. W ich liczbie znajdował się niejaki Winning (o ile się nie mylę), który przyjechał z Londynu z poleceniem od konsula rosyjskiego. Winning rozpoczął od tego, że usiłował namówić najbardziej umiarkowanych korespondentów rosyjskich, by uczestniczyli w propagandzie „rewolucyjnej” wśród żołnierzy. Natrafił tu jednak na opór. Do redakcji „Naszego Słowa” nie śmiał się zwrócić, nie wiedzieliśmy więc wcale o jego istnieniu. Poniósłszy porażkę w Paryżu, Winning udał się do Tulonu, gdzie uzyskał widocznie pewien posłuch wśród marynarzy rosyjskich, którym trudniej było przejrzeć z kim mają do czynienia. „Grunt dla naszej pracy jest tu bardzo podatny, przyslijcie rewolucyjne książki i gazety” – pisał na chybił-trafił Winning z Tulonu do poszczególnych dziennikarzy rosyjskich, ale nie otrzymał od nich odpowiedzi. Na rosyjskim krążowniku „Askold” rozpoczęła się w Tulonie ruchawka, którą stłumiono w okrutny sposób. Rola, jaką w tej sprawie odegrał Winning, była tak wyraźna, że uznał on za wskazane przenieść swą działalność do Marsylii. I tam również grunt okazał się „podatny”. Przy niewątpliwym współdziałaniu Winninga, wybuchł bunt wśród rosyjskich żołnierzy, który zakończył się zabójstwem pułkownika Krausego: zabito go kamieniami na podwórzu koszarowym. Przy aresztowanych żołnierzach, zamieszanych w tę sprawę, znaleziono egzemplarze tego samego numeru „Naszego Słowa”. Gdy dziennikarze rosyjscy przyjechali do Marsylii, aby dowiedzieć się, co się tam wydarzyło, oficerowie zakomunikowali im, że podczas buntu niejaki Winning wtykał wszystkim „Nasze Słowo”, czy ktoś tego chciał, czy nie chciał. Dlatego jedynie znaleziono gazetę u aresztowanych, którzy nie mieli nawet czasu, aby ją przeczytać.

Zaznaczyć należy, że natychmiast po rozmowie Longuet’a z Briandem o mojem wydaleniu, t. zn. zanim wyjaśniła się rola Winninga w tej sprawie, w liście otwartym do Jules’a Guesde’a dałem wyraz przypuszczeniu, że „Nasze Słowo” mogło być w stosownej chwili umyślnie rozdane żołnierzom przez jakiegoś prowokatora. Przypuszczenie to, prędzej, aniżeli się tego mogłem spodziewać, uzyskało niezaprzeczalne potwierdzenie ze strony zaciętych

wrogów pisma. Nic to jednak nie pomogło. Dyplomacja carska zbyt wyraźnie dała do zrozumienia rządowi republikańskiemu, że jeżeli pragnie, aby mu przysyłano żołnierzy rosyjskich, powinien, nie zwlekając, zburzyć gniazdo rewolucjonistów rosyjskich. Cel został osiągnięty: wahający się do owej chwili rząd francuski zabronił wydawania „Naszego Słowa”, minister zaś spraw wewnętrznych, Malvy, podpisał przygotowany zawczasu przez prefekta policji rozkaz wydalenia mnie z Francji.

Ministerstwo uważało teraz, że jest całkowicie i dobrze kryte. Nie tylko Jean’owi Longuet, ale i kilku innym deputowanym, między innymi prezesowi komisji parlamentarnej, Leygues’owi, Briand podawał historję marsylską, jako przyczynę mego wydalenia. Wywierało to zamierzony skutek. Ponieważ jednak „Nasze Słowo” nie mogło nawoływać do zabójstwa pułkownika, znajdowało się bowiem pod ścisłą cenzurą i było w wolnej sprzedaży w kioskach paryskich, cała sprawa pozostawała nadal zagadką – aż dopóki nie ujawniono jej prowokacyjnego podłoża. Wiadomości o tej historii dotarły również do izby deputowanych. Opowiadano mi, że ówczesny minister oświaty, Painleve, gdy przedstawiono mu zakulisową stronę sprawy, zawołał: – To hańba... tego nie można tak zostawić! – Było to jednak w czasie wojny. Car był sprzymierzeńcem. Nie można było zdezawuować Winninga. Nie pozostawało nic innego, jak wykonać rozkaz Malvy’ego.

Paryska prefektura powiadomiła mnie, że zostanę wydalony z Francji do jednego z krajów, który sam sobie wybiorę. Zresztą uprzedzono mnie natychmiast, że Anglja i Włochy zrzekają się zaszczytu goszczenia mnie w swoich granicach. Pozostawał powrót do Szwajcarii. Ale – niestety – poselstwo szwajcarskie kategorycznie odmówiło mi wizy. Telegrafowałem do szwajcarskich przyjaciół i otrzymałem uspokajającą odpowiedź: sprawa zostanie rozstrzygnięta w sensie dodatnim. Poselstwo szwajcarskie odmawiało mi jednak nadal wizy. Jak się później okazało, poselstwo rosyjskie, przy pomocy sprzymierzeńców, wywarło odpowiednią presję na Bern i władze szwajcarskie umyślnie zwlekały z załatwieniem sprawy, żeby dać czas na wydalenie mnie z Francji. Do Holandji i krajów skandynawskich można było dostać się tylko przez Anglję. Ale rząd angielski odmówił mi kategorycznie prawa przejazdu. Pozostawała tylko Hiszpanja. Ale ja sam nie zgodziłem się na dobrowolny wyjazd na półwysep Pirenejski. Blisko sześć tygodni trwały tarapaty z policją paryską. Szpicle deptali mi po piętach, dyżurowali przed mojem mieszkaniem i przed redakcją naszej gazety, nie spuszczając mnie z oka. Władze paryskie postanowiły wreszcie uciec się do ostrych środków. Prefekt policji Laurent zaprosił mnie do siebie i uprzedził, że ponieważ nie zgadzam się na dobrowolny wyjazd, zgłosi się do mnie dwóch inspektorów policji – w „cywilnem ubraniu, zresztą” – dodał uprzedzając grzecznie. Poselstwo carskie dopięło swego: zostałem z Francji wydalony.

W szczegółach opowiadania mego, opartego na notatkach z owych czasów, mogą być drobne niedokładności. Ale wszystkie fakty zasadnicze są bezsporne. Ponadto większość osób, zamieszanych w tę historję, żyje po dziś dzień. Wiele z nich mieszka we Francji. Istnieją dokumenty. Ustalenie faktów nie byłoby rzeczą trudną. Osobiście nie wątpię, że gdyby wydobyto z archiwum policyjnego rozkaz Malvy’ego o mojem wydaleniu i poddano ten dokument daktyloskopijnemu badaniu, to gdzieś w rogu wykryłoby z pewnością odcisk wskazującego palca pana Winninga.

ROZDZIAŁ XXI

PRZEZ HISZPANJĘ

Dwaj inspektorzy policji czekali w moim mieszkaniu na malutkiej rue Oudry. Jeden z nich był niewielkiego wzrostu, w podeszłym już wieku, drugi był wielki, łysy, czarny, jak smoła, miał ze 45 lat. Ubranie cywilne leżało na obydwóch niezgrabnie, – gdy odpowiadali, przykładali rękę do niewidocznego daszka. Kiedy żegnałem się z przyjaciółmi i rodziną, policjanci w sposób bardzo dyskretny wysunęli się za drzwi. Starszy z nich, wychodząc, zdjął kilka razy kapelusz: – Excuser, madame.

Jeden z pary szpiclów, która w sposób niezmordowany i złośliwy tropiła mnie przez ostatnie dwa miesiące, stał przed bramą domu. Przyjaźnie, jakgdyby nigdy nic, poprawił mój pled i zamknął drzwiczki samochodu. Przypominał myśliwego, wydającego zwierzynę kupującemu. Ruszyliśmy z miejsca.

Pociąg pospieszny. Przedział trzeciej klasy. Okazuje się, że starszy inspektor jest tęgim geografem. Tomsk, Kazań, jarmark w Niżnim Nowogrodzie – wie wszystko. Włada językiem hiszpańskim, zna kraj. Drugi – ten wysoki i czarny, – zachowywał przez dłuższy czas milczenie i siedział zasepiony nauboczu. Wreszcie rozkrochmalit się. – Rasa łacińska drepcze wciąż na jednym miejscu, inne ludy wyprzedzają ją ciągle, – zabrał niespodziewanie głos, krając jednocześnie scyzorykiem kawałek wieprzowiny, rozłożony na włochatej ręce, ozdobionej ciężkimi pierścieniami. – Cóż nam daje literatura? Wszędzie upadek. W dziedzinie filozofji – również. Zupełny zastój od czasu

Descarte'a i Pascala... Łacińska rasa drepcze wciąż na miejscu. – Czekałem zdumiony na dalszy ciąg. Zamilkł jednak, zajęty przeżuwaniami słoniny z bułką. – Mieliście doniedawna Tołstoja. ale Ibsen jest dla nas bardziej zrozumiały od Tołstoja. – I znów zamilkł.

Stary, zdraśnięty w swej ambicji tym wybuchem erudycji, począł wyjaśniać, jakie znaczenie ma syberyjska droga żelazna. Uzupełniając i jednocześnie łagodząc pesymistyczną konkluzję swego kolegi, dodał wkońcu: – Tak, cierpimy na brak inicjatywy. Wszyscy chcą zostać urzędnikami. Smutne to, ale prawdziwe. – Słuchałem obydwuch z pokorą i pewnym zaciekawieniem.

– Śledzenie? Och, to teraz rzecz zupełnie niewykonalna. Śledzenie wtedy tylko jest skuteczne, gdy się go nie dostrzega, czyż nie tak? Trzeba otwarcie powiedzieć: metro zadało śmiertelny cios śledzeniu. Należałoby zalecić osobom, które się śledzi, aby nie wsiadały do metro, – dopiero wtedy śledzenie będzie możliwe. – Czarny roześmiał się ponuro. Stary rzekł, łagodząc: – Zdarza się często, że śledzimy kogoś i sami nie wiemy, niestety, dlaczego.

– My, policjanci jesteśmy sceptykami, – oświadczył znów czarny bez żadnych przejsć. – Wy macie swoje idee, my zaś strzeżemy tego, co istnieje. Weźmy chociażby Wielką Rewolucję. Co za ruch ideji. Po upływie czternastu

lat od rewolucji, lud był bardziej nieszczęśliwy, niż kiedykolwiek przedtem. Proszę przeczytać Taine'a... My, policjanci, jesteśmy konserwatystami z urzędu. Sceptycyzm jest jedyną filozofją, odpowiadającą naszemu zawodowi. Nikt, właściwie, nie wybiera sobie sam swej drogi. Wolna wola nie istnieje. Wszystko jest predestynowane przez bieg wydarzeń.

Począł ze stoicyzmem pić czerwone wino wprost z butelki, zakorkował butelkę i ciągnął dalej: – Renan powiedział, że nowe idee zawsze zjawiają się zbyt wcześnie. I tak jest w istocie.

W tej chwili czarny rzucił podejrzliwe spojrzenie na moją rękę, która przypadkiem spoczęła na klamce. Aby go uspokoić, schowałem rękę do kieszeni.

Tymczasem stary znów brał odwet: mówił o Baskach, ich języku, kobietach, przybraniach głowy i t. p. Zbliżaliśmy się do stacji Hendaye.

– Tutaj mieszkał Déroulède, nasz romantyk narodowy. Wystarczało mu, że widział stąd góry francuskie. Don Kiszot w swym hiszpańskim kąciku. – Czarny uśmiechnął się z wyrazem jakiejś twardej pobłażliwości. – Zechce pan pofatygować się za mną do komisariatu dworcowego.

W Irunie francuski żandarm zapytał mnie o coś, ale moja eskorta uczyniła jakiś znak masonski i poczęła mnie spiesźnie prowadzić przez przejścia dworcowe.

– C'est fait avec discretion? N'est ce pas? – zapytał mnie czarny. – Z Irunu może pan dojechać tramwajem do San-Sebastjan. Aby nie zwrócić na siebie uwagi policji hiszpańskiej, która jest bardzo podejrzliwa, musi pan mieć wygląd turysty. Od tej chwili – nie znam pana. Zgoda?

Pożegnaliśmy się oziębło...

Z San-Sebastjan, gdzie zachwyciłem się morzem i oburzałem na ceny, pojechałem do Madrytu. Znalazłem się w mieście, w którym nikogo, ale to nikogo nie znalazłem i gdzie mnie również nikt nie znał. Ponieważ, nadomiar, nie znałem języka hiszpańskiego, nie mógłbym być bardziej samotny na Saharze, albo w twierdzy Pietropawłowskiej. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak uciec się do języka sztuki. Przez dwa lata wojny można było zupełnie zapomnieć o jej istnieniu. Z chciwością zgłodniałego oglądałem nieprzebrane skarby muzeum madryckiego i wyczuwałem, jak niegdyś, pierwiastki „wieczności” w owej sztuce. Rembrandt, Ribera. Obrazy Boscha van Aeken, genialne w swej naiwnej radości życia. Stary dozorca dał mi lupę, abym mógł przyrzeć się maleńkim figurkom chłopów, osiołków i piesków na obrazach Miguela. Nie czuło się w tem muzeum zupełnie, że jest wojna, wszystko stało mocno na miejscu, barwy pędziły swój odrębny, przez nikogo niekontrolowany, żywot.

Zapisałem w muzeum do swego notatnika słowa następujące:

„Przed wojną dzieliła nas od starych mistrzów – wcale nie zasłaniając i nie pomniejszając ich – nowa sztuka, bardziej intymna, indywidualistyczna, zasobniejsza w odcienie, bardziej subiektywna i intensywna. Należy przypuszczać, że wojna spłóczy na dłuższy czas te nastroje i tę manierę, zastępując je namiętnościami i cierpieniami mas. Nie będzie to jednak zwykły powrót do starych form, może i pięknych nawet, do doskonałych kształtów anatomicznych i botanicznych, do bioder rubensowskich (aczkolwiek biodra będą grać, przypuszczalnie, niepoślednią rolę w nowej, powojennej, chciwej życia sztuce). Trudno jest stawiać jakieś horoskopy, ale z tych okropnych doświadczeń, które bezpośrednio ogarnęły prawie całą ludzkość kulturalną,

powinna przecież powstać nowa sztuka”...

Siedziałem w hotelu i, wyczekując odpowiedzi na listy, wysłane do Szwajcarii i Włoch, czytałem ze słownikiem w rękę gazety hiszpańskie. Wciąż jeszcze nie traciłem nadziei, że uda mi się przedostać do Szwajcarii. Czwartego dnia pobytu w Madrycie otrzymałem z Paryża list z adresem francuskiego socjalisty, Gabier, który był w Madrycie dyrektorem towarzystwa ubezpieczeń. Nie bacząc na zajmowane przezeń burżuazyjne stanowisko społeczne, Gabier okazał się zdecydowanym przeciwnikiem polityki patriotycznej, uprawianej przez jego partję. Dowiedziałem się od niego, że hiszpańska partja znajduje się pod przemożnym wpływem francuskiego socjalizmu patriotycznego. Poważna opozycja, składająca się z syndykalistów, istniała tylko w Barcelonie. Sekretarz partji socjalistycznej, Anguillano, którego chciałem odwiedzić, odsiadywał, jak się okazało, karę 15-to dniowego więzienia, nałożoną nań za lekceważącą opinię, wygłoszoną o jakimś świętym katolickim. W dawnych czasach Anguillano zostałby poprostu spalony na stosie.

Wyczekiwałem odpowiedzi ze Szwajcarii, uczyłem się słówek hiszpańskich, rozmawiałem z Gabier'em i zwiedzałem muzea. 9 listopada, pokojówka małego pensjonatu, w którym ulokował mnie Gabier, wylekzionemi gestami wywołała mnie na korytarz. W korytarzu ujrzałem dwóch drabów o zupełnie zdecydowanej powierzchowności, którzy niebardzo przyjaźnie poprosili mnie, abym im towarzyszył. Dokąd? Ma się rozumieć, do prefektury madryckiej. Posadzono mnie tam w kącie. – Jestem więc aresztowany? – spytałem.

– Tak jest, par una hora, dos horas (na godzinę, na dwie).

Przesiedziałem w prefekturze, nie zmieniając pozycji, siedem bitych godzin. O dziewiątej wieczorem zaprowadzono mnie na górę. Stałem przed dosyć licznym Olimpem.

– Za co zostałem właściwie aresztowany?

Proste to pytanie odrazu zbiło olimpijczyków z tropu. Wygłaszali pokolei najrozmaitsze hipotezy. Jeden powołał się na trudności paszportowe, czynione przez rząd rosyjski cudzoziemcom, udającym się do Rosji.

– Gdyby pan wiedział, ile my wydajemy pieniędzy na zwalczanie naszych anarchistów... – szukał inny mojego współczucia.

– Ale, panowie wybaczą, nie mogę przecież odpowiadać jednocześnie i za policję rosyjską i za hiszpańskich anarchistów.

– Rozumie się, rozumie się, to było powiedziane tylko dla przykładu...

– Jakich jest pan poglądów? – spytał mnie wreszcie szef po pewnym namyśle.

Wyłożyłem mu w sposób przystępny moje poglądy.

— No, widzi pan, – odpowiedział.

W konsekwencji, szef oznajmił mi przez tłumacza, że winienem, nie zwlekając, opuścić granice Hiszpanji: aż do chwili wyjazdu, wolność moja ulegnie „pewnym redukcjom”. – Hołduje pan zbyt postępowym (trop avancées) ideom, jak na Hiszpanję – szczerze oświadczył mi przez tłumacza.

O dwunastej w nocy agent policyjny odwiózł mnie dorożką do więzienia. Nieuniknione oględziny rzeczy w środku „gwiazdy”, w miejscu skrzyżowania pięciu czteropiętrowych skrzydeł więziennych. Kręcone schody żelazne. Cisza, charakterystyczna, więzienna cisza wśród nocy, przesycona dusznymi wyziewami i koszmarami. Rzadkie lampki elektryczne na korytarzach. Wszystko znane już oddawna, zupełnie takie same. Łoskot otwieranych,

okutych żelazem, drzwi. Duża izba, półmrok, zepsute powietrze więzienne, nędzne, wzbudzające odrazę, postanie. Łoskot zamykanych drzwi. Który to już raz z kolei? Otworzyłem lufcik, znajdujący się za kratą. Wionęło na mnie chłodem. Nie rozbierając się, zapięty na wszystkie guziki, położyłem się do łóżka i przykryłem własnym paltem. Dopiero wtedy uprzytomniłem sobie, w jak głupiej znalazłem się sytuacji. W Madrycie – w więzieniu. Stała się rzecz, o której nie śniło mi się nawet. Izwolskij pracował wcale nie nadaremno. W Madrycie! Leżałem na posłaniu madryckiego „wzorowego więzienia” i pękałem ze śmiechu. Śmiałem się tak długo, póki nie zasnąłem.

Więźniowie kryminalni poinformowali mnie, że w więzieniu tem są cele płatne i bezpłatne. Cela pierwszego rzędu kosztuje półtorej pesety na dobę, drugiego zaś – 75 centymów. Każdy więzień ma prawo do zajmowania płatnego lokalu, nie ma jednak prawa zrzekać się bezpłatnego. Moja cela była pierwszorzędna, płatna. Znow serdecznie się uśmiełem. Ale podział ten jest właściwie zupełnie konsekwentny. Dlaczegożby miała istnieć równość w więzieniu, utrzymywanem przez społeczeństwo, które opiera się jedynie na nierówności? Dowiedziałem się ponadto, że mieszkańcom płatnych cel wolno spacerować dwa razy dziennie po godzinie, podczas gdy wszystkim pozostałym – pół godziny zaledwie. I znow zupełnie słusznie. Płuca defraudanta pieniędzy skarbowych, płacącego półtora franka za dobę, słusznie mogą rościć sobie pretensję do większej racji powietrza, aniżeli płuca uczestnika strejku, który oddycha za darmo.

Na trzeci dzień zawezwano mnie dla dokonania pomiarów antropometrycznych i kazano mi usmarować sobie palce farbą drukarską, dla uzyskania ich odcisków. Gdym odmówił, uciekli się do użycia „siły”, zresztą w sposób wyszukanie uprzejmy. Podczas gdym spoglądał przez okno, dozorca bardzo delikatnie smarował mi farbą jeden palec po drugim (z początku u prawej, a potem u lewej ręki) i przykładał je z dziesięć razy do rozmaitych kart i arkuszy. Kazano mi później usiąść i zdjąć obuwie. Z nogami sprawa nie była już taka prosta. Urzędnicy więzienni otoczyli mnie, nie wiedząc, co począć. Wreszcie, zupełnie niespodziewanie, pozwolono mi na widzenie się z Gabier'em i Anguillano, którego w przeddzień wypuszczono z więzienia, ale innego. Oznajmili mi oni, że poruszono już wszystkie sprężyny, aby mi przywrócić wolność. W korytarzu spotkałem się z kapelanem więziennym, który dał wyraz swym katolickim uczuciom sympatji dla mojego pacyfizmu i dodał na pocieszenie: – Pacienzia, pacienzia. – Nie pozostawało mi narazie nic innego.

12-go zrana zawiadomił mnie agent policyjny, że tego samego dnia wieczorem muszę wyjechać do Kadyksu i spytał mnie, czy sam zapłacę za bilet. Ale nie miałem wcale zamiaru jechać do Kadyksu. Oświadczyłem kategorycznie, że za bilet nie zapłacę. Dosyć już, żem zapłacił za numer we wzorowem więzieniu.

Wieczorem wyjechaliśmy więc z Madrytu do Kadyksu. Koszty podróży – na rachunek króla hiszpańskiego. Ale właściwie, dlaczego do Kadyksu? Spojrzałem jeszcze raz na mapę. Kadyks jest krańcowym punktem południowo-zachodniego półwyspu Europy: z Berezowa na renach przez Ural do Petersburga, stamtąd okólną drogą do Austrii, z Austrii przez Szwajcarię do Francji, z Francji do Hiszpanji i wreszcie przez cały półwysep Pirenejski do Kadyksu. Ogólny kierunek z północnego wschodu ku południowemu zachodowi. Tam, gdzie kończy się ląd stały i zaczyna ocean. Pacienzia!

Eskortujący mnie agenci policyjni nie robili wcale tajemnicy z naszej podróży: przeciwnie, każdemu i wszystkim, kto tylko był ciekaw, opowiadali szczegółowo moje dzieje, charakteryzując mnie przytem z jak najlepszej strony: wcale nie fałszerz pieniędzy, lecz caballero, mający tylko nieodpowiednie poglądy. Mnie zaś wciąż pocieszali, utrzymując, że Kadyks posiada świetny klimat.

– W jaki sposób trafiliście na mnie właściwie? – spytałem agentów policyjnych. – W bardzo prosty, otrzymaliśmy depezę z Paryża. Tak też sobie myślałem. Dyrekcja policji w Madrycie otrzymała od paryskiej prefektury depezę: „Niebezpieczny anarchista taki a taki przekroczył granicę pod San-Sebastjan. Zamierza osiąść w Madrycie”. Spodziewano się mnie więc zawczasu, szukano i niepokojono się, gdy przez cały tydzień nie można było mnie znaleźć. Francuscy policjanci w sposób bardzo dyskretny przeprowadzili mnie przez granicę, adorator Montaigne’a i Renana przecież zadał mi nawet pytanie: – C’est fait avec discretion, n’est ce pas? – a ta sama policja za-telegrafowała jednak do Madrytu, że przez Irun – San-Sebastjan przejechał niebezpieczny „anarchista”.

Wydatną rolę w tej całej historii odegrał szef tak zwanej prawniczej policji, Bidet-Faupas. Był on główną sprężyną tropienia i wydalenia. Wśród swych kolegów wyróżniał się brutalnością i złośliwością. Usiłował rozmawiać ze mną w takim tonie, na jaki nie pozwalali sobie nawet carscy oficerowie żandarmerji. Rozmowy te doprowadzały zazwyczaj do wybuchu. Gdym wychodził po takiej rozmowie, czułem poza plecami pełen nienawiści wzrok. Podczas widzenia się z Gabier’em w więzieniu, powiedziałem mu, że uważam Bidet’a za sprawcę mojego aresztowania. Nazwisko to, dzięki mnie, dostało się na szpalty gazet hiszpańskich. W krótkim czasie, bo przed upływem dwóch lat, los dał mi za p. Bidet’a zupełnie nieoczekiwane zadośćuczynienie. Pewnego razu, w lecie 1918 roku, dano mi znać przez telefon do komisariatu wojny, że Bidet, gromowładny Bidet, znajduje się w jednym z sowieckich więzień. Nie wierzyłem własnym uszom. Okazało się, że rząd francuski przydzielił Bidet’a do misji wojskowej dla pełnienia służby wywiadowczej i aranżowania spisków w Sowieckiej Republice. Bidet był o tyle nieostrożny, że się wsypał. Zaiste, trudno wymagać od Nemezis większej satysfakcji, jeżeli doda się jeszcze, że sam p. Malvy, francuski minister spraw wewnętrznych, który podpisał rozkaz o moim wydaleniu, wkrótce potem został oskarżony przez rząd Clemenceau o knowania pacyfistyczne i wydalony z granic Francji. Poprostu trzeba by skomponować podobny zbieg okoliczności, jakgdyby specjalnie przeznaczony dla scenarjusza filmowego!

Gdy Bidet’a przyprowadzono do mnie do komisariatu, nie poznałem go zrazu. Gromowładne bóstwo przeobraziło się w zwykłego śmiertelnika, w dodatku porządnie zaniedbanego. Przyglądałem mu się zdumiony. – Mais oui, monsieur, – powiedział, schylając głowę, – c’est moi. Tak, to był Bidet. – Ale jakżeż to? Jak się to mogło stać? Byłem naprawdę zdumiony. Bidet rozłożył ręce i z całą mocą przekonania stoika policyjnego oświadczył: – C’est la marche des événements. W istocie! Wspaniała to formułka. Przypomniał mi się ów czarny fatalista, który odwoził mnie do San-Sebastjan: „niema wolnego wyboru, wszystko jest zgóry przeznaczone”. – Ale jednak, panie Bidet, nie był pan dla mnie w Paryżu zbyt uprzejmy!... – Niestety, muszę się z żalem przyznać do tego, panie komisarzy ludowy. Rozmyślałem nad tem wiele w mojej celi. Pożyteczna to rzecz czasami – dodał znacząco – zawrzeć z

więzieniem znajomość od strony wewnętrznej. Mam jednak nadzieję, że moje zachowanie się w Paryżu nie pociągnie za sobą przykrych dla mnie skutków. – Oświadczyłem mu, że może być o to spokojny. – Gdy powrócę do Paryża – zapewniał mnie, – nie będę więcej trudnił się tem, czem trudniłem się dotychczas. – Czyżby, panie Bidet? On revient toujours à ses premiers amours. – O powyższej scenie opowiadałem mym przyjaciółom tyle razy, że cały dialog zapamiętałem tak dokładnie, jakgdyby toczył się dopiero wczoraj. Bidet’a puszczono później do Francji podczas wymiany jeńców. Dalsze jego losy nie są mi znane.

Musimy jednak opuścić komisariat spraw wojskowych, aby cofnąć się nieco wstecz i powrócić do Kadyksu.

Prefekt, po naradzie z gubernatorem, zakomunikował mi, że nazajutrz o godz. 8-ej będę wysłany do Hawany, dokąd, szczęśliwym trafem, właśnie jutro odchodzi parowiec.

– Dokąd?

– Do Hawany.

– Do Ha-wa-ny?

– Do Hawany!

– Nie pojedę dobrowolnie.

– Będziemy musieli więc wsadzić pana na spód statku. Obecny przy tej rozmowie w charakterze tłumacza sekretarz konsulatu niemieckiego, przyjaciel prefekta, radził mi, abym „liczył się z rzeczywistością” (sich mit den Realitäten abzufinden).

Pacienzia, pacienzia! Ale tego było już za wiele. Oświadczyłem jeszcze raz, że nie pojedę. W towarzystwie szpiclów biegałem na telegraf przez ulice zachwycającego miasta, nie dostrzegając go prawie. Nadawałem depesze „urjente” (terminowe) do Gabier’a, Anguillano, dyrektora defensywy, ministra spraw wewnętrznych, do premjera Romanones’a, do gazet liberalnych, do deputowanych republikańskich. Przytaczałem wszelkie argumenty, które dały się wtłoczyć w ramy depeszy. Słałem listy na wszystkie strony...Wyobraźcie sobie, drogi przyjacielu, – pisałem do Serrati’ego, deputowanego włoskiego, – że znajdujecie się w tej chwili w Twerze pod dozorem policji rosyjskiej i że zamierzają wysłać Was do Tokio, dokąd wcaleście się nie wybierali. W takiej mniej więcej sytuacji znajduję się w Kadyksie w przeddzień wysłania do Hawany”. Potem mknąłem znów ze szpiclami do prefekta. Wskutek mojej presji, prefekt telegrafował na mój rachunek do Madrytu, donosząc, że wolę zaczekać w więzieniu w Kadyksie na parowiec, odchodzący do Nowego Jorku, niż jechać do Hawany. Nie chciałem się poddać. Był to gorący i pracowity dzień!

Tymczasem deputowany republikański, Castrovido, zgłosił w kortezach interpelację z powodu mojego uwięzienia i wydalenia. W gazetach rozpoczęła się polemika. Lewicowcy atakowali policję, lecz, będąc frankofilami, potępiali mój pacyfizm. Prawicowcy sympatyzowali z moim „germanofilstwem” (nie bez przyczyny zostałem przecież wydalony z Francji), ale lękali się mego anarchizmu. Nikt nie mógł zorjentować się w tym chaosie. Zezwolono mi jednak na pozostawanie w Kadyksie aż do odejścia najbliższego parowca do Nowego Jorku. Było to poważne zwycięstwo!

Przez kilka tygodni znajdowałem się pod nadzorem policji w Kadyksie. Ale nadzór ten był całkiem pokojowy i familijny, zupełnie inny, niż w Paryżu. Tam musiałem przez ostatnie dwa miesiące wyładowywać dużo energii, aby pozbyć

się szpiclów – wsiadałem do samochodu, wchodziłem do ciemnych sal kinematografów, wskakiwałem w ostatniej chwili do wagonu metro, albo też, naodwrot, wyskakiwałem niespodziewanie z wagonu i t. p.

Szpicle również nie zasypiali gruszek w popiele i w walce ze mną wyteżali całą swą pomysłowość: sprzątali mi samochody z przed nosa, wyczekiwali przed wyjściem z kinematografów, wylatywali, jak bomby, z tramwaju lub metro, ściągając na siebie oburzenie publiczności i konduktorów. W gruncie rzeczy była to tylko sztuka dla sztuki. Cała moja działalność polityczna odbywała się przecież pod okiem policji. Ale szpiclowskie deptanie po piętach drażniło mnie i budziło instynkty sportowe.

W Kadyksie zaś szpicel zapowiada, że wróci o takiej a takiej godzinie, a ja powinienem oczekiwać go cierpliwie w hotelu. Broni on, z kolei, w sposób zdecydowany moich interesów, pomaga mi przy sprawunkach i wskazuje wszystkie wyboje w chodnikach. Gdy sprzedawca gotowanych krewetek zażądał ode mnie dwa reale za tuzin, szpicel kłął, jak szalony, i groźnie wymachiwał rękami: a kiedy sprzedawca opuścił już kawiarnię, dopędził go znowu i narobił pod oknami takiego hałasu, że aż tłum się zebrał.

Staralem się nie marnować czasu: studjowałem w bibliotece historię Hiszpanji, wkuwałem konjugacje hiszpańskie i, gotując się do pobytu w Ameryce, odświeżałem mój zasób słów angielskich. Dni mijały niepostrzeżenie i częstokroć pod wieczór stwierdzałem z żalem, że zbliża się już dzień wyjazdu, podczas gdy ja niewiele posunąłem się naprzód. W bibliotece byłem zwykle sam, jeśli nie brać w rachubę robaków książkowych, które stoczyły mnóstwo tomów z XVIII stulecia. Nieraz trzeba było wiele wysiłku, by odcytować nazwisko lub datę.

W notatniku moim z owych czasów znajduję następujące uwagi pro memoria: „Dziejopis rewolucji hiszpańskiej opowiada o politykach, którzy na pięć minut przed zwycięstwem ruchu ludowego piętnowali go, jako zbrodnię i szaleństwo, a zaraz po zwycięstwie – usiłowali stanąć na czele triumfującego ruchu. Zręczni ci jegomoście – ciągnie dalej stary historyk – wypływali na powierzchnię podczas wszystkich następnych rewolucyj, robiąc przy tem najwięcej krzyku. Hiszpanie nazywają takich spryciarzy panzistas – od słowa kałdun. Od tego słowa pochodzi również, jak wiadomo, nazwisko naszego starego znajomego Sanszo Pansa. Słowo to trudno jest przetłumaczyć, aczkolwiek nastęrczają się trudności natury językowej, a nie politycznej. Sam typ jest zdecydowanie międzynarodowy”. Po roku 1917-ym miałem nieraz okazję, aby się o tem przekonać.

Rzecz godna uwagi, że gazety w Kadyksie nie wspominały wcale o wojnie, jakby jej zupełnie nie było. Gdym rozmówcom moim zwracał uwagę na zupełny brak komunikatów wojennych w najbardziej rozpowszechnionej gazecie „El Diario de Cadiz”, odpowiadano mi ze zdziwieniem: – Czyżby? Nie, to niemożliwe... a tak, rzeczywiście. – A więc sami tego dotychczas nie zauważyli. Na dobrą sprawę wojna toczy się gdzieś tam za Pirenejami. I ja również poczęłem stopniowo odzwyczajając się od wojny.

Parowiec do Nowego Jorku odchodził z Barcelony. Udało mi się uzyskać pozwolenie na wyjazd do Barcelony, na spotkanie rodziny. W Barcelonie – nowe tarapaty z prefekturą, nowe protesty i depesze, nowi szpicle. Przyjechała rodzina. Doznała przez ten czas wielu przykrości w Paryżu. Ale teraz jest już dobrze. Zwiedzali Barcelonę pod eskortą szpiclów. Chłopcy zadowoleni są z morza i owoców. Pogodziliśmy się już wszyscy z myślą wyjazdu do Ameryki.

Zabiegi moje o uzyskanie zezwolenia na wjazd z Hiszpanji do Szwajcarii przez Włochy speliły na niczem. Wprawdzie, dzięki staraniom włoskich i szwajcarskich socjalistów, otrzymałem wreszcie takie zezwolenie, ale w chwili, kiedy znajdowałem się już wraz z rodziną na parowcu hiszpańskim, który odbił 25-go grudnia z portu w Barcelonie. Było to, ma się rozumieć, opóźnienie premedytowane. W tym zakresie Izwolskij potrafił skoordynować wszystko nienajgorzej.

W Barcelonie zamknęły się za mną drzwi Europy. Policja wsadziła mnie wraz z rodziną na parowiec Hiszpańskiego Towarzystwa Transatlantyckiego, „Monserat”, który w ciągu 17 dni dostarczył do Nowego Jorku żywy i martwy ładunek. 17 dni – taki czas nęciłby bardzo ludzi z epoki Krzysztofa Kolumba, którego pomnik góruje nad portem Barcelony. Morze było bardzo wzburzone o tej najgorętszej porze roku, statek zaś nie zaniedbywał niczego, aby wciąż przypominać nam o marności egzystencji. Parowiec „Monserat” było to stare pudło, słabo przystosowane do odbywania podróży po oceanie. Ale neutralna bandera hiszpańska zmniejszała podczas wojny szansę zatopienia. Z tych też względów towarzystwo hiszpańskie kazało sobie drogo płacić, źle lokowało pasażerów i dawało im kiepskie utrzymanie.

Statek zaludniał pstry tłum pasażerów. Pstrokaczna mało była pociągająca. W tłumie tym nie brakowało dezertów, co przedniejszej marki, pochodzących z różnych krajów. Tutaj malarz ratował swe obrazy, swój talent, swą rodzinę i swój majątek, przewożąc je, pod opieką staruszka-ojca, jak najdalej od linii ognia. Pewien bokser, zarazem pisarz-beletrysta i kuzyn Oskara Wilde’a, przyznawał się otwarcie, że woli rozbijać szczęki panom yankesom, uprawiając szlachetny sport, aniżeli dać się pokłuć bagnetem jakiemuś Niemcowi. Champion gry w bilard, gentelman bez zarzutu, oburzał się, że przyszła kolej na jego rocznik. I w imię czego? W imię tej bezsensownej rzezi? O nie! I dawał wyraz swym sympatjom dla idei Zimmerwaldu. Reszta towarzystwa była podobnego pokroju: dezertery, awanturnicy, paskarze lub wydalone z Europy „niepożądane” żywioły, bo komuby też przyszło do głowy, aby z własnej, nieprzymuszonej woli, puszczać się w takich czasach w poprzek Atlantyku na nędznym stateczku hiszpańskim?...

Trudniej było zorientować się wśród pasażerów trzeciej klasy. Leżą w ścisłości, poruszają się niewiele, mało też rozmawiają, gdyż mało jedzą, są ponurzy, rozstali się z obmierzłą i złą nędzą, aby płynąć ku innej, narazie nieznannej. Ameryka pracuje dla wojującej Europy i potrzebuje świeżych robotników, ale bez jaglicy, bez anarchizmu i innych chorób.

Parowiec jest dla chłopców olbrzymim terenem obserwacyjnym. Coraz to odkrywają na nim coś nowego. – Wiesz co, mamy tu morowego palacza. – *Republikan* z niego. – Wskutek ciągłych wędrówek z kraju do kraju, porozumiewają się ze sobą własnym umownym językiem. Republikanin? Ale jakeście się z nim porozumieli? – Wy tłumaczył nam wszystko dokładnie. Powiedział *Alfonso*, a potem tak: pif-paf. – No tak, znaczy, jest z niego naprawdę republikanin – zgadzam się. Chłopcy ściągają dla palacza suszoną malagę i inne smakołyki. Zaznajamiają nas ze sobą. Republikanin ma ze dwadzieścia lat i, najwidoczniej, zupełnie ustalony pogląd na monarchję.

1 stycznia 1917 roku. Wszyscy na parowcu składają sobie życzenia noworoczne. Dwa razy podczas wojny obchodziłem nowy rok we Francji, trzeci zaś raz – na oceanie. Co czeka nas w roku 1917-ym?

Niedziela 13 stycznia. Zbliżamy się do Nowego Jorku. Obudziliśmy się o 3-
ej w nocy. Stoimy. Ciemno. Chłodno. Wiatr. Deszcz. Na brzegu – wielka
gromada mokrych budynków. Nowy Świat!

ROZDZIAŁ XXII

W NOWYM JORKU

Znalazłem się w Nowym Jorku, w tem bajecznie prozaicznym mieście kapitalistycznego automatyzmu, w którym na ulicach triumfuje estetyczna teoria kubizmu, w sercach zaś – filozofja moralna dolara. Nowy Jork zaimponował mi, jest bowiem najdoskonalszym wyrazem ducha współczesnej epoki.

Zdaje się, że najwięcej legend kursuje o życiu mem w Stanach Zjednoczonych. Jeżeli w Norwegii, w której zatrzymałem się tylko w przejeździe, pomysłowi dziennikarze kazali mi trudnić się czyszczeniem stokfiszki, to w Nowym Jorku, w którym spędziłem dwa miesiące, prasa kazała mi przejść przez cały szereg zawodów, z których jeden ciekawszy jest od drugiego. Gdyby zebrać przypisywane mi przez gazety przygody, powstałaby prawdopodobnie biografia o wiele ciekawsza od tej, którą tu spisuję. Muszę jednak sprawić rozczarowanie moim amerykańskim czytelnikom. Jedynym zawodem moim w Nowym Jorku był zawód rewolucyjnego socjalisty. Ponieważ zaś działo się to przed „wyzwalającą”, „demokratyczną” wojną, więc zawodu tego nie uważano jeszcze za bardziej występny, niż zawód przemysłowca alkoholu. Pisałem artykuły, redagowałem gazetę i występowałem na zebraniach robotniczych. Pracy miałem moc i nie czułem się obco. W pewnej bibliotece nowojorskiej studjowałem gorliwie życie gospodarcze Stanów Zjednoczonych. Liczby, wyrażające wzrost eksportu amerykańskiego podczas wojny, wprawiły mnie w zdumienie. Były dla mnie prawdziwą rewelacją. Liczby te przesądzały nietylko to, że Ameryka weźmie udział w wojnie, ale również i to, że zajmie decydujące stanowisko w świecie – po wojnie. Napisałem pod bezpośrednim wrażeniem szereg artykułów na ten temat i wygłosiłem kilka odczytów. Od tego czasu zagadnienie „Ameryka a Europa” znalazło się na zawsze w sferze moich najważniejszych zainteresowań. Również i obecnie pilnie pracuję nad tą kwestją i mam zamiar poświęcić jej książkę. Niema tematu, któryby dla zrozumienia przyszłych losów ludzkości, miał większe znaczenie od powyższego.

Nazajutrz po przyjeździe, napisałem w gazecie rosyjskiej „Nowyj Mir”, co następuje: „Opuściłem skrwawioną Europę z głęboką wiarą w zbliżającą się rewolucję. Wyzuty ze wszelkich „demokratycznych” złudzeń, wkroczyłem na brzeg tego dość już podstarzałego nowego świata”. Po dziesięciu zaś dniach powiedziałem na międzynarodowym „zgromadzeniu powitalnym”: „Najdonioślejszy fakt ekonomiczny polega na tem, że podczas gdy Europa ubożeje i podstawy jej gospodarstwa niszczą, Ameryka wzbogaca się. I gdy spoglądam z zadróścią na Nowy Jork, czując, że nie przestałem jeszcze być Europejczykiem, zapytuję siebie z niepokojem: czy Europa aby wytrzyma? Czy nie stanie się cmentarzem? I czy punkt ekonomicznej i kulturalnej ciężkości nie przesunie się tutaj, do Ameryki?” Nie bacząc na sukcesy tak zwanej stabilizacji europejskiej, kwestja ta nie utraciła dotychczas swej

aktualności.

Wygłaszałem odczyty w języku rosyjskim i niemieckim w rozmaitych dzielnicach Nowego Jorku, w Filadelfji i w innych sąsiednich miastach. Moja znajomość języka angielskiego była wówczas jeszcze mniejsza, niż obecnie, nie mogłem więc myśleć nawet o publicznych wystąpieniach w tym języku. Tymczasem nieraz spotykałem się z powoływaniem się na moje przemówienia angielskie w Nowym Jorku. Przed kilkoma dniami redaktor pewnej gazety konstantynopolitańskiej opisywał mi jedno takie moje rzekome wystąpienie, na którym był podobno obecny, jako student amerykański. Wyznaję ze skrucą: nie starczyło mi odwagi na powiedzenie mu, że jest ofiarą własnej wyobraźni. Niestety, z tem głębszem przeświadczeniem powtórzył swoje wspomnienie w gazecie.

Wynajęliśmy mieszkanie w jednej z dzielnic robotniczych i kupiliśmy meble na spłaty. Mieszkanie za 18 dolarów miesięcznie posiadało wygody, o jakich Europejczyk nawet marzyć nie może: elektryczność, kuchnia gazowa, łazienka, telefon, automatyczne dostarczanie żywności na górę i automatyczne spuszczenie skrzyni ze śmieciami na dół. Wszystko to odrazu zdobyło serca naszych chłopców dla Nowego Jorku. Telefon stał się na pewien czas ośrodkiem ich życia. Wojowniczego tego instrumentu nie mieliśmy ani w Wiedniu, ani w Paryżu. Dozorcą (genitory) domu naszego był murzyn. Żona moja wręczyła mu komorne za trzy miesiące, nie otrzymała jednak ustalonego pokwitowania, ponieważ właściciel domu zabrał poprzedniego dnia kwitarjusz do sprawdzenia. Kiedy po dwóch dniach wprowadziliśmy się do mieszkania, okazało się, że murzyn zbiegł, zabierając ze sobą pieniądze za komorne, otrzymane od kilku lokatorów. Prócz pieniędzy, daliśmy mu też na przechowanie nasze rzeczy. Byliśmy zaniepokojeni. Niedobry to był początek. Ale rzeczy, jak się okazało, pozostały nietknięte. Kiedy zaś otworzyliśmy drewnianą skrzynię z naczyniami, znaleźliśmy tam, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, nasze dolary, starannie zawinięte w papierek. Genitory zabrał pieniądze tylko tych lokatorów, którzy otrzymali formalne pokwitowania. Murzyn nie oszczędził kamienicznika, ale nie chciał narażać na straty lokatorów. Był to doprawdy wspaniały człowiek. Byliśmy wraz z żoną wzruszeni do głębi jego troskliwością i zachowaliśmy go we wdzięcznej pamięci. Uważałem, że drobna ta przygoda jest jednak bardzo znamienna. Uchyliła przede mną jakgdyby rąbek „czarnego” zagadnienia w Stanach Zjednoczonych.

W Ameryce gotowano się wówczas energicznie do wojny. Pacyfiści, jak zazwyczaj, najbardziej przyczyniali się do tych przygotowań. Zdawkowe przemówienie o wyższości pokoju nad wojną kończyli przyrzeczeniem popierania wojny, gdy będzie ona „konieczna”. Bryan prowadził agitację w tym duchu. Socjaliści wtórowali pacyfistom. Wiadomo przecież, że dla pacyfistów wojna jest wrogiem tylko w czasie pokoju.

Po wypowiedzeniu przez Niemcy nieograniczonej wojny podwodnej, na wszystkich wschodnich dworcach i portach Stanów Zjednoczonych nagromadziły się całe góry zapasów wojennych, które utrudniały ruch na kolejach żelaznych. Ceny przedmiotów pierwszej potrzeby podskoczyły odrazu w górę i w tym samym, niezmiernie bogatym Nowym Jorku widziałem na własne oczy, jak dziesiątki tysięcy kobiet-matek wyszło na ulice, aby przewracać kramy i demolować sklepy z artykułami spożywczymi. Cóż dopiero będzie się działo na całym świecie po wojnie? zapytywałem siebie i

innych.

3-go lutego nastąpiło oczekiwane oddawna zerwanie stosunków dyplomatycznych z Niemcami. Muzyka szowinizmu stawała się z każdym dniem coraz głośniejsza. Tenory pacyfistów i falsety socjalistów nie psuły ogólnej harmonji. Patrzałem już na to wszystko w Europie i amerykańska mobilizacja patriotyzmu była dla mnie tylko powtórzeniem dawnych doświadczeń. Notowałem etapy owego procesu w mem piśmie rosyjskiem i rozmyślałem o głupocie, cechującej ludzkość, i o tem, jak bardzo powoli ludzkość ta nabiera rozumu.

Przez okno lokalu redakcyjnego widziałem taki obrazek. Starzec o zaropiałych oczach i zmierzwionej siwej brodzie zatrzymał się przed blaszaną skrzynką z odpadkami i wydobył z niej kromkę chleba. Spróbował złamać chleb w rękach, podniósł skamieniały kawałek do ust, później kilka razy uderzył nim o brzeg blaszanki. Nic jednak nie pomagało, chleb się nie poddawał. Natenczas dziad, obejrzawszy się jakby zalękniony i zawstydzony jednocześnie, schował znaleziony skarb pod połę zrudziałej marynarki i pokuśtykał dalej wzdłuż ulicy Świętego Marka... Drobne to zdarzenie miało miejsce dnia 2 marca 1917 roku. Nie podważyło ono wcale planów klasy rządzącej. Wojna była nieunikniona i pacyfiści musieli ją poprzeć.

Jedną z pierwszych osób, które spotkaliśmy na gruncie nowojorskim, był Bucharin, wydalony niedawno ze Skandynawji. Bucharin, znający naszą rodzinę jeszcze z czasów wiedeńskich, przywitał nas z właściwem sobie trochę dziecinnem uniesieniem. Nie bacząc na nasze zmęczenie i późną godzinę, Bucharin zaprowadził nas z żoną zaraz pierwszego dnia na oględziny biblioteki publicznej. Od czasu wspólnej pracy w Nowym Jorku datuje się wzrastające wciąż przywiązanie Bucharina do mnie, które, wzmagając się ciągle, przeistoczyło się w roku 1923 w coś wręcz przeciwnego. Człowiek ten posiada takie usposobienie, że zawsze musi opierać się na kimś, być do kogoś przydzielony, przylepić się do kogoś. W ciągu takich okresów, Bucharin staje się wprost medjum, przez które przemawia i działa ktoś inny. Ale nie trzeba spuszczać oka z medjum, w przeciwnym bowiem razie niespostrzeżenie dla siebie wpadnie ono pod diametralnie odmienny wpływ, jak inni ludzie wpadają pod samochód, i zacznie znieważać swoje bóstwo z takim samym nieokiełznanym zapałem, z jakim wychwalał je dopiero przed chwilą. Nigdy nie traktowałem Bucharina zbyt poważnie i pozostawiałem go samemu sobie, czyli – innym. Bucharin, po śmierci Lenina, stał się medjum Zinowjewa, potem Stalina. Obecnie, kiedy piszę te słowa, Bucharin przechodzi nowy kryzys i nowy, nieznan mi jeszcze, fluid wstępuje w niego.

Również i Kołontajowa znajdowała się podówczas w Ameryce. Dużo podróżowała, spotykałem się z nią więc stosunkowo rzadko. W czasie wojny dokonała raptownej ewolucji na lewo i z szeregów mieńszewizmu przerzuciła się na lewe skrzydło bolszewików. Znajomość języków i temperament czyniły z niej agitatora o dużej wartości. Jej poglądy teoretyczne były zawsze mętne. W okresie nowojorskim wszystko było dla niej za mało rewolucyjne. Korespondowała z Leninem. Przepuszczając fakty i idee przez pryzmat swej ówczesnej ultra-lewicowości, Kołontajowa dostarczała Leninowi informacji amerykańskich, między innymi również i o mojej działalności. W odpowiedziach Lenina można znaleźć echa tych świadomie fałszywych informacji. Epigoni nie omieszkali w walce ze mną skorzystać ze świadomie błędnych sądów o mnie, które sam Lenin przekreślił wszak słowem i czynem.

W Rosji Kołontajowa od pierwszych dni niemal wszczęła ultra-lewicową opozycję nie tylko przeciwko mnie, ale i przeciwko Leninowi. Srożyła się bardzo na „rządy Lenina i Trockiego”, aby później schylić kornie głowę przed rządem Stalina.

Partja socjalistyczna Stanów Zjednoczonych pozostawała pod względem ideowym daleko w tyle nawet za europejskim patriotycznym socjalizmem. Wyniosłość, z jaką neutralna jeszcze podówczas prasa amerykańska, traktowała „opętana” Europę, znajdowała swój oddźwięk również i w opiniach socjalistów amerykańskich. Ludzie w rodzaju Hillquit’a nic nie mieli przeciwko temu, aby odegrać rolę amerykańskiego wujaszka socjalistycznego, który w odpowiedniej chwili zjawi się w Europie i pogodzi wrogie partje Drugiej Międzynarodówki. Dotąd nie mogę bez uśmiechu wspomnieć przywódców socjalizmu amerykańskiego. Imigranci, którzy za młodu grali jaką taką rolę w Europie, w zamieszaniu walki o powodzenie szybko zatracali przywiezione ze sobą teoretyczne podstawy. W Stanach Zjednoczonych istnieje znaczna warstwa dobrze i znośnie sytuowanych lekarzy, adwokatów, dentystów, inżynierów i t. d., którzy swój drogocenny wolny czas dzielą między koncerty znakomitości europejskich i amerykańską partje socjalistyczną. Światopogląd ich składa się z urywków i strzępków wiedzy, nabytej w czasach studenckich. Ponieważ każdy z nich posiada prócz tego samochód, wybierają ich wciąż do komitetów kierowniczych, komisji i delegacji partyjnych. Ci próżni i chełpliwi ludzie nakładają piętno swego ducha na socjalizm amerykański. Wilson był dla nich bez porównania większym autorytetem od Marksa. W gruncie rzeczy są to tylko odmiany gatunku Mister Babbita, uzupełniającego swoje interesy handlowe ospałymi rozmyślaniami niedzielnymi o przyszłości ludzkości. Ludzie ci tworzą niewielkie klany narodowe, w których solidarność ideowa jest najczęściej płaszczykiem, przykrywającym stosunki z dziedziny interesu. Każdy taki klan ma swego wodza, zwykle najzamożniejszego Babbita. Są oni bardzo wyrozumiali względem wszystkich idej, jeśli tylko nie podkopują one ich tradycyjnego autorytetu i nie zagrażają – Boże broń – ich osobistemu dobrobytowi. Babbitem nad Babbitami jest Hillquit, idealny przywódca socjalistyczny dobrze sytuowanych dentystów.

Wystarczyło pierwszego mojego zetknięcia z tymi ludźmi, aby wywołać w nich uczucie szczerzej nienawiści do mojej osoby. Uczuć moich w stosunku do nich, choć spokojniejszych może, też nie cechowała sympatja. Należeliśmy do różnych światów. Dla mnie byli oni najbardziej zgniłą częścią tego świata, z którym walczyłem i walczę.

Niegasnący wewnętrzny ogień idealizmu socjalistycznego odcinał wyraźnie sylwetę starego Eugenjusza Debbsa na tle starszego pokolenia. Szczery rewolucjonista, ale romantyk i kaznodzieja, zgoła nie polityk i nie wódz, Debbs ulegał wpływom ludzi, którzy pod każdym względem stali znacznie niżej od niego. Największa umiejętność Hillquit’a polegała na tem, aby, zachowując na swem lewym skrzydle Debbsa, nie psuć jednak rzeczowej przyjaźni z Gomperssem. Osobiście Debbs robił czarujące wrażenie. Gdyśmy się spotykali, obejmował mnie i całował: należy zaznaczyć, że starzec nie należał do „suchych”. Kiedy Babbitowie ogłosili blokadę mojej osoby, Debbs nie przyłączył się do tej akcji – pro prostu zmartwiony odsunął się na bok.

Zaraz w pierwszych dniach mego pobytu w Nowym Jorku, wszedłem w skład redakcji rosyjskiej gazety codziennej „Nowyj Mir” w której, prócz

Bucharina, pracował już Wołodarskij, zabity później przez socjalrewolucjonistów pod Petersburgiem, i Czudnowskij, ranny pod Petersburgiem i zabity później na Ukrainie. Gazeta ta stała się ośrodkiem propagandy rewolucyjno-międzynarodowej. Wszystkie narodowe federacje partji socjalistycznej posiadały pracowników, władających językiem rosyjskim. Wielu członków federacji rosyjskiej mówiło po angielsku. Idee pisma „Nowyj Mir” docierały w ten sposób do szerokich kół amerykańskich robotników. Mandaryni oficjalnego socjalizmu zaniepokoiili się. Rozpoczęły się wściekle intrygi kółkowe przeciwko wychodźcy europejskiemu, który wczoraj dopiero wstąpił na grunt amerykański, nie zna amerykańskiej psychologii i usiłuje narzucić robotnikom amerykańskim swoje fantastyczne metody. Walka rozgorzała z niezwykłą zawziętością. W federacji rosyjskiej „wypróbowanych” i „zasłużonych” Babbitów zepchnięto odrazu z czołowych stanowisk. W federacji niemieckiej stary Schlüter, naczelny redaktor „Volkszeitung” i towarzysz broni Hillquit’a, tracił coraz bardziej wpływy na rzecz młodego redaktora Lore, który działał wspólnie z nami. Wszyscy Łotysze byli po naszej stronie. Fińska federacja ciążyła ku nam. Coraz skuteczniej wdzieraliśmy się do potężnej federacji żydowskiej z jej czternastopiętrowym pałacem, z którego dzień w dzień wyrzucano dwieście tysięcy egzemplarzy gazety „Vorwärts”, roznoszącej stęchły zaduch sentymentalnego mieszczańskiego socjalizmu, gotowego zawsze do popełnienia najgorszej zdrady. Pośród czysto amerykańskich mas robotniczych stosunki i wpływy partji socjalistycznej wogóle i naszego skrzydła rewolucyjnego w szczególności były mniej znaczne. Angielska gazeta partji „The Call” prowadzona była w duchu pozbawionego treści pacyfistycznego neutralizmu. Postanowiliśmy zacząć od stworzenia bojowego marksowskiego tygodnika. Prace przygotowawcze były w toku. Przerwała je jednak rewolucja rosyjska.

Po tajemniczym milczeniu telegrafu, które trwało kilka dni, nadeszły pierwsze mgliste i chaotyczne wiadomości o przewrocie w Petersburgu. Niepokój ogarnął różno-plemienny, robotniczy Nowy Jork. Robotnicy pragnęli mieć nadzieję i bali się tej nadziei jednocześnie. Prasa amerykańska była zupełnie zderutowana. Do redakcji „Nowyj Mir” przybiegali ze wszystkich stron dziennikarze, kronikarze, reporterzy. Przez pewien czas gazeta nasza skupiała na sobie uwagę całej prasy nowojorskiej. Z redakcyj i organizacyj socjalistycznych telefonowano bez przerwy.

– Nadeszła depecha, że w Petersburgu powstał rząd Guczkowa-Milukowa. Co to znaczy?

– To znaczy, że jutro będzie rząd Milukowa-Kierenskiego.

– Ach, tak! A potem?

– Potem – potem przyjdzie kolej na nas.

– Oho!

Dialog taki powtarzał się dziesiątki razy. Prawie wszyscy moi rozmówcy brali słowa te za żart. W ścisłym gronie szanownych i najbardziej szanownych socjal-demokratów rosyjskich wygłosiłem referat, w którym dowodziłem, że w drugim okresie rewolucji rosyjskiej partja proletariatu musi nieodwołalnie zdobyć władzę. Wywołało to taki sam, mniej-więcej, skutek, jaki wywiera kamień rzucony do stawu, który zamieszkują nadęte i flegmatyczne żaby. Doktor Ingerman nie omieszkał wyjaśnić zebranym, że nie znam czterech działań arytmetyki politycznej i że na zabicie moich bredni nie warto tracić ani chwili.

Stosunek mas robotniczych do perspektyw rewolucyjnych był zupełnie inny. We wszystkich dzielnicach Nowego Jorku, zaczęły się niezwykle pod względem rozmiarów i nastrojów wiece. Wiadomość o tem, że nad Pałacem Zimowym powiewa czerwony sztandar, wywoływała wszędzie głośne okrzyki entuzjazmu. Nie tylko emigranci rosyjscy, ale również ich dzieci, częstokroć prawie nieznające już języka rosyjskiego, przychodziły na zebrania, aby napawać się odblaskiem rewolucyjnego entuzjazmu.

Do rodziny mojej przychodziłem na krótkie tylko chwile. Tam zaś płynęło własne skomplikowane życie. Żona urządziła gniazdo. Dzieci zyskały nowych przyjaciół. Największym ich przyjacielem był szofer doktora M. Żona doktora wozila chłopców wraz z moją żoną samochodem na spacer i była dla nich bardzo uprzejma. Była jednak zwykłą śmiertelniczką. Szofer zaś był czarownikiem, tytanem, nadczłowiekiem. Maszyna była posłuszna każdemu skinieniu jego ręki. Najwyższem szczęściem było siedzieć obok niego. Kiedy wstępowano do cukierni, obrażeni chłopcy tarmosili matkę i pytali: – Dlaczego szofer nie wchodzi z nami?

Dziecięca zdolność przystosowywania się nie ma granic. Ponieważ w Wiedniu mieszkaliśmy przeważnie w dzielnicach robotniczych, chłopcy, prócz języka rosyjskiego i niemieckiego, znali doskonale dialekt wiedeński. Doktor Alfred Adler z wielkiem zadowoleniem powiadał, że mówią oni w tym dialekcie, jak stary wiedeński dorożkarz (Fiakerkutscher). W szkole zurychskiej musieli przejść na dialekt zurychski, który w niższych klasach jest tam językiem wykładowym, język zaś niemiecki traktuje się jak język obcy. W Paryżu chłopcy od razu przeszli na język francuski. W ciągu kilku miesięcy opanowali go w zupełności. Nieraz zazdrościłem im swobody, z jaką mówili po francusku. W Hiszpanji i na okręcie hiszpańskim spędzili niecały miesiąc. Ale wystarczyło im tego czasu, aby nauczyć się szeregu najbardziej używanych słów i zwrotów. Wreszcie w Nowym Jorku uczęszczali przez dwa miesiące do szkoły amerykańskiej i posiadli in crudo język angielski. Po rewolucji lutowej zostali petersburskimi uczniakami. Życie szkolne było w rozprężeniu. Języki obce ulatniały się z pamięci chłopców znacznie prędzej, niż dawniej przez nią były wchłaniane. Ale po rosyjsku mówili jak cudzoziemcy. Częstokroć ze zdziwieniem spostrzegaliśmy, że budowa ich rosyjskiego zdania jest dosłownym przekładem z francuskiego. Tymczasem nie potrafili już zbudować tego samego zdania w języku francuskim. W ten sposób w mózgach dziecięcych, niby w palimpsestach, wypisane zostały dzieje naszej włóczęgi emigracyjnej.

Kiedy telefonowałem z redakcji do żony, aby ją zawiadomić o rewolucji w Petersburgu, młodszy chłopiec był chory na dyfteryt. Miał dziewięć lat. Ale oddawna dobrze wiedział, że rewolucja oznacza amnestję, powrót do Rosji i tysiąc innych dobrodziejstw. Zerwał się więc i tańczył na łóżku na cześć rewolucji. W taki sposób ujawniła się jego rekonwalescencja. Śpieszyliśmy się, aby zdążyć wyjechać pierwszym statkiem. Biegałem do konsulatów po papiery i wizy. W przeddzień wyjazdu lekarz pozwolił powracającemu do zdrowia chłopcu wyjść na spacer. Żona wypuściła syna na pół godziny i pakowała rzeczy. Ileż to już razy musiała dokonywać tej czynności! Ale chłopiec nie wracał. Byłem w redakcji. Upłynęły trzy męczące godziny. Nagle rozległ się w naszym mieszkaniu dzwonek telefoniczny. Najpierw nieznanomy męski głos, potem głos Sierioży: – Jestem tutaj. – *Tutaj* oznaczało komisariat policji na drugim krańcu Nowego Jorku. Chłopiec skorzystał z pierwszego spaceru, aby

rozwiązać dręczące go oddawna zagadnienie: czy istnieje rzeczywiście *pierwsza* ulica (mieszkaliśmy, jeśli się nie mylę, na 164-iej). Po drodze – zabłąkał się, począł się rozpytywać i odprowadzono go do komisariatu. Na szczęście zapamiętał numer naszego telefonu. Gdy żona po upływie godziny dotarła ze starszym chłopcem do komisariatu, zgotowano im tak wesołe przyjęcie, jakgdyby byli dawno oczekiwanymi gośćmi. Sierioża, z wypiekami na twarzy, grał z policjantami w warcaby. Aby ukryć zmieszanie, o które przyprawił go nadmiar uwagi, okazywanej mu przez czynniki administracyjne, chłopiec, pospołu ze swymi nowymi przyjaciółmi, pracowicie żuł czarną gumę amerykańską. Ale pamięta po dziś dzień numer telefonu w naszym nowojorskim mieszkaniu.

Gdybym powiedział, że poznałem Nowy Jork, byłaby to z mej strony wielka przesada. Zbyt szybko oddałem się całkowicie i niepodzielnie sprawom socjalizmu amerykańskiego. Potem nagle przyszła rewolucja rosyjska. Zdążyłem zaledwie pochwycić ogólny rytm życia owego potwora, który nosi miano Nowego Jorku. Odjeżdżałem do Europy, unosząc z sobą uczucie człowieka, któremu udało się jednym okiem zajrzeć w głąb kuźni, w której wykuwać się będą losy całej ludzkości. Pocieszałem się myślą, że wrócę tutaj jeszcze kiedyś. I w tej chwili bynajmniej nie rozstałem się z tą nadzieją.

ROZDZIAŁ XXIII

W OBOZIE KONCENTRACYJNYM

Dnia 25 marca przyszedłem do Nowo-Jorskiego konsulatu generalnego, z którego usunięto już wtedy portret Mikołaja II-go, ale w którym wciąż jeszcze panowała zgęszczona atmosfera starego rosyjskiego cyrkułu. Po nieuniknionych przewlekaniach sprawy, oraz ożywionej wymianie zdań, konsul generalny polecił wydać mi dokumenty, niezbędne do wyjazdu do Rosji. Gdym w konsulacie Wielkiej Brytanji w Nowym Jorku wypełniał kwestionariusze, oświadczono mi, że władze angielskie nie będą czynić mi żadnych przeszkód podczas przejazdu przez terytorja angielskie. Wszystko więc było w zupełnym porządku.

Dnia 27 marca wyruszyłem wraz z rodziną i kilkoma współrodakami na norweskim parowcu „Christianiafiord”. Odprowadzono nas uroczyście z kwiatami i przemówieniami. Zdążyliśmy do kraju rewolucji. Posiadaliśmy paszporty i wizy. Rewolucja, kwiaty tudzież wizy, wypełniały nasze koczownicze dusze błogą harmonją. W Halifaksie (Kanada) statek nasz poddały oględzinom angielskie władze wojenno-morskie. Oficerowie policyjni, którzy dokumenty Amerykanów, Norwegów, Duńczyków i innych przeglądali tylko z punktu widzenia formalnego, zastosowali do nas metodę kompletnego badania: dopytywali się nas o przekonania, zamierzenia polityczne etc. Odmówiłem jakichkolwiek rozmów na te tematy. Chętnie służę danymi, dotyczącymi moich personalij i kropka: wewnętrzna polityka rosyjska nie oddana została, jak dotąd, pod kontrolę angielskiej policji morskiej. Mimo to, oficerowie śledczy, Meckan i Westwood, po dokonaniu ponownej, bezowocnej próby zbadania nas, poczęli zasięgać u innych pasażerów informacji o mojej osobie. Oficerowie ci upierali się przy tem, że ze mnie jest terrible socialist (straszliwy socjalista). Całe przesłuchiwanie prowadzone było w tak nieprzyzwoity sposób i stwarzało dla rewolucjonistów rosyjskich tak dalece odmienną sytuację w porównaniu z pozostałymi pasażerami, którzy, na szczęście, nie należeli do sprzymierzonego z Anglią narodu, że kilka osób z liczby przesłuchiowanych, wysłało natychmiast do władz angielskich energiczny protest, przeciwko zachowaniu agentów policji. Ja sam nie uczyniłem tego, aby nie zanosić do Belzebuba skargi na diabła. W owej chwili nie przewidywaliśmy jednak jeszcze dalszego biegu wydarzeń.

Dnia 3-go kwietnia na pokład parowca „Christianiafiord” przyszli oficerowie angielscy wraz z eskortą, składającą się z marynarzy i w imieniu miejscowego admirała zażądali, abyśmy, ja, moja żona, oraz pięciu innych pasażerów opuścili parowiec. Co się zaś tyczy motywów tego żądania, to całe to zajście obiecano nam „wytłumaczyć” w Halifaksie. Oświadczyliśmy, że żądanie to jest bezprawiem i odmówiliśmy jego wykonania. Uzbrojeni marynarze rzucili się na nas i, przy akompaniamencie okrzyków „shame” (wstyd) ze strony znacznej części pasażerów, wynieśli na rękach do kutra wojkowego, który pod konwojem krażownika odwiózł nas do Halifaksu. Gdy

z dziesięciu marynarzy trzymało mnie na rękach, rzucił mi się na pomoc mój starszy chłopiec, uderzył oficera swą małą piastką i zawołał: – Czy uderzyć go jeszcze raz, tatusiu? – Miał wtedy 11 lat. Otrzymał pierwszą lekcję z zakresu demokracji angielskiej.

Żonę wraz z dziećmi policja zostawiła w Halifaksie. Pozostałe osoby odwieziono koleją do Amherst, do obozu, w którym internowano jeńców niemieckich. W kancelarii poddano nas rewizji, jakiej nie doświadczyłem nawet w twierdzy Pietropawłowskiej. W twierdzy carskiej rozbieranie do naga i obmacywanie ciała przez żandarmów odbywało się w cztery oczy, podczas, gdy tutaj, u demokratycznych sprzymierzeńców, haniebnie znęcano się nad nami w obecności kilkunastu osób. Utkwił mi na zawsze w pamięci szwedzko-kanadyjski sierżant, Olsen, ze swą rudą głową policjanta kryminalnego – główna figura owej rewizji. Kanalje, kierujące zdaleka całą tą imprezą, wiedziały doskonale, że w naszych osobach mają do czynienia z nieskazitelnymi rewolucjonistami rosyjskimi, powracającymi do wyzwolonego przez rewolucję kraju.

Dopiero nazajutrz zrana, w odpowiedzi na nasze nieustanne żądania i protesty, pułkownik Morris, komendant obozu, zakomunikował nam oficjalnie, jakie są powody naszego aresztowania: – Stanowicie panowie niebezpieczeństwo dla obecnego rządu rosyjskiego, – oświadczył nam krótko: pułkownik nie był krasomówcą, a ponadto twarz jego zdradzała już od samego rana pewne podniecenie zgoła podejrzanego autoramentu. – Ale nowo-jorscy agenci rządu rosyjskiego wydali nam przecież dokumenty podróży do Rosji i, wreszcie, niech się sam rząd rosyjski o siebie troszczy! – Pułkownik Morris pomyślał trochę, poruszał szczękami i dodał: – Stanowicie niebezpieczeństwo dla wszystkich wogóle sprzymierzonych. – Nie okazano nam żadnych dokumentów, nakazujących areszt. Pułkownik dorzucił w swem własnym imieniu, że jako emigranci polityczni, którzy niewątpliwie z określonych przyczyn musieli rozstać się z własnym krajem, nie powinniśmy się dziwić temu, co się z nami teraz dzieje. Rosyjska rewolucja nie istniała dla niego. Usiłowaliśmy wytłumaczyć mu, że carscy ministrowie, którzy uczynili z nas w swoim czasie emigrantów politycznych, siedzą sami obecnie po więzieniach, o ile nie zdążyli wyemigrować. Ale były to nazbyt skomplikowane argumenty dla pana pułkownika, który zrobił karierę w koloniach angielskich i na wojnie z Boerami. Ponieważ rozmawiałem z nim, nie wykazując zbytniego respektu, ryknął za moimi plecami: – Gdybym dostał go do garści na wybrzeżu Południowej Afryki... Było to wogóle jego ulubione powiedzenie.

Żona moja formalnie nie była emigrantką polityczną, wyjechała bowiem zagranicę, korzystając z legalnego paszportu. Nie bacząc na to, zaaresztowano ją wraz z obydwojoma naszymi chłopcami, liczącymi 11 i 9 lat. Nic nie przesadzam, gdy mówię o aresztowaniu chłopców. Władze kanadyjskie chciały początkowo ulokować chłopców, rozłączywszy ich z matką, w przytułku dla dzieci. Pod wrażeniem takiej perspektywy, żona oświadczyła, że nie zgodzi się za nic na rozłąkę z dziećmi. Dopiero wskutek energicznych protestów żony, chłopców zainstalowano razem z nią w mieszkaniu angielsko-rosyjskiego agenta policyjnego, który, chcąc zapobiec „nielegalnemu” wysyłaniu listów lub depesz, wypuszczał dzieci na ulicę, nawet gdy chciały wyjść bez matki, tylko pod dozorem. Po jedenastu dniach przeniesiono żonę wraz z dziećmi do hotelu i zobowiązano ich do codziennego meldowania się w policji.

Obóz wojskowy Amherst mieścił się w starym, niesłuchanie zaniedbanym

budynku odlewni żelaza, którą odebrano jej właścicielowi-Niemcowi. Wewnątrz z każdej strony ciągnęły się dwa rzędy trzypiętrowych prycz. W takich warunkach mieszkaliśmy w ośmiuset. Łatwo sobie wyobrazić, jakie powietrze panowało w porze nocnej w tej sypialni. Ludzie tłoczyli się bezradnie w przejściach, trącali wzajemnie łokciami, kładli się, wstawali, grali w karty albo w szachy. Wielu z nich majstrowało coś, niektórzy – bardzo nawet kunsztownie. Po dziś dzień zachowałem w Moskwie wyroby jeńców z Amherst. Wśród internowanych, nie bacząc na ich bohaterskie wysiłki, które miały na celu przeciwdziałanie upadkowi fizycznemu i moralnemu, znajdowało się jednak pięciu obłąkanych. Spaliśmy i jedliśmy razem z nimi w jednej hali.

W liczbie 800 jeńców, w których towarzystwie spędziłem blisko miesiąc, było około 500 marynarzy z zatopionych przez Anglików niemieckich okrętów wojennych, bezmała 200 robotników, których wojna zaskoczyła w Kanadzie, i około 100 oficerów i jeńców cywilnych ze sfer mieszczańskich. Charakter naszych stosunków z niemieckimi towarzyszami niedoli ujawniał się w miarę tego, jak ci poczęli zdawać sobie sprawę, że jesteśmy uwięzieni jako rewolucyjni socjaliści. Oficerowie i starsi podoficerowie, gnieźdzący się za drewnianą przegródką, zaliczyli nas od razu do kategorii wrogów. Szeregowcy natomiast sympatyzowali z nami coraz bardziej. Miesiąc, spędzony w obozie, był jakgdyby nieprzerwanym wiecem. Opowiadałem Niemcom o rosyjskiej rewolucji, o Liebknechcie, o Leninie, o przyczynach upadku starej Międzynarodówki, o przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny. Oprócz wykładów publicznych, odbywały się wciąż dyskusje w grupach. Zażyłość nasza zwiększała się z każdym dniem. Szara masa jeńców rozpadała się na dwie grupy, według nastrojów. Jedni mawiali: – Nie, dosyć już, temu trzeba położyć kres raz na zawsze. – Ci marzyli o wyjściu na ulicę. Inni zaś mawiali: – Co oni chcą ode mnie? Nie, już nie dam im się więcej... – A jak ty się schowasz przed nimi? – zadawano im pytanie. Górnik Babiński, wysoki Ślązak, o niebieskich oczach, odparł: – Osiądę wraz z żoną i dziećmi w głębi lasu, otoczę się wilczymi dołami i nie będę z domu wychodzić bez karabinu, żeby nikt nie odważył się nawet zbliżyć... – Babiński, a i mnie nie puścisz? – I ciebie też nie puszcę. Nie ufam nikomu... – Marynarze usiłowali, jak tylko mogli, złagodzić mi warunki egzystencji i jedynie dzięki moim energicznym protestom, udało mi się uzyskać prawo wystawania w ogonku obiadowym i uczestniczenia w zbiorowych pracach, jak np. zamiatanie podłóg, obieranie kartofli, mycie naczyń i porządkowanie ogólnego ustępu.

Między szeregowcami a oficerami (niektórzy z nich nawet w niewoli prowadzili nadal listy sprawowania się „swoich” marynarzy) panował wrogi stosunek. Oficerowie poskarżyli się na mnie komendantowi obozu, pułkownikowi Morris’owi, że uprawiam antypatryjotyczną propagandę. Brytyjski pułkownik wziął od razu stronną hohenzollernowskiego patriotyzmu i zabronił urządzania publicznych wykładów. Stało się to, zresztą, podczas ostatnich dni naszego pobytu w obozie i przyczyniło tylko do dalszego zaciśnienia węzłów przyjaźni z marynarzami i robotnikami, którzy na rozkaz pułkownika odpowiedzieli protestem, zaopatrzoną w 530 podpisów. Taki plebiscyt, dokonany pod twardą ręką sierżanta Olsena, był dla mnie kompletnym zadośćuczynieniem za wszystkie dolegliwości niewoli w Amherst.

Przez cały czas naszego pobytu w obozie, władze uparcie nie pozwalały

nam skomunikować się z rządem rosyjskim. Depesz, nadawanych przez nas do Petersburga, nie wysyłano. Próbowaliśmy zaskarżyć ten zakaz w depeszy do Lloyd-George'a, angielskiego prezesa ministrów. Ale nie przepuszczono i tej depeszy. Pułkownik Morris przyzwyczaił się w kolonjach do uproszczonego habeas corpus. Ponadto kryła go wojna. Udzielenie mi pozwolenia na widzenie się z żoną, komendant uzależnił od warunku, że nie będę jej dawał żadnych poleceń do konsula rosyjskiego. Może się to wydawać niewiarogodne, jednak jest prawdziwe. Zrezygnowałem z widzenia się z żoną. Konsul, ma się rozumieć, też niebardzo kwapił się z przyjściem nam z pomocą. Czekał na instrukcje. A instrukcje najwidoczniej nie nadchodziły.

Muszę nadmienić, że do dzisiejszego dnia nie są dla mnie zupełnie zrozumiałe owe zakulisowe machinacje, które spowodowały nasz areszt i nasze uwolnienie. Na czarną listę rządu angielskiego zostałem wciągnięty przypuszczalnie jeszcze wtedy, kiedy pracowałem we Francji. Rząd angielski wszelkimi sposobami pomagał rządowi carskiemu do usunięcia mnie z Europy. Władze angielskie w Halifaksie aresztowały mnie najwidoczniej na podstawie owej czarnej listy, uzupełnionej informacjami o mojej działalności antypatrjotycznej w Ameryce. Gdy wiadomość o mojem aresztowaniu dotarła do rosyjskiej prasy rewolucyjnej, poselstwo brytyjskie, nie obawiając się widocznie mojego powrotu, rozesłało do gazet petersburskich oficjalny komunikat, zawiadamiający o tem, że uwięzieni w Kanadzie Rosjanie wyjechali do Rosji, „otrzymawszy od poselstwa niemieckiego subwencje na obalenie rządu tymczasowego”. Było to, bądź co bądź, niedwuznaczne. Kierowana przez Lenina „Prawda” odpowiedziała Buchanan'owi w dniu 16 kwietnia, niewątpliwie piórem samego Lenina, następującymi słowy: „Któż uwierzy na jedną chociażby chwilę, że komunikat z dobrą wiarą twierdzi, że były przewodniczący rady delegatów robotniczych w Petersburgu w roku 1905-ym, rewolucjonista, który całe lata poświęcił bezinteresownej służbie rewolucji, że ten człowiek uczestniczył w akcji subwencjonowanej przez rząd niemiecki? Wszak jest to oczywista, niesłychana, nieczna potwarz, rzucona na rewolucjonistę! Kto udzielił panu tej informacji, panie Buchanan? Dlaczego pan tego nie ujawnia?... Sześć osób ciągnęło towarzysza Trockiego za ręce i nogi – wszystko w imię przyjaznych uczuć dla rosyjskiego rządu tymczasowego!”...

Mniej dla mnie wyraźna jest rola, jaką w całej tej sprawie odegrał sam rząd tymczasowy. Nie trzeba dowodzić, że Milukow, ówczesny minister spraw zagranicznych, z całego serca pragnął mojego uwięzienia: począwszy od roku 1905-go walczył zapamiętale z „trockizmem”, nawet termin ten został właśnie przez niego ukuty. Ale Milukow wiedział o swej zależności od sowietów i musiał lawirować z wielką ostrożnością, tem bardziej, że jego sprzymierzeńcy socjal-patrjotyczni nie wplątali się jeszcze podówczas w naganek na bolszewików.

Posel brytyjski, Buchanan, przedstawia sprawę w swych wspomnieniach w sposób następujący: „Trockiego i innych zatrzymano w Halifaksie aż do ustalenia, jakie rząd tymczasowy ma wobec nich zamiary”. Jak utrzymuje Buchanan, Milukow został niezwłocznie zawiadomiony o naszym aresztowaniu. Posel brytyjski już w dniu 8 kwietnia miał rzekomo zawiadomić swój rząd, że Milukow prosi, aby nas uwolniono. Ale już po upływie dwóch dni, Milukow wycofał prośbę i dał jednocześnie wyraz nadziei, że będziemy i nadal zatrzymani w Halifaksie. „Dlatego też, – kończy Buchanan, – właśnie

rząd tymczasowy ponosi odpowiedzialność za dalsze ich internowanie”. Wszystko to jest wielce prawdopodobne. Buchanan zapomina tylko wyjaśnić w swych pamiętnikach, co się stało z niemiecką subwencją, którą otrzymałem, aby obalić rząd tymczasowy. Ale i w tem również nie ma nic dziwnego. Buchanan, przyciśnięty przeze mnie do muru po moim powrocie do Petersburga, musiał ogłosić w prasie, że o subwencji tej wogóle nic nie wie. Nigdy jeszcze nie kłamano tak, jak podczas „wielkiej”, „wyzwoleńczej” wojny. Gdyby kłamstwo posiadało siłę wybuchową, planeta nasza zamieniłaby się w pył na długo jeszcze przed pokojem wersalskim.

Do sprawy wtrącił się wreszcie sowiet i Milukow musiał skapitulować. 29-go kwietnia wybiła godzina naszego uwolnienia z obozu koncentracyjnego. Ale nawet podczas wypuszczania nas na wolność, nie obeszło się bez przemocy. Kazano nam poprostu spakować rzeczy i wyruszyć pod konwojem. Zażądaliśmy, aby nas poinformowano, dokąd się nas wysyła i w jakim celu. Odmówiono wyjaśnień. Jeńców ogarnęło wzburzenie, sądzili bowiem, że nas wywożą do twierdzy. Domagaliśmy się, aby zawezwano najbliższego konsula rosyjskiego. I tego nam odmówiono. Mieliliśmy dosyć powodów, aby nie ufać zbyt tym korsarzom. Oświadczyliśmy, że pojedziemy dobrowolnie tylko wtedy, kiedy dowiemy się, jaki jest cel tej nowej podróży. Komendant kazał wyprowadzić nas przemocą. Konwojujący nas żołnierze wynieśli nasze bagaże. Z uporem nie ruszaliśmy się z prycz. Komendant ustąpił dopiero w chwili, kiedy konwojujący nas oddział stanął bezpośrednio wobec konieczności wyniesienia nas na rękach w taki sam sposób, jak wynoszono nas przed miesiącem z parowca, ale tym razem poprzez tłum wzburzonych marynarzy. Komendant oświadczył nam, posługując się właściwym mu angielsko-kolonjalnym stylem, że wsadzi nas na duński parowiec, odchodzący do Rosji. Purpurowa twarz pułkownika drgała konwulsyjnie. Nie mógł w żaden sposób pogodzić się z myślą, że wymykamy mu się z rąk... Gdybyśmy mu byli wpadli w ręce na afrykańskim wybrzeżu!...

Towarzysze niewoli żegnali nas uroczyście, gdyśmy opuszczali obóz. Podczas gdy oficerowie zamknęli się w swym oddziale (nieliczni z nich zaglądali przez szpary), marynarze i robotnicy utworzyli szpalery wzdłuż przejścia, zaimprovizowana orkiestra zagrała marsza rewolucyjnego i przyjazne ręce wyciągały się ku nam ze wszystkich stron. Jeden z jeńców wygłosił krótkie przemówienie – pozdrowienie dla rosyjskiej rewolucji, przekleństwo monarchji niemieckiej. Jeszcze dziś miło mi wspomnieć, jak to podczas największej pożogi wojennej brataliśmy się w Amherst z marynarzami niemieckimi. Wielu z nich przysyłało mi później z Niemiec przyjacielskie listy.

Gdyśmy wyjeżdżali, przyjechał Macken, ten sam brytyjski oficer żandarmerji, który nas zaarrestował. Zagroziłem mu na pożegnanie, że zgłoszę przedewszystkiem interpelację w Konstytuancie do ministra spraw zagranicznych Milukowa, w sprawie gwałtów, dokonywanych na obywatelach rosyjskich przez angielsko-kanadyjską policję.

– Mam nadzieję, – odpowiedział rezolutny żandarm, – że nie dostanie się pan do Konstytuanty.

ROZDZIAŁ XXIV

W PIOTROGRODZIE

Droga od Halifaksu do Piotrogradu minęła niepostrzeżenie, jak w tunelu. Był to zresztą tunel, wiodący do rewolucji. Ze Szwecji zapamiętałem tylko kartki na chleb: zobaczyłem je wówczas po raz pierwszy. W Finlandji zetknąłem się w wagonie oko w oko z Vanderveldem i de Manem, jadącymi do Piotrogradu. – Czy poznajecie mnie? – spytał de Man. – O, tak – odpowiedziałm – chociaż ludzie mocno zmieniają się podczas wojny. – Ta nie zbyt grzeczna uwaga, zakończyła nasz dialog. De Man za czasów młodości usiłował być marksistą i nawet nieźle atakował Vandervelde. Podczas wojny zlikwidował niewinne zapały swej młodości w polityce, po wojnie zaś również i w teorji. Został agentem swego rządu i niczem więcej. Co się zaś tyczy Vandervelde, to w kierowniczej grupie Międzynarodówki był najmniej wyróżniającą się postacią. Przewodniczącym został tylko dlatego, że nie można było wybrać ani Niemca, ani Francuza. Teoretycznie Vandervelde był tylko kompilatorem. Pomiedzy ideowemi prądami socjalizmu manewrował zupełnie tak samo, jak rząd jego kraju pomiedzy wielkimi mocarstwami. Pośród rosyjskich marksistów nigdy nie cieszył się autorytetem. Jako mówca Vandervelde nigdy nie wznosił się ponad błyskotliwą przeciętność. Podczas wojny zamienił stanowisko przewodniczącego Międzynarodówki na obowiązki królewskiego ministra. W mej paryskiej gazecie prowadziłem przeciw niemu nieubłaganą walkę. W odpowiedzi na to Vandervelde wzywał rosyjskich rewolucjonistów do pogodzenia się z caratem. Teraz zaś jechał, aby zaprosić rosyjską rewolucję do zajęcia miejsca caratu w kolumnie sprzymierzeńców. Nie mieliśmy o czem mówić.

Do Biełostrowa przyjechała na nasze spotkanie delegacja zjednoczonych międzynarodowców i Centralnego Komitetu bolszewików. Z ramienia mieńszewików, nawet „międzynarodowców” (Martow i inni), nie było nikogo. Uściskałem mego starego przyjaciela Urickiego, którego poznałem na Syberji, na samym początku bieżącego stulecia. Urickij był stałym korespondentem paryskiego „Naszego Słowa” ze Skandynawji i podczas wojny stanowił łącznik między nami i Rosją. W rok po tem spotkaniu Urickiego zabił młody socjal-rewolucjonista. W tej delegacji spotkałem po raz pierwszy Karachana, który później zyskał rozgłos, jako sowiecki dyplomata. Jako delegat bolszewików, przyjechał Fiedorow, metalowiec, późniejszy przewodniczący sekcji robotniczej Sowietu Piotrogradzkiego. Jeszcze przed przyjazdem do Biełostrowa dowiedziałem się ze świeżej rosyjskiej gazety, że Czernow, Cereteli i Skobielew weszli w skład koalicyjnego Rządu Tymczasowego. W ten sposób układ grup politycznych ujawnił się odrazu całkiem wyraźnie. Od pierwszego dnia oczekiwała mnie nieubłagana walka ramię w ramię z bolszewikami przeciw mieńszewikom i socjal-rewolucjonistom.

Na dworcu finlandzkim w Piotrogradzie zgotowano nam uroczyste przyjęcie. Urickij i Fiedorow wygłosili mowy. W odpowiedzi poruszyłem

sprawę przygotowań do drugiej rewolucji, która będzie nasza. Kiedy niespodzianie wzięto mnie na ręce, od razu przypomniałem sobie Halifaks, gdzie znalazłem się w podobnej sytuacji. Tym razem jednak były to ręce przyjaciół. Dokoła powiewało mnóstwo chorągwi. Zobaczyłem wzruszoną twarz żony, blade i wylężnione twarzyczki chłopców, nie wiedzących, czy to dobrze, czy źle: rewolucja raz już ich oszukała. Na ostatnim planie, na końcu peronu, zauważyłem Vandervelde i de Mana, którzy umyślnie odsunęli się, nie chcąc, widocznie, ryzykować mieszania się z tłumem. Nowi ministrowie-socjaliści nie przygotowali dla swego belgijskiego kolegi żadnego przyjęcia. Zbyt dobrze pamiętali jeszcze wczorajszą rolę Vandervelde.

Bezpośrednio z dworca wpadłem w wir, w którym ludzie i epizody migają, jak drzazgi w potoku wody. Najważniejsze zdarzenia pozostawiają najmniej wspomnień osobistych: w ten właśnie sposób pamięć broni się przed przeciążeniem. Zdaje mi się, że od razu udałem się na posiedzenie Komitetu Wykonawczego. Czcheidze, niezmiennie przewodniczący w owym czasie, przywitał mnie oschle. Bolszewicy zgłosili wniosek o przyjęcie mnie do Komitetu Wykonawczego, jako byłego przewodniczącego Rady w 1905 roku. Nastąpiło zamieszanie. Mieńszewicy poszeptali z ludowcami. W tym okresie stanowili oni jeszcze przytłaczającą większość we wszystkich organach rewolucji. Postanowiono przyjąć mnie z głosem doradczym. Otrzymałem kartę członkowską i szklankę herbaty z razowym chlebem.

Nie tylko chłopcy, ale ja i żona dziwiliśmy się rosyjskiej mowie na ulicach Piotrogradu i rosyjskim szyldom na murach. Porzuciliśmy stolicę dziesięć lat temu, starszy syn mój miał wówczas przeszło rok, młodszego zaś nie było jeszcze na świecie – urodził się w Wiedniu.

W Piotrogradzie był wielki, ale zupełnie już zrewoltowany garnizon. Żołnierze szli, śpiewając rewolucyjne pieśni, z czerwonymi wstążeczkami na piersi. Wydawało się to czemś nieprawdopodobnym, jakby snem. Tramwaje były przepelnione żołnierzami. Na szerokich bulwarach odbywały się jeszcze ćwiczenia. Strzelcy padali, biegli tyraljerą i znów padali. Za plecami rewolucji stał jeszcze olbrzymi potwór wojny i rzucał cień na rewolucję. Masy jednakże nie wierzyły już w wojnę i zdawało się, że ćwiczenia odbywają się tylko dlatego, że zapomniano ich odwołać. Wojna stała się już niemożliwością. Nie potrafili tego zrozumieć nie tylko kadeci, ale i wodzowie tak zwanej „rewolucyjnej demokracji”, którzy śmiertelnie bali się oderwać od spódnicy Entente’y.

Ceretelego znałem mało, Czcheidze trochę lepiej, Kierenskiego nie znałem zupełnie. Skobielew był moim uczniem, z Czernowem nie raz już walczyłem na zebraniach zagranicą. Goza widziałem po raz pierwszy. To była rządząca sowiecka grupa demokracji.

Cereteli bezwątpienia przewyższał pozostałych o głowę. Spotkałem go po raz pierwszy na zjeździe londyńskim w 1907 roku, gdzie reprezentował socjal-demokratyczną frakcję drugiej Dumy. Już wtedy, mimo swego młodego wieku, był dobrym mówcą, jedynącym sobie słuchaczy moralnym podkładem swych wywodów. Lata, spędzone na ciężkich robotach, podniosły jego autorytet polityczny. Wrócił na arenę rewolucji, jako człowiek dojrzały i od razu zajął pierwsze miejsce w szeregu swych współideowców i sprzymierzeńców. Śród przeciwników był jedynym człowiekiem, którego można było brać na serio. Jednak, jak to się nieraz dzieje w historii, trzeba było rewolucji dla ujawnienia, że Cereteli nie jest rewolucjonistą. Aby nie zgubić się w labiryncie, należało

ujmować rewolucję rosyjską ze światowego punktu widzenia, nie zaś z rosyjskiego. Cereteli natomiast ujmował ją z punktu widzenia doświadczeń Gruzji, uzupełnionego doświadczeniem drugiej Dumy państwowej. Okazało się, że jego horyzont polityczny jest zabójczo wąski, wykształcenie zaś – po literacku powierzchowne. Żywił głęboki szacunek dla liberalizmu. Na nieuniknioną dynamikę rewolucji patrzył oczami półwykształconego mieszcza, lękającego się o kulturę. Przebudzone masy coraz bardziej wydawały mu się zbuntowanym plebsem. Od pierwszej chwili okazało się wyraźnie, że to wróg. Lenin nazwał go „tęposzem”. Było to ostre, ale trafne określenie. Cereteli był uzdolnioną i uczciwą ograniczonością.

Kierenskiego Lenin nazywał chełpliwcem, nawet obecnie nie wiele można do tej charakterystyki dorzucić. Kierenski był i pozostał postacią przypadkową, efemerydą chwili historycznej. Każda nowa, potężna fala rewolucji, porywająca dziewicze, jeszcze nieświadomione masy, musi wyrzucać na powierzchnię takich jednodniowych bohaterów, których natychmiast oślepią własny blask. Kierenski wywodził się od Hapona i Chrustalewa. Uosabiał przypadkowość w regularności. Najlepsze jego mowy były jedynie intensywne przelewaniem wody. W 1917 roku woda wrzała i unosiła się nad nią para. Kłęby pary robiły wrażenie aureoli.

Skobielew rozpoczął pracę polityczną pod moim kierownictwem w Wiedniu, gdzie był studentem. Z ramienia redakcji wiedeńskiej „Prawdy” wyjechał do swej ojczyzny na Kaukaz, aby spóbować dostać się do IV Dumy, co mu się też powiodło. W Dumie Skobielew uległ wpływowi mieńszewików i razem z nimi wziął następnie udział w rewolucji lutowej. Stosunki między nami oddawna się urwały. W Piotrogradzie zastałem go, jako świeżo upieczony ministra pracy. W Komitecie Wykonawczym z tupetem podszedł do mnie, pytając, co ja o „tem” myślę. Odpowiedziałem: – Sądzę, że wkrótce damy sobie z wami radę. – Niedawno Skobielew, śmiejąc się, przypomniał mi ową przyjacielską przepowiednię, która sprawdziła się w sześć miesięcy później. Wkrótce po rewolucji październikowej, Skobielew zadeklarował się, jako bolszewik. Obaj z Leninem byliśmy przeciwni przyjęciu go do partii. Teraz jest, naturalnie, stalinowcem. A zatem wszystko jest w porządku.

Zamieszkaliśmy z żoną i dziećmi w jakichś „Kijowskich Numerach” w jednym pokoju. I to nawet zdobyliśmy z trudem. Następnego dnia zjawił się u nas oficer, we wspianym mundurze: – Nie poznajecie mnie? – Nie przypominałem sobie. – Łoginow. – Wówczas w strojnym oficerze poznałem młodego ślusarza z 1905 roku. Był wtedy członkiem drużyny bojowej, walczył z za węglą z policjantami. Do mnie przywiązany był gorącym młodem przywiązaniem. Po roku 1905 straciłem go z oczu. Dopiero teraz dowiedziałem się od niego, że w rzeczywistości nie był proletariuszem Łoginowem, lecz studentem technologii Sierbrowskim z bogatej rodziny, który w latach młodości dobrze zaasymilował się z robotniczym środowiskiem. W okresie reakcji został inżynierem, dawno odsunął się od rewolucji i podczas wojny był administratorem dwóch największych fabryk w Piotrogradzie. Rewolucja lutowa wstrząsnęła nim zlekka, przypomniał sobie przeszłość. O moim powrocie dowiedział się z gazet. Teraz zaś stał przede mną i domagał się gorąco, żebym zamieszkał z rodziną w jego mieszkaniu i to natychmiast, nie zwlekając. Po krótkim wahaniu, zgodziliśmy się. Było to ogromne, bogate dyrektorskie mieszkanie, w którym Sierbrowski mieszkał z młodą żoną. Dzieci nie mieli. Znaleźliśmy u nich wszystko. Pośród wygłodzonego,

walącego się w gruzy miasta, tutaj poczuliśmy się jak w raju. Ale sytuacja pogorszyła się odrazu, kiedy rozmowa przeszła na politykę. Sierbrowskij był patryotą. Jak się później okazało, żywił głęboką nienawiść dla bolszewików, a Lenina uważał za niemieckiego agenta. Spotkawszy się od pierwszej chwili ze sprzeciwem, stał się coppersda ostrożniejszy, jednak życie z nim pod jednym dachem było dla nas niemożliwe. Opuściliśmy mieszkanie gościnnych, ale obcych nam, ludzi i wróciliśmy do pokoju w „Kijowskich Numerach”. Sierbrowskij potem raz jeszcze zaprosił obu chłopców do siebie. Poczęstował ich herbatą z konfiturami, i chłopcy z wdzięczności opowiedzieli mu o przemówieniu Lenina na wiecu. Twarze ich zarumieniły się, zadowoleni byli z rozmowy i konfitur. – Ale przecież Lenin jest niemieckim szpiegiem, – oświadczył im gospodarz. Co takiego? Czy słuch ich nie myli? Chłopcy odsunęli herbatę i konfitury. Zerwali się z miejsc. – No, to jest już świństwo – oświadczył starszy. W słowniku swym nie znalazł innego słowa, któreby lepiej odpowiadało okolicznościom. Teraz z kolei obraził się gospodarz. Na tem też skończyła się ta znajomość. Po naszym zwycięstwie w październiku wciągnąłem Sierbrowskiego do sowieckiej pracy. Jak wielu innych, wszedł do partji poprzez sowiecką służbę. Teraz jest członkiem stalinowskiego Centralnego Komitetu partji i jednym z filarów régime’u. Jeżeli w 1905 roku mógł uchodzić za proletariusza, to teraz jest mu bez porównania łatwiej uchodzić za bolszewika.

Po dniach lipcowych, o których jeszcze będzie mowa, stolica rozbrzmiewała oszczerstwami, miotanemi na bolszewików. Zostałem zaarrestowany przez rząd Kierenskiego i w dwa miesiące po powrocie z emigracji znalazłem się znów w dobrze mi znanych „Krestach”. Pułkownik Morris z Amherst z zadowoleniem przeczytał o tem w porannej gazecie, i na pewno nie był w tem uczuciu odosobniony.

Chłopcy jednakże byli niezadowoleni. Cóż to za rewolucja, zwracali się z wyrzutami do matki, jeśli papę pakują albo do obozu koncentracyjnego, albo do więzienia? Matka zgadzała się z nimi, że to jeszcze nie jest prawdziwa rewolucja. Mimo to gorzkie krople sceptyzmu sączyły się im do duszy.

Gdy opuściłem więzienie „rewolucyjnej demokracji”, zamieszkaliśmy w małym mieszkanku, które wynajmowała wdowa po liberalnym dziennikarzu, w wielkim burżuazyjnym domu. Przygotowania do przewrotu październikowego szły całą parą. Zostałem przewodniczącym Piotrogradzkiego Sowietu. Nazwisko moje odmieniano w prasie we wszystkich przypadkach. W domu otaczał nas coraz ciśnień mur wrogości i nienawiści. Naszą kucharkę, Annę Osipównę, kiedy zjawiała się po chleb w domowym komitecie, atakowały gospodynie. Syna mego prześladowano w szkole z racji ojca, przezywając „przewodniczącym”. Kiedy żona wracała ze służby ze związku zawodowego drzewników, portjer odprowadzał ją nienawistnem spojrzeniem. Męką było wchodzenie po schodach. Właścicielka mieszkania coraz częściej dopytywała się przez telefon, czy nie zdemolowano jej mebli. Chcieliśmy się przeprowadzić, ale dokąd? Mieszkań w mieście nie było. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Jednakże pewnego, naprawdę pięknego dnia, blokada mieszkaniowa skończyła się, jakby ktoś nożem uciął. Portjer, spotkawszy moją żonę, powitał ją takim ukłonem, jaki przysługiwał tylko najwplywowszym lokatorom. W komitecie domowym wydawać zaczęto chleb bez zwłoki i gróźb. Nikt już nie zatrząskiwał nam z hukiem drzwi przed nosem. Kto to uczynił, jaki czarodziej? Uczynił to Mikołaj Markin. Trzeba o

nim wspomnieć dlatego, że dzięki niemu – dzięki takim Markinom – zwyciężyła rewolucja październikowa.

Markin był marynarzem floty bałtyckiej, artylerzystą, oraz bolszewikiem, z czym się jednak nieodrazu zdradził. Wysuwanie się naprzód całkiem nie leżało w jego charakterze. Markin nie był mówcą, słowa przychodziły mu z trudnością. Poza tem był nieśmiały i ponury – ponurością zdławionej, ukrywanej siły. Markin wykuty był z jednej bryły i przytem z rzetelnego materiału. Nie wiedziałem o jego istnieniu wtedy, kiedy troszczył się już o moją rodzinę. Zapoznał się z chłopcami, częstował ich w bufecie Smolnego herbata i kanapkami i wogóle sprawiał im drobne przyjemności, których tak mało było w owych surowych czasach. Ukradkiem przychodził dowiadywać się, czy wszystko w porządku. Nie podejrzewałem jego istnienia. Od chłopców, od Anny Osipówny dowiedział się, że żyjemy we wrogim obozie. Markin zajrzał do portjera i do domowego komitetu, przytem, zdaje się, nie sam, lecz z gromadką marynarzy. Widocznie umiał znaleźć jakieś bardzo przekonujące argumenty, bowiem wszystko wokół nas odrazu się zmieniło. Jeszcze przed przewrotem październikowym w naszym burżuazyjnym domu zapanowała, że tak powiem, dyktatura proletariatu. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że działał to przyjaciel naszych dzieci, marynarz z Bałtyku.

Gdy tylko Sowiet Piotrogradzki się zbolszewizował, wrogi nam Centralny Komitet Wykonawczy przy pomocy właścicieli drukarni uniemożliwił mu wydawanie gazety. Należało stworzyć nową gazetę. Wciągnąłem do tej roboty Markina. Markin zniknął, przepadł, udał się, gdzie należy, powiedział, co należało drukarzom i w ciągu kilku dni powstała gazeta. Nazwaliśmy ją „Robotnik i Żołnierz”. Markin siedział dniem i nocą w redakcji, organizując robotę. W dniach październikowych mocno zbudowana postać Markina, o smagłej, ponurej twarzy, zawsze ukazywała się w najniebezpieczniejszych miejscach o najpotrzebniejszej porze. U mnie zaś zjawiał się tylko poto, żeby zakomunikować, że wszystko w porządku i zapytać, czy czego nie trzeba. Markin rozwijał szerzej swe doświadczenie – ustanawiał dyktaturę proletariatu w Piotrogradzie.

Zaczęły się napaści szumowin ulicznych na bogate składy win stolicy i pałaców. Ktoś kierował z ukrycia tym niebezpiecznym ruchem, usiłując płomieniem alkoholu podpalić rewolucję. Markin odrazu zwierzył niebezpieczeństwo i wystąpił do walki. Bronił składów, a gdzie to było niemożliwe, niszczył je. W wysokich butach brodził po kolana w drogiem winie, mieszanem z odłamkami szkła. Wino spływało kanałami do Newy, przesycając śnieg. Opilcy chłęptali je wprost z kanałów. Markin z rewolwerem w ręku walczył o trzeźwy październik. Przemokły nawskroś i przesycony zapachem najlepszych win, wracał do domu, gdzie z zamierającymi sercami czekali na niego dwaj chłopcy. Markin odparł alkoholowy atak kontrrewolucji.

Kiedy powierzono mi ministerstwo spraw zagranicznych, zdawało się, że podjęcie pracy jest niepodobieństwem. Od wiceministrów do maszynistek – wszyscy uprawiali sabotaż. Szafy były zamknięte. Kluczy nie było. Zwróciłem się do Markina, który znał tajemnicę bezpośredniego działania. Kilku dyplomatów przesiedziało dobę w zamknięciu, nazajutrz zaś Markin przyniósł klucze i zaprosił mnie do ministerstwa. Ja jednak zajęty byłem w Smolnym ogólnymi sprawami rewolucji. Wówczas Markin tymczasowo został nieoficjalnym ministrem spraw zagranicznych. Natychmiast po swoim

zorientował się w mechanizmie komisariatu, mocną ręką przeprowadził redukcję dobrze urodzonych i złodziejaskowatych dyplomatów, organizował według nowych zasad kancelarię, konfiskował na korzyść bezdomnych kontrabandę, nadchodzącą w dalszym ciągu z zagranicy w walizkach dyplomatycznych, wybierał najbardziej pouczające tajne dokumenty i wydawał je na własną odpowiedzialność i z własnymi uwagami w oddzielnych broszurach. Markin nie miał cenzuru akademickiego, a nawet nie pisał bez błędów. W jego uwagach uderzały czasem całkiem nieoczekiwane zwroty. Naogół jednak mocno wbijał swe dyplomatyczne gwoździe i właśnie tam, gdzie należało. Baron Kühlmann i hrabia Czernin chciwie chwytały w Brześciu Litewskim żółte książki Markina.

Potem zaczęła się wojna domowa, Markin zatykał dziury, których było wiele. Zkolei ustanawiał dyktaturę daleko na Wschodzie. Dowodził flotyllą na Wołdze i wypędzał wroga. Kiedy dowiadywałem się, że Markin jest w niebezpiecznym miejscu, robiło mi się spokojniej i cieplej na sercu. Wybiła jednakże godzina. Nad Kamą kula nieprzyjacielska dosięgła Mikołaja Georgiewicza Markina i zwała go z mocnych, marynarskich nóg. Jakby granitowa kolumna runęła w moich oczach, kiedy nadeszła depesza o jego śmierci. Na stoliku dzieci stała jego fotografia w marynarskiej czapce z wstążkami. – Chłopcy, chłopcy, Markin zabity! Dziś jeszcze pamiętam te dwie blade twarze, zmięte kurczem niespodzianego bólu. Z chłopcami ponury Mikołaj był na równej stopie. Wtajemniczał ich w swe zamierzenia i w swe życie. Dziewięcioletniemu Sierioży opowiadał ze łzami, że kobieta, którą dawno i mocno kochał, porzuciła go i że dlatego bywa mu czasem ciężko na sercu. Sierioża wylęknionym szeptem, ze łzami w oczach, powierzał tę tajemnicę matce. I ten tkliwy przyjaciel, który jak rówieśnik, otwierał swą duszę przed nimi, był jednocześnie starym wilkiem morskim i rewolucjonistą, prawdziwym bohaterem, jak z najczarowniejszej bajki. Czyżby zginął ten Markin, który w suterenach ministerstwa uczył ich strzelać z rewolweru i karabinu? Dwa małe ciała drżały pod kołdrą w nocnej ciszy po otrzymaniu tej ponurej wiadomości. Tylko matka słyszała ich nieutulone łzy.

Życie wirowało w wicherze wieców. W Petersburgu zastałem wszystkich mówców rewolucji zachrypniętych, albo całkiem bez głosów. Rewolucja 1905 r. nauczyła mnie ostrożnego obchodzenia się z własnym gardłem. Dzięki temu prawie nie opuszczałem szeregów. Wiece odbywały się w fabrykach, zakładach naukowych, w teatrach, cyrkach, na ulicach i placach. Wracając wyczerpany po północy, odnajdywałem w niespokojnym półśnie najlepsze argumenty przeciwko wywodom politycznych przeciwników, a o siódmej zrana, czasami wcześniej, budziło mnie ze snu nienawistne, nieznośne pukanie do drzwi: wzywano mnie na wiec do Peterhofu, albo marynarze z Kronsztadtu przysyłały po mnie kuter. Za każdym razem zdawało mi się, że na ten nowy wiec nie starczy mi już siły. Jednakże odnajdywały się jakieś nowe rezerwy nerwowe, mówiłem godzinę, czasem dwie, a podczas mowy otaczał mnie już zwarty pierścień delegacji z innych fabryk, albo rejonów. Okazywało się, że w trzech czy pięciu miejscach oczekują tysiące robotników, czekają godzinę, dwie, trzy. Jakże cierpliwie przebudzona masa czekała w owych dniach nowego słowa.

Specjalny charakter nosiły wiece w cyrku Moderne. Do tych wieców nie tylko ja, ale i przeciwnicy, odnosili się zupełnie inaczej. Uważali ów cyrk za moją twierdzę i nigdy nie usiłowali tam występować. Zato, kiedy w Sowiecie

atakowałem ugodowców, nieraz przerywały mi złowrogie okrzyki: „To nie cyrk Moderne!” Stało się to pewnego rodzaju refrainem. W cyrku występowałem zwykle wieczorami, czasami nawet w nocy. Słuchaczami byli robotnicy, żołnierze, matki-pracownice, wyrostki z ulicy, uciskani nędzarze stolicy. Zajęty był każdy cal kwadratowy, każde ludzkie ciało ściśnięte do ostateczności. Dzieci siedziały na plecach ojców. Niemowlęta ssały piersi matki. Nikt nie palił. Galerje ciągle groziły zawaleniem się pod ciężarem ludzkich ciał. Dostawałem się na trybunę przez wąskie przejście wśród ciał, czasami przenoszony na rękach. Powietrze ciężkie od oddechów, przeszywały okrzyki, owe szczególne, namiętne okrzyki cyrku Moderne. Wokół mnie i nade mną były mocno ściśnięte łokcie, piersi i głowy. Przemawiałem jakby z ciepłej pieczary człowieczych ciał. Kiedy robiłem szeroki gest, zawsze kogoś potraçałem i odpowiadał mi wdzięczny ruch, dający do poznania, żebym się tem nie kłopotał, nie przerywał sobie, lecz mówił dalej. Nie było zmęczenia, które ostaćby się mogło przed elektrycznym napięciem tej namiętnej zbiorowości ludzkiej, chcącej wiedzieć, zrozumieć, znaleźć swą drogę. Chwilami wydawało się, że ustami wyczuwa się żądną ciekawość tego zlanego w jedno tłumy. Wówczas zawczasu przygotowane argumenty i wywody ustępowały, cofały się pod władczy naporem współczucia, a z głębi wydobywały się inne argumenty i inne wywody, niespodziewane dla mówcy, lecz potrzebne masie. I wówczas zdawało mi się, że sam słucham mówcy gdzieś z boku, że nie nadążani za nim myślą i lękam się jedynie, aby nie spadł ze skraju dachu, jak lunatyk, obudzony głosem mego rezonerstwa. Taki był cyrk Moderne. Posiadał własne oblicze, płomienne, delikatne i zacięte. Niemowlęta spokojnie ssały piersi, z których wydobywały się okrzyki aprobaty lub groźby. Sam ten tłum podobny był jeszcze do niemowlęcia, które przyłgnęło zaschłemi wargami do piersi rewolucji. Jednakże to niemowlę męźniało szybko. Wyjść z cyrku Moderne było jeszcze trudniej, niż wejść do niego. Tłum nie chciał naruszać swej spoistości. Nie rozchodził się. Półprzytomny z wyczerpania, musiałem płynąć do wyjścia, unoszony przez niezliczone ręce ponad głowami tłumy. Czasami dostrzegałem w nim twarze obu moich córek. Starsza miała szesnasty rok, młodsza piętnasty. Ledwo dążyłem skinąć na powitanie w stronę ich wzruszonych oczu, albo uścisnąć w przejściu delikatną, gorącą dłoń. I tłum znów nas rozdzielał. Kiedy znajdowałem się wreszcie za drzwiami, cyrk ruszał za mną. Senną ulicę budziły okrzyki i tupot nóg. Jakieś wrota otwierają się, pochłaniają mnie i znów się zatrząskują. To przyjaciele wepchnęli mnie do pałacyku baletnicy Krzesińskiej, zbudowanego dla niej przez Mikołaja II. Tutaj ulokował się centralny sztab bolszewików i na jedwabiem krytych meblach zasiadają szare płaszczki, a ciężkie buty depczą oddawna niefroterowaną posadzkę. Tu można przeczekać, póki tłum się nie rozejdzie, a potem ruszyć dalej.

Wracając po wiecu przez puste ulice, słyszę za sobą kroki. Wczoraj było to samo, przedwczoraj, zdaje się, również. Z ręką na browningu odwracam się ostro i postępuję kilka kroków. – O co chodzi? – pytam groźnie. Widzę przed sobą młodą, pełną oddania twarz. – Pozwólcie mi pilnować was, do cyrku przychodzą również wrogowie. – Był to student Poznański. Od tej chwili nie rozstawał się ze mną. W ciągu całej rewolucji służył mi do specjalnych poleceń, najrozmaitszych, ale zawsze odpowiedzialnych. Troszczył się o moją osobistą ochronę, organizował połowy sekretarj at, odszukiwał zapomniane wojenne składy, zdobywał potrzebne książki, tworzył z niczego marszowe

szwadrony, walczył na froncie, a potem w szeregach opozycji. Teraz jest na zesłaniu. Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze w przyszłości.

3-go grudnia zdawałem w cyrku Moderne sprawozdanie z działalności sowieckiego rządu. Wyjaśniłem znaczenie opublikowania korespondencji dyplomatycznej caratu i Kierenskiego. Opowiadałem moim wiernym słuchaczom, jak na wypowiedziany przeze mnie pogląd, że naród nie może przelewać swej krwi za umowy, których nie zawierał, nie czytał i nie widział, ugodowcy w Sowiecie odpowiadali wołaniem: – Nie mówcie do nas w ten sposób, nie jesteście w waszym cyrku Moderne! I powtórzyłem moją odpowiedź, daną ugodowcom: Mam tylko jeden sposób mówienia, jeden język rewolucjonisty, tym też językiem przemawiam do ludu na wiecach i będę nim mówić z koalicją i Niemcami. W tym miejscu sprawozdanie dziennikarskie z tego wiecu mówi o burzliwej owacji. Moje stosunki z cyrkiem Moderne urwały się dopiero w lutym, kiedy przenieśliem się do Moskwy.

ROZDZIAŁ XXV

O OSZCZERCACH

Na początku maja 1917 roku, kiedy przyjechałem do Piotrogradu, kampanja na temat „zaplombowanego” wagonu, w którym przyjechał Lenin, była w pełnym biegu. Nowiutcy, prosto z igły, ministrowie-socjaliści, byli w przymierzu z Lloyd-Georg’em, który nie puszczał Lenina do Rosji. I ci właśnie panowie szczuli Lenina zato, że przejechał przez Niemcy. Doświadczenie, które wyniosłem z mej podróży, dopełniało doświadczenie Lenina, dowodząc czegoś wprost przeciwnego. Mimo to padłem ofiarą tego samego oszczerstwa. Plotkę ową pierwszy puścił w kurs Buchanan. Opublikowałem opis mojej atlantyckiej odysei, jako list otwarty do ministra spraw zagranicznych, którym w maju był już nie Milukow, lecz Tereszczenko. Jako ostateczny wywód, postawiłem pytanie:

„Czy pan, panie ministrze, uważa za zupełnie normalny fakt, że przedstawicielem Anglii jest osoba, która skalą się tak bezwstydnym oszczerstwem i nawet palcem nie ruszyła, żeby się zrehabilitować?”

Odpowiedzi na to pytanie nie dostałem. Nie oczekiwałem jej zresztą. Jednak za posła sprzymierzeńców ujęła się gazeta Milukowa, powtórzywszy oskarżenie w swoim własnym imieniu. Postanowiłem zdemaskować oszczerców w jaknajuroczystszej formie. Zbliżał się pierwszy wszechrosyjski zjazd Sowietów. Dnia 5 czerwca sala przepelniona była ponad wszelką miarę. Pod koniec posiedzenia zabrałem głos w sprawie osobistej. Oto jak gazeta Gorkiego, wrogo usposobiona dla bolszewików, odtworzyła nazajutrz zakończenie mego przemówienia i cały epizod:

„Milukow oskarża nas, że jesteśmy najemnymi agentami rządu niemieckiego. Z tej trybuny rewolucyjnej demokracji zwracam się do uczciwej rosyjskiej prasy (Trocki zwraca się do stołu dziennikarzy) z prośbą, aby słowa moje zostały powtórzone: dopóki Milukow nie cofnie tego oskarżenia, na czołe jego pozostanie piętno oszczercy bez czci.

„Wyrzeczone z mocą i godnością oświadczenie Trockiego spotkało się z jednomyślnym aplauzem całej sali. Cały zjazd, bez względu na frakcje, rozbrzmiewa burzą oklasków przez kilka minut”.

Nie należy zapominać, że zjazd w dziewięciu dziesiątych składał się z naszych przeciwników. Jednakże to powodzenie, jak dowiodły późniejsze zdarzenia, miało jedynie przelotny charakter. Był to w swoim rodzaju paradoks parlamentaryzmu.

„Riecz” usiłowała podnieść rękawicę, komunikując następnego dnia, że otrzymałem od niemieckiego patriotycznego Verein’u 10.000 dolarów na likwidację Rządu Tymczasowego. To było, przynajmniej, wyraźne. Chodziło o to, że na dwa dni przed moim odjazdem do Europy, niemieccy robotnicy, dla których nieraz miewałem odczyty, łącznie z amerykańskimi, rosyjskimi, łotewskimi, żydowskimi, litewskimi i fińskimi przyjaciółmi i stronnikami, zorganizowali dla mnie pożegnalny wiec, na którym urządzono zbiórkę na

rzecz rosyjskiej rewolucji. Zbiórka przyniosła 310 dolarów. Udział robotników niemieckich w tej sumie wyniósł 100 dolarów, które złożyli za pośrednictwem swego przewodniczącego. Oddane do mojej dyspozycji 310 dolarów rozdzieliłem nazajutrz, za zgodą organizatorów wiecu, między pięciu wracających do Rosji emigrantów, którym brakło pieniędzy na podróż. Taka była historia „10.000 dolarów”. Opowiedziałem ją wówczas w piśmie Gorkiego „Nowaja Żiźń” (27 czerwca), kończąc takim morałem:

„Po to, aby na przyszłość wprowadzić konieczną poprawkę do zmyśleń na mój temat p.p. kłamców, oszczerców, kadeckich dziennikarzy i wszelkich łotrów wogóle, uważam za pożyteczne oświadczyć, że w ciągu całego mego życia nie miałem jednocześnie do dyspozycji nie tylko 10.000 dolarów, ale nawet dziesiątej części tej sumy. Podobne wyznanie może, co prawda, znacznie gruntowniej zdyskredytować mnie w oczach kadeckiego audytora, niż wszelkie insynuacje p. Milukowa. Dawno już jednak pogodziłem się z myślą o przeżyciu mego żywota bez objawów przychylności ze strony liberalnych mieszczuchów”.

Po tym incydencie kampanja oszczercza osłabła. Streściłem cały jej przebieg w broszurze „Oszczyrom!” i oddałem ją do druku. Po tygodniu nadeszły wypadki lipcowe, a 23 lipca zostałem przez rząd tymczasowy uwięziony, pod zarzutem służenia niemieckiemu kaiserowi. Śledztwo prowadzili doświadczeni działacze sądowi carskiego régime'u, którzy nie zwykli ceremonjować się ani z faktami, ani z dowodami. A zresztą i czasy były na to zbyt gorące. Kiedy zapoznałem się z materiałem śledztwa, oburzenie, wywołane podłością oskarżenia, łagodził tylko śmiech z jego bezradnej głupoty. Oto, co napisałem w protokole śledztwa pierwiastkowego z dnia 1-go września:

„Ze względu na to, że już pierwszy okazany mi dokument (zeznania chorążego Jermolenki), grający dotychczas główną rolę w podjętej przy poparciu niektórych urzędników ministerstwa sprawiedliwości nagance na moją partję i na mnie osobiście, jest niewątpliwie płodem świadomego fałszerstwa, mającego na celu nie wyjaśnienie okoliczności sprawy, lecz ich złośliwe zagmatwanie; ze względu na to, że w tym dokumencie sędzia śledczy, p. Aleksandrów, z wyraźną celowością pominął te wszystkie ważniejsze zagadnienia i okoliczności, wyjaśnienie których musiałoby niewątpliwie ujawnić fałsz zeznań nieznanego mi Jermolenki: ze względu na to wszystko, uważam, że uczestniczenie w procesie śledczym byłoby dla mnie pod względem politycznym i moralnym poniżające i tem bardziej zachowuję sobie niezaprzeczone prawo ujawnienia przed opinią publiczną kraju prawdziwej istoty oskarżenia, przy pomocy tych wszystkich środków, jakimi będę mógł rozporządzać”.

Oskarżenie utonęło wkrótce w wirze wielkich wypadków, które pochłonięły nie tylko sędziów śledczych, lecz i całą starą Rosję wraz z jej „nowymi” bohaterami typu Kierenskiego.

Nie sądziłem, że kiedykolwiek powrócę do tego tematu. Jednakże znalazł się pisarz, który w 1928 roku podjął i poparł dawne oszczerstwo. Nazwisko owego pisarza brzmi – Kierenski. W roku 1928-ym, to jest po upływie 11 lat od wydarzeń rewolucyjnych, które wybuchły niespodzianie i siłą rzeczy

zmiotły go z powierzchni, Kierenski zapewnia, że Lenin i inni bolszewicy byli agentami rządu niemieckiego, że utrzymywali stosunki z niemieckim sztabem generalnym, otrzymywali od niego zasiłki pieniężne i wykonywali jego tajne zlecenia, mające na celu rozbicie armji rosyjskiej i podział państwa rosyjskiego. Wszystko to zostało wyłożone na dziesiątkach stron tej śmiesznej książki, zwłaszcza zaś na stronicach 290-310. Na podstawie wypadków r. 1917, wyrobiłem sobie dostatecznie wyraźny pogląd na umysłowy i moralny poziom Kierenskiego, tem nie mniej jednak nigdybym nie uwierzył, że zdolny będzie teraz po wszystkim, co zaszło, zdobyć się na takie „oskarżenie”. Jednakże jest to fakt niezaprzeczony.

Kierenski pisze: „Zdrada Rosji przez Lenina, dokonana w chwili kulminacyjnego napięcia wypadków wojennych, jest *niewątpliwie stwierdzonym, bezspornym faktem historycznym*” (str. 293). Kto i gdzie przedstawił owe niewątpliwe dowody? Kierenski rozpoczyna od szczegółowego opowiadania o tem, jak sztab generalny niemiecki wyszukiwał wśród jeńców rosyjskich kandydatów na szpiegów i przemycił ich do szeregów armji rosyjskiej. Jeden z takich szpiegów istotnych, czy domniemanych (nieraz sami oni nie orjentowali się co do swej roli), zgłosił się bezpośrednio do Kierenskiego, aby ujawnić przed nim całą technikę niemieckiego szpiegostwa. Ale, dodaje Kierenski melancholijnie: „owe „rewelacje” nie miały żadnego szczególnego znaczenia” (str. 295). No, właśnie! Nawet z wywodów Kierenskiego wynika wyraźnie, że jakiś drobny awanturnik usiłował wodzić go za nos. Czy epizod ów miał jakikolwiek związek z Leninem i z bolszewikami wogóle? Nie. Poco więc nam o nim opowiada? Aby rozdać swe opowiadanie i dodać wagi swym dalszym rewelacjom.

Tak, powiada Kierenski, pierwszy przypadek był bez znaczenia, ale zato z innego źródła otrzymaliśmy informację „bardzo cenną” i ta informacja *ostatecznie dowiodła* istnienia łączności między bolszewikami i niemieckim sztabem generalnym (295). Należy zwrócić uwagę: *ostatecznie dowiodła*. Dalej zaś czytamy: „Zarówno środki, jak i drogi, za pomocą których podtrzymywano owe stosunki, mogły być również ustalone” (295). *Mogły* być ustalone? – To brzmi dwuznacznie. Czy były ustalone? Zaraz się o tem dowiemy. Trochę cierpliwości: jedenaście lat dojrzewały te rewelacje w głębi duszy ich twórcy.

„W kwietniu, w głównej kwaterze generała Aleksiejewa, zjawił się ukraiński oficer, nazwiskiem Jarmolenko” Poprzednio już słyszeliśmy to nazwisko. Stoi oto przed nami postać decydująca w całej sprawie. Nie zawadzi zaznaczyć w tem miejscu, że Kierenski nie umie być ścisły nawet tam, gdzie mu na nieściśłości nie zależy. Nazwisko tego mizernego łotrzyka, którego Kierenski sam wprowadza na widownię, brzmi nie Jarmolenko, lecz Jermolenko: przynajmniej pod tem nazwiskiem występował u sędziów śledczych pana Kierenskiego. Tak więc, chorąży Jermolenko (Kierenski mówi o nim ze świadomą niedokładnością „oficer”), zjawił się w kwaterze głównej jako domniemany agent niemiecki, żeby zdemaskować rzeczywistych niemieckich agentów. Wywody tego wielkiego patrioty, którego nawet ultra-wroga bolszewikom prasa burżuazyjna zmuszona została wkrótce scharakteryzować jako ciemny i podejrzany typ, bezspornie i ostatecznie dowiodły, że Lenin nie był jedną z największych postaci historycznych, lecz poprostu najemnym agentem Ludendorffa. W jaki jednak sposób chorąży

Jermolenko dowiedział się o tej tajemnicy i jakie przytoczył dowody, aby przekonać Kierenskiego? Jermolenko, według jego własnych słów, otrzymał od niemieckiego sztabu generalnego polecenie prowadzenia na Ukrainie propagandy na rzecz ruchu separatystycznego. „Dano mu, – opowiada Kierenski – wszystkie (!) niezbędne informacje, dotyczące dróg i środków, przy pomocy których należy podtrzymywać łączność z odpowiedzialnymi (!) niemieckimi kierownikami banków (!), za pośrednictwem których przekazywano niezbędne fundusze, i wskazano mu nazwiska najważniejszych agentów, wśród których było wielu ukraińskich separatystów i był Lenin”. Wszystko to zostało dosłownie wydrukowane na stronicach 295-296 owego wielkiego dzieła. Teraz, przynajmniej, wiemy, jak niemiecki sztab generalny postępował ze swymi szpiegami. Kiedy znajdował jako kandydata na szpiega nieznanego i ledwo piśmiennego chorążego, zamiast oddać go do dyspozycji porucznikowi z niemieckiego wywiadu, wiązał go z „odpowiedzialnymi niemieckimi kierownikami”, natychmiast wtajemniczał go w cały system niemieckiej agentury, i wymieniał mu nawet banki – nie jeden bank, nie, lecz wszystkie banki, – przez które płyną tajne niemieckie fundusze. Trudno, ale nie można oprzeć się wrażeniu, że niemiecki sztab generalny działał w najwyższym stopniu głupio. Wrażenie jednak takie powstaje jedynie dla tego, że widzimy tu nie taki sztab generalny niemiecki, jaki istniał w rzeczywistości, lecz taki, jaki wyobrażają sobie Max i Moritz – dwaj chorążowie: chorąży wojskowy Jermolenko i chorąży polityczny Kierenski.

Może jednak, mimo tej ciemnoty i niskiego stopnia służbowego, Jermolenko zajmował jakieś wybitne stanowisko w systemie szpiegostwa niemieckiego? Kierenski chciałby nas zmusić do takich przypuszczeń. Ale my znamy nie tylko książkę Kierenskiego, ale i jej źródła. Sam Jermolenko jest szerszy od Kierenskiego. W swych zeznaniach, złożonych tonem drobnego i głupiego awanturnika, Jermolenko sam wymienia swą cenę: niemiecki sztab generalny dał mu ogółem 1500 ówczesnych rubli, 1500 mocno zdeprecjonowanych rubli na wszystkie koszty oderwania od Rosji Ukrainy i obalenia Kierenskiego. Jermolenko opowiada otwarcie w swych zeznaniach – dziś wydanych w druku, – że gorzko, choć bezskutecznie skarżył się na niemieckie skąpstwo. – Dlaczego tak mało? – protestował Jermolenko, ale „odpowiedzialni kierownicy” byli nieubłagani. Zresztą, Jermolenko nie mówi nam, czy prowadził bezpośrednio rokowania z Ludendorffem, Hindenburgiem, z kronprinzem, czy też byłym kaiserem. Jermolenko uporczywie przemilcza nazwiska tych „odpowiedzialnych kierowników”, którzy dali mu 1500 rubli na pogębienie Rosji, na wydatki w drodze, na tytoń i wypitkę. Pozwolimy sobie na wypowiedzenie hipotezy, że pieniądze poszły głównie na wypitkę, i że z chwilą, kiedy niemieckie „fundusze” rozplynęły się w kieszeni chorążego, ten, nie zwracając się do wskazanych mu w Berlinie banków, mężnie stawił się w rosyjskim sztabie, szukając tam patriotycznego poparcia.

Jakich to „licznych ukraińskich separatystów” zdemaskował Jermolenko przed Kierenskim? O tem w książce Kierenskiego nie znajdujemy ani słowa. Aby nadać wagę nędzemu łgarstwu Jermolenki, Kierenski prosto dodaje łgarstwa od siebie. Z separatystów Jermolenko, jak wiadomo z jego zeznań, wymienił Skoropiś-Połtuchowskiego. Kierenski przemilcza to nazwisko, dlatego, że gdyby je wymienił, to musiałby się przyznać, że Jermolenko żadnych rewelacyjnych danych nie posiadał. Nazwisko Połtuchowskiego nie było tajemnicą dla nikogo. Kilkanaście razy było wymieniane w prasie podczas

wojny. Połtuchowski nie ukrywał swych stosunków z niemieckim sztabem generalnym. W paryskim piśmie „Nasze Słowo”, już w końcu 1924 roku, piętnowałem niewielką grupę ukraińskich separatystów, którzy nawiązali stosunki z niemieckimi władzami wojskowymi. Wszystkich ich, między innymi i Połtuchowskiego, wymieniłem z nazwiska. Jednakże, szłyszeliśmy już, że Jermolence wymieniono w Berlinie nie tylko „licznych ukraińskich separatystów”, ale i – Lenina. Poco wymieniono mu separatystów, można jeszcze zrozumieć: Jermolenko sam udawał się w celu prowadzenia propagandy separatystycznej. Ale w jakim celu wspomniano Lenina? Na to pytanie Kierenski nie daje odpowiedzi. Nie jest to przypadek. Chodzi o to, że Jermolenko bez związku i sensu wplątuje nazwisko Lenina w swe zagmatwane zeznania. Inspirator Kierenskiego opowiada, jak został zwerbowany w charakterze niemieckiego szpiega o celach „patriotycznych”, jak żądał podwyższenia swych „tajnych funduszy” (1500 wojennych rubli!), jak wyjaśniano mu jego przyszłe obowiązki: szpiegostwo, burzenie mostów i t. p. Bez żadnego związku z tą całą historią, zakomunikowano mu (kto?), według słów jego, że będzie pracował w Rosji „nie sam”, że „w tym samym (!) kierunku pracuje w Rosji Lenin, ze swymi zwolennikami”. Tak brzmi dosłownie tekst jego zeznań. Okazuje się, że drobnemu agentowi, przeznaczonemu do burzenia mostów, powierzają bez jakiegokolwiek praktycznej potrzeby, taką tajemnicę, jak stosunki Lenina z Ludendorffem... W końcu swych zeznań, znów bez żadnego związku z całą opowieścią, wyraźnie pod czyjś niezdamem dyktandem, Jermolenko dodaje niespodzianie: „powiadomiono (kto?) mnie, że Lenin brał udział w naradach w Berlinie (z przedstawicielami sztabu generalnego) i mieszkał u Skoropiś-Połtuchowskiego, o *czem się zresztą później sam przekonałem*”. Kropka. *W jaki sposób* się przekonał – o tem ani słowa. W stosunku do tej jedynej „faktycznej” wskazówki Jermolenki, sędzia śledczy, Aleksandrow, wcale nie zdradził ciekawości. Nie zadał najprostszego pytania o tem, *w jaki sposób* przekonał się chorąży o tem, że Lenin był podczas wojny w Berlinie i mieszkał u Skoropiś-Połtuchowskiego. A może Aleksandrow zadał takie pytanie (nie mógł nie zadać!), ale otrzymał w odpowiedzi tylko nieartykułowane pomruki i dlatego postanowił wcale nie wciągać tego epizodu do protokołu. To bardzo prawdopodobne! Czy nie mamy prawa z racji tej całej roboty spytać: jakież głupiec temu uwierzy? Okazuje się jednak, że są „mężowie stanu”, którzy udają, że wierzą i zapraszają swych czytelników do dzielenia z nimi owej wiary.

– I to wszystko? – Tak, chorąży wojskowy nie wie nic poza tem. Polityczny chorąży stawia jeszcze hipotezy i domysły. Przyjrzyjmy im się.

„Rząd tymczasowy, – głosi Kierenski, – stanął wobec trudnego zadania, polegającego na dalszem badaniu wskazanych przez Jermolenkę śladów, deptaniu po piętach agentom, jeżdżącym tam i zpowrotem między Leninem i Ludendorffem, schwytaniu ich na miejscu przestępstwa, z jak najbardziej zabójczym materiałem obciążającym” (str. 296).

To wspaniałe zdanie splecione jest z dwóch nici: kłamstwa i tchórzliwości. Tutaj po raz pierwszy wprowadzony zostaje na widownię Ludendorff. Jermolenko nie przytacza ani jednego niemieckiego nazwiska: głowa chorążego odznaczała się zbyt małą pojemnością. O agentach, którzy jeździli tam i zpowrotem między Leninem i Ludendorffem, Kierenski celowo mówi dwuznacznie. Z równą słusnością można sądzić, że chodzi tu o określonych,

znanych już agentów, których należy jedynie schwytać z dowodami w ręku, jak i że w głowie Kierenskiego istniała tylko platońska idea agentów. Jeśli zamierzał „deptać im po piętach”, to chodziło, póki co, o nieznaną, anonimową, transcendentalną piętę. Swymi słownymi łamańcami oszczerca ujawnia jedynie swą własną... achillesową piętę, albo, mówiąc mniej klasycznie, ośle kopyto.

Dochodzenie prowadzono – według Kierenskiego – w tak wielkiej tajemnicy, że wiedzieli o nim tylko czterej ministrowie. Nawet nieszczęsny minister sprawiedliwości, Pieriewierzew, nie był o nim powiadomiony. Oto jak wygląda traktowanie sprawy przez prawdziwego męża stanu: wtedy, kiedy niemiecki sztab generalny wydawał pierwszemu lepsze niż tylko nazwy swych zaufanych banków, ale i całą tajemnicę stosunków z wodzami jednej z największych partii rewolucyjnych, Kierenski postępuje wprost przeciwnie: uważa, że oprócz niego, tylko trzech ministrów posiada dostateczny hart ducha, aby nie odstępować od pięt agentów Ludendorffa.

„Zadanie było niezwykle trudne, zagmatwane i przewlekłe” (str. 297), skarży się Kierenski. Tym razem chętnie mu wierzymy. Zato rezultat w zupełności ukoronował owe patriotyczne wysiłki. Kierenski sam o tem mówi: „Rezultat, w każdym razie był wprost druzgoczący dla Lenina. Stosunki Lenina z Niemcami zostały bezsprzecznie stwierdzone” (str. 297). Proszę dobrze zapamiętać: „bezsprzecznie stwierdzone”.

Przez kogo i w jaki sposób? W tem miejscu Kierenski wprowadza do swego romansu kryminalnego dwóch dosyć znanych polskich rewolucjonistów, Haneckiego i Kozłowskiego, oraz niejaką panią Sumenson, o której nikt nigdy nie potrafił nic powiedzieć, ba, samo istnienie której nie zostało wcale dowiedzione. Ta trójka była jakoby agentami łącznikowymi. Na jakiej podstawie zalicza Kierenski nieżyjącego już Kozłowskiego i cieszącego się dobrem zdrowiem Haneckiego do pośredników między Ludendorffem i Leninem? Niewiadomo. Jermolenko nie wymieniał tych osób. Zjawiają się one na stronicach książki Kierenskiego, jak w swoim czasie pojawiły się na stronicach gazet w dniach lipcowych 1917 roku, całkiem niespodzianie, jak bogowie ex machina, przyczem rolę maszyny jawnie odegrał carski kontrwywiad. Oto, co opowiada Kierenski: „Bolszewicki agent niemiecki ze Sztokholmu, który wiozł ze sobą dokumenty, niezbicie dowodzące związku między Leninem i niemieckim dowództwem, miał być zaaresztowany na granicy szwedzko-rosyjskiej. Dokumenty były nam dokładnie znane” (str. 298). Tym agentem, jak się okazuje, był Hanecki. Widzimy, że czterej ministrowie, z których najmądrzejszy był, naturalnie, premier, nie trudzili się napróżno: agent bolszewicki wiozł ze Sztokholmu znane już przedtem („dokładnie znane!”) Kierenskiemu dokumenty, niezbicie dowodzące, że Lenin był agentem Ludendorffa. Ale dlaczego Kierenski nie dzieli się z nami tajemnicą, dotyczącą tych dokumentów? Dlaczego przynajmniej nie wyjaśnił ich treści? Dlaczego nie wspomni, choćby tylko nawiasem, w jaki sposób dowiedział się o treści tych dokumentów? Dlaczego nie wyjaśni, pociągając właściwie niemieckiego agenta bolszewickiego, dowodzącego, że bolszewicy są niemieckimi agentami? O tem wszystkim Kierenski nie mówi ani słowa. Czy można nie spytać powtórnie: jakież głupie mu uwierzy?

Jednakże, jak się okazuje, sztokholmski agent wcale nie został zaaresztowany. Interesujące dokumenty, „dokładnie znane” Kierenskiemu w 1917 roku, a w 1928 w dalszym ciągu nieznaną jego czytelnikom, nie zostały

przejęte. Bolszewicki agent jechał, ale nie dojechał do szwedzkiej granicy. Dlaczego? Tylko dlatego, że minister sprawiedliwości, Pieriewierzew, niezdolny do deptania po piętach, zbyt wcześnie wypaplał przed prasą wielką tajemnicę chorążego Jermolenki. A szczęście było tak możliwe, tak bliskie...

„Dwumiesięczna praca rządu tymczasowego (głównie Tereszczenki), zmierzająca do ujawnienia bolszewickich knowań, zakończyła się *niepowodzeniem*” (str. 298). Tak, tak właśnie czytamy u Kierenskiego: „zakończyła się *niepowodzeniem*”. Na stronie 297 mówi się o tym, że „rezultat tej pracy był wprost druzgoczący dla Lenina”, jego stosunki z Ludendorffem zostały „bezsprzecznie stwierdzone” – zaś na stronie 298 czytamy, że dwumiesięczna praca zakończyła się „*niepowodzeniem*”... Czy to nie wygląda na całkiem niezabawne błazeństwo?

Ale to jeszcze nie koniec. Najjaskrawiej bodajże uwydatnia się kłamliwość i tchórzostwo Kierenskiego w mojej sprawie. Na końcu listy niemieckich agentów, zaarrestowanych na jego rozkaz, Kierenski skromnie dodaje: „Po kilku dniach zostali zaarrestowani również Trocki i Łunaczarski” (str. 309). Jest to jedyne miejsce, gdzie Kierenski wymienia mnie, jako należącego do systemu niemieckiego szpiegostwa. Czyni to głucho, bez retorycznych kwiatków, nie szafując swymi słowami „honoru”. Ma dostateczne przyczyny po temu. Całkiem pominąć mnie nie może, dlatego, że w każdym bądź razie jego rząd zaarrestował mnie i oskarżył o to samo, co Lenina. Jednakże nie chce i nie może rozwodzić się nad dowodami przeciw mnie, dlatego, że w mojej sprawie jego rząd szczególnie jaskrawo ujawnił wspomniane już ośle kopyto. Jako jedyny dowód, przeciwko mnie, wysunięte zostało przez sędziego śledczego Aleksandrowa to, że razem z Leninem przejechałem przez Niemcy w zaplombowanym wagonie. Stary łańcuchowy pies carskiej sprawiedliwości nie miał pojęcia o tym, że nie ja przejechałem razem z Leninem w zaplombowanym wagonie przez Niemcy, lecz przywódca mieńszewików, Martow. Ja natomiast przejechałem o miesiąc później z Nowego-Jorku, przez kanadyjski obóz koncentracyjny i Skandynawję. Oskarżenie przeciw bolszewikom konstruowali fałszyfikatory tak nędzni i pogardy godni, że nawet nie uważali za potrzebne choćby sprawdzić w gazetach, kiedy i jaką drogą Trocki wrócił do Rosji. W swoim czasie z miejsca oświadczyłem to sędziemu śledczemu. Rzuciłem mu w twarz brudne papierki i odwróciłem się do niego tyłem, nie chcąc z nim więcej mówić. Wówczas też zwróciłem się z protestem do rządu tymczasowego. Wina Kierenskiego, jego kryminalne przestępstwo w stosunku do czytelnika w tym punkcie ujawnia się najwyraźniej. Kierenski wie, jak haniebnie potknęła się jego magistratura na oskarżeniu przeciwko mnie. Oto dlaczego, zaliczając mnie mimochodem do systemu szpiegostwa niemieckiego, ani słowem nie wspomina o tym, jak to on i trzej inni jego ministrowie deptali mi po piętach przez Niemcy w tym właśnie czasie, kiedy przebywałem w kanadyjskim obozie koncentracyjnym.

„Gdyby Lenin nie miał poparcia ze strony całej materialnej i technicznej potęgi niemieckiego aparatu propagandowego i niemieckiego szpiegostwa – uogólnia swe wywody oszczerca – nigdyby mu się nie powiodło zniszczenie Rosji” (str. 299). Kierenski pragnie wierzyć, że stary régime (i on sam z nim razem) obalony został nie przez rewolucyjny lud, lecz przez szpiegów niemieckich. Jak bardzo pocieszająca jest historyczna filozofja, zgodnie z którą życie wielkiego kraju stanowi tylko zabawkę w rękach organizacji szpiegowskiej sąsiada. Jednak, jeśli militarna i techniczna potęga Niemiec

mogła w ciągu kilku miesięcy obalić demokrację Kierenskiego i sztucznie zasadzić bolszewizm, to dlaczego materialny i techniczny aparat wszystkich krajów Entente'y nie mógł w ciągu 12-tu lat znieść tego sztucznie powstałego bolszewizmu?

Ale nie będziemy wglębiać się w dziedzinę historycznej filozofii. Pozostaniemy w dziedzinie faktów. – Na czym polegała techniczna i finansowa pomoc Niemiec? Kierenski nie mówi o tym ani słowa.

Kierenski odwołuje się wprawdzie do pamiętników Ludendorffa. Jednak z tych pamiętników wynika wyraźnie tylko jedno: Ludendorff spodziewał się, że rewolucja w Rosji doprowadzi do rozkładu armii carskiej – najpierw rewolucja lutowa, potem zaś październikowa. Dla zdemaskowania tego planu Ludendorffa nie potrzebne były jego pamiętniki. Wystarczył zupełnie fakt, że grupa rosyjskich rewolucjonistów została przepuszczona przez terytorium Niemiec. Lenin wykorzystał wyrachowanie Ludendorffa, mając na względzie swoje wyrachowanie. Ludendorff mówił sobie: Lenin obali patriotów, a potem ja zduszę Lenina i jego przyjaciół. Lenin zaś mówił sobie: przejadę wagonem Ludendorffa, a za przysługę zapłacę mu po swoim.

Że dwa biegunowo przeciwne plany przecinały się w jednym punkcie i że tym punktem był „zaplombowany” wagon – aby dowieść tego, nie trzeba talentów śledczych Kierenskiego. To jest fakt historyczny. Później historia zdążyła już sprawdzić oba wyrachowania. Dn. 7-go listopada 1917 roku bolszewicy zagarnęli władzę. Dokładnie w rok później, pod potężnym wpływem rosyjskiej rewolucji, niemieckie masy rewolucyjne obaliły Ludendorffa i jego panów. Po upływie dalszych lat dziesięciu skrzywdzony przez historję demokratyczny Narcyz spróbował odświeżyć głupie oszczerstwa, rzucone – nie na Lenina, lecz na wielki naród i jego rewolucję.

ROZDZIAŁ XXVI

OD LIPCA DO PAŹDZIERNIKA

Dnia 4 czerwca zgłosiłem w imieniu frakcji bolszewików na zjeździe Sowietów deklarację w sprawie przygotowywanej przez Kierenskiego ofensywy na froncie. Wskazywaliśmy, że ofensywa jest awanturą, grożącą wprost istnieniu armji. Ale rząd tymczasowy upajał się frazesami. Masę żołnierską, do głębi wstrząśniętą przez rewolucję, ministrowie uważali za glinę, z której można ulepić co się tylko zechce. Kierenski jeździł wzdłuż frontu, błagał, groził, padał na kolana, całował ziemię, słowem urządzał różne błazeństwa, nie odpowiadając żołnierzom na żadne dręczące ich pytanie. Otumaniwszy się taniemi efektami i zapewniwszy sobie poparcie ze strony zjazdu sowietów, zarządził ofensywę. Kiedy nieszczęście, przepowiedziane przez bolszewików, stało się faktem, oskarżono bolszewików. Rozpętała się szalona naganka. Reakcja, zamaskowana przez partję kadecką, nacierała ze wszystkich stron i żądała naszych głów.

Zaufanie mas do rządu tymczasowego zostało całkowicie pogrzebane. Okazało się, że Piotrogród w drugiej fazie rewolucji stanowił również daleko naprzód wysuniętą awangardę. Podczas dni lipcowych ta awangarda otwarcie starła się z rządem Kierenskiego. Nie było to jeszcze powstanie, lecz tylko daleki wywiad. Jednak już w lipcowym starciu ujawniło się, że za Kierenskim nie stoi żadna „demokratyczna” armja, że te siły, które go popierają przeciw nam, są siłami kontr-rewolucji.

O wystąpieniu pułku karabinów maszynowych i o jego wezwaniu, skierowanem do innych oddziałów wojskowych i fabryk, dowiedziałem się 3-go lipca, podczas posiedzenia w Pałacu Taurydzkim. Wiadomość ta była dla mnie czemś zgoła nieoczekiwanem. Demonstracja wywołana została samowolnie z anonimowej inicjatywy, idącej zdołu. Na drugi dzień demonstracja rozszerzyła się jeszcze bardziej, już z udziałem naszej partji. Pałac Taurydzki został zalany przez tłum. Hasło było tylko jedno: „Władza dla sowietów!” Przed pałacem jakaś podejrzana gromadka, trzymająca się w tłumie nauboczu, zatrzymała ministra rolnictwa Czernowa i umieściła go w samochodzie. Do losu ministra odniesiono się obojętnie, w każdym razie sympatje tłumy nie były po jego stronie. Wiadomość o aresztowaniu Czernowa i o grożącym mu niebezpieczeństwie, przeniknęła do pałacu. Socjal-rewolucjoniści dla ratowania swego wodza postanowili puścić w ruch samochody pancerne. Upadek popularności wytrącił ich z równowagi: chcieli okazać silną rękę. Postanowiłem spróbować wyjechać razem z Czernowem samochodem z tłumy, aby go później uwolnić. Jednak bolszewik Raskolnikow, porucznik floty bałtyckiej, który przyprowadził na demonstrację kronsztadzkich marynarzy, zdenerwowany do najwyższego stopnia, nalegał, aby natychmiast uwolnić Czernowa, gdyż w przeciwnym razie będzie się nazywało, że aresztowali go kronsztadtowcy. Postanowiłem spróbować pójść na rękę Raskolnikowowi. Teraz oddaję głos jemu samemu: „Trudno powiedzieć, jak długo trwałby burzliwy nastrój tłumy – mówi ekspansywny porucznik w swych wspomnieniach, – gdyby nie pomoc tow. Trockiego.- Energicznie skoczył na przednie siedzenie samochodu i szerokim, ostrym ruchem ręki człowieka,

któremu sprzykrzyło się czekać, nakazał milczenie. W jednej chwili wszystko umilkło, zapanowała śmiertelna cisza. Głośnym, wyraźnym, metalicznym głosem... Lew Dawidowicz wygłosił krótkie przemówienie, kończąc je pytaniem: „kto jest za gwałtem w stosunku do Czernowa, niech podniesie rękę”... Nikt nawet nie otworzył ust, – pisze dalej Raskolnikow, – nikt nie wyrzekł ani słowa sprzeciwu. – Obywatelu Czernow, jesteście wolni, – uroczyście wyrzekł Trocki, zwracając się całym ciałem do ministra rolnictwa i ruchem ręki zapraszając go do opuszczenia samochodu. Czernow był napół żywy. Pomogłem mu wysiąść z samochodu. Ze zmęczonym, bezsilnym wyrazem twarzy, niepewnym, chwiejnym krokiem Czernow wszedł na schody i zniknął w westybulu pałacu. Lew Dawidowicz, zadowolony ze zwycięstwa, odszedł z nim razem”.

Pomijając zbędne patetyczne zabarwienie, scena powyższa została wiernie odtworzona. Nie przeszkodziło to jednak wrogiej prasie w twierdzeniu, że to ja zaarrestowałem Czernowa, aby dokonać nad nim samosądu. Sam Czernow milczał wstydliwie: niezręcznie jest przecież „ludowemu” ministrowi przyznawać się do tego, że całość swej skóry zawdzięcza nie swojej popularności, lecz wstawiennictwu bolszewika.

Jedna delegacja po drugiej żądała w imieniu demonstrantów, żeby Komitet Wykonawczy przejął władzę, Czcheidze, Cereteli, Dan, Goz zasiadali w prezydjum, jak pogańskie bałwany. Nie dawali delegacjom odpowiedzi, patrzyli w przestrzeń, albo zamieniali ze sobą spojrzenia lękliwe i tajemnicze. Bolszewicy zabierali głos, popierając delegacje robotnicze i żołnierskie. Członkowie prezydjum milczeli. Oczekiwali. Czego?... Tak mijały godziny. Głęboką nocą pod sklepieniami pałacu zabrzmiały zwycięskie dźwięki mosiężnych trąb. Prezydjum ocknęło się, jak pod działaniem prądu elektrycznego. Ktoś uroczyście zakomunikował, że pułk Wołyński przybył z frontu i oddał się do dyspozycji Centralnego Komitetu Wykonawczego. Okazało się, że w całym ogromnym piotrogrodzkim garnizonie „demokracja” nie miała ani jednego oddanego sobie oddziału wojskowego.

Musieli czekać póki siły zbrojne nie nadejdą z frontu. Teraz cała sytuacja odrazu zmieniła się radykalnie. Delegacje zostały wypędzone, bolszewików nie dopuszczano więcej do głosu. Wodzowie demokracji postanowili zemścić się na nas, za ów strach, którego napędziły im tłumy. Z trybuny Komitetu Wykonawczego zabrzmiały mowy o zbrojnym buncie, stłumionym teraz przez wierne wojska. Bolszewicy zostali uznani za partję kontr-rewolucyjną. A wszystko to dzięki przybyciu jednego Wołyńskiego pułku. Po upływie trzech i pół miesiąca pułk ten jednomyślnie brał udział w obaleniu rządu Kierenskiego.

Dnia 5-go rano widziałem się z Leninem. Atak tłumów był już odparty. – Teraz nas wystrzelają, – mówił Lenin. – To najodpowiedniejsza dla nich chwila. – Lenin jednakże przecenił przeciwnika – nie jego złą wolę, lecz zdecydowanie i zdolność do działania. Nie wystrzelali nas, choć nie byli od tego dalecy. Na ulicach bito i zabijano bolszewików. Junkrzy zdemolowali pałacyk Krzezińskiej i drukarnię „Prawdy”. Cała ulica przed drukarnią zasypana była rękopisami. Między innymi zaginał również mój pamflet „Oszczercem”. Daleki wywiad lipcowy przekształcił się w jednostronny atak. Przeciwnicy zostali zwycięscami bez wysiłku, ponieważ my nie podejmowaliśmy walki. Lecz partja musiała srogo pokutować. Lenin i Zinowjew ukryli się. Rozpoczęły się liczne aresztowania, którym towarzyszyło bicie. Kozacy i junkrzy zabierali aresztowanym pieniądze na tej zasadzie, że są

to pieniądze „niemieckie”. Liczni sympatycy i zwolennicy odwracali się do nas plecami. W pałacu Taurydzkim uznano nas za kontr-rewolucjonistów i właściwie postawiono poza prawem.

Sytuacja władz partyjnych była niepomyślna. Lenina nie było. Grupa Kamieniewa podniosła głowę. Wielu, pomiędzy nimi również i Stalin, poprostu siedziało cicho z założonymi rękoma i przeczekiwało wypadki, aby na drugi dzień popisywać się swoją mądrością. Bolszewicka frakcja Centralnego Komitetu Wykonawczego czuła się osierocona w gmachu pałacu Taurydzkiego. Przysłała do mnie delegację z prośbą o wygłoszenie referatu na temat istniejącej sytuacji, mimo że ciągle jeszcze nie byłem członkiem partii: formalny akt przyłączenia został odłożony do mającego się wkrótce odbyć zjazdu partii. Naturalnie, zgodziłem się chętnie. Moja rozmowa z frakcją bolszewicką stworzyła takie moralne więzy, jakie powstają tylko pod ciężkimi uderzeniami wroga. Mówiłem, że po tym kryzysie oczekuje nas szybkie wyniesienie w górę, że masy podwójnie przywiążą się do nas, kiedy przekonają się, że jesteśmy rzeczywiście wierni sprawie, że podczas tych dni należy bystro przyglądać się każdemu rewolucjonście, gdyż w takich chwilach ludzie wąż się na nieomylnych wagach. Jeszcze obecnie wspominam z radością, z jaką serdecznością i wdzięcznością odprowadzała mnie frakcja. – Lenina niema, – mówił Murałow, – z pozostałych zaś jeden Trocki nie stracił głowy. – Gdybym pisał te pamiętniki w innych warunkach – wątpię, zresztą, czy w innych warunkach pisałby je wogóle, – krępowałoby mnie powtarzanie wielu szczegółów, które przytaczam na tych stronicach. W tej chwili jednak nie mogę oderwać się od tego na wielką skalę zorganizowanego fałszowania przeszłości, które stanowi jedną z głównych trosk epigonów. Przyjaciele moi są w więzieniach, albo na zesłaniu. Zmuszony jestem mówić o sobie to, czego nie mówiłbym w innych warunkach. Chodzi mi bowiem nie tylko o historyczną prawdę, ale i o polityczną walkę, która ciągle jeszcze trwa.

Od tego czasu datuje się nierozdzielna bojowa i polityczna przyjaźń moja z Murałowem. O tym człowieku muszę powiedzieć tu choć kilka słów, Murałow – to stary bolszewik, który walczył w Moskwie podczas rewolucji 1905 roku. W roku 1906 w Sierpuchowie Murałow dostał się w ręce czarnosecińców podczas pogromu, dokonywanego, jak zwykle, pod ochroną policji. Murałow, to wspaniały olbrzym, którego nieustraszoną odwagę równoważy szlachetna dobroć. Wraz z kilkoma lewicowcami został otoczony przez pierścień wrogów w budynku zarządu Ziemstwa. Murałow wyszedł z gmachu z rewolwerem w rękę i równym krokiem ruszył na tłum. Tłum ustępował. Jednakże bojowa grupka czarnosecińców przecięła mu drogę, dorożkarze zaczęli wydawać zachęcające okrzyki. – Rozejść się! – rozkazał olbrzym, nie zatrzymując się, i podniósł rękę z rewolwerem. Rzucono się na niego. Jednego położył trupem na miejscu, drugiego zranił. Tłum poddał się wtył. Nie przyspieszając kroku, przecinając tłum, jak łamacz lodów, Murałow poszedł pieszo w stronę Moskwy. Proces jego ciągnął się przeszło dwa lata i, mimo szalejącej reakcji, zakończył się uniewinnieniem. Agronom z wykształcenia, szeregowiec kolumny samochodowej podczas wojny imperjalistycznej, kierownik październikowych walk w Moskwie, Murałow po zwycięstwie został pierwszym dowódcą moskiewskiego okręgu wojennego. Był nieustraszoną marszałkiem wojny rewolucyjnej, zawsze równy, prosty, bez pozy. Podczas marszów prowadził nieustannie propagandę czynem: dawał rady rolnikom, kosił zboże i w międzyczasie leczył ludzi i krowy. W najtrudniejszych

warunkach promieniowały od niego spokój, pewność i serdeczność. Po ukończeniu wojny ja i Murałow staraliśmy się razem spędzać wolne chwile. Łączyła nas również żyłka łowiecka. Przemierzyliśmy razem północ i południe, szukając niedźwiedzi i wilków, bażantów i dropi. Teraz Murałow poluje na Syberji jako deportowany opozycjonista...

Podczas dni lipcowych w 17 roku, Murałow nie stracił panowania nad sobą i podtrzymywał wielu innych. A wówczas każdy z nas potrzebował wiele panowania nad sobą, aby przechodzić przez korytarze i sale Pałacu Taurydzkiego, nie pochylając się i nie zwieszając głowy pod szeregiem wściekłych spojrzeń, wśród złowrogich szeptów, demonstracyjnych poszturchiwań łokciem („patrz, patrz!”) i jawnego zgrzytania zębami. Niema nic bardziej nieludzkiego, niż chełpliwy i napuszony „rewolucyjny” filister, skoro spostrzeże, że rewolucja, która go niespodzianie wyniosła wgórę, zaczyna zagrażać jego chwilowej wspaniałości. Droga do bufetu Komitetu Wykonawczego była w owych dniach małą Gólgotą. Rozdawano tam herbatę i kanapki z czarnego chleba z serem, albo czerwonym ziarnistym kawiolem: dużo było tego kawioru w Smolnym Instytucie i później w Kremlu. Na obiad dawano barszcz i kawałek mięsa. Bufetowym Komitetu Wykonawczego był szeregowiec Grafów. W czasie najgwałtowniejszej naganki przeciw nam, kiedy Lenin, ogłoszony za niemieckiego szpiega, ukrywał się w szałasie, zauważyłem, że Grafów podsuwał mi cogoreńszą szklanekę herbaty i co lepszą kanapkę, nie patrząc przytem na mnie. Było to całkiem wyraźne: Grafów sympatyzował z bolszewikami i krył się z tem przed swą władzą. Zaczęłem obserwować. Grafów nie był wyjątkiem. Cały niższy personel Smolnego – stróże, kurjerzy, wartownicy – wyraźnie ciążyli ku bolszewikom. Wówczas powiedziałem sobie, że nasza sprawa jest już napół wygrana. Jednak narazie tylko napół.

Prasa prowadziła przeciw bolszewikom jedyną w swym rodzaju, co do złośliwości i haniebnosci, kampanję, którą dopiero w parę lat później przewyższyła kampanja Stalina przeciwko opozycji. Łunczarskij poczynił w lipcu kilka dwuznacznych oświadczeń, które prasa nie bez podstaw interpretowała, jako wyrzeczenie się bolszewików. Niektóre gazety przypisywały mi podobne oświadczenia. Dnia 10-go lipca zwróciłem się do Rządu Tymczasowego z listem, w którym oświadczyłem o mojej całkowitej solidarności z Leninem i który zakończyłem: „nie możecie mieć żadnych podstaw do niestosowania do mnie dekretu, mocą którego podlegają aresztowaniu Lenin, Zinowjew i Kamieniew... nie możecie mieć podstaw, pozwalających wątpić, że jestem równie nieprzejednanym wrogiem ogólnej polityki Rządu Tymczasowego, jak wymienieni towarzysze”. Panowie ministrowie zrobili z tego listu właściwy użytek: zaaresztowali mnie, jako niemieckiego agenta.

W maju, kiedy Cereteli szczuł na marynarzy i rozbierał strzelców karabinów maszynowych, przepowiedziałem mu, że może niedaleki jest dzień, kiedy będzie musiał szukać u marynarzy pomocy, przeciwko generałowi, który zacznie namydlać stryczek dla rewolucji. W sierpniu znalazł się taki generał w osobie Kornilowa. Cereteli zwrócił się o pomoc do kronsztadzkich marynarzy. Nie odmówili mu. Na wody Newy wpłynął krążownik „Aurora”. To tak szybkie spełnienie się mej przepowiedni obserwowałem już z „Krestow”. Marynarze z „Aurory”, w godzinach odwiedzin więziennych, przysłali do mnie delegację po radę: czy bronić pałacu Zimowego, czy też brać go szturmem?

Poradziłem im odłożenie porachunków z Kierenskim do chwili rozprawienia się z Korniłowem. – Co nasze, to nam nie ucieknie. – Nie ucieknie? – Nie ucieknie!

Do więzienia na widzenie ze mną przychodziła żona z synami. W owym czasie chłopcy mieli już własne polityczne doświadczenie. Lato chłopcy spędzali na letnisku, u znajomej rodziny emerytowanego pułkownika W. Zbierali się tam goście, głównie oficerowie, i przy wódce wymyślali na bolszewików. W dni lipcowe wymysły doszły do kulminacyjnego punktu. Niektórzy z owych oficerów wkrótce wyjechali na południe, gdzie zbierały się przysze kadry białych. Jakiś młody patryjota nazwał przy stole Lenina i Trockiego niemieckimi szpiegami. Mój starszy chłopczyk porwał się z krzesłem na niego, młodszy przybiegł na pomoc z nożem stołowym w rękę. Dorośli rozdzielili ich. Chłopcy łkali histerycznie, zamknawszy się w swoim pokoju. Zamierzali w tajemnicy uciec pieszo do Piotrogradu, aby dowiedzieć się, co tam robią z bolszewikami. Na szczęście przyjechała matka, uspokoiła ich i zabrała ze sobą. W mieście jednak nie było lepiej. Pisma rzucały gromy na bolszewików. Ojciec siedział w więzieniu. Rewolucja zdecydowanie nie usprawiedliwiła pokładanych w niej nadziei. Nie przeszkadzało to chłopcom patrzeć z zachwytem, jak żona ukradkiem przesuwiała mi przez kraty pokoju widzeń szczyryki. Po dawnemu pocieszałem ich tem, że prawdziwa rewolucja czeka nas dopiero.

Córki moje znacznie bardziej na serjo wciągały się w życie polityczne. Chodziły na wiece do cyrku Moderne i brały udział w demonstracjach. Podczas dni lipcowych znalazły się w starciu ulicznym, zostały porwane przez tłum, jedna zgubiła binokle, obie – kapelusze, obie lękały się utracić ojca, który tak niedawno pojawił się na ich horyzoncie.

Podczas korniłowskiego marszu na stolicę, więzienny régime zawisł na cienkiej nitce. Wszyscy rozumieli, że jeśli Korniłow wejdzie do miasta, to przede wszystkim wymorduje zaaresztowanych przez Kierenskiego bolszewików. Centralny Komitet Wykonawczy obawiał się poza tem ataku na więzienia ze strony białogwardyjskich elementów stolicy. Dla ochrony „Krestow” przysłano znaczny oddział wojska. Oczywiście, okazało się, że był on bolszewicki, a nie „demokratyczny” i gotów był uwolnić nas w każdej chwili. Jednakże akt taki byłby sygnałem do natychmiastowego powstania, a na to nie nadeszła jeszcze pora. Tymczasem sam rząd zaczął nas uwalniać – z tego samego powodu, z jakiego wezwał marynarzy-bolszewików do obrony Zimowego pałacu. Wprost z „Krestow” udałem się do niedawno powstałego komitetu obrony rewolucji, gdzie zasiadałem z tymi samymi panami, którzy wpakowali mnie do więzienia, jako agenta Hohenzollerna, i jeszcze nie zdążyli oczyścić mnie z tego zarzutu. Socjal-rewolucjoniści i mieńszewicy, szczerze przyznając, już samym swym wyglądem wywoływali życzenie, aby Korniłow ujął ich za kołnierz i potrząsnął nimi w powietrzu. Jednak takie życzenie było nie tylko nieszlachetne, ale i niepolityczne. Bolszewicy wprzęgli się do obrony i wszędzie byli na pierwszym miejscu. Doświadczenie powstania korniłowskiego uzupełniło doświadczenia dni lipcowych. Znow okazało się, że Kierenski i S-ka nie mają za sobą żadnych własnych sił. Ta armja, która ruszyła przeciw Korniłowowi, była przyszlą armją październikowego przewrotu. Wykorzystaliśmy niebezpieczeństwo, aby uzbroić robotników, których Cereteli poprzednio przez cały czas gorliwie rozbijał.

Miasto umilkło w owych dniach. Czekano Korniłowa – jedni z nadzieją,

drudzy ze strachem. Chłopcy słyszeli: „może przyjść jutro”. Rano, jeszcze nieubrani, wlepiali oczy w okna: przyszedł, czy nie przyszedł? Ale Korniłow nie przyszedł. Rewolucyjny duch mas był tak potężny, że korniłowski bunt poprostu roztajał, wyparował. Ale nie bez śladu: wyszedł całkowicie na korzyść bolszewikom.

„Odwet nie każe na siebie czekać, – pisałem w czasie korniłowskich dni. – Szczuta, prześladowana, obrzucona oszczerstwami partja nasza, nigdy nie wzrastała tak szybko, jak w ostatnich czasach. I proces ten rozszerzył się szybko ze stolic na prowincję, z miast – na wieś i armję... Nie przestając ani na chwilę być klasową organizacją proletariatu, partja nasza przekształci się w ogniu represyj na prawdziwą kierowniczkę wszystkich uciemionych, gnębionych, oszukanych i szczutych mas”...

Ledwo mogliśmy podolać napływowi zwolenników. Ilość bolszewików w piotrogrodzkim sowiecie wzrastała z dnia na dzień. Stanowiliśmy już niemal jego połowę, a tymczasem w prezydium ciągle jeszcze nie było ani jednego bolszewika. Wyłoniła się sprawa nowych wyborów do prezydium sowietu. Zaproponowaliśmy mieńszewikom i socjal-rewolucjonistom koalicyjne prezydium. Lenin, jakeśmy się później dowiedzieli, był z tego niezadowolony, lękał się bowiem, że kryją się pod tem tendencje ugodowe. Żaden kompromis nie doszedł jednak do skutku. Mimo niedawnej wspólnej walki przeciw Korniłowowi, Cereteli nie zgodził się na koalicyjne prezydium. Tego nam tylko było trzeba. Pozostawało zatem głosowanie według list. Zadałem pytanie: czy na liście naszych przeciwników figuruje Kierenski, czy nie? Formalnie uważano go za członka prezydium, ale w sowiecie nie bywał i wszelkimi sposobami demonstrował swoją dla sowietu pogardę. Pytanie moje zaskoczyło prezydium. Kierenskiego nie lubiano i nie szanowano. Jednakże nie można było dezawuować swego premiera. Poszeptawszy między sobą, członkowie prezydium odpowiedzieli: – Naturalnie, jest na liście. – Tego nam tylko było trzeba. Oto urywek protokołu: „Byliśmy przekonani, że Kierenski nie wchodzi już w skład sowietu (burzliwe oklaski). Okazuje się jednak, że byliśmy w błędzie. Między Czcheidze i Zawadje mający cień Kierenskiego. Kiedy proponują wam zaaprobowanie politycznej linii prezydium, to pamiętajcie – nie zapominajcie – że tem samym proponują wam zaaprobowanie polityki Kierenskiego. (Burzliwe oklaski)”. To skłoniło na naszą stronę nie jedną setkę wahających się delegatów. Sowiet liczył przeszło tysiąc członków. Głosowanie odbywało się przez kolejne wychodzenie przez drzwi. W sali panowało niezwykle milczenie. Chodziło tu nie o prezydium. Chodziło o rewolucję. Przechadzałem się po kularach z gromadką przyjaciół. Przypuszczaliśmy, że do połowy zabraknie nam jakiejś setki głosów i gotowiśmy byli uznać to za powodzenie. Okazało się, że otrzymaliśmy przeszło sto głosów więcej, niż koalicja eserowców i mieńszewików. Byliśmy zwycięscami. Zająłem miejsce przewodniczącego. Cereteli na pożegnanie życzył nam, abyśmy się utrzymali w sowiecie choćby połowę tego czasu, w ciągu którego oni prowadzili rewolucję. Inaczej mówiąc, przeciwnicy otworzyli nam kredyt na termin nie dłuższy, niż trzy miesiące. Srodze się omylili. Pewnym krokiem szliśmy ku władzy.

ROZDZIAŁ XXVII

NOC, KTÓRA ROZSTRZYGA

Zbliżała się dwunasta godzina rewolucji. Smolny przekształcił się w twierdzę. Na strychu, jako spadek po starym Komitecie Wykonawczym, stało ze dwadzieścia karabinów maszynowych. Komendant Smolnego, kapitan Grekow, był naszym otwartym wrogiem. Zato dowódca oddziału karabinów maszynowych zjawił się u mnie, żeby powiedzieć: moi ludzie są po stronie bolszewików. Poleciałem komuś – może to był Markin? – sprawdzenie karabinów maszynowych. Okazało się, że były w złym stanie: nikt się o nie nie troszczył. Żołnierze rozleniwili się właśnie dlatego, że nie zamierzali bronić Kierenskiego. Zawezwiałem do Smolnego świeży i pewny oddział karabinów maszynowych. Był wczesny szary ranek 24 października². Przechodziłem z piętra na piętro, dlatego, żeby nie siedzieć na jednym miejscu, po części zaś, żeby przekonać się, czy wszystko jest w porządku i dodać odwagi tym, którzy mogli tego potrzebować. Po kamiennych posadzkach, ciągnących się bez końca i mrocznych jeszcze korytarzach Smolnego, żołnierze z rześkim hukiem toczyli karabiny maszynowe. Był to wezwany przeze mnie nowy oddział. Z drzwi wysuwały się senne, wystraszone twarze pozostałych jeszcze w Smolnym nielicznych eserowców i mieńszewików. Ta muzyka nie wróżyła nic dobrego. Jeden za drugim śpiesznie opuszczali Smolny. Zostaliśmy całkowitymi gospodarzami gmachu, gotowego do podniesienia swej bolszewickiej głowy nad miastem i krajem.

Rankiem spotkałem na schodach robotnika i robotnicę, którzy, zdyszani, przybiegli z partyjnej drukarni. Rząd zamknął centralny organ partji i gazetę pietrogradzkiego Sowietu. Drukarnię opieczętowali jacyś agenci rządowi, którzy zjawili się w towarzystwie junkrów. W pierwszej chwili taka wiadomość robi wrażenie: taka jest władza formalistyki nad umysłami! – A czy nie możnaby zerwać pieczęci? – spytała robotnica. – Zrywajcie, – odpowiadam, – a żeby się wam nic nie stało, dostaniecie odpowiednią ochronę. – Obok nas stoi bataljon saperów, żołnierze nam pomogą, – z przekonaniem mówi robotnica. Komitet Wojenno-Rewolucyjny natychmiast wydał postanowienie: 1) „Otworzyć drukarnię pism rewolucyjnych. 2) Redakcja i zecerzy mają w dalszym ciągu wydawać gazety. 3) Zaszczytny obowiązek obrony rewolucyjnych drukarni przed kontr-rewolucyjnymi zakusami powierza się dzielnym żołnierzom pułku Litewskiego i 6-go rezerwowego bataljonu saperów”. W następstwie drukarnia pracowała bez przerwy i obie gazety wychodziły w dalszym ciągu.

24-go zaczęły się trudności na stacji telefonicznej, gdzie umocnili się junkrzy, pod ochroną których telefonistki zajęły w stosunku do Sowietu

² Starego stylu, który wówczas jeszcze był oficjalnym stylem w Rosji. Według kalendarza zachodniego – 6 listopada. Tem tłumaczyć należy fakt, że rewolucję nazywają raz październikową a raz listopadową.

stanowisko opozycyjne i wogóle przestały nas łączyć. Był to pierwszy, narazie epizodyczny, przejaw sabotażu. Komitet Wojenno-Rewolucyjny posłał na stację telefoniczną oddział marynarzy, którzy ustawili przed wejściem dwa małe działa. Telefony zaczęły pracować. Tak rozpoczęło się opanowywanie organów administracji.

Na trzecim piętrze Smolnego, w niewielkim narożnym pokoju, bez przerwy zasiadał Komitet. Tam koncentrowały się wszystkie dane o ruchu wojsk, o nastroju wśród żołnierzy i robotników, o agitacji w koszarach, o zamierzeniach czarnosecińców, o intrygach burżuazyjnych polityków i cudzoziemskich poselstw, o życiu Zimowego pałacu, o naradach poprzednich ugrupowań Sowietu. Informatorzy schodzili się ze wszystkich stron. Zjawiali się robotnicy, żołnierze, oficerowie, stróże, socjalistyczni junkrzy, służba domowa, żony drobnych urzędników. Wielu z nich powtarzało oczywiste nonsensy, niektórzy dawali poważne i cenne wskazówki. W ciągu ostatniego tygodnia prawie nie porzucałem Smolnego, nie rozbierając się, spałem dorywczo na skórzanej kanapie, budzony przez kurjerów, wywiadowców, motocyklistów, telegrafistów i nieustanne dzwonki telefonów. Nadciągała decydująca chwila. Widoczne było, że nie ma już odwrotu.

Wieczorem 24-go członkowie Komitetu Rewolucyjnego rozeszli się do swych okręgów. Zostałem sam. Później przyszedł Kamieniew. Był przeciwnikiem powstania. Jednak przyszedł, aby tę decydującą noc spędzić ze mną i obaj przesiedzieliśmy w maleńkim narożnym pokoju trzeciego piętra, podobnym do mostku kapitańskiego, tę rozstrzygającą noc rewolucji. W sąsiednim, wielkim i pustym pokoju była budka telefoniczna. Dzwoniono bezustannie, w sprawach ważnych i o głupstwa. Dzwonki jaskrawie jeszcze podkreślały czujną ciszę. Łatwo można było sobie wyobrazić pusty, mroczny, słabo oświetlony, przesyty jesiennym, morskim wiatrem Petersburg. Burżuazyjni i urzędniczy ludek tuli się w swych łózkach, usiłując odgadnąć, co dzieje się na zagadkowych i niebezpiecznych ulicach. Czujnym snem wojennego biwaku śpią dzielnice robotnicze. Komisje i rady partyj rządowych padają ze zmęczenia w carskich pałacach, gdzie żywe widma demokracji natykają się na jeszcze nierozwiane widma monarchji. Chwilami jedwabie i pozłota sal pogrążają się w mroku: brak węgla. Po okręgach czuwają oddziały robotników, marynarzy i żołnierzy. Młodzi proletariusze noszą karabiny i taśmy nabojów do karabinów maszynowych, przerzucone przez ramię. Przy ogniskach grzeją się uliczne posterunki. Przy kilkudziesięciu telefonach skupia się duchowe życie stolicy, która w tę noc jesienną przeciska głowę z jednej epoki w drugą.

W pokoju na trzecim piętrze skupiają się wieści ze wszystkich okręgów, przedmieść i rogatek stolicy. Zdaje się, że wszystko zostało przewidziane, kierownicy na miejscach, łączność zabezpieczona, o niczym chyba nie zapomniano. Sprawdźmy raz jeszcze w myślach. Ta noc rozstrzyga. Poprzedniego dnia z zupełnym przekonaniem oświadczyłem delegatom drugiego zjazdu Sowietu: – Jeżeli nie zachwiejecie się – nie będzie wojny domowej, wrogowie nasi od razu skapitulują, wy zaś zajmiecie miejsce, które prawnie wam się należy. – Zwycięstwo nie ulegało wątpliwości. Było tak dalece zapewnione, jak dalece wogóle można zapewnić zwycięstwo powstaniu. A jednak są to godziny, pełne głębokiej i trwożnej troski – ponieważ nadchodząca noc rozstrzyga.

Mobilizując junkrów, rząd wydał poprzedniego dnia krążownikowi

„Aurora” rozkaz usunięcia się z Newy. Chodziło o tych samych marynarzy bolszewików, u których w sierpniu zjawił się Skobielew z kapeluszem w rękach, aby prosić ich o obronę pałacu Zimowego przed kornilowcami. Marynarze zapytali Komitet Wojenno-Rewolucyjny, co robić. I „Aurora” stoi tej nocy tam, gdzie stała wczoraj. Telefonują mi z Pawłowska, że rząd wzywa stamtąd artylerzystów, z Carskiego Siela – bataljon szturmowy, z Peterhofu – szkołę chorążych. Kierenskijski ściągnął do pałacu Zimowego junkrów, oficerów i kobiecy bataljon szturmowy. Wydaję komisarzom rozkaz wystawienia na drogach do Piotrogradu osłon z zaufanych oddziałów wojskowych i wysłania agitatorów naprzeciw oddziałom, wezwanym przez rząd. Wszystkie rozmowy prowadzi się przez telefon, to też są one całkiem dostępne dla agentów rządowych. Czy ci jednakże zdolni są jeszcze do kontrolowania naszych rozmów? „Jeżeli nie powstrzymacie wojsk perswazją, użyjcie broni. Odpowiadacie mi za to głową”. Kilka razy powtarzam to zdanie. Jednakże sam jeszcze niecałkiem wierzę w moc mego rozkazu. Rewolucja jest jeszcze zbyt łatwawierna, szlachetna, optymistyczna i lekkomyślna. Raczej grozi orężem, niż robi zeń użytek. Ciągłe się jeszcze spodziewa, że wszystkie sprawy można rozstrzygnąć słowem. Narazie jej się to udaje. Skupienia wrogich elementów ulatniają się pod samem jej gorącym tchnieniem. Już w dniu 24-go wydano rozkaz użycia broni i działania bez litości przy pierwszym usiłowaniu ulicznych pogromów.

Ale wrogowie nie ośmielają się nawet myśleć o ulicy. Ukryli się. Ulica jest nasza. Na wszystkich rogatkach Piotrogradu czuwają nasi komisarze. Szkoła chorążych i artylerzyści nie odpowiedzieli na wezwanie rządu. Jedynie część oranjenbaumskich junkrów przedostała się nocą przez nasze osłony, ja zaś telefonicznie śledziłem ich dalsze ruchy. Skończyli swe przedsięwzięcie posłaniem do Smolnego parlamentarjuszy. Rząd Tymczasowy napróżno szukał oparcia. Grunt usuwał mu się z pod nóg.

Zewnętrzna warta przed Smolnym została wzmocniona przez nowy oddział karabinów maszynowych. Łączność ze wszystkimi częściami garnizonu jest w dalszym ciągu nieprzerwana. Dyżurne kompanie czuwają we wszystkich pułkach. Komisarze są na miejscu. Delegaci każdego oddziału wojskowego znajdują się w Smolnym, do dyspozycji Komitetu Wojenno-Rewolucyjnego, na wypadek przerwania łączności. Ze wszystkich okręgów miasta suną po ulicach uzbrojone oddziały, dzwonią do bram, albo otwierają je, nie dzwoniąc, i zajmują jeden urząd po drugim. Oddziały te wszędzie prawie spotykają przyjaciół, oczekujących ich z niecierpliwością. Na dworcach specjalnie wyznaczeni komisarze bacznie śledzą przyjeżdżające i odchodzące pociągi, zwłaszcza zaś transporty żołnierzy. Nic nie budzi obawy. Wszystkie ważniejsze punkty miasta jeden po drugim przechodzą w nasze ręce, prawie bez oporu, bez walki, bez ofiar. Telefon dzwoni: „jesteśmy tu”.

Wszystko dobrze. Wcale nie może być lepiej. Można odejść od telefonu. Siadam na kanapie. Napięcie nerwów słabnie. I właśnie dlatego uderza do głowy głucha fala zmęczenia. – Dajcie mi papierosa! – zwracam się do Kamieniewa. W owych latach jeszcze paliłem, chociaż niestale. Zaciągam się ze dwa razy i, zaledwie zdołałem pomyśleć: „tego jeszcze brakowało”, jak straciłem przytomność. Skłonność do omdleń przy bólu fizycznym, albo niedomaganiu, odziedziczyłem po matce. To właśnie było powodem, że pewien amerykański lekarz uznał mnie za epileptyka. Ocknąwszy się, zobaczyłem nad sobą wystraszoną twarz Kamieniewa: – Może przynieść jakieś

lekarstwo? – spytał. – Byłoby znacznie lepiej, – odpowiedziałem po zastanowieniu, – przynieść coś do jedzenia. – Staram się przypomnieć sobie, kiedy jadłem po raz ostatni i nie mogę. W każdym razie nie było to wczoraj.

Rankiem rzucam się na dzienniki burżuazyjne i oportunistyczne. O rozpoczęciu powstania ani słowa. Gazety tak wiele i tak zaciekle krzyczały o spodziewanym wystąpieniu uzbrojonych żołnierzy, o rzeziach, o nieuniknionych rzekach krwi, o przewrocie, że tego powstania, które nadeszło istotnie, poprostu nie zauważyły. Prasa brała nasze pertraktacje ze sztabem za dobrą monetę, a nasze oświadczenia dyplomatyczne – za niezdecydowanie. Tymczasem, bez chaosu, bez starć ulicznych, prawie bez strzelaniny i przelewu krwi, według rozkazów, wydawanych z Instytutu Smolnego, oddziały żołnierzy, marynarzy i czerwono-gwardzistów zajmowały jeden urząd po drugim.

Obywatel przecierał przerażone oczy pod panowaniem nowego régime'u. Czyżby bolszewicy, naprawdę, naprawdę zagarnęli władzę? Zjawiała się u mnie delegacja Dumy miejskiej i zadała mi kilka nieporównanych pytań: czy planujemy demonstracje, jakie, kiedy? Duma koniecznie musi o tem wiedzieć conajmniej na 24 godziny przedtem. Jakie kroki poczynił Sowiet celem ochrony bezpieczeństwa i porządku? I tak dalej, i tak dalej. Odpowiedziałem wykładem dialektycznego poglądu na rewolucję i zaproponowałem Dumie uczestnictwo przez jednego delegata w pracach Komitetu Wojenno-Rewolucyjnego. To przstraszyło ich bardziej, niż sam przewrót. Zakończyłem, jak zawsze, w duchu zbrojnej obrony: – Jeżeli rząd użyje żelaza, to odpowie mu stal. – Czy rozpędzicie nas zato, że jesteśmy przeciwnikami przejścia władzy do rąk Sowietów? – Odpowiedziałem: – Dzisiejsza Duma wyobraża dzień wczorajszy, jeżeli wyniknie konflikt, proponujemy ludności nowe wybory, które rozstrzygną zagadnienie władzy. – Delegacja odeszła z tem, z czem przyszła. Ale pozwoliła nam odczuć pewność naszego zwycięstwa. Cośnieważ się w ciągu tej nocy. Trzy tygodnie temu osiągnęliśmy większość w Piotrogrodzkim Sowiecie. Byliśmy niemal tylko sztandarem – bez drukarni, bez kasy, bez oddziałów. Poprzedniej nocy rząd postanowił aresztować Komitet Wojenno-Rewolucyjny i zbierał w tym celu nasze adresy. A teraz delegacja Dumy miejskiej przyszła do „aresztowanego” Komitetu Wojenno-Rewolucyjnego, aby dowiedzieć się o swe dalsze losy.

Rząd, jak poprzednio, zasiadał w pałacu Zimowym, ale był już tylko własnym cieniem. Politycznie przestał istnieć. Pałac Zimowy w ciągu 25 października stopniowo był otaczany przez nasze wojska ze wszystkich stron. O godzinie pierwszej złożyłem petersburskiemu sowietowi raport o sytuacji. Oto, jak odtwarza ów raport sprawozdanie dziennikarskie:

„W imieniu Komitetu Wojenno-Rewolucyjnego oświadczam, że rząd tymczasowy już nie istnieje. (Oklaski). Niektórzy ministrowie są aresztowani. (Brawo!). Pozostali zostaną zaaresztowani w najbliższych dniach, lub godzinach. (Oklaski). Garnizon rewolucyjny, będący pod rozkazami Komitetu Wojenno-Rewolucyjnego rozwiązał zgromadzenie Przed-parlamentu. (Burzliwe oklaski). Czuwaliśmy tu przez całą noc i za pośrednictwem drutu telefonicznego śledziliśmy, jak oddziały rewolucyjnych żołnierzy i gwardji robotniczej w ciszy wykonywały swe zadanie. Obywatele spali spokojnie i nie wiedzieli, że przez ten czas nowa władza zastąpiła dawną. Dworce, poczta, telegraf, Piotrogrodzka Agencja Telegraficzna, bank Państwa – zostały zajęte. (Burzliwe oklaski). Pałac Zimowy nie jest jeszcze zdobyty, ale los jego

rozstrzygnie się w ciągu najbliższych minut. (Oklaski).”

To suche sprawozdanie może dać niewłaściwe wyobrażenie o nastroju zebrania. Oto, co podpowiada mi moja pamięć. Kiedy zakomunikowałem o dokonanej nocą zmianie władzy, przez kilka sekund panowało pełne napięcia milczenie. Potem odezwały się oklaski, nie burzliwe, jednak, lecz raczej opanowane. Sala przeżywała i oczekiwała. Gotując się do walki, klasa robotnicza ogarnięta była nieopisanym entuzjazmem. Kiedy zaś przekroczyliśmy próg władzy, bezkrytyczny entuzjazm ustąpił miejsca pełnemu troski zastanowieniu. I w tym właśnie wypowiedział się zdrowy instynkt historyczny. Przecież, być może, oczekuje nas jeszcze olbrzymi opór starego świata, walka, głód, chłód, ruina, krew i śmierć. Czy podołamy? – wielu zadawało sobie to pytanie. Stąd chwila pełnego troski zastanowienia. Podołamy, odpowiedzieli wszyscy. Nowe niebezpieczeństwa majaczyły w odległej perspektywie. A narazie panowało poczucie wielkiego zwycięstwa i to poczucie grało nam we krwi. Znalazło ono ujście w burzliwym powitaniu, zgotowanym Leninowi, który zjawił się na tem posiedzeniu po raz pierwszy po prawie trzymiesięcznej nieobecności.

Późnym wieczorem, oczekując na otwarcie posiedzenia zjazdu Sowieców, odpoczywaliśmy z Leninem w sąsiedztwie sali posiedzeń, w pustym pokoju, gdzie nie było nic, prócz krzesel. Ktoś rozesłał nam na podłozie kołdrę, ktoś – zdaje się, że siostra Lenina, – zdobył dla nas poduszki. Leżeliśmy obok siebie, ciało i dusza rozprężyły się, jak zbyt mocno naciągnięta sprężyna. Był to zasłużony odpoczynek. Nie mogliśmy spać. Rozmawialiśmy półgłosem. Lenin dopiero teraz ostatecznie pogodził się z opóźnieniem powstania. Jego obawy rozproszyły się. W głosie jego brzmiały nuty szczególnej serdeczności. Wypytywał mnie o wystawione wszędzie mieszane warty z czerwonogwardzistów, marynarzy i żołnierzy. – Jakiż to wspaniały widok: robotnik z karabinem obok żołnierza przy ognisku! – powtarzał z głębokim wzruszeniem. – Zbliżyliśmy nareszcie żołnierza z robotnikiem! – Poczem nagle przypominał sobie: – A Zimowy? Przecież jeszcze nie wzięty? Czy aby się coś nie stało? – Podniosłem się, żeby zapytać przez telefon o przebieg operacji, ale powstrzymał mnie. – Leżcie, poruczę to zaraz komukolwiek! – Długo jednak nie udało nam się leżeć. W sąsiedniej sali otwarto posiedzenie zjazdu sowieców. Przybiegła po mnie Uljanowa, siostra Lenina. – Dan przemawia, wzywają was. – Rwącym się głosem Dan gromił spiskowców i przepowiadał nieunikniony krach powstania. Żądał, żebyśmy weszli do koalicji eserowców i mieńszewików. Partje, które wczoraj jeszcze stojąc u władzy, szczyły nas i zamykały do więzienia, żądały od nas sojuszu w chwili, gdyśmy je obalili. Odpowiedziałem Danowi i, w jego osobie, wczorajszemu dniu rewolucji: – To, co się stało, – to powstanie, a nie spisek. Powstanie mas ludowych nie potrzebuje usprawiedliwienia. Hartowaliśmy rewolucyjną energię robotników i żołnierzy. Otwarcie urabialiśmy dla powstania wolę mas. Nasze powstanie zwyciężyło. A teraz proponujecie nam: Wyrzeknijcie się zwycięstwa, zawrzyjcie sojusz. Z kim? Wy – to tylko mizerne jednostki, bankruci, wasza rola skończona, idźcie tam, gdzie jest od dziś wasze miejsce: na śmietnisko historii. – Była to ostatnia replika w tym wielkim dialogu, który rozpoczął się trzeciego kwietnia, w dniu i w godzinie przyjazdu Lenina do Piotrogradu.

ROZDZIAŁ XXVIII

TROCKIZM W ROKU 1917

Od roku 1904 stałem poza obiema frakcjami socjal-demokratycznymi. W rewolucji 1905-7 roku działałem ręką w rękę z bolszewikami. W latach reakcji broniłem metod rewolucji przeciw mieńszewikom w międzynarodowej marksowskiej prasie. Nie traciłem jednak nadziei, że mieńszewicy przesuną się bardziej na lewo i poczyniłem cały szereg prób zjednoczenia. Dopiero podczas wojny, przekonałem się ostatecznie o ich beznadziejności. W Nowym-Jorku na początku marca, napisałem szereg artykułów, poświęconych siłom klasowym i perspektywom rosyjskiej rewolucji. W tym samym okresie Lenin wysyłał z Genewy do Piotrogradu swe „Listy z daleka”. Nasze artykuły, pisane w dwóch punktach globu, oddzielonych oceanem, dają jednakową analizę i jednakową prognozę. Wszystkie tezy zasadnicze – stosunek do włościanstwa, do burżuazji, do Rządu Tymczasowego, do wojny, do międzynarodowej rewolucji – są całkowicie identyczne. Przy pomocy kamienia probierczego, historii, dokonana tu została kontrola stosunku „trockizmu” do „leninizmu”. Kontrola ta była dokonana w chemicznie czystych warunkach. Nie wiedziałem nic o stanowisku Lenina. Wychodziłem z własnych przesłanek i własnego rewolucyjnego doświadczenia. I dawałem tę samą perspektywę, ten sam kierunek strategiczny, co Lenin.

A może w tym okresie zagadnienie było już całkiem jasne dla wszystkich i równie jasne dla wszystkich było jego rozwiązanie? Nie, przeciwnie, Leninowskie postawienie sprawy było w tym okresie – do 4 kwietnia 1917, t. j. do chwili jego przybycia do Piotrogradu, – jego osobistym, czysto indywidualnym stanowiskiem.

Żadnemu z kierowników partji, znajdujących się w Rosji – ani jednemu! – nawet przez myśl nie przeszło dążyć do dyktatury proletariatu, do socjalistycznej rewolucji. Konferencja partyjna, która skupiła w przeddzień przyjazdu Lenina kilkudziesięciu bolszewików, dowiodła, że nikt nie posuwał się dalej, niż demokracja. Nie bez powodu protokoły tej konferencji ukrywane są dotychczas. Stalin zmierzał do popierania Rządu Tymczasowego Guczkowa – Milukowa i do zjednoczenia bolszewików z mieńszewikami. Na takim samem, albo jeszcze bardziej oportunistycznym, stanowisku stali: Rykow, Kamieniem, Mołotow, Tomskij, Kalinin i wszyscy pozostali dzisiejsi przywódcy i półprzywódcy. Jarosławskij, Ordżonikidze, przewodniczący ukraińskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego, Pietrowskij i inni wydawali w Jakucku, podczas rewolucji lutowej, wspólnie z mieńszewikami gazetę „Socjal-demokrata”, w której rozwijali poglądy najnędniejszego prowincjonalnego oportunisty. Przedrukowanie teraz artykułów irkuckiego „Socjal-demokraty”, redagowanego przez Jarosławskiego, pociągnęłoby za sobą ideową śmierć tego człowieka, gdyby dlań wogóle możliwa była śmierć ideowa. Tak wygląda współczesna gwardja „leninizmu”. Że w różnych

okresach życia powtarzali za Leninem jego słowa, lub gesty – wiem. Ale na początku 1917 roku byli pozostawieni samym sobie. Okoliczności były trudne. Trzeba było pokazać, czego się nauczyli w szkole Lenina i do czego są zdolni – bez Lenina. Niech wymienią choćby jednego ze swych szeregów, jednego jedyne, któryby samodzielnie zbliżył się do tego stanowiska, które jednakowo sformułowane zostało przez Lenina w Genewie i przeze mnie w Nowym-Jorku. Nie wymienią. Piotrogrodzka „Prawda”, redagowana przed przyjazdem Lenina przez Stalina i Kamieniewa, pozostała na zawsze dokumentem ograniczenia, ślepoty i oportunistów. A tymczasem partja, jako masa, zarówno jak i cała klasa robotnicza, żywiołowo dążyła do walki o władzę. Innej drogi wogóle nie było ani dla partji, ani dla kraju.

Po to, aby w latach reakcji bronić perspektywy ciągłej rewolucji, trzeba było posiadać dar teoretycznego przewidywania. Po to, aby w marcu 1917 roku rzucić hasło walki o władzę, wystarczyłoby, bodajże, polityczne wyczucie. Nie tylko daru przewidywania, ale nawet wyczucia nie zdradzał ani jeden – ani jeden! – z dzisiejszych przywódców. Żaden z nich w marcu 1917 roku nie posunął się poza stanowisko lewicowego drobnomieszczańskiego demokrata. Ani jeden nie zdał historycznego egzaminu.

Przyjechałem do Petersburga w miesiąc po przybyciu Lenina. Dokładnie tyle czasu trzymał mnie w Kanadzie Lloyd George. Sytuację w partji zastałem już zasadniczo zmienioną. Lenin apelował do masy partyjnej przeciw żalonym przywódcom. Lenin rozpoczął systematyczną walkę przeciw tym „starym bolszewikom, którzy – jak o tem pisał w owym czasie – nie raz już odegrali smutną rolę w historii naszej partji, powtarzając bezmyślnie wyuczoną formułę, zamiast przyswajać sobie właściwości nowej, żywej rzeczywistości”. – Kamieniew i Rykow usiłowali stawiać opór. Stalin usunął się w milczeniu. Niema ani jednego artykułu z tego okresu, w którymby Stalin próbował zanalizować swą wczorajszą politykę i utworować sobie drogę do leninowskiego stanowiska. Poprosto zamilkł. Był zbyt skompromitowany swym nieszczęsnym kierownictwem w ciągu pierwszego miesiąca rewolucji. Wołał usunąć się w cień. Nigdzie nie występował w obronie leninowskich poglądów. Usuwał się i wyczekiwał. W miesiącach najodpowiedzialniejszych, teoretycznych i politycznych przygotowań do przewrotu Stalin poprosto politycznie nie istniał.

W chwili mojego powrotu do kraju było jeszcze wiele socjal-demokratycznych organizacyj, jednoczących bolszewików z mieńszewikami. To był istotny rezultat tego stanowiska, które zajmowali Stalin, Kamieniew i inni, nie tylko na początku rewolucji, ale i w czasie wojny, jakkolwiek przyznać należy, że stanowisko Stalina podczas wojny nikomu nie tej nader ważnej sprawie nie poświęcił Stalin ani jednego wiersza druku. Teraz podręczniki międzynarodówki komunistycznej całego świata, – młodzież komunistyczna Skandynawji i czerwoni skauci Australji – powtarzają i uczą się, że Trocki w sierpniu 1912 r. usiłował zjednoczyć bolszewików z mieńszewikami. Ale zato nigdzie ani jednym słowem nie wspomina się o tem, że Stalin w marcu 1917 roku głosił zjednoczenie z partją Ceretelego i że faktycznie do połowy 1917 roku Leninowi nie udało się jeszcze całkowicie wyciągnąć partji z tego błota, w które wciągnęli ją ówcześni tymczasowi przywódcy a dzisiejsi epigoni. Tę okoliczność, że żaden z nich nie rozumiał na początku rewolucji jej sensu i kierunku, przedstawicie teraz, jako szczególną dialektyczną głębię w przeciwstawieniu do herezyj trockizmu, który ośmielił

się nie tylko zrozumieć dzień wczorajszy, ale i przewidzieć jutrzejszy.

Kiedy, po przyjeździe do Petersburga, powiedziałem Kamieniewowi, że nic mnie nie dzieli od wspaniałych „kwietniowych tez” Lenina, ustalających nowy kurs partji, Kamieniew odpowiedział tylko: – No, chyba! – Zanim formalnie wszedłem do partji, brałem udział w opracowaniu najważniejszych dokumentów bolszewizmu. Nikomu nie przychodziło na myśl pytać wtedy, czy wyrzekłem się „trockizmu”, jak tysiące razy w okresie epigońskiego upadku pytali Cachin’owie, Thälmannowie i inne pasożyty rewolucji październikowej. Jeżeli nawet w tym okresie można było spotkać się z przeciwstawieniem trockizmu leninizmowi, to jedynie w tem znaczeniu, że w kołach kierowniczych partji w ciągu kwietnia oskarżano *Lenina* o trockizm. Kamieniew czynił to jawnie i uporczywie. Inni – ostrożniej i zakulisowo. Dziesiątki „starych bolszewików” mówiły mi po moim przyjeździe do Rosji. – Teraz na *waszem* podwórku jest święto. – Musiałem ich przekonywać, że Lenin nie „przeszedł” na moje stanowisko, lecz rozwijał swoje własne, i że przebieg tego rozwoju, zastąpiwszy algebrę arytmetyką, ujawnił identyczność naszych poglądów. Tak też było w istocie.

W czasie tych naszych pierwszych spotkań i bardziej jeszcze po dniach lipcowych, Lenin wywierał wrażenie niezwyklego skupienia, straszego wewnętrznego skoncentrowania – pod maską spokoju i „prozaicznej” prostoty. W owym czasie kierowniczy wydawał się wszechmocna. Bolszewizm zaś – „nędzną gromadką”. Tak też traktowano go oficjalnie. Partja sama nie uświadamiała sobie swej jutrzejszej siły. A jednocześnie Lenin pewnym krokiem wiódł ją do ogromnych zadań. Ja zaś zaprzęgam się do pracy i pomagałem mu.

Na dwa miesiące przed przewrotem październikowym pisałem: „Internacjonalizm nie jest dla nas oderwaną ideą, istniejącą tylko po to, aby ją zdradzać przy każdej nadarzającej się okazji (jak dla Cereteli albo Czernowa), lecz bezpośrednią, kierowniczą, nawskroś praktyczną zasadą. Pewne, rozstrzygające zwycięstwo jest dla nas nie do pomyślenia bez rewolucji europejskiej”. Obok nazwisk Cereteli i Czernowa nie mogłem wówczas jeszcze postawić nazwiska Stalina, filozofa „socjalizmu w jednym kraju”. Kończyłem artykuł moją słowami: „*Rewolucja ciągła* przeciwko ciągłej rzezi! Oto walka, której stawką jest ludzkość.” Zostało to wydrukowane w centralnym organie naszej partji 7 września, następnie zaś wydane w oddzielnej broszurze. Dlaczego milczeli wówczas dzisiejsi krytycy mego heretyckiego hasła rewolucji ciągłej? Gdzie byli? Jedni ostrożnie wyczekiwali, oglądając się na wszystkie strony, jak Stalin, inni schowali się pod stół, jak Zinowjew. Ważniejsze jest jednak drugie pytanie, jak mógł znosić w milczeniu moją heretycką propagandę Lenin, który w zagadnieniach teoretycznych nie znał ani ustępstw, ani pobłażania. Jakże więc tolerował propagandę „trockizmu” w centralnym organie partji? Dnia 1-go listopada 1917 r. na posiedzeniu pietrogradzkiego komitetu – protokół tego, pod każdym względem historycznego, posiedzenia ukrywany jest dotychczas – Lenin powiedział, że, kiedy Trocki przekonał się o niemożliwości połączenia się z mieńszewikami, „nie było lepszego (odeń) bolszewika”. Dowiódł tem wyraźnie, przytem nie po raz pierwszy, że dzieliła nas nie teoria rewolucji ciągłej, lecz znacznie węższe, choć bardzo ważne, zagadnienie stosunku do mieńszewików.

W dwa lata po przewrocie, oglądając się za siebie, Lenin pisał: „W chwili zdobycia władzy i stworzenia republiki sowieckiej, bolszewizm przyciągnął do

siebie wszystko, co najlepsze z bliskich mu prądów myśli socjalistycznej.” Czy może istnieć choćby cień wątpliwości, że mówiąc z takim naciskiem o najlepszych przedstawicielach *najbliższych bolszewizmowi prądów*, Lenin przede wszystkim miał na myśli to, co teraz nazywa się „historycznym trockizmem”? Albowiem jakież inny prąd bliższy był bolszewizmowi, niż ten, którego ja byłem przedstawicielem? I kogóż innego miał Lenin na myśli? Może Marcelego Cachin’a? Albo Thälmana? Dla Lenina, kiedy rozpatrywał przeszłości rozwoju partji, jako całości, trockizm nie był czymś wrogiem i obcem, lecz przeciwnie, był najbliższym bolszewizmowi prądem myśli socjalistycznej.

Istotny przebieg rozwoju ideowego nie miał, jak widzimy, nic wspólnego z tą kłamliwą karykaturą, którą stworzyli dzisiejsi epigoni, wykorzystując śmierć Lenina i falę reakcji.

ROZDZIAŁ XXIX

U WŁADZY

Owe dni były niezwykle dniami w życiu kraju i w życiu osobistym jednostek. Napięcie zarówno namiętności społecznych, jak i sił indywidualnych doszło do zenitu. Masy stwarzały epokę, wódzowie czuli, że kroki ich jednoczą się z krokami historii. W owych dniach zapadały decyzje i wydawane były rozkazy, które przesądzały los narodu na cały okres historyczny. Jednakże postanowienia te prawie nie były rozważane. Nie mogę powiedzieć, że zastanawiano się nad nimi i obmyślano je jak należy. Improwizowano raczej. Nie były jednak przez to gorsze. Napór wydarzeń był tak potężny, zadania tak wyraźne, że najodpowiedzialniejsze decyzje przychodziły z łatwością, mimochodem, jak coś samo przez się zrozumiałego, i w podobny sposób były wykonywane. Droga była wytknięta, wystarczało jedynie kolejno wymieniać zadania, nie trzeba było przekonywać i niemal nie trzeba było wzywać do wykonania. Bez wahania i wątpliwości masa podchwytowała to, co narzucały jej okoliczności. Pod wpływem doniosłych wydarzeń „wódzowie” formułowali tylko to, co odpowiadało potrzebom masy i żądaniom historii.

Marksizm uważa się za świadomy wyraz nieświadomego procesu historycznego. Ale proces „nieświadomy” (w sensie-historyczno-filozoficznym, nie zaś psychologicznym) łączy się ze swym świadomym wykładnikiem tylko na najwyższych szczytach, kiedy masa żywiołowym natarciem wyłamuje drzwi społecznej rutyny i daje zwycięski wyraz najgłębszym potrzebom historycznego rozwoju. Najwyższa teoretyczna świadomość epoki zlewa się w takich chwilach z bezpośrednim działaniem najgłębszych i najdalszych od teorii uciśnionych mas. Twórcze zjednoczenie świadomego z nieświadomym jest tem, co nazywamy zwykle natchnieniem. Rewolucja jest szalonym natchnieniem historii.

Każdy prawdziwy pisarz zna chwilę twórczości, kiedy ktoś inny, silniejszy od niego, kieruje jego ręką. Każdy prawdziwy mówca zna chwilę, kiedy przez jego usta mówi coś silniejszego, niż on sam w powszednich godzinach. To jest właśnie „natchnienie”. Powstaje ono z najwyższego, twórczego napięcia wszystkich sił. Nieświadomie podnosi się z głębokiego legowiska i podporządkowuje sobie świadomą pracę myśli, zlewa ją z sobą w jakąś wyższą jedność.

Okresy najwyższego napięcia sił duchowych ogarniają w pewnych okolicznościach wszystkie dziedziny indywidualnej działalności, związanej z ruchem mas. Takim okresem były dla „przywódców” dni październikowe. Najbardziej ukryte siły organizmu, jego najgłębsze instynkty, odziedziczone po zwierzęcych przodkach węż, wszystko to wezbrało, wyłamało drzwi psychicznej rutyny i – wraz z najwyższymi historyczno-filozoficznymi uogólnieniami – oddało się w służbę rewolucji. Oba te procesy, indywidualny i masowy, oparte były na połączeniu świadomego z nieświadomym, instynktu,

stanowiącego sprężynę woli, z najwyższymi uogólnieniami myśli.

Nazewnątrz wcale nie wyglądało to patetycznie: ludzie chodzili zmęczeni, głodni, niemocy, z zaczerwienionymi oczami i niegoloną szczecina na policzkach. I każdy z nich mógł bardzo niewiele opowiedzieć później o najkrytyczniejszych dniach i godzinach.

Oto wyciąg z notatek mojej żony, poczynionych zresztą już znacznie później: „W ciągu ostatnich dni przygotowań do Października mieszkaliśmy na ulicy Taurydzkiej. L. D. spędzał całe dni w Smolnym. Pracowałam w dalszym ciągu w związku robotników drzewnych, kierowanym przez bolszewików, gdzie atmosfera była bardzo gorąca. Wszystkie godziny służbowe przechodziły na dyskusjach o powstaniu. Przewodniczący związku dzielił „punkt widzenia Lenina-Trockiego” (jak to się wówczas nazywało), my zaś prowadziliśmy z nim razem agitację. O powstaniu mówili wszyscy i wszędzie! na ulicach, w stołowniach, przy spotkaniu na schodach i w Smolnym. Odżywialiśmy się źle, spali mało, pracowali prawie 24 godziny na dobę. Byliśmy oderwani od naszych chłopców, to też październikowe dni były dla mnie również dniami lęku o nich. W całej szkole, do której uczęszczali, było tylko dwóch „bolszewików”, Liowa i Sierioża, i jeden „sympatyk”, jak go nazywali. Przeciwko tej trójce występowała zwarta grupa synów rządzącej demokracji, kadetów i eserowców. Jak zawsze przy poważnej różnicy zdań, krytykę uzupełniały argumenty namacalne. Dyrektor nieraz musiał wyciągać mych synów z pod stosu leżących na nich „demokratów”. Chłopcy robili w istocie tylko to, co ich ojcowie. Dyrektor był kadetem. Dlatego też stale karał mojego syna: – Weźcie swą czapkę i idźcie do domu. – Pozostawienie ich w szkole po przewrocie było całkiem niemożliwe. Chłopcy przeszli do szkoły ludowej. Wszystko tam było prymitywniejsze i bardziej prostackie. Łatwiej można było jednak oddychać.

„My z L. D. wcale nie bywaliśmy w domu. Chłopcy, wracając ze szkoły i nie zastając nas, również nie uważali za wskazane pozostawanie w czterech ścianach. Demonstracje, starcia, częsta strzelanina wywoływały w owych dniach lęk o ich bezpieczeństwo, nastroszeni bowiem byli arcy-rewolucyjnie... Podczas krótkich spotkań opowiadali radośnie: Dzisiaj jechali tramwajem z kozakami, widzieli, jak czytali ojcowską odezwę: Bracia kozacy! – No i co? – Czytali, podawali sobie z rąk do rąk, dobrze... – Dobrze!– Znajomy L. D., inżynier K., mający dużą rodzinę, dzieci w różnym wieku, bonę i t. p., zaproponował nam, aby tymczasem umieścić chłopców u niego, gdzie mogliby być pod opieką. Należało skwapliwie skorzystać z tej zbawczej propozycji. Z różnymi poleceniami L. D. przychodziłam do Smolnego z pięć razy dziennie. Późną nocą wracaliśmy na Taurydzką ulicę i rozchodziliśmy się wczesnym rankiem: L. D. szedł do Smolnego, ja do związku. W miarę dojrzewania wydarzeń, nie opuszczało się prawie Smolnego. L. D. przez kilka dni zrzędu nie przychodził na Taurydzką nawet, aby się przespać. Często i ja zostawałam w Smolnym. Nocowaliśmy na kanapach, na fotelach, nie rozbierając się. Pogoda była jesienna, chmurna, powietrze nie ciepłe, choć suche, zrywał się chłodny wiatr. Główne ulice były ciche i opustoszałe. Cisza ta pełna była strasznego napięcia. Smolny wrzał. Olbrzymia aula błyskała tysiącami ognii wspaniałych żyrandoli i całymi dniami i wieczorami przepełniona była nieprawdopodobną masą ludzi. Intensywne życie kipiało w warsztatach i fabrykach. Ulice zaś przycichły, zamilkły, jakby przerażone miasto wtuliło głowę w ramiona...

Pamiętam, że na drugi czy trzeci dzień po przewrocie, weszłam rano do pokoju w Smolnym, gdzie zobaczyłam Włodzimierza Iljicza, Lwa Dawidowicza, zdaje się Dzierżyńskiego, Joffe i jeszcze całą masę ludzi. Wszyscy mieli szaro-zielone twarze ze śladami bezsenności, oczy zaczerwienione, brudne kołnierzyki, w pokoju było pełno dymu... Ktoś siedział przy stole, obok którego stał tłum, czekający na rozkazy. Lenin i Trocki byli otoczeni. Zdawało mi się, że rozkazy wydawane są jakby we śnie. Było w ich ruchach i w słowach coś somnambulicznego, lunatycznego, przez chwilę wydało mi się, że sama widzę to nie na jawie i że rewolucja może zginąć, jeżeli „oni” nie wyśpią się porządnie i nie włożą czystych kołnierzyków: widzenie senne ściśle wiązało się z temi kołnierzykami. Pamiętam, że jeszcze na trzeci dzień, kiedy spotkałam Marję Iljiniszną, siostrę Lenina, przypomniałam jej w pośpiechu, że Włodzimierz Iljicz powinien zmienić kołnierzyk. – Tak, tak, – odpowiedziała mi, śmiejąc się. Jednakże w moich oczach sprawa czystych kołnierzyków zdołała już utracić swe koszmarnie znaczenie”.

Władza zdobyta, przynajmniej w Piotrogradzie. Lenin jeszcze nie zdążył zmienić kołnierzyka. W zmęczonej twarzy czuwają leninowskie oczy. Patrzy na mnie po przyjacielsku, miękko, z zażenowaniem wyrażając swą wewnętrzną bliskość. – Wiecie, – odzywa się niepewnie, – tak nagle od prześladowań i konspiracyjnej roboty do władzy... – Szuka wyrażenia. – Es schwindelt, – przechodzi niespodzianie na język niemiecki i wskazuje ręką dokoła głowy. Patrzymy na siebie i uśmiechamy się.

Wszystko to trwało tylko parę minut. Poczem – poprostu przejście do spraw bieżących.

Trzeba utworzyć rząd. Jest nas tu kilku członków Centralnego Komitetu. Improwizowane posiedzenie w kącie pokoju.

– Jak się nazwać? – zastanawia się głośno Lenin. – Aby tylko nie ministrami: wstrętna, zużyta nazwa.

– Może komisarzami, – proponuję, – tylko że teraz zbyt wielu jest komisarzy. Może naczelnicy komisarzy?... Nie, „naczelnicy” źle brzmi. A może „ludowi”?

– Komisarze ludowi? No, cóż, to chyba będzie niezłe, – godzi się Lenin. – A rząd, jako całość?

– Rada, naturalnie rada... Rada komisarzy ludowych, co?

– Rada komisarzy ludowych? – podchwytuje Lenin. – To świetnie: okropnie pachnie rewolucją!...

Lenin nie był skłonny do zajmowania się estetyką rewolucji, albo smakowania jej „romantyki”. Ale tem głębiej odczuwał rewolucję jako całość, tem lepiej określał, czem ona „pachnie”.

– A co będzie, – spytał mnie całkiem niespodzianie Włodzimierz Iljicz w owych pierwszych dniach, – jeżeli was i mnie zabiją białogwardziści, czy Swierdłow z Bucharinem dadzą sobie radę?

– A może nas nie zabiją, – odpowiedziałem, śmiejąc się.

– A djabli ich wiedzą, – rzekł Lenin i sam się roześmiał.

Epizod ten opowiedziałem po raz pierwszy w 1924 roku w moich wspomnieniach o Leninie. Jak się później dowiedziałem, członkowie ówczesnej „trójki”: Stalin, Zinowjew i Kamieniew, byli śmiertelnie obrażeni przypomnieniem tego epizodu, chociaż nie śmieli kwestionować jego prawdziwości. Fakt pozostaje faktem: Lenin wymienił tylko Swierdłowa i Bucharina. Inne nazwiska nie przyszły mu na myśl.

Spędziwszy na dwóch emigracjach, z krótkimi przerwami, piętnaście lat, Lenin znał zasadnicze nieemigranckie kadry partji z korespondencji lub z krótkich spotkań zagranicą. Dopiero po rewolucji miał możliwość bliższego przyjrzenia się im przy pracy. Musiał przy tem zmieniać zasadniczo własne poglądy, lub też rewidować poglądy, oparte na cudzych opinjach. Jako człowiek, obdarzony wielką namiętnością moralną, Lenin nie uznawał obojętnego stosunku do ludzi. Ten myśliciel, obserwator i strateg gwałtownie zapalał się do ludzi. Krupskaja w swoich pamiętnikach podkreśla to również. Lenin nigdy nie tworzył sobie odrazu jakiegoś przeciętnego poglądu o człowieku. Oko jego funkcjonowało jak mikroskop. Powiększało wielokrotnie ten rys charakteru, który, zależnie od okoliczności, znajdował się w polu jego widzenia. Lenin nieraz w dosłownem znaczeniu tego wyrazu kochał się w ludziach. W takich wypadkach drażniłem go zawsze: – Wiem, wiem, macie nowy romans. – Lenin znał tę swoją właściwość i w odpowiedzi śmiał się, trochę zawstydzony, trochę gniewny.

Stosunek Lenina do mnie przechodził w roku 1917 kilka faz. Lenin przyjął mnie powściągliwie i wyczekująco. Lipcowe dni zbliżyły nas odrazu. Kiedy, wbrew opinji większości kierowników bolszewickich, rzuciłem hasło bojkotu przed-parlamentu, Lenin pisał ze swego schronienia: „Brawo, towarzyszu Trocki!” Na podstawie przypadkowych i mylnych oznak wydało mu się potem, jakobym w sprawie zbrojnego powstania zajął zbyt wyczekujące stanowisko. Odbiło się to w kilku listach Lenina, pisanych w ciągu października. Zato tem wyraźniej, tem goręcej i serdeczniej ujawnił się jego stosunek do mnie w dniu przewrotu, kiedyśmy w półciemnym, pustym pokoju odpoczywali na podłodze. Nazajutrz na posiedzeniu Centralnego Komitetu partji Lenin zaproponował wybranie mnie na przewodniczącego rady komisarzy ludowych. Zerwałem się z miejsca, protestując – tak dalece propozycja wydała mi się niespodziewana i nie na miejscu. – Dlaczego? – nalegał Lenin, – staliście na czele Piotrogradzkiego Sowietu, który ujął władzę. – Zaproponowałem odrzucenie tego wniosku bez dyskusji, co też uczyniono. 1-go listopada, podczas gorących dyskusyj w partyjnym Komitecie Piotrogradu, Lenin zawołał: – Niema lepszego bolszewika, niż Trocki! – Słowa te w ustach Lenina znaczyły wiele. Przecież nie bez powodu protokół posiedzenia, na którym je wypowiedziano, dotychczas nie został opublikowany. Zdobyć władzę wysunęło zagadnienie mojej współpracy w rządzie. Rzecz dziwna: nigdy o tem nie myślałem. Nie zdarzyło mi się ani razu, mimo doświadczeń 1905 r., wiązać mojej przyszłości z zagadnieniem władzy. Od najmłodszych lat, a raczej od dzieciństwa, marzyłem, aby zostać literatem. Później podporządkowałem literaturę, jak i wszystko inne, celom rewolucyjnym. Sprawę zdobycia władzy przez partję zawsze miałem na widoku. Dziesiątki i setki razy pisałem i mówiłem o programie rządu rewolucyjnego. Jednak zagadnienie mojej osobistej pracy po zdobyciu władzy nigdy mi się nie nasuwało. Dlatego też byłem tem zaskoczony. Po przewrocie usiłowałem pozostać poza rządem i proponowałem, że wezmę na siebie kierownictwo prasy partyjnej. Być może, że grała tu również rolę nerwowa reakcja po zwycięstwie. Ubiegłe miesiące były dla mnie zbyt bezpośrednio związane z przygotowaniem do przewrotu. Każdy fibr był napięty. Lunaczarskij opowiadał gdzieś w prasie, że Trocki chodził, jak lejdejska butelka, i każde dotknięcie go powodowało wyładowanie. Dzień 7 listopada przyniósł rozwiązanie. Miałem takie uczucie, jak chirurg po dokonaniu trudnej i niebezpiecznej operacji: wymyć ręce, zdjąć

fartuch i odpocząć. Lenin zaś, przeciwnie, dopiero co przybył ze swego schronienia, gdzie przez trzy i pół miesiąca dręczył się oderwaniem od bezpośredniego czynnego kierownictwa. Oba te nastroje zbiegły się i podsycaly moje pragnienie odejścia choćby nakrótka za kulisy. Lenin jednak nie chciał nawet słyszeć o tem. Żądał, żebym objął kierownictwo spraw wewnętrznych: walka z kontr-rewolucją była teraz najważniejszym zadaniem. Opierałem się temu i, między innymi argumentami, wysunęłem moment narodowościowy: czy warto dawać wrogom do rąk taką dodatkową broń, jak moje żydostwo? Lenin był wprost oburzony: – Mamy wielką międzynarodową rewolucję – co za znaczenie mogą mieć takie głupstwa? – Na ten temat wywiązała się między nami pół-żartobliwa dyskusja. – Rewolucja jest wielka, – odpowiadałem, – ale i głupców pozostało jeszcze dosyć. – A czyż my przystosowujemy się do głupców? – Nie musimy się przystosowywać, ale od czasu do czasu robi się małą koncesję na rzecz głupoty: poco nam zaraz na początku niepotrzebna komplikacja?

Wspominałem już, że narodowościowy moment, tak ważny w życiu Rosji, w mem osobistym życiu nie grał prawie żadnej roli. Już we wczesnej młodości nacjonalistyczne namiętności czy przesady budziły we mnie racjonalistyczne zdumienie, przechodzące w pewnych wypadkach w obrzydzenie, a nawet w moralne torsje. Marksowskie wychowanie pogłębiło te nastroje, przekształciwszy je w aktywny internacjonalizm. Przebywanie w różnych krajach, znajomość ich języków, polityki i kultury spowodowały, że internacjonalizm wszedł mi w krew. Jeżeli w 1917 roku i później podkreślałem czasem moje żydostwo, jako argument przeciw tym czy innym nominacjom, to powodowany wyłącznie względami politycznymi.

Pozyskałem sobie Swierdłowa i jeszcze kilku członków Centralnego Komitetu. Lenin został przegłosowany. Wzruszał ramionami, wzdychał, kiwał z wyrzutem głową i pocieszył się jedynie tem, że i tak wszyscy, bez względu na zajmowany urząd, walczyć będziemy z kontr-rewolucją. Jednakże i Swierdłow oparł się stanowczo memu przejściu do prasy: – Tam, – powiedział, – wsadzimy Bucharina. Lwa Dawidowicza należy przeciwstawić Europie, niech więc bierze sprawy zagraniczne. – Co my będziemy mieli teraz za sprawy zagraniczne? – opierał się Lenin. Jednak zgodził się ze ściśniętem sercem. Ze ściśniętem sercem zgodziłem się i ja. Tak więc, z inicjatywy Swierdłowa, znalazłem się na trzy miesiące na czele dyplomacji sowieckiej.

Komisariat spraw zagranicznych w gruncie rzeczy oznaczał dla mnie wybawienie od pracy w urzędzie. Towarzyszom, którzy proponowali mi swą współpracę, zwykle radziłem, aby wyszukali sobie wdzięczniejsze pole działania. Później jeden z nich nader soczyście odtworzył w swych wspomnieniach rozmowę, jaką miał ze mną wkrótce po utworzeniu się rządu sowieckiego. „Cóż my będziemy mieli za pracę dyplomatyczną? – miałem mu jakoby powiedzieć, – wydam kilka rewolucyjnych odezw do ludów i zamknę sklepik”. Rozmówca był szczerze strapiony moim brakiem dyplomatycznego samopoczucia. Oczywiście, celowo wyolbrzymiałem mój punkt widzenia, chcąc podkreślić, że środek ciężkości wcale nie leży teraz w dyplomacji.

Najważniejsza praca polegała na dalszem rozwijaniu przewrotu październikowego, na rozszerzaniu go na cały kraj, na odparciu ataku Kierenskiego i generała Krasnowa na Piotrogród, na walce z kontr-rewolucją. Zadania powyższe rozwiązywaliśmy poza urzędami, przyczem współpracowałem w ciągłym najściślejszym kontakcie z Leninem.

W Smolnym gabinecie Lenina i mój położone były na dwóch przeciwległych końcach gmachu. Korytarz, łączący, albo raczej dzielący je, był tak długi, że Lenin żartem proponował zaprowadzenie komunikacji rowerowej. Łączył nas telefon. Kilka razy dziennie wędrowałem przez nieskończenie długi korytarz, podobny do mrowiska, do gabinetu Lenina na naradę. Młody marynarz, tytułujący się sekretarzem Lenina, bezustannie biegał, przynosząc mi od niego kartki z dwu- lub trzykrotnie podkreślonymi najistotniejszymi wyrazami i lapidarnie sformułowanym pytaniem na końcu. Często do kartek dołączone były projekty dekretów, wymagające szybkiego zaopiniowania. W archiwach Rady komisarzy ludowych przechowywana jest znaczna liczba dokumentów z owego czasu, pisanych częściowo przez Lenina, częściowo przeze mnie, tekstów Lenina z moimi poprawkami, lub moich projektów, uzupełnionych przez Lenina.

W pierwszym okresie, mniej więcej do sierpnia 1918 r., brałem czynny udział w ogólnych pracach Rady komisarzy ludowych. W okresie Smolnego Lenin z gorączkową niecierpliwością dążył do uregulowania dekretami wszystkich zagadnień życia gospodarczego, politycznego, administracyjnego i kulturalnego. Nie kierowała nim bynajmniej namiętność do biurokratycznej reglamentacji, lecz dążenie do przetłumaczenia programu partii na język władzy. Wiedział, że narazie tylko nieznaczna część dekretów rewolucyjnych jest wykonywana. Ale zapewnienie im wykonania i kontroli wymagało istnienia prawidłowo funkcjonującego aparatu, doświadczenia i czasu. Tymczasem nikt nie mógł przewidzieć, ile tego czasu mamy do dyspozycji. Dekrety w pierwszym okresie miały znaczenie raczej propagandowe, niż administracyjne. Lenin śpieszył się, aby wyjaśnić ludowi, czym jest ta nowa władza, czego ona chce i w jaki sposób zamierza urzeczywistnić swe cele. Z zadziwiającą wytrwałością przechodził od problemu do problemu, zwoływał niewielkie konferencje, zamawiał opracowania u specjalistów i sam szperał w księgach. Ja zaś pomagałem mu.

Lenin niezwykle silnie odczuwał charakter dziedziczny dzieła, które wykonywał. Jako wielki rewolucjonista rozumiał znaczenie tradycji historycznej. Nie, można było przewidzieć, czy utrzymamy się przy władzy, czy zostaniemy z niej wyzuci. Jednak, bez względu na warunki, należało wnieść jak najwięcej światła do rewolucyjnych doświadczeń ludzkości. Po nas przyjdą inni i, opierając się na tem, cośmy nakreślili i rozpoczęli, zrobią nowy krok naprzód. Taki był sens pracy prawodawczej w pierwszym okresie. Powodowany tą samą myślą, Lenin natarczywie żądał jak najszybszego wydania w języku rosyjskim dzieł klasyków socjalizmu i materializmu. Dążył, aby we wszystkich miastach, a nawet i po wsiach, wznoszono jak najwięcej rewolucyjnych pomników, choćby najprostszych biustów, czy tablic pamiątkowych, pragnął bowiem utrwalić w wyobraźni mas to, co się stało, pozostawić jak najgłębszą brózdę w pamięci ludu.

Każde posiedzenie Rady Komisarzy Ludowych, której skład początkowo dość często ulegał częściowym zmianom, było widownią olbrzymiej improwizacji prawodawczej. Wszystko trzeba było zaczynać od początku. „Precedensów” nie było co szukać, bowiem historia nie posiadała ich na składzie. Lenin niezmordowanie przewodniczył w Radzie komisarzy ludowych po pięć-sześć godzin zrzędu. Posiedzenia zaś Rady odbywały się wówczas codziennie. Według przyjętej ogólnej zasady, sprawy rozważano bez przygotowania, prawie zawsze terminowość decydowała o kolejności. Bardzo

często istota sprawy przed rozpoczęciem posiedzenia nie była znana ani członkom Rady, ani przewodniczącemu. Dyskusje były zawsze bardzo krótkie, na wstępne sprawozdanie przeznaczano około 10-ciu minut. Niemniej jednak, Lenin zawsze wyczuwał sedno sprawy. Celem zaoszczędzenia czasu posyłał do uczestników posiedzenia krótkie notatki, żądając takich, czy innych wyjaśnień. Notatki te stanowią bardzo obszerny i bardzo ciekawy składnik epistolarny techniki prawodawczej leninowskiej rady komisarzy ludowych. Większość ich, niestety, nie została zachowana, ponieważ odpowiedzi pisano najczęściej na odwrotnej stronie kartki z zapytaniem i przewodniczący zwykle natychmiast kartkę niszczył. Wybrawszy odpowiednią chwilę, Lenin celowo ostrym tonem podawał do wiadomości proponowane przez siebie punkty rezolucji, poczem dyskusja albo kończyła się całkowicie, albo przechodziła na konkretne tory praktycznych wniosków. Leninowskie „punkty” stanowiły zwykle ośnowę dekretu.

Aby kierować tą pracą, trzeba było, oprócz innych cech, posiadać ogromną twórczą wyobraźnię. Jedną z cennych zalet takiej wyobraźni polega na umiejętności stwarzania sobie obrazu ludzi, rzeczy i zjawisk, odpowiadającego rzeczywistości nawet wówczas, kiedy się ich nigdy nie widziało. Korzystając ze swych życiowych doświadczeń i umiejętności teoretycznych, pochwylić w lot i połączyć poszczególne drobne rysy, uzupełnić je według jakichś niesformułowanych praw koincydencji i prawdopodobieństwa i w ten sposób stworzyć zupełnie konkretnie pewną dziedzinę życia – oto wyobraźnia, którą powinien się odznaczać prawodawca, administrator, wódz, zwłaszcza zaś w epoce rewolucji. Siła Lenina polegała w wielkiej mierze na sile realistycznej wyobraźni.

Oczywiście, w gorącej prawodawczej twórczości popełniało się niemało błędów i sprzeczności. Naogół jednak leninowskie dekrety z epoki Smolnego, t. j. najchaotyczniejszego i najburzliwszego okresu rewolucji, na zawsze wejdą do historii, jako proklamowanie nowego świata. Nie tylko socjologowie i historycy, ale i prawodawcy przyszłości nieraz zwracać się będą do tego źródła.

W owym czasie na pierwszy plan wysuwały się zagadnienia praktyczne, przede wszystkim wojny domowej, zaopatrzenia i komunikacji. Celem rozwiązywania tych wszystkich zagadnień tworzone nadzwyczajne komisje, które miały po raz pierwszy zajrzeć w oczy nowym zadaniom i ruszyć z miejsca ten czy ów urząd, bezradnie drepczący na samym progu. W owych miesiącach musiałem stanąć na czele całego szeregu takich komisji: i zaopatrzeniowej, do której należał, wciągnięty wówczas po raz pierwszy do pracy, Ciurupa, i transportowej, i wydawniczej, i wielu innych.

Praca dyplomatyczna, z wyjątkiem okresu pertraktacji, brzeskich, zabierała mi mało czasu. Jednakże sprawy okazały się bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem. Już w pierwszym okresie musiałem niespodzianie nawiązać dyplomatyczne pertraktacje z wieżą... Eiffla.

Podczas dni powstania byliśmy dalecy od interesowania się zagranicznym radjo. Teraz jednakże, jako komisarz ludowy spraw zagranicznych, winienem był śledzić jak odnosi się do przewrotu świat kapitalistyczny. Nie trzeba chyba mówić, że znikąd nie dochodziły pozdrowienia. Jakkolwiek rząd berliński skłonny był do kokietowania bolszewików, jednakże wysłał ze stacji w Nauen wrogą falę wtedy, kiedy ze stacji Carskiego Siela moja radjo-depesza głosiła o naszym zwycięstwie nad wojskami Kierenskiego. Jeżeli jednak Berlin i

Wiedeń wahały się ciągle między nienawiścią do rewolucji i nadzieją korzystnego pokoju, to wszystkie pozostałe kraje, nie tylko prowadzące wojnę, lecz i neutralne, w różnych językach wysyłały w przestrzeń uczucia i myśli obalonych przez nas rządzących klas starej Rosji. Na tle tego chóru szczególnie wyróżniała się swą wściekłością wieża Eiffla, która przemówiła w owych dniach również i po rosyjsku, widocznie szukając dróg do serca ludu rosyjskiego. Czytając radjo-depesze paryskie, miałem czasem wrażenie, że na szczycie wieży siedzi sam Clemenceau. Znałem go dostatecznie, jako dziennikarza, aby móc poznać, jeśli nie jego styl, to co najmniej jego ducha. Transmisje te dławiły się własną nienawiścią, furja dochodziła do zenitu. Czasami zdawało się, że radjo – to skorpjon wieży Eiffla, który chce samego siebie ukłóc ogonem w głowę.

Mieliśmy do dyspozycji carsko-sielską stację i nie mieliśmy powodu do zachowywania milczenia. W ciągu kilku dni dyktowałem odpowiedzi na inwektywy Clemenceau. Posiadałem dość wiadomości z politycznej historii Francji, aby dać niezbyt pochlebną charakterystykę głównych działaczy i przypomnieć cośniecoś z ich biografji, poczynając od Panamy. W ciągu kilku dni pomiędzy wieżami – paryską i carsko-sielską – odbywał się zacięty pojedynek. Eter, jako materiał neutralny, sumiennie powtarzał argumenty obu stron. I cóż? Sam nie spodziewałem tak szybkich rezultatów. Paryż gwałtownie zmienił ton: wyrażał się później wrogo, ale grzecznie. Ja zaś nieraz z zadowoleniem wspominałem, jak rozpocząłem mą działalność dyplomatyczną od uczenia wieży Eiffla dobrych manier.

18-go listopada odwiedził mnie niespodzianie w Smolnym generał Jodsen, szef misji amerykańskiej. Uprzedził mnie, że nie może jeszcze mówić w imieniu rządu amerykańskiego, ale spodziewa się, że wszystko będzie all right. – Czy rząd sowiecki zamierza dążyć do likwidacji wojny łącznie z sojusznikami? – Odpowiedziałem, że dzięki zupełnej jawności przyszłych pertraktacyj, sojusznicy będą mogli śledzić ich przebieg i przyłączyć się do nich w każdej chwili. Na zakończenie, pokojowo nastrojony generał oświadczył: – Czas protestów i gróźb pod adresem rządu sowieckiego minął, jeżeli wogóle taki czas istniał.– Wiadomo jednak, że jedna jaskółka, nawet w randze generała, nie czyni wiosny.

W początku grudnia miało miejsce pierwsze i ostatnie moje spotkanie z posłem francuskim Noulens'em, byłem deputowanym radykalnym, którego, celem nawiązania łączności z rewolucją lutową, przysłano na miejsce jawnego monarchisty Paleologue'a, bizantyńczyka nietylko z nazwiska, używanego przez republikę do utrzymania przyjaźni z carem. Nie wiem, dlaczego wybrano Noulens'a, nie zaś kogoś innego. Ten jednak nie wpłynął dodatnio na moje mniemanie o kierownikach ludzkich losów. Rozmowa odbyła się z inicjatywy Noulens'a i nie doprowadziła do żadnego rezultatu. Po krótkich wahaniach Clemenceau ostatecznie zdecydował się na régime kolczastych drutów.

Z generałem Niessel'em, szefem misji francuskiej, miałem całkiem nieprzyjazną rozmowę w murach Smolnego. Generał ów ćwiczył swego bojowego ducha w operacjach na tyłach. Przy Kierenskim przyzwyczaił się komenderować i nie chciał oduczać się od tego złego przyzwyczajenia. Na początek zmuszony byłem poprosić go o opuszczenia Smolnego. Wkrótce stosunki z wojskową misją francuską jeszcze bardziej się skomplikowały. Przy misji funkcjonowało biuro informacyjne, które stało się fabryką najwstrętniejszych insynuacyj przeciwko rewolucji. We wszystkich wrogich

pismach ukazywały się codziennie depesze „ze Sztokholmu”, jedna fantastyczniejsza od drugiej, złośliwsza i głupsza. Pytani o źródło depesz „sztokholmskich”, redaktorzy gazet wskazywali wojskową misję francuską. Zapytałem oficjalnie generała Niessel’a. 22 grudnia odpowiedział mi naprawdę niezwykłym dokumentem:

„Liczni dziennikarze różnych kierunków – pisał generał – przychodzą po informacje do misji wojskowej. Jestem upoważniony do udzielania im wiadomości, dotyczących wypadków wojennych na zachodnim teatrze wojny, w Salonikach, w Azji i o sytuacji we Francji. Podczas jednej (?) z takich wizyt, pewien (?) młody oficer pozwolił sobie zakomunikować pogłoskę, kursującą po mieście(?), pochodzenie której przypisuję Sztokholmowi...” – Na zakończenie generał w sposób nieokreślony obiecywał „przedsięwziąć kroki, aby w przyszłości podobne niedopatrzania (?) nie mogły mieć miejsca”. Tego było już nadto. Nie po to uczyliśmy paryską wieżę radjową prawideł grzeczności, aby pozwolić generałowi Niessel w tworzeniu pomocniczej wieży fałszerstw w Moskwie. Tegoż dnia napisałem do Niessel’a:

„1. Ze względu na to, że biuro propagandy, zwane biurem „informacyj” przy francuskiej misji wojskowej, było źródłem świadomie kłamliwych pogłosek, mających na celu szerzenie zamętu i chaosu wśród opinii publicznej, biuro to ma być natychmiast zamknięte. 2. „Młody oficer, który fabrykował kłamliwe wywiady, ma natychmiast opuścić granice Rosji. Proszę niezwłocznie zakomunikować mi nazwisko tego oficera. 3. Odbiornik telegrafu iskrowego ma być usunięty z misji. 4. Oficerowie francuscy, znajdujący się na terenach, objętych wojną domową, winni być niezwłocznie odwołani do Piotrogradu specjalnym rozkazem, który należy opublikować w prasie. 5. O wszystkich krokach, przedsięwziętych przez misję w związku z tym listem, proszę mnie zawiadomić. Komisarz ludowy spraw zagranicznych L. Trocki.”

„Młody oficer” przestał być postacią anonimową i, jako kozioł ofiarny, wyjechał z Rosji. Odbiornik usunięto. Biuro informacyjne zamknięto. Oficerów odwołano z kresów do centrum. Wszystko to były jednak tylko drobne potyczki awangardy, które na krótko przerwało niepewne zawieszenie broni po moim odejściu na stanowisko wojskowe. Zbyt katorycznego generała Niessel’a zastąpił układny generał Lavergne. Zawieszenie broni nie trwało jednak długo. Francuska misja wojskowa, zarówno jak francuska dyplomacja, stała się ośrodkiem wszystkich spisków i wystąpień zbrojnych przeciwko władzy sowieckiej. Ujawniło się to jednakże dopiero po Brześciu, w okresie moskiewskim, na wiosnę i w lecie 1918 roku.

ROZDZIAŁ XXX

W MOSKWIE

Podpisanie traktatu pokojowego w Brześciu odebrało wszelkie polityczne znaczenie memu ustąpieniu z komisariatu ludowego spraw zagranicznych. W międzyczasie przyjechał z Londynu Cziczerin i został moim następcą. Cziczerina znałem oddawna. W czasie pierwszej rewolucji porzucił stanowisko urzędnika dyplomatycznego, został socjal-demokratą i, jako mieńszewik, pogrążył się całkowicie w pracy zagranicznych „grup współdziałania” z partją. Na początku wojny zajął zdecydowanie patryjotyczne stanowisko i usiłował je uzasadnić w licznych listach z Londynu. Ja również otrzymałem parę takich listów. Jednak stosunkowo szybko zbliżył się do międzynarodowców i został czynnym współpracownikiem, redagowanego przeze mnie w Paryżu, „Naszego Słowa”. Ostatecznie dostał się do angielskiego więzienia. Zażądałem, aby go uwolniono. Pertraktacje przewlekały się. Zagroziłem represjami w stosunku do Anglików. „Argumentacja Trockiego, – pisał poseł angielski Buchanan w swym pamiętniku, – ostatecznie nie jest pozbawiona pewnej dozy słuszności: jeśli my przypisujemy sobie prawo aresztowania Rosjan za pacyfistyczną propagandę w kraju, pragnącym prowadzić w dalszym ciągu wojnę, to oni mają takie same prawo aresztowania brytyjskich poddanych, prowadzących propagandę wojenną w kraju, pragnącym pokoju”. Cziczerina uwolniono. Przyjechał do Moskwy w sam czas. Z westchnieniem ulgi wręczyłem mu ster dyplomacji. W ministerstwie wcale się nie pokazywałem.

Czasami Cziczerin radził się mnie przez telefon. Dopiero 13-go marca ogłoszono o moim ustąpieniu z komisariatu spraw zagranicznych, jednocześnie z nominacją na komisarza ludowego spraw wojennych i przewodniczącego utworzonej niedawno z mojej inicjatywy Najwyższej Rady Wojskowej.

W ten sposób Lenin dopiął swego. Skorzystał z mojej propozycji podania się do dymisji w związku z rozbieżnością zdań w sprawie brzeskiej tylko po to, aby urzeczywistnić swą pierwotną myśl, którą przystosował do zmienionych okoliczności. Ponieważ wróg wewnętrzny przeszedł od spisków do tworzenia armji i frontów, Lenin chciał, abym stanął na czele spraw wojskowych. Tym razem on pozyskał sobie Swierdłowa. Usiłowałem protestować. – Kogo więc mianować: wymieńcie? – nalegał Lenin. Zastanowiłem się – i zgodziłem.

Czy byłem przygotowany do pracy wojskowej? Oczywiście, nie. Nawet w swoim czasie nie służyłem w armji carskiej. Lata poborowe spędziłem w więzieniu, na zesłaniu i emigracji. W roku 1906 sąd pozbawił mnie praw obywatelskich i wojskowych. Z militaryzmem poznałem się bliżej podczas wojny bałkańskiej, kiedy spędziłem kilka miesięcy w Serbji, Bułgarji i następnie w Rumunji. Jednakże wówczas poznałem sprawę raczej pod względem ogólno-politycznym, niż czysto wojskowym. Wojna światowa przybliżyła mnie, jak wogóle wszystkich na świecie, do zagadnień

militaryzmu. Codzienna praca w „Naszem Słowie” i współpraca w „Kijewskiej Myśli” dawała mi impuls do ujmowania nowych wiadomości i spostrzeżeń w pewien system. Jednakże przede wszystkim chodziło o wojnę, jako o dalszy ciąg polityki, i o armję, jako o jej narzędzie. Problematy organizacyjne i techniczne militaryzmu ciągle jeszcze mniej mnie interesowały. Zato psychologia armji – koszary, okopy, bitwy, szpitale – zajmowała mnie nadzwyczajnie. Później bardzo mi się to przydało.

W państwach parlamentarnych na czele ministerstw wojny i marynarki nieraz stawali adwokaci i dziennikarze, podobnie jak ja, obserwujący armję głównie z okna redakcji, tylko bardziej komfortowej. Mimo to jednak różnica była oczywista. W krajach kapitalistycznych chodzi o utrzymanie armji istniejącej t. j. w gruncie rzeczy tylko o polityczną przykrywkę samoistnego systemu militarnego. U nas chodziło o to, aby usunąć całkowicie resztki starej armji i na jej miejscu stworzyć w ogniu nową armję, której schematu narazie nie można było znaleźć w żadnej książce. To dostatecznie tłumaczy, dlaczego zbliżałem się do pracy wojskowej niepewnie i zgodziłem się na nią tylko dlatego, że nie było nikogo, kto by się jej podjął.

Nie uważałem się ani trochę za stratega i bez zastrzeżeń potępiałem powódź strategicznego dyletantyzmu, wywołaną przez rewolucję w partji. Coprawda w trzech wypadkach, w wojnie z Denikinem, w obronie Piotrogradu i w wojnie z Piłsudskim, zajmowałem samodzielne stanowisko strategiczne i walczyłem o nie to przeciw dowództwu, to znów przeciw większości Centralnego Komitetu. Jednak w tych wypadkach moje stanowisko strategiczne opierało się na przesłankach politycznych i gospodarczych, nie zaś czysto strategicznych. Należy zresztą podkreślić, że wielkie zagadnienia strategiczne wogóle nie mogą być inaczej rozpatrywane.

Zmiana pola mej pracy zbiegła się ze zmianą siedziby rządu. Przeniesienie władz centralnych do Moskwy było, naturalnie, ciosem dla Piotrogradu. Przenosiny wywołały gwałtowny i prawie powszechny protest. Na czele opozycji stał Zinowjew, obrany w owym czasie na przewodniczącego piotrogrodzkiego Sowietu. Przyłączył się doń Łunaczarskij, który w kilka dni po przewrocie październikowym podał się do dymisji, nie chcąc ponosić odpowiedzialności za zburzenie (rzekome) świątyni Błogosławionego Wasilja w Moskwie, teraz zaś, wróciwszy na swe stanowisko, nie chciał rozstać się z gmachem Smolnego, jako „symbolem rewolucji”. Inni przytaczali bardziej rzeczowe argumenty. Większość obawiała się głównie złego wrażenia, jakie to wyrzuci na petersburskich robotnikach. Wrogowie ropuszczali pogłoski, że zobowiązaliśmy się wydać Piotrogród Wilhelmowi. Lenin zaś i ja uważaliśmy, że, przeciwnie, przeniesienie rządu do Moskwy będzie zabezpieczeniem nie tylko rządu, ale i samego Piotrogradu. Możliwość zagarnięcia jednym zamachem rewolucyjnej stolicy wraz z rządem musiała być bardzo kusząca i dla Niemiec i dla Entente’y. Całkiem odmienną zdobyczą byłby głodny Piotrogród bez rządu. Ostatecznie opór został przełamany, większość Centralnego Komitetu wypowiedziała się za przeniesieniem i 12 marca (1918 r.) rząd wyjechał do Moskwy. Aby złagodzić wrażenie zdegradowania październikowej stolicy, pozostałem jeszcze w Pitrze tydzień, czy dziesięć dni. Przy odjeździe administracja kolejowa przetrzymała mnie na dworcu przez kilka godzin: sabotaż zmniejszył się, ale był jeszcze silny. Do Moskwy przybyłem nazajutrz po zamianowaniu mnie komisarzem spraw wojennych.

Kreml ze swym średniowiecznym murem i niezliczonymi złoconymi kopułami, jako twierdza rewolucyjnej dyktatury, wydawał się najzupełniejszym paradoksem. Coprawda przeszłość Smolnego, gdzie mieścił się dawniej instytut dla dobrze urodzonych dziewcząt, również nie predystynowała go na siedzibę delegatów robotniczych, żołnierskich i włościańskich. Do marca 1918 roku nigdy nie byłem w Kremlu i wogóle nie znałem Moskwy poza jednym jedynym gmachem: Butyrskim więzieniem, w którego wieży spędziłem sześć miesięcy w mroźną zimę 98/99 roku. W charakterze turysty można się zachwycać starożytnościami Kremlu, pałacem Groźnego i „Granowitą Pałatą”. My jednakże mieliśmy się tu osiedlić na długo. Bezpośrednie, codzienne stykanie się dwóch historycznych biegunów, dwóch wrogich kultur dziwiło nas i bawiło. Przejeżdżając drewnianą jezdnią obok Mikołajowskiego pałacu, nieraz spoglądałem z ukosa na „cara-armatę” i „cara-dzwon”. Ponure moskiewskie barbarzyństwo wyzierało z otworu dzwonu i paszczy armaty. Królewicz Hamlet powtórzyłby na tym miejscu: „Świat wyszedł z formy. I mniej to trzeba wracać go do normy!” My jednakże nie mieliśmy w sobie nic hamletowskiego. Nawet przy rozważaniu ważniejszych spraw, Lenin dawał mówcom tylko dwie minuty czasu. Rozmyślać o sprzecznościach rozwoju zacofanego kraju można było chyba nie dłużej, niż półtorej minuty, spiesząc wśród mar przeszłości, z posiedzenia na posiedzenie.

W pawilonie „kawalerskim”, naprzeciwko pałacu „Potiesznego”, przed rewolucją mieszkali urzędnicy Kremlu. Całe dolne piętro zajmował dygnitarz-komendant. Teraz podzielono jego mieszkanie na kilka części. Zajęliśmy z Leninem pokoje po obu stronach korytarza. Jadalnia była wspólna. Jadaliśmy wtedy w Kremlu pod psem. Zamiast mięsa dawano nam słoninę. Mąka i kasza były z piaskiem. Tylko czerwonego kawioru była wielka obfitość, wskutek przerwania wywozu. Tą obfitością kawioru okraszone są nietylko w mojej pamięci pierwsze lata rewolucji.

Zmieniono grę dzwonów na Spasskiej baszcie. Teraz stare dzwony zamiast: „Boże, chroń cesarza” powoli i z zadumą wydzwaniały co kwadrans „Międzynarodówkę”. Wjazd dla samochodów prowadził przez sklepiony tunel pod Spasską basztą. Nad tunelem widniała starożytna ikona za stłuczonym szkłem. Przed ikoną wisiała dawno wygasła wieczna lampka. Częstokroć przy wyjeździe z Kremlu, spojrzenie padało na ikonę, a ucho chwyciło płynące zgóry dźwięki „Międzynarodówki”. Nad basztą i jej dzwonem wznosił się po dawnemu złocony dwugłowy orzeł. Zdjęto z niego tylko koronę. Radziłem, żeby nad orłem umieścić sierp i młot, aby symbol zmiany epoki spoglądał z wierzchołka Spasskiej baszty. Na to jednak nie starczyło jakoś czasu.

Z Leninem spotykaliśmy się kilka razy dziennie na korytarzu, albo odwiedzaliśmy się wzajemnie dla omówienia różnych spraw, co trwało czasem dziesięć lub piętnaście minut – a było to dla nas obu wielki kawał czasu. Lenin był w tym okresie rozmowny, oczywiście w leninowskiej skali. Zbyt wiele było rzeczy nowych, zbyt wiele rzeczy nieznanych stało przed nami, należało Poddać rewizji siebie i innych. Dlatego trzeba było przechodzić od szczegółów do całości i odwrotnie. Chmurka brzeskich nieporozumień rozwiała się bez śladu. Stosunek Lenina do mnie i do członków mej rodziny był wyjątkowo szczerzy i pełen uwagi. Częstokroć zatrzymywał naszych chłopców na korytarzu i bawił się z nimi.

W pokoju moim stały czeczotowe meble. Nad kominkiem zegar z Amorem

i Psyche dzwonił srebrzystym głosikiem. Niewygodnie było pracować wśród tego wszystkiego. Zapach pańskiego próżniactwa bił z każdego fotela. Mieszkanie traktowałem zresztą, jako coś ubocznego, przypadkowego, tem bardziej, że w pierwszych latach tylko w niem nocowałem, wpadając na krótko z frontu do Moskwy.

Pierwszego, zdaje się, dnia po mojem przyjeździe z Pitra, rozmawiałem z Leninem, stojąc wśród czeczotów. Amor i Psyche przerwali nam śpiewnym, srebrzystym dźwiękiem. Spojrzeliśmy na siebie, jakby przeniknięci tem samym uczuciem: zacajona przeszłość podsłuchiwała nas z kąta. Otoczeni nią ze wszystkich stron, odnosiliśmy się do niej bez szacunku, lecz i bez niechęci, nieco tylko ironicznie. Niesłuszne byłoby twierdzenie, że przyzwyczailiśmy się do naszego otoczenia na Kremlu – w warunkach naszego istnienia było na to zbyt wiele dynamiki. Nie mieliśmy czasu, na „przyzwyczajanie” się. Zukosa spoglądaliśmy na otoczenie i pocichu mówiliśmy ironicznie i zachęcająco do Amorów i Psyche: nie spodziewaliście się nas? Ha, trudno, musicie się z nami pogodzić. Przyzwyczajaliśmy otoczenie do nas.

Niżsi funkcjonariusze pozostali na miejscu. Przyjęli nas z lękiem. Rygor był tutaj surowy, pańszczyźniany, syn obejmował służbę po ojcu. Pomędzy niezliczonymi kremlińskimi lokajami i wszelkimi innymi służącymi było wielu starców, którzy usługiwali kilku imperatorom. Jeden z nich drobny, wygolony staruszek Stupiszin, człowiek obowiązkowy, był w swoim czasie postrachem służby. Teraz młodszy spoglądali nań napoły z dawnym szacunkiem, napoły z nową zuchwałością. Staruszek niestrudzenie szurał nogami po korytarzach, odstawiał na miejsce fotele, okurzał, utrzymując pozory dawnego porządku. Na obiad podawano nam wodnisty barszcz i kaszę gryczaną na dworskich talerzach z orłami. – Spójrz, co on robi? – szeptał Sierioża do matki. Staruszek, jak cień, snuł się za fotelami i leciutko przekręcał talerze to w jedną, to w drugą stronę. Sierioża domyślił się pierwszy: dwugłowy orzeł na brzegu talerza powinien być pośrodku przed gościem.

– Czy zauważyliście staruszka Stupiszina? – pytałem Lenina.

– Czyż można go nie zauważyć? – odpowiedział z łagodną ironją.

Czasem żał mi było tych staruszków, jakby wyrwanych z korzeniami z gruntu, na którym wzrosli. Stupiszin wkrótce bardzo przywiązał się do Lenina, a gdy ten przeprowadził się do innego gmachu, bliżej rady komisarzy ludowych, przeniósł to przywiązanie na mnie i na moją żonę, gdyż zauważył, że lubimy porządek i szanujemy jego starania.

Wkrótce całą służbę zwolniono. Młodzi szybko przystosowali się do nowych porządków. Stupiszin nie chciał przejść na emeryturę. Przeniesiono go na stanowisko dozorca do wielkiego pałacu, przekształconego na muzeum, często jednak przychodził do „kawalerskiego” pawilonu „w odwiedziny”. Stupiszyn dyżurował później w pałacu przed salą andrzejowską podczas zjazdów i konferencyj. Wokół niego znów panował porządek, on sam zaś wykonywał tę samą pracę, co na carskich, czy wielkksiążęcych przyjęciach, tylko że teraz chodziło o Komunistyczną Międzynarodówkę. Podzielił los dzwonów na Spasskiej baszcie, które od carskiego hymnu przeszły do hymnu rewolucji. W 1926-ym roku staruszek umierał powoli w szpitalu. Żona moja posyłała mu tam podarki, które przyjmował, płacząc z wdzięczności.

W sowieckiej Moskwie powitał nas chaos. Okazało się, że mają tu własną radę komisarzy ludowych pod przewodnictwem historyka Pokrowskiego, z pośród wszystkich ludzi na świecie najmniej przygotowanego do tej roli.

Władza moskiewskiej rady komisarzy ludowych rozciągała się na okręg moskiewski, którego granic nikt nie umiał określić. Na północy należała do niego gubernia archangielska, na południu – kurska. W ten sposób w Moskwie utworzono rząd, rozciągający swą władzę, dość zresztą problematyczną, na główną część terytorjum sowieckiego. Historyczny antagonizm między Moskwą i Piotrogradem przeżył przewrót październikowy. Moskwa była niegdyś wielką wsią, Piotrogród – miastem. Moskwa była obywatelsko-kupiecka, Piotrogród wojskowo-urzędniczy. Moskwę uważano za miasto rdzennie rosyjskie, słowianofilskie, gościnne, za serce Rosji. Petersburg był bezbarwnym europejczykiem, egoistą, biurokratycznym mózgiem kraju. Moskwa została centrum przemysłu włókienniczego, Piotrogród – miastem przemysłu metalurgicznego. Takie przeciwstawienie stanowi literacką przesadę istotnych różnic, które odczuliśmy odrazu. Patrjotyzm lokalny ogarniał również i szczerych moskiewskich bolszewików. Celem uregulowania stosunków z moskiewską radą komisarzy ludowych, utworzona została komisja pod moim przewodnictwem. Było to oryginalne zajęcie. Cierpliwie parcelowaliśmy komisariaty okręgowe, wydzielając z nich dla centrum to, co do niego należało. W miarę postępu pracy, okazywało się, że drugi rząd moskiewski jest niepotrzebny. Sami moskwiczanie uznali konieczność zlikwidowania swej rady.

Okres moskiewski, po raz wtóry w historii Rosji, został okresem jednoczenia państwa i tworzenia organów jego rządu. Teraz już Lenin z niecierpliwością, ironją, czasami wprost drwiąco zbywał tych, którzy na wszystkie pytania w dalszym ciągu odpowiadali ogólnikowymi formułkami propagandowymi. – Co wam się zdaje, ojczulku, w Smolnym jesteście, czy co? – ciskał się Lenin, łącząc gniew z dobroduszością. – Smolny w najczystszej postaci – przerywał mówcy, odzywającemu się nie à propos, – opamiętajcie się, proszę, nie jesteście już w Smolnym, poszliśmy naprzód. – Lenin nie szczędził nigdy energicznych słów przeciw dniu wczorajszemu, kiedy należało przygotowywać jutrzejszy. I w tej pracy szliśmy ręka w rękę. Lenin był bardzo staranny. Ja – bodaj-że pedant. Toczyliśmy niezmordowaną walkę z niechlujstwem i niedbalstwem. Wprowadziłem surowe przepisy przeciw spóźnianiu się i niepunktualnym rozpoczynaniom posiedzeń. Krok za krokiem porządek zajmował miejsce chaosu.

Przed posiedzeniami, na których rozpatrywano zagadnienia zasadnicze, lub zagadnienia, nabierające wagi skutkiem sporów kompetencyjnych pomiędzy różnymi urzędami, Lenin nalegał przez telefon, żebym zapoznał się zawniczej z danym zagadnieniem. Współczesna literatura o nieporozumieniach między Leninem i Trockim roi się od apokryfów. Oczywiście, czasami zdarzały się różnice zdań. Ale znacznie częściej bywało tak, że przychodziliśmy do tego samego wniosku, zamieniwszy przez telefon kilka słów, lub też niezależnie od siebie. Kiedy okazywało się, że na pewne zagadnienie zapatrujemy się jednakowo, to już nie wątpiliśmy, że przeprowadzimy potrzebną decyzję. W tych wypadkach, kiedy Lenin obawiał się, że jego projekty spotkają się z czyjąskolwiek poważną opozycją, przypominał mi telefonicznie: – Koniecznie przyjdźcie na posiedzenie, wam pierwszemu udzielię głosu. – Zabierałem głos na kilka minut, Lenin ze dwa razy podczas mego przemówienia, odzywał się „słusznie” i to przesądzało sprawę. Nie dlatego, że inni bali się występować przeciw nam. Wówczas do głowy nawet nikomu nie przychodziło, aby tak, jak to się robi obecnie, przystosowywać się do życzeń władzy i nie znano

wstrętne lęku przed skompromitowaniem się niezręcznym słowem albo głosowaniem. Jednak im mniej było biurokratycznego podchlebiania się, tem większy był autorytet kierownictwa. W razie różnicy zdań między Leninem i mną mogły wybuchać i wybuchały gorące dyskusje. W razie zaś naszej jednomyślności, debaty były zawsze bardzo krótkie. Kiedy nie mogliśmy się porozumieć zawczasu, wymienialiśmy podczas posiedzenia notatki. Jeżeli przytem ujawniała się rozbieżność zdań, Lenin kierował dyskusją tak, aby załatwienie sprawy zostało odroczone. Notatka, powiadamiająca, że jestem innego zdania, była czasami pisana żartobliwym stylem i wówczas Lenin, czytając ją, całym ciałem odrzucał się jakoś wtył. Bardzo łatwo było go rozśmieszyć, zwłaszcza, kiedy był zmęczony. Była to jego dziecięca cecha. Ów najbardziej męski z ludzi posiadał wogóle wiele rysów dziecięcych. Z triumfem obserwowałem, jak zabawnie walczy z atakiem śmiechu, przewodnicząc surowo w dalszym ciągu. Wskutek napięcia, kości policzkowe odznaczały mu się jeszcze bardziej.

Komisariat wojny, gdzie koncentrowała się nie tylko moja praca wojskowa, lecz i partyjna, literacka i inna, znajdował się poza Kremlem. W pawilonie „kawalerskim” pozostało tylko mieszkanie. Nikt tam nas nie odwiedził. W interesach zgłaszano się do komisariatu. Przyjście zaś do nas „z wizytą” poprostu nie mogło nikomu przyjść do głowy: byliśmy zbyt zajęci. Ze służby wracaliśmy około godziny piątej. Około siódmej znów byłem w komisariacie, gdzie odbywały się wieczorne posiedzenia. Kiedy rewolucja się ustabilizowała, t.j. znacznie później, poświęcałem wieczorne godziny pracy literackiej i teoretycznej.

Żona moja pracowała w ludowym komisariacie oświecenia, gdzie zarządzała muzeami i budynkami zabytkowymi. Musiała walczyć o zabytki przeszłości podczas wojny domowej. Nie było to łatwe zadanie. Ani białe, ani czerwone wojska nie były zbyt skłonne do troszczenia się o historyczne siedziby, prowincjonalne kremle, albo starożytnie cerkwie. W ten sposób między komisariatem wojny i zarządem muzeów nieraz zachodziły konflikty. Nadzorcy pałaców i świątyń niejednokrotnie oskarżali wojsko o niedostateczny szacunek dla kultury, komisarze wojenni oskarżali nadzorców, że wyżej cenią rzeczy martwe, niż żywych ludzi. Formalnie zaś doprowadzało to do tego, że z żoną moją toczyłem nieustanne spory urzędowe. Na ten temat wiele sobie żartowano.

Z Leninem komunikowaliśmy się głównie telefonicznie. Telefonowaliśmy do siebie bardzo często w najróżnorodniejszych sprawach. Różne urzędy nieraz zanudzały go skargami na czerwoną armję. Lenin natychmiast dzwonił do mnie. Po pięciu minutach pytał, czybym nie zechciał zapoznać się z nowym kandydatem na ludowego komisarza rolnictwa, albo inspekcji, aby wydać o nim opinię? W godzinę później interesowało go, czy śledzę teoretyczną polemikę o proletarjackiej kulturze i czy nie zamierzam wziąć w niej udziału, żeby osadzić Bucharina? Potem następowało pytanie: czy komisariat wojny będzie mógł na froncie południowym udzielić aut ciężarowych do dowozu żywności do stacyj? A po upływie dalszej pół godziny dowiadywał się, czy znam sprawę nieporozumień w szwedzkiej partji komunistycznej? I tak codziennie w czasie mego pobytu w Moskwie.

Z chwilą rozpoczęcia ofensywy niemieckiej zachowanie się Francuzów, przynajmniej rozsądniejszych, zmieniło się raptownie: zrozumieli bezsensowność pogłosek o naszym tajnym przymierzu z Hohenzollernem.

Niemniej stało się dla nich oczywiste, że wojny prowadzić nie możemy. Niektórzy francuscy oficerowie sami nalegali, abyśmy zawarli pokój dla zyskania na czasie: szczególnie gorliwie propagował tę myśl pievien francuski wywiadowca, arystokrata-rojalista, ze szklanem okiem, który zaproponował mi swe usługi przy wykonywaniu najniebezpieczniejszych przedsięwzięć.

Generał Lavergne, który przybył na miejsce Niessel'a, dawał mi w ostrożnej i układnej formie rady, niezbyt pożyteczne, ale życzliwe. Twierdził, że rząd francuski liczy się teraz z faktem zawarcia pokoju brzeskiego i pragnie jedynie udzielić nam całkowicie bezinteresownej pomocy przy tworzeniu armji. Pronował, że odda do mojej dyspozycji oficerów licznej misji francuskiej, powracającej z Rumunii. Dwaj z nich, pułkownik i kapitan, zamieszkali naprzeciwko gmachu komisariatu wojny, abym miał ich zawsze pod ręką. Wyznaję szczerze: podejrzewałem, że są bardziej kompetentni w dziedzinie szpiegostwa wojskowego, niż w wojskowej administracji. Składali mi pisemne raporty, których – w rozgwarze owych dni – nie miałem czasu przeglądać.

Jednym z epizodów tego krótkiego „zawieszenia broni” było przyjęcie przeze mnie wojskowych misyj Entente'y. Było ich dużo i skład ich był bardzo liczny. Do mojego małego gabinetu weszło z dwudziestu mężczyzn. Lavergne przedstawiał mi ich. Niektórzy prawili mi drobne uprzejmości. Wyróżnił się zwłaszcza pulchny generał włoski, który wieszował mi pomyślnego oczyszczenia Moskwy z bandytów. – Teraz, – powiedział mi z czarującym uśmiechem, – w Moskwie mieszkać można równie spokojnie, jak we wszystkich stolicach świata. – Uważałem, że jest w tem trochę przesady. Następnie zaś absolutnie nie wiedzieliśmy, o czym mamy ze sobą rozmawiać. Goście nie mogli zdobyć się na to, aby wstać i wyjść. Ja zaś nie wiedziałem, jak mam się ich pozbyć. Ostatecznie, generał Lavergne wybawił nas z kłopotu, zapytawszy, czy nie mam nic przeciwko temu, że przedstawiciele wojskowi nie będą mi dłużej zabierali czasu. Odpowiedziałem, że jakkolwiek jest mi niezmiernie przykro rozstawać się z tak doborowem towarzystwem, nie ośmielam się jednakże sprzeciwiać.

Każdy człowiek przeżył kiedyś sceny, które przypomina sobie z zażenowanym uśmiechem. Do liczby takich scen należy również moje widzenie się z misjami wojskowymi Entente'y.

Sprawy wojskowe pochłaniały mi najwięcej i przytem coraz więcej czasu, tem bardziej, że sam musiałem zaczynać od abecadła. Uważałem, że w dziedzinie technicznej i operacyjnej zadanie moje polega przedewszystkiem na tem, aby postawić właściwych ludzi na właściwym miejscu i pozwolić im pokazać, co potrafią. Praca polityczna i organizacyjna przy tworzeniu armji całkowicie pokrywała się z pracą partyjną. Tylko na tej drodze wogóle można było coś osiągnąć.

Pomiędzy pracownikami partyjnymi w komisariacie wojny zastałem lekarza wojskowego Sklianskiego. Mimo swej młodości – w 1918 roku miał zaledwie 26 lat – odznaczał się rzeczowością, wytrwałością, zdolnością oceniania ludzi i okoliczności, t. j. temi zaletami, które tworzą administratora. Naradziwszy się ze Swierdłowem, niezastąpionym w tego rodzaju sprawach, wybrałem Sklianskiego na mego zastępcę. Nigdy nie miałem powodu, aby tego żałować. Stanowisko mego zastępcy stało się tembardziej odpowiedzialne, że większą część czasu spędzałem na frontach. Sklianskij przewodniczył podczas mej nieobecności w Rewolucyjnej Radzie wojskowej, kierował całą bieżącą pracą komisariatu, t. j. głównie obsługiwaniem frontów, wreszcie, reprezentował

urząd wojskowy w radzie obrony krajowej, obradującej pod przewodnictwem Lenina. Jeżeli można kogoś porównać z Łazarzem Carnot rewolucji francuskiej, to właśnie Sklianskiego. Był zawsze ścisły, niestrudzony, czujny, zawsze au courant sprawy. Większość rozkazów w sprawach wojskowych nosiła podpis Sklianskiego. Ponieważ rozkazy drukowane były zarówno w organach centralnych, jak w prasie lokalnej, nazwisko Sklianskiego było powszechnie znane. Jak każdy poważny i energiczny administrator, miał wielu przeciwników. Jego uzdolniona młodość drażniła wiele szanownych miernot, które Stalin podjudzał za kulisami. Atakowano Sklianskiego skrycie, zwłaszcza w mojej nieobecności. Lenin, który znał go dobrze z rady obrony, za każdym razem gorąco ujmował się za nim. – Świetny pracownik, – powtarzał zawsze, – wyjątkowy pracownik. – Sklianski trzymał się z daleka od tych intryg – pracował: odbierał raporty intendentów, zbierał informacje od przemysłowców, obliczał ilość amunicji, której zawsze brakło. Bez przerwy paląc papierosy, łączył się bezpośrednimi przewodami telefonicznymi, wzywał do telefonu naczelników i zbierał dane dla rady obrony. Można było dzwonić do komisariatu o drugiej i trzeciej godzinie w nocy, zawsze okazywało się, że Sklianski siedzi przy biurku. – Kiedy wy śpicie? – pytałem – odpowiadał mi na to jakimś żartem.

Przypominam sobie z zadowoleniem, że komisariat wojny nie znał prawie wcale rozmaitych grup i klik, tak fatalnie wpływających na pracę innych urzędów. Intensywny charakter pracy, autorytet kierownictwa, odpowiedni dobór ludzi, bez nepotyzmu i pobłażliwości, duch wymagającej lojalności – oto, co zapewniło pracę bez tarć mechanizmowi ciężkiemu, niebardzo zgranemu, o nader różnorodnym składzie. W znacznej mierze była ta zasługa Sklianskiego.

Wojna domowa oderwała mnie od pracy w radzie komisarzy ludowych. Mieszkalem w wagonie albo w samochodzie. W ciągu wyjazdów, trwających tygodnie i miesiące, zbyt mało znałem bieżące sprawy państwowe, aby móc się nimi zajmować podczas krótkich pobytów w Moskwie. Ważniejsze jednak sprawy były uprzednio rozstrzygane w Biurze Politycznym. Czasami przyjeżdżałem na posiedzenie tego biura na specjalne wezwanie Lenina, czasami zaś, gdy na froncie nastęczył mi się cały szereg zasadniczych zagadnień, sam zwoływałem, za pośrednictwem Swierdłowa, nadzwyczajne posiedzenie biura. Korespondencja moja z Leninem poświęcona była w tych latach głównie bieżącym sprawom wojny domowej: krótkie notatki lub długie depesze uzupełniały odbyte narady, albo przygotowywały materiał do przyszłych. Mimo rzeczowej treściwości, dokumenty te doskonale charakteryzują stosunki, panujące wewnątrz kierowniczej grupy bolszewików. W najbliższym czasie opublikuję tę korespondencję wraz z koniecznymi komentarzami. W szczególności będzie ona bezlitosnym zdemaskowaniem kłamstw histoRyków szkoły stalinowskiej.

Kiedy Wilsonowi, między innymi anemicznymi profesorskimi utopjami, przyszedł do głowy pomysł, aby urządzić pojednawczą konferencję wszystkich rządów Rosji, Lenin przysłał mi 24-go stycznia 1919 r. na front południowy szyfrowaną depeszę: „Wilson proponuje zawieszenie broni i wzywa na naradę wszystkie rządy Rosji... Do Wilsona będziecie chyba musieli pojechać”. A zatem, kiedy nastęczyło się nowe wielkie zadanie dyplomatyczne, epizodyczne nieporozumienia z okresu Brześcia wcale nie przeszkodziło Leninowi znów zwrócić się do mnie, mimo że w owym czasie byłem

całkowicie pochłonięty pracą wojskową. Inicjatywa pokojowa Wilsona, jak i wszystkie inne jego plany, jak wiadomo, spełzła na niczym, tak, że nie potrzebowalem jechać do niego.

W jaki sposób Lenin odnosił się do mojej pracy wojskowej, o tem narówni z setkami opowiadań samego Lenina, świadczy bardzo barwne opowiadanie Maksyma Gorkiego:

„Uderzywszy ręką w stół, powiedział (Lenin): – No, pokażcie mi drugiego takiego człowieka, któryby potrafił zorganizować w ciągu roku wzorową niemal armję i w dodatku pozyskać dla swojej pracy szacunek wojskowych” specjalistów. My mamy takiego człowieka. Wszystko mamy. I... będą cuda.”

„W ciągu tej samej rozmowy Lenin – mówi dalej Gorkij – powiedział mi: – Tak, tak – ja wiem. Krąży wiele kłamstw o moim stosunku do niego. Wogóle wiele kłamią i, zdaje się, szczególnie wiele o mnie i o Trockim”. Coby dziś powiedział Lenin na ten temat, kiedy z kłamstwa o naszych stosunkach, wbrew faktom, dokumentom i logice, uczyniono przedmiot kultu państwowego?

Kiedy nazajutrz po przewrocie nie chciałem objąć komisariatu spraw wewnętrznych, powoływałem się, między innymi, na moment narodowościowy. Zdawałoby się, że w sprawach wojskowych moment ten powinien wywołać jeszcze więcej komplikacyj, niż w zarządzie cywilnym. Okazało się jednak, że Lenin ma słuszość. W latach rewolucyjnego *zapachu* sprawa ta nie grała żadnej roli. Coprawda biali usiłowali wyzyskiwać przy agitacji w łonie czerwonej armji motywy antysemickie, jednak bez powodzenia. Mamy na to wiele dowodów w samej białej prasie. W wydawanem w Berlinie „Archiwum rosyjskiej rewolucji” autor-białogwardzista opowiada następujący epizod:

„Pewien kozak, który przyjechał, aby nas odwiedzić, sprowokowany przez kogoś powiedzeniem, że służy teraz i walczy pod dowództwem Żyda-Trockiego, gorąco i z przekonaniem odparł: „Nic podobnego!... Trocki nie jest Żydem. Trocki jest bojownik!... Nasz... Rosjanin... Lenin, tak, to komunista... Żyd, a Trocki jest nasz... bojownik... Rosjanin... Nasz!”

Podobny motyw znaleźć można w „Armji konnej”, utworze Babela, jednego z naszych najbardziej utalentowanych młodych pisarzy. Sprawa mego żydowskiego pochodzenia zaczęła nabierać znaczenia dopiero z chwilą rozpoczęcia politycznej naganki na mnie. Antysemizm podnosił głowę jednocześnie z antytrockizmem. Oba żywiły się z tego samego źródła: drobno-mieszczkańskiej reakcji przeciw Październikowi.

ROZDZIAŁ XXXI

PERTRAKTACJE W BRZEŚCIU

Dekret w sprawie pokoju został uchwalony na zjeździe sowietów 26 października, kiedy w naszych rękach był tylko Piotrogród. 7 listopada zwróciłem się przez radjotelegraf do państw Entente'y i do mocarstw centralnych z propozycją zawarcia pokoju powszechnego. Rządy sojusznicze, za pośrednictwem swych przedstawicieli, oświadczyły głównodowodzącemu, generałowi Duchoninowi, że dalsze kroki w sprawie zawarcia pokoju odrębnego pociągną za sobą „jak najgorsze następstwa”. Na groźbę tę odpowiedziałem odezwą do wszystkich robotników, żołnierzy i włościan. Sens odezwy był kategoryczny: zwalczyliśmy własną burżuazję nie poto, aby nasza armja przelewała swą krew pod kijami obcej burżuazji. 22-go listopada podpisana została ugoda w sprawie zawieszenia wszelkich działań wojennych na całym froncie od Bałtyku do morza Czarnego. Znów zwróciliśmy się do sojuszników z propozycją wspólnego prowadzenia rokowań pokojowych. Nie otrzymaliśmy odpowiedzi, ale i groźby się nie powtórzyły. Rządy Entente'y cośnieważ zdążyły zrozumieć. Rokowania pokojowe rozpoczęły się 1-go grudnia, w sześć tygodni po przyjęciu dekretu w sprawie pokoju: całkiem wystarczający okres czasu na to, aby kraje Entente'y mogły określić swój stosunek do tej sprawy. Nasza delegacja na samym początku złożyła programowe oświadczenie o zasadach demokratycznego pokoju. Strona przeciwna zażądała przerwania posiedzenia. Termin rozpoczęcia prac odkładano wielokrotnie. Delegacje czwór-porozumienia natrafiały przy formułowaniu odpowiedzi na naszą deklarację na różne wewnętrzne trudności. 25 grudnia dano wreszcie odpowiedź. Rządy czwór-porozumienia „przyłączyły się” do demokratycznej formuły pokoju: „bez aneksji i kontrybucyj, prawo narodów do stanowienia o samych sobie”. 28 grudnia w Piotrogradzie odbyła się olbrzymia demonstracja na cześć demokratycznego pokoju. Nie ufając niemieckiej odpowiedzi, masy jednak rozumiały, że pokój jest wielkim zwycięstwem rewolucji. Nazajutrz nasza delegacja przywiozła nam z Brześcia Litewskiego potworne żądania, które Kühlmann przedłożył w imieniu państw centralnych. – Aby przewlekać rokowania potrzebny jest przewlekacz, – mówił Lenin. Na jego nalegania udałem się do Brześcia Litewskiego. Przyznaję, że jechałem, jak na tortury. Środowisko obcych i dalekich mi ludzi zawsze napawało mnie obawą, tem bardziej zaś w danym wypadku. Absolutnie nie mogę zrozumieć tych rewolucjonistów, którzy chętnie obejmują stanowiska posłów i czują się w nowym środowisku, jak ryba w wodzie.

Pierwszej sowieckiej delegacji, na czele której stał Joffe, nadskakiwano w Brześciu Litewskim ze wszystkich stron. Książę bawarski Leopold przyjmował ich, jako swych „gości”. Wszystkie delegacje jadały obiady i kolacje razem. Generał Hoffmann zapewne z ciekawością przyglądał się towarzyszyce Bicenکو, która niegdyś zabiła generała Sacharowa. Niemcy zasiadali do stołu w przeplatankę z nami i starali się „po przyjacielsku” wymóc, co im było

potrzebne. W skład pierwszej delegacji wchodził robotnik, włościanin, żołnierz. Były to przypadkowe postacie, wcale nieprzygotowane do podobnych intryg. Staruszka-włościanina zlekka upijano nawet przy obiedzie.

Sztab generała Hoffmanna wydawał dla jeńców gazetę „Russkij Wiestnik”, która początkowo nie odzywała się o bolszewikach inaczej, jak ze wzruszającą sympatią. „Nasi czytelnicy, – pisał Hoffman – pytają nas, kto to jest Trocki?” I z rozrzewnieniem opowiadał jeńcom rosyjskim O mojej walce z caratem i o mojej niemieckiej książce „Russland in der Revolution”. „Cały świat rewolucyjny zachwycał się jego ucieczką!” A dalej: „kiedy obalono carat, ukryci przyjaciele caratu, wkrótce po powrocie Trockiego z długoletniego zesłania, wsadzili go do więzienia”. Słowem, nie było gorętszych rewolucjonistów, niż Leopold Bawarski i Hoffmann pruski. Idylla ta nie trwała długo. Na posiedzeniu konferencji brzeskiej w dniu 7 stycznia, bynajmniej nie przypominającym idylli, zauważyłem: – Gotowiśmy żałować tych przedwczesnych komplementów, które prawda nam oficjalna prasa niemiecka i austro-węgierska. To było całkiem niepotrzebne dla dodatniego przebiegu rokowań pokojowych.

Socjal-demokracja i w tej sprawie była tylko cieniem hohenzollemowskiego i habsburskiego rządu. Scheidemann, Ebert i inni początkowo usiłowali poklepywać nas protekcjonalnie po ramieniu. Wiedeńska „Arbeiter Zeitung” patetycznie pisała 15 grudnia, że „pojedynek” między Trockim i Buchanan’em jest symbolem wielkiej walki naszych czasów: „walka proletariatu z kapitalizmem”. Wtedy gdy Kühlmann i Czernin brali w Brześciu za gardło rosyjską rewolucję, austro-marksieści widzieli tylko „pojedynek” Trockiego z... Buchanan’em. Nawet teraz nie mogę bez wstępu myśleć o tej obłudzie. „Trocki – pisali habsburscy marksieści, – jest pełnomocnikiem pragnącej pokoju rosyjskiej klasy robotniczej, która dąży do zerwania żelazno-złotego łańcucha, w jaki ją zakął kapitał angielski”. Kierownicy socjal-demokracji dobrowolnie siedzieli na łańcuchu austro-germańskiego kapitalizmu i pomagali swemu rządowi w nakładaniu przemocą tego łańcucha rewolucji rosyjskiej. W najcięższych chwilach Brześcia, kiedy mnie, albo Leninowi wpadał w oczy numer berlińskiego „Vorwärts’u”, albo wiedeńskiej „Arbeiter-Zeitung” w milczeniu pokazywaliśmy sobie ustępy, zakreślone kolorowym ołówkiem, przelotnie spoglądaliśmy na siebie i odwracaliśmy oczy z niedającym się opisać uczuciem wstydu za tych panów, którzy przecież wczoraj jeszcze byli naszymi towarzyszami w Międzynarodówce. Kto z całą świadomością przeszedł ten okres, ten wie raz na zawsze, że bez względu na wahania konjunktury politycznej, socjal-demokracja jest historycznym trupem.

Aby zakończyć tę nie na miejscu maskaradę, zadałem w naszej prasie pytanie, czy niemiecki sztab generalny nie mógłby czasem opowiedzieć czegoś niemieckim żołnierzom o Karolu Liebknechcie i Róży Luxemburg? Na ten temat wydaliśmy odezwę do niemieckich żołnierzy. „Wiestnik” generała Hoffmanna ugryzł się w język. Hoffmann, natychmiast po mem przybyciu do Brześcia, zaprotestował przeciw naszej propagandzie w wojsku niemieckim. Uchyliłem się od rozmów na ten temat, proponując generałowi, aby w dalszym ciągu prowadził swoją propagandę w armji rosyjskiej: warunki są takie same, różnica polega tylko na charakterze propagandy. Przypomniałem przytem, że niezgodność naszych poglądów na niektóre bardzo ważne sprawy dawno już jest znana i nawet poświadczona przez jeden z niemieckich sądów, który skazał mnie podczas wojny zaocznie na więzienie.

To przypomnienie, tak bardzo nie na miejscu, wywołało niesłychane zgorzsenie. Wielu dostojnikom zaparło oddech w piersiach. Kühlmann zwrócił się do Hoffmanna: – Czy chce pan zabrać głos? – Hoffmann: – Nie, wystarczy.

Jako przewodniczący delegacji sowieckiej, postanowiłem ostro skończyć z familjarnymi stosunkami, które niepostrzeżenie nawiązały się w pierwszym okresie pertraktacyj. Za pośrednictwem naszych wojskowych dałem do zrozumienia, że nie mam zamiaru przedstawić się bawarskiemu księciu. Przyjęto to do wiadomości. Żądałem oddzielnych obiadów i kolacyj, powołując się na to, że podczas przerw musimy naradzać się. To także przyjęto w milczeniu. Pod datą 7-go stycznia Czernin zapisał w swym pamiętniku:

„Przed obiadem przyjechali wszyscy Rosjanie pod kierownictwem Trockiego. Natychmiast dali znać, że przepraszają, ale na przyszłość nie będą brać udziału we wspólnych posiłkach. Wogóle nie widać ich – tym razem wieje jakby zupełnie inny wiatr, niż ostatnio”, (str. 316). Po pseudo-przyjaznych stosunkach nastąpiły suche i oficjalne. Było to tembardziej na czasie, że od akademickich preliminarjów należało przejść do konkretnych zagadnień traktatu pokojowego.

Kühlmann przerastał o głowę Czernina, a bodaj i innych dyplomatów, z którymi stykałem się w latach powojennych. Wyczuwało się w nim charakter, nietuzinkowy, praktyczny rozum i dostateczny zapas złośliwości, którą zresztą szafował nie tylko w stosunku do nas – tutaj bowiem spotykał się z oporem, – ale również w stosunku do swych sojuszników. Kiedy podczas rozpatrywania zagadnienia okupowanych przez wojska terytorjów, Kühlmann, prostując się i podnosząc głos, wyrzekł: – *Nasze*, niemieckie terytorjum, dzięki Bogu, nie jest nigdzie i przez nikogo okupowane, – hrabia Czernin odrazu zmaliał i zzieleniał. Kühlmann właśnie pod jego adresem to powiedział. Stosunki między nimi wcale nie wyglądały na niczem niezmaconą przyjaźń. Później, kiedy rozmowa przeszła na Persję, okupowaną z dwóch stron przez obce wojska, zauważyłem, że ponieważ Persja z nikim nie zawierała sojuszu, jak Austro-Węgry, przeto nikomu z nas nie daje powodu do niezyczliwej radości, że okupowana jest ziemia perska, a nie nasza własna. Czernin aż się poderwał ze słowem „unerhört” (niesłychane). Pozornie okrzyk ten odnosił się do mnie, istotnie zaś – do Kühlmanna. Takich epizodów było mnóstwo.

Jak dobry gracz w szachy, zmuszony do długiej gry ze słabymi partnerami, sam zaczyna się zaniedbywać, tak również Kühlmann, który podczas wojny obracał się wyłącznie w kręgu swych austro-węgierskich, tureckich, bułgarskich i neutralnych dyplomatycznych wasali, skłonny był na początku do niedoceniań swych rewolucyjnych przeciwników i do niedbałego prowadzenia gry. Nieraz uderzał wprost, zwłaszcza na początku, prymitywnością swych posunięć i niezrozumieniem psychologii przeciwnika. Na pierwsze spotkanie z dyplomatami szedłem nie bez ostrego i nieprzyjemnego podniecenia. W przedpokojach przy wieszadle zetknęłem się z Kühlmannem. Nie znałem go. Przedstawił mi się sam i natychmiast dorzucił, że „bardzo się cieszy” z mego przyjazdu, ponieważ lepiej mieć do czynienia z panem, niż z jego wysłańcem. Gra jego twarzy świadczyła, że bardzo zadowolony jest z tego „subtelного” posunięcia, obliczonego na psychologię parwenjusza. Miałem takie uczucie, jakbym nastąpił nogą na coś nieczystego. Mimo woli cofnąłem się nawet o krok. Kühlmann zrozumiał swój błąd, zebrał się w sobie i odrazu zaczął mówić bardziej oschłym tonem. Nie przeszkodziło mu to jednak do powtórnego wystąpienia w tym rodzaju, w mojej obecności, w

stosunku do przewodniczącego delegacji tureckiej, starego dworskiego dyplomaty. Przedstawiając mi swych kolegów, Kühlmann w chwili, kiedy kierownik delegacji tureckiej oddalił się o krok, rzekł konfidencyjnym półszepcetem, wyraźnie licząc na to, że będzie usłyszany: – To najlepszy dyplomata w Europie. – Kiedy powtórzyłem to Joffemu, odpowiedział mi ze śmiechem: – Przy pierwszym spotkaniu ze mną, Kühlmann zrobił jota w jotę to samo. – Wyglądało na to, że Kühlmann daje „najlepsze dyplomacie” platoniczną kompensatę za jakieś nieplatoniczne wymuszenie. Być może, Kühlmann osiągnął tem również i uboczny cel, dając do zrozumienia Czerninowi, że wcale nie uważa go za najlepszego dyplomatę – po sobie. Czernin twierdzi, że 23-go grudnia Kühlmann, powiedział mu: – Cesarz jest jedynym mądrym człowiekiem w całych Niemczech. – Przypuszczać należy, że słowa te przeznaczone były nie tyle dla Czernina, ile dla samego cesarza. W przekazywaniu pochlebstw pod właściwym adresem dyplomaci bez wątpienia wyświadczaali sobie wzajemnie usługi. Flattez, flattez, il en restera toujours quelque chose.

Z tem środowiskiem ludzi zetknąłem się po raz pierwszy oko w oko. Nie potrzebuję podkreślać, że i dawniej nie miałem co do nich żadnych złudzeń. Domyślałem się, że nie święci garnki lepią. Mimo to jednak, muszę przyznać, że wyobrażałem sobie, że stoją na wyższym poziomie. Wrażenie z pierwszego spotkania mógłbym sformułować w słowach: ludzie bardzo nisko szacują innych, ale siebie również niezbyt wysoko.

W związku z tem warto opowiedzieć następujący epizod. Z inicjatywy Wiktora Adlera, który w owe dni wszelkimi sposobami starał się wyrazić mi swą osobistą sympatię hrabia Czernin zaproponował mi mimochodem przysłanie do Moskwy mojej biblijoteki, która pozostała w Wiedniu jeszcze na początku wojny. Biblijoteka była dość ciekawa, ponieważ w ciągu długich lat emigracji zebrałem obszerną kolekcję rosyjskiej literatury rewolucyjnej. Nie zdążyłem jeszcze dyplomacie podziękować z pewną rezerwą za propozycję, kiedy natychmiast poprosił o zwrócenie uwagi na dwóch jeńców austriackich, z którymi jakoby źle się u nas obchodzono. To bezpośrednio i, powiedziałbym, zaakcentowane przejście od biblijoteki do jeńców – chodziło, naturalnie, nie o szeregowców, lecz o oficerów z bliskiego hrabiemu Czerninowi środowiska – wydało mi się zbyt bezceremonjalne. Odpowiedziałem sucho, że jeśli wiadomości Czernina, dotyczące jeńców są ściśle, to z obowiązku zrobię wszystko, co należy, ale uważam jednak, że sprawa ta nie ma żadnego związku z moją biblijoteką. Czernin w pamiętnikach swych dość wiernie odtwarza ten epizod, wcale nie wypierając się, że usiłował sprawę jeńców związać z biblijoteką, przeciwnie najwidoczniej wydaje mu się to w porządku. Opowiadanie swe Czernin kończy dwuznacznem zdaniem: „biblijotekę chce mieć (Trocki)” (str. 320). Dodam jedynie, że biblijotekę natychmiast po otrzymaniu, oddałem jednej z instytucyj naukowych Moskwy.

Okoliczności historyczne złożyły się tak, że delegaci najbardziej rewolucyjnego régime'u, jaki kiedykolwiek znała ludzkość zasiadali przy wspólnym stole dyplomatycznym z przedstawicielami najreakcyjniejszej kasty ze wszystkich klas rządzących. Jak dalece nasi przeciwnicy lękali się siły wybuchowej rokowań z bolszewikami, świadczy fakt, że gotowi byli raczej zerwać rokowania, niż przenieść je do kraju neutralnego. Czernin w pamiętnikach swoich powiada wprost, że w kraju neutralnym bolszewicy, przy pomocy swych międzynarodowych przyjaciół, na pewno ujęliby wodze w swe

ręce. Oficjalnie Czernin powołał się na to, że w neutralnym środowisku Anglja i Francja rozpoczęłyby natychmiast intrygować „zarówno jawnie, jak i zakulisami”. Odpowiedziałem mu, że nasza polityka obchodzi się wogóle bez kulis, ponieważ to narzędzie starej dyplomacji zostało przez naród rosyjski, wraz z wieloma innymi rzeczami, całkowicie odrzucone podczas zwycięskiego powstania 25 października. Jednakże musieliśmy się poddać ultimatum i pozostać w Brześciu Litewskim. Z wyjątkiem kilku budynków, stojących poza starym miastem i zajętych przez sztab niemiecki, Brześć Litewski właściwie już nie istniał. Miasto zostało spalone w przystępie bezsilnej złości przez cofające się wojska carskie. Widocznie właśnie dlatego Hoffmann umieścił tu swój sztab, chcąc łatwiej utrzymać go w ręku. Urządzenie, zarówno jak i utrzymanie, odznaczało się prostotą. Usługiwali żołnierze niemieccy. Byliśmy dla nich zwiastunami pokoju, to też patrzeli na nas oczami pełnymi nadziei. Wokół budynków sztabu ciągnęło się w różnych kierunkach wysokie ogrodzenie z kolczastego drutu. Podczas porannej przechadzki, odczytywałem napisy: „Spotkany tu Rosjanin zostanie rozstrzelany”. Stosowało to się do jeńców. Zastanawiałem się, czy napis ten odnosi się również do mnie – byliśmy prawie w niewoli – i zawracałem. Przez Brześć wiodła wspaniała strategiczna szosa. W pierwszych dniach odbywaliśmy przechadzki w samochodach sztabowych. Jednak na tym gruncie wynikł zatarg między jednym z członków delegacji i niemieckim podoficerem. Hoffmann poskarżył mi się listownie. Odpowiedziałem mu, że na przyszłość z podziękowaniem zrzekamy się użytkowania oddanych nam do dyspozycji aut. Rokowania wlokły się. I my i nasi przeciwnicy musieliśmy komunikować się przez bezpośrednie przewody z naszymi rządami. Przewody nieraz odmawiały posłuszeństwa. Czy zawsze winne temu były przyczyny fizyczne, czy też były to tylko rzekome uszkodzenia, wywołane dążeniami przeciwnika do wygrania na czasie, tego nie udało nam się ustalić. W każdym bądź razie przerwy w posiedzeniach były częste i trwały czasami po kilka dni. Podczas jednej z takich przerw odbyłem podróż do Warszawy. Miasto żyło pod niemieckimi bagnetami. Zainteresowanie ludności dyplomatami sowieckimi było bardzo duże, ale ujawniało się ostrożnie: nikt nie wiedział, na czym to się wszystko skończy.

Przeciąganie rokowań leżało w naszym interesie. Poto właściwie przyjechałem do Brześcia. Jednakże nie mogę przypisać sobie żadnych zasług w tym względzie. Moi partnerzy pomagali mi, jak mogli. „Czasu mamy dosyć, melancholijnie notuje w pamiętniku Czernin, – to Turcy nie są gotowi, to znów Bułgarzy, to przeciągają Rosjanie – i posiedzenie znów się odracza, albo przerywa ledwo rozpoczęte”. Z kolei Austriacy, napotkawszy trudności ze strony delegacji ukraińskiej, zaczęli przeciągać rokowania. To, oczywiście, bynajmniej nie przeszkadzało Kühlmannowi i Czerninowi do twierdzenia w publicznych wystąpieniach, że przeciąganiu rokowań winna jest wyłącznie delegacja rosyjska, przeciw czemu energicznie, lecz daremnie, protestowałem.

Z niedawnych komplementów, prawionych pod adresem bolszewików przez oficjalną prasę niemiecką – a poza nielegalnymi ulotkami, cała prasa miała wówczas oficjalny charakter – nie zostało pod koniec rokowań ani śladu. – „Tägliche Rundschau”, na przykład, nie tylko skarżyła się, że w „Brześciu Litewskim, Trocki stworzył sobie katedrę, z której głos jego rozbrzmiewa po całym świecie” i nawoływała, żeby z tem jak najszybciej skończyć, lecz oświadczała poprostu, że „ani Lenin, ani Trocki nie pragną pokoju, który im,

według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwiastuje szubienicę, albo więzienie”. Ton prasy socjal-demokratycznej był w gruncie rzeczy zupełnie podobny. Scheidemannowie, Ebertowie i Stampfery za największą winę pocztywali nam to, żeśmy liczyli na rewolucję niemiecką. Panowie ci byli nieskończenie dalecy od myśli, że za kilka miesięcy rewolucja weźmie ich za kołnierzy i postawi u władzy.

Po długotrwałej przerwie z wielkim zainteresowaniem czytałem w Brześciu niemieckie gazety, w których rokowania brzeskie poddawane były bardzo starannemu i tendencyjnemu opracowywaniu. Jednak samo czytanie gazet nie wypełniało mi czasu. Postanowiłem szerzej wykorzystać ów mimowolny wypoczynek, którego, jak łatwo było przewidzieć, nieprędko znów się mogę doczekać. Mieliśmy ze sobą kilka dobrych stenografistek z dawnego biura Dumy Państwowej. Zaczęłem im z pamięci dyktować zarys historyczny przewrotu październikowego. Tak w ciągu kilku posiedzeń powstała cała książka, przeznaczona przede wszystkim dla robotników obcych krajów. Konieczność wyjaśnienia im tego, co się stało, była oddawna paląca. Nieraz mówiliśmy o tem z Leninem, ale nikt nie miał ani chwili wolnej. Najmniej spodziewałem się tego, że właśnie Brześć zostanie miejscem mej pracy literackiej. Lenin był dosłownie uszczęśliwiony, kiedy przywiozłem ze sobą gotowy rękopis o rewolucji październikowej. Obaj uważaliśmy go za jeden ze skromnych zadatków przyszłego rewolucyjnego rewanżu za uciążliwy pokój. Książka została wkrótce przetłumaczona na kilkanaście języków europejskich i azjatyckich. Mimo że wszystkie partje Międzynarodówki Komunistycznej, począwszy od rosyjskiej, wydawały tę książkę w nieskończonej ilości egzemplarzy, po roku 1923 epigoni uznali ją za złośliwy produkt trockizmu. Teraz znajduje się ona na stalinowskim indeksie książek zakazanych. Ten drugorzędny epizod jest jednym z licznych objawów ideowego przygotowania Termidora. Dla jego zwycięstwa przede wszystkim niezbędne jest przecięcie pepowiny październikowych narodzin...

Dyplomaci strony przeciwnej również starali się jakoś wypełnić czas zbyt długiego brzeskiego wypoczynku. Hrabia Czernin, jak dowiadujemy się z jego pamiętnika, nie tylko jeździł na polowanie, ale także rozszerzał swój horyzont myślowy czytaniem pamiętników z epoki rewolucji francuskiej. Porównywał bolszewików z jakobinami i usiłował tą drogą dojść do pocieszających wniosków. Habsburski dyplomata pisał: „Charlotte Corday, rzekła: – Zabiłam nie człowieka, lecz dzikie zwierzę. – Ci bolszewicy znowu znikną, i kto wie, czy nie znajdzie się jakaś Corday dla Trockiego”. (Str. 310). Oczywiście, wówczas nie wiedziałem o tych bogobojnych rozmyślaniach pobożnego hrabiego. Chętnie jednak wierzę w ich szczerść.

Na pierwszy rzut oka wydać się może niezrozumiałe, na co właściwie liczyła dyplomacja niemiecka, ogłaszając 25 grudnia demokratyczne formuły tylko po to, aby po upływie kilku dni ujawnić swe iście wilcze apetyty? Wszczęta z inicjatywy samego Kühlmanna teoretyczna dyskusja o prawie narodów do stanowienia o sobie, dla rządu niemieckiego była conajmniej niebezpieczna. Dyplomacja Hohenzollerna zgóry powinna była jasno zdawać sobie sprawę, że na tej drodze wiele laurów zebrać nie może. Kühlmann chciał, mianowicie, za wszelką cenę dowieść, że zagarnięcie przez Niemcy Polski, Litwy, krajów nadbałtyckich i Finlandji jest niczem innym, jak formą „stanowienia o sobie” tych narodów, ponieważ wola ich wyraża się przez organy „narodowe”, stworzone... przez niemieckie władze okupacyjne.

Nielatwo było tego dowieść. Kühlmann jednak nie składał broni. Uporczywie pytał mnie, czy rzeczywiście nie zgodzę się uznać, na przykład, nizama z Hajderabadu za wyraziciela woli Hindusów? Odpowiadałem, że przedewszystkiem powinny wynieść się z Indyj wojska angielskie i, że wątpię, czy potem szanowny nizam utrzyma się na nogach dłużej, niż 24 godziny. Kühlmann niegrzecznie wzruszał ramionami. Generał Hoffmann chrząkał na całą salę. Tłumacz tłumaczył. Stenografistki notowały. Dyskusje ciągnęły się bez końca.

Tajemnica zachowania się niemieckiej dyplomacji polegała na tem, że Kühlmann był – widocznie – zgóry głęboko przeświadczony o naszej gotowości do grania z nim na cztery ręce. Rozważał przytem w przybliżeniu tak: Bolszewicy otrzymali władzę dzięki temu, że walczyli o pokój. Przy władzy utrzymać się mogą tylko pod warunkiem zawarcia pokoju. Coprawda, związali się demokratycznymi warunkami. Ale poco istnieją na świecie dyplomaci? On, Kühlmann, zwróci bolszewikom ich rewolucyjne formuły w porządnem, dyplomatycznem tłumaczeniu, bolszewicy dadzą mu możliwość zamaskowanego zawładnięcia prowincjami i narodami. W oczach całego świata zabór niemiecki otrzyma sankcję rosyjskiej rewolucji. Bolszewicy zaś otrzymają pokój. Do powzięcia przez Kühlmanna tego błędnego mniemania przyczynili się bez wątpienia, nasi liberali, mieńszewicy i ludowcy, którzy zgóry przedstawiali rokowania brzeskie, jako komedję, z zawczasu podzielnymi rolami.

Kiedyśmy aż nazbyt jednoznacznie wskazali naszym brzeskim partnerom, że chodzi nam nie o obłudne zamaskowanie zakulisowej transakcji, lecz o zasady współżycia narodów, Kühlmann, związany już swem stanowiskiem wyjściowem, traktował nasze zachowanie prawie jak naruszenie milczącej umowy, istniejącej jedynie w jego wyobraźni. Za nic na świecie nie chciał zejść z gruntu demokratycznych zasad 25-go grudnia. Polegając na swych nieprzeciętnych zdolnościach kazuistycznych, zamierzał dowieść w oczach całego świata, że białe niczem nie różni się od czarnego. Hrabia Czernin niezdarnie sekundował Kühlmannowi i, na jego zlecenie, we wszystkich krytycznych momentach podejmował się zgłaszania najjaskrawszych i najcyniczniejszych oświadczeń. Liczył, że tem zamaskuje swą słabość. Zato generał Hoffmann wnosił do rokowań ton nader ożywczy. Nie zdradzając żadnej skłonności do wybiegów dyplomatycznych, generał kilkakrotnie kładł na stół swój but żołnierski, wokół którego rozwijała się dyskusja. My, ze swej strony, nie wątpiliśmy ani na chwilę, że właśnie but Hoffmanna jest jedyną poważną rzeczywistością w tych rokowaniach.

Czasami, zresztą, generał wdzierał się również do czysto dyplomatycznych dyskusyj. Robił to jednak na swój sposób. Wyprowadzony z równowagi przewlekłą gadaniną o prawie narodów do stanowienia o sobie, zjawił się pewnego, pięknego dnia – było to 14-go stycznia – z teką nabitą rosyjskimi gazetami, głównie eserowskiemi. Hoffmann swobodnie czytał po rosyjsku. Krótkimi, urywanemi zdaniem, jakby odgryzając się, czy jakby komenderując, generał oskarżał bolszewików o ograniczenie swobody słowa i zebrań, o naruszenie zasad demokracji i z zupełną aprobatą cytował artykuły rosyjskiej partji terorystycznej, która, poczynawszy od 1902 roku, znaczną liczbę rosyjskich wyrazicieli poglądów Hoffmanna wyprawiała na tamten świat. Generał z oburzeniem demaskował fakt, że nasz rząd opiera się na sile. W jego ustach brzmiało to rzeczywiście nadzwyczajnie. Czernin zanotował w

pamiętniku: „Hoffmann wypowiedział swą nieszczęsną mowę. Od paru dni pracował nad nią i był bardzo dumny z powodzenia” (str. 322). Odpowiedziałem Hoffmannowi, że w społeczeństwie klasowym każdy rząd opiera się na sile. Różnica polega jedynie na tem, że general Hoffmann stosuje represję dla obrony wielkich posiadaczy, my zaś dla obrony warstw pracujących. Na chwilę kilkakonferencja pokojowa przekształcała się w kółko marksowskiej propagandy dla początkujących. – To, co w naszych poczynaniach uderza i zraża rządy innych krajów, – mówiłem, – to fakt, że my aresztujemy nie strejkujących, lecz kapitalistów, którzy urządzają robotnikom lokauty, fakt, że my nie rozstrzelujemy włościan, domagających się ziemi, lecz aresztujemy tych obywateli ziemskich i oficerów, którzy usiłują rozstrzeliwać włościan. – Twarz Hoffmanna nabierała purpurowej barwy. Po każdym takim epizodzie Kühlmann ze złośliwą uprzejmością pytał Hoffmanna, czy nie pragnie jeszcze czegoś powiedzieć na poruszony temat. Generał odpowiadał ostro: – Nie, wystarczy! – i gniewnie patrzył w okno. W środowisku hohenzollernskich, habsburskich, sułtańskich i koburskich dyplomatów dyskusje nad rolą przemocy rewolucyjnej miały naprawdę nieporównany zapaszek. Niektórzy z pośród utytułowanych i ozdobionych orderami panów w ciągu rokowań nie robili nic innego, tylko ze zdumieniem przenosili spojrzenia ze mnie na Kühlmanna, albo na Czernina. Pragnęli, aby – na miłość boską – ktoś wyjaśnił im, jak to wszystko należy rozumieć? Za kulisami, bez wątpienia, Kühlmann przekonywał ich, że nasze istnienie liczyć należy na tygodnie, że należy skorzystać z tego krótkiego czasu, celem zawarcia „niemieckiego” pokoju, skutki którego ponosić będą już nasatępcy bolszewików.

W dziedzinie dyskusyj zasadniczych, pozycja moja była o tyle dogodniejsza od stanowiska Kühlmanna, o ile w płaszczyźnie faktów wojennych stanowisko generała Hoffmanna było dogodniejsze od mego. Oto dlaczego generał rwał się niecierpliwie do sprowadzania wszystkich zagadnień do zagadnienia stosunku sił, podczas gdy Kühlmann napróżno usiłował pokojowi, zbudowanemu na podstawie mapy wojennej, nadać pozory pokoju, zawartego na jakichś innych zasadach. Aby osłabić znaczenie oświadczeń Hoffmanna, Kühlmann powiedział raz pewnego, że żołnierz używa z konieczności mocniejszych wyrażeń, niż dyplomata. Odpowiedziałem na to, że: – My, członkowie rosyjskiej delegacji, nie należymy do szkoły dyplomatycznej, raczej zaś uważać się możemy za żołnierzy rewolucji – i dlatego wolimy rubaszny język żołnierza. Trzeba, zresztą, przyznać, że dyplomatyczna grzeczność samego Kühlmanna była bardzo względna. Zadanie, jakie sobie stawiał, było wyraźnie nie do rozwiązania... bez współudziału z naszej strony. Ale tego właśnie brakło. – Jesteśmy rewolucjonistami, – tłumaczyłem Kühlmannowi, – ale i realistami i wolimy wprost mówić o aneksjach, niż zastępować ścisłą nazwę pseudonimem. – Nic dziwnego, że Kühlmann od czasu do czasu zrzucał dyplomatyczną maskę i odcinał się ze złością. Teraz jeszcze pamiętam, jakim tonem powiedział, że Niemcy dążą szczerze do przywrócenia przyjaznych stosunków ze swym *potężnym* wschodnim sąsiadem. Wyraz „potężnym” wymówił z tak wyzywającym szyderstwem, że wszyscy, nawet sojusznicy Kühlmanna, drgnęli. Czernin przytem śmiertelnie bał się zerwania rokowań. Podniosłem rękawicę i znów przypomniałem to, co powiedziałem w mej pierwszej mowie: – Nie mamy ani możliwości, ani zamiaru, – mówiłem 10-go stycznia, – zaprzeczać faktowi, że kraj nasz osłabiony został polityką

rzządzających nami do niedawna klas. Jednakże światowe stanowisko kraju określa nie tylko aktualny stan jego aparatu technicznego, ale również istniejące w nim możliwości, podobnie, jak gospodarczej mocy Niemiec nie można mierzyć jedynie dzisiejszym stanem jej środków żywnościowych. Szeroka i dalekowzroczna polityka opiera się na tendencji rozwojowej, na wewnętrznych siłach, które, z chwilą ich przebudzenia do życia, przejawiają swą potęgę o dzień wcześniej, czy później.

W niespełna dziewięć miesięcy później, 3 października 1918 roku, wspominając o brzeskim wyzwaniu Kühlmanna, mówiłem na posiedzeniu Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego: – W żadnym z nas nie ma teraz ani kropli złośliwej radości, z powodu przeżywanej przez Niemcy olbrzymiej katastrofy. – Zbędnym jest dowodzić, że w znacznej mierze katastrofa ta przygotowana została w Brześciu przez dyplomację niemiecką, zarówno wojskową, jak i cywilną.

Im ściślej formułowaliśmy nasze zagadnienia, tem większą przewagę osiągał Hoffmann nad Kühlmannem. Przestali już ukrywać swój antagonizm, zwłaszcza generał. Kiedy w odpowiedzi na jego kolejny atak, wspomniałem, bez ubocznych myśli, o rządzie niemieckim, Hoffman przerwał mi ochryplym ze złości głosem: – Reprezentuję tu nie rząd niemiecki, lecz niemieckie naczelne dowództwo. – Zabrzmiało to, jak dźwięk rozbitej kamieniem szyby. Obrzuciłem spojrzeniem moich partnerów z tamtej strony stołu. Kühlmann siedział z wykrzywioną twarzą i patrzył pod stół. Na twarzy Czernina wstyd walczył ze złośliwym zadowoleniem. Odpowiedziałem mu, że nie uważam się za powołanego do osądzania wzajemnych stosunków między rządem państwa Niemieckiego i jego dowództwem, lecz że uppełnomocniony jestem do prowadzenia rokowań tylko z rządem. Kühlmann, zgrzytając zębami, przyjął moje oświadczenie do wiadomości i przyłączył się doń.

Przesadzanie głębi rozbieżności między dyplomacją i dowództwem, byłoby, naturalnie, naiwnością. Kühlmann dowodził, że kraje okupowane już „postanowiły o sobie” na rzecz Niemiec za pośrednictwem swych pełnomocnych narodowych organów. Hoffmann zaś, ze swej strony, wyjaśniał, że wobec braku w tych krajach pełnomocnych organów, nie może być nawet mowy o wycofaniu wojsk niemieckich. Dowody były diametralnie przeciwne, zato praktyczny wniosek – identyczny. W związku z tą sprawą, Kühlmann wziął się na sposób, który na pierwszy rzut oka wydać się może nieprawdopodobny. W ogłoszonej przez von Rosenberga pisemnej odpowiedzi na szereg zadanych przez nas pytań, czytaliśmy, że wojska niemieckie nie mogą być wycofane z okupowanych przez nie krajów, aż do czasu ukończenia wojny na froncie zachodnim. Z tego wyciągnąłem wniosek, że wojska będą usunięte po ukończeniu wojny i zażądałem określenia ściślejszego terminu. Kühlmannna ogarnęło niesłychane rozdrażnienie. Widocznie, pokładał nadzieję na działanie swej formuły, innemi słowy, aneksję chciał zamaskować przy pomocy... kalamburu. Kiedy to się nie udało, przy współudziale Hoffmanna wyjaśnił, że wojska nie będą wycofane ani *przed*, ani po zakończeniu wojny. Nie licząc na powodzenie, w końcu stycznia uczyniłem próbę uzyskania zgody rządu austriacko-węgierskiego na mój wyjazd do Wiednia celem pertraktacyj z przedstawicielami austriackiego proletariatu. Sądzić należy, że projekt ten najbardziej przeraził austriacką socjal-demokrację. Spotkałem się, oczywiście, z odmową, motywowaną, choć brzmi to nieprawdopodobnie, nieposiadaniem przeze mnie pełnomocnictw do tego

rodzaju pertraktacyj. Odpowiedziałem na to następującym listem na imię Czernina:

„Panie Ministrze! Załączając przy niniejszem odpis listu p. radcy poselstwa hrabiego Czakki z dnia 26 b. m., będący widocznie odpowiedzią Pańską na moją depeszę z 24 b. m., podaję Panu niniejszem do wiadomości, że zawartą w tym liście odmowę udzielenia mi pozwolenia na wyjazd do Wiednia, celem przeprowadzenia pertraktacyj z przedstawicielami austriackiego proletariatu, a to w celu osiągnięcia demokratycznego pokoju, przyjąłem do wiadomości. Zmuszony jestem skonstatować, że względami charakteru formalnego w odpowiedzi tej pokrywa się niechęć dopuszczenia do osobistego porozumienia między przedstawicielami robotniczo-włościańskiego rządu Rosji i proletariatu Austrii. Co się zaś tyczy, zawartego w motywach listu, powołania się na nieposiadanie przeze mnie koniecznych dla takiego porozumienia pełnomocnictw – powołania, niedopuszczalnego ani pod względem formy, ani istoty, – to chciałbym zwrócić Pańską, Panie Ministrze, uwagę na tę okoliczność, że prawo określania rozciągłości i charakteru moich pełnomocnictw należy wyłącznie do mojego rządu”.

W ostatnim okresie rokowań, głównym atutem w rękach Kühlmanna i Czernina stało się samodzielne i wrogie w stosunku do Moskwy wystąpienie Rady Kijowskiej. Wodzowie jej stanowili ukraińską odmianę kierenszczyzny. Niewiele różnili się od swego wielkoruskiego wzoru. Może byli tylko bardziej prowincjonalni. Brzescy delegaci Rady byli przez samą naturę stworzeni potę, aby byle jaki kapitalistyczny dyplomata wodził ich za nos. Nie tylko Kühlmann, ale i Czernin zajmował się tą sprawą z pobłażliwym obrzydzeniem. Demokratyczni prostaczkowie tracili z oczu ziemię na widok tego, że solidne firmy Hohenzollerna i Habsburga traktują ich na serjo. Kiedy przewodniczący ukraińskiej delegacji Gotubowicz, wygłosiwszy kolejną replikę, siadał na krześle, starannie rozkładając długie poły czarnego surduta, budziła się obawa, że rozplynie się na miejscu od wrącego w nim zachwytu.

Czernin zdobył sobie Ukraińców, jak sam opowiadał w swym pamiętniku, występując przeciw sowieckiej delegacji z wyraźnym wrogiem oświadczeniem. Ukraińcy byli zbyt gorliwi. W ciągu kwadransa mówca ich gromadził brutalność na bezczelności, stawiając w kłopotliwej sytuacji sumiennego niemieckiego tłumacza, któremu trudno było dostroić się do tego kamertonu. Odtwarzając tę scenę, habsburski hrabia opowiada o mem zmieszaniu, bladeści, dreszczach, o kroplach zimnego potu i t. p. Odrzuciwszy przesadę, przyznać należy, że scena ta istotnie należała do najcięższych. Ciężkość jej jednak wcale nie polegała na tem, jak sądzi Czernin, że rodacy obrażali nas w obecności cudzoziemców. Nie, nieznośne było tępe poniżanie się, tych bądź co bądź przedstawicieli rewolucji przed gardzącymi nimi szczywanymi arystokratami. Napuszona podłość, zachłystujące się zachwytem lokajstwo było fontanną z tych nieszczęsnych narodowych demokratów, którzy na chwilę dorwali się do władzy. Kühlmannowi, Czerninowi, Hoffmannowi i innym zapierało oddech w piersiach, jak graczom, którzy na wyścigach postawili stawkę na właściwego konia. Oglądając się na swych protektorów po każdym zdaniu, w oczekiwaniu zachęty, delegat ukraiński odczytywał z papierka te wszystkie obelgi, które jego delegacja zestawiała w ciągu 48 godzin wspólnej pracy. Tak, była to jedna z najwstrętniejszych scen, jakie przeżyłem. Jednak pod krzyżowym ogniem zniewag i złośliwie zadowolonych spojrzeń, nie wątpiłem ani na chwilę, że zbyt gorliwi lokaje wkrótce wyrzuceni zostaną za

drzwi przez triumfujących panów, którzy, z kolei, będą musieli opróżnić zajmowane od wieków miejsca...

W tym samym czasie rewolucyjne oddziały sowieckie z powodzeniem posuwały się przez Ukrainę, torując sobie drogę do Dniepru. I właśnie tego dnia, kiedy wrzód nabrał ostatecznie i stało się oczywiste, że delegaci ukraińscy porozumieli się z Kühlmannem i Czerninem co do sprzedaży Ukrainy, wojska sowieckie zajęły Kijów. Na zadane przez Radka przez przewodnik bezpośredni pytanie o położeniu ukraińskiej stolicy, Niemiec-telegrafista ze stacji pośredniej, nie zorientowawszy się z kim mówi, odpowiedział: – Kijów umarł. – 7-go lutego podałem do wiadomości delegacjom państw centralnych radjotelegram Lenina z wiadomością, że wojska sowieckie wkroczyły do Kijowa 29-go stycznia, że porzucony przez wszystkich rząd Rady ukrył się, że Centralny Komitet Wykonawczy Sowietów Ukrainy ogłoszony został najwyższą władzą kraju i przeniósł się do Kijowa, że rząd ukraiński uchwalił federację z Rosją i najzupełniejszą jednolitość w sprawach polityki wewnętrznej i zagranicznej. Na najbliższym posiedzeniu powiedziałem Kühlmannowi i Czerninowi, że porozumiewają się z delegacją rządu, którego całkowite terytorjum ogranicza się do Brześcia Litewskiego (według umowy miasto to należeć miało do Ukrainy). Jednakże rząd niemiecki, albo raczej niemieckie naczelne dowództwo, postanowiło już w owej chwili zajęcie Ukrainy przez swoje wojska. Dyplomacja państw centralnych przygotowywała tylko dla wojsk niemieckich świadectwa tranzytowe. Ludendorff pracował wspaniale, przygotowując agonję hohenzollernowskiej armji.

W owym czasie, w jednym z więzień niemieckich siedział człowiek, którego politycy socjal-demokracji oskarżali o bezrozumny utopizm, a sędziowie Hohenzollerna o zdradę stanu. Więzień ów pisał: „Rezultat Brześcia nie jest bez znaczenia, nawet jeśli teraz sprawa dojdzie do pokoju, równającego się brutalnej kapitulacji. Dzięki delegatom rosyjskim, Brześć stał się głośną trybuną rewolucyjną. Doprowadził on do zdemaskowania państw centralnych, do zdemaskowania niemieckiej chciwości, kłamliwości, chytryści i obłudy. Wydał druzgoczący wyrok na pokojową politykę niemieckiej (socjal-demokratycznej) większości, – na politykę, noszącą nie tyle obłudny, ile cyniczny charakter. Okazał się dość silny, aby rozpętać w różnych krajach znaczne ruchy mas. I jego tragiczny akt ostatni – interwencja przeciwko rewolucji – wstrząsnął wszystkimi fibrami socjalizmu. Czas pokaże, jakie żniwo dojrzeje z tego zasiewu dla dzisiejszych triumfatorów. Cieszyć się niem nie będą”. (Karl Liebknecht, Politische Aufzeichnungen, Action Verlag, 1921, str. 51).

ROZDZIAŁ XXXII

POKÓJ

W ciągu całej jesieni delegaci z frontu zjawiali się codziennie przed Piotrogrodzkim Sowietem z oświadczeniem, że jeśli do 1-go listopada pokój nie zostanie zawarty, to sami żołnierze cofną się na tyły, aby zdobywać pokój własnymi siłami. To było hasłem frontu. Żołnierze masowo opuszczali okopy. Przewrót październikowy do pewnego stopnia powstrzymał ów ruch, ale, naturalnie, nie na długo.

Żołnierze, którzy dowiedzieli się, dzięki przewrotowi lutowemu, że rządziła nimi rasputinowska banda i że to ona właśnie wciągnęła ich w bezmyślną i podłą wojnę, nie widzieli powodu do dalszego jej prowadzenia – z tego jedynie względu, że bardzo ich o to prosił młody adwokat Kierenski. Chcieli wrócić do domu – do rodzin, do ziemi, do rewolucji, która obiecała im ziemię i wolność, ale narazie trzymała ich głodnych w zawszonych rowach frontu. Kierenski, obraziwszy się zato na żołnierzy, robotników i włościan, nazwał ich „zbuntowanymi niewolnikami”. Nie zrozumiał tej drobnostki: rewolucja polega właśnie na tym, że niewolnicy powstają i nie chcą być niewolnikami.

Protector i inspirator Kierenskiego, Buchanan, miał nieostrożność opowiedzieć nam w swych pamiętnikach, czym dla niego i podobnych mu była wojna i rewolucja. W wiele miesięcy po Październiku, Buchanan w następujących słowach opisywał 1916 rok w Rosji – straszny rok rozbicia carskiej armji, gospodarczego rozstroju, kolejek przed sklepami z żywnością, rządowego bałaganu pod komendą Rasputina. „W jednej z najpiękniejszych willi, któreśmy zwiedzili – tak głosi Buchanan o swej podróży na Krym w 1916 r., – byliśmy nie tylko witani chlebem i solą na srebrnym półmisku, ale przy odjeździe znaleźliśmy w naszym aucie skrzynkę z tuzinami butelek starego burgunda, na cześć którego wyśpiewałem hymn pochwalny, skosztowawszy go przy śniadaniu. Z niezwykłym smutkiem wspominam owe szczęśliwe (!) dni, które przeszły już w wieczność, i myślę o nędzy i cierpieniach, jakie przypadły w udziale tym, którzy okazali nam tak wiele uprzejmości i gościnności”. (Str. 160 ros. wyd.).

Buchanan'a nie obchodzą cierpienia żołnierzy w okopach i głodnych matek w kolejkach, lecz myśli o cierpieniach byłych posiadaczy najśliczniejszych krymskich willi, srebrnych półmisków i burgunda. Przy czytaniu tych beztrasko-bezwstydných zdań, przychodzi na myśl, że nie na próżno jednak była rewolucja październikowa! Nie napróżno zmiotła nie tylko Romanowych, ale i Buchanan'a z Kierenskim.

Kiedy po raz pierwszy po drodze do Brześcia Litewskiego przejeżdżałem przez linię frontu, nasi zwolennicy w okopach nie mogli już przygotować choćby najdrobniejszej manifestacji, protestującej przeciw potwornym żądaniom Niemiec: okopy były prawie puste. Po eksperymentach Buchanan'a-Kierenskiego, nikt nie ośmielał się nawet słowem wspomnieć o dalszym prowadzeniu wojny. Pokój, pokój za wszelką cenę!... Później, podczas jednej z

podróży z Brześcia Litewskiego do Moskwy, namawiałem pewnego przedstawiciela frontu we Wszechrosyjskim Centralnym Komitecie Wykonawczym, aby poparł naszą delegację energicznym przemówieniem. – To niemożliwe, – odpowiedział mi, – zupełnie niemożliwe, nie możemy wrócić do okopów, nie zrozumieją nas, powiedzą, że ich w dalszym ciągu oszukujemy, jak Kierenski...

Niemożliwość dalszego prowadzenia wojny była rzeczą oczywistą. Pod tym względem między mną i Leninem nie było nawet cienia różnicy zdań. Z jednakim zdumieniem patrzyliśmy na Bucharina i innych apostołów „wojny rewolucyjnej”.

Istniało jednak jeszcze jedno zagadnienie, niemniej ważne: jak daleko może się posunąć rząd Hohenzollerna w walce przeciwko nam? W liście do jednego ze swych przyjaciół, hrabia Czernin pisał w owym czasie, że gdyby starczyło sił, nie należałoby prowadzić z bolszewikami rokowań, lecz pchnąć wojsko na Petersburg i zaprowadzić tam porządek. Złej woli w tym kierunku nie brakowało. Ale czy starczy sił? Czy Hohenzollern potrafi pchnąć swych żołnierzy przeciw rewolucji, pragnącej pokoju? Jak podziałała na armię niemiecką rewolucja lutowa, następnie zaś październikowa? Kiedy ujawni się rezultat tego działania? Na te pytania nie było jeszcze odpowiedzi. Należało postarać się o znalezienie jej w przebiegu rokowań. A na to koniecznie trzeba było przewlekać rokowania jak najdłużej. Trzeba było dać czas robotnikom europejskim na należyte zrozumienie samego faktu rewolucji sowieckiej, szczególnie zaś jej polityki pokojowej. Było to tem ważniejsze, że prasa krajów Entente'y wraz z rosyjską prasą ugodową i burżuazyjną zgóry przedstawiała rokowania pokojowe, jako komedię ze zręcznie podzielonymi rolami. Nawet w Niemczech, wśród ówczesnej opozycji socjal-demokratycznej, któraby nie była od tego, aby zarazić nas swą niemocą, mówiono, że bolszewicy znajdują się w porozumieniu z rządem niemieckim. Tem prawdopodobniejszą wersją ta musiała się wydawać we Francji i Anglii. Było oczywiste, że jeśli burżuazji i socjal-demokracji Entente'y uda się obudzić w masach robotniczych nieufność do nas, to w następstwie fakt ten niezwykle ułatwi wojenną interwencję Entente'y przeciwko nam. Dlatego też uważałem, że w razie gdyby podpisanie odrębnego pokoju okazało się dla nas nieuniknione, to koniecznie, za wszelką cenę należy przedtem dać robotnikom Europy jaskrawy i niedwuznaczny dowód śmiertelnej nienawiści, panującej między nami i rządzącymi Niemcami. Właśnie pod wpływem tych rozważań powziętem w Brześciu Litewskim koncepcję demonstracji politycznej, która wyraziła się w formule: wojnę kończymy, armję demobilizujemy, ale pokoju nie podpisujemy. Jeżeli niemiecki imperjalizm nie będzie mógł pchnąć wojsk przeciwko nam, – rozumowałem, – będzie się to równało olbrzymiemu zwycięstwu o nieprzewidzianych wprost następstwach. – Jeżeli zaś okaże się, że Hohenzollern może wymierzyć nam cios, to zawsze jeszcze zdążymy skapitulować dość wcześnie. Naradziłem się z pozostałymi członkami delegacji, między innymi z Kamieniem, spotkałem się z aprobatą z ich strony i napisałem do Lenina. Odpowiedział mi: jak przyjedziecie do Moskwy, to porozmawiamy.

– Wcale nie mogłoby być lepiej, – odpowiedział Lenin na moje wywody, – niż gdyby okazało się, że generał Hoffmann nie jest w możności ruszyć wojsk przeciwko nam. Słaba jest jednak na to nadzieja. Znajdzie w tym celu specjalnie wybrane pułki bawarskich zamożnych chłopów. A czyż tak wiele sił

trzeba przeciwko nam? Sami mówicie, że okopy są puste. A jeśli Niemcy wznowią działania wojenne?

– Wówczas zmuszeni będziemy do podpisania pokoju. Ale wówczas wszyscy rozumieją, że nie mieliśmy innego wyjścia. To jedno tylko wystarczy do zadania śmiertelnego ciosu legendzie o naszym zakulisowym porozumieniu z Hohenzollernem.

– Bezwzględnie, to ma swoje plusy. Jednak jest zbyt ryzykowne. Gdybyśmy mieli zginąć dla zwycięstwa niemieckiej rewolucji, byłibyśmy obowiązani to uczynić. Niemiecka rewolucja jest bez porównania ważniejsza od naszej. Ale kiedy ona nastąpi? Niewiadome. A więc narazie niema na świecie nic ważniejszego, ponad naszą rewolucję. Należy ją zabezpieczyć za wszelką cenę.

Trudności zagadnienia, jako takiego, zaostrzały jeszcze wyjątkowe komplikacje o charakterze wewnątrz-partyjnym. Partja, a przynajmniej jej koła kierownicze, zdecydowanie negatywnie ustosunkowały się do sprawy podpisania warunków brzeskich. Drukowane w naszych gazetach sprawozdania stenograficzne z rokowań brzeskich podtrzymywały i wzmagaly ten nastrój. Najjaskrawiej wyraził się on wśród ugrupowań lewicy komunistycznej, która rzuciła hasło wojny rewolucyjnej.

Walka w partji zaostrzała się z dnia na dzień. Wbrew późniejszej legendzie, walka ta toczyła się nie między mną i Leninem, lecz między Leninem i olbrzymią większością kierowniczych organizacyj partji. W zasadniczych zagadnieniach spornych: czy możemy teraz prowadzić wojnę rewolucyjną? Czy wogóle dopuszczalne jest, aby władza rewolucyjna wchodziła w porozumienie z imperjalistami? – byłem całkowicie po stronie Lenina, odpowiadając z nim razem na pierwsze pytanie przecząco, na drugie zaś – twierdząco.

Pierwsza obszerniejsza dyskusja w sprawie różnicy poglądów miała miejsce 21 stycznia na zebraniu czynnych działaczy partji. Ujawniły się trzy punkty widzenia. Lenin obstawał za tem, aby starać się w dalszym ciągu przewlekać rokowania, ale, aby w razie ultimatum, bezzwłocznie kapitulować. Ja uważałem za konieczne doprowadzenie do zerwania rokowań, nawet w razie niebezpieczeństwa nowej ofensywy niemieckiej, aby do kapitulacji – o ile wogóle będzie ona potrzebna – zmusiło nas dopiero bezpośrednio niechybnie grożące użycie siły. Bucharin żądał wojny, celem rozszerzenia areny rewolucji. Lenin na zebraniu 21-go stycznia toczył zaciętą walkę przeciwko stronnikom wojny rewolucyjnej, ograniczywszy do kilku słów krytykę mojej koncepcji. Stronnicy wojny rewolucyjnej zebrali 32 głosy, Lenin 15, ja zaś 16. Wynik głosowania jeszcze nie dość jaskrawo charakteryzuje panujący w partji nastrój. Może nie w masach, ale w wyższych warstwach partji „lewe skrzydło” było na pewno jeszcze silniejsze, niż na tem zebraniu. To narazie zapewniło zwycięstwo mojej tezie. Stronnicy Bucharina dopatrywali się w niej pierwszego kroku w ich stronę. Lenin zaś, przeciwnie, całkiem słusznie uważał, że odwleczenie ostatecznej decyzji zapewni zwycięstwo jego punktowi widzenia. Ujawnienie istotnej sytuacji potrzebne było w tym okresie naszej własnej partji niemniej, niż robotnikom Zachodniej Europy. We wszystkich kierowniczych instytucjach partji i państwa Lenin miał mniejszość. Na wezwanie Rady Komisarzy Ludowych, aby sowiety lokalne wypowiedziały swój pogląd w sprawie wojny i pokoju, odpowiedziało do 5 marca ponad dwieście sowietów. Z pośród nich tylko dwa znaczniejsze – Piotrogrodzki i Sebastopolski (z zastrzeżeniami) – wypowiedziały się za pokojem. Szereg zaś

wielkich centrów robotniczych: Moskwa, Ekaterynburg, Charków, Ekaterynosław, Iwanowo-Wozniesiensk, Kronsztadt i t.d. olbrzymią większością głosów wypowiedział się za zerwaniem rokowań. Podobny był też nastrój w naszych organizacjach partyjnych. O lewych eserowcach niema co mówić. Leninowski punkt widzenia w tym okresie przeprowadzić można by jedynie drogą rozłamu i przewrotu państwowego, nie inaczej. Z drugiej strony każdy następny dzień powinien był zwiększać liczbę stronników Lenina. W tych warunkach formuła: „ani wojna, ani pokój” obiektywnie była mostem ku pozycji Lenina. Po tym moście przeszła większość partji, a przynajmniej – jej kierowniczych elementów.

– No, dobrze, przypuśćmy, że odmówiliśmy podpisania pokoju, potem zaś Niemcy rozpoczynają ofensywę. Co wówczas robicie? – dopytywał się Lenin.

– Podpisujemy pokój pod bagnietami. Obraz będzie jasny dla całego świata.

– A czy wówczas nie poprzecie hasła wojny rewolucyjnej?

– W żadnym wypadku.

– Przy takim postawieniu sprawy może próba nie będzie tak bardzo ryzykowna. Ryzykujemy utratę Estonji, albo Łotwy. – I Lenin dodawał z przebiegłym uśmiechem, – żeby mieć święty spokój z Trockim warto utracić nawet Łotwę i Estonję. – Zdanie to przez kilka dni powtarzał przy każdej okazji.

Na decydującym posiedzeniu Centralnego Komitetu w dniu 22 stycznia przeszedł mój wniosek: przewlekać rokowania, w razie niemieckiego ultimatum, ogłosić wojnę za skończoną, lecz nie podpisywać pokoju, następnie zaś działać zależnie od okoliczności. 25 stycznia późnym wieczorem odbyło się wspólne posiedzenie Centralnych Komitetów bolszewików i, ówczesnych naszych sojuszników, lewych eserowców, na którym olbrzymią większością głosów przeszła powyższa formuła. Postanowiono, aby uchwałę obu Komitetów Centralnych uznać, jak to się wówczas nieraz czyniło, za uchwałę Rady Komisarzy Ludowych.

31 stycznia komunikowałem z Brześcia przewodem bezpośrednim Leninowi do Smolnego: „Wśród niezliczonej ilości pogłosek i wiadomości, przeniknął do prasy niemieckiej bezsensowny komunikat o tem, że jakoby zamierzamy demonstracyjnie nie podpisać traktatu pokojowego, że jakoby z tego powodu istnieją nieporozumienia wśród bolszewików i t.p. i t.p. Mam tu na myśli depeszę ze Sztokholmu, powołującą się na „Politiken”. Jeśli się nie mylę „Politiken” jest organem Höglunda. O ile istotnie taki komunikat wydrukowano w tej gazecie, czy nie możnaby się od niego dowiedzieć, dlaczego jego redakcja podaje podobnie potworne głupstwa? Wątpię, czy Niemcy przywiązują wielkie znaczenie do wszelakich plotek, których pełno jest w prasie burżuazyjnej. W danym wypadku jednak chodzi o gazetę lewicową, jeden z redaktorów której znajduje się w Piotrogradzie. To nadaje pewną autorytatywność komunikatowi i jedynie może wzbudzić podejrzenie w umysłach naszych kontrahentów.

„Prasa austriacko-niemiecka pełna jest komunikatów o okropnościach, jakie się dzieją w Piotrogradzie, Moskwie i całej Rosji, o setkach i tysiącach zabitych, o grzechocie karabinów maszynowych i t. p. i t. p. Rzeczą bezwzględnie konieczną jest polecenie człowiekowi, mającemu głowę na karku, podawania codziennie przez agencję Piotrogradzką i radjo komunikatów o sytuacji w kraju. Dobrzeby było, gdyby pracę tę wziął na siebie tow. Zinowjew. Ma to olbrzymie znaczenie. Tego rodzaju komunikaty należy

przedewszystkiem posyłać Worowskiemu i Litwinowowi. Można to robić za pośrednictwem Cziczierina.

Odbyło się tylko jedno czysto formalne posiedzenie. Niemcy przeciągają rokowania, zapewne ze względu na kryzys wewnętrzny. Prasa niemiecka zaczęła trąbić, że my jakoby wogóle nie pragniemy pokoju, a idzie nam jedynie o przeniesienie rewolucji do innych krajów. Te osły nie mogą zrozumieć, że jak najszybsze zawarcie pokoju, ma olbrzymie znaczenie właśnie ze względu na dalszy rozwój rewolucji europejskiej.

Czy poczyniono już kroki, zmierzające do wydalenia poselstwa rumuńskiego? Zdaje mi się, że król rumuński przebywa w Austrii. Według informacji pewnej gazety niemieckiej, w Moskwie znajduje się na przechowaniu nie skarb narodowy rumuński, lecz rezerwa kruszcowa rumuńskiego banku narodowego. Oficjalnie Niemcy, rozumie się, sympatyzują całkowicie z Rumunją. Wasz Trocki”.

Komunikat powyższy wymaga wyjaśnień. Według, oficjalnej opinii, rozmowy prowadzone za pomocą aparatu Hughes’a są zabezpieczone przed podsłuchem i przejęciem. Istniały jednak dostateczne podstawy, aby mniemać, że Niemcy w Brześciu odczytują naszą korespondencję, prowadzoną za pomocą przewodu bezpośredniego: mieliśmy dość wygórowaną opinię o ich technice, aby tak właśnie sądzić. Szyfrowanie całej korespondencji było niepodobieństwem zresztą na szyfrze też nie można było zbyt polegać. Gazeta Höglunda „Politiken” wyświadczała nam niedźwiedzią przysługę swymi przepotrzebnymi informacjami, pochodzącymi z pierwszej ręki. Z tych właśnie względów cały komunikat został napisany raczej dla wprowadzenia w błąd Niemców, aniżeli dla uprzedzenia Lenina, że o poufnej naszej decyzji już wygadano się zagranicą. Bardzo nieuprzejme słowo „osły” zostało użyte w zastosowaniu do gazetiarzy poto, aby tekstowi nadać jak największe pozory „naturalności”. Trudno mi powiedzieć, czy i w jakim stopniu fortel ten wprowadził w błąd Kühlmanna. W każdym razie oświadczenie moje z dnia 10 lutego było dla przeciwników czemś zupełnie nieoczekiwanem. 11-go lutego Czernin zanotował w swym pamiętniku: „Trocki odmawia podpisu. Wojna skończyła się, ale niema pokoju” (str. 337).

Trudno dać temu wiare, ale szkoła Stalina-Zinowjewa usiłowała jednak w roku 1924 dowieść, że w Brześciu działałem *wbrew* decyzji partji i rządu. Niefortunni fałszerze historii nie chcą sobie nawet zadać fatygi, aby zajrzeć chociażby do starych protokołów, lub rzucić okiem na swe dawne oświadczenia. Zinowjew, zabierając głos w Petersburskim sowiecie w dniu 11-ym lutego, t. j. nazajutrz po złożeniu przeze mnie deklaracji w Brześciu, oświadczył, że „delegacja nasza znalazła jedyny słuszny punkt wyjścia z sytuacji, która się wytworzyła”. Również Zinowjew zgłosił rezolucję, aprobującą odmowę podpisania traktatu pokoju, którą to rezolucję przyjęło większością głosów przeciw jednemu, przyczem mieńszewicy i eserowcy wstrzymali się od głosowania.

Dnia 14-go lutego Swierdłow w imieniu frakcji bolszewików zgłosił na posiedzeniu Wszechrosyjskiego Komitetu Wykonawczego, w związku z mojem sprawozdaniem, rezolucję, która zaczynała się od słów: „Po wysłuchaniu i rozpatrzeniu sprawozdania delegacji do rokowań pokojowych, Wszechrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy aprobuje całkowicie postępowanie swych przedstawicieli w Brześciu”. Nie było wprost lokalnej organizacji, czy to partyjnej, czy też sowieckiej, któraby w czasie od 11-go do

15-go lutego nie uchwaliła rezolucji, aprobowanej stanowisko delegacji sowieckiej. W marcu roku 1918 Zinowjew oświadczył na zjeździe partyjnym, co następuje: – Trocki ma rację, utrzymując, że działał w myśl uchwały prawomocnej większości Centralnego Komitetu. Nikt tego nie kwestionował... – Lenin wreszcie opowiadał również na tym samym zjeździe, jak to „Centralny Komitet... przyjął wniosek, aby nie podpisywać pokoju”. Wszystko to razem wzięte nie przeszkodziło ustaleniu przez Międzynarodówkę Komunistyczną nowego dogmatu, w myśl którego odmowa złożenia podpisu pod traktatem pokoju w Brześciu miała być samowolnym czynem Trockiego.

Po strejkach październikowych w Niemczech i w Austrii, zagadnienie, czy rząd niemiecki zdecyduje się na rozpoczęcie ofensywy, czy też jej zaniecha, nie było wcale tak oczywiste ani dla nas, ani też dla rządu niemieckiego, jak je teraz ex post przedstawiają liczni mędrkowie. 10-go lutego delegacje Niemiec i Austro-Węgier w Brześciu przysły do wniosku, że „należy uznać stan, zaproponowany w oświadczeniu Trockiego”. Sprzeciwiał się temu tylko generał Hoffmann. Czernin opowiada, jak to nazajutrz na ostatniem posiedzeniu w Brześciu, Kühlmann z całą stanowczością mówił o konieczności uznania pokoju de facto. Odgłosy tych nastrojów dotarty niezwłocznie do nas. Cata nasza delegacja wróciła z Brześcia do Moskwy pod wrażeniem, że Niemcy nie rozpoczną ofensywy. Lenin był bardzo zadowolony z osiągniętych wyników.

– Czy oni aby nas nie oszukają? – zadawał jednak pytanie.

Rozkładaliśmy ręce. Chyba nie zanoszą się na to. – No i cóż, – powiedział Lenin. – Tem lepiej więc, bo i pozory zostały zachowane i wyszliśmy ze stanu wojny.

Na dwa dni jednak przed upływem tygodniowego terminu, otrzymaliśmy od generała Samożło, który został w Brześciu, doniesienie telegraficzne, że Niemcy, w myśl oświadczenia Hoffmanna, uważają, iż od godziny 12 dnia 18-go lutego znajdują się w stanie wojny z nami, wobec czego polecieli mu (t. j. generałowi Samożło), aby opuścił Brześć Litewski. Pierwszą osobą, która odczytała tę depeszę, był Lenin. W gabinecie jego toczyła się w mojej obecności rozmowa z lewymi eserowcami. Lenin, nic nie mówiąc, podał mi depeszę. Ze spojrzenia jego wyczułem natychmiast, że stało się coś złego. Lenin pospiesznie zakończył rozmowę z eserowcami, aby móc bez nich omówić sytuację, jaka się wytworzyła.

– A więc jednak nas oszukali. Zyskali 5 dni... Ta bestja wszystko wykorzysta. Nie pozostaje więc teraz nic innego, tylko podpisać dawne warunki, o ile tylko Niemcy zgodzą się na pozostawienie ich w mocy.

Domagałem się po dawnemu, żeby nie przeszkadzać Hoffmannowi w rozpoczęciu ofensywy, aby robotnicy niemieccy i państw Entente'y dowiedzieli się o niej, nie jako o pogroźce, lecz jako o fakcie dokonanym.

– Nie, – oponował Lenin. – Nie wolno nam teraz tracić ani jednej godziny. Egzamin skończony. Hoffmann chce i może prowadzić wojnę. Nie trzeba odkładać. Ten zwierz szybko skacze.

W marcu Lenin powiedział na zjeździe partji, co następuje: – Umówiliśmy się (to jest Lenin i ja), że będziemy trzymać się aż do chwili wystosowania przez Niemców ultimatum, po ultimatum – ustępujemy. – Opowiedziałem już wyżej o tej umowie. Lenin tylko dlatego zgodził się nie występować otwarcie wobec partji przeciwko mojej formule, że obiecałem mu, iż nie będę popierał zwolenników wojny rewolucyjnej. Oficjalni przedstawiciele tej grupy, Urickij,

Radek i, zdaje się, Osinskij, zgłaszali się do mnie, proponując mi „wspólny front”. Rozwiałem wszelkie ich wątpliwości, upewniając, że nasze stanowiska nie mają ze sobą nic wspólnego. Gdy dowództwo niemieckie uprzedziło nas o zakończeniu zawieszenia broni, Lenin przypomniał mi o naszej umowie. Odpowiedziałem, że nie chodziło mi o ultimatum jako takie, lecz o rzeczywistą ofensywę niemiecką, wyłączającą wszelkie wątpliwości co do charakteru wzajemnych naszych stosunków z Niemcami. W dniu 17-ym lutego Lenin zadał na posiedzeniu Centralnego Komitetu następujące przedwstępne pytanie: „Czy zawrzemy pokój, gdy ofensywa niemiecka stanie się faktem dokonanym, a w Niemczech nie wybuchnie ruch rewolucyjny?” Na to podstawowe pytanie Bucharin i jego zwolennicy odpowiedzieli wstrzymaniem się od głosowania, Krestinskij przyłączył się do nich. Joffe głosował przecząco, ja zaś wraz z Leninem – twierdząco. Nazajutrz zrana głosowałem przeciwko proponowanemu przez Lenina natychmiastowemu wysłaniu depeszy, zawiadamiającej, że gotowi jesteśmy zawrzeć pokój. W ciągu dnia nadeszły jednak relacje telegraficzne o rozpoczęciu przez Niemców ofensywy, o zabranii naszego mienia wojskowego, o ruchu niemieckich sił zbrojnych w kierunku Dynaburga. Wieczorem oddałem mój głos za depeszą Lenina: nie ulegało już teraz żadnej wątpliwości, że o ofensywie niemieckiej będzie wiedział cały świat.

21-go lutego nadeszły nowe warunki niemieckie, jakgdyby umyślnie obliczone na to, aby uniemożliwić zawarcie pokoju. Warunki te, jak wiadomo, zmienione zostały na jeszcze gorsze, gdy delegacja nasza przyjechała do Brześcia. Odnieśliśmy wszyscy, a poniekąd i Lenin, wrażenie, że Niemcy porozumieli się już z Entente’ą w sprawie zniszczenia Sowieców i że na gruzach rewolucji rosyjskiej przygotowuje się zawarcie pokoju na froncie zachodnim. Gdyby sprawy tak się miały w istocie, to żadne ustępstwa z naszej strony nicby nie pomogły. Bieg zdarzeń na Ukrainie i w Finlandji znacznie przechylał szalę w kierunku wojny. Każda godzina przynosiła coś złego. Nadeszła wieść o wylądowaniu wojsk niemieckich w Finlandji i o rozpoczęciu pogromu robotników fińskich. Spotkałem Lenina w korytarzu w pobliżu jego gabinetu. Był niesłychanie zdenerwowany. Nie widziałem go nigdy w takim stanie ani przedtem, ani potem.

– Tak, – powiedział, – trzeba będzie się bić, choć niema czem. Zdaje się, że niema już innego wyjścia.

Gdym jednak przyszedł do jego gabinetu, po upływie jakichś 10-15 minut, powiedział:

– Nie, nie wolno nam zmieniać polityki. Wystąpienie nasze nie uratowałoby rewolucyjnej Finlandji, a nas zgubiłoby na pewno. Robotnikom fińskim udzielimy wszelkimi sposobami pomocy, jednak tylko takiej, któraby się nie sprzeciwiała naszym tendencjom pokojowym. Nie wiem, czy zdoła nas to teraz uratować. Ale jest to w każdym razie jedyna droga, na której można jeszcze szukać ratunku.

Z wielkim sceptycyzmem traktowałem możliwość zawarcia pokoju, nawet za cenę całkowitej kapitulacji. Ale Lenin postanowił spróbować iść do końca drogą kapitulacji. Ponieważ jednak nie posiadał większości w Centralnym Komitecie i decyzja zależała od mojego głosu, wstrzymałem się więc od głosowania, aby zapewnić Leninowi większość jednego głosu. W ten to właśnie sposób motywowałem moje powstrzymanie się od głosowania. Gdyby kapitulacja nie dała nam pokoju, rozumowałem, wtedy wyrównamy front partji

w narzuconej nam przez wrogów obronie rewolucji z orężem w ręku.

– Mam wrażenie, że byłoby celowe z punktu widzenia politycznego, abym się podał do dymisji jako komisarz ludowy spraw zagranicznych – powiedziałem Leninowi w prywatnej rozmowie.

– Poco? Mam nadzieję, że nie będziemy wprowadzać u siebie podobnych parlamentarnych obyczajów.

– Ale dymisja moja stanowić będzie dla Niemców oznakę radykalnej zmiany polityki i wzmocni ich wiarę w to, że tym razem jesteśmy naprawdę gotowi podpisać traktat pokoju.

– Być może, – powiedział Lenin w zamyśleniu. – To jest poważny argument polityczny.

Dnia 22-go lutego zakomunikowałem na posiedzeniu Centralnego Komitetu, że francuska misja wojskowa zwróciła się do mnie, proponując nam w imieniu Francji i Anglii pomoc w wojnie z Niemcami. Wypowiedziałem się za przyjęciem tej propozycji pod tym, rozumie się, warunkiem, że zachowamy całkowitą niezależność w naszej polityce wewnętrznej. Bucharin utrzymywał, że zawieranie jakichkolwiek porozumień z imperjalistami jest rzeczą zupełnie niedopuszczalną. Lenin poparł mnie w sposób zupełnie zdecydowany i Centralny Komitet większością sześciu głosów przeciw pięciu uchwalił mój wniosek. Przypominam sobie, że Lenin sformułował decyzję w ten sposób: „upoważnić towarzysza Trockiego do przyjęcia pomocy zbójów imperjalizmu francuskiego, przeciwko zbójom niemieckim”. Lenin zawsze lubił formułować swe myśli i decyzje w sposób, nie pozostawiający żadnych wątpliwości.

Gdyśmy wyszli z posiedzenia, Bucharin dopędził mnie w długim korytarzu Smolnego i zarzucił mi ręce na szyję, wybuchając płaczem. – Co my robimy? – powiedział. – Partja staje się kupą gnoju. – Bucharin wogóle łatwo się roztkliwia i lubuje się w zwrotach naturalistycznych. Ale tym razem sytuacja rzeczywiście była tragiczna. Rewolucja znajdowała się pomiędzy młotem a kowadłem.

W dniu 3-im marca delegacja nasza podpisała traktat pokoju, nie czytając go nawet. Uprzedzając niejedną ideę Clemenceau, pokój brzeski przypominał stryczek kata. W dniu 22-im marca parlament Rzeszy ratyfikował traktat pokoju. Niemieccy socjal-demokraci zgóry zaaprobowali przyszłe zasady wersalskie. Niezależni głosowali przeciwko ratyfikacji: zaczynali dopiero zakreślać ów jałowy łuk, który doprowadził ich wreszcie do punktu wyjścia.

Oglądając się za siebie na drogę, którąśmy przeszli, sformułowałem na siódmym zjeździe partji (marzec 1918 roku) wyraźnie i dokładnie me stanowisko. – Gdybyśmy chcieli naprawdę uzyskać najkorzystniejszy pokój – powiedziałem, – powinniśmy byli zgodzić się na jego zawarcie już w listopadzie. Nikt jednak (prócz Zinowjewa) nie wypowiedział się za tem: wszyscy uważaliśmy, że potrzebna jest agitacja, że dążyć należy do zrewolucjonizowania niemieckiej, austro-węgierskiej i całej europejskiej klasy robotniczej. Ale wszystkie nasze dotychczasowe pertraktacje z Niemcami były o tyle tylko czynnikiem rewolucjonizującym, o ile brano je za dobrą monetę. Powtarzałem już na posiedzeniu frakcji III-go Wszechrosyjskiego Zjazdu Sowietów powiedzenie byłego austro-węgierskiego ministra Gratza, że Niemcy czekają na lada pretekst, aby wystosować do nas ultimatum. Sądziłem, że my sami dążymy za wszelką cenę do ultimatum... że gotowi jesteśmy zgóry podpisać *wszystko*, że gramy tylko rewolucyjną komedję. W takich warunkach, w razie niepodpisania traktatu, groziła nam utrata Rewla i innych

miejsowości, w razie zaś przedwczesnego złożenia podpisu – utrata sympatii wszechświatowego proletariatu, bądź też znacznej jego części. Należałem do liczby tych, którzy sądzili, że prawdopodobnie Niemcy nie rozpoczną ofensywy, a gdyby nawet mieli ją zacząć, to że zawsze jeszcze zdążymy zawrzeć pokój, chociażby na gorszych warunkach. Z czasem – powiedziałem – wszyscy przekonają się, że nie mamy innego wyjścia. –

Rzecz godna zastanowienia, że w tym samym czasie Liebknecht pisał z więzienia: „Nie należy sądzić, aby obecne wyjście z sytuacji miało być mniej pomyślne dla dalszego rozwoju sprawy od kapitulacji w Brześciu w początkach lutego. Wręcz przeciwnie. Podobna kapitulacja rzuciłaby najgorsze światło na cały poprzedni opór i końcowemu przymusowi nadałaby charakter „vis haud ingrata”. Cynizm, wołający o pomstę do nieba, zwierzęce okrucieństwo końcowego wystąpienia niemieckiego *rozprasza ją wszelkie podejrzenia*”, (str. 51).

Liebknecht zyskał nadzwyczajnie podczas wojny, kiedy wreszcie zrozumiał, jaka przepaść dzieli go od uczciwego braku charakteru Haasego. Nie trzeba dodawać, że Liebknecht był rewolucjonistą nieustraszonego męstwa. Ale na stratega wyrabiał się dopiero. Ujawniało się to zarówno w jego osobistych losach, jak i w sprawach polityki rewolucyjnej. Względy bezpieczeństwa osobistego były mu zupełnie obce. Po uwięzieniu Liebknechta, liczni jego przyjaciele kręcili głowami na jego pełen zaparcia się „brak rozsądku”. Lenin, przeciwnie, zawsze, i to w znacznym stopniu troszczył się o całość i nietykalność kierownictwa. Był szefem sztabu generalnego i nie zapominał nigdy, że podczas wojny będzie musiał objąć naczelne dowództwo. Liebknecht był takim wodzem, który osobiście prowadzi swe hufce do walki. Dlatego też, między innymi, tak trudno mu było zrozumieć naszą brzeską strategię. Początkowo chciał, abyśmy rzucili wyzwanie losowi i wyszli na jego spotkanie. Potępiał wówczas nieraz „politykę Lenina-Trockiego”, nie czyniąc, i zupełnie słusznie, żadnej różnicy między linią postępowania Lenina i moją w tej kardynalnej sprawie. Później Liebknecht począł inaczej zapatrywać się na politykę Brześcia. Już w początkach maja pisał: „Czego przedewszystkiem i najbardziej potrzeba rosyjskim Sowiecom, to nie demonstracyj i dekoracyj, lecz pierwotnej twardej siły. Wymaga to w każdym razie, oprócz energii, ponadto czasu i rozumu, – rozumu i poto również, aby pozyskać czas, niezbędny nawet dla najwyższej i najrozumiejszej energii”, (str. 102). Jest to całkowite uznanie słuszności brzeskiej polityki Lenina, która miała na celu jedynie wygranie na czasie.

Prawda toruje sobie drogę. Ale i głupstwo jest również żywotne. Amerykański profesor Fisher, w swej dużej książce, poświęconej pierwszym latom Rosji Sowieckiej (*The Famine in Soviet Russia*), przypisuje mi pogląd, że Sowiety nigdy nie będą prowadziły wojny i zawierać pokoju z państwami burżuazyjnymi. Tę bezsensowną formułę Fisher, podobnie jak wielu innych, zapożyczył od Zinowjewa i innych epigonów, dodając jeszcze coś niecoś przez brak zrozumienia. Spóźnieni moi krytycy dawno już wyrwali moją brzeską propozycję z właściwych jej warunków czasu i miejsca, podnosząc ją do poziomu jakiejś uniwersalnej formuły. W ten sposób łatwiej było doprowadzić ją ad absurdum. Nie zauważyli jednak, że stan „ani pokoju, ani wojny”, ściślej: ani *traktatu* pokoju, ani wojny, sam przez się nie stanowi nic nienaturalnego. Tego rodzaju stosunki istnieją obecnie pomiędzy nami a największymi państwami świata: Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią. Stosunki takie

powstały coprawda wbrew naszym intencjom, nie zmienia to jednak istoty rzeczy. Jest ponadto państwo, z którym z własnej inicjatywy ustaliliśmy stosunki „ani pokoju, ani wojny”. Państwem tem jest Rumunja. Przypisując mi ową uniwersalną formułę, która wydaje im się notorycznym nonsensem, moi krytycy w zadziwiający sposób nie dostrzegają, że odtwarzają tylko „absurdalne” określenie rzeczywistego stosunku Związku Sowieckiego do całego szeregu państw.

Jak zapatrywał się sam Lenin na okres brzeski, gdyśmy mieli go już za sobą? Lenin uważał, że wogóle nie warto wspominać o czysto epizodycznym nieporozumieniu ze mną. Mówił natomiast nieraz o „ogromnym znaczeniu agitacyjnym rokowań w Brześciu” (patrz np. przemówienie w dniu 17 maja 1918 r.). Po upływie roku od Brześcia, Lenin nadmienił na zjeździe partji: – Wskutek zupełnego oderwania od Europy Zachodniej i wszystkich innych krajów, nie rozporządzaliśmy żadnymi obiektywnymi materiałami, na podstawie których moglibyśmy wyrobić sobie opinię, jak szybko może nastąpić i w jakiej formie, rewolucja proletarjacka na zachodzie. Ta skomplikowana sytuacja wywołała w partji liczne różnice zdań w sprawie pokoju brzeskiego – (przemówienie w dniu 18 marca 1919 roku).

Należy jeszcze ustalić, jak zachowywali się podówczas moi późniejsi krytycy i oskarżyciele. Bucharin przez cały prawie rok toczył zaciętą walkę z Leninem (i ze mną), grożąc rozłamek w partji. Dotrzymywali mu kroku Kujbyszew, Jarosławskij, Bubnow i cały szereg innych dzisiejszych filarów stalinizmu. Zinowjew, przeciwnie, domagał się natychmiastowego podpisania pokoju, rezygnując z brzeskiej trybuny agitacyjnej. Byliśmy z Leninem zupełnie zgodni, potępiając to stanowisko. Kamieniew w Brześciu zgadzał się z moją formułą, a gdy przyjechał do Moskwy – przyłączył się do Lenina. Rykow nie był wówczas członkiem Centralnego Komitetu, nie brał więc udziału w decydujących naradach. Dzierżyński był przeciwny stanowisku Lenina, lecz podczas ostatniego głosowania przyłączył się do niego. Jakie było stanowisko Stalina? Jak zwykle, tak i tym razem nie zajął żadnego stanowiska. Wyczekiwał i kombinował. – Stary wciąż jeszcze liczy na pokój – mówił do mnie o Leninie, – ale z pokoju nic nie będzie. – Udawał się potem do Lenina i, jak sądzić należy, robił takie same uwagi pod moim adresem. Stalin nigdy nie zabierał głosu. Nikt nie interesował się zbytnio jego zdaniem. Nie ulega żadnej wątpliwości, że moją największą troskę – uczynienie naszego postępowania w sprawie pokoju jak najbardziej zrozumiałem dla proletariatu wszechświatowego, – Stalin uważał za kwestję drugorzędną. Interesował go „pokój w jednym kraju”, jak później – „socjalizm w jednym kraju”. Podczas rozstrzygającego głosowania przyłączył się do Lenina. Dopiero po upływie kilku lat, w celu walki z trockizmem, stworzył sobie coś zbliżonego do „punktu widzenia” na wydarzenia brzeskie.

Nie sądzę, żeby warto było dłużej jeszcze rozważać tę całą sprawę. I tak już udzieliłem stosunkowo zbyt wiele miejsca brzeskim kontrowersjom. Uważałem jednak za konieczne przedstawić przynajmniej jeden ze spornych epizodów w całej rozciągłości, aby ujawnić jak te rzeczy wyglądały naprawdę i jak je potem usiłowano odtwarzać. Jednym z ubocznych moich zadań było przytem osadzenie epigonów na właściwych miejscach. Co się tyczy Lenina, to żaden poważny człowiek nie będzie mnie chyba podejrzewał, że kierowałem się w stosunku do niego uczuciem, które Niemcy nazywają „Rechthaberei”. Rolę, jaką odegrał Lenin podczas dni brzeskich, zdążyłem ocenić urbi et orbi

znacznie wcześniej od innych. 3-go października 1918 roku powiedziałem na nadzwyczajnym wspólnym zgromadzeniu kierowniczych organów władzy sowieckiej: – Poczytuję sobie za obowiązek oświadczyć na tem autorytatywnym zgromadzeniu, że wtedy, gdy wielu z nas, i ja w ich liczbie, miało wątpliwość, czy należy, czy godzi się podpisać pokój brzeski, jeden tylko tow. Lenin z niesłychaną stanowczością i niezrównaną przenikliwością utrzymywał wbrew licznym oponentom, że musimy przejść przez to, aby dociągnąć do rewolucji wszechświatowego proletariatu. Dziś musimy przyznać, że to nie my mieliśmy wtedy słuszność.

Nie czekałem na spóźnione objawienia ze strony epigonów, aby przyznać, że genialna odwaga polityczna Lenina uratowała w czasach Brześcia dyktaturę proletariatu. W wyżej przytoczonych słowach brałem na siebie więcej odpowiedzialności za biedy innych, niżby w istocie należało. Uczyniłem to, aby służyć innym za przykład. Stenogram notuje w tem miejscu „długotrwałe owacje”. Partja chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że pojmuję i potrafi ocenić mój, pozbawiony wszelkiej małostkowości, czy zazdrości, stosunek do Lenina. Zbyt dobrze zdawałem sobie sprawę, czem był Lenin dla rewolucji, dla historii i – dla mnie osobiście. Był moim nauczycielem. Nie znaczy to wcale, abym miał powtarzać za nim z pewnem opóźnieniem jego słowa i jego gesty. Ale uczyłem się od niego, jak należy dochodzić samodzielnie do owych decyzyj, do których on dochodził.

ROZDZIAŁ XXXIII

MIESIĄC W SWIJAŹSKU

Wiosna i lato roku 1918-go były niezwykle ciężkim okresem. Teraz dopiero ujawniły się wszelkie skutki wojny. Chwilami mieliśmy wrażenie, że wszystko się rozłązi, wali w gruzy, że niema się na czym oprzeć, niema zaco uchwycić. Wyłaniało się zagadnienie: czy wyczerpanemu, zrujnowanemu, zrozpaczonemu krajowi starczy soków żywotnych do podtrzymania nowego ustroju i uratowania swej niezawisłości? Żywności nie było. Armji nie było. Koleje w zupełnej dezorganizacji. Aparat państwowy klecił się dopiero. Spisek gnieździł się wszędzie.

Niemcy zajęli na zachodzie Polskę, Litwę, Łotwę, Białą Ruś i znaczną część Wielkorusji. Psków znajdował się w rękach niemieckich. Ukraina została kolonią austro-niemiecką. Francuscy i angielscy agenci wywołali nad Wołgą w lecie 1918 roku powstanie korpusu Czecho-Słowaków, składającego się z dawnych jeńców wojennych. Dowództwo niemieckie przez swego przedstawiciela wojskowego, dało mi do zrozumienia, że w razie gdyby biali poczęli się zbliżać do Moskwy od wschodu, Niemcy, nie chcąc dopuścić do powstania nowego frontu wschodniego, będą zbliżać się do Moskwy z zachodu, od strony Orszy i Pskowa. Byliśmy między młotem i kowadłem. Anglicy i Francuzi zajęli na północy Murmańsk i Archangielsk, zagrażając Wołogdzie. W Jarosławiu wybuchło powstanie białogwardzistów, zorganizowane przez Sawinkowa na wyraźne żądanie francuskiego posła Noulens'a i angielskiego chargé d'affaires Lockhardt'a. Powstanie to miało umożliwić oddziałom północnym połączenie się przez Wołogdę i Jarosławł ze znajdującymi się nad Wołgą Czecho-Słowakami i białogwardzistami. Na Uralu gospodarowały bandy Dutowa. Na południu, nad Donem, rozgorzało powstanie, którem kierował Krasnow, będący podówczas jawnym sprzymierzeńcem Niemców. Lewi eserowcy uknuli w lipcu spisek, zabili hrabiego Mirbacha, usiłowali wywołać powstanie na froncie wschodnim. Chcieli wplątać nas w wojnę z Niemcami. Front wojny domowej stopniowo przechodził w pierścień, który miał się coraz bardziej zacieśniać dokoła Moskwy.

Po upadku Simbirsk, postanowiono, że pojedę nad Wołgę, skąd groziło nam największe niebezpieczeństwo. Zająłem się zestawieniem pociągu. Nielatwa to była wówczas sprawa. Brakło wszystkiego, a właściwie nikt nie wiedział, gdzie się co znajduje. Najprostszą pracą stawała się skomplikowaną improwizacją. Nie przypuszczałem wtedy wcale, że w pociągu tym będę musiał spędzić dwa i pół roku. Wyjechałem z Moskwy 7-go sierpnia, nie wiedząc jeszcze o tem, że w przeddzień Kazań został wzięty. Hiobowa ta wieść dotarła do mnie w drodze. Sklecone naprędce czerwone oddziały cofnęły się bez walki, odsłaniając Kazań. Część sztabu składała się ze spiskowców, część zaś, albo została zaskoczona zniemacka, albo też w rozsypce ukrywała się

przed kulami. Nikt nie wiedział, gdzie jest do wódca armji i inni jej kierownicy. Mój pociąg zatrzymał się w Swijażsku, na ostatniej większej stacji przed Kazaniem. Przez cały miesiąc ważyły się tutaj ponownie losy rewolucji. Miesiąc ten był dla mnie wielką szkołą.

Stojąca pod Swijażskiem armja, składała się z oddziałów, które cofnęły się z pod Symbirska i Kazania, albo też nadciągnęły z odsieczą z rozmaitych stron. Każdy oddział żył swoim własnym życiem. Wspólną im była jedynie gotowość do odwrotu. Przeciwnik miał zbyt wielką przewagę sprawności organizacyjnej i doświadczenia. Poszczególne kompanje białych, składające się wyłącznie z oficerów, dokazywały cudów. Prostu grunt pod nogami był ogarnięty ogólną paniką. Nowe oddziały czerwonych, które przyjeżdżały w doskonałym nastroju, wpadały natychmiast w bezwład odwrotu. Wśród chłopstwa krążyła pogłoska, że przyszedł kres na sowiety. Popi i kupcy podnieśli głowy. Żywioły rewolucyjne na wsi ukryły się. Wszystko się rozsypywało, nie było się na czem oprzeć, zdawało się, że sytuacja jest nie do poprawienia.

Tutaj, pod Kazaniem, można było na niewielkim odcinku stwierdzić, jak różnorakie są czynniki rozwoju dziejów ludzkich. Tutaj można było czerpać niezbite argumenty przeciwko tchórzliwemu fatalizmowi dziejowemu, który w każdej konkretnej sprawie, zasłania się bierną logiką praw historycznych, ignorując ich główną sprężynę: żywego i działającego człowieka. Czy w owe dni wiele brakowało do zupełnego upadku rewolucji? Terytorjum jej skurczyło się do granic dawnego księstwa moskiewskiego. Prawie zupełnie nie miała armji. Wrogowie osaczali ją ze wszystkich stron. Po Kazaniu, przyszła kolej na Niżnij. Stamtąd, bez wszelkich przeszkód, stała otworem droga do Moskwy. Tym razem losy rewolucji rozstrzygały się pod Swijażskiem. Tutaj zaś, w najkrytyczniejszych chwilach, zależały od jednego bataljonu, od jednej kompanji, od niezłomności jednego komisarza, czyli wisiwały na włosku. I tak było dzień w dzień.

A jednak uratowano rewolucję. Co się do tego przyczyniło? Bardzo niewiele: trzeba było tylko, aby czołowe warstwy mas ludowych zrozumiały, że rewolucji grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Najważniejszym warunkiem powodzenia stała się zasada: nic nie ukrywać, a przede wszystkim – nie ukrywać swej słabości, nie dyplomatyzować z masą, nazywać rzeczy po imieniu. Rewolucja była jeszcze podówczas nazbyt beztroška. Październikowe zwycięstwo przyszło z łatwością. Rewolucja nie usunęła jednak od razu tych wszystkich plag, które ją wywołały. Żywiołowy nacisk osłabł. Nieprzyjaciel zawdzięczał swój sukces temu, czego nam brakowało: organizacji wojskowej. Rewolucja uczyła się dopiero tej sztuki pod Kazaniem.

Depesze ze Swijażska dawały pokarm agitacji w całym kraju. Sowiety, partja, związki zawodowe, tworzyły nowe oddziały i wysyłały pod Kazań tysiące komunistów. Większość młodzieży partyjnej nie umiała władać bronią. Ale pragnęła zwycięstwa za wszelką cenę. A to było rzeczą najważniejszą. Młodzież ta stała się kością pacierzową wiotkiego ciała armji.

Wodzem naczelnym frontu wschodniego został mianowany pułkownik Wacetis, który dowodził przedtem dywizją strzelców łotewskich. Była to jedyna formacja, która ocalała z dawnej armji. Łotewscy robotnicy, biedni chłopci, parobcy, pałali nienawiścią do bałtyckich baronów. Tę nienawiść społeczną wyzyskał carat podczas wojny z Niemcami. Pułki łotewskie były najlepszym wojskiem w carskiej armji. Po przewrocie lutowym

z bolszewizowały się niemal zupełnie i odegrały znaczną rolę podczas rewolucji październikowej. Wacetis odznaczał się przedsiębiorczością, aktywnością i przytomnością umysłu. Wyróżnił się wybitnie podczas powstania lewych eserowców. Pod jego kierownictwem wytoczono lekkie działa przeciwko sztabowi spiskowców. Wystarczyło kilka strzałów na postrach, bez ofiar, aby buntownicy poszli w rozsypkę. Kiedy na Wschodzie zdradził nas awanturnik Murawjew, zastąpił go Wacetis. W przeciwieństwie do innych wojskowych, posiadających akademickie wykształcenie, Wacetis nie tracił głowy w chaosie rewolucyjnym, lecz rzucał się weń pełen radości życia, wzywał, zachęcał i wydawał rozkazy nawet wtedy, gdy nie było nadziei, że zostaną wykonane. Podczas gdy inni „spece” (specjaliści) obawiali się nadewszystko przekroczenia granicy przysługujących im praw, Wacetis, przeciwnie, w chwilach natchnienia wydawał dekreta, zapominając o istnieniu Rady Komisarz Ludowych i Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego. Mniej więcej po upływie roku Wacetisa oskarżono o podejrzane stosunki i zamiary, wobec czego potrzeba go było usunąć. Oskarżenie nie ujawniło jednak nic poważnego. Być może, że Wacetis czytywał sobie do poduszki życiorys Napoleona i dzielił się swymi ambitnymi myślami z kilkoma młodymi oficerami. Dziś jest profesorem akademii wojskowej...

Wacetis opuścił Kazań wieczorem dnia 6-go sierpnia, jako jeden z ostatnich, gdy biali zajmowali już budynek sztabu. Wydostał się jednak szczęśliwie i okólną drogą dotarł do Swijażska, utraciwszy coprawda Kazań, lecz ocaliwszy swój optymizm. Omówiliśmy z nim najważniejsze sprawy, mianowaliśmy łotewskiego oficera Sławina dowódcą 5-ej armji i rozstaliśmy się. Wacetis odjechał do swego sztabu. Ja zostałem w Swijażsku.

Wraz ze mną, między innymi, przyjechał Gusiew. Uważał się za „starego bolszewika”, gdyż brał udział w ruchu rewolucyjnym w 1905 roku. Potem przez jakieś dziesięć lat pędził życie burżuazyjne, lecz, jak wielu innych, powrócił w roku 1917-ym do rewolucji. Za drobne intrygi został odsunięty później przeze mnie i przez Lenina od roboty wojskowej. Stalin przygarnął go natychmiast. Dzisiejszą działalność Gusiewa stanowi głównie fałszowanie historii wojny domowej. Zasadniczą kwalifikacją jego do tej roboty jest apatyczny cynizm. Podobnie, jak cała szkoła Stalina, nie krępuje się nigdy tem, co pisał, lub mówił wczoraj. Na początku 1924-go roku, gdy rozpoczęto już na mnie zupełnie otwartą nagankę, w której Gusiew grał rolę flegmatycznego insynuatora, wydarzenia w Swijażsku, mimo że upłynęło już od nich sześć lat, były jeszcze zbyt pamiętne, aby nie krępować do pewnego stopnia nawet takiego Gusiewa. Oto opowieść jego o wypadkach pod Kazaniem: „Przyjazd tow. Trockiego spowodował decydującą zmianę sytuacji. Pociąg tow. Trockiego przywiózł na zapadłą stację Swijażsk silną wolę zwycięstwa, energję i zdecydowaną inicjatywę we wszystkich dziedzinach roboty wojskowej. Zarówno na zatarasowanej taborami niezliczonych pułków stacji, gdzie gnieździł się również wydział polityczny, oraz organy zaopatrzenia, jak i w rozlokowanych w odległości jakichś 15 wiorst oddziałach armji, wszyscy od pierwszego dnia zrozumieli, że nastąpiła jakaś radykalna zmiana. Dało się to przedewszystkiem odczuć we wzmocnieniu dyscypliny. Ostre metody, stosowane przez tow. Trockiego, były w owym okresie partyzantki i rozprężenia... przedewszystkiem i najbardziej konieczne i celowe. Perswazją nic nie można było wskórać, brak zresztą było na to czasu. Otóż w ciągu tych

25 dni, które tow. Trocki spędził w Swijażsku, dokonano olbrzymiej pracy, która zdeorganizowanym i zdemoralizowanym oddziałom 5-ej armji przywróciła zdolność bojową i przygotowała je do zdobycia Kazania”.

Zdrada gnieździła się w sztabie, w szeregach dowództwa i wszędzie dokoła. Wróg zawsze wiedział, gdzie trzeba uderzyć, prawie zawsze działał na pewno. Wywierało to wpływ deprymujący. Wkrótce po przyjeździe, zwiedziłem najbardziej wysunięte baterje. Dyslokacje dział pokazywał mi doświadczony oficer artylerji o ogorzalej od wiatrów twarzy i zagadkowych oczach. Poprosił, abym mu pozwolił odejść na chwilę, gdyż musi wydać rozkazy przez telefon. Po upływie kilku minut dwa pociski upadły z obydwuch stron w odległości pięćdziesięciu kroków ode mnie, trzeci – tuż obok mnie. Ledwo zdążyłem paść, jak zasypała mnie ziemia. Artylerzysta stał nieruchomo na uboczu, bladeść występowała na jego twarzy pod opalenizną. Dziwna rzecz, że nie zrodziło się wtedy we mnie żadne podejrzenie, – sądziłem, że to był przypadek. Dopiero po upływie dwóch lat przypomniałem sobie nagle, do najdrobniejszych szczegółów, wszystkie okoliczności i powziąłem niewątpliwe przeświadczenie, że artylerzysta był wrogiem, który za pomocą jakiegoś punktu pośredniczącego, wskazał telefonicznie cel baterji nieprzyjacielskiej. Sam ryzykował podwójnie: mógł wraz ze mną zginąć od pocisku białych, albo też mogli go rozstrzelać czerwoni. Nie wiem, co z nim się później stało.

Ledwo zdążyłem wejść do mego wagonu, gdy ze wszystkich stron zaczęły trzeszczeć karabiny. Wybiegłem na pomost. Nad nami krążył samolot białych. Było oczywiste, że poluje na pociąg. Trzy bomby, zatoczywszy szeroki łuk, upadły jedna za drugą, nie wyrządzając nikomu żadnej krzywdy. Z dachów wagonów strzelano do nieprzyjaciela z karabinów zwykłych i maszynowych. Samolot był już poza doniosłością strzału, mimo to strzelanina nie ustawała. Wszystkim jakgdyby trunek uderzył do głowy. Z wielkim trudem udało mi się przerwać strzelaninę. Być może, że ów artylerzysta dał również znać, o której godzinie powrócę do pociągu. Ale mogły być i inne źródła.

Zdrada działała z tem większą pewnością siebie, im bardziej beznadziejne zdawało się położenie rewolucji. Należało za wszelką cenę i możliwie jak najprędzej przewyciężyć automatyczny pęd ku odwrotowi w chwili, gdy ludzie nie wierzyli już nawet, że potrafią jeszcze zatrzymać się, zrobić w tył zwrot i uderzyć na nieprzyjaciela.

Przywiozłem ze sobą pół setki moskiewskiej młodzieży partyjnej. Ta gromadka miotła się jak szalona, zatykała sobą wszystkie dziury i topniała mi w oczach, narażając się na ciosy w zaślepieniu bohaterstwa i niedoświadczenia. Obok nich stał czwarty pułk łotewski. Był to najgorszy pułk z całej zdeorganizowanej dywizji. Strzelcy leżeli na deszczu w błocie i żądali, aby ich zmieniono. Ale nie było posiłków, które mogłyby ich zastąpić. Dowódca pułku łącznie z komitetem pułkowym przysłał mi zawiadomienie, że jeżeli nie przyślemy natychmiast zmiany, to nastąpią „konsekwencje, grożące rewolucji niebezpieczeństwem”. Była to pogroźka. Zawezwałem do wagonu dowódcę pułku i przewodniczącego komitetu pułkowego. Ponuro upierali się przy swoim. Oświadczyłem im, że są aresztowani. Szef służby łączności pociągu, obecny komendant Kremla, rozbroił ich w moim przedziale. Byliśmy w wagonie tylko we dwójkę: cała załoga pociągu biła się na pozycjach. Gdyby aresztowani okazali opór, albo gdyby pułk ujął się za nich i opuścił pozycje, sytuacja mogłaby się stać beznadziejna. Utracilibyśmy Swijażsk i most na Włodze. Zdobycie mojego pociągu przez wroga nie mogłoby, rzecz

zrozumiała, pozostać bez wpływu na armję. Droga na Moskwę stałaby otworem. Ale aresztowanie odbyło się pomyślnie. W rozkazie do armji zawiadomiłem O postawieniu dowódcy pułku przed trybunałem rewolucyjnym. Pułk nie porzucił pozycji. Dowódcę jego skazano tylko na więzienie.

Komuniści perswadowali, tłumaczyli i świecili osobistym przykładem. Nie ulegało jednak żadnej wątpliwości, że zamocą samej tylko agitacji nie uda się przełamać nastroju, okoliczności nie pozwalały zresztą na najmniejszą zwłokę. Trzeba było zdecydować się na zastosowanie surowych środków. Wydałem rozkaz, odbity w drukarni mojego pociągu i ogłoszony we wszystkich oddziałach armji: „Uprzedzam, że w wypadku samowolnego odwrotu jakiegokolwiek oddziału, zostanie przedewszystkiem rozstrzelany komisarz tego oddziału, a następnie jego dowódca. Stanowiska kierownicze obsadzę przez mężnych, odważnych żołnierzy. Tchórze i zdrajcy nie unikną kuli. Ręczę zato w obliczu Czerwonej Armji”.

Rozumie się, że przełom nie nastąpił odrazu. Poszczególne oddziały cofały się nadal bez przyczyny, albo też szły w rozsypkę, pod wpływem pierwszego silniejszego uderzenia. Swijażskowi groziło poważne niebezpieczeństwo. Na Woldze stał w pogotowiu przeznaczony dla sztabu parowiec. Dziesięciu ludzi z załogi mojego pociągu pilnowało na rowerach ścieżki, łączącej sztab z miejscem, w którym wsiadało się na parowiec. Rada wojskowa 5-ej armji postanowiła zaproponować mi, abym przeniósł się na statek. Propozycja sama przez się była rozsądna, obawiałem się jednak ujemnego wpływu, jaki mogłoby to wyrzucić na nerwową i pozbawioną wiary w siebie armję. W owej chwili właśnie sytuacja na froncie nagle się pogorszyła. Nowy pułk, na który tak bardzośmy liczyli, z komisarzem i dowódcą na czele opuścił front, zajął przemocą, pod groźbą bagnatów, parowiec i załadował się nań, zamierzając odpląć do Niżnego. Fala niepokoju potoczyła się poprzez front. Wszyscy poczuli oglądać się ku rzece. Sytuacja wydawała się wprost beznadziejna. Sztab nie ruszał się z miejsca, nie bacząc na to, że nieprzyjaciel znajdował się w odległości jednego, czy dwóch kilometrów i pociski pękały w najbliższym sąsiedztwie. Porozumiałem się z niezastąpionym Markinem. Na czele dwudziestki szturmowców wsiadł na zaimprovizowaną kanonierkę, podjechał do parowca, i wycelowawszy działo, zażądał od dezertów, aby się poddali. W owej chwili wszystko zależało od wyników tej wewnętrznej operacji. Jeden wystrzał z karabinu mógłby spowodować katastrofę. Dezertery poddali się bez oporu. Parowiec przybił do przystani, dezertery wysiedli. Wyzaczyłem sąd polowy, który skazał na rozstrzelanie dowódcę, komisarza i pewną liczbę żołnierzy. Ropiejącą ranę wypalono czerwonym żelazem.

Wyjaśniłem pułkowi, w jakiej znajdujemy się sytuacji, nic nie tając i niczego nie łagodząc. Do szeregów pułku wcielono pewną liczbę komunistów. Pułk powrócił na pozycję pod nowym dowództwem i z odświeżonym samopoczuciem. Wszystko to stało się tak prędko, że wróg nie zdążył nawet wyzyskać wstrząsu, któryśmy przechodzili.

Należało przystąpić do zorganizowania służby lotniczej. Wezwałem inżyniera-lotnika Akaszowa. Pracował z nami, mimo że był z przekonania anarchistą. Ujawnił dużo inicjatywy i szybko zmontował flotyllę napowietrzną. Dzięki niej dowiedzieliśmy się nareszcie, jak wygląda w rzeczywistości front nieprzyjacielski. Dowództwo 5-ej armji przestało działać poomacku. Lotnicy dokonywali codziennie ataków powietrznych na Kazań. Miasto ogarnął

gorączkowy niepokój. Później, po zdobyciu Kazania, przyniesiono mi, między innymi dokumentami, dziennik burżuazyjnej pani, która przetrwała oblężenie miasta. Stronice, poświęcone opisowi paniki, wywoływanej przez naszych lotników, przeplatały się ze stronicami, poświęconymi flirtowi. Życie nie zatrzymywało się w biegu. Oficerowie czescy szli w zawody z oficerami rosyjskimi. Romanse, zapoczątkowane w kazańskich bawialniach, kontynuowano, a częstokroć i kończono, w piwnicach, w których trzeba się było chronić przed bombami.

Dnia 28-go sierpnia, biali przedsięwzięli ruch oskrzydłający. Pułkownik Kappel, późniejszy sławny biały generał, na czele silnego oddziału dotarł pod osłoną nocy na nasze tyły, zajął najbliższą niewielką stacyjkę, zniszczył tor kolejowy, powywracał słupy telegraficzne i, przeciąwszy nam w ten sposób odwrót, ruszył do ataku na Swijażsk. W sztabie Kappla, jeśli się nie mylę, znajdował się Sawinkow. Zaskoczono nas całkowicie niespodzianie. Chcąc uniknąć alarmu na naszym niepewnym froncie, odwołaliśmy stamtąd nie więcej niż dwie, czy trzy kompanie. Naczelnik mojego pociągu znów zmobilizował w pociągu i na stacji wszystko, co się tylko dało, nie wyłączając kucharza. Karabinów zwykłych i maszynowych, granatów ręcznych mieliśmy pod dostatkiem. Załoga pociągu składała się z doskonałych żołnierzy. Tyraljera rozciągnęła się w odległości jakiejś wiorsty od pociągu, bitwa trwała osiem godzin bezmała, z obydwu stron były straty, nieprzyjaciel wyczerpał się wreszcie i cofnął. A tymczasem przerwa w komunikacji ze Swijażskiem wywołała wielki niepokój w Moskwie i na całej linii. Niewielkie oddziały nadchodziły nam pośpiesznie z odsieczą. Szybko naprawiono tor kolejowy. Armja wchłonęła nowe oddziały. A gazety kazańskie donosiły, że mnie odcięto, wzięto do niewoli, zabito, – że odleciałem aeroplanem, ale że wzamian, jako trofeum, pojmano mojego psa. To wierne zwierzę dostawało się później do niewoli na wszystkich frontach wojny domowej. Pisano najczęściej o brązowym dogu, czasami o Saint-Bernardzie. Udało mi się wykręcić tym mniejszym kosztem, że wogóle nie miałem żadnego psa.

Gdy obchodziłem o trzeciej godzinie owej najkrytyczniejszej dla Swijażska nocy, lokal sztabu, usłyszałem naraz w wydziale operacyjnym znajomy głos: – Przepowiadam wam, doigra się tego, że go wezmą do niewoli, zgubi i siebie i nas. Zobaczycie. – Zatrzymałem się na progu. Naprzeciwko mnie siedziało nad mapą dwóch zupełnie jeszcze młodych oficerów sztabu generalnego. Mówiący nachylił się do nich przez stół, do mnie był odwrócony plecami. Wyczytał widocznie coś nieoczekiwanego z twarzy swych rozmówców, gdyż odwrócił się nagle ku drzwiom. Był to Błagonrawow, porucznik armji carskiej, młody bolszewik. Na twarzy jego zamarał wyraz przerażenia i wstydu. Zadaniem jego, jako komisarza, miało być krzepienie specjalistów na duchu. Zamiast tego, podzegał ich w krytycznej chwili przeciwko mnie, namawiając, w istocie rzeczy do dezercji. Przyłapałem go na gorącym uczynku. Nie wierzyłem własnym oczom i uszom. Błagonrawow dowiódł w ciągu roku 1917-go, że jest bojowym rewolucjonistą. Był podczas przewrotu komisarzem twierdzy Piotropawłowskiej, brał później udział w likwidowaniu powstania junkrów. W okresie Smolnego dawałem mu odpowiedzialne zlecenia. Wywiązywał się z nich dobrze. – Z takiego porucznika może jeszcze wyrosnąć Napoleon – powiedziałem pewnego razu do Lenina. – Ma nawet odpowiednie nazwisko. Błagonrawow, to tak prawie, jak Bonaparte. – Lenin roześmiał się zrazu na to nieoczekiwane zestawienie, potem zamyslił się i odparł poważnie, nieomal z

odcieniem groźby: – Cóż, damy sobie chyba radę z Bonapartami, he? – Jak Bóg da – odpowiedziałem na poły żartobliwie. – Tego właśnie Błagonrawowa posłałem na wschodni front, gdy przegapiono tam zdradę Murawjewa. W Kremlu, w pokoju przyjęć Lenina, tłumaczyłem Błagonrawowi, na czym polegają jego obowiązki. Odpowiedział mi ponuro: – Najważniejsze jest to, że zaczął się już zmierzch rewolucji. – Było to w połowie 1918 roku. – Czyżbyście mieli się już tak szybko wykończyć? – spytałem z oburzeniem. Błagonrawow zebrał się w sobie, zmienił ton i obiecał wykonać wszystko, co należało. Uspokoilem się. I oto teraz, w najkrytyczniejszych chwilach, schwytałem go u progu jawnej zdrady. Wyszliśmy na korytarz, aby nie rozmawiać w obecności oficerów. Błagonrawow drżący, błądy, trzymał rękę przy daszku. – Nie oddawajcie mnie pod sąd, – powtarzał z rozpaczą, – zmażę moją winę, pošlijcie mnie jako szeregowca na pozycje. – Proroctwo moje nie ziściło się: kandydat na Napoleona stał oto przede mną, jak zmokła kura. Usunięto go i posłano do mniej odpowiedzialnej pracy. Rewolucja pożera ludzi i charaktery. Niszczy najmężniejszych, sieje spustoszenie wśród słabszych. Błagonrawow, jako członek kolegium G. P. U., jest obecnie jednym z filarów régime'u. Już w Swijażsku musiał mocno zniechęcić się do „ciągłej rewolucji”.

Losy rewolucji miały rozstrzygnąć się między Swijażskiem a Kazaniem. Nie było dokąd się cofać, chyba w nurty Wołgi. Rada rewolucyjna armji oznajmiła, że sprawa mojego bezpieczeństwa w Swijażsku krępuje jej swobodę ruchów, wobec czego rada domaga się usilnie, abym przeniósł się na statek. Rada miała do tego prawo. Ustaliłem od pierwszej chwili zasadę, w myśl której pobyt mój w Swijażsku nie powinien być w niczem krępować dowództwa armji, ani też mu przeszkadzać. Zasady tej przestrzegałem podczas wszystkich moich podróży na fronty, podporządkowałem się tedy żądaniu i przenieśliem się na statek, ale nie na przygotowany dla mnie parowiec pasażerski lecz na torpedowiec. Cztery małe torpedowce z wielkimi trudnościami przetranslokowano przez Maryjski system wodny na Wołgę. Kilka rzecznych parowców uzbrojono w tym samym czasie w armaty i karabiny maszynowe. Flotylla pod rozkazami Raskolnikowa zamierzała tej nocy atakować Kazań. Trzeba było przepłynąć obok wysokich urwisk, na których ufortyfikowały się baterje białych. Za urwiskami rzeka skręcała i nagle się rozszerzała. Tam właśnie stała flotylla przeciwnika. Na przeciwległym brzegu widniał Kazań. Zamierzano przemknąć się niepostrzeżenie w ciemnościach obok urwisk, zniszczyć flotyllę nieprzyjacielską, oraz baterje nadbrzeżne i zbombardować miasto. Flotylla płynęła w kolumnie ze zgaszonymi światłami. Skradała się cicho, niby złodziej po nocy. Dwaj starzy piloci z Wołgi, z rzadkimi wyblakłymi bródkami, stali obok kapitana. Sprowadzono ich pod przymusem, bali się więc śmiertelnie, nienawidzili nas, przeklinali swój los i trzęśli się, jak w febrze. Wszystko teraz zależało od nich. Kapitan przypominał im od czasu do czasu, że zastrzeli ich na miejscu, jeśli statek osiadzie na mieliźnie. Mijaliśmy właśnie niewyraźnie zarysowujące się we mgle urwisko, gdy wpoprzek rzeki trzasnął, jak biczem, karabin maszynowy. Po nim rozległ się zgóry wystrzał armatni. Posuwaliśmy się naprzód w zupełnym milczeniu. Odpowiadano zdołu za nami. Kilka kul zabębniło po blasze żelaznej, zasłaniającej nas do pasa na mostku kapitańskim. Przykucnęliśmy. Bosmani skupili się w sobie i jak rysie świdrowali w ciemności oczami, porozumiewając się półgłosem z kapitanem. Za urwiskiem

weszliśmy odrazu na rozległe koryto. Na przeciwległym brzegu ujrzeliśmy światła Kazania. Za nami rozlegała się na dole i na górze gęsta strzelanina. Na prawo, w odległości najwyżej dwustu kroków od nas, stała flotylla nieprzyjacielska pod osłoną górzystego wybrzeża. Statki stanowiły w ciemnościach niewyraźną plamę. Raskolnikow wydał rozkaz rozpoczęcia ognia do statków. Metalowy tułów naszego torpedowca zawył i zaskowyczał od wtrząśnienia pierwszego strzału własnego działa. Posuwaliśmy się naprzód rzutami, żelazne łono z bólem i zgrzytem rodziło pociski. Płomień rozdarł nagle ciemności nocne.

To nasz pocisk zapalił skutę, naładowaną ropą naftową. Niespodziewana, niepożądana, ale wspaniała pochodnia zapłonęła nad Wołgą. Ostrzeliwaliśmy teraz przystań. Widać na niej było wyraźnie armaty, które jednak nie odpowiadały. Artylerzyści najwidoczniej poprostu uciekli. Cała szerokość rzeki było oświetlona. Za nami nie było nikogo. Byliśmy sami. Artylerja nieprzyjacielska odcięła najwidoczniej drogę pozostałym statkom naszej flotylli. Torpedowiec nasz widoczny był na tle oświetlonej rzeki, niby czarna mucha na białym talerzu. Lada chwila wezmą nas z urwiska i z przystani we dwa ognie. Myśl o tem była nader przykra. Utraciliśmy, na dobitkę, możliwość kierowania statkiem. Łańcuch sterowy pękł, ugodzony widocznie pociskiem. Czyniono próby ręcznego kierowania sterem. Ale zerwany łańcuch okręcił się dokoła steru, który został uszkodzony i nie obracał się. Trzeba było zatrzymać maszyny. Znosiło nas powoli ku kazańskiemu brzegowi, aż wreszcie torpedowiec przycisnął się do starej, napóły zatopionej szkuty. Strzelanina ustała zupełnie. Jasno było, jak we dzień, a cicho – jak w nocy. Znaleźliśmy się w pułapce. Nie do pojęcia było tylko, dlaczego nie strzelają do nas. Nie docenialiśmy spustoszenia, sprawionego przez nasz atak i wywołanej przezeń paniki. Młodzi dowódcy uradzili wreszcie, że trzeba odepchnąć się od szkuty i, uruchamiając to jedną, to drugą maszynę, regulować ruch torpedowca. Dokonano tego pomyślnie. Pochodnia z ropy gorzała w dalszym ciągu. Zbliżaliśmy się do urwiska. Nikt nie strzelał. Za urwiskiem pograżyliśmy się wreszcie w ciemności. Z oddziału maszyn wyniesiono zemdlonego marynarza. Ulokowana na górze bateria nie wystrzeliła ani razu. Najwidoczniej nie obserwowano nas wcale. Być może, zresztą, że nie było już nikogo, kto mógłby się tem zająć. Ocaleliśmy. Tak łatwo napisać to słowo: ocaleliśmy. Ukazały się ogniki papierosów. Zwęglone szczątki jednej z naszych zaimprovizowanych kanonierek smętnie spoczywały na brzegu. Na innych statkach było kilku ludzi rannych. Zauważyliśmy dopiero teraz, że dziób naszego torpedowca został dokładnie prześwidrowany nawskroś przez pocisk trzycalowy. Była wczesna godzina przedświt. Wszyscy czuli się tak, jakgdyby przyszli po raz drugi na świat.

Powodzenie następowało za powodzeniem. Przyprawiono do mnie lotnika, który wylądował przed chwilą. Przynosił dobre wiadomości. Z północnego wschodu zbliżyła się bezpośrednio do Kazania część drugiej armji, pod wodzą kozaka Azina. Wojska te zdobyły dwa pociągi pancerne, zagwoździły dwa działa, zmusiły oddział nieprzyjacielski do odwrotu i zajęły dwie wsie, znajdujące się w odległości dwunastu wiorst od Kazania. Lotnik, otrzymawszy instrukcje i odezwę, odleciał zpowrotem. Kazań znalazł się w kleszczach. Nasza nocna dywersja, jak to ustalił wywiad, osłabiła opór, stawiany przez białych. Flotylla nieprzyjacielska uległa prawie całkowitemu zniszczeniu, baterje nadbrzeżne zmuszono do milczenia. Słowo „torpedowiec”,

wywierało nad Wołgą takie same wrażenie na białych, jakie później pod Petersburgiem wywierało słowo „czołg” na młode wojska czerwone. Rozeszła się pogłoska, że po stronie bolszewików biją się Niemcy. W Kazaniu zaczęła się masowa ucieczka warstw zamożniejszych. Dzielnice robotnicze podniosły głowę. W fabryce prochu wybuchł bunt. Nasze wojska ożywił duch zaczepny.

Ów miesiąc, spędzony w Swijażsku, pełen był rozmaitych niebezpiecznych epizodów. Nie było dnia, żeby się coś nie wydarzyło. Noce częstokroć nie były wcale lepsze. Po raz pierwszy oglądałem wojnę w tak intymnej bliskości. Była to mała wojna. Po naszej stronie walczyło conajwyżej 25-30.000 ludzi. Ale od wielkiej wojny mała różni się tylko skalą. Była jakby żywym modelem wojny. Dlatego właśnie odczuwaliśmy tak bezpośrednio wszystkie jej wahania i niespodzianki. Mała wojna była wielką szkołą.

Sytuacja pod Kazaniem zmieniła się tymczasem nie do poznania. Z pstrokacizny rozmaitych oddziałów powstały regularne formacje wojskowe. Wstępowali do nich komunistyczni robotnicy z Piotrogradu, Moskwy i innych miejscowości. Pułki tężały i hartowały się. Komisarzom nadano w oddziałach stanowisko przywódców rewolucyjnych, bezpośrednich reprezentantów dyktatury. Sądy wojskowe wykazały, że rewolucja, będąc w śmiertelnym niebezpieczeństwie, wymaga zaparcia się samego siebie do ostateczności. Przez skojarzenie agitacji z organizacją, przykładem rewolucyjnym i represjami, doprowadzono w ciągu kilku tygodni od owego koniecznego przełomu. Z chwiejnej, niepewnej, rozpadającej się masy powstała prawdziwa armja. Nasza artylerja miała niewątpliwą przewagę. Nasza flotylla panowała nad rzeką, nasi lotnicy – w powietrzu. Nie wątpiłem już, że odzyskamy Kazań. Aż naraz 1-go września dostaję szyfrowaną depezę z Moskwy: – „Przyjeżdżajcie natychmiast. Iljicz jest ranny, niewiadome czy niebezpiecznie. Spokój zupełny, 31.VIII.1918. Swierdłow”. Wyjechałem natychmiast. W kołach partyjnych Moskwy panował nastrój ponury, mroczny, lecz niewzruszony. Najlepszym wyrazicielem tej niezłomności był Swierdłow. Lekarze uznali, że życiu Lenina nie grozi niebezpieczeństwo i zapowiedzieli rychły powrót do zdrowia. Dodałem partji otuchy, zawiadamiając o zbliżających się zwycięstwach na wschodzie i zaraz wróciłem do Swijażska. Kazań zdobyto dnia 10-go września. Po upływie dwóch dni sąsiednia 1-a armja zdobyła Symbirsk. Nie była to niespodzianka. Dowódca pierwszej armji, Tuchaczewskij, obiecał w końcu sierpnia, że zdobędzie Symbirsk najpóźniej 12-go września. O zajęciu miasta Tuchaczewskij zawiadomił mnie telegraficznie: – „Rozkaz wykonany. Symbirsk zdobyty”. Lenin tymczasem powracał do zdrowia. Przysłał pełen uniesienia telegram z powinszowaniem. Sprawy nasze poprawiały się na całej linii.

Głównym kierownikiem 5-ej armji został Iwan Smirnow. Miało to wielkie konsekwencje. Smirnow reprezentuje najdoskonalszy i najbardziej skończony typ rewolucjonisty, który stanął w szeregu przed trzydziestu laty i od owej chwili nie wiedział, co to odpoczynek i nie domagał się go nigdy. W latach najczarniejszej reakcji, Smirnow nie przestawał rycć podziemnych podkopów. Gdy waliły się, nie upadał na duchu i rozpoczynał na nowo. Smirnow był zawsze człowiekiem obowiązku. To jest wspólna cecha rewolucjonisty i dzielnego żołnierza i właściwie dlatego rewolucjonista może stać się doskonałym żołnierzem.

Idąc jedynie za głosem swej natury, Smirnow był zawsze wzorem męstwa i niezłomności, jednakże bez owej zatwardziałości, która cnotom tym zazwyczaj

towarzyszy. Wszyscy lepsi pracownicy w armji usiłowali naśladować go pod tym względem. „Nikogo nie szanowano tak, jak Smirnowa, – pisała Larysa Reussner o oblężeniu Kazania. – Zdawano sobie sprawę, że w najkrytyczniejszych chwilach właśnie on będzie najsilniejszy i najbardziej nieustraszony”. Smirnow pozbawiony jest całkowicie wszelkiej pedanterji. To człowiek niesłychanie towarzyski, dowcipny i cieszący się z życia. Ludzie ulegają jego autorytetowi tem łatwiej, że jest to autorytet zewnętrznie niepozorny i nie imperatywny, aczkolwiek zupełnie niewątpliwy. Grupując się dokoła Smirnowa, komuniści z 5-ej armji stworzyli jakąś szczególną rodzinę polityczną, która do dziś dnia, po upływie kilku lat, dzielących nas od likwidacji 5-ej armji, odgrywa pewną rolę w życiu kraju. „Piątek” – ma swoisty sens w słowniku rewolucji: znaczy to tyle co prawdziwy rewolucjonista, człowiek obowiązku, a przede wszystkim – czysty człowiek. Smirnow i ludzie z piątej armji po ukończeniu wojny domowej przenieśli cały swój heroizm w dziedzinę pracy gospodarczej i prawie wszyscy bez wyjątków znaleźli się w szeregach opozycji. Smirnow stał na czele przemysłu wojskowego, później był komisarzem ludowym poczt i telegrafów. Obecnie jest na Kaukazie, na zesłaniu. W więzieniach i na Syberji można znaleźć wielu jego towarzyszy pracy z armji piątej. Ale rewolucja pożera ludzi i charaktery. Ostatnie wieści powiadają, że i Smirnowa też złamała walka i że głosi on hasło kapitulacji.

Larysa Reussner, która nazwała Smirnowa „sumieniem Swijażska”, sama odegrała niepoślednią rolę w armji piątej, jak zresztą i w całej rewolucji. Ta wspaniała młoda kobieta zabłysła, olśniewszy niejednego, jak płomienny meteor na tle rewolucji. Z powierzchownością bogini olimpijskiej kojarzyła subtelny ironiczny umysł i męstwo żołnierza. Po zajęciu Kazania przez białych, poszła do wroga w przebraniu chłopskim na zwiady. Posiadała jednak nazbyt niepowszednią powierzchowność. Aresztowano ją.

Badał ją japoński oficer-wywiadowca. Podczas przerwy wymknęła się przez źle pilnowane drzwi i zniknęła. Od tej chwili pracowała w wywiadzie. Potem pływała na okrętach wojennych i uczestniczyła w bitwach. Poświęciła wojnie domowej szkice, które pozostaną w literaturze. Równie barwnie pisała o przemyśle uralskim, jak i o powstaniu robotników w zagłębiu Ruhr’y. Chciała wszystko widzieć i wszystko wiedzieć, brać udział we wszystkim. W ciągu niewielu lat stała się pierwszorzędną pisarką. Przeszedłszy obronną ręką przez ogień i wodę, owa Pallada rewolucji, nie dożywszy trzydziestu lat, zgasła niespodzianie na tyfus w Moskwie, w normalnych warunkach egzystencji.

Pracownicy łączyli się ze sobą, pod ogniem dział nauka szła szybko, armja więc tworzyła się wspaniała. Najniższy poziom napięcia rewolucyjnego – chwilę upadku Kazania – mieliśmy już za sobą. Jednocześnie dokonywał się wielki przełom w środowisku włościańskim. Biali uczyli chłopów abecadła politycznego. W ciągu siedmiu następnych miesięcy czerwona armja wyzwoliła obszar, wynoszący blisko milion kilometrów kwadratowych, z czterdziestomiljonową ludnością. Rewolucja przeszła znów do ofensywy. Uciekając z Kazania, biali zabrali ze sobą znajdujący się tam od czasu lutowej ofensywy Hoffmanna zapas złota republiki. Znacznie później wpadł on w nasze ręce razem z Kołczakiem.

Gdy uzyskałem możliwość oderwania oczu od Swijażska, dostrzegłem, że w Europie zaszły zmiany: armja niemiecka znajdowała się w sytuacji bez wyjścia.

ROZDZIAŁ XXXIV

POCIĄG

Trzeba teraz opowiedzieć o tak zwanym „pociągu Przewodniczącego Rewolucyjnej Rady Wojskowej”. W latach najwyższego napięcia rewolucji moje życie osobiste było najściślej związane z życiem tego pociągu. Z drugiej strony pociąg był ściśle związany z życiem czerwonej armji. Pociąg łączył front z tyłami, rozstrzygał na miejscu niecierpiące zwłoki sprawy, oświecał, wzywał, zaopatrywał, wymierzał kary i nagradzał.

Bez represyj nie można było tworzyć armji. Nie można prowadzić cizby ludzkiej na śmierć, nie posiadając w arsenale dowództwa kary śmierci. Dopóki pyszniące się zdobyczami swej techniki złe małpy bez ogonów, zwane ludźmi, będą tworzyć armje i wojować, dopóty dowództwo będzie musiało stawiać żołnierza pomiędzy możliwą śmiercią, grożącą przed nim i nieuniknioną śmiercią, czyhającą za nim. Jednakże armji nie można stworzyć strachem. Armja carska rozpadła się nie wskutek braku represyj. Usiłując ratować ją przez przywrócenie kary śmierci, Kierenski ją tylko. Na pogorzeliisku wielkiej wojny bolszewicy stworzyli nową armję. Kto choć cokolwiek rozumie wymowę historii, ten wie, że fakty te nie wymagają żadnych komentarzy. Najtrwalszym cementem, spajającym nową armję, były idee rewolucji październikowej. Pociąg dostarczał tego cementu na fronty.

Dziesiątki tysięcy chłopów nie stawiały się do pierwszego poboru, ogłoszonego przez władze sowieckie w Kałuskiej, Woroneskiej, czy Riazańskiej guberni. Wojna toczyła się daleko od tych gubernij, rejestrację prowadzono kiepsko, poboru nie brano na serjo. Tych, co się nie stawili do poboru, ogłoszono za deztererów. Rozpoczęto poważną walkę z niezgłaszaniem się poborowych. W komisariacie wojskowym miasta Riazania zebrano piętnaście tysięcy takich „deztererów”. Gdym przejeżdżał przez Riazan, postanowiłem ich zobaczyć. Odradzano mi: „Jeszcze się coś może przydarzyć”. Ale wszystko poszło, jak z płatka. Zwoływano ich z baraków: – Towarzysze deztererzy, chodźcie na wiec, towarzysz Trocki przyjechał do was. – Wybiegali podnieceni, hałaśliwi, ciekawi, jak żaki szkolne. Przypuszczałem, że będą się znacznie gorzej prezentować. Oni zaś przypuszczali, że jestem straszniejszy, niż w istocie. Po kilku chwilach otoczył mnie wielki tłum, rozpuszczony, niekarny, ale bynajmniej nie usposobiony wrogo. „Towarzysze deztererzy” gapili się na mnie tak, że mało im oczy na wierzch nie wylazły. Wlazałem na stół, stojący na podwórzu, i rozmawiałem z nimi z półtorej godziny. Było to niebywale wdzięczne audytorjum. Dążyłem do tego, by sami nabrali do siebie szacunku i wezwałem ich wkońcu do podniesienia rąk na znak wierności rewolucji. Widziałem na własne oczy, jak nowe idee poczynaly wywierać na nich swój wpływ. Ogarnął ich prawdziwy entuzjazm. Odprowadzili mnie do samochodu, gapili się, ile wlezie, ale już bez lęku, lecz raczej z zachwytem, krzyczeli głośno i za nic nie chcieli się odzepić ode mnie.

Nie bez dumy dowiadywałem się potem, że ważnym środkiem wychowawczym, który stosowano do nich, było upomnienie: – A coś obiecał Trockiemu? – Pułki „dezertów” rizańskich doskonale były się później na frontach.

Przypominam sobie drugą klasę w odeskiej szkole realnej Ś-tiego Pawła. Czterdziestu chłopców niczem specjalnem nie odróżniało się od innych czterdziestu chłopców. Ale gdy Burnand z tajemniczym iksem na czole, wychowawca Meier, wychowawca Wilhelm, inspektor Kaminskij i dyrektor Schwannebach z całej siły uderzyli w najkrytyczniej usposobioną i najodważniejszą grupę uczniów, – natychmiast podnieśli głowy lizusy i zawistne tęposze, pociągając za sobą całą klasę.

W każdym pulku, w każdej kompanii są ludzie najrozmaitszego rodzaju. Uświadomieni i skłonni do poświęceń stanowią mniejszość. Na drugim krańcu stoi znikoma mniejszość zdeprawowanych, sobków lub świadomych wrogów. Pośrodku między temi dwiema mniejszościami znajduje się większość, składająca się z niepewnych i wahających się. Rozkład następuje wtedy, gdy najlepsze jednostki giną, lub zostaną usunięte, górę zaś biorą sobki lub wrogowie. Owi ze środka nie wiedzą wtedy, za kim mają pójść, i w chwili niebezpieczeństwa ulegają panice. Dnia 24-go lutego 1919 roku w Moskiewskiej sali Kolumnowej powiedziałem młodym komendantom: – Dajcie trzy tysiące dezertów, nazwijcie ich pułkiem, ja wyznaczę dla nich bojowego dowódcę, dobrego komisarza, odpowiednich dowódców bataljonów, kompanij, plutonów – i z trzech tysięcy dezertów powstanie u nas, w kraju rewolucyjnym, w ciągu czterech tygodni doskonały pułk... W ciągu ostatnich tygodni – dodałem – mieliśmy ponowną okazję przekonania się, że tak jest na odcinkach frontu pod Narwą i Pskowem, gdzie udało się nam stworzyć ze szczątków świetne jednostki bojowe. –

Dwa i pół roku, ze stosunkowo niewielkimi przerwami, spędziłem w wagonie kolejowym, którym przedtem dysponował jeden z ministrów komunikacji. Wagon był dobrze urządzone, jeżeli chodziło o komfort ministerjalny, ale źle przystosowany do pracy. Tutaj przyjmowałem w drodze raporty, naradzałem się z miejscowymi władzami wojskowymi i cywilnymi, przeglądałem komunikaty telegraficzne, dyktowałem rozkazy i artykuły. Stąd również wyruszałem z moimi współpracownikami samochodem na dłuższe objazdy frontu. W chwilach, wolnych od zajęć, dyktowałem w wagonie mą książkę („Teror i komunizm”), skierowaną przeciwko Kautsky’emu, oraz szereg innych prac. Zdawało mi się podówczas, że na zawsze już przywykłem do pisania i rozmyślania przy akompaniamencie pulmanowskich kół i resorów.

Mój pociąg został pośpiesznie zestawiony w Moskwie w nocy z 7-go na 8-go sierpnia 1918 roku. Nad ranem wyruszyłem w nim do Swijażska, na front czechosłowacki.

Pociąg ulegał później ciągłym przebudowom, uzupełnieniom, udoskonaleniom. Już w r. 1918 stał się ruchomym organem zarządzania armją. W pociągu były czynne: sekretariat, drukarnia, stacja telegraficzna, radio, elektrownia, biblioteka, garaż i łaźnia.

Pociąg był tak ciężki, że ciągnęły go dwie lokomotywy. Później musiano rozdzielić go na dwa samodzielne pociągi. Kiedy warunki zmuszały nas do dłuższego postoju na jakimś odcinku frontu, jedna z lokomotyw pełniła obowiązki umyślnego. Druga – stała zawsze pod parą. Front był ruchomy i nie można było z nim żartować.

Nie mam pod ręką historii pociągu. Złożono ją do jednego z wojskowych archiwów. Opracowali ją w swoim czasie jak najstaranniej moi młodzi współpracownicy. Wykres ruchów pociągu sporządzono na wystawę wojny domowej, gdzie, według doniesień gazet, zwracał szczególną uwagę licznych zwiedzających. Wykres ten przekazano potem muzeum wojny domowej. Wpakowano go na pewno do jakiegoś kąta w sąsiedztwie setek, tysięcy innych eksponatów: plakatów, odezwo, rozkazów, sztandarów, fotografii, taśm kinematograficznych, książek i przemówień, odzwierciadlających najważniejsze chwile wojny domowej i w ten lub inny sposób połączonych z moim udziałem w tej wojnie.

Wydawnictwo wojskowe zdażyło w ciągu 1922-1924 roku, czyli przed porażką opozycji, ogłosić w pięciu tomach prace moje, dotyczące armji i wojny domowej. Historia pociągu nie weszła w ich skład. Orbitę jego ruchu mógłbym teraz odtworzyć tylko częściowo na podstawie adnotacji pod artykułami wstępnymi wydawanej w pociągu gazety „W puti”: Samara, Czelabińsk, Wiatka, Petersburg, Bałaszow, Smoleńsk, znów Samara, Rostów, Nowoczerkask, Kijów, Żytomierz i t. d. bez końca. W tej chwili nie mam nawet pod ręką dokładnej liczby kilometrów, które pociąg przejechał podczas wojny domowej. Jedna z uwag, znajdująca się w moich pracach wojskowych, podaje 36 podróży podczas których przejechaliśmy zgorą 105.000 kilometrów. Jeden z moich ówczesnych towarzyszy podróży pisze do mnie, powołując się na swą pamięć, iż w ciągu trzech lat okrążyliśmy rzekomo pięć i pół razy kulę ziemską, a więc podaje dwukrotnie większą liczbę. Nie obejmuje ona dziesiątków tysięcy kilometrów, przejechanych samochodami, zdala od linii kolejowych i wgląd frontu. Ponieważ pociąg zdążał zazwyczaj do miejsc najbardziej zagrożonych, przeto rzucony na mapę schemat dokonanych przezeń podróży stanowił dość ścisły i jednocześnie poglądowy obraz różnego znaczenia, jakie miały poszczególne fronty. Najwięcej podróży przypada na rok 1920, ostatni rok wojny. Przeważają podróże na front południowy, który zawsze był najuporczywszy, najtrwalszy i najniebezpieczniejszy.

Czego szukał „pociąg Przewodniczącego Rewolucyjnej Rady Wojskowej” na frontach wojny domowej? Odpowiedź na to pytanie jest prosta: szukał zwycięstwa. Ale cóż pociąg ten dawał frontom? Zapomocą jakich metod działał? Jaki bezpośredni pożytek przynosiły ustawiczne jego podróże z jednego końca państwa na drugi? Nie były to zwykłe podróże inspekcyjne. Nie, praca pociągu była jak najściślej związana z organizowaniem armji, z jej wychowywaniem, kierownictwem i zaopatrywaniem. Budowaliśmy armję od samych podwalin, wciąż znajdując się w ogniu. Tak było nietylko pod Swijażskiem, gdzie minął pierwszy miesiąc dziejów pociągu. Tak samo było na wszystkich frontach. Z oddziałów partyzanckich, z uchodźców, uciekających przed białymi, z chłopów, zmobilizowanych w sąsiednich powiatach, z oddziałów robotniczych, wysyłanych przez ośrodki przemysłowe, z grup komunistów i pracowników związków zawodowych tworzyliśmy tutaj na froncie kompanje, bataljony, nowe pułki, czasami całe dywizje. Zdemoralizowana po porażkach i odwrotach, łatwo ulegająca panice masa w ciągu jakichś dwóch, czy trzech tygodni przekształcała się w bojowe oddziały. A czego na to było trzeba? Wiele i mało jednocześnie. Wyznaczyć dobrych dowódców, kilkudziesięciu doświadczonych bojowych żołnierzy, z dziesięciu poświęcających się komunistów, wydostać buty dla bosych, urządzić łaźnię, przeprowadzić energiczną kampanję agitacyjną, dać jeść, wydać bieliznę, tytoń

i zapalki. O wszystko to troszczył się pociąg. Mieliśmy zawsze w rezerwie kilku poważnych komunistów, którymi zapełnialiśmy luki, kilkuset walecznych żołnierzy, niewielki zapas obuwia, kurtek skórzanych, lekarstw, karabinów maszynowych, lornetek, map, zegarków i rozmaitych innych upominków. Środki materialne, które pociąg rozporządzał bezpośrednio, były, ma się rozumieć, bardzo nieznaczne w porównaniu z potrzebami armji. Ale środki te uzupełnialiśmy stale. Odegrały one wiele razy rolę owej szufelki węgla, która niezbędna jest w pewnej chwili, aby ogień na kominku nie zgasł. W pociągu czynny był telegraf. Łączyliśmy się z Moskwą zapomocą bezpośredniego przewodu: mój zastępca, Sklianskij, odbierał zapotrzebowania na najniezbędniejszy ekwipunek dla armji – czasami dla dywizji, czasami nawet dla poszczególnych pułków. Przysyłano je z szybkością, której nie możnaby było osiągnąć bez mojej ingerencji. Metodę tę trudno, co prawda, nazwać najlepszą. Osoby pedantyczne powiedzą, że w zaopatrywaniu, tak samo, jak w sztuce wojennej wogóle, przestrzeganie pewnego systemu jest rzeczą najważniejszą. Słuszny to punkt widzenia. Ja sam też skłonny jestem grzeszyć raczej pedanterją. Ale chodzi o to, żeśmy nie chcieli zginąć, zanim uda się nam stworzyć dobry system. Oto dlaczego musieliśmy, szczególnie w pierwszym okresie, stosować, zamiast systemu, improwizacje, aby móc później oprzeć na nich system.

We wszystkich podróżach towarzyszyli mi pracownicy, kierujący podstawowymi działami zarządu armją, a przede wszystkim wszelkiego rodzaju zaopatrywaniem. Intendentów otrzymaliśmy w spadku po starej armji. Pracowali po dawnemu, a nawet jeszcze gorzej, gdyż warunki pracy były bez porównania gorsze. Podczas tych podróży, niejeden stary specjalista musiał uczyć się na nowo, a nowi kształcili się, czerpiąc naukę z doświadczeń życiowych. Gdyśmy kończyli objazd dywizji i ustalili na miejscu jej potrzeby, zwoływałem do sztabu lub wagonu restauracyjnego pociągu możliwie najliczniejszą konferencję, w której brali udział przedstawiciele miejscowej organizacji partyjnej, organów władzy sowieckiej, oraz związków zawodowych. Miałem możność zorientowania się w ten sposób. Jak się przedstawia w rzeczywistości sytuacja bez fałszu i błagi. Ponadto konferencje takie dawały zazwyczaj bezpośrednie wyniki praktyczne. Mimo niedostatku, jaki trapił miejscowe organy władzy sowieckiej, potrafiły one jednak zawsze ścisnąć się i wydusić jakąś ofiarę na rzecz armji. Szczególnie cenna była pomoc w osobach komunistów. Jeszcze jedną garść pracowników zabierało się z urzędów i z miejsca wcielało do niepewnego pułku. Znajdowano zapas materiału na koszule i onucze, skórę na podeszwy, jeszcze jeden centnar tłuszczów. Ale środki miejscowe nie mogły wystarczyć. Po konferencji posyłałem do Moskwy przewodem bezpośrednim dokładne zamówienie, nie przekraczające możliwości moskiewskich, dzięki czemu dywizja otrzymywała na czas wszystko, co jej było potrzebne. Dowódcy i komisarze frontu uczyli się na przykładzie pociągu, że do pracy swej, pracy dowódcy, wychowawcy, intendenta, sędziego, nie należy brać się zgóry, z wysokości sztabów, lecz od dołu, od strony plutonu i kompanji, od młodego i niedoświadczonego rekruta.

Stopniowo organizowały się mniej lub bardziej sprawnie działające organy centralnego zaopatrywania frontu i armji. Ale same one nie sprostaly i nie mogły sprostać zadaniu. Najdoskonalszy nawet mechanizm nie może podczas wojny funkcjonować równomiernie, zwłaszcza podczas wojny manewrowej, opartej całkowicie na ruchu, wykonywanym częstokroć w zupełnie

nieprzewidzianym kierunku. Należy ponadto pamiętać, że toczyliśmy wojnę, nie posiadając zupełnie zapasów. Już w roku 1919 centralne składy były zupełnie opróżnione. Koszula szła na front wprost z pod igły. Najgorzej było jednak z karabinami i nabojami. Zakłady w Tule wytwarzały je na potrzeby bieżącego dnia. Nie wolno było dysponować ani jednym wagonem naboju, nie uzyskawszy podpisu naczelnego wodza. Sprawa uzupełniania broni i amunicji znajdowała się zawsze w stanie wysokiego napięcia, przypominającego naciągniętą strunę. Struna ta pękała od czasu do czasu. Traciliśmy wtedy ludzi i terytorja.

Bez coraz to nowych improwizacji we wszystkich dziedzinach, wojna byłaby dla nas nie do pomyślenia. Pociąg dawał inicjatywę do takich improwizacji, regulując je jednocześnie. Pobudzając inicjatywę frontu i najbliższych tyłów, dbaliśmy jednak o to, aby inicjatywa ta wchodziła stopniowo w skład ogólnego systemu. Nie twierdzą bynajmniej, że się nam to zawsze udawało. Ale wynik wojny domowej świadczy o tem, że osiągnęliśmy rzecz najważniejszą: zwycięstwo.

Poszczególne wagę posiadały wyprawy na odcinki frontu, na których zdrada dowódców stawała się czasami przyczyną katastrofalnych wypadków. Dnia 23-go sierpnia 1918 roku, w najkrytyczniejszych chwilach walk pod Kazaniem, otrzymałem od Lenina i Swierdłowa następującą szyfrowaną depeszę:

„Swijażsk Trocki. Zdrada na froncie saratowskim, aczkolwiek zdemaskowana zawczasu, spowodowała jednak bardzo niebezpieczne komplikacje. Uważamy, że natychmiastowy wasz wyjazd do Saratowa jest koniecznie potrzebny, gdyż pojawienie się wasze na froncie wywiera wpływ na żołnierzy i na całą armję. Porozumiemy się w sprawie zwiedzenia innych frontów. Odpowiedźcie, oznaczając dzień wyjazdu, wszystko szyfrem N° 80. 22 sierpnia 1918 roku, Lenin. Swierdłow”.

Uważałem, że opuszczenie Swijażska jest rzeczą niemożliwą: odjazd pociągu wstrząsnąłby frontem kazańskim, który i tak przechodził ciężkie chwile. Kazań odgrywał pod wszelkimi względami większą rolę od Saratowa. Lenin i Swierdłow zgodzili się z tem wkrótce. Do Saratowa pojechałem dopiero po odebraniu Kazania. Ale podobne depesze doganiały później pociąg na całym jego szlaku. Kijów i Wiatka, Syberja i Krym uskarżały się na ciężką sytuację i domagały się pokolei i jednocześnie, aby pociąg pospieszył im z pomocą.

Wojna toczyła się na peryferiach państwa, częstokroć w najbardziej zapadłych kątach, na froncie długości ośmiu tysięcy kilometrów. Pułki i dywizje w ciągu całych miesięcy bywały odcięte od świata. Ogarniał je nastrój zupełnej beznadziejności. Nieraz brakowało materiału telefonicznego nawet na potrzeby wewnętrzne. Pociąg był więc dla nich wyściancem z innych światów. Mieliśmy zawsze pewien zapas aparatów i przewodników telefonicznych. Nad specjalnym wagonem łączności rozpięto antenę, dzięki której mogliśmy w drodze odbierać depesze radiowe, nadawane z wieży Eiffla, z Nauen, ogółem – z jakichś trzynastu stacyj, a przede wszystkim, naturalnie, z Moskwy. Pociąg był zawsze au courant wszystkiego, co się działo na całym świecie. Najważniejsze depesze drukowano w gazecie, wydawanej w pociągu, i komentowano w czasie jazdy w artykułach, ulotkach i rozkazach. Śledząc bieg wydarzeń, oświetlaliśmy awanturę Kappa, spiski wewnętrzne, wybory angielskie, przebieg kampanji zbożowej lub czyny bohaterskie włoskiego

faszyzmu, ustalając związek pomiędzy nimi a losami astrachańskiego, czy też archangielskiego frontu. Artykuły nadawaliśmy jednocześnie przez przewód bezpośredni do Moskwy, skąd radio dostarczało je prasie całego państwa. Pociąg łączył najbardziej izolowane oddziały z całą armją, z życiem kraju i całego świata. Niepokojące pogłoski i wątpliwości przestawały je nękać, nastrój poprawiał się. Taka szczepionka moralna wystarczała na kilka tygodni, czasami – aż do następnego przyjazdu pociągu. W przerwach pomiędzy jednym a drugim przybyciem pociągu, członkowie rewolucyjnej rady wojskowej frontu, lub armji dokonywali podobnych objazdów, tylko na mniejszą skalę.

Nie tylko moja praca literacka, ale i całokształt mojej pracy w pociągu byłby nie do pomyślenia bez udziału moich współpracowników – stenografów: Glazmana, Sermuksa i, najmłodszego, Nieczajewa. Pracowali we dnie i w nocy, podczas ruchu pociągu, który, lekceważąc sobie w zapale wojennym wszelkie względy bezpieczeństwa, częstokroć mknął po zużytych podkładach z szybkością, przewyższającą siedemdziesiąt kilometrów na godzinę: zwisająca z sufitu wagonu mapa, kołysała się w biegu, jak huśtawka. Z podziwem i uczuciem wdzięczności śledziłem zawsze ruch ręki, która, nie bacząc na kołysanie się i wstrząśnienia wagonu, wypisywała z pewnością siebie subtelne znaki. Gotowy tekst, przynoszony mi po upływie kilkudziesięciu minut, zazwyczaj nie wymagał żadnych poprawek. Nie była to zwykła praca, nabierała ona cech poświęcenia. Później Glazman i Sermuks srogo odpokutowali za swe poświęcenie w służbie rewolucji: Glazmana stalinowcy doprowadzili do samobójstwa, Sermuksa zaś zesłali na syberyjskie pustkowia.

W skład pociągu wchodził wielki garaż wraz z kilkoma samochodami i cysterną benzyny. Pozwalało to na oddalanie się od drogi żelaznej na odległość setek wiorst. Na wozach ciężarowych i osobowych lokowała się załoga, składająca się z dwudziestu do trzydziestu wyborowych strzelców i obsługi karabinów maszynowych. Mój samochód również był uzbrojony w dwa ręczne karabiny maszynowe. Wojna manewrowa jest pełna niespodzianek. W stepach mogliśmy zawsze napotkać podjazdy kozackie. Samochody, uzbrojone w karabiny maszynowe, dobrze zabezpieczały od wypadków, przynajmniej wtedy, kiedy step nie zamieniał się w morze błota. Pewnego razu na jesieni 1919 roku w woroneskiej guberni mogliśmy się posuwać z szybkością zaledwie trzech kilometrów na godzinę. Samochody grzęzły głęboko w rozmiękłym czarnoziemiu. Trzydziestu ludzi raz po raz zeskakiwało na ziemię, aby popychać wozy. Przejeżdżając rzekę wbród, utknęliśmy na samym środku koryta. Całą winę kładłem w pierwszym uniesieniu na karb niskiego sadzenia wozu, który mój świetny szofer, Estończyk Püvi, uważał za najlepszy samochód na świecie, Püvi odwrócił się do mnie i, dotknąwszy zlekka daszka czapki palcami, zameldował mi łamanym językiem rosyjskim: – Ośmielam się zameldować, inżynierowie nie przewidzieli, że będziemy pływać po wodach. – Mimo, że znajdowaliśmy się w krytycznej sytuacji, miałem ochotę uściskać go za trafność tej spokojnej, ironicznej uwagi.

Pociąg był nie tylko zakładem wojskowo-administracyjnym i politycznym, lecz również i narzędziem walki. Wiele cech upodobniało go raczej do pociągu pancernego, aniżeli do sztabowego lokalu na kołach. Był zresztą rzeczywiście opancerzony, w każdym razie dotyczyło to parowozu i wagonów z karabinami maszynowymi. Wszyscy bez wyjątku pracownicy pociągu umieli władać bronią. Wszyscy nosili skórzane uniformy, nadające ludziom jakąś sugestywną

powagę. Na lewym rękawie, poniżej ramienia wszyscy nosili, starannie wybity w mennicy, znak metalowy, który zyskał sobie w armji znaczną popularność. Wagony miały wewnętrzne połączenie telefoniczne i aparaty do sygnalizacji. Aby wzmocnić czujność załogi, urządzaliśmy często w drodze, we dnie i w nocy, próbne alarmy. Zbrojne oddziały dokonywały w razie potrzeby „desantu”, wysiadając z pociągu dla przeprowadzenia pewnych operacyj. Pojawienie się w niebezpiecznym miejscu skórzanej seciny miało za każdym razem bajeczny skutek. Sama świadomość, że pociąg znajduje się w odległości kilku kilometrów od linii ognia, sprawiała, że najbardziej nerwowo usposobione oddziały, a zwłaszcza ich dowództwo, wyęczały wszystkie swe siły. Przy niepewnej równowadze wag, najmniejszy odważnik przechyla szalę. Nasz pociąg wraz ze swą załogą w ciągu dwóch i pół lat setki razy odegrał rolę takiego odważnika. Gdy „desant” powracał „na pokład” zwykle kogoś brakowało. Ogółem pociąg stracił w zabitych i rannych około 15 ludzi, nie licząc tych, którzy przeszli do formacyj linjowych i w ten sposób zniknęli z pola naszego widzenia. Tak naprzykład z personelu naszego pociągu wydzielono załogę dla wzorowego pociągu pancernego imienia Lenina, inna jego część została wcielona do oddziałów polowych pod Piotrogiem. Za udział w walkach z Judeniczem pociąg, jako jednostka bojowa, został odznaczony orderem czerwonego sztandaru.

Pociąg bywał nieraz odcięty, ostrzeliwany, nieraz atakowały go samoloty. Nic więc dziwnego, że otaczała go legenda, osnuta na tle, zarówno rzeczywistych zwycięstw, jak i zwycięstw, będących tylko wytworem fantazji. Ileż to razy zdarzało się, że dowódca dywizji, brygady, albo nawet pułku prosił, abyśmy zostali w jego sztabie jeszcze choć z pół godziny, ot tak tylko, żeby posiedzieć, lub pojechali konno, czy samochodem na daleki odcinek, lub przynajmniej posłali tam kilku ludzi z załogi z ekwipunkiem i upominkami, – byleby tylko wieść o nadejściu pociągu na front mogła się rozejść jak najszerzej. – Wiadomość o tem, może zastąpić całą dywizję w rezerwie, – mawiali dowódcy armij. Wiadomość o nadejściu pociągu docierała, ma się rozumieć, również i do szeregów nieprzyjaciela. Wyobrażano tam sobie, że tajemniczy pociąg jest o wiele straszniejszy, niż był w rzeczywistości. Zwiększało to tylko jego moralne znaczenie.

Pociąg ściągnął na siebie nienawiść wroga i był z tego dumny. Socjal-rewolucjoniści kilkakrotnie przygotowywali nań zamachy. Podczas procesu eserowców opowiedział o tem szczegółowo organizator zabójstwa Włodarskiego i zamachu na Lenina, Siemionow, który brał również udział w przygotowaniach do zamachu na pociąg. Przedsięwzięcie takie nie nastęczało właściwie znaczniejszych trudności. Ale w owym czasie znaczenie polityczne eserowców osłabło, nie wierzyli w swe siły i stracili wpływ na młodzież.

Podczas jednej ze swych podróży na południe, pociąg wykoleił się na stacji Gorki. Coś mnie w nocy podrzuciło i doświadczyłem owego niesłychanie przykrego uczucia, które wywołuje trzęsienie ziemi: grunt usuwa się z pod nóg, brak punktu oparcia. Jeszcze w pół-śnie, objełem z całej siły rękami me posłanie. Zwykły łoskot kół ustał nagle, wagon przechylił się na bok i znieruchomiał. W ciszy nocnej rozlegał się tylko jakiś samotny, słaby, żalony głos, ciężkie drzwi wagonu tak się skrzywiły, że nie można ich było otworzyć i wyjść na zewnątrz. Nikt się nie zjawiał i to właśnie było niepokojące. Czyżby nieprzyjaciel? Z rewolwerem w ręku, wyskoczyłem przez okno i wpadłem na człowieka z latarnią. Był to naczelnik pociągu, który nie mógł się do mnie

przedostać. Wagon stał na zboczu nasypu, trzy koła głęboko werżnęły się w ziemię, trzy inne wznosiły się w powietrzu nad szynami. Obydwa pomosty, przedni i tylny, były zupełnie zniekształcone. Przednia krata przygniotła wartownika. Jego właśnie żałosny, słaby głos rozlegał się w ciemnościach, jak płacz dziecka. Uwolnienie go z pod mocno przyciskającej kraty nie było rzeczą łatwą. Ku powszechnemu zdumieniu okazało się, że cała przygoda skończyła się dla wartownika na sińcach i strachu. Osiem wagonów uległo rozbiciu. Z wagonu restauracyjnego, służącego nam za klub, pozostał tylko stos polerowanych szczap. Ludzie wolni od służby czytali tam, lub grali w szachy. Wszyscy opuścili klub punktualnie o północy, na dziesięć minut przed wykolejeniem. Bardzo ucierpiały poza tem wagony towarowe, naładowane książkami, umundurowaniem i upominkami dla frontu. Z ludzi nikt nie doznał poważniejszych obrażeń. Wykolejenie spowodowała źle nastawiona zwrotnica. Nie udało się ustalić, czy był to skutek niedbalstwa, czy też złej woli. Na szczęście, mijaliśmy stację z szybkością trzydziestu zaledwie kilometrów na godzinę.

Załoga pociągu podczas głodu, epidemij, kampanij agitacyjnych, lub kongresów międzynarodowych wykonywała wiele ubocznych zleceń. Pociąg był szefem gminy wiejskiej i wielu ognisk dla dzieci. Komunistyczna „jaczajka” (komórka) pociągu wydawała gazetę „Na Straży”. Uwieczniono w niej nie jedną przygodę i nie jeden epizod ze staczanych walk. Pisma tego, jak i wielu innych rzeczy, nie posiadam dzisiaj, niestety, w moim archiwum podróznym.

Gdy ruszaliśmy, aby przygotować ofensywę przeciwko Wranglowi, który opanował Krym, pisałem w dniu 27-ym października 1920 roku w gazecie „W Puti”:

„Pociąg nasz znów zdąży na front.

Żołnierze naszego pociągu stali pod murami Kazania w czasie owych krytycznych tygodni, kiedy toczyła się walka o Wołgę. Walka ta skończyła się już dawno. Władza sowiecka zbliżyła się do Oceanu Spokojnego.

Żołnierze naszego pociągu bili się dzielnie pod murami Piotrogradu... Piotrogród ocalał i w ciągu lat ostatnich gościł w swych murach wielu przedstawicieli wszechświatowego proletariatu.

Pociąg nasz nieraz był na froncie zachodnim. Dziś z Polską zawarliśmy rozejm.

Żołnierze naszego pociągu byli w stepach nad Donem, kiedy Krasnow, a później Denikin nacierali z południa na Rosję Sowiecką. Dni Krasnowa i Denikina minęły już dawno.

Pozostał Krym, który rząd francuski przekształcił w swą twierdzę. Białogwardyjską załogą tej twierdzy francuskiej dowodzi niemiecko-rosyjski najmita, generał baron Wrangel.

Na nową wyprawę udaje się zgodna rodzina naszego pociągu. Oby wyprawa ta była ostatnią naszą wyprawą na wroga”.

I w istocie, wyprawa krymska była ostatnią kampanją wojny domowej. Po upływie kilku miesięcy, pociąg był już zdemobilizowany. Niechaj karty te będą braterskiem pozdrowieniem dla mych dawnych towarzyszy broni!

ROZDZIAŁ XXXV

OBRONA PIOTROGRODU

Na frontach rewolucyjnych Republiki Sowieckiej stało szesnaście armij. Wielka rewolucja francuska miała ich niemal tyleż: czternaście. Każda z tych szesnastu armij sowieckich miała swą niezbyt długą, lecz bardzo barwną historię. Wystarczy wymienić numer armji, aby wywołać w pamięci szereg jedynych w swoim rodzaju epizodów. Każda armja miała swe własne wyraziste, żywe, choć zmienne oblicze.

Dostępu do Piotrogradu od strony zachodniej broniła armja 7-a. Długotrwałe obozowanie odbiło się na niej fatalnie. Czujność osłabła. Wydzielano z tej armji najlepszych pracowników, a nawet całe oddziały, kierując je na bardziej ruchliwe odcinki frontu. Dreptanie na jednym miejscu w większości wypadków jest dla armji rewolucyjnej, której entuzjazm powinien być stale podtrzymywany, zapowiedzią niepowodzenia, jeśli nie katastrofy. Tak też było i tym razem.

W czerwcu 1919 roku, Krasnaja Górka, ważny fort w zatoce Fińskiej, został zdobyty przez oddział białogwardystów. Po upływie kilku dni oddział czerwonych marynarzy odebrał fort zpowrotem. Okazało się, że szef sztabu 7-ej armji, pułkownik Lindquist, komunikował białym wszelkie wiadomości, które posiadał z pierwszego źródła. Wspólnie z nim działali inni jeszcze spiskowcy. To zachwiało armją.

Wodzem naczelnym północno-zachodniej armji białych został w lipcu generał Judenicz, którego Kołczak uznał za swego przedstawiciela. Przy współdziałaniu Angli i Estonji powstał w sierpniu „północno-zachodni” rząd rosyjski. Znajdująca się w zatoce Fińskiej flota angielska obiecała Judeniczowi swe poparcie.

Akcja zaczepna Judenicza rozpoczęła się w czasie, kiedyśmy i tak borykali się ze śmiertelnymi trudnościami. Denikin zajął Orzeł i zagrażał Tule, głównemu ośrodkowi przemysłu wojennego. Dalej otwierała się najkrótsza droga do Moskwy. Południe koncentrowało całą naszą uwagę. Pierwszy zaraz mocniejszy cios, zadany z zachodniej strony, ostatecznie wytrącił 7-mą armję z równowagi. Zaczęła się cofać, nie stawiając prawie oporu i porzucając po drodze działa i tabory. Kierownicy piotrogrodzcy, a przede wszystkim Zinowjew, zawiadomili Lenina o doskonałym, pod każdym względem, uzbrojeniu przeciwnika: czołgi, samoloty, monitory angielskie na skrzydle armji itd. Lenin przyszedł do wniosku, że moglibyśmy walczyć skutecznie z oficerską armją Judenicza, uzbrojoną według ostatnich wymagań techniki, jedynie za cenę ogołocenia i osłabienia innych frontów, a przede wszystkim – południowego. Ale o tem mowy nawet być nie mogło. Zdaniem Lenina, nie pozostawało nic innego, jak tylko oddać Piotrogród i skrócić front. Przekonany o konieczności tak ciężkiej amputacji, Lenin począł pozyskiwać innych dla swego planu.

Gdy przyjechałem z południa do Moskwy, przeciwstawiłem się stanowczo

temu planowi. Judenicz i jego władcy nie poprzestaną na Piotrogradzie: zamierzają spotkać się z Denikinem w Moskwie. W Piotrogradzie Judenicz znajdzie wielkie bogactwa przemysłowe i rezerwy ludzkie. A ponadto, między Pitrem i Moskwą niema poważniejszych przeszkód. Wyciągałem więc wniosek: trzeba za wszelką cenę bronić Piotrogradu. Poparli mnie, rozumie się, przede wszystkim piotrogradzianie. Krestinskij, który był wtedy członkiem biura politycznego, przeszedł na moją stronę. Zdaje się, że i Stalin przyłączył się również do mnie. W ciągu jednej doby kilkakrotnie atakowałem Lenina, który powiedział wreszcie: – No cóż, niech i tak będzie, spóbjemy. – Biuro polityczne uchwaliło 15-go października moją rezolucję o sytuacji na frontach: „Biorąc pod uwagę, że państwu grozi wielkie niebezpieczeństwo wojenne, należy dążyć wszelkimi środkami do rzeczywistego przekształcenia Rosji Sowieckiej w obóz wojskowy. Przy pomocy organizacji partyjnych i zawodowych należy przeprowadzić powszechny spis członków partii, pracowników sowieckich, oraz pracowników związków zawodowych pod kątem widzenia ich zdolności do służby wojskowej”. Rezolucja wyliczała dalej szereg praktycznych środków. W sprawie Piotrogradu: „Nie oddawać”. Tego samego dnia wniosłem w Radzie Obrony projekt uchwały: „Bronić Piotrogradu do ostatniej kropli krwi, nie odstępować ani piędzi ziemi i walcząc na ulicach miasta”. Byłem przeświadczony, że gdyby nawet armji białych, liczącej, dajmy na to, z 25.000 ludzi, udało się wdrzeć do milionowego miasta, to jednak skazanaby była na zagładę w obliczu poważnego i dobrze zorganizowanego oporu na ulicach. Uważałem jednocześnie za konieczne, zwłaszcza na wypadek wystąpienia Estonji i Finlandji, przygotowanie planu odwrotu armji i robotników w kierunku południowo-wschodnim: w ten tylko sposób możnaby było ocalić kwiat robotników piotrogradzkich przed wycięciem w pień.

16-go wyjechałem do Piotrogradu. Nazajutrz otrzymałem list od Lenina: „Dnia 17-go października 1919 r. Towarzyszu Trocki. Wczoraj w nocy wysłaliśmy wam szyfrem... uchwałę Rady Obrony. Widzicie więc, że wasz plan został przyjęty. Ale odwrót robotników piotrogradzkich na południe również nie został odrzucony (plan ten rozwijaliście, podobno, wobec Krasina i Rykowa), jednak mówić o tem przed czasem znaczyłoby odwracać uwagę od walki do ostateczności. Próba oskrzydlenia i odcięcia Pitra spowoduje, naturalnie, odpowiednie zmiany, których dokonacie już na miejscu... Załączam odezwę, napisaną przeze mnie z polecenia Rady Obrony. Spieszyłem się – wypadła źle. Połóżcie lepiej mój podpis pod waszą. Pozdrowienia. – Lenin”.

Zdaje mi się, że list ten daje dokładne pojęcie o tem, w jaki sposób przezwyciężaliśmy w praktyce najostrejsze nawet epizodyczne rozbieżności, zachodzące pomiędzy mną a Leninem, rozbieżności, których nie można przecież uniknąć przy pracy, zakrojonej na taką skalę, i które nie wpływały zupełnie na nasz wzajemny stosunek i wspólną pracę. Przychodzi mi teraz na myśl: gdybym to ja w październiku 1919 roku bronił przeciwko Leninowi planu oddania Piotrogradu, a nie Lenin przeciwko mnie, istniałaby dziś obfita literatura we wszystkich językach świata, piętnująca ten zgubny wykwit „trockizmu”.

Przez cały rok 1918 Entente’a narzucała nam wojnę domową, jakoby w interesie zwycięstwa nad Wilhelmem. Ale teraz był rok 19-ty. Niemcy dawno już zostały rozbite, Entente’a nie przestawała jednak wydawać setek milionów na posiew śmierci, głodu i epidemij w krainie rewolucji.

Judenicz był jednym z kondotierów na żołdzie Anglii i Francji. Od tyłu wspierała go Estonja, lewe skrzydło zaś osłaniała Finlandja. Entente'a domagała się, aby obydwa te kraje, zawdzięczające swe wyzwolenie rewolucji, przyłożyły rękę do jej zguby. Zarówno w Helsingforsie, jak i w Rewlu, pertraktowano bez końca, szale wahały się to w tę, to w ową stronę. Z wielkim niepokojem spojrzeliśmy na te dwa państewka, które tworzyły wrogie kleszcze nad głową Piotrogradu.

1-go września pisałem w formie ostrzeżenia w „Prawdzie”: „W liczbie dywizyj, które przerzucamy obecnie na front piotrogrodzki, niepoślednie miejsce zajmie kawalerja baszkirska. Jeśli burżuazja fińska dokona zamachu na Piotrogród, czerwoni Baszkirowie wystąpią pod hasłem „Na Helsingfors!”

Dywizja kawalerji baszkirskiej została dopiero niedawno sformowana. Od pierwszej chwili zamierzałem przenieść ją do Piotrogradu, aby dać stepowcom możliwość choć krótkiego pobytu w kulturalnych warunkach miejskiej egzystencji, bliższego zetknięcia się z robotnikami, oraz odwiedzania klubów, wieców i teatrów, obecnie dochodził jeszcze jeden poważny wzgląd: trzeba było zastraszyć burżuazję fińską widmem inwazji baszkirskiej.

Jednak ostrzeżenia nasze znacznie mniej zaważyły na szali, aniżeli szybkie powodzenie Judenicza. Dnia 13-go października zajął on Ługę, 16-go zaś Krasnoje Sieło i Gaczyne, kierując uderzenie na Piotrogród i drogę żelazną Piotrogród-Moskwa. Na dziesiąty dzień ofensywy Jude» nicz dotarł już do Carskiego (Dietskiego) Sieta. Konne podjazdy nieprzyjaciela widziały z wyniosłości złożoną kopułę Isaakjewskiego soboru.

Uprowadzając wydarzenia, fińskie radio doniosło o zajęciu Piotrogradu przez oddziały Judenicza. Posłowie Entente'y w Helsingforsie zawiadomili o tem oficjalnie swe rządy. Po całej Europie, po całym świecie rozeszła się wieść o upadku czerwonego Piotrogradu. Jakaś szwedzka gazeta. pisała o „wszechświatowym tygodniu piotrogrodzkiej gorączki”.

Najbardziej gorączkowały sfery rządzące w Finlandji. Teraz już nie tylko soldateska, ale również i rząd stał się zwolennikiem interwencji. Nikt nie chciał rezygnować z łupu. Fińska socjal-demokracja, naturalnie, obiecała zachowanie „neutralności”. „Sprawę interwencji, – pisze jeden z białych histoRyków, – rozstrząsano już wyłącznie pod finansowym kątem widzenia”. Trzeba było tylko sprecyzować formalnie sprawę gwarancji w wysokości 50 milionów franków: taka była cena krwi Piotrogradu na giełdzie Entente'y.

Równie paląca była sprawa Estonji. 17-go października. pisałem do Lenina: „Jeżeli obronimy Piotrogród, na co liczę, to uzyskamy możliwość całkowitego zlikwidowania Judenicza. Trudności będziemy mieli tylko z wykorzystaniem-przez Judenicza prawa azylu w Estonji. Dobrzeby było, gdyby Estonja obroniła swe granice przed jego inwazją. W przeciwnym bowiem razie będziemy mieli prawo wdrzeć się wślad za Judeniczem na terytorjum estońskie”. Warunek ten został przyjęty dopiero wtedy, gdy nasze wojska. zaczęły już pędzić Judenicza. Ale nie odrazu nam się to udało.

W Piotrogradzie zastałem okropną dezorjentację. Wszystko się rozłaziło. Wojska cofały się, rozpraszając po drodze. Oficerowie oglądali się na komunistów, a komuniści – na Zinowjewa. Centrum dezorjentacji stanowił Zinowjew. Swierdłow powiedział mi: – Zinowjew – to uosobienie paniki. – A trzeba wiedzieć, że Swierdłow znał się na ludziach. Rzeczywiście: w okresach powodzenia, kiedy, jak mówił Lenin – nie było się czego bać, – Zinowjew bardzo łatwo bujał w siódmym niebie. Ale gdy tylko sprawy szły źle,

zazwyczaj kładł się, bez wszelkich przenośni, na kanapę i wzdychał. Począwszy od 1917 roku, przekonałem się, że Zinowjew nie zna pośrednich nastrojów, zawsze albo siódme niebo, albo kanapa. Gdy przyszedłem tym razem, zastałem go na kanapie. W otoczeniu jego znajdowali się ludzie odważni, jak na przykład Łaszewicz. Ale i im ręce opadały. Wszyscy to odczuwali i na wszystkim kładło to swoje piętno. Zadzwoiłem z Instytutu Smolnego do garażu wojskowego, aby mi przysłano samochód. Wóz nie nadjechał w oznaczonym czasie. Poznałem po głosie mojego rozmówcy, że apatia, zwątpienie i determinacja dotarły już do najniższych szczebli drabiny administracyjnej. Sytuacja wymagała nadzwyczajnych środków, gdyż wróg stał już na progu. Jak zwykle, tak i teraz, miałem oparcie w załodze mojego pociągu. Na tych ludziach można było polegać w najtrudniejszych okolicznościach. Sprawdzali, wywierali presję na chwiejnych, usuwali nieudolnych, łączyli, zatykali dziury. Odsunąłem się od oficjalnych władz, które potraciły głowy, i zwróciłem się o kilka szczebli niżej: do dzielnicowych organizacji partyjnych, do fabryk i koszar. Oczekując szybkiego oddania miasta białym, nikt nie chciał zbyt wyprzedzić. Ale nastrój zmienił się natychmiast, gdy tylko na dole wyczuło, że Piotrogradu nie oddamy, że, jeśli zajdzie potrzeba, będziemy się bronić wewnątrz miasta, na ulicach i placach. Najśmielsi i najofiarniejsi podnieśli głowy. Oddziały mężczyzn i kobiet z narzędziami saperskimi w rękach opuszczały fabryki. Żle wyglądali wówczas robotnicy piotrogrodzcy: ziemiste z niedojadania twarze, ubrania, zwisające w strzępach, na nogach dziurawe buty, częstokroć nie z jednej pary. – Towarzysze, nie oddamy Pitra? – Nie oddamy! – Szczególną namiętnością gorzały oczy kobiet. Matki, żony, córki nie chciały rozstawać się ze swymi gniazdami, niebardzo przytulnymi, co prawda, ale bądź co bądź już ogrzanimi. – Nie oddamy, – dźwięczały wysokie głosy kobiet, a ręce ścisnęły szpadle, niby karabiny. Wiele kobiet władało prawdziwym karabinem, lub stawało przy karabinie maszynowym. Całe miasto podzielono na okręgi, na czele których stanęły sztaby robotnicze. Ważniejsze punkty otaczano drutem kolczastym. Obrano szereg pozycji dla artylerji, której zawczasu wytknięto cel. Na placach i na skrzyżowaniach większych ulic ustawiono w schronach około 60 dział. Fortyfikowano kanały, skwery, mury, parkany i kamienice. Na krańcach miasta i wzdłuż Newy porobiono okopy. Cała południowa część miasta zamieniła się w twierdzę. Na wielu ulicach i placach wzniesiono barykady. Z dzielnic robotniczych wionęło ożywcze tchnienie na koszary, na tyły, na stojącą w polu armję.

Judenicz znajdował się już w odległości 10-15 wiorst od Piotrogradu. Były to te same wzgórza pod Pułkowem, na które jeździłem przed dwoma laty, gdy rewolucja, tylko co zwyciężywszy, walczyła w obronie swego życia z oddziałami Kierenskiego i Krasnowa. Los Piotrogradu teraz znów wisiał na włosku. Trzeba było natychmiast i za wszelką cenę przełamać bezwład odwrotu.

W rozkazie z dnia 18-go października domagałem się, „aby nie podawano kłamliwych informacji o strasznych walkach tam, gdzie mogła być tylko straszna panika. Za nieprawdziwe informacje – karać, jak za zdradę. Na wojnie dopuszczalne są błędy, ale nie kłamstwo, kręctwo i oszukiwanie samego siebie”. Jak zwykle w ciężkich chwilach, tak i teraz, uważałem za konieczne ujawnić krajowi i armji okrutną prawdę w całej rozciągłości. Podałem do publicznej wiadomości fakt bezmyślnego odwrotu, który wydarzył się tego

samego dnia. „Kompanję pułku strzelców ogarnął niepokój na widok tyraljery nieprzyjacielskiej, która rozciągnęła się nawprost jej skrzydła. Dowódca pułku nakazał odwrót. Pułk przebiegł kłusem 8-10 wiorst, cofając się do Aleksandrówki. Po sprawdzeniu okazało się, że na skrzydle pułku stał jeden z naszych własnych oddziałów... Pułk: który się cofnął, nie należał, jednak, do najgorszych. Gdy tylko odzyskał utraconą wiarę w swe siły, zawrócił natychmiast zpowrotem i szybkim krokiem lub biegiem, zziąjany, nie bacząc na zimno, w ciągu godziny przeszedł 8 wiorst, wyparł nielicznego przeciwnika i, poniosłszy nieznaczne straty, zajął swe dawne pozycje”.

W drobnym tym epizodzie wypadło mi, po raz pierwszy i ostatni w ciągu całej wojny, odegrać rolę dowódcy pułku. Kiedy cofające się tyraljery poczęły prawie bezpośrednio napierać na rozlokowany w Aleksandrówce sztab dywizji, dosiadłem pierwszego z brzegu wierzchowca i kazałem żołnierzom zawrócić. W pierwszej chwili powstało zamieszanie, gdyż nie wszyscy rozumieli, o co chodzi, i niektórzy cofali się dalej. Siedząc na koniu, zawracałem poszczególnych żołnierzy. Wtedy dopiero zauważyłem, że za mną pędzi mój ordynans Kozłow, chłop z pod Moskwy, były żołnierz. Był zupełnie jak pijany. Z naganem w ręku biegał, jak szalony, wzdłuż szeregów, powtarzał moje nawoływania i wymachując rewolwerem, wrzeszczał w niebogłosy: – Nie bójta się, chłopaki, towarzysz Trocki was prowadzi. – Pułk nacierał teraz w równie szybkim tempie, w jakim poprzednio się cofał. Ani jeden czerwony żołnierz nie pozostawał w tyle. W odległości jakichś dwóch wiorst zaczął dolatywać cikliwy i wstrętny poświst kuł, padli pierwsi ranni. Dowódca pułku zmienił się nie do poznania. Zjawiał się na najniebezpieczniejszych odcinkach i, zanim pułk zdążył zająć zpowrotem opuszczone pozycje, został ranny w obie nogi. Powracałem do sztabu samochodem ciężarowym. Po drodze zabieraliśmy rannych. Impuls był dany. Odczułem całym mem jestestwem, że zdołamy obronić Piotrogród.

W tem miejscu należy może poświęcić kilka słów zagadnieniu, które, prawdopodobnie, nasuwało się już parę razy czytelnikowi: czy człowiekowi, sprawującemu dowództwo nad całą armją, wolno narażać się na niebezpieczeństwo w poszczególnych bitwach? Odpowiem na to: niema bezwzględnych reguł postępowania ani w czasie pokoju, ani też w czasie wojny. Wszystko zależy od okoliczności. Oficerowie, towarzyszący mi podczas moich podróży na fronty, mawiali nieraz: – W takie miejsca nie zaglądali za dawnych czasów nawet dowódcy dywizyj. – Burżuazyjni dziennikarze pisali z tej racji, że „uganiam się za reklamą”, tłumacząc w ten sposób na zrozumiały dla nich język to, co wykraczało poza obręb ich horyzontu.

W istocie rzeczy, warunki powstania czerwonej armji, dobór jej składu osobowego, oraz charakter wojny domowej wymagały takiego właśnie, a nie innego postępowania. Wszystko przecież trzeba było stwarzać: dyscyplinę, bojową praktykę i wojskowe autorytety. Podobnie, jak nie potrafiliśmy, szczególnie na samym początku, planowo zaopatrywać armji we wszystko niezbędne z jednego źródła centralnego, tak też tego naprędce w ogniu skleconego wojska nie mogliśmy natchnąć entuzjazmem rewolucyjnym za pomocą okólników lub napoły anonimowych odezw. Trzeba było pod okiem żołnierzy zdobywać sobie ów autorytet, któryby nazajutrz usprawiedliwiał w ich oczach surowe wymagania ze strony naczelnego dowództwa. Gdzie nie było tradycji, tam potrzebny był jaskrawy przykład. Ryzyko osobiste było

nieuniknionym nakładem na naszej drodze do zwycięstwa...

Skład osobowy dowództwa, które przywykło do niepowodzeń, należało cokolwiek przetrząsnąć, odświeżyć, odnowić. Jeszcze znaczniejszych zmian dokonaliśmy w składzie komisarzy. Wszystkie oddziały wzmocniano wcielaniem do nich komunistów. Nadciągały też poszczególne nowe oddziały. Szkoły wojskowe rzuciliśmy na czołowe pozycje. W ciągu kilku dni zdołaliśmy usprawnić aparat zaopatrywania, który był w stanie zupełnego rozkładu. Czerwony żołnierz podjadł sobie dobrze, zmienił bieliznę, obuwie, wysłuchał kilku mów, otrząsnął się, podciągnął – i stał się innym człowiekiem.

Dzień 21-szy października był rozstrzygający. Wojska nasze cofnęły się na wzgórze pod Pułkowem. Dalszy ododwrót znaczyłby, że walka będzie się toczyć w murach miasta. Aż do owego dnia nacierające białe wojska nie natrafiały na poważniejszy opór. Dnia 21-go października nasza armja umocniła się na linii Pułkowa i oparła się wrogowi. Wróg zatrzymał się. Dnia 22-go października czerwona armja przeszła do ataku. Judenicz zdążył jednak ściągnąć rezerwy i wzmocnić swe szeregi. Rozgorzała zacięta walka. Pod wieczór 23-go zajęliśmy Dietskoje Sieło i Pawłowsk. Sąsiednia 51-a armja poczęła tymczasem nacierać od strony południa, zagrażając coraz bardziej tyłom i prawemu skrzydłu białych. Nastąpił przełom. Poszczególne oddziały, zaskoczone znienacka przez ofenzywę i rozgoryczone szeregiem niepowodzeń, poczęły współzawodniczyć ze sobą w poświęceniu i bohaterstwie. Straty były znaczne. Białe dowództwo utrzymywało, że my ponieśliśmy większe straty. Być może: oni posiadali więcej doświadczenia i broni. Z naszej zaś strony była przewaga poświęcenia. Młodociani robotnicy i włościanie, moskiewscy i piotrogrodzcy kursieci nie oszczędzali się wcale. Szli do ataku pod ogniem karabinów maszynowych, z rewolwerem w rękę rzucali się na czołgi. Sztab białych pisał o „bohaterskim szaleństwie” czerwonych.

Aż do owego dnia nie mieliśmy prawie jeńców. Białych, przechodzących na naszą stronę, można było policzyć na palcach. Teraz liczba ich i liczba jeńców odrazu się wzmogła. Biorąc pod uwagę zaciekłość, z jaką toczyły się walki, wydałem dnia 24-go października rozkaz: „Biada temu niegodnemu żołnierzowi, który zamierzy się na bezbronnego jeńca lub uciekiniera!”

Nacieraliśmy dalej. Estończycy i Finnowie porzucili wszelką myśl o interwencji. Rozbita na głowę armja białych, cofając się, po dwóch tygodniach w stanie zupełnego rozkładu, przekroczyła granice Estonji, gdzie została rozbrojona przez rząd estoński. W Londynie i w Paryżu nikt już o niej nie myślał. Z głodu i zimna zginęło to, co jeszcze wczoraj uchodziło za „północno-zachodnią armję” Entente’y. W barakach szpitalnych umieszczono 14.000 chorych na tyfus. Taki był koniec „wszechświatowego tygodnia gorączki piotrogrodzkiej”.

Przywódcy białych uskarżali się później gorzko na admirała angielskiego Cvena, który, wbrew obietnicy, miał podobno w sposób niedość energiczny pomagać im od strony zatoki Fińskiej. Skargi te są, conajmniej, przesadzone. Trzy nasze torpedowce zatopione zostały podczas nocnej wyprawy przez miny, pogrążając ze sobą w odmęty 550 młodych marynarzy. Tą naszą stratą należy w każdym razie uznać rachunek brytyjskiego admirała. Żałobny rozkaz do armji i floty, głosił tego dnia: „Czerwoni żołnierze! Na wszystkich frontach napotykanie wroga knowania Anglii. Wojska kontrrewolucyjne strzelają do was z angielskich dział. W składnicach Szenkurska, Onegi, południowego i zachodniego frontu znajdujecie amunicję i ekwipunek, wykonane w Anglii.

Jeńcy, wzięci przez was do niewoli, odziani są w angielskie mundury. Angielscy lotnicy zabijają i kaleczą kobiety i dzieci w Archangielsku i Astrachaniu przy pomocy angielskiego dynamitu. Angielskie okręty ostrzeliwują nasze wybrzeża...

Ale nawet i teraz, w chwili, gdy staczamy zacięte walki z najmitą angielskim, Judeniczem, żądam od was, abyście nigdy nie zapominali, że istnieją dwie Anglje. Obok Anglji zysków, przemocy, przekupstwa, chciwości, istnieje Anglja pracy, tężyzny duchowej, wzniosłych ideałów międzynarodowej solidarności. Walczy z nami Anglja giełdjarzy, owa przyziemna i bezecna Anglja. Anglja ludu i pracy jest z nami". (Rozkaz do armji i floty z dnia 24-go października 1919 roku, N° 159).

Łączylismy ściśle zadania wychowania socjalistycznego z zadaniami wojennymi. Albowiem każda idea, docierająca do świadomości ludzkiej w ogniu walki zbrojnej, umacnia się w tej świadomości i pozostaje w niej na zawsze.

Pierwiastki tragiczne w dramatach Szekspira ustępują miejsca pierwiastkom komicznym z tych samych powodów, dla których rzeczy wielkie i wzniosłe kojarzą się w życiu ludzkim z małymi i poziomymi.

Zinowjew, który tymczasem wstał z kanapy i gramolił się na drugie, czy trzecie niebo, wręczył mi w imieniu Międzynarodówki Komunistycznej następujące orędzie: „Obrona czerwonego Piotrogradu przed wrogiem jest znakomitą przysługą, wyświadczoną wszechświatowemu proletarjatowi, a przez to samo – również i Międzynarodówce Komunistycznej. Naczelne miejsce podczas walki, która toczyła się o Piotrogród, zajęliście naturalnie, wy, drogi towarzyszu Trocki. W imieniu Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej oddaję wam sztandary, które proszę wręczyć najbardziej zasłużonym oddziałom dowodzonej przez was świetnej Czerwonej Armji. Przewodniczący Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej G. Zinowjew”.

Podobne orędzia otrzymałem od sowietu piotrogradzkie-go, od organizacji zawodowych i t. p. Sztandary wręczyłem pułkom, orędzia zaś sekretarze złożyli do archiwum, skąd zabrano je znacznie później, gdy Zinowjew innym zupełnie głosem począł śpiewać zupełnie inne piosenki.

Niepodobna już teraz nie tylko dokładnie odtworzyć, ale nawet dobrze przypomnieć sobie szczegółów owego wybuchu entuzjastycznej radości, którą wywołało zwycięstwo, odniesione pod Piotrogradem. Zbiegło się ono ponadto z pomyślnymi wynikami decydujących operacyj na froncie południowym. Rewolucja znów wysoko podnosiła głowę. Zwycięstwo, odniesione nad Judeniczem, miało w oczach Lenina tem większe znaczenie, że w połowie października uznawał je za prawie niemożliwe. Biuro polityczne postanowiło odznaczyć mnie za obronę Piotrogradu orderem Czerwonego Sztandaru. Uchwała postawiła mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji. Na wprowadzenie orderu rewolucyjnego zgodziłem się nie bez wahania: niedawno dopiero znieśliśmy przecież orderzy dawnego régime'u. Przez wprowadzenie orderu miałem zamiar stworzyć dodatkowy impuls dla tych, którym nie wystarczało wewnętrzne poczucie obowiązku rewolucyjnego. Lenin poparł mnie. Order przyjął się. Przyznawano go, przynajmniej w owym czasie, za zasługi

wojskowe, okazane w ogniu walki. Teraz order ten został przyznany mnie samemu. Nie mogłem odmówić przyjęcia, aby nie dyskwalifikować odznaki, którą tyle razy sam rozdawałem. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko podporządkować się konwenansowi.

Ze sprawą tą łączy się pewien epizod, który dopiero znacznie później ujrzałem we właściwym świetle. Pod koniec posiedzenia biura politycznego, Kamieniew z pewnym jakgdyby zażenowaniem zgłosił wniosek o przyznanie orderu Stalinowi. – Za co? – spytał się Kalinin tonem szczerego oburzenia. – Za co Stalinowi? Zupełnie tego nie rozumiem! – Udobruchano Kalinina jakimś żartem i sprawę rozstrzygnięto w sensie dodatnim. Podczas przerwy Bucharin rzucił się na Kalinina: – Że też nie rozumiesz, że to Iljicz wymyślił: Stalin nie przeżyłby, gdyby ktoś inny miał to, czego on nie ma. Nie darowałby tego. – Całkowicie zrozumiałem Lenina i w myśli przyznawałem mu słuszność.

Dekoracja odbyła się w Wielkim teatrze w sposób bardzo uroczysty, po wygłoszeniu przeze mnie odczytu na wspólnym posiedzeniu kierowniczych instytucji sowieckich. Począłem bić brawo, gdy przewodniczący wymienił ku końcowi nazwisko Stalina. Odpowiedziały na to dwa, czy trzy niezdecydowane oklaski. Przez salę przebiegł chłód zdziwienia, szczególnie wyraźny po głośniejszej owacji, która skończyła się przed chwilą. Stalin świecił przezornie nieobecnością.

O wiele większą satysfakcję sprawiło mi zbiorowe odznaczenie orderem Czerwonego Sztandaru mojego pociągu, jako całości. W rozkazie z dnia 4-go listopada znajduje się następujący ustęp: „Pracownicy naszego pociągu od 17-go października do 3-go listopada brali zaszczytny udział w bohaterskich walkach armji 7-ej. Towarzysze Kliger, Iwanów i Zastar polegli na placu boju. Towarzysze Prede, Draudin, Purin, Czemiawcew, Kupryjewicz, Tesnek odnieśli rany. Towarzysze Adamson, Purin, Kiselis zostali kontuzjowani... Nie wymieniam innych nazwisk, gdyż musiałbym wymienić wszystkie. Do przełomu, który dokonał się na froncie, w znacznym stopniu przyczynili się pracownicy naszego pociągu”.

Po upływie kilku miesięcy, pewnego razu zatelefonował do mnie Lenin: – Czyście czytali książkę Kirdecowa? – Nazwisko to nic mi nie mówiło. – Jest to biały, wróg. Píše o ofenzywie Judenicza na Piotrogród: – Należy nadmienić, że Lenin o wiele uważniej ode mnie czytywał prasę białych. Nazajutrz zapytał mnie znowu: – Czyście przeczytali? – Nie czytałem. – Przyślę wam, jeżeli chcecie. – Ale książkę tę powinienem był mieć, gdyż otrzymywałem przez Berlin te same nowości, co Lenin. – Przeczytajcie sobie koniecznie ostatni rozdział: to ocena nieprzyjaciela, jest tam też coś o was... – Nie znalazłem jednak czasu na przeczytanie tej książki. Dzięki dziwnemu przypadkowi dostała się do moich rąk dopiero niedawno w Konstantynopolu. Przypomniałem sobie, jak uporczywie Lenin zalecał mi przeczytanie ostatniego rozdziału, który go tak zainteresował, oto jak ocenia nieprzyjaciela jeden z ministrów Judenicza: „16-go października Trocki przyjechał spieszenie na front piotrogrodzki: jego wrząca energia zastąpiła niezdecydowanie czerwonego sztabu. Na kilka godzin przed kapitulacją Gaczkiny, Trocki usiłuje jeszcze powstrzymać nacierających białych, widząc jednak, że jest to niepodobieństwem, opuszcza miasto, aby zorganizować obronę Carskiego Siela. Większe rezerwy nie zdążyły jeszcze nadejść, skupia jednak spieszenie wszystkich kursistów piotrogrodzkich, mobilizuje całą ludność męską Piotrogradu, pędzi wszystkie czerwone oddziały zapomocą karabinów

maszynowych (!) zpowrotem na pozycje i, dzięki zastosowanym przezeń energicznym środkom, doprowadza do stanu obronnego wszystkie dostępy do Piotrogradu”... „Trockiemu udało się zorganizować w samym Piotrogradzie oddziały, składające się z uświadomionych robotników komunistycznych, które rzucił w zamęt walki. Według świadectwa sztabu Judenicza, nie (?) jednostki Czerwonej Armji, lecz te właśnie oddziały, a ponadto jeszcze bataljony marynarzy i kursisici, biły się, jak lwy. Szli z bagnetami na czołgi i, padając całymi szeregami od morderczego ognia stalowych potworów, bronili w dalszym ciągu wytrwale swych pozycji”.

Nikt nie zapędzał na front czerwonych żołnierzy za pomocą karabinów maszynowych. Ale Piotrogród obroniliśmy.

ROZDZIAŁ XXXVI

OPOZYCJA WOJSKOWA

Sprawa pomyślnej rozbudowy Armji Czerwonej uzależniona była przede wszystkim od układu stosunków wzajemnych pomiędzy proletariatem i włościanstwem w naszym kraju. Później, w roku 1923-im, wymyślono bezdennie głupią legendę o „niedocenianiu” przeze mnie włościanstwa. W istocie zaś, począwszy od 1918, aż do 1921-go roku, mało kto bliżej ode mnie stykał się bezpośrednio, w życiu codziennym z zagadnieniem wsi sowieckiej: żywiol włościański stanowił główny rdzeń armji, która działała ponadto w środowisku włościańskim. Nie mogę tutaj zastanawiać się dłużej nad tem ważnym zagadnieniem. Poprzestanę tylko na kilku możliwie najjaskrawszych przykładach. Dnia 22-go marca 1919-go r. telegraficznie domagałem się od Centralnego Komitetu, aby: „powzięto decyzję w sprawie dokonania rewizji w okręgu Nadwołżańskim przez posiadającą dostateczny autorytet komisję, z ramienia Centralnego Komitetu Wykonawczego i Centralnego Komitetu. Zadaniem komisji byłoby wzmocnienie wśród włościanstwa nadwołżańskiego, zaufania do władzy sowieckiej, ukrócenia najjaskrawszych nadużyć w życiu miejscowem, oraz ukarania najbardziej winnych przedstawicieli władzy sowieckiej, wreszcie – zebranie zażaleń i materiałów, które mogłyby stanowić podstawę do opracowania manifestacyjnych dekretów na rzecz średnio-zamożnego włościanstwa”. Należy nadmienić, że rozmowę powyższą przewodem bezpośrednim prowadziłem ze Stalinem i właśnie jemu tłumaczyłem, jaką wagę posiada sprawa średnio-zamożnego włościanstwa. W tym samym 1919-ym roku na przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego wybrano z mojej inicjatywy Kalinina, jako człowieka, zbliżonego do średniego włościanstwa i dobrze znającego jego potrzeby. O wiele ważniejszym jest jednak fakt, że wskutek obserwacji, poczynionych przeze mnie nad życiem włościan na Uralu, już w lutym 1920-go roku domagałem się uporczywie, abyśmy przeszli na nową politykę gospodarczą (nep). Udało mi się wtedy pozyskać w Centralnym Komitecie zaledwie 4 głosy, przeciwko 11-u. Lenin był podówczas przeciwny skasowaniu kontyngentów zbożowych i zajmował w tej sprawie nieprzejednane stanowisko. Stalin, rozumie się, głosował przeciwko mnie. Przejście na nową politykę gospodarczą nastąpiło dopiero po upływie roku. Uchwała zapadła, co prawda, jednogłośnie, lecz przy akompaniamencie armat powstania kronsztadzkiego i w atmosferze groźnych nastrojów, nurtujących w całej armji. W dziedzinie wojskowości wyłoniły się przed nami najwcześniej, i to w skoncentrowanej formie, niemal wszystkie, jeżeli nie wszystkie zasadnicze zagadnienia i trudności organizacji ustroju sowieckiego, które w innych dziedzinach ujawniły się dopiero w późniejszych latach. Sprawy wojskowe z reguły nie dopuszczają żadnej zwłoki. Błędy pociągały za sobą niezwłoczną karę. Opozycja przeciwko powziętym decyzjom podlegała natychmiastowej

próbie czynu. Temu też, naogół, zawdzięcza czerwona armja pewną logikę wewnętrzną w swej organizacji, która odbywała się bez gorączkowego przerzucania się od systemu do systemu. Gdybyśmy mieli więcej czasu na dyskusje i deliberacje, narobiliśmy na pewno znacznie więcej błędów.

Tem nie mniej wewnątrz partji toczyła się walka, chwilami nawet bardzo zacięta. Bo czy mogło być inaczej? Sprawa była przecież zbyt nowa, a trudności, które napotymano – zbyt wielkie.

Podczas gdy resztki dawnej armji wciąż jeszcze rozłaziły się po kraju, siejąc nienawiść do wojny, my jednak byliśmy zmuszeni rozpocząć formowanie nowych pułków. Oficerów carskich wypędzano z dawnej armji, gdzie niegdzie rozprawiano się z nimi w sposób okrutny. My zaś musieliśmy ich angażować na instruktorów w nowej armji. Komitety, które powstały w dawnych pułkach, były niejako uosobieniem rewolucji jako takiej, a conajmniej – rewolucji w jej pierwszym okresie. W nowych pułkach nie można było tolerować żadnych reprezentacyj żołnierskich, stanowiących pierwiastek rozkładu. Ledwo ucichły przekleństwa, miotane na starą dyscyplinę, jakeśmy już zaczęli wprowadzać nową. W krótkim czasie trzeba było przetrzucić się od zasady ochotniczego zaciągu do przymusowej rekrutacji, od tworzenia oddziałów partyzanckich – do regularnej organizacji wojskowej. Partyzantkę zwalczaliśmy ustawicznie i wytrwale, co wymagało wielkiego hartu, nieustępliwości, a czasami i surowości. Chaotyczna partyzantka była wyrazem chłopskiego podkładu rewolucji. Walka z partyzantką oznaczała więc walkę o państwowość proletarjacką z podkopującym ją anarchistycznym żywiołem drobnomieszczańskim. Jednak metody i nawyknięcia partyzanckie znajdowały swe odzwierciedlenie również i w szeregach partji.

Opozycja w sprawach wojskowych powstała zaraz w pierwszych miesiącach organizowania czerwonej armji. Podstawowe tezy opozycji sprowadzały się do obrony systemu obieralnego dowództwa i do protestu przeciwko angażowaniu specjalistów, wprowadzaniu żelaznej dyscypliny, centralizacji armji itd. Opozycjoniści usiłowali ująć swe dążenia w jedną ogólną teoretyczną formułę. Armja scentralizowana – utrzymywali – jest armją państwa imperjalistycznego. Rewolucja winna zerwać raz na zawsze nie tylko z wojną pozycyjną, lecz również i ze scentralizowaną armją. Najistotniejsze cechy rewolucji to ruchliwość, śmiały atak i szybki manewr. Siłę wojskową rewolucji stanowi nieliczny samodzielny oddział, składający się ze wszystkich rodzajów broni, nieskrępowany zależnością od bazy, lecz czerpiący siły żywotne z sympatji ludności, łatwo przedostający się na tyły nieprzyjaciela i t. d. Jednym słowem, taktyka partyzantki podniesiona została do godności taktyki rewolucji. Rozumowania te nosiły bardzo oderwany charakter i były w swej istocie idealizowaniem naszej słabości. Ciężkie doświadczenia wojny domowej obaliły rychło wszystkie te przesady. Zalety scentralizowanej organizacji i strategii w porównaniu z lokalną improwizacją, separatyzmem wojskowym i federalizmem ujawniły się w krótkim czasie bardzo dobitnie na tle doświadczeń wojny.

Służbę w armji czerwonej pełniły tysiące, a później nawet dziesiątki tysięcy oficerów kadrowych. Niejeden z nich jeszcze przed dwoma laty uważał, że umiarkowany liberał jest skrajnym rewolucjonistą, bolszewik zaś – zjawiskiem, należącym do dziedziny czwartego wymiaru. „Bylibyśmy doprawdy zbyt złego mniemania o nas samych i o naszej partji – pisałem przeciwko ówczesnej opozycji, – o sile moralnej naszej idej, o zdolności

atrakcyjnej naszej etyki rewolucyjnej, gdybyśmy przypuszczali, że nie potrafimy pozyskać dla siebie tysięcy i dziesiątków tysięcy specjalistów, a w ich liczbie – również i specjalistów wojskowych”. Z pewnymi trudnościami i tarciami, udało się nam jednak tego niewątpliwie dokonać.

Komuniści niełatwo wdrazali się do roboty wojskowej. Wymagała ona doboru, oraz wychowania. Jeszcze w roku 1918-ym telegrafowałem do Lenina z pod Kazania: „Kierujcie tutaj tylko takich komunistów, którzy potrafią się podporządkowywać, gotowi są znosić niedostatek i iść na śmierć. Podszyci wiatrem agitatorzy są tutaj niepotrzebni”. Po upływie roku, będąc na Ukrainie, w której anarchja szczególnie się panoszyła, nie szcędząc nawet szeregów partji, pisałem w rozkazie do 14-ej armji: „Uprzedzam, że każdy komunista, wydelegowany przez partję do szeregów wojskowych, staje się przez to samo czerwonym żołnierzem, posiadającym takie same prawa i obowiązki, jak każdy inny żołnierz armji czerwonej. Komuniści, którzy popełniając występki, lub przestępstwo, nie uszanują swego rewolucyjnego obowiązku wojskowego, ulegną podwójnemu wymiarowi kary: nie można puszczać płazem członkowi partji, stojącej na czele klasy robotniczej całego świata, tego, co można wybaczyć, nieuświadomionemu człowiekowi”. Rozumie się, że na tem tle wynikło wiele starć i że nie brakło niezadowolonych.

Do opozycji wojskowej należał, na przykład, Piatakow, obecny dyrektor Banku Państwa. Przyłączał się zasadniczo do wszelkiej wogóle opozycji, aby wreszcie zostać urzędnikiem. Przed trzema, czy czterema laty, gdy wraz z Piatakowem należeliśmy do tego samego ugrupowania, przepowiedziałem w formie żartobliwej, że w razie przewrotu bonapartystowskiego, Piatakow, nazajutrz po przewrocie, weźmie swą tekę pod pachę i uda się do kancelarji. Muszę teraz w poważniejszym tonie dodać, że o ile to nie będzie miało miejsca, to chyba tylko dlatego, że nie dojdzie do przewrotu bonapartystowskiego, lecz bynajmniej nie z winy samego Piatakowa. Na Ukrainie Piatakow cieszył się znacznym wpływem. Nie było to rzeczą przypadku: posiada pewne wykształcenie marksowskie, szczególnie w dziedzinie ekonomji, i obdarzony jest niewątpliwym talentem administracyjnym, oraz silną wolą. W ciągu pierwszych kilku lat, Piatakowa cechowała również energia rewolucyjna, która przekształciła się jednak wkrótce w biurokratyczny konserwyzm. Rozpocząłem walkę z napoły anarchistycznymi poglądami Piatakowa na organizację armji od powierzenia mu odpowiedzialnego stanowiska, na którym musiał przejść od razu od słów do czynu. Jest to stary, ale czasami niezastąpiony, sposób. Zmysł administracyjny podpowiedział niebawem Piatakowowi, że należy stosować właśnie te metody, które zwalczał dotychczas w utarczkach słownych. Podobne metamorfozy zdarzały się dość często. Wszystkie lepsze żywioły z pośród zwolenników opozycji wojskowej wciągnęły się wkrótce do roboty. Najbardziej nieprzejednanym opozycjonistom zaproponowałem, aby utworzyli kilka pułków, w myśl głoszonych przez nich zasad, i obiecałem oddać do ich dyspozycji potrzebne do tego środki. Wyzwanie przyjęła jedna tylko grupa powiatowa nad Wołgą, jednak utworzony przez nią pułk nie różnił się niczem szczególnem od innych formacyj. Armja czerwona odnosiła tymczasem zwycięstwa na wszystkich frontach i w rezultacie opozycja umilkła wreszcie zupełnie.

Odrębne stanowisko w czerwonej armji i wśród opozycji wojskowej zajmował Carycyn, w którym pracownicy wojskowi zgrupowali się dokoła

Woroszyłowa. Na czele oddziałów rewolucyjnych stali tu przeważnie byli podoficerowie, pochodzący z chłopów północno-kaukaskich. Głęboki antagonizm, istniejący pomiędzy kozakami a chłopami, wycisnął na wojnie domowej w południowych stepach piętno szczególnego okrucieństwa. Wojna domowa wdzieriała się tutaj w głąb każdej wsi i doprowadzała nieraz do wycinania w pień całych rodzin. Była to par excellence wojna chłopska, która korzeniami swymi wrosła głęboko w miejscową glebę i nieokrzesanem okrucieństwem znacznie przewyższała walkę rewolucyjną w innych dzielnicach kraju. Wojna ta zrodziła wielką ilość dzielnych partyzantów, którzy byli zupełnie na miejscu w lokalnych utarczkach, ale zazwyczaj nie dopisywali, gdy chodziło o rozwiązywanie zadań wojskowych na szerszą skalę.

Biografia Woroszyłowa świadczy o życiu robotnika-rewolucjonisty: kierowanie strejkami, robota konspiracyjna, więzienie, zesłanie Ale, jak tyłu innych, należących dzisiaj do warstwy kierowniczej, był też i Woroszyłow tylko rewolucyjnym narodowym demokratą, pochodzącym ze sfery robotniczej, i nic ponadto. Ujawniło się to po raz pierwszy w sposób bardzo jaskrawy podczas wojny imperjalistycznej, następnie zaś podczas rewolucji lutowej. W oficjalnych życiorysach Woroszyłowa okres 1914-1917 stanowi wielką lukę, podobnie jak i u przeważającej większości dzisiejszych kierowników. Tajemnica owej luki polega na tem, że ludzie ci podczas wojny byli przeważnie patriotami i zaprzestali wszelkiej roboty rewolucyjnej. Podczas rewolucji lutowej, Woroszyłow, podobnie jak i Stalin, byli lewicowcami, okazującymi poparcie rządowi Guczkowa-Milukowa. Byli to skrajni demokraci rewolucyjni, ale bynajmniej nie internacjonalści. Można ustalić pewną regułę: bolszewicy, którzy w czasie wojny byli patriotami, po lutowym przewrocie zaś – demokratami, są obecnie zwolennikami stalinowskiego nacjonalistycznego socjalizmu. Woroszyłow nie stanowi pod tym względem wyjątku.

Aczkolwiek Woroszyłow pochodzi ze środowiska ługańskich robotników, z najbardziej uprzywilejowanej warstwy robotniczej, to jednak wszystkie jego nawyki i upodobania przypominały raczej drobnego gospodarza, aniżeli proletariusza. Po przewrocie październikowym Woroszyłow siłą rzeczy skupił dokoła siebie opozycję podoficerów i partyzantów przeciwko scentralizowanej organizacji wojskowej, która wymagała umiejętności i wiedzy wojskowej, oraz szerszych horyzontów. W taki to sposób powstała opozycja carycyńska.

W otoczeniu Woroszyłowa z nienawiścią mówiono o specjalistach, wojskowych z akademickim wykształceniem, wyższych sztabach, o Moskwie. Ponieważ jednak przywódcy partyzantów nie posiadali sami wiedzy wojskowej, każdy z nich miał pod ręką swego „specja”, tylko pośledniejszego gatunku, który mocno trzymał się swego- miejsca, broniąc go przed bardziej uzdolnionymi i wykształconymi. Stosunek carycyńskich dowódców do naczelnego dowództwa południowego frontu sowieckiego był nie o wiele lepszy od ich stosunku do białych. Stosunki z moskiewskim centrum ograniczały się do ciągłego domagania się zaopatrzenia. A wszystkiego mieliśmy skąpo. Cała produkcja fabryk szła natychmiast do armij. Ale żadna z nich nie pochłaniała takiej ilości karabinów i amunicji, jak armja carycyńska. Lada odmowa powodowała wrzask ze strony Carycy o zdradzie „speców” moskiewskich. W Moskwie zamieszkiwał specjalny przedstawiciel armji carycyńskiej do wymuszania zaopatrzenia, marynarz nazwiskiem Żywodior.

Gdyśmy wzmocnili sieć dyscypliny, Żywodior został bandytą. Schwytano go, zdaje się, i rozstrzelano.

Stalin spędził kilka miesięcy w Carycynie. Walkę zakulisową, prowadzoną przeciwko mnie, a stanowiącą już podówczas najistotniejszą część jego działalności, kojarzył z domorosłą opozycją Woroszyłowa i najbliższych jego współtowarzyszów. Zachowywał się jednak w taki sposób, aby w każdej chwili móc się wycofać z akcji.

Nie było dnia, w którym nie wpływałyby skargi naczelnego dowództwa i dowództwa frontu na Carycyn. Nie sposób osiągnąć wykonania wydanych rozkazów, trudno pojąć, co się tam dzieje, a, nadmiar wszystkiego, nie otrzymuje się żadnej odpowiedzi na skierowane do Carycyna zapytania. Lenin z niepokojem obserwował rozwój tego zatargu. Ponieważ Stalina znał lepiej, niż ja, przypuszczał więc najwidoczniej, że główną przyczyną nieustępliwości carycynowców, są jego zakulisowe machinacje. Wytwarzała się sytuacja nie do zniesienia. Postanowiłem, że w Carycynie trzeba zaprowadzić porządek. Po nowym zatargu dowództwa z Carycynem, zażądałem kategorycznie odwołania Stalina. Dokonano tego za pośrednictwem Swierdłowa, który przyjechał po Stalina osobiście, specjalnym pociągiem. Lenin dążył do zredukowania konfliktu do minimum i miał słuszną rację. Ja zaś, nigdy zbyt nie zaprzętałem sobie głowy Stalinem. W roku 1917-ym przesunął się obok mnie, jak nikły cień. W ogniu walk zapominałem zazwyczaj zupełnie o jego egzystencji. Myślałem o armji carycyńskiej. Musiałem być zupełnie pewien lewego skrzydła frontu południowego, więc pojechałem do Carycyna, ażeby dopiąć tego za wszelką cenę. Swierdłowa spotkałem w drodze. Wypytywał mnie ostrożnie o moje zamiary, wreszcie zaproponował mi, abym pomówił ze Stalinem, który powracał wagonem Swierdłowa. – Czyżbyście naprawdę chcieli wypędzić ich wszystkich? – zadał mi Stalin pytanie głosem, w którym brzmiała umyślnie zaakcentowana pokora. – Przecież to porządni chłopcy. – Ci porządni chłopcy zaprzepaszczą rewolucję, która nie może przecież czekać, aż wyrosną z lat chłopięcych. Chcę jednej tylko rzeczy: przyłączenia Carycyna do Rosji Sowieckiej. Po upływie kilku godzin zobaczyłem się z Woroszyłowem. Sztab ogarnął niepokój. Puszczono pogłoskę, że Trocki jedzie z wielką miotłą i że towarzyszy mu ze dwudziestu generałów carskich, którzy mają zastąpić przywódców partyzanckich. Przywódcy ci, nawiasem mówiąc, bezpośrednio przed moim przyjazdem spieszenie przedzierzgnęli się w komendantów pułków, brygad i dywizyj. Zapytałem Woroszyłowa, jak zapatruje się na rozkazy frontu i naczelnego dowództwa? Odpowiedział mi zupełnie otwarcie: – Carycyn uważa, że należy wykonywać tylko te rozkazy, które sam uzna za słuszne. – Tego było już za wiele. Oświadczyłem więc Woroszyłowowi, że jeśli nie zobowiąże się wykonywać ściśle i bez żadnych zastrzeżeń wszystkich rozkazów i zadań operacyjnych, odeślę go natychmiast pod konwojem do Moskwy, aby oddać go w ręce sprawiedliwości wojskowej. Nikogo nie usunęłem, gdyż uzyskałem od nich formalne zobowiązanie do uległości. Większość komunistów w armji carycyńskiej stanęła po mojej stronie, powodowana nie obawą, lecz przekonaniem. Odwiedziłem wszystkie oddziały, okazując przy tem specjalne względy partyzantom, wśród których nie brakowało doskonałych żołnierzy, wymagających tylko właściwego kierunku. Poprzestałem na tem i wróciłem zpowrotem do Moskwy. W sprawie tej, jeżeli chodzi o mnie, zachowałem całkowity obiektywizm i nie ujawniłem nawet cienia osobistej niechęci. W myśl najgłębszego mego przeświadczenia, mogę

śmiało powiedzieć, że motywy natury osobistej nigdy nie odgrywały żadnej roli w mojej działalności politycznej. Tytaniczna walka, którą toczyliśmy o tak wielką stawkę, zbyt mnie absorbowowała, abym miał jeszcze czas na uboczne względy. To też prawie na każdym kroku następowałem na odciski osobistych uprzedzeń, ambicji i protekcjonizmu. Stalin przegarniał troskliwie ludzi, którym kiedyś nastąpiłem na nagniotek. Starczyło mu na to czasu, a kierował nim również interes osobisty. Carycyńscy przywódcy stali się w jego rękach bodaj że najważniejszym narzędziem. Gdy tylko Lenin zachorował, udało się Stalinowi, przy pomocy swych popleczników, osiągnąć przemianowanie Carycyna na Stalingrad. Szerokie warstwy ludności nie miały nawet pojęcia, co ma właściwie oznaczać ta nowa nazwa. Jeżeli Woroszyłow jest dziś członkiem biura politycznego, to jedyną przyczyną tego – gdyż innej nie mogę się doszukać – jest fakt, że pod groźbą wysłania pod konwojem do Moskwy, zmusiłem go w roku 1918-ym do uległości.

Uważam za wskazane uzupełnić powyższy rozdział, poświęcony robocie wojskowej, a właściwie – walce, wywołanej przez tę robotę w łonie partji, kilkoma cytatami z nieogłoszonej dotychczas korespondencji partyjnej, pochodzącej z owych czasów.

Dnia 4-go października 1918-go roku donosiłem Leninowi i Swierdłowskiemu z Tambowa, przewodem bezpośrednim:

„Domagam się kategorycznie odwołania Stalina. Mimo nadmiaru sił, sytuacja na froncie carycyńskim jest niepomyślna. Zostawiam go (Woroszyłowa) na stanowisku dowódcy dziesiątej (carycyńskiej) armji pod warunkiem, że podporządkuje się dowódcy frontu południowego. Dotychczas Carycyn nie posyłał nawet Kozłowowi sprawozdań z dokonanych operacji. Zobowiązałem ich do wysyłania dwa razy dziennie zestawień dokonanych operacji i wywiadów. Jeżeli warunek ten nie zostanie jutro wykonany, oddam Woroszyłowa pod sąd i ogłoszę o tem w rozkazie do armji. Niewiele czasu pozostało nam na ofensywę przed nastaniem jesiennych roztopów, kiedy drogi są tu zupełnie nie do przebycia, ani dla pieszych, ani dla konnych. Niema czasu na rokowania dyplomatyczne”.

Stalina odwołano. Lenin rozumiał doskonale, że kierowałem się wyłącznie względami charakteru rzeczowego. Z drugiej strony, naturalnie, niepokoił go ten zatarg, więc dążył do załagodzenia go. Dnia 23-go października Lenin napisał do mnie do Bałaszowa:

„Dziś przyjechał Stalin, przywiózł wiadomość o trzech znacznych zwycięstwach, odniesionych przez nasze wojska pod Carycynem („Zwycięstwa” miały w istocie czysto epizodyczny charakter L. T.). Stalin przekonał Woroszyłowa i Minina, których uważa za pracowników nadzwyczaj wartościowych i nie do zastąpienia, aby nie usuwali się i całkowicie podporządkowywali rozkazom z centrum. Jedyną przyczyną ich niezadowolenia jest – według Stalina – stałe opóźnianie w nadsyłaniu, albo nawet zupełne nieprzysyłanie pocisków i naboju, co jest również przyczyną upadku dwustotysięcznej, świetnie usposobionej armji kaukaskiej (ta partyzancka armja rozsypała się niebawem od pierwszego zadanego jej ciosu, ujawniając swą zupełną niezdolność do walki. L. T.).

Stalin pragnęłaby bardzo pracować na froncie południowym... Stalin ma nadzieję, że podczas pracy zdoła udowodnić słuszność swych poglądów... Donosząc wam o wszystkich tych deklaracjach Stalina, proszę, abyście je wzięli pod rozwagę i dali mi odpowiedź, czy zgadzacie się, po pierwsze, na

osobiste porozumienie ze Stalinem, który w tym celu gotów jest przyjechać do was, i po drugie, czy uważacie za możliwe usunięcie tarć dotychczasowych, pod pewnymi, ściśle określonymi, warunkami, i rozpoczęcie wspólnej pracy, czego Stalin tak bardzo sobie życzy. Co do mnie, to sędzę, że należy dołożyć wszelkich starań, aby wspólna praca ze Stalinem stała się możliwa. Lenin”.

W odpowiedzi, oznajmiłem o swej zupełnej gotowości: Stalin został mianowany członkiem Rewolucyjnej Rady Wojskowej frontu południowego, ale kompromis nie dał, niestety, żadnych wyników. W Carycynie sprawa ani na krok nie posunęła się naprzód. 14 grudnia posyłam z Kurska następujący telegram do Lenina:

„Nie można pozostawiać nadal Woroszyłowa na stanowisku, gdy wszelkie próby osiągnięcia kompromisu zostały przezeń sparaliżowane. Trzeba posłać do Carycyna nową Rewolucyjną Radę Wojskową wraz z nowym dowódcą, Woroszyłowa zaś przenieść na Ukrainę”.

Propozycję tę przyjęto bez sprzeciwów. Ale i na Ukrainie sprawy również nie poszły lepiej. Panująca tam anarchja sama przez się utrudniała wykonywanie prawidłowej pracy wojskowej. Opozycja Woroszyłowa zaś, za którą po dawnemu ukrywał się Stalin, uniemożliwiała tę pracę zupełnie.

Dnia 10-go stycznia 1919 roku komunikuję ze stacji Griazi ówczesnemu przewodniczącemu Centralnego Komitetu Wykonawczego, Swierdłowskiemu: „Oświadczam w sposób kategoryczny, że na Ukrainie pod żadnym pozorem nie można tolerować stosowania metod carycyńskich, które doprowadziły armję carycyńską do zupełnego upadku... Metoda Stalina, Woroszyłowa i S-ki oznacza zglisnę całej sprawy. Trocki”.

Lenin i Swierdłow, obserwujący zdala robotę „carycynowców” próbują raz jeszcze osiągnąć kompromis. Depeszy ich, niestety, nie posiadam. Odpowiadam Leninowi 11-go stycznia: „Kompromis naturalnie jest potrzebny, byle tylko zdrowy. W Charkowie zebrali się teraz rzeczywiście wszyscy carycynowcy... Uważam, że protektorat, roztaczany przez Stalina nad kierunkiem carycyńskim, jest niebezpiecznym wrzodem na ciele rewolucji, stokrć groźniejszym niż wszelkie zdrady i przeniiewierstwo specjalistów wojskowych... Trocki”.

„Kompromis jest potrzebny, byle tylko zdrowy”. Po upływie czterech lat Lenin zwrócił się do mnie niemal dosłownie z tem samem zdaniem, z racji tego samego Stalina. Było to przed XII-ym zjazdem partji. Lenin przygotowywał ostateczne rozbię grupy Stalina. Rozpoczął atak od zagadnienia narodowościowego. Gdym zaproponował zawarcie kompromisu, Lenin odparł mi: „Kompromis ze Stalinem nie może być zdrowy, bo on go zawsze nadużywa, aby nas potem oszukać”.

W marcu 1919 roku, w liście do Centralnego Komitetu, odpowiadałem Zinowjewowi, który w sposób dwuznaczny kokietował opozycję wojskową: „Nie mam zamiaru zajmować się indywidualnemi dociekaniem psychologicznemi, aby ustalić, do jakiego ugrupowania opozycji wojskowej należy zaliczyć Woroszyłowa. Nadmienię tylko, że jedyną rzeczą, z której w stosunku do niego mogę sobie czynić zarzut, są przewlekłe, trwające dwa czy trzy miesiące usiłowania wywarcia nań wpływu zapomocą pertraktacyj, przestrog, osobistych kombinacyj, podczas gdy sprawa wymagała stanowczej decyzji organizacyjnej. Albowiem zadanie w stosunku do 10-ej armji polegało nie na tem, aby przekonać Woroszyłowa, lecz aby jak najszybciej osiągnąć powodzenie orężne”.

30-go maja Lenin otrzymuje z Charkowa stanowcze żądanie utworzenia odrębnej ukraińskiej grupy wojsk pod dowództwem Woroszyłowa. Lenin komunikuje mi o tem na stację Kantemirowka bezpośrednim przewodem, 1-go czerwca odpowiadam Leninowi: „Uroszczenia niektórych Ukraińców, dotyczące zjednoczenia dowództwa drugiej, trzynastej i ósmej armji w ręku Woroszyłowa, nie wytrzymują żadnej krytyki. Nie jedność operacyjna w granicach zagłębia Donieckiego jest nam potrzebna, lecz powszechne zjednoczenie przeciwko Denikinowi... Idea wojskowej i aprowizacyjnej dyktatury Woroszyłowa (na Ukrainie) jest wynikiem dążeń do usamodzielnienia zagłębia Donieckiego, godzących w Kijów (czyli w rząd ukraiński) i front południowy... Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, że urzeczywistnienie tego planu wzmogłoby tylko chaos i zadałoby śmiertelny cios kierownictwu operacjami. Proszę zażądać, aby Woroszyłow i Mieżłank zajęli się wykonaniem zupełnie konkretnych zadań, które zostały im zlecone. Trocki”.

1-go czerwca Lenin telegrafuje do Woroszyłowa: „Należy za wszelką cenę natychmiast zaprzestać wiecowania, wszelką robotę całkowicie podporządkowywać rygorom wojskowym i zaniechać fantastycznych projektów o odrębnych grupach i tym podobnych zamaskowanych usiłowaniach wskrzeszenia frontu ukraińskiego... Lenin”.

Doświadczenie powyższe przekonało Lenina o tem, jak trudno było dojść do ładu z pozbawionymi wszelkiej dyscypliny zwolennikami samodzielności Ukrainy. Zwołuje więc tego samego dnia posiedzenie biura politycznego i przeprowadza następującą uchwałę, którą niezwłocznie posyła Woroszyłowowi i innym zainteresowanym: „Biuro polityczne Centralnego Komitetu zebrało się pierwszego czerwca i, zgadzając się całkowicie z Trockim, stanowczo odrzuca plan Ukraińców, dotyczący odrębnego zjednoczenia dla zagłębia Donieckiego. Żądamy, aby Woroszyłow i Mieżłank spełniali swoje bezpośrednie obowiązki... w przeciwnym bowiem razie Trocki wezwie was pojutrze do Izjumu i wyda bardziej szczegółowe zarządzenia. Z upoważnienia Biura Centralnego Komitetu Lenin”.

Centralny Komitet rozpatruje nazajutrz następującą sprawę: komendant Woroszyłow większą część odebranego nieprzyjacielowi dobytku wojskowego oddał samowolnie do dyspozycji swojej armji. Centralny Komitet uchwała: „Polecić towarzyszowi Rakowskiemu, aby depeszą do Izjumu zawiadomił o tem towarzysza Trockiego, którego zkolei prosić o zastosowanie najenergiczniejszych środków w celu przekazania owego dobytku do dyspozycji Rewolucyjnej Rady Wojskowej Republiki”. Tego samego dnia Lenin komunikuje mi przewodem bezpośrednim: „Dybienko i Woroszyłow rozdrapują dobytek wojskowy. Zupełny chaos. Zagłębiu Donieckiemu nie pomagają poważnie. Lenin”. Inaczej powiedziawszy, na Ukrainie powtarzało się to samo, co zwalczałem w Carycynie.

Nic dziwnego, że praca w wojsku przysporzyła mi tylu wrogów. Nie oglądałem się za siebie, odpychałem łokciem bez ceremonji tych, co byli zawadą na drodze do powodzenia na froncie, albo też następowałem gapiom w pośpiechu na odciski i nie miałem czasu przeprosić ich za to. Istnieje pewna kategoria ludzi, którzy takie rzeczy długo pamiętają. Niezadowoleni i obrażeni z łatwością znajdowali dostęp do Stalina, a poczęści i do Zinowjewa. Ci przecież też czuli się obrażeni. Po każdym niepowodzeniu na froncie niezadowoleni wywierali presję na Lenina. Już podówczas Stalin kierował z za

kulis temi machinacjami. Przysyłano zażalenia, traktujące o błędach w polityce wojskowej, o protegowaniu przeze mnie „speców”, o zbyt surowym trybie postępowania w stosunku do komunistów i t. p. Dymisjonowani wodzowie i niedoszli czerwoni marszałkowie składali nieskończoną ilość memorjałów, w których rozwodzili się o zgubności planów strategicznych, o sabotażu, uprawianym przez dowództwo, i o wielu innych rzeczach.

Lenin zbyt był pochłonięty ogólnymi zagadnieniami kierownictwa, aby mieć jeszcze czas na zwiedzanie frontów lub na wglądanie w powszednią pracę wojskowości. Ja zaś przeważnie bywałem na frontach, co zakulisowym intrygantom znacznie ułatwiało robotę w Moskwie. Wygłaszane przez nich uporczywie opinie nie mogły od czasu do czasu nie zaniepokoić Lenina. Za każdym razem, gdy przyjeżdżałem do Moskwy, nękały go rozmaite wątpliwości i pytania. Ale półgodzinna rozmowa wystarczała w zupełności do przywrócenia wzajemnego zrozumienia i zupełnej solidarności. Podczas niepowodzeń, których doświadczyliśmy na wschodzie, gdy Kołczak zbliżał się do linii Wołgi, Lenin napisał do mnie na posiedzeniu Rady Komisarzy Ludowych, na które przyszedłem wprost z pociągu, następującą kartkę: „A czy nie wartoby jednak rozpędzić wszystkich, co do jednego, speców i zamianować Łaszewicza wodzem naczelnym?” Łaszewicz był starym bolszewikiem, który na „niemieckiej” wojnie dosłużył się rangi podoficera. Odpisałem na tym samym papierku: „Dziecinne zabawki”. Lenin rzucił na mnie spoedelba przebiegłe spojrzenie i zrobił bardzo wyrazisty grymas, który znaczył mniej-więcej: „ale też surowo sobie ze mną poczynacie!” W istocie jednak lubił on bardzo takie szorstkie odpowiedzi, wykluczające wszelkie wątpliwości. Rozmawialiśmy zaraz po posiedzeniu. Lenin dopytywał się o front. – Zapytujecie, czy nie lepiejby było rozpędzić wszystkich byłych oficerów. A czy wiecie, ilu ich jest teraz w naszej armji? – Nie wiem. – No mniej-więcej? – Nie wiem. – Conajmniej trzydzieści tysięcy. – Co-o-o? – Conajmniej trzydzieści tysięcy. Jeden zdrajca trafia się na stu pewnych, jeden dezterter na dwóch lub trzech zabitych. Kto ich nam wszystkich zastąpi?

Po upływie kilku dni Lenin wygłosił mowę o zadaniach budownictwa socjalistycznego. Oto, co powiedział, między innymi: – Gdy niedawno dowiedziałem się od towarzysza Trockiego, że w wojskowości naszej czynnych jest kilkadziesiąt tysięcy oficerów, uprzytomniłem sobie wtedy w sposób konkretny, na czym właściwie polega tajemnica umiejętnego wyzyskania naszego wroga dla własnych naszych potrzeb... zrozumiałem, jak się buduje komunizm właśnie z owych cegieł, które przeznaczone były przez kapitalistów do rozbijania nam głów!

Na zjeździe partji, który odbywał się mniej-więcej w tym samym okresie, w czasie mojej nieobecności – byłem wtedy na froncie – Lenin wystąpił ze znamiennej obroną prowadzonej przeze mnie polityki wojskowej przed krytyką opozycji. Dlatego właśnie protokoły obrad sekcji wojskowej VIII-go zjazdu partji nie zostały ogłoszone do dnia dzisiejszego.

Pewnego razu przyjechał do mnie na front południowy Mężyński. Znałem go oddawna. W czasach reakcji należał do grupy skrajnych lewicowców, zwanej „wperiodowcami” od nazwy wydawanego przez nich pisma (Bogdanów, Łunaczarskij i inni). Mężyński osobiście skłaniał się zresztą ku

francuskiemu syndykalizmowi. Grupa „wpięriodowców” otworzyła w Bolonji marksowską szkołę dla 10-15 robotników rosyjskich, którzy w sposób nielegalny przyjechali z Rosji. Działo się to w roku 1910-ym. W ciągu jakichś dwóch tygodni miałem w tej szkole wykłady o dziennikarstwie i prowadziłem colloquium, poświęcone zagadnieniom taktyki partyjnej. W Bolonji poznałem Mężyńskiego, który przyjechał z Paryża. Oddam najściślej wrażenie, jakie na mnie wywarł, gdy powiem, że nie wywarł żadnego wrażenia. Zdawało się, że jest raczej cieniem jakiegoś innego, nieurzeczywistnionego człowieka, albo niefortunnym szkicem do nienamalowanego portretu. Trafiają się tacy ludzie. Zjawiający się od czasu do czasu na jego ustach przymilny uśmiech i ukryta gra oczu były jedynymi objawami, świadczącymi o tem, że Mężyńskiego pożera pragnienie odegrania jakiejś znaczniejszej roli. Nie wiem, jak się zachowywał podczas przewrotu, i czy wogóle może tu być mowa o zachowaniu. Faktem jest, że po zdobyciu władzy posłano go z niezwykłym pośpiechem do ministerstwa skarbu. Nie wykazał tam żadnej aktywności, albo raczej wykazał ją w takim stopniu, że wyszła na jaw cała jego nieudolność. Dzierżyński zabrał go później do siebie. Dzierżyński był człowiekiem o wielkiej sile woli i namiętności, którym towarzyszyło wysokie napięcie moralne. Postać jego przysłańiała Wszechrosyjską komisję nadzwyczajną (Czeka). Nikt nie dostrzegał Mężyńskiego, który ślęczał w ciszy nad papierami. Dopiero, gdy Dzierżyński rozstał się ze swym zastępcą Unszlichtem – działo się to już w ostatnim okresie – wtedy w braku innego kandydata, wysunął na to stanowisko Mężyńskiego. Wszyscy wrzuszali ramionami. – A więc kogo? – usprawiedliwiał się Dzierżyński: – Niema innych kandydatów! – Stalin poparł Mężyńskiego, jak wogóle zwykł był popierać ludzi, którzy swą egzystencję polityczną zawdzięczają jedynie sprawnej działalności aparatu państwowego. I Mężyński stał się cieniem Stalina w G. P. U. Po śmierci Dzierżyńskiego, Mężyński nietylko został szefem G. P. U., ale również i członkiem Centralnego Komitetu. Tak to na ekranie biurokratycznym cień niedoszłego człowieka może uchodzić za prawdziwego człowieka.

Przed dziesięciu laty Mężyński usiłował jednak rozpocząć krążenie koło innej osi. Zgłosił się do mojego wagonu, aby zreferować mi sprawę oddziałów Czeka w poszczególnych armjach. Po skończeniu oficjalnej rozmowy, w niezdecydowanej pozie począł przestępować z nogi na nogę, uśmiechając się w swój przymilny sposób, wywołujący jednocześnie niepokój i zdziwienie. Wykrztusił wreszcie pytanie: – czy wiadomo mi, że Stalin knuje przeciwko mnie wyrafinowaną intrygę? – Co-o-o? – spytałem ze zdumieniem, gdyż bardzo byłem podówczas daleki od wszelkich podobnych myśli lub obaw. – Tak, wmawia w Lenina i w innych, że grupujecie dokoła siebie ludzi specjalnie przeciwko Leninowi... – Ale wyście, towarzyszu Mężyński, postradali zmysły. Wyśpijcie się, proszę, a ja nie chcę więcej o tem mówić, – Mężyński wyszedł zgarbiony, pokaszując po drodze. Przypuszczam, że po tym dniu począł szukać innej osi, dokoła której mógłby krążyć.

Po paru godzinach pracy poczułem się jakoś nieswojo. Ów człowiek o cichej, niewyraźnej wymowie obudził we mnie jakiś niepokój, jakbym podczas obiadu połknął kawałek szkła. Począłem przypominać sobie rozmaite rzeczy, porównywać je ze sobą. Ujrzałem naraz Stalina w jakimś nowem świetle. Krestinskij znacznie później powiedział mi o Stalinie – To paskudny człowiek, ma żółte oczy. – Owa to właśnie *żółtość moralna* Stalina mignęła po raz pierwszy w mej świadomości po wizycie Mężyńskiego. Gdym potem wpadł na

krótko do Moskwy, jak zwykle odwiedziłem przedewszystkiem Lenina. Rozmawialiśmy o froncie. Lenin lubił bardzo, gdy mu opowiadano szczegóły z codziennego życia, drobne fakty, rysy, które wprowadzały go odrazu, bez długich wyjaśnień, w sedno sprawy. Nie znosił, gdy do tętniącego życia zbliżano się po linii stycznej. Przeskakując poszczególne ogniwa, zadawał swoje specyficzne pytania, ja zaś odpowiadałem, podziwiając jego przenikliwość. Śmieliśmy się obydwaj. Lenin bywał przeważnie w wesołym usposobieniu. Ja również nie należę do ludzi ponurych. Wkońcu opowiedziałem o wizycie, złożonej mi przez Mężyńskiego na froncie południowym. – Czyżby miała być w tem choć odrobina prawdy? – Zauważyłem odrazu wzburzenie, jakie ogarnęło Lenina. Krew mu nawet uderzyła do głowy. – Ach, to głupstwa – powtarzał, ale niepewnie. – Ciekaw jestem tylko jednego – powiedziałem – czyście mogli choć na jedną sekundę powziąć tak potworną myśl, że ja grupuję ludzi przeciwko wam? – Głupstwa, – odpowiedział Lenin, ale tym razem już tak stanowczo, że się odrazu uspokoiłem. Jakgdyby rozproszyła się jakaś chmurka nad naszymi głowami, pożegnaliśmy się tym razem serdeczniej, niż zazwyczaj. Zrozumiałem jednak, że to, co mówił Mężyński, nie było pozbawione podstaw. Jeżeli Lenin poprzestał na zaprzeczeniu, nie domawiając wszystkiego do końca, to tylko dlatego, że obawiał się zatargu, rozterek, walk osobistych. Podzielałem pod tym względem całkowicie jego zapatrywania. Ale było oczywiste, że Stalin rzuca zły posiew. Dopiero znacznie później przekonałem się, jak systematycznie oddawał się temu i niemal tylko temu. Gdyż Stalin nigdy nie wykonywał żadnej poważniejszej pracy. – Najistotniejszą cechą Stalina jest lenistwo – pouczał mnie kiedyś Bucharin. – Następną jego cechą – straszliwa zazdrość wobec każdego, kto wie lub umie więcej od niego. On i pod Iljiczem kopał dołki.

ROZDZIAŁ XXXVII

RÓŻNICE ZDAŃ W SPRAWACH STRATEGII WOJSKOWEJ

Nie spisuję na tych kartkach dziejów armji czerwonej, ani też historii staczanych przez nią walk. Obydwa te tematy, związane nierozłącznie z dziejami rewolucji, lecz wykraczające poza ramy autobiografji, będą, być może stanowić treść innej mojej książki. Nie mogę tu jednak pominąć milczeniem owych zatargów polityczno-strategicznych, które wynikły podczas wojny domowej. Od przebiegu operacyj wojennych zależały losy rewolucji. Im dłużej wojna trwała, tem bardziej zagadnienia wojskowe, między innymi również i zagadnienia strategiczne, pochłaniały Centralny Komitet partji. Główne stanowiska kierownicze w armji zajmowali specjaliści wojskowi dawnej szkoły, którym brakło zrozumienia warunków społecznych i politycznych. Doświadczonym politykom rewolucyjnym, wchodzącym w skład Centralnego Komitetu partji, brakło wiedzy wojskowej. Zakrojone na większą skalę plany strategiczne były zazwyczaj owocem pracy zbiorowej, której, jak to przeważnie bywa w takich wypadkach, towarzyszyły nieporozumienia i ścieranie się poglądów.

W czterech wypadkach zatargi w sprawach strategicznych oparły się o Centralny Komitet. Innymi słowy, zatargów było tyle, ile było głównych frontów. O kontrowersjach tych opowiem tu możliwie krótko, aby wprowadzić czytelnika w istotę zagadnień, następujących się kierownictwu wojskowemu i jednocześnie obalić, mimochodem, późniejsze insynuacje na mój temat.

Pierwszy ostrzejszy zatarg powstał w Centralnym Komitecie w lecie roku 1919-go w związku z sytuacją na froncie wschodnim. Wodzem naczelnym był wówczas jeszcze Wacetis. Wspominałem już o nim w rozdziale o Swijażsku. Dokładałem wszelkich starań, aby wzmocnić w Wacetisie pewność siebie i natchnąć go przeświadczeniem o przysługujących mu prawach i własnym autorytecie. Bez tego sprawozdanie dowództwa jest nie do pomyślenia. Wacetis był zdania, że po pierwszych znaczniejszych operacjach, dokonanych z dobrym skutkiem przeciwko Kołczakowi, nie należy zapuszczać się zbyt daleko na wschód, za Ural. Chciał, aby front wschodni przetrwał zimę w górach. Pozwoliłoby to na przerzucenie kilku dywizyj ze wschodu na południe, gdzie Denikin groził coraz poważniejszym niebezpieczeństwem. Poparłem ten plan. Spotkał się on jednak ze stanowczym sprzeciwem dowódcy frontu wschodniego, Kamieniewa, byłego pułkownika sztabu generalnego, oraz członków Rady Wojskowej, Smiłgi i Łaszewicza, starych bolszewików. Oświadczyli oni: Kołczak został tak rozbity, że dalszy pościg nie wymaga znaczniejszych sił. Rzecz ważniejsza – to nie dawać mu wytchnienia, gdyż przyjdzie przez zimę do siebie i na wiosnę trzeba będzie rozpoczynać kampanję wschodnią od samego początku. Całe zagadnienie polegało więc na trafnej ocenie stanu, w jakim znajdowała się armja Kołczaka i jego tyły.

Uważałem już wówczas, że front południowy jest bez porównania poważniejszy i niebezpieczniejszy od wschodniego. Sprawdziło się to później całkowicie. Ale jeżeli chodzi o ocenę armji Kołczaka, to racja była po stronie dowództwa frontu wschodniego. Centralny Komitet powziął uchwałę wbrew opinji dowództwa naczelnego, a przez to samo, i wbrew mojej opinji, popierałem bowiem Wacetisa. Wychodziłem z założenia, że w tem równaniu strategicznem jest coprawda kilka niewiadomych, ale że poważną wielkością jest w niem jednak konieczność poparcia zbyt świeżego jeszcze autorytetu naczelnego wodza. Decyzja Centralnego Komitetu okazała się słuszna. Front wschodni odstąpił część swoich sił południowi, nie przestając jednocześnie posuwać się zwycięsko w głąb Syberji i deptać Kołczakowi po piętach. Konflikt ten doprowadził do zmiany na stanowisku naczelnego wodza. Wacetis ustąpił, a jego miejsce zajął Kamieniew.

Zatarg, jako taki, nosił charakter wyłącznie rzeczowy. Nie wywarł, ma się rozumieć, żadnego wpływu na stosunki, które łączyły mnie z Leninem. Ale intryga, chwytając się takich epizodycznych nieporozumień, przedła swe sieci. 4-go czerwca (roku 1919-go) Stalin straszył Lenina, donosząc o zgubnym charakterze kierownictwa wojskowego. „Chodzi teraz o to – pisał, – aby Centralny Komitet zdobył się na odwagę wyciągnięcia właściwych wniosków. Czy Centralnemu Komitetowi starczy odwagi i hartu?” Zdania te mają zupełnie wyraźny sens. Ton ich świadczy o tem, że Stalin wszczynał już niejednokrotnie ową sprawę i niejednokrotnie trafiał na opór ze strony Lenina. Wówczas nie wiedziałem jeszcze o tem. Ale wyczuwałem już jakąś podłą intrygę. Nie mając ani czasu, ani też chęci do zaprzętania się tą sprawą i chcąc jednym zamachem przeciąć węzeł, złożyłem dymisję na ręce Centralnego Komitetu. 5-go lipca Centralny Komitet odpowiedział następującą uchwałą:

„Biuro Organizacyjne i Polityczne Centralnego Komitetu, po rozpatrzeniu i wszechstronnem omówieniu raportu towarzysza Trockiego, przyszło jednogłośnie do wniosku, że pod żadnym pozorem nie może przyjąć dymisji towarzysza Trockiego i uczynić zadość jego prośbie. Biuro Organizacyjne i Polityczne C. K. zrobi wszystko, co leży w jego mocy, aby pracę na najtrudniejszym, najniebezpieczniejszym i najważniejszym w obecnej chwili froncie, jakim jest front południowy, tę pracę, którą towarzysze Trocki sam sobie obrał, uczynić dlań możliwie najdogodniejszą, a dla Republiki – najowocniejszą. Zajmując stanowiska Komisarza Ludowego Spraw Wojskowych i Przewodniczącego Rewolucyjnej Rady Wojskowej, towarzysze Trocki może doskonale działać jako członek Rewolucyjnej Rady Wojskowej Frontu Południowego, łącznie z dowódcą frontu, którego sam wyznaczył, C. K. zaś zatwierdził. Biuro Organizacyjne i Polityczne C. K. pozostawia towarzyszowi Trockiemu wolną rękę w doborze środków, zmierzających do tego, co w jego rozumieniu stanowi uregulowanie metody wojskowej, a ponadto, jeśli towarzysze Trocki będzie sobie tego życzył, przyczyni się do przyspieszenia zjazdu partyjnego. Lenin, Kamieniew, Krestinskij, Kalinin, Sieriebriakow, Stalin, Stasowa”.

Pod uchwałą tą figuruje również podpis Stalina. Knując za kulisami intrygi i zarzucając Leninowi brak odwagi i hartu, Stalin nie zdobył się jednak na otwarte przeciwstawienie się Centralnemu Komitetowi.

Front południowy, jakeśmy już nadmieniali, wysunął się podczas wojny domowej na pierwszy plan. Siły nieprzyjaciela składały się z dwóch samodzielnych części: z kozaków, głównie kubańskich, i ochotniczej białej

armji, rekrutowanej w całym kraju. Kozacy chcieli bronić swych granic przed naporem robotników i chłopów. Ochotnicza armja zaś chciała zdobyć Moskwę. Te dwa kierunki stanowiły dopóty jedną całość, dopóki ochotnicy tworzyli wraz z kozakami kubańskimi jeden wspólny front na północnym Kaukazie. Wyprowadzenie kozaków kubańskich z granic Kubani stanowiło dla Denikina zadanie niesłychanie trudne, a raczej przekraczające jego siły. Nasze dowództwo naczelne chciało rozwiązać problemat frontu południowego, jako abstrakcyjne zadanie strategiczne, ignorując podkład społeczny tego problemu. Kubań stanowiła główną bazę armji ochotniczej. To też nasze naczelne dowództwo postanowiło zadać Kubani decydujący cios od strony Wołgi. Niech więc Denikin wyłazi ze skóry i prze swe główne kolumny ku Moskwie, my zaś tymczasem za jego plecami zniszczymy mu kubańską bazę, Denikin zawisnie w powietrzu i weźmiemy go wtedy gołymi rękami. Takie były ogólne zarysy planu strategicznego. Plan ten byłby dobry, gdyby nie dotyczył wojny domowej. W zastosowaniu jednak konkretnem do frontu południowego okazał się zupełnie akademicki i bardzo pomógł nieprzyjacielowi. Jeśli się zważy, że Denikin nie mógł ruszyć kozaków do dalekiego pochodu na północ, to trzeba przyznać, że uderzając od południa na gniazda kozackie, sami pomogliśmy Denikinowi. Od tej chwili kozacy nie mogli się już bronić wyłącznie na własnej ziemi. My sami skojarzyliśmy ich losy z losami armji ochotniczej.

Mimo starannego przygotowania operacyj i skupienia znacznych sił, oraz środków materialnych, nie mogliśmy się jednak poszczycić powodzeniem. Kozacy tworzyli na tyłach Denikina potężną zasłonę. Wrosli w swą ziemię i trzymali się jej zębami i pazurami. Nasz atak postawił na nogi całą ludność kozacką. Trwoniliśmy czas i siły, pchając jednocześnie do szeregów białych wszystkich kozaków, zdolnych do noszenia broni. A tymczasem Denikin załął Ukrainę, uzupełnił swe szeregi, posunął się na północ, zajął Kursk, zajął Orzeł i zagrażał Tule. Utrata Tuły byłaby dla nas katastrofą, gdyż znaczyłaby stratę najważniejszej fabryki karabinów i amunicji.

Plan, proponowany przeze mnie od samego początku, nosił wręcz przeciwny charakter. Proponowałem, abyśmy pierwszym uderzeniem odcięli ochotników od kozaków i, pozostawiając kozaków ich własnemu losowi, główne siły skupili przeciwko armji ochotniczej. Kierunek głównego natarcia szedłby, w myśl tego planu, nie od strony Wołgi ku Kubani, lecz od strony Woronicza ku Charkowowi i zagłębiu Donieckiemu. Cała włościańska i robotnicza ludność tej strefy, oddzielającej północny Kaukaz od Ukrainy, stała po stronie armji czerwonej, która, posuwając się w tym kierunku, wchodziłaby jak nóż w masło. Kozacy zostaliby na miejscu dla obrony swych granic przed obcymi, my zaś zostawilibyśmy ich w spokoju. Sprawa kozacka stanowiłaby samodzielne zagadnienie o charakterze raczej politycznym, aniżeli wojskowym. Ale przede wszystkim należało strategicznie oddzielić tę sprawę od sprawy rozbicia armji ochotniczej Denikina. Plan mój został wreszcie przyjęty, ale dopiero wtedy, gdy Denikin począł zagrażać Tule, utrata której byłaby groźniejsza w skutkach od utraty Moskwy. Straciliśmy nadaremnie kilka miesięcy, ponieśliśmy dużo zupełnie zbytecznych ofiar i przez kilka tygodni znajdowaliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie.

Nadmienię tu mimochodem, że zatarg strategiczny, dotyczący frontu południowego, łączył się jak najściślej ze sprawą oceny, czyli „niedoceniań” włościaństwa. Cały mój plan opierałem na stosunkach wzajemnych,

zachodzących pomiędzy chłopami i robotnikami z jednej strony, a kozakami z drugiej, i właśnie z tych założeń wychodząc, przeciwstawiłem się po akademicku abstrakcyjnemu pomysłowi naczelnego dowództwa, które uzyskało poparcie większości C. K. Gdybym użył tysiącznej chociażby części tych wysiłków, które zmarnowano, aby udowodnić „niedocenia” przeze mnie roli włościństwa, mógłbym, na podstawie naszego zatargu w sprawie frontu południowego, wysunąć taki sam, czyli jednako pozbawiony sensu, zarzut nie tylko przeciwko Zinowjewowi, Stalinowi i innym, lecz również i przeciw Leninowi.

Trzeci konflikt natury strategicznej powstał w związku z wyprawą Judenicza na Piotrogród. Opowiedziałem już o tem w jednym z poprzednich rozdziałów, nie będę się więc powtarzał. Przypomnę tylko, jak to pod wpływem nadwyraz ciężkiej sytuacji na południu, skąd groziło największe niebezpieczeństwo, oraz nadchodzących z Piotrogradu wiadomości o rzekomo nadzwyczajnym uzbrojeniu i zaopatrzeniu armji Judenicza, Leninowi przysłała do głowy myśl, że trzeba dążyć do skrócenia frontu przez oddanie wrogowi Piotrogradu. Był to bodaj jedyny wypadek, kiedy Zinowjew i Stalin poparli mnie przeciwko Leninowi, który, zresztą, po upływie kilku dni sam zarzucił swój oczywiście błędny plan.

Ostatni konflikt, niewątpliwie najważniejszy, dotyczył losów frontu polskiego w lecie 1920 roku.

Ówczesny premier angielski, Bonar Law, przytaczał w izbie gmin mój list do komunistów francuskich na dowód, że na jesieni 1920 roku mieliśmy rzekomo zamiar zniszczyć Polskę. To samo utrzymuje w swej książce były polski minister spraw wojskowych, Sikorski, ale powołuje się przytem na moją mowę, wygłoszoną w styczniu 1920 roku, na kongresie międzynarodowym. Wszystko to od początku do końca jest absolutnym nonsensem. Rozumie się, że dotychczas nie nadarzyła mi się okazja do ujawnienia mych sympatji do Polski Piłsudskiego, czyli do Polski ucisku i gwałtu, przysłoniętego płaszczykiem frazesu patriotycznego i bohaterskiego samochwalstwa. Bez zbytecznego trudu można zebrać sporo moich oświadczeń, w których uprzedzałem, że nie zatrzymamy się w połowie drogi, jeżeli Piłsudski narzuci nam wojnę. Podobne oświadczenia wynikały z sytuacji ogólnej. Ale wyciągać z nich wnioski, żeśmy pragnęli wojny z Polską, albo przygotowywali się do takiej wojny, znaczy tyle, co zadawać kłam faktom i zdrowemu rozsądkowi. *Pragnęliśmy uniknąć tej wojny za wszelką cenę.* Nie zaniedbaliśmy żadnego środka, któryby mógł się do tego przyczynić. Sikorski przyznaje, żeśmy nadzwyczaj „zręcznie” prowadzili propagandę pokojową. Nie rozumie tylko, albo udaje, że nie rozumie, iż tajemnica owej zręczności była zresztą bardzo przejrzysta i nieskomplikowana: pragnęliśmy gorąco pokoju, nawet za cenę jak największych ustępstw. Właśnie ja pragnęłam może bardziej, niż ktokolwiek inny, aby do tej wojny nie doszło, gdyż zbyt dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, jak trudno będzie nam ją prowadzić po trzech latach nieprzerwanej wojny domowej. Rząd polski, jak to znów niewątpliwie wynika z książki Sikorskiego, rozpoczął wojnę świadomie i z premedytacją, nie bacząc na nasze niezmordowane wysiłki zachowania pokoju, które czyniły z naszej polityki zagranicznej jakąś mieszaninę cierpliwości z wychowawczą wytrwałością. Myśmy szczerze pragnęli pokoju. Piłsudski narzucił nam wojnę. Wojnę tę mogliśmy toczyć tylko dzięki temu, że najszerze warstwy ludu z dnia na dzień obserwowały nasz pojedynkę dyplomatyczny z Polską, były głęboko

przekonane, że wojna została nam narzucona i nie myliły się pod tym względem zupełnie.

Kraj dokonał jeszcze jednego, naprawdę bohaterskiego, wysiłku. Zajęcie Kijowa przez Polaków, pozbawione samo przez się wszelkiego sensu wojkowego, wyświadczyło nam wielką przysługę: kraj ocknął się. Znow objeżdżałem armję i miasta, mobilizując ludzi i środki. Odzyskaliśmy Kijów. Powodzenie zaczęło nam sprzyjać. Polacy rzucili się do odwrotu z szybkością, na którą nie liczyłem wcale, gdyż nie przypuszczałem, że wyprawa Piłsudskiego była przedsięwzięta tak dalece lekkomyślnie. Ale i po naszej stronie, wraz z pierwszymi znaczniejszymi zwycięstwami również. wyrobiono sobie zbyt wygórowane pojęcie o otwierających się przed nami możliwościach. Zrodziła się i krzepła chęć przekształcenia wojny, która początkowo nosiła charakter obronny, w zaczepną wojnę rewolucyjną. Nie mogłem temu, ma się rozumieć, przeciwstawić żadnych argumentów natury zasadniczej. Sprawa sprowadzała się do wzajemnego ustosunkowania się sił. Nastrój polskich robotników i chłopów był wielkością niewiadomą. Niektórzy polscy towarzysze, jak zmarły J. Marchlewski, współpracownik Róży Luxemburg, zapatrywali się bardzo trzeźwo o sytuację. Pogląd Marchlewskiego wpłynął w znacznym stopniu na moje dążenie do jak najszybszego zakończenia wojny. Ale rozlegały się również i inne głosy. Pokładano wielkie nadzieje na powstanie robotników polskich. W każdym razie Lenin ułożył sobie taki plan: sprawę należy doprowadzić do końca, czyli wkroczyć do Warszawy, aby dopomóc robotnikom polskim do obalenia rządu Piłsudskiego i ujęcia władzy w swe ręce. Decyzja, projektowana przez rząd, opanowała z łatwością wyobraźnię naczelnego dowództwa i dowództwa frontu. Gdy przyjechałem jak zwykle, na krótko do Moskwy, spotkałem się w centrum ze zdecydowanym nastrojem na rzecz prowadzenia wojny „aż do końca”. Przeciwstawiłem się temu w sposób stanowczy. Polacy prosili już o pokój. Uważałem, żeśmy osiągnęli kulminacyjny punkt powodzenia i jeśli, nie obliczywszy uprzednio swych sił, pójdziemy dalej naprzód, to może się zdarzyć, że przejdziemy obok uzyskanego zwycięstwa ku porażce. Po olbrzymim wysiłku, dzięki któremu 4-a armja w ciągu czterech tygodni przeszła 650 kilometrów, armja ta mogła posuwać się naprzód już tylko siłą inercji. Wszystko zależało teraz od nerwów, a to są zbyt cienkie nici. Wystarczyłby jeden tęgi cios, aby wstrząsnąć naszym frontem i przekształcić jedyne w swoim rodzaju, bezprzykładne – co nawet Foch musiał przyznać – natarcie w katastrofalny odwrot. Domagałem się natychmiastowego, jak najszybszego zawarcia pokoju, zanim armja wyczerpie swe siły do ostatka. Jeżeli mnie pamięć nie myli, poparł mnie tylko jeden Rykow. Pozostałych Lenin pozyskał sobie jeszcze w czasie mojej nieobecności. Zapadła decyzja: *nacierać*.

Role zmieniły się bardzo w porównaniu z okresem Brześćcia: *wówczas* ja nastawałem, aby nie spieszyć się z zawarciem pokoju i, nawet kosztem utraty terytorjum, dać proletarjatowi niemieckiemu czas na zrozumienie sytuacji i powiedzenie swego słowa. *Teraz* zaś Lenin domagał się kontynuowania ofensywy przez nasze armje, aby proletarjat polski miał czas na rozejrzenie się w sytuacji i rozpoczęcie powstania. Wojna polska potwierdziła w inny sposób to samo, co wykazało doświadczenie wojny brzeskiej: do wydarzeń wojny i do wydarzeń masowego ruchu rewolucyjnego, należy stosować różne miary. Tam, gdzie armje czynne liczą na dni i tygodnie, tam ruch mas ludowych liczy zwykle na miesiące i na lata. Gdy nie uwzględnia się w sposób właściwy tej

różnicy tempa, to zębate koła wojny mogą tylko połamać tryby na kołach rewolucji, zamiast wprowadzić je w ruch. W każdym razie miało to miejsce zarówno podczas krótkotrwałej wojny brzeskiej, jak i podczas wielkiej wojny polskiej. Przeszliśmy obok odniesionego przez nas zwycięstwa ku dotkliwej porażce. Należy zauważyć, że do kolosalnych rozmiarów katastrofy pod Warszawą, przyczyniło się między innymi zachowanie się dowództwa południowej grupy armii sowieckich, nacierających w kierunku na Lwów. Główną figurą polityczną w Rewolucyjnej Radzie Wojskowej tej grupy był Stalin. Chciał za wszelką cenę wkroczyć do Lwowa i to w tym samym czasie, kiedy Smiłga wraz z Tuchaczewskim wkroczą do Warszawy. Ludzie miewają najrozmaitsze ambicje! Gdy niebezpieczeństwo, zagrażające armjom Tuchaczewskiego, zarysowało się już zupełnie wyraźnie, dowództwo naczelne wydało rozkaz, aby południowo-zachodni front ostro zmienił kierunek i uderzył z boku na skrzydło wojsk polskich pod Warszawą. Mimo to, dowództwo grupy południowo-zachodniej posuwało się w dalszym ciągu na zachód, zachęcane do tego przez Stalina: czyż zajęcie Lwowa na własną rękę nie jest rzeczą ważniejszą od udzielenia pomocy „innym” podczas zdobywania Warszawy? Dowództwo grupy południowo-zachodniej zmieniło kierunek dopiero wskutek ponownych rozkazów i towarzyszących im gróźb. Ale kilka dni opóźnienie odegrało fatalną rolę.

Nasze armje cofnęły się o czterysta kilometrów, a miejscami jeszcze dalej. Po niedawnych, wspaniałych zwycięstwach nikt nie chciał się z tem pogodzić. Gdy powróciłem z frontu wranglowskiego, w Moskwie panował pogląd, że należy prowadzić drugą wojnę polską. Nawet Rykow przeszedł teraz do innego obozu: – Skorośmy zaczęli, – powiada, – to trzeba skończyć. – Dowództwo frontu zachodniego robiło nadzieje: nadeszły znaczne rezerwy, artylerię uzupełniono i t. p. Pragnienie było tu ojcem myśli. – Jaki jest właściwie nasz stan posiadania na froncie zachodnim? – usiłowałem oponować. – Kadry, rozbite moralnie, które uzupełniono teraz surowem ciastem ludzkim. Taką armją nie można walczyć. Można z nią jeszcze jako-tako stawiać opór, cofając się i przygotowując na tyłach nową armję, ale mrzonką jest wszelka myśl o tem, że takie wojsko może się zerwać i znów pójść do zwycięskiego ataku, drogą usianą jego własnymi szczątkami. Oświadczyłem, że powtórzenie dawnego błędu będzie nas tym razem znacznie drożej kosztowało i że nie pogodzę się z zaprojektowaną już decyzją i odwołam się do opinii partji. Lenin wprawdzie domagał się dla formy, aby wojnę kontynuowano, lecz czynił to już bez owej pewności siebie i energii, która cechowała jego wystąpienie za pierwszym razem. Moje niezłomne przekonanie, że zawarcie pokoju, chociażby nawet na najcięższych warunkach, jest rzeczą konieczną, wywarło nań odpowiednie wrażenie. Zaproponował więc, aby rozstrzygnięcie sprawy odroczyć do czasu mego powrotu z inspekcji frontu zachodniego, podczas której, na podstawie bezpośrednich wrażeń, zorjentuję się w jakim stanie znajdują się nasze armje po pośpiesznym odwrocie. Propozycja ta była dla mnie dowodem, że, w gruncie rzeczy, Lenin zgodził się już ze mną.

W sztabie frontu zastałem nastrój, skłaniający się ku prowadzeniu drugiej wojny. Ale nastrój ten nie był oparty na głębszem przekonaniu: był tylko odbiciem nastrojów, panujących w Moskwie. Im niżej schodziłem po szczeblach organizacji wojskowej – przez armję do dywizji, pułku i kompanji, – tem bardziej oczywisty stawał się dla mnie fakt, że prowadzenie wojny zaczepnej jest niepodobieństwem. Wystosowałem do Lenina list na ten temat.

Napisałem go odręcznie, nie sporządziwszy nawet odpisu dla siebie, po wysłaniu zaś, udałem się w dalszą podróż. Wystarczyło kilka dni, spędzonych na froncie, aby upewnić się o słuszności poglądu, który wygłaszałem jeszcze przed wyjazdem. Powróciłem do Moskwy, gdzie biuro polityczne prawie jednogłośnie wypowiedziało się za natychmiastowym zawarciem pokoju.

Błąd w strategicznym obrachunku, popełniony podczas polskiej wojny, pociągnął za sobą poważne konsekwencje historyczne. Wojna, w sposób zgoła nieoczekiwany, tylko wzmocniła Polskę Piłsudskiego. Rozwojowi rewolucji polskiej zadano natomiast dotkliwy cios. Granica, ustalona w myśl traktatu ryskiego, odcięła republikę sowiecką od Rzeszy Niemieckiej, co wywarło później wielki wpływ na życie obydwu krajów... Lenin, rzecz oczywista, lepiej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę ze znaczenia błędu „warszawskiego” i nieraz wracał do tej sprawy myślą i słowem.

Literatura epigonów rysuje dziś wizerunek Lenina mniej-więcej w taki sam sposób, w jaki suzdalscy malarze ikon malowali wizerunki świętych i Chrystusa: zamiast wyidealizowania postaci, mamy karykaturę. Mimo, że pacykarze nie szczędzą wysiłków, aby wznieść się ponad swój poziom, malowidło na deszczulce, będące odbiciem ich własnych upodobań, jest tylko ich własnym, coprawda wyidealizowanym, portretem. Ponieważ autorytet władzy zwierzchniej epigonów opiera się na zakazie, zabraniającym powątpiewać o nieomyślności tej władzy, przeto literatura epigonów rysuje nam Lenina bynajmniej nie jako stratega rewolucyjnego, który w sposób genialny orjentował się w każdej sytuacji, lecz jako zmechanizowany automat, wyrzucający z siebie nieomyślne decyzje. Słowo *genjusz*, w zastosowaniu do Lenina, zostało po raz pierwszy użyte przeze mnie, gdy inni nie mogli zdecydować się na wypowiedzenie go. Tak, Lenin był genjuszem, okazem genjusza ludzkiego w całym znaczeniu tego słowa. Lenin nie był jednak maszyną do rachowania, nigdy nie robiącą błędów. Robił ich znacznie mniej, niż zrobiłby każdy inny człowiek na jego miejscu. Lenin popełniał błędy, wielkie błędy, odpowiadające tytanicznemu rozmachowi całej jego pracy.

ROZDZIAŁ XXXVIII

PRZEJŚCIE DO NOWEJ POLITYKI GOSPODARCZEJ I MOJE STOSUNKI Z LENINEM

Zbliżam się do ostatniego okresu mej wspólnej pracy z Leninem. Okres ten zaliczam do ważnych również i z tego względu, że tkwią już w nim pierwiastki zwycięstwa, odniesionego przez epigonów po śmierci Lenina.

Po śmierci Lenina powołano do życia skomplikowaną i rozgałęzioną organizację historyczno-literacką, której zadaniem było zniekształcanie historii naszych wzajemnych stosunków. Główna metoda tych zabiegów polega na wrywaniu z przeszłości poszczególnych momentów, w których byliśmy odmiennych zapatrywań, oraz na wyszukiwaniu w tych okresach oddzielnych zwrotów polemicznych, lub najczęściej – zwyczajnie ich zmyślaniu, aby tylko stworzyć pozory istnienia nieustannej walki dwóch „zasad”. Historia kościoła, napisana przez średniowiecznych apologetów, może uchodzić za wzór metody naukowej, gdy się ją porówna z dociekaniem historycznymi szkoły epigonów. Pewne ułatwienie w ich pracy stanowiła okoliczność, że gdy pomiędzy mną a Leninem zachodziła różnica zapatrywań, mówiłem o tem głośno, a nawet odwoływałem się do partji, jeżeli uważałem, że zachodzi tego potrzeba. Co się tyczy dzisiejszych epigonów, to w wypadkach rozbieżności poglądów z Leninem, które przytrafiały się im o wiele częściej niż mnie, zachowywali zazwyczaj milczenie, albo też, jak to robił Stalin, ukrywali się nadąsani przez kilka dni na wsi pod Moskwą. W przeważającej większości wypadków postanowienia, do których Lenin i ja dochodziliśmy każdy z osobna, zgadzały się ze sobą w najistotniejszych swych częściach. Wystarczało nam nieraz jedno słowo, aby się w lot zrozumieć. Gdy odnosiłem wrażenie, że biuro polityczne, lub rada komisarzy ludowych może powziąć mylną decyzję, posyłałem Leninowi notatkę, napisaną na strzępku papieru. Lenin odpowiadał: „Macie rację. Postawcie wniosek”. Czasami przysyłał mi kartkę z zapytaniem, czy zgadzam się z jego propozycją i domagał się, abym zabrał głos w obronie jego stanowiska. Częstokroć umawiał się ze mną przez telefon, jak należy pokierować daną sprawą, i gdy chodziło o jakieś ważne zagadnienie, nalegał uporczywie: – Przyjdźcie, przyjdźcie koniecznie. – Gdyśmy występowali wspólnie, – a miało to miejsce w ogromnej większości spraw zasadniczego znaczenia – niezadowoleni z powziętej decyzji, a w ich liczbie i obecni epigoni, zupełnie nie zabierali głosu. Ileż to razy zdarzało się, że Stalin, Zinowjew lub Kamieniew nie zgadzali się ze mną w sprawach pierwszorzędnej wagi, milkli jednak natychmiast, gdy wychodziło na jaw, że Lenin solidaryzuje się ze mną. Rozmaicie można zapatrywać się na gotowość, z jaką owi „uczniowie” wyrzekali się własnego zdania na rzecz zdania Lenina. Gotowość ta nie dawała jednak żadnych rękojmi, że potrafią oni bez Lenina dochodzić do leninowskich wniosków.

Moje nieporozumienia z Leninem zajmują w tej książce o wiele więcej

miejsca, niż zajmowały rzeczywistość w naszym życiu. Złożyły się na to dwie przyczyny. Nieporozumienia te stanowiły wyjątek i dzięki temu zwracały na siebie uwagę. Epigoni po śmierci Lenina rozdmuchali te nieporozumienia w niebywały sposób, doprowadzając je do astronomicznych niemal wymiarów i nadając im pozory samodzielnych czynników politycznych, zupełnie niezależnych ani od Lenina, ani też ode mnie.

W oddzielnym rozdziale opowiedziałem szczegółowo o istocie i ewolucji różnicy zdań, która zachodziła pomiędzy mną a Leninem w sprawie zawarcia pokoju w Brześciu. Muszę się teraz zatrzymać na innym nieporozumieniu, które przeciwstawiło nas sobie wzajemnie na przełomie roku 1920-go i 1921-go w wigiliję zwrotu do nowej polityki ekonomicznej („nep”).

Nie ulega wątpliwości, że t. zw. dyskusja o związkach zawodowych oziębła na pewien czas nasze stosunki. Za bardzo byliśmy obydwaj rewolucjonistami i politykami, abyśmy potrafili, albo chcieli rozgraniczać sprawy osobiste i sprawy publiczne. Podczas tej dyskusji Stalinowi i Zinowjewowi nadarzyła się legalna, że tak powiem, okazja, aby staczaną ze mną walkę przenieść z za kulis na scenę. Usiłowali wyzyskać koniunkturę ile tylko się da. Była to dla nich próba przyszłej kampanji, którą mieli wszcząć przeciwko „trockizmowi”. Ale właśnie ta strona sprawy wzbudzała w Leninie największy niepokój, to też uciekał się do najrozmaitszych środków, aby tylko akcję tę sparaliżować.

Właściwa treść polityczna dyskusji przysypana została tak grubą warstwą wszelakiego śmiecia, że nie zazdroścę wcale przyszłemu dziejopisowi, który zechce dotrzeć do sedna sprawy. Już po śmierci Lenina, epigoni doszukali się w moim ówczesnym stanowisku przestępstwa, polegającego na „niedocenianiu włościństwa”, oraz niemal wrogiego stosunku do nepu. Na tych podwalinach oparto właściwie całą dalszą walkę. A w istocie źródła dyskusji były zupełnie gdzie indziej. Żeby to udowodnić, muszę cofnąć się nieco wstecz.

Na jesieni 1919-go roku, gdy liczba „chorych” parowozów dosięgła 60 procent, wszyscy byli przeświadczeni, że na wiosnę 1920-go roku odsetek ten musi dojść do 75. Tak utrzymywali najwybitniejsi specjaliści. Komunikacja kolejowa traciła w takich warunkach wszelki sens, gdyż owe 25 procent niby zdrowych parowozów wystarczało zaledwie na zaspokojenie własnych potrzeb kolei żelaznych, palących paliwem drzewnym, zajmującym wiele miejsca. Inżynier Łomonosow, który faktycznie zarządzał podówczas kolejami, demonstrował rządowi wykresy epidemji, jaka dotknęła parowozy. Wskazując na punkt matematyczny w rubryce 1920-go roku, oświadczył: – Tutaj nastąpi śmierć. – Cóż więc trzeba uczynić? – zapytał Lenin. – Cudów niema, – odpowiedział Łomonosow, – nawet bolszewicy nie potrafią dokonywać cudów. – Zamieniliśmy z Leninem spojrzenia. Nastrój był tem bardziej przygnębiający, że nikt z nas nie znał techniki kolejowej, ani też techniki owych ponurych wyliczeń. – Mimo wszystko spróbujemy jednak dokazać cudu, – wycedził oschle Lenin przez zaciśnięte zęby.

Jednak w ciągu najbliższych miesięcy sytuacja wciąż się pogarszała. Składało się na to wiele przyczyn obiektywnych. Jest jednak wielce prawdopodobne, że niektórzy inżynierowie rozmyślnie przyczyniali się do tego, aby stan dróg żelaznych rzeczywiście odpowiadał ich wykresom.

Miesiące zimowe roku 1919/20-go spędziłem na Uralu, gdzie kierowałem pracą gospodarczą. Lenin zwrócił się do mnie telegraficznie z następującą

propozycją: podjąć się kierownictwa kolejami żelaznymi i postarać się za pomocą nadzwyczajnych środków o podźwignięcie ich z upadku. Odpowiedziałem z drogi, że się zgadzam.

Z Uralu przywiozłem poważny zasób obserwacji gospodarczych, które streszczały się w jednej ogólnej konkluzji: należy wyrzec się wojennego komunizmu. Doświadczenie, nabyte podczas praktycznej pracy gospodarczej, przekonało mnie, że metody komunizmu wojennego, których stosowanie zostało nam narzucone przez całokształt warunków wojny domowej,

z kuz

k n □ □
èl □

k M
zc

przedmioty, wtedy związki zawodowe powinny stanowić część składową państwowego zarządu przemysłu i podziału produktów. Na tem właśnie polegała istota *upaństwowienia* związków zawodowych, będącego nieuniknioną konsekwencją systemu wojennego komunizmu. Tak też rozumiałem upaństwowienie związków zawodowych, gdym się go domagał.

Mą pracę w kolejnictwie oparłem na zaaprobowanych przez IX zjazd zasadach komunizmu wojennego. Związek zawodowy kolejarzy utrzymywał najściślejszą łączność z aparatem administracyjnym urzędu. Metody surowej dyscypliny wojskowej miały zastosowanie w obrębie całej gospodarki kolejowej. Związałem administrację kolejnictwa z administracją wojskową, która była podówczas najsilniejszym i najkarniejszym organem władzy państwowej. Związek ten dawał poważne korzyści, szczególnie gdy się zważy, że, wraz z wybuchem wojny polskiej, transporty wojskowe zajęły znów naczelną rolę w pracy kolejnictwa. Dzień w dzień udawałem się z komisariatu wojny, którego praca niszczyła koleje żelazne, do komisariatu komunikacji, w którym usiłowałem nie tylko je uratować od ostatecznego upadku, ale i odrodzić do nowego życia.

Rok, spędzony na pracy w kolejnictwie, był dla mnie osobiście wielką szkołą. Wszystkie zasadnicze problemy socjalistycznej organizacji gospodarstwa znajdowały w dziedzinie kolejnictwa swój skoncentrowany wyraz. Wielka ilość parowozów i wagonów najrozmaitszego typu zatarasowywała tory i warsztaty. Rozpoczęliśmy zakrojoną na wielką skalę pracę przygotowawczą do normalizacji gospodarstwa kolejowego, które przed wojną znajdowało się napół w prywatnych rękach, napół zaś w rękach państwa. Parowozy grupowano w serje, ich remont nabrał bardziej planowego charakteru, warsztaty otrzymywały ściśle określone zadania, dostosowane do ich technicznych możliwości. Doprowadzenie kolei do stanu, w jakim znajdowały się przed wojną, wymagało, według naszych obliczeń, 4 i pół roku. Zastosowane przez nas środki dały niewątpliwie dodatnie wyniki. Na wiosnę i w lecie 1920-go roku, koleje zaczęły wyzwalać się z paraliżu. Lenin korzystał z każdej nadarzającej się okazji, aby podkreślać fakt odradzania się kolejnictwa. Jeśli wojna wszczęta przez Piłsudskiego, który przedewszystkiem liczył na upadek naszych kolei, nie dała Polsce spodziewanych wyników, to właśnie dzięki temu, że krzywa kolejnictwa poczęła się w sposób zdecydowany podnosić do góry. Wyniki te uzyskano przez zastosowanie nadzwyczajnych środków administracyjnych, które były nieuniknionym skutkiem zarówno ciężkiej sytuacji, w jakiej znajdowało się kolejnictwo, jak i panującego systemu komunizmu wojennego.

Ale tymczasem masy robotnicze, które przetrwały trzy lata wojny domowej, coraz niechętniej znosiły metody komendy wojskowej. Nieomylny instykt polityczny Lenina wyczuł zbliżający się kryzys. Podczas gdy ja, kierując się względami natury gospodarczej i wychodząc z założeń wojennego komunizmu, domagałem się od związków zawodowych, aby w dalszym ciągu wyęźżały wszystkie swe siły, Lenin dążył ze względów politycznych do złagodzenia nacisku wojskowego. W przeddzień X-go zjazdu linje naszego postępowania biegnęły we wręcz przeciwnych kierunkach. W łonie partji rozgorzała dyskusja. Toczyła się ona na zupełnie niewłaściwym temacie. Partja rozważała sprawę tempa, w jakim należy dokonać upaństwowienia związków zawodowych, podczas gdy rzeczywistość domagała się chleba powszedniego, paliwa, surowców dla przemysłu. W partji debatowano gorączkowo o „szkole

komunizmu”, podczas gdy należało zastanowić się nad sprawą grożącej już bezpośrednio katastrofy gospodarczej. Powstania w Kronsztadzie i w Tambowskiej guberni wdarły się do tej dyskusji, niby ostatni głos ostrzegawczy. Lenin sformułował swe pierwsze, bardzo ostrożne, tezy, dotyczące przejścia do nowej polityki gospodarczej. Przyłączyłem się do nich niezwłocznie, gdyż były tylko wznowieniem propozycji, zgłoszonych przeze mnie jeszcze przed rokiem. Sprawa związków zawodowych straciła od razu swą aktualność. Lenin nie uczestniczył wcale w dyskusji zjazdowej na ten temat, pozostawiając Zinowjewowi zabawianie się łuską po wystrzelonym naboju. Zabierając głos podczas dyskusji, uprzedzałem, że uchwalona przez większość rezolucja w sprawie związków zawodowych nie dożyje do następnego zjazdu, gdyż nowa orientacja gospodarcza będzie wymagała generalnej rewizji strategii zawodowej. I rzeczywiście, już po upływie kilku miesięcy, Lenin opracował zupełnie nowe zasady roli i zadań związków zawodowych w okresie nepu. Przyłączyłem się bez zastrzeżeń do tej rezolucji. Nasza solidarność została przywrócona. Lenin żywił jednak obawę, że wskutek przewlekłej, bo dwumiesięcznej, dyskusji w łonie partji utworzą się zwarte i trwałe ugrupowania, które zatrują atmosferę partyjną i będą przeszkadzać w pracy. Ale już w czasie zjazdu zaprzestałem wszelkich narad ze zwolennikami tego samego co ja poglądu w sprawie związków zawodowych. Po upływie kilku tygodni od zjazdu, Lenin przekonał się, że podobnie, jak i on, dążę do zlikwidowania tymczasowych ugrupowań, które utraciły już wszelką rację bytu. Leninowi zrobiło się od razu źle na sercu. Skorzystał z jakiejś bezczelnej uwagi, rzuconej pod moim adresem przez Mołotowa, wybranego wówczas po raz pierwszy do C. K., aby skarcić go za nadmierną i nierozumną gorliwość. Wkońcu powiedział: – Lojalność towarzysza Trockiego w stosunkach partyjnych stawia go poza wszelkimi zarzutami. – Zdanie to Lenin powtórzył kilka razy. Nie ulegało wątpliwości, że przywołuje do porządku nie samego tylko Mołotowa, ale jeszcze kogoś innego. Chodziło mianowicie o to, że Stalin i Zinowjew usiłowali sztucznie przedłużyć konjunkturę dyskusyjną.

Na X-ym zjeździe – z inicjatywy Zinowjewa i wbrew woli Lenina – Stalina właśnie wysunięto na sekretarza generalnego. Zjazd był przekonany, że w grę wchodzi kandydatura, wyznaczona przez cały Centralny Komitet. Nikt nie przywiązywał, zresztą, szczególnej wagi do tego wyboru. Stanowisko sekretarza generalnego, utworzone po raz pierwszy na X-ym zjeździe, mogło mieć przy Leninie tylko techniczny, ale bynajmniej nie polityczny charakter. Lenin żywił jednakowoż pewne obawy: – Ten kucharz będzie przyrządzał wyłącznie pikantne potrawy – mawiał o Stalinie. Z tych właśnie powodów, Lenin na jednym z-pierwszych pozjazdowych posiedzeń C. K., tak dobitnie zaakcentował „lojalność Trockiego”: chciał w ten sposób poskromić natrętą intrygę.

Słowa Lenina bynajmniej nie były przypadkowo rzuconą uwagą. Podczas wojny domowej Lenin dał mi pewnego razu dowód moralnego zaufania do mnie w stopniu najwyższym, na jaki człowiek w stosunku do człowieka może się wogóle zdobyć. Asumpt do tego dała znów ta sama opozycja wojskowa, znajdująca się pod zakulisowem kierownictwem Stalina. Posiadałem podczas wojny władzę, którą w rzeczywistości można było nazwać nieograniczoną. W moim pociągu odbywały się posiedzenia trybunału wojskowego, fronty były mi podwładne, tyły podlegały frontom, a trzeba wiedzieć, że w pewnych okresach wszystkie niezajęte przez białych terytoria republiki były tyłami,

bądź też strefami utortyfikowanymi. Każdy, kto dostawał się pod koła rydwanu wojny, miał krewnych i przyjaciół, którzy nie szczędzili wszelkich starań, aby tylko ulżyć doli bliskiego człowieka. Różne prośby, zażalenia, protesty, docierały przeróżnymi drogami do Moskwy i skupiały się przeważnie w prezydium Centralnego Komitetu Wykonawczego. Pierwsze epizody w związku z tem rozegrały się jeszcze na tle wydarzeń swijażskich. Opowiedziałem już wyżej o tem, jak oddałem pod sąd dowódcę czwartego pułku łotewskiego zato, że groził mi odwołaniem swego pułku z pozycji. Trybunał skazał winowajcę na pięć lat więzienia. Po kilku zaledwie miesiącach rozpoczęły się już zabiegi, zmierzające do uwolnienia go. Szczególny nacisk wywierano na Swierdłowa, który sprawę skierował do biura politycznego. Opowiedziałem w krótkich słowach, w jakich okolicznościach dowódca pułku oświadczył mi, że nastąpią „konsekwencje, grożące rewolucji niebezpieczeństwem”. W trakcie mojego opowiadania twarz Lenina szarzała coraz bardziej... Nie zdążyłem jeszcze skończyć, jak krzyknął zduszonym, zachrypłym głosem, który świadczył u niego o najwyższym stopniu wzburzenia: – Niech siedzi, niech siedzi. – Swierdłow spojrzał na Lenina, na mnie i powiedział: – Jestem tego samego zdania.

Drugi, o wiele ważniejszy epizod, łączy się z rozstrzelaniem dowódcy i komisarza, którzy ścignęli pułk z pozycji, z bronią w ręku zajęli parowiec i mieli zamiar odpłynąć do Niżnego. Pułk ten sformował się w Smoleńsku, gdzie robotą kierowali przeciwnicy mojej polityki wojskowej, którzy później stali się jej najgorętszymi zwolennikami. Narobili jednak wówczas wielkiego hałasu. Komisja, wyłoniona na moje żądanie przez Centralny Komitet, uznała jednomyślnie, że postępowanie władz wojskowych, jako wywołane okolicznościami wojny, było zupełnie słuszne. Dwuznaczne pogłoski nie ustawały jednak. Zdawało mi się kilka razy, że pochodzą z jakiegoś źródła, bliskiego biura politycznemu. Ale miałem ważniejsze sprawy na głowie, niż śledzenie i rozwikływanie intryg. Raz tylko wspomniałem na posiedzeniu biura politycznego, że gdyby nie drakońskie środki, zastosowane pod Swijażskiem, to nie obradowaliśmy teraz w biurze politycznym. – Słuszna racja! – pochwycił Lenin i zaraz zaczął, jak zwykle bardzo szybko, pisać coś czerwonym atramentem na dole czystego blankietu z nagłówkiem „Rada Komisarzy Ludowych”. Nastąpiła przerwa w posiedzeniu, gdyż Lenin przewodniczył. Po upływie dwóch minut wsunął mi do rąk arkusz, na którym nakreślone było, co następuje:

Przewodniczący Rady
Komisarzy Ludowych
Moskwa, Kreml,
..... lipca 1919 r.

Towarzysze !

Surowy charakter zarządzeń towarzysza Trockiego jest mi znany. Ponieważ jednak posiadam przeświadczenie, niczem niewzruszone przeświadczenie, że zarządzenie, wydane przez towarzysza Trockiego, jest słuszne, celowe i niezbędne dla sprawy, przeto całkowicie popieram to zarządzenie.

W. Uljanow-Lenin

– Mogę wam wydać tyle takich blankietów, ile będziecie sobie życzyli – powiedział Lenin. W najcięższych okolicznościach wojny domowej, w warunkach spiesznych i nieodwołalnych decyzji, wśród których mogły zdarzyć się i decyzje błędne, Lenin kładł zgóry swój podpis pod wszelkim rozkazem, którego wydanie mogę w przyszłości uznać za niezbędne. A od rozkazów tych zależało przecież życie i śmierć niejednej istoty ludzkiej. Czy może być wyższy stopień zaufania, okazanego człowiekowi przez człowieka? Myśl o tak niezwykłym dokumencie mogła się zrodzić w głowie Lenina tylko dzięki temu, że lepiej ode mnie znał, lub wyczuwał źródła intrygi i że w ten sposób chciał się tej intrydze stanowczo przeciwstawić. Ale zdobyć się na taki krok mógł Lenin tylko dlatego, że był do głębi przeświadczony o mojej niezdolności do popełniania czynów nielojalnych i do nadużywania władzy. Przeświadczeniu temu dał najsilniejszy wyraz w nielicznych słowach. Nadaremnie szukaliby epigoni u siebie czegoś zbliżonego chociażby do tego dokumentu. Stalin mógłby znaleźć conajwyżej w swym archiwum ukrywany przezeń przed partją „Testament” Lenina, w którym mowa jest o Stalinie, jako o człowieku nielojalnym, zdolnym do nadużywania władzy. Wystarczy porównać te dwa teksty: wydane mi przez Lenina nieograniczone pełnomocnictwo moralne z wydanym przezeń Stalinowi moralnym wilczym biletem, aby znaleźć właściwą skalę stosunku Lenina do mnie i do Stalina.

ROZDZIAŁ XXXIX

CHOROBA LENINA

Pierwszy urlop wziętem przed drugim kongresem Międzynarodówki Komunistycznej na wiosnę 1920-go roku. Spędziłem pod Moskwą około dwóch miesięcy. Czas mój dzieliłem pomiędzy kurację – w tym mniej-więcej czasie zacząłem się poważnie leczyć, – staranne opracowywanie manifestu, który w ciągu najbliższych lat zastępował Międzynarodówce Komunistycznej program, – i polowanie. Potrzeba odpoczynku była bardzo wielka po tylu latach wyteżonej i nerwowej pracy. Ale nie byłem przyzwyczajony do odpoczywania. Spacerowanie nie było dla mnie odpoczynkiem, jak nie są nim i po dziś dzień. Urok polowania polega na tym, że działa ono na świadomość, jak kataplazm na obolałe miejsce...

Pewnej niedzieli w początkach maja 1922-go roku łowiłem ryby siecią w starym łożysku rzeki Moskwy. Padał deszcz, trawa rozmiękła, poślizgnęłem się na zboczu, przewróciłem się i nadwyrężyłem sobie ścięgna nogi. Nie było to nic poważnego, musiałem jednak przez kilka dni leżeć w łóżku. Na trzeci dzień przyszedł do mnie Bucharin. – I wy też w łóżku! – zawołał przerażony. – A kto jeszcze oprócz mnie? – spytałem. – Z Iljiczem jest niedobrze: atak paraliżu – nie może chodzić, ani mówić. Lekarze gubią się w domysłach.

Lenin dbał bardzo o zdrowie swych współpracowników. Często przytaczał powiedzenie jakiegoś emigranta: starzy wymrą, a młodzi nie wytrzymają. – Czy wielu jest wśród nas takich, którzy wiedzą coś o Europie, o wszechświatowym ruchu robotniczym? Póki jesteśmy odosobnieni z naszą rewolucją, – powtarzał Lenin, – doświadczenie międzynarodowe naszych kierowniczych warstw partyjnych nie da się niczem zastąpić. – Lenin uchodził za człowieka krzepkiego i zdawało się, że jego zdrowie jest jedną z niewzruszonych podwalin rewolucji. Zawsze był aktywny, czujny, zrównoważony i wesoły. Czasami tylko dostrzegałem niepokojące oznaki. Podczas pierwszego kongresu Międzynarodówki Komunistycznej Lenin zrobił na mnie wrażenie swym zmęczonym wyglądem, nierównym głosem i uśmiechem człowieka chorego. Mawiałem mu nieraz, że zupełnie niepotrzebnie zużywa swe siły na drugorzędne sprawy. Zgadzał się z tem, ale nie mógł postępować inaczej. Uskarżał się czasami – ale zawsze z odcieniem zażenowania i szybko zmieniając temat – na bóle głowy. Dwa lub trzy tygodnie wypoczynku przywracały mu jednak siły. Zdawało się, że Lenin jest nie do zdarcia.

W końcu 1921-go roku stan jego zdrowia pogorszył się. 7-go grudnia napisał do członków biura politycznego, następującą kartkę: „Wyjeżdżam dzisiaj. Mimo że ostatnio zmniejszyłem sobie codzienną porcję pracy i zwiększyłem porcję odpoczynku, bezsenność wzmaga się djabelnie. Obawiam się, że nie będę mógł referować ani na konferencji partyjnej, ani też na zjeździe sowietów”. Lenin zaczął przebywać przeważnie na wsi, pod Moskwą. Zwracał jednak stamtąd baczną uwagę na bieg wszystkich spraw. Czyniono

przygotowania do konferencji w Genewie. 23-go stycznia (1922 roku) Lenin pisze do członków biura politycznego:

„Przed chwilą otrzymałem od Cziczeryna dwa listy (z 20 i 22). Porusza zagadnienie, czy nie należałoby, wzamian za przyzwoitą rekompensatę, zgodzić się na pewne drobne zmiany naszej konstytucji, a mianowicie na dopuszczenie do sowietów przedstawicieli żywiołów pasorzytniczych, aby w ten sposób dogodzić Amerykanom. Powyższa propozycja Cziczeryna dowodzi, moim zdaniem, że należy go niezwłocznie posłać do sanatorium. Wszelka opieszałość w tym względzie, odroczenie wykonania decyzji i t. p. stanowić będzie, moim zdaniem, groźne niebezpieczeństwo dla dalszego rozwoju rokowań”. W każdym słowie tej notatki, w której bezwzględność polityczna kojarzy się z przebiegłą dobroduszością, żyje i oddycha Lenin.

Stan jego zdrowia pogarszał się nieustannie. W marcu bóle głowy wzmogły się. Lekarze nie stwierdzili jednak żadnych wad organicznych i zarządziли dłuższy odpoczynek. Lenin przeniósł się na stałe na wieś pod Moskwę. Tutaj w początku maja dotknął go pierwszy atak.

Jak się okazało, Lenin zachorował jeszcze przed dwoma dniami. Dlaczego nie powiedziano mi o tym zaraz? Żadne podejrzenie nawet do głowy mi wówczas nie przychodziło. – Nie chciano was niepokoić, – odpowiedział Bucharin – chciano przekonać się, jaki obrót weźmie choroba. – Bucharin mówił zupełnie szczerze: powtarzał to, co wpoili weń „starsi”. W owym czasie Bucharin był jeszcze do mnie przywiązany we właściwy mu, napół historyczny, napół dziecienny, sposób. W końcu swej relacji o chorobie Lenina, Bucharin rzucił się na moje łóżko i, objawszy mnie przez kołdrę, począł biadać: – Nie chorujcie, błagam was, nie chorujcie... o śmierci dwóch osób myślę zawsze z przerażeniem... o śmierci Iljicza i waszej. – Strofowałem go przyjaźnie, chcąc, aby wrócił do równowagi. Nie dawał mi skupić myśli na niepokojącej nowinie, którą przyniósł. Cios był oszałamiający. Zdawało się, że sama rewolucja zatrzymała oddech w piersiach.

„Pierwsze pogłoski o chorobie Lenina – pisze N. I. Siedowa w swych pamiętnikach – szeptano sobie na ucho. Tak, jakgdyby nikomu nigdy nie przychodziło do głowy, że Lenin może zachorować. Wiadomo było, że Lenin zwracał baczną uwagę na zdrowie innych, ale zdawało się, że jego samego żadna choroba się nie ima. Wszyscy prawie rewolucjoniści ze starszej generacji niedomagali – wskutek nadmiernego przeciążenia – na serce. „Silniki prawie u wszystkich działają nieprawidłowo”, uskarżali się lekarze. „Dwa tylko serca są w zupełnym porządku”, powiedział do L. D. profesor Guetier „to serce Lenina i pańskie. Z lakierni sercami można żyć do stu lat”. Okazało się, że z liczby serc, które zbadali w Moskwie cudzoziemscy lekarze, tylko dwa działały zupełnie prawidłowo: to serca Lenina i Trockiego. Gdy w stanie zdrowia Lenina nastąpiła niespodziewana dla szerokich warstw zmiana, zareagowano na nią, jak na nagły zwrot w przebiegu całej rewolucji. Czy podobna, aby Lenin mógł zachorować, jak każdy zwykły śmiertelnik i umrzeć zwykłą śmiercią? Nie do zniesienia była myśl, że Lenin utracił władzę w członkach i zdolność mowy. Nie tracono wiary, że przyzwycięży wszystko, wstanie i wydobrzeje...” Taki nastrój panował w całej partji.

Znacznie już później, gdy oglądałem się wstecz za siebie, przypomniałem sobie ponownie z uczuciem głębokiego zdziwienia, że o chorobie Lenina zawiadomiono mnie dopiero na trzeci dzień. W swoim czasie nie zastanawiałem się nad tem. Ale nie mogło to być rzeczą przypadku. Ci, którzy

oddawna zaprawiali się do roli moich przeciwników, ze Stalinem na czele, chcieli zyskać na czasie. Lenina dotknęła choroba, która mogła od razu zakończyć się tragicznie. Jutro, a może nawet dzisiaj jeszcze, wszystkie sprawy kierownictwa mogłyby stać się najaktualniejszymi zagadnieniami. Przeciwnicy uważali, że zyskanie chociażby jednego dnia na przygotowania jest rzeczą dużej wagi. Rozpoczęły się między nimi konszachty i szukanie poomacku dróg i sposobów walki. Przypuszczać należy, że już wówczas powstała myśl o „trójce” (Stalin-Zinowjew-Kamieniew), którą mnie zamierzano przeciwstawić. Ale Lenin przyszedł do siebie. Organizm, powodowany niezłomną wolą, dokonał olbrzymiego wysiłku. Mózg, który przestał już działać z braku dopływu świeżej krwi i utracił zdolność kojarzenia dźwięków i liter, odżył na nowo.

W końcu maja pojechałem łowić ryby do miejscowości, odległej o jakieś osmdziesiąt wiorst od Moskwy. Okazało się, że jest tam sanatorium dla dzieci imienia Lenina. Dzieci odprowadziły mnie, gdym szedł brzegiem jeziora, dopytywały się o zdrowie Lenina i posłały mu przeze mnie kwiaty polne i list. Lenin nie mógł jeszcze sam pisać. Podyktował swemu sekretarzowi kilka zdań: „Włodzimierz Iljicz polecił mi, aby wam napisał, że myśl przywiezienia w jego imieniu upominku dla dzieci z sanatorium na stacji Podsotniecznaja, bardzo go cieszy. Włodzimierz Iljicz prosi Was o podziękowanie dzieciarni za ich serdeczny list i kwiaty. Żałuje bardzo, że nie może skorzystać z zaproszenia. Nie wątpi, że pobyt wśród dzieci na pewno przyspieszyłby jego powrót do zdrowia”.

W lipcu Lenin chodził już i, chociaż aż do października nie powrócił oficjalnie do pracy, zwracał jednak na wszystko baczną uwagę i był au courant wszystkiego. Między innymi, w czasie rekonwalescencji, proces eserowców absorbował bardzo jego uwagę. Eserowcy zabili Wołodarskiego i Urickiego, ciężko zranili Lenina i usiłowali dwukrotnie wysadzić mój pociąg w powietrze. Nie mogliśmy akcji tej lekceważyć. Umieliśmy cenić „rolę jednostki w dziejach”, aczkolwiek nie traktowaliśmy tej roli pod idealistycznym kątem widzenia, jak to czynili nasi wrogowie. Nie mogliśmy zamykać oczu na niebezpieczeństwo, na jakie narazilibyśmy rewolucję, gdybyśmy pozwolili wrogowi na wystrzelanie kierowników naszej partji.

Nasi humanitarni przyjaciele, z gatunku ani chłodnych, ani gorących, tłumaczyli nam nieraz, że mogą się jeszcze pogodzić z myślą o konieczności represyj wogóle, ale rozstrzeliwanie *pojmanego* wroga stanowi przekraczanie granic koniecznej obrony własnej. Domagali się od nas „wspaniałomyślności”. Klara Zetkin i inni europejscy komuniści, którzy mieli jeszcze podówczas odwagę mówić to, co myśleli wbrew Leninowi i mnie, nalegali, abyśmy darowali życie oskarżonym. Proponowali nam, abyśmy poprzestali na karze więzienia. Zdawało się, że jest to najprostsze wyjście. Ale kwestja represyj w zastosowaniu do poszczególnych osób nabiera podczas rewolucji zupełnie swoistego charakteru i nie da się w żaden sposób pogodzić z humanitarnymi komunałami. Gdy walka toczy się o władzę, gdy obydwie strony walczą na śmierć i życie – a na tem właśnie polega rewolucja, – cóż znaczy kara więzienia dla ludzi, którzy spodziewają się pochwyć niebawem władzę w swe ręce i uwiezić lub zetrzeć z oblicza ziemi tych, którzy dziś ster dzierżą w dłoni? Z punktu widzenia tak zwanej absolutnej wartości jednostki ludzkiej, rewolucje należy „potępić” tak samo, jak potępia się wojnę, jak zresztą należałoby potępić całe dzieje ludzkości. Nie wolno jednak zapominać, że

pojęcie jednostki ukształtowało się tylko dzięki rewolucjom i że proces tego kształtowania bynajmniej się jeszcze nie skończył. Aby pojęcie jednostki nabrało realnej treści i aby napoły pogardliwe pojęcie „masy” zatraciło charakter antytezy w stosunku do uprzywilejowanego, z punktu widzenia filozoficznego, pojęcia „jednostki”, konieczne jest, aby ta właśnie masa, przy pomocy dźwigni rewolucji, albo raczej – szeregu rewolucyj, – wzniosła się na nowy szczybel dziejowy. Nie wiem, czy z punktu widzenia normatywnej filozofji drogę tę należy uznać za dobrą, czy też za złą i przyznam się, niewiele mnie to obchodzi. Wiem tylko na pewno, że jest to jedyna droga, którą ludzkość znała dotychczas.

Rozważania te nie są wcale próbą „usprawiedliwienia” teroru rewolucyjnego. Wszelkie podobne próby świadczyłyby o tem, że liczymy się z naszymi oskarżycielami. A cóż to są za jedni? Organizatorzy i eksploatatorzy rzezi wszechświatowej? Nowi bogacze, którzy na cześć „nieznanego żołnierza” kadzą swem wonnem poobiedniem cygarem? Pacyfiści, którzy zwalczali wojnę, dopóki jej nie było, a teraz w każdej chwili gotowi są znów powtórzyć swą ohydłą maskaradę? Lloyd-George, Wilson i Poincaré, którzy sądzili, że mają prawo morzyć głodem niemieckie dzieci za przestępstwa, popełnione przez Hohenzollerna (i przez nich samych)? Angielscy konserwatyści, lub francuscy republikanie, którzy, trzymając się zdaleka i nie wystawiając się na żadne niebezpieczeństwo, niecili w Rosji pożar wojny domowej i z lejącej się krwi usiłowali bić monetę swych zysków? Litanję tę możnaby ciągnąć w nieskończoność. Nie chodzi mi tutaj wcale o filozoficzne usprawiedliwienie, lecz tylko o polityczne uzasadnienie. Rewolucja dlatego właśnie jest rewolucją, że wszystkie przeciwieństwa swego rozwoju sprowadza do jednej alternatywy: życie albo śmierć. Któż zechce w to uwierzyć, żeby ci sami ludzie, którzy sprawę przynależności Alzacji i Lotaryngji rozstrzygają co pół wieku na nowo, zapomocą całych gór trupów ludzkich, zdolni byli do przebudowy swych stosunków społecznych jedynie przy pomocy brzuchomówstwa parlamentarnego? W każdym razie nikt nie pokazał nam jeszcze dotychczas, jak się to robi. Łamaliśmy opór, stawiany nam przez stare formacje geologiczne, zapomocą stali i dynamitu. A gdy nieprzyjaciel strzelał do nas, przeważnie z karabinów najbardziej ucywilizowanych i najdemokratyczniejszych narodów, odpowiadaliśmy mu pięknem za nadobne. Bernard Shaw kręcił z wyrzutem brodą, potępiając i jednych i drugich. Ale nikt nie zwracał uwagi na ten sakramentalny argument.

Sprawa represyj nabrała w lecie 1920-go roku szczególnie ostrego charakteru: chodziło tym razem o wodzów partji, która w swoim czasie, gdyśmy prowadzili walkę rewolucyjną z caratem, szła z nami ramię przy ramieniu, po przewrocie październikowym zaś przeciwko nam skierowała ostrze teroru. Uciekinierzy z obozu eserowców zdradzili nam tajemnicę, że najważniejsze zamachy organizowały nie chodzące samopas jednostki, jakeśmy początkowo mogli przypuszczać, lecz partja, która jednakże nie mogła się zdecydować, aby oficjalnie wziąć na siebie odpowiedzialność za dokonywane przez się morderstwa. Skazanie przez trybunał oskarżonych na śmierć było rzeczą nieuniknioną. Ale wykonanie wyroku wywołałoby niechybnie odwet w postaci nowej fali teroru. Poprzestanie zaś na karze więzienia, nawet długotrwałego, równałoby się poniekąd zachęcaniu terrorystów, którzy niebardzo wierzyli w długotrwałość władzy sowieckiej, do dalszych wystąpień. Jako jedyne wyjście z sytuacji pozostawało przeto

uzależnienie wykonania wyroku od tego, czy partja będzie kontynuowała walkę terrorystyczną, czy też jej zaniecha. Innymi słowy, decyzja ta czyniła wodzów partji zakładnikami.

Z Leninem widziałem się po raz pierwszy po jego powrocie do zdrowia akurat w dni sądu nad socjal-rewolucjonistami. Z uczuciem ulgi przyłączył się od razu do zaproponowanej przeze mnie decyzji: – Słusznie, niema innego wyjścia.

Powrót do zdrowia jakgdyby dodawał Leninowi skrzydeł. Ale gdzieś w głębi czaił się w nim jeszcze jakiś wewnętrzny lęk. – Rozumiecie, nie mogłem przecież ani mówić, ani pisać, musiałem więc uczyć się od samego początku... – mówił do mnie niespokojny, przesywając mnie szybkim i badawczym spojrzeniem.

W październiku Lenin powrócił oficjalnie do pracy, przewodniczył na posiedzeniach biura politycznego i rady komisarzy ludowych, a w listopadzie wygłaszał nawet mowy programowe, co najwidoczniej źle wpływało na jego zdrowie.

Lenin wyczuwał, że w związku z jego chorobą za naszymi plecami ktoś snuje nieuchwytnie narazie sieci spisku.

Epigoni nie palili jeszcze za sobą mostów i nie wysadzali ich w powietrze. Ale gdzie niegdzie podcinali już belki i podkładali cichaczem naboje pyroksylinowe. Przy każdej nadarzającej się okazji występowali przeciwko moim propozycjom, jakgdyby ćwicząc się w samodzielności i starannie zaprawiając do podobnych demonstracji. W miarę tego, jak Lenin znów wciągał się w pracę, stwierdzał z rosnącym coraz bardziej niepokojem, że przez ostatnie dziewięć miesięcy zaszły w partji poważne zmiany. Narazie nie chciał jednak mówić o tem głośno, aby nie wywoływać zaostżenia stosunków. Gotował się jednak do poskromienia „trójki” i począł to czynić przy poszczególnych kwestiach.

Do szeregu prac, któremi kierowałem nie urzędowo i niejawnie, to jest nie jako członek rządu, lecz jako członek partji, należała propaganda antyreligijna, którą Lenin szczególnie się interesował. Prosił mnie niejednokrotnie z naciskiem, abym nie spuszczał oka z tej dziedziny pracy. W czasie swej rekonwalescencji Lenin dowiedział się w jakiś sposób, że Stalin i tutaj knuje coś przeciwko mnie, gdyż wciąga nowych ludzi do propagandy antyreligijnej i odsuwa ode mnie aparat, prowadzący tę akcję. Lenin przysłał ze wsi do biura politycznego list, w którym przytaczał, napozór bez żadnej racji, ustępy z mojej książki o Kautsky’em, dodając bardzo pochlebną opinię o jej autorze, którego, zarówno jak i tytułu książki, nie wymienił jednak w liście. Przyznając, nie od razu domyśliłem się, że Lenin chciał dać Stalinowi w ten sposób pośrednio do zrozumienia, iż potępia skierowane przeciwko mnie machinacje. Do kierownictwa propagandy antyreligijnej powołano tymczasem Jarosławskiego, zdaje się, w charakterze mego zastępcy. Gdy Lenin wrócił do pracy i dowiedział się o tem, wsiadł na jednym z posiedzeń biura politycznego w okropny sposób na Mołotowa, przez to samo godząc w rzeczywistości w Stalina: – Ja-ro-sław-skij ? A czyż wy nie znacie Ja-ro-sław-skiego? Toć to są ordynarne kpiny! Gdzie on tam da sobie radę z tą robotą? – i t. d. Podniecenie Lenina mogło osobom niewtajemniczonym wydać się przesadne. Ale nie chodziło tu bynajmniej o Jarosławskiego, którego Lenin, coprawda, ledwie znosił, szło o kierownictwo całą partją. Podobne epizody zdarzały się nieraz.

Od czasu gdy Stalin zetknął się bliżej z Leninem, a zwłaszcza po

przewrocie październikowym, nie przestawał właściwie uprawiać w stosunku do Lenina głuchej, niezdarnej, ale tem bardziej niecierplivej opozycji. Mimo rozpierającej go szalonej ambicji i zawiści, musiał na każdym kroku przekonywać się, że jest pod względem umysłowym i moralnym wielkością posledniejszego gatunku. Dążył, najwidoczniej, do nawiązania bliższych stosunków ze mną. Później dopiero zdałem sobie sprawę z tego, że usiłował stworzyć atmosferę pewnej poufałości. Lecz odstręczały mnie właśnie te jego właściwości charakteru, które później, na falach upadku, stały się źródłem jego siły: wąskość zainteresowań, empiryzm, prostactwo psychologiczne i ów charakterystyczny cynizm prowincjonalisty, który pod wpływem marksizmu wyzbył się wielu przesądów, nie zastępując ich jednak gruntownie przemyślanym, psychologicznym poglądem na świat. Kilka odosobnionych uwag, które wydały mi się w swoim czasie przypadkowe, ale przypuszczalnie takimi nie były w istocie, przekonało mnie, że Stalin szukał u mnie poparcia przeciwko nieznośnej dlań kontroli ze strony Lenina. Przy każdej takiej próbie robiłem za każdym razem odruchowo krok wstecz i – omijałem go. Sądzę, że tutaj należy szukać źródła owej zimnej, tchórzliwej początkowo i nawskroś zdradzieckiej nienawiści, którą darzył mnie Stalin. Skupiał on systematycznie dookoła siebie bądź ludzi podobnego doń typu, bądź prostaczków, pragnących stworzyć sobie spokojną egzystencję, bądź też, wreszcie, ludzi, którzy się czuli obrażeni. A osobników wszystkich tych trzech kategorii było poddostatkiem.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w rozmaitych sprawach bieżących Leninowi częstokroć było znacznie dogodniej opierać się nie na mnie, lecz na Stalinie, Zinowjewie i Kamieniewie. Dbając zawsze o zaoszczędzenie własnego i cudzego czasu, Lenin starał się o to, aby na przewyciężanie tarć wewnętrznych tracono jak najmniejszą ilość energii. Ja zaś miałem własne me zapatrywania, własną metodę pracy i własne sposoby urzeczywistniania decyzji, które już zapadły. Lenin wiedział o tem dobrze i potrafił uszanować te moje właściwości. Zbyt dobrze zdawał sobie dlatego sprawę, że nie nadaję się do wykonywania zleceń. To też, gdy potrzeba mu było zwykłych wykonawców, zwracał się do kogo innego. W pewnych okresach, a zwłaszcza wtedy, gdy pomiędzy mną a Leninem zachodziły nieporozumienia, mogło to na jego pełnomocnikach sprawiać wrażenie, że są mu szczególnie bliscy. A więc na zastępców swoich, jako przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, Lenin wyznaczył z początku Rykowa i Ciurupę, a później, dodatkowo, jeszcze Kamieniewa. Uważałem, że wybór ten jest trafny. Leninowi potrzebni byli pomocnicy posłuszni, dobrze wykonywujący praktyczne zlecenia. Do takiej roli nie nadawałem się zupełnie. Mogłem żywić dla Lenina tylko uczucie wdzięczności, że nie proponował mi stanowiska zastępcy. Nie dopatrywałem się w tem bynajmniej jakiegoś objawu braku zaufania, lecz, wprost przeciwnie, uważałem, że jest to wyraźna i zupełnie nie ubliżająca mi ocena mego charakteru, oraz stosunków, które nas ze sobą łączyły. Miałem później okazję, aby ponad wszelką wątpliwość przekonać się, że tak właśnie jest. Pomiedzy pierwszym a drugim atakiem, siły Lenina zmniejszyły się niemal o połowę. Drobne, lecz groźne zaburzenia systemu krwionośnego dawały mu się wciąż odczuwać. Na jednym z posiedzeń biura politycznego Lenin zachwiał się zlekka, gdy wstał, aby oddać komuś karteczkę (chcąc przyspieszyć tempo pracy, Lenin pisywał zazwyczaj na posiedzeniach takie karteczki). Dostrzegłem to tylko dzięki temu, że Lenin zmienił się odrazu na twarzy. Było to jedno z wielu ostrzeżeń, które czynił jego organizm. Lenin

nie miał w tej mierze żadnych złudzeń. Zastanawiał się poważnie i wszechstronnie nad tem, jak potoczy się praca bez niego i po nim. Wtedy to powstał w jego głowie ów dokument, który zyskał później rozgłos jako „Testament” Lenina. W tym samym czasie – były to ostatnie tygodnie przed drugim atakiem – Lenin rozmawiał ze mną długo o mojej dalszej pracy. Treść tej rozmowy, ze względu na jej charakter i znaczenie polityczne, opowiedziałem zaraz kilku osobom (Rakowskiemu, I. N. Smirnowowi, Sosnowskiemu, Preobrażenskiemu i innym). Już dzięki temu chociażby rozmowę tę doskonale zapamiętałem.

Było to tak. Centralny komitet związku pracowników oświatowych wysłał do mnie i do Lenina delegację, która prosiła, abym podjął się dodatkowo kierownictwa komisariatem oświaty ludowej, podobnie, jak przez rok kierowałem komisariatem komunikacji. Lenin spytał mnie o zdanie. Odpowiedziałem, że w oświacie, jak i w każdej innej dziedzinie, największe trudności będzie nastęczał aparat urzędniczy. – Tak, u nas panuje straszliwy biurokracyzm, – podchwycił Lenin – strach mnie ogarnął, gdym powrócił do pracy... Ale sądzę, że właśnie dlatego, poza komisariatem wojny, nie powinniście się oddawać pracy w innych urządach. – Gorączkowo, uporczywie i z widocznym wzburzeniem wykladał mi Lenin swój plan. Siły, które może poświęcać na pracę kierowniczą, są ograniczone. Ma trzech zastępców. – Znacie ich przecie dobrze, Kamieniew, to niewątpliwie mądry polityk, ale cóż z niego za administrator? Ciurupa jest chory. Rykow posiada, być może, zdolności administracyjne, ale trzeba go będzie posłać zpowrotem do Najwyższej Rady Gospodarstwa Narodowego. Musicie koniecznie zostać zastępcą. Sytuacja wymaga radykalnego przetasowania osób. – Powołałem się znów na „aparat”, który coraz bardziej utrudnia mi pracę nawet w urzędzie wojskowym. – A więc będziecie mieli okazję, aby przetrząsnąć cokolwiek aparat – podchwycił z ożywieniem Lenin, czyniąc aluzję do zwrotu, użytego kiedyś przeze mnie. – Odparłem, że mam na myśli nie tylko państwowy, ale i partyjny biurokracyzm, że istoty wszystkich trudności doszukiwać się należy w skojarzeniu dwóch aparatów i w pokrywaniu się wzajemnem przez wpływowe grupy, które skupiają się dokoła hierarchji sekretarzy partyjnych. Słuchał mnie z natężoną uwagą i aprobował moje myśli, czego wyrazem była owa głęboka, piersiowa intonacja, której głos jego nabierał, gdy Lenin, upewniwszy się, że rozmówca rozumie go całkowicie, odrzucał wszelkie konwencjonalne naleciałości rozmowy i otwarcie przystępował do rzeczy najważniejszych i najbardziej go niepokojących. Po krótkim zastanowieniu, Lenin postawił sprawę zupełnie wyraźnie: – Proponujecie więc, żebyśmy rozpoczęli walkę nie tylko z biurokracyzmem państwowym, ale również i z Biurem Organizacyjnem Centralnego Komitetu? – Pytanie to zaskoczyło mnie tak niespodziewanie, że się aż roześmiałem. Biuro Organizacyjne było głównym ośrodkiem aparatu Stalina. – Bodaj, że oto idzie. – A więc, – ciągnął Lenin dalej, zadowolony z tego, żeśmy istocie sprawy nadali właściwą nazwę, – proponuję wam zawarcie bloku przeciwko biurokracyzmowi wogóle i przeciwko Biuru Organizacyjnemu w szczególności. – Pochlebna to rzecz zawrzeć z porządnym człowiekiem porządny blok, – odpowiedziałem. Umówiliśmy się, że spotkamy się znów po pewnym czasie. Lenin zaproponował mi, abym zastanowił się nad organizacyjną stroną sprawy. Rzucił myśl stworzenia przy C. K. komisji do walki z biurokracyzmem. Weszlibyśmy obaj w jej skład. Komisja ta, w istocie rzeczy, miała stać się dźwignią do podważenia frakcji Stalina, będącej kością

pacierzową biurokracyzmu, oraz przyczynić się do wytworzenia w łonie partji warunków, które pozwoliłyby mi zostać zastępcą Lenina. Intencją Lenina było, abym został jego następcą na stanowisku przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych.

Dopiero w związku z tem, treść tak zwanego testamentu staje się zupełnie zrozumiała. Lenin wymienia w nim sześć osób zaledwie i, charakteryzując je, waży każde słowo. Testament miał niewątpliwie na celu ułatwienie mi pracy kierowniczej. Lenin, ma się rozumieć, chce osiągnąć to za cenę jak najmniejszych tarć osobistych. Mówi o wszystkich nadzwyczaj ostrożnie. Łagodzi zabójcze, w istocie swej, opinie. Jednocześnie, szeregiem ograniczeń, łagodzi nazbyt zdecydowanie wskazane obsadzenie pierwszego miejsca. Dopiero w charakterystyce Stalina brzmi inny ton, który w późniejszym dopisku do testamentu staje się wprost zabójczy.

O Zinowjewie i Kamieniewie Lenin mówi, jakgdyby mimochodem, że kapitulacja ich w r. 1917-ym „nie była czemś przypadkowem”, innemi słowy – mają to we krwi. Tacy ludzie, oczywiście, nie mogą kierować rewolucją. Ale mimo wszystko, nie należy im wyrzucać przeszłości. Bucharin jest scholastykiem, a nie marksistą, ale przytem sympatycznym człowiekiem. Piatakow jest zdolnym administratorem, lecz marnym politykiem. Może zresztą ci dwaj, Piatakow i Bucharin, jeszcze się czegoś nauczą. Najzdolniejszy jest Trocki, wadą jego jest nadmierna pewność siebie. Stalin jest brutalny, nielojalny i ma skłonność do nadużywania władzy, którą daje mu organizacja partyjna. Stalina trzeba odwołać, aby uniknąć rozłamu. Oto istota testamentu, który uzupełnia i tłumaczy propozycję, uczynioną mi przez Lenina podczas ostatniej naszej rozmowy.

Lenin poznał Stalina jak należy, dopiero po Październiku. Miał uznanie dla jego zalet, a mianowicie dla twardości i zmysłu praktycznego, na który w trzech czwartych składała się przebiegłość. Zarazem jednak Lenin ustawicznie spotykał się z nieuctwem Stalina, z niezwykle wąskością jego widnokregu politycznego, moralną prymitywnością i brakiem wszelkich skrupułów. Na stanowisko sekretarza generalnego Stalin został wybrany wbrew woli Lenina, który znosił ten stan tak długo, póki sam stał na czele partji. Ale, gdy Lenin po pierwszym ataku powrócił do pracy z nadwątlonem już zdrowiem, absorbowowało go zagadnienie kierownictwa w całej swej rozciągłości. To jest geneza owej rozmowy ze mną i również geneza testamentu. Ostatnie jego słowa zostały napisane 4-go stycznia. Od tej daty upłynęły jeszcze dwa miesiące, podczas których sytuacja wyjaśniła się ostatecznie. Teraz Lenin nie dość, że przygotowuje odwołanie Stalina ze stanowiska sekretarza generalnego, ale zamierza również zdyskwalifikować go wobec partji. Systematycznie i wytrwale kieruje sprawy w ten sposób, aby na tle zagadnienia monopolu handlu zewnętrznego, zagadnienia narodowościowego, ustroju wewnętrznego partji, inspekcji robotniczo-włościańskiej i komisji kontrolującej, zadać na XII zjeździe okrutny cios biurokracyzmowi, mafji urzędniczej, samowoli i brutalności w osobie Stalina.

Czy Lenin potrafiłby przeprowadzić planowane przez siebie przetasowanie osób w kierownictwie partyjnym? Nie ulega żadnej wątpliwości, że wówczas byłoby mu się to powiodło. Nie brakło pod tym względem precedensów, a jeden z nich, niedawny, był bardzo charakterystyczny. W czasie, gdy Lenin, jako rekonwalescent, mieszkał jeszcze na wsi, mnie zaś w Moskwie nie było, Centralny Komitet w listopadzie r. 1922-go powziął jednogłośnie uchwałę,

zadającą cios nie do naprawienia monopolowi handlu zewnętrznego. Zarówno Lenin, jak i ja, niezależnie od siebie, uderzyliśmy na trwogę. Porozumieliśmy się potem listownie i skoordynowaliśmy już nasze kroki. Po upływie kilku tygodni zaledwie Centralny Komitet równie jednomyślnie odwołuje swą uchwałę, jak jednomyślnie ją powziął. 21-go grudnia Lenin pisał do mnie z triumfem:

„Towarzyszu Trocki, zdaje się, że udało się nam zdobyć pozycję bez wystrzału, tylko przy pomocy manewru. Proponuję, byśmy się nie zatrzymywali i nacierali dalej...” Wspólne nasze wystąpienie przeciwko Centralnemu Komitetowi na początku roku 1923-go przyniosłoby nam na pewno zwycięstwo. Więcej nawet. Nie wątpię, że gdybym w przeddzień XII-go zjazdu wystąpił, zgodnie z zamierzeniami „bloku” Lenin-Trocki, przeciwko biurokratyzmowi stalinowskiemu, odniósłbym zwycięstwo nawet bez bezpośredniego udziału Lenina w walce. Rzecz inna, czy uzyskane zwycięstwo byłoby trwałe. Aby wyrobić sobie opinię w tej sprawie, należy uwzględnić szereg obiektywnych zmian, które dokonywały się w kraju, w łonie klasy robotniczej i w łonie partji. Jest to samodzielny i bardzo rozległy temat. Krupskaja powiedziała kiedyś w r. 1927-ym, że gdyby Lenin żył jeszcze, to prawdopodobnie siedziałby już w więzieniu stalinowskim. Sądzę, że miała słuszną rację. Bowiem nie chodzi tu o Stalina, lecz o te siły, których wyrazicielem jest Stalin, nie zdając sobie z tego sprawy. Przecież w roku 1922/23 można było jeszcze zdobyć stanowisko naczelnego, wywierając otwarty nacisk na szybko kształtującą się frakcję narodowo-socjalistycznych urzędników, uzurpatorów aparatu, nielegalnych spadkobierców Października, epigonów bolszewizmu. Największy szkopuł na tej drodze stanowił jednak stan zdrowia Lenina. Spodziewano się, że Lenin przyjdzie do siebie, jak po pierwszym ataku, i weźmie udział w XII zjeździe tak samo, jak brał udział w XI-ym. Sam Lenin sądził również, że tak będzie. Lekarze robili nadzieję, ale z coraz mniejszą stanowczością. O koncepcji „bloku Lenina i Trockiego”, skierowanego przeciwko ludziom aparatu i biurokratom, wiedzieliśmy podówczas ze wszelkimi szczegółami tylko ja i Lenin, pozostali członkowie biura politycznego domyślali się tylko czegoś niewyraźnie. Listy Lenina w sprawie narodowościowej, zarówno jak i jego testament, nie były znane nikomu. Moje wystąpienie mogło być zrozumiałe, a raczej byłoby przedstawione, jako moja walka osobista o miejsce Lenina w partji i w państwie. Na samą myśl o tem wstrząsał mną dreszcz. Uważałem, że mogłoby to wywołać taką demoralizację w naszych szeregach, za którą, nawet w razie zwycięstwa, trzeba by drogo zapłacić. We wszystkich planach i wyrachowaniach czynnikiem decydującym i niewiadomym był sam Lenin i stan jego zdrowia. Czy zdoła się wypowiedzieć? Czy zdąży? Czy partja zrozumie, że chodzi tu o walkę, prowadzoną przez Lenina i Trockiego o przyszłość rewolucji, nie zaś o walkę Trockiego o miejsce po chorym Leninie? Dzięki wyjątkowemu stanowisku, jakie Lenin zajmował w partji, niepewny stan jego zdrowia wywoływał niepewność stanu całej partji. Prowizorium przedłużało się, a zwłoka była tylko na rękę epigonom, bowiem Stalin, jako sekretarz generalny, siłą rzeczy zostawał majordomem aparatu na cały czas, trwania „bezkrolewia”.

Były pierwsze dni marca 1923 roku. Lenin leżał w swym pokoju w jednym z gmachów Kremlu. Zbliżał się drugi atak, poprzedzany szeregiem drobnych zaburzeń. Mnie na kilka tygodni przykuło do łóżka lumbago (zastrzał). Leżałem w mcm mieszkaniu w gmachu pawilonu kawalerskiego: od Lenina dzielił mnie ogromny dziedziniec Kremla. Żaden z nas – ani Lenin, ani ja – nie mógł nawet podejść do telefonu, Leninowi lekarze zabronili zresztą surowo wszelkich rozmów telefonicznych. Łącznikiem pomiędzy nami były dwie sekretarki Lenina, Fotijewa i Glasser. Zakomunikowały mi, że Lenin jest niesłychanie zdenerwowany przygotowaniem, czynionymi przez Stalina do zbliżającego się zjazdu partji, zwłaszcza zaś związanymi z jego frakcyjnymi machinacjami w Gruzji. – Włodzimierz Iljicz gotuje bombę dla Stalina na zjazd – powiedziała dosłownie Fotijewa. Słowo „bomba” pochodziło od Lenina, nie od niej. – Włodzimierz Iljicz prosi was, abyście sprawę gruzińską wzięli w swoje ręce, wtedy będzie o nią spokojny! – 5-go marca Lenin dyktuje następującą kartkę do mnie:

„Szanowny towarzyszu Trocki. Prosiłbym Was bardzo o obronę sprawy gruzińskiej na C. K. partji. Sprawę tę wzięli teraz w „obroty” Stalin z Dzierżyńskim, na których bezstronności nie mogę polegać. Nawet wprost przeciwnie. Gdybyście podjęli się obrony tej sprawy, byłbym spokojny. Jeżeli z jakichkolwiek względów nie zgodzicie się, zwróćcie mi wszystkie akta, których odesłanie będę uważał za Waszą odmowę. Ze szczerem pozdrowieniem Lenin”.

– Dlaczego sprawa tak się zaostrzyła? – pytam. Okazuje się, że Stalin znów nadużył zaufania Lenina: aby zapewnić sobie punkt oparcia w Gruzji, dokonał tam przy pomocy Ordżonikidzego i zapewne przy poparciu Dzierżyńskiego, lecz za plecami Lenina i całego C. K., zorganizowanego przewrotu, skierowanego przeciwko najlepszej części partji, zasłaniając się przytem bezprawnie autorytetem C. K. Korzystając z tego, że chory Lenin nie mógł komunikować się bezpośrednio z towarzyszami, Stalin usiłował wprowadzać go w błąd zapomocą fałszywych informacji. Lenin polecił swemu sekretarjadowi, aby zebrał dokładne materiały w sprawie gruzińskiej i postanowił, że wystąpi w tej sprawie otwarcie. Trudno orzec, co wywarło na nim większe wrażenie: czy nielojalność osobista Stalina, czy też jego brutalna biurokratyczna polityka w sprawie narodowościowej. Najpewniej połączenie jednego z drugim. Lenin gotował się do walki, lecz obawiał się, że nie zdoła osobiście występować na zjeździe i to go niepokoiło. – Może porozumieć się z Zinowjewem i Kamieniewem? – podpowiadały mu sekretarki. Lenin machał gniewnie ręką. Przewidywał dokładnie, że z chwilą, gdy odsunie się od pracy, Zinowjew i Kamieniew utworzą pospołu ze Stalinem „trójkę”, skierowaną przeciwko mnie, a więc dopuszczają się zdrady wobec Lenina. – A czy nie wiecie, jak zapatruje się Trocki na sprawę gruzińską? – zapytuje Lenin. – Trocki występował na posiedzeniu plenarnem zupełnie zgodnie z waszym poglądem, – odpowiada sekretarka Glessler, która prowadziła protokół na tem posiedzeniu. – A czy się nie mylicie? – Nie, Trocki zarzucał Ordżonikidzemu, Woroszyłowowi i Kalininowi, że nie rozumieją zagadnienia narodowościowego. – Sprawdźcie to jeszcze raz! – domaga się Lenin. Nazajutrz, podczas posiedzenia C. K., które odbywało się u mnie w mieszkaniu, sekretarka Glessler podaje mi kartkę, zawierającą krótkie streszczenie mojego wczorajszego przemówienia. Kartka kończy się pytaniem: – „Czy dobrze Was zrozumiałam?” – A po co wam to? – zapytuje. „Dla

Włodzimierza Iljicza” – pisze sekretarka. – Dobrze – odpowiadam, Stalin z wielkim niepokojem obserwował naszą korespondencję. Ale nie domyślałem się jeszcze wówczas, co to wszystko miało znaczyć... – Gdy Włodzimierz Iljicz przeczytał naszą korespondencję, – opowiadała mi towarzyszką Glessler, – od razu twarz mu się rozjaśniła: no, teraz to inna sprawa! Kazał oddać wam wszystkie materiały rękopiśmienne, które miały być częścią składową *bomby*, przygotowanej na XII-ty zjazd. – Teraz dopiero przejrzałem zamiary Lenina: na przykładzie polityki Stalina chciał z całą bezwzględnością ujawnić partii niebezpieczeństwo, które tkwi w biurokratycznym zwyrodnieniu dyktatury.

– Kamieniew jedzie jutro do Gruzji na konferencję partyjną, – powiadam Fotijewej. – Mogę zapoznać go z rękopisami Lenina, aby inspirować mu właściwe postępowanie w Gruzji. Zapytajcie o to Iljicza. – Fotijewa wraca po kwadransie zdyszana: – Pod żadnym pozorem! – Dlaczego? – Włodzimierz Iljicz powiada: – Kamieniew pokaże zaraz wszystko Stalinowi, a ze Stalinem nie można wchodzić w kompromisy, bo nas oszuka. – Zatem sprawy zaszły tak daleko, że Iljicz nie uznaje za możliwe zawarcie kompromisu ze Stalinem nawet w słusznej sprawie? – Tak, Iljicz nie dowierza Stalinowi i chce wystąpić przeciwko niemu otwarcie wobec całej partji. Przygotowuje bombę.

Mniej więcej po upływie godziny Fotijewa przyszła znów do mnie z karteczką Lenina, zaadresowaną do starego rewolucjonisty Mdiwaniego i innych przeciwników polityki, uprawianej przez Stalina w Gruzji. Lenin pisał do nich:

„Z najgłębszym zainteresowaniem śledzę przebieg Waszej sprawy. Jestem oburzony brutalnością Ordżonikidzego i pobłazaniem Stalina i Dzierżyńskiego. Przygotowuję dla Was notatki i przemówienie”. Odpis tej kartki zaadresowany był nie tylko do mnie, lecz i do Kamieniewa. Zdziwiło mnie to bardzo. – A więc Włodzimierz Iljicz rozmyślił się? – zapytałem. – Tak, stan jego pogarsza się z każdą godziną. Nie można dawać wiary uspakajającym opiniom lekarzy, Iljicz mówi już z wielkim trudem... Sprawa gruzińska denerwuje go bardzo, obawia się, że zwali się z nóg, nie zdoławszy nic przedsięwziąć. Gdy oddawał kartkę, powiedział mi: – Aby się nie spóźnić, musimy wystąpić otwarcie przed czasem. – Zatem znaczy to, że teraz mogę pomówić z Kamieniewem? – Najwidoczniej. – Proszę wezwać go do mnie.

Kamieniew zgłosił się po upływie godziny. Był zupełnie zdezorientowany. Koncepcja trójki: Stalin, Zinowjew, Kamieniew dojrzała już dawno. Ostrze jej skierowane było przeciwko mnie. Zadanie, które spiskowcy postawili sobie, polegało na tym, aby, po uprzednim przygotowaniu dostatecznego oparcia organizacyjnego, ukoronować trójkę, jako legalną spakobierczynię Lenina. Małe kartka wrzynała się w ten plan, niby ostry klin. Kamieniew nie wiedział, co ma począć i przyznał mi się do tego dość otwarcie. Dałem mu do przeczytania rękopisy Lenina. Jako doświadczony polityk, zrozumiał od razu, że Leninowi chodziło nie tylko o Gruzję, lecz i o rolę Stalina w partji wogóle. Kamieniew udzielił mi dodatkowych informacji. Był przed chwilą u Nadieždy Konstantynówny Krupskiej na jej wezwanie. Wzburzona niezwykle, oświadczyła mu: – Włodzimierz podyktował przed chwilą stenografistce list do Stalina, zawiadamiając go o zerwaniu z nim wszelkich stosunków. – Bezpośrednia tego przyczyna miała charakter napoty osobisty. Stalin usiłował za wszelką cenę odciąć Lenina od źródeł informacji i pozwalał sobie na tem tle na najordynarniejsze wybryki w stosunku do Nadieždy Konstantynówny. – Znacie przecież Iljicza, – dodała Krupskaja, – nie pozwoliłby sobie nigdy na

zerwanie stosunków osobistych, gdyby nie uważał, że trzeba Stalina zmiążyć politycznie. – Kamieniew był błądliwy i zdenerwowany. Tracił grunt pod nogami. Nie wiedział, co ma zrobić i dokąd się zwrócić. Być może, że wprost obawiał się wrogich wystąpień z mojej strony, skierowanych osobiście przeciwko niemu. Powiedziałem mu, jaki jest mój pogląd na sytuację. – Czasami bywa tak, że, uciekając przed rzekomo niebezpieczeństwem, ludzie narażają się na niebezpieczeństwo rzeczywiste – powiedziałem. – Miejcie na uwadze i powtórzcie innym, że zupełnie nie mam zamiaru wszczynać na zjeździe walki o jakiegokolwiek zmiany organizacyjne. Jestem za utrzymaniem status quo. Jeżeli Lenin wstanie przed zjazdem (co, na nieszczęście, jest mało prawdopodobne), wtedy z nim razem sprawę rozpatrzmy ponownie. Jestem przeciwny usunięciu Stalina, wydaleniu Ordżonikidzego i odwołaniu Dzierżyńskiego z komisarjatu komunikacji. Ale zasadniczo zgadzam się z Leninem. Pragnę radykalnej zmiany polityki narodowościowej, zaprzestania represyj względem przeciwników Stalina w Gruzji, zaniechania przez partję ucisku administracyjnego, bardziej zdecydowanego zwrotu do industrializacji i rzetelnej współpracy w warstwie kierowniczej. Rezolucja Stalina w sprawie narodowościowej jest do niczego. Brutalny i cyniczny ucisk, wywierany przez wielkie mocarstwa, traktuje ona na-równi z protestami i oporem drobnych, słabych i zacofanych narodowości. Aby ułatwić Stalinowi konieczną zmianę kursu, nadałem mej rezolucji formę poprawek do jego wniosku. Ale zmiana ma być radykalna. Stalin musi ponadto bezwzględnie przeprosić Krupską listownie za swe postępowanie wobec niej. Niech panuje nad sobą. Dostyc już intryg. Potrzebna jest uczciwa współpraca. Wy zaś – zwróciłem się do Kamieniewa – musicie uzyskać na konferencji w Tyflisie całkowitą zmianę kursu w stosunku do gruzińskich zwolenników narodowościowej polityki Lenina.

Kamieniew odetchnął z ulgą. Zgodził się na wszystkie moje propozycje. Obawiał się tylko, że Stalin może się uprzeć: „jest ordynarny i kapryśny”. – Nie przypuszczam, – odpowiedziałem, – on nie ma teraz innego wyjścia. – Późno w nocy Kamieniew zawiadomił mnie, że był na wsi u Stalina, który przyjął wszystkie warunki. Krupskaja otrzymała już od niego list z przeprosinami. Nie mogła pokazać go jednak Leninowi, gdyż jest mu gorzej. Odniosłem jednak wrażenie, że Kamieniew mówi jakimś innym tonem, niż przed kilkoma godzinami, gdyśmy się rozstawali. Dopiero później zrozumiałem, że przyczyną tej zmiany było pogorszenie się stanu zdrowia Lenina. W drodze, czy też zaraz po przyjeździe do Tyflisu, Kamieniew otrzymał od Stalina depezę szyfrowaną z wiadomością, że Lenin znów został dotknięty paraliżem: nie mówi i nie pisze. Na konferencji gruzińskiej Kamieniew uosabiał politykę Stalina wbrew Leninowi. Trójka, wzmocniona wiarołomstwem, stała się więc faktem.

Lenin kierował swój atak nie tylko przeciwko samemu Stalinowi, ale i przeciwko jego sztabowi, a przede wszystkim przeciwko jego pomocnikom, Dzierżyńskiemu i Ordżonikidzemu. Oba te nazwiska powtarzają się stale w listach Lenina, dotyczących sprawy gruzińskiej.

Dzierżyński był człowiekiem o wielkiej wybuchowej namiętności. Jego energia znajdowała się w ustawicznym napięciu, dzięki ciągłemu wyładowywaniu się elektryczności. Zapalał się łatwo w związku z każdą, drugorzędną nawet, sprawą, cienkie nozdrza drgały, oczy skrzyły się, a głos wyteżał i rwał się częstokroć. Mimo tak wysokiego, stałego napięcia nerwowego, Dzierżyński nie miewał okresów depresji i apatji. Zawsze

znajdował się jakgdyby w stanie całkowitej mobilizacji. Lenin porównał go kiedyś z gorącym koniem pełnej krwi. Dzierżyński kochał ślepo każdą sprawę, którą otrzymywał do wykonania, broniąc nieustępliwie, z fanatycznym zapalem swych współpracowników przed wszelką krytyką i ingerencją z zewnątrz. W tym wszystkim brak jednak było jakichkolwiek momentów natury osobistej, gdyż Dzierżyński zepalał się absolutnie ze sprawą.

Dzierżyński nie myślał samodzielnie. Nie uważał się sam za polityka, przynajmniej za życia Lenina. Mawiał do mnie nieraz przy rozmaitych okazjach: – Nienajgorszy, może, ze mnie rewolucjonista, nie jestem jednak wodzem, ani mężem stanu, ani politykiem. – Nie przemawiała przezeń jedynie skromność. Ocena, dokonana przez niego samego, była w istocie trafna, gdyż Dzierżyński zawsze wymagał czyjś kierownictwa politycznego. Przez wiele lat kroczył za Różą Luxemburg, współdziałając z nią nie tylko w walce z patriotyzmem polskim, ale również i z bolszewizmem. W roku 1917-ym przyłączył się do bolszewików. Lenin powiedział mi z zadowoleniem: – Niema nawet śladu dawnych zatargów. – Przez jakie dwa, czy trzy lata Dzierżyński szczególnie ciążył ku mnie. Ostatnio popierał Stalina. W pracy gospodarczej pokonywał przeszkody dzięki swemu temperamentowi: nawoływał, zagrzewał do roboty, porywał za sobą. Nie posiadał jakiejś jednolitej, przemyślonej koncepcji rozwoju gospodarczego. Podzielał wszystkie błędy Stalina i bronił ich z właściwym sobie zapalem. Umarł nieomal w pozycji stojącej, gdyż natychmiast po opuszczeniu trybuny, z której rzucał na opozycję gromy swej namiętności.

Lenin uważał, że drugiego sprzymierzeńca Stalina, Ordżonikidzego, należy koniecznie wydaląć z partji za samowolę biurokratyczną, uprawianą przezeń na Kaukazie. Oponowałem przeciwko temu. Lenin odpowiedział mi przez sekretarkę: – Przynajmniej na dwa lata. – Lenin wcale nie przeczuwał wówczas, że Ordżonikidze stanie na czele komisji kontrolującej, która, w myśl koncepcji Lenina, miała być naczelnym organem walki ze stalinowskim biurokratyzmem, oraz wcieleniem sumienia partyjnego.

Wszczęta przez Lenina kampanja, obok zadań natury ogólnopolitycznej, miała bezpośrednio na celu wytworzenie możliwie najkorzystniejszych warunków, któreby ułatwiały mi pracę kierowniczą, czy to przy boku Lenina, gdyby zdołał powrócić do zdrowia, czy też na jego miejscu, gdyby choroba go zmogła. Ale walka, której nie doprowadzono nie tylko do końca, lecz nawet do połowy, dała wręcz odwrotne, niż zamierzano, wyniki. Lenin właściwie zdążył zaledwie *wypowiedzieć* wojnę Stalinowi i jego sprzymierzeńcom i o tem wypowiedzeniu wojny powiadomione były tylko osoby bezpośrednio zainteresowane, ale nie partja. Frakcja Stalina – podówczas była to zaledwie frakcja „trójki” – zespoliła się jeszcze mocniej po otrzymaniu pierwszego ostrzeżenia. Prowizorium utrzymało się. Stalin dzierżył ster aparatu. Rozpoczęła się sztuczna selekcja aparatu, dokonywana w szalonym tempie. Im słabszą czuła się trójka pod względem ideowym, im bardziej się mnie obawiała, – a obawiała się mnie dlatego, że chciała mnie obalić, – tem mocniej musiała naciskać wszystkie sprężyny zarządu partji i państwa. Znacznie później, bo w r. 1925-ym, Bucharin odpowiedział mi, na moją krytykę ucisku partyjnego: – Nie mamy demokracji, gdyż wszyscy was się boimy. – Postarajcie się przezwyciężyć waszą obawę – poradziłem – i weźmy się razem do porządnej pracy. – Ale rady mojej nie usłuchano.

Rok 1923 był pierwszym rokiem wyteżonego niszczenia i dławienia partji

bolszewickiej, dokonywanego narazie bez rozgłosu. Lenin walczył ze straszną chorobą. Trójka walczyła z partją. Atmosfera była naładowana elektrycznością. Na jesieni nastąpiło wyładowanie w postaci „dyskusji” przeciwko opozycji. Rozpoczęła się druga rewolucja: walka z trockizmem. W istocie zaś była to walka z puścizną ideową po Leninie.

ROZDZIAŁ XL

SPISEK EPIGONÓW

Były pierwsze tygodnie 1923-go roku. Zbliżał się XII zjazd. Słaba była nadzieja, aby Lenin mógł w nim uczestniczyć. Nasuwało się pytanie, kto ma wygłosić zasadniczy referat polityczny. Na posiedzeniu biura politycznego Stalin powiedział: – Rozumie się, że Trocki. – Poparli go natychmiast Kalinin, Rykow i Kamieniew, ten ostatni niewątpliwie wbrew własnej woli. Ja oponowałem. Partji będzie się wydawało dziwne, jeśli ktokolwiek z nas spróbuje jakgdyby zastąpić osobę chorego Lenina. Obejdziemy się tym razem bez wstępnego referatu politycznego. Powiemy, co trzeba, przy rozpatrywaniu poszczególnych punktów porządku dziennego. – Zresztą, – dodałem – różnimy się z wami w sprawach gospodarczych. – Cóż znowu za różnice? – odpowiedział Stalin. – Kalinin dorzucił: – We wszystkich prawie sprawach biuro polityczne uchwała wasze wnioski. – Zinowjew korzystał z urlopu, który spędzał na Kaukazie. Sprawa nie została rozstrzygnięta. Podjąłem się w każdym razie referatu o przemyśle.

Stalin wiedział, że od strony Lenina nadciągają ku niemu groźne chmury, nadszarpnął mi więc i zabiegał o moje względy. Powtarzał, że referat polityczny powinien wygłosić najwplywowszy i najpopularniejszy po Leninie członek C. K., to jest Trocki, że partja niczego innego się nie spodziewa i inaczej tego nie zrozumie. W tych obłudnych usiłowaniach okazania mi swej przyjaźni, wydawał mi się jeszcze bardziej obcy, niż wtedy, kiedy otwarcie dawał wyraz swej nienawiści, tembardziej zwłaszcza, że motywy, które nim kierowały, były aż nadto oczywiste.

Zinowjew powrócił z Kaukazu. Za moimi plecami odbywały się nieustanne konwentykle frakcyjne, podówczas jeszcze w bardzo ścisłym gronie. Zinowjew domagał się powierzenia mu referatu politycznego. Kamieniew zapytywał najzaufanszych „starych bolszewików”, których większość w swoim czasie na przeciąg jakichś 10 czy 15 lat opuszczała szeregi partyjne: – Czyżbyśmy mieli dopuścić do tego, żeby Trocki został jedynym kierownikiem partji i państwa? – Po kątach roztrząsano coraz częściej stare dzieje, wypominając mi dawne nieporozumienia z Leninem. Zinowjew specjalizował się w tym zakresie. A tymczasem w stanie zdrowia Lenina nastąpiło ostre pogorszenie, z tej strony więc nie groziło już żadne „niebezpieczeństwo”. „Trójka” zdecydowała, że Zinowjew wygłosi referat polityczny. Nie sprzeciwiałem się, gdy sprawa, po odpowiednim przygotowaniu jej za kulisami, wpłynęła do biura politycznego. Tymczasowość wyciskała na wszystkim swe piętno. Nie było otwartej różnicy zdań, gdyż „trójka” nie miała wogóle wytkniętego żadnego wyraźnego kierunku. Zaproponowane przeze mnie tezy w sprawach przemysłowych przyjęto początkowo bez dyskusji. Ale kiedy okazało się, że niema żadnych widoków na powrót Lenina do pracy, trójka zvekslowała naraz gwałtownie, przelekła się bowiem zbyt pokojowego przebiegu przygotowań do zjazdu

partji. Szukała już teraz okazji, aby móc mi się przeciwstawić na terenie kierowniczych warstw partji. W ostatniej chwili przed samym zjazdem, Kamieniew zgłosił poprawkę w sprawie włościństwa, mającą uzupełnić moją już zaaprobowaną rezolucję. Niema pogo zastanawiać się tutaj nad treścią tej poprawki, która miała charakter nie teoretyczny i nie polityczny, lecz jedynie prowokacyjny. Miała być podstawą do zarzucania mi narazie jeszcze za kulisami „niedoceniań” roli włościństwa. Z właściwym mu dobrodusznym cynizmem opowiedział mi Kamieniew po upływie trzech lat od chwili zerwania ze Stalinem, jak to preparowano ów zarzut, którego „ma się rozumieć, żaden z autorów nie traktował na serjo”.

Operowanie w polityce oderwanymi sprawdzianami moralnymi skazane jest zgóry na niepowodzenie. Moralność polityczna wypływa bezpośrednio z samej polityki, stanowiąc jej funkcję. Ta jedynie polityka, która służy wielkim zadaniom historycznym, potrafi posługiwać się metodami, będącymi pod względem moralnym bez zarzutu. Z drugiej strony, wszelkie obniżenie poziomu zamierzeń politycznych prowadzi w sposób nieunikniony do upadku moralnego. Figaro, jak wiadomo, nie robił żadnej różnicy pomiędzy polityką a intrygą. A żył przecież jeszcze przed początkiem epoki parlamentaryzmu! Gdy moralizatorzy z obozu demokracji mieszczańskiej doszukują się w dyktaturze rewolucyjnej, jako takiej, źródła złych obyczajów politycznych, nie pozostaje nic innego, jak tylko odpowiedzieć na to pełnym współczucia wzruszeniem ramion. Rzeczą wielce pouczającą byłoby sfilmowanie parlamentaryzmu współczesnego w okresie chociażby jednego roku. Nie należy tylko ustawiać aparatu do zdjęć w pobliżu fotela przewodniczącego izby deputowanych, gdy ta uchwała jakąś rezolucję patriotyczną. Należy ustawić go zupełnie gdzie indziej: w biurach bankierów i przemysłowców, w zacisznych zakątkach redakcyj, w przybytkach książąt kościoła, w salonach politykujących dam, w ministerstwach i, przy okazji, sfotografować również korespondencję poufną przywódców partyj... Ale niewątpliwie prawdą jest, że obyczajom politycznym dyktatury rewolucyjnej należy stawiać zupełnie inne wymagania, aniżeli obyczajom parlamentaryzmu. Już sama ostrość narzędzi i metod, stosowanych przez dyktaturę, wymaga starannej i skutecznej antyseptyki. Zabłocony pantofel zupełnie nie jest groźny, natomiast brudna brzytwa jest bardzo niebezpieczna. Metody, stosowane przez „trójkę”, były w moim mniemaniu same przez się świadectwem politycznego staczania się wdół.

Największe trudności nastęrczało spiskowcom otwarte wystąpienie przeciwko mnie w obliczu mas. Robotnicy znali Zinowjewa i Kamieniewa i chętnie ich słuchali, ale wszyscy zbyt dobrze pamiętali jeszcze ich zachowanie się w roku 1917-ym. Nie posiadali w partji moralnego autorytetu. Stalin, poza obrębem ścisłego grona starych bolszewików, był zupełnie nieznan. Niektórzy moi przyjaciele mówili: – Nigdy nie odważą się wystąpić przeciwko wam otwarcie. Wasze nazwisko zbyt ściśle związane jest w świadomości ludu z nazwiskiem Lenina. Rewolucja październikowa, ani czerwona armja, ani wojna domowa nie dadzą się przekreślić. – Nie zgadzałem się z tem. Autorytety osobiste odgrywają w polityce, a zwłaszcza w polityce rewolucyjnej, rolę dużą, nawet olbrzymią, ale bynajmniej nie decydującą. Głębsze zjawiska, jakimi są ruchy mas, wywierają w ostatniej instancji rozstrzygający wpływ na losy autorytetów. Spotwarzanie wodzów bolszewizmu w zaraniu zwycięskiej rewolucji przyczyniło się właśnie do wzmocnienia bolszewików. Spotwarzanie tych samych osób w czasie

przygasania rewolucji mogło się stać zwycięską bronią w ręku reakcji Termidora.

Procesy obiektywne, odbywające się w kraju i na widowni wszechświatowej, sprzyjały moim przeciwnikom. Ale zadanie, które mieli przed sobą, nie należało do łatwych. Literatura partyjna, prasa, agitacja czerpały jeszcze natchnienie z dnia wczorajszego, któremu wyraz nadawali Lenin i Trocki. Aby to wszystko zmienić, trzeba było dokonać zwrotu o 180 stopni, nie odrazu, rozumie się, lecz kilkoma etapami. Aby zorientować czytelnika co do rozmiarów zwrotu, należy przytoczyć tutaj choć kilka próbek tonu, w jakim pisała prasa partyjna o kierowniczych postaciach rewolucji.

Dnia 14-go października 1922-go roku, czyli już po powrocie Lenina do pracy po pierwszym ataku paraliżu, Radek pisał w „Prawdzie”:

„Jeżeli towarzysza Lenina możemy nazwać rozumem rewolucji, który panuje zapomocą transmisji woli, to towarzysza Trockiego można scharakteryzować jako stalową wolę, okiełznaną przez rozum. Mowa Trockiego rozbrzmiewa niby dzwon, nawołujący do pracy. Cała jej waga, cały sens naszej pracy na przeciąg najbliższych lat nabiera wyraźnych kształtów”... i t. d. Coprawda, ekspansywność Radka stała się przysłowiowa: potrafi tak, ale potrafi też i inaczej. Chodzi więc o to, że słowa powyższe zostały wydrukowane za życia Lenina, w centralnym organie partji i nikt nie dopatrywał się w nich jakiegoś dysonansu.

W roku 1923-ym, kiedy spisek, uknuty przez trójkę, już się ujawnił, Łunaczarskij, jako jeden z pierwszych, począł podnosić autorytet Zinowjewa. Ale w jaki sposób musiał się zabrać do tego? „Lenin i Trocki – pisał Łunaczarskij w swej charakterystyce Zinowjewa – stali się niewątpliwie najpopularniejszymi (ukochanymi albo znie-nawidzonymi) postaciami naszej epoki, bodajże na całej kuli ziemskiej. Zinowjew pozostaje za nimi nieco w tyle. Ale Lenin i Trocki oddawna uważani byli przecież w naszych szeregach za ludzi niezwykle uzdolnionych, ludzi niewątpliwie predestynowanych na wodzów. To też wielkie wyniesienie się ich ponad poziom w czasie rewolucji, nikogo nie mogło zbytnio zadziwić”.

Jeżeli przytaczam tutaj te napuszone panegiryki, świadczące o niewybrednym smaku ich autorów, to dlatego jedynie, że potrzebne mi są do uzupełnienia obrazu, albo też – jak kto woli – jako zeznania świadków podczas sprawy sądowej.

Z uczuciem zdecydowanego wstrętu muszę zacytować trzeciego świadka, Jarosławskiego. Panegiryki jego pióra są może jeszcze bardziej nieznośne od jego paszkwilów. Człowiek ten odgrywa teraz wielką rolę w partji, a jego mały, w sensie duchowym wzrost, może służyć za miarę głębokiego upadku jej kierownictwa. Swą dzisiejszą rolę Jarosławskij zawdzięcza wyłącznie temu, że piął się w górę po stopniach drabiny, składającej się ze skierowanych przeciwko mnie oszczerstw. W charakterze urzędowego fałszerza dziejów partji, przedstawia on naszą przeszłość, jako nieustanną walkę, staczaną przez Trockiego z Leninem. Niema co mówić, naturalnie, że Trocki „nie doceniał” roli włościństwa, „ignorował” włościństwo, „nie dostrzegał” go. A tymczasem w lutym 1923-go roku, to jest w chwili, kiedy Jarosławskij musiał już dobrze znać stosunki, które łączyły mnie z Leninem, oraz moje poglądy na włościństwo, w dużym artykule, poświęconym początkom mojej działalności literackiej (1900-1902 rok), charakteryzuje w następujących słowach moją przeszłość:

„Dzięki swej świetnej działalności literacko-publicystycznej, zyskał sobie towarzysz Trocki miano „króla pam-flecistów”: taką nazwę daje mu angielski pisarz Bernard Shaw. Każdy, kto przez ćwierć wieku przyglądał się uważnie tej działalności, musiał przekonać się, że talent ten szczególnie wyraźnie zaznaczył się”... i t. d.

„Wiele osób widziało przypuszczalnie, bardzo rozpowszechnioną fotografię młodzieńczą Trockiego... (i t. d.). Pod tem wysokiem czołem wrzał już wówczas spieniony potok obrazów, myśli, nastrojów, które zmuszały od czasu do czasu towarzysza Trockiego do zbaczania z wielkiej drogi historycznej, albo do obierania sobie odległych dróg okólnych lub, naodwrot, do nieustannego kroczenia naprzelaj tam, gdzie właściwie nie było przejścia. Ale, mimo wszystkich tych poszukiwań właściwej drogi, mamy przed sobą człowieka, naprawdę oddanego rewolucji, człowieka, który dorósł do roli trybuna i posiada ostry i giętki jak stał język, dotkliwie dający się we znaki przeciwnikowi”... i t. d.

„Sybiracy zachwycali się temi świetnymi artykułami, – upaja się Jarosławskij, – i niecierpliwie wyczekiwali ich ukazania się. Niewielu z nich wiedziało, kto jest autorem tych artykułów, a ci, co znali Trockiego, nie przypuszczali podówczas wcale, że będzie on uznanym kierownikiem najrewolucyjniejszej z armij i największej z rewolucyj świata”.

Jeszcze gorzej, jeżeli to wogóle jest możliwe, wygląda u Jarosławskiego sprawa „ignorowania” przeze mnie włościąństwa. Początki mojej działalności literackiej poświęciłem wsi. Posłuchajmy, co o tem mówi Jarosławskij:

„Trocki nie mógł usiedzieć na wsi syberyjskiej, aby nie wejrzeć we wszystkie szczegóły jej życia. Zwraca przede wszystkim uwagę na aparat administracyjny wsi syberyjskiej. W szeregu korespondencyj daje świetną charakterystykę tego aparatu”... Potem dalej: „Trocki widział dokoła siebie tylko wieś. Jej potrzeby były jego potrzebami. Dręczyło go jej upośledzenie i brak wszelkich praw”.

Jarosławskij domaga się, aby moje artykuły umieszczano w wypisach szkolnych. A wszystko to pisane jest w lutym 1923-go roku, to jest w tym samym miesiącu, kiedy to po raz pierwszy puszczono wersję o mojej obojętności dla wsi. Jarosławskij był wówczas na Syberji i dlatego nie był jeszcze- au courant „leninizmu”.

Ostatni przykład, który mam zamiar przytoczyć, dotyczy samego Stalina. Już w pierwszą rocznicę rewolucji październikowej, Stalin napisał artykuł, który w sposób zamaskowany godził we mnie. Aby czytelnik mógł zrozumieć o co chodzi, muszę przypomnieć, że w okresie przygotowań do przewrotu październikowego, Lenin ukrywał się w Finlandji, Kamieniew, Zinowjew, Rykow, Kalinin byli przeciwnikami powstania, o Stalinie zaś nikt nic nie wiedział. Dzięki temu, przewrót październikowy łączono w partji najczęściej z mojem nazwiskiem. W pierwszą rocznicę października Stalin uczynił próbę, mającą na celu osłabienie tego poglądu: usiłował, mianowicie, przeciwstawić mi ogólne kierownictwo Centralnego Komitetu. Ale, aby opowiadanie jego nabrało choć pewnych cech prawdopodobieństwa, musiał napisać:

„Cała praca, poświęcona praktycznemu zorganizowaniu powstania, odbywała się pod bezpośredniem kierownictwem przewodniczącego Piotrogrodzkiego sowietu, Trockiego. Można z całą pewnością powiedzieć, że szybkie przejście garnizonu na stronę sowietu i umiejętne nastawienie roboty Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, partja zawdzięcza głównie i

przedewszystkiem towarzyszowi Trockiemu”.

Stalin dlatego pisał w ten sposób, że nawet on nie mógł wówczas pisać inaczej. Musiały upłynąć całe lata wścieklej naganki, aby Stalin zdobył się na odwagę głośnego oświadczenia czegoś podobnego: „Towarzysz Trocki nie odgrywał i nie mógł odgrywać żadnej szczególnej roli ani w partji, ani też podczas rewolucji październikowej” – Gdy wskazano mu na to, że sam sobie przeczy, Stalin odpowiedział jedynie podwojeniem swej brutalności.

„Trójka” jednak w żadnym razie nie mogła przeciwstawiać samej siebie mojej osobie. Mogła przeciwstawić mi tylko Lenina. Ale w tym celu trzeba było, żeby Lenin utracił możliwość przeciwstawiania się trójce. Innymi słowy, aby kampanja, wszczęta przez trójkę, mogła liczyć na powodzenie, trójce potrzebny był albo beznadziejnie chory Lenin, albo też jego zabalsamowane zwłoki w mauzoleum. Ale i toby nie wystarczyło. Trzeba jeszcze było, abym i ja na czas kampanji ustąpił z szeregow. Stało się to właśnie na jesieni 1923-go roku.

Nie zajmuję się tutaj filozofją historii, lecz opowiadam o mojem życiu na tle wydarzeń, z którymi ono ściśle się łączy. Nie mogę pominąć okazji, aby nie stwierdzić mimochodem, że przypadek częstokroć chętnie wyświadcza przysługę zjawiskom, ujętym w karby praw dziejowych. Traktując zagadnienie to w najszerszym zakresie, muszę skonstatować, że bieg wydarzeń historycznych jest właściwie odbiciem zjawisk prawidłowych w zjawiskach przypadkowych. Gdy użyjemy języka biologji, powiemy, że prawidłowość zjawisk historycznych urzeczywistnia się zapomocą doboru naturalnego zjawisk przypadkowych. Na tem podłożu odbywa się świadoma działalność człowieka, która podporządkowuje zjawiska przypadkowe sztucznemu doborowi.

Muszę tutaj jednak przerwać swoje wywody, aby opowiedzieć o moim przyjacielu Iwanie Wasiljewiczu Zajcewie ze wsi Kałoszyno nad Dubną. Okolica ta nazywała się Zabołotje i, jak na to sama jej nazwa wskazuje, obfituje w ptactwo błotne. Rzeka Dubna rozlewa się tu szeroko. Bagniska, jeziorka i łączące je niewielkie potoki, okolone sitowiem, ciągną się szeroką wstęgą na przestrzeni czterdziestu kilometrów bezmała. Na wiosnę przeciągają tędy gęsi, żórawie, kaczki najrozmaitszych gatunków, kuliki, bekasy i wszelkie inne bractwo błotne. W odległości dwóch kilometrów w zagajniku, wśród porośłych mchem i borówkami pagórków, tokują cietrzewie. Jednym krótkim wiosłem popycha Iwan Wasiljewicz swe wydrążone z pnia czółno przez wąską bródę wodną pomiędzy błotnistymi brzegami. Bródę tę niewiadomo kiedy wykopano, może przed 200-300 laty, a może jeszcze dawniej. Co roku trzeba ją oczyszczać, aby się nie zamuliła. Chcąc zdążyć do szałas przed świtem, trzeba wyruszyć z Kałoszyna o północy. Torfowe bagnisko uginało się chybotliwie pod każdym krokiem. Był czas, żem się tego obawiał. Ale Iwan Wasiljewicz powiedział mi jeszcze za pierwszego mojego pobytu: – Ruszaj śmiało naprzód: zdarzało się już nieraz, że w jeziorze ktoś utonął, ale w bagnisku – nigdy.

Czółno jest tak lekkie i wywrotne, że najlepiej leżeć w niem nieruchomo na plecach, szczególnie podczas wiatru. Przewoźnicy, ze względów bezpieczeństwa, zazwyczaj kłęczą w czólnach. To tylko Iwan Wasiljewicz,

mimo że utyka na jedną nogę, stoi wyprostowany. Iwan Wasiljewicz jest kaczym królem tych okolic. Ojciec jego, dziad i pradziad również polowali na kaczki. Jego praojcowie dostarczali, przypuszczalnie, kaczki, gęsi i łabędzie do stołu Iwana Groźnego. Głuszcem, cietrzewiem, bekasem Zajcew nie interesuje się wcale. – To nie mój cech, – mówi zwięźle. Ale zato kaczkę zna nawskroś, jej pióra, jej głos, jej kaczą duszę. Stojąc w płynącym czólnie, Iwan Wasiljewicz podnosi z wody jedno pióro za drugim, przygląda się im i oznajmia: – Pojedziemy z tobą do Guszczyzna, kaczki usiadły tam z wieczora... – A skąd ty to wiesz? – Patrz, pióro trzyma się na wodzie, nie rozmokło, świeże jeszcze, leciała wieczorem, a tędy mogła tylko lecieć do Guszczyzna.

I otóż, podczas gdy inni myśliwi przywożą jedną lub dwie pary, my z Iwanem Wasiljewiczem przywozimy z dziesięć par albo i jeszcze więcej. Zasługa jest jego, a cały honor mnie przypada w udziale. Tak to często bywa w życiu. W szałasie z sitowia Iwan Wasiljewicz przytyka do ust swą zgrubiałą dłoń i poczyną tak tkliwie naśladować kwakanie kaczki-cyranki, że nawet najostroźniej szy, ostrzelany już kaczor nie zdoła oprzeć się tym czarownym dźwiękom, zatoczy w powietrzu koło nad szałasem, albo nawet pluśnie do wody w odległości jakichś pięciu kroków, że człowiek nawet strzelać nie ma sumienia. Zajcew wszystko dostrzega, wie, wyczuwa. – Gotuj się – szepce do mnie – kaczor leci wprost na ciebie. Widzę woddali, nad lasem, dwa przecinki skrzydeł, ale rozpoznać, że to kaczor, – nie, to tylko Iwan Wasiljewicz potrafi, wielki mistrz kaczego cechu. Ale kaczor rzeczywiście leci wprost na mnie. Kiedy spudłuję, Iwan Wasiljewicz chrząknie tylko cichutko i uprzejmie. Ale lepiejby było się nie urodzić, niż słyszeć za sobą to chrząknięcie.

Zajcew pracował przed wojną w fabryce włókienniczej. A i teraz zimową porą pracuje w Moskwie to jako palacz, to znów w elektrowni. Przez pierwsze kilka lat po przewrocie, ludzie bili się ze sobą, płonęły lasy i torfowiska, nagie pola leżały odłogiem – kaczki wcale nie przylatywały. Zajcew nie dowierzał nowemu ustrojowi. Ale począwszy od roku 1920-go, kaczki znów się pojawiły, a właściwie sypnęły się, jak z rogu obfitości, wobec czego Iwan Wasiljewicz uznał bez zastrzeżeń władzę sowiecką.

W odległości dwóch kilometrów od Kałoszyna czynna była przez cały rok niewielka sowiecka fabryka knotów. Dyrektorem tej fabryki był szofer z mojego pociągu wojskowego. Żona i córka Zajcewa zarabiała w fabryce po 30 rubli miesięcznie. Stanowiło to niesłychany wprost majątek. Gdy jednak fabryka zaopatrzyła w knoty całą okolicę, zamknięto ją. Wtedy kaczki stały się znów podstawą rodzinnego dobrobytu.

1-go maja Iwan Wasiljewicz dostał się na scenę Wielkiego Teatru Moskiewskiego na miejsca, zarezerwowane dla gości honorowych. Siedział w pierwszym rzędzie ze skurczoną kulawą nogą, zażenowany cokolwiek, ale, jak zwykle, z godnością i słuchał mojego referatu. Przyprowadził go Murałow, z którym dzieliliśmy zazwyczaj nasze myśliwskie radości i troski. Referat spodobał się Iwanowi Wasiljewiczowi: zrozumiał wszystko i opowiedział potem w Kałoszynie. Umocniło to jeszcze bardziej przyjaźń naszej trójki. Trzeba bowiem przyznać, że starzy strzelcy, a szczególnie strzelcy z okolic podmoskiewskich, są przeważnie bardzo zepsuci: ocierali się blisko o wielkich panów, potrafią, jak nikt, schlebiać, blagować i chełpić się. Ale Iwan Wasiljewicz wcale nie był taki. Cechowała go wielka prostota, spostrzegawczość i poczucie godności osobistej, gdyż w głębi duszy nie był zwykłym rzemieślnikiem, lecz prawdziwym artystą w swoim fachu.

Lenin przyjeżdżał również do Zajcewa na polowanie. Iwan Wasiljewicz pokazywał zawsze miejsce w drewnianej szopie, w którym Lenin kładł się na sianie. Lenin był namiętym myśliwym, lecz rzadko polował. Na polowaniu gorączkował się zazwyczaj bardzo, aczkolwiek w wielkich sprawach był zawsze niezwykle opanowany. Podobnie, jak wielu stratedzy są przeważnie kiepskimi szachistami, ludzie, obdarzeni genialną trafnością strzału politycznego, są przeważnie miernymi myśliwymi. Przypominam sobie, jak Lenin, wprost zrozpaczony w poczuciu nieszczęścia, które nie da się naprawić, skarżył mi się, że podczas polowania z naganką na lisa, spudłował z odległości dwudziestu pięciu kroków. Rozumiałem go dobrze i serce moje wzbierało współczuciem.

Nie udało mi się nigdy polować razem z Leninem, aczkolwiek nieraz umawialiśmy się w określonym miejscu i czasie. W ciągu pierwszych lat po przewrocie nikt z nas nie miał do tego głowy. Lenin wyjeżdżał jeszcze czasami z Moskwy, by zaczerpnąć świeżego powietrza, ja natomiast nie opuszczałem prawie wcale wagonu, sztabu, samochodu i nie brałem zupełnie strzelby do ręki. W ostatnich zaś latach, po ukończeniu wojny domowej, zawsze coś niespodziewanie stawało mnie lub jemu na przeszkodzie. Później Lenin zaczął niedomagać. Na krótko przed jego obłożną chorobą umówiliśmy się, że spotkamy się nad rzeką Szoszą w Twerskiej guberni. Ale samochód Lenina utknął na wiejskiej drodze, nie mogłem się go więc doczekać. Gdy Lenin przyszedł do siebie po pierwszym ataku, walczył zacięcie o swe prawo do polowania. Lekarze ustąpili wreszcie pod warunkiem, że nie będzie się przemęczał.

Podczas jakiejś, zdaje się, agronomicznej konferencji, Lenin przysiadł się do Murałowa. – Czy często polujecie z Trockim? – Czasami. – A jak wam tam idzie? Pomyślnie? – Czasami owszem. – Zabierzcie mnie kiedy ze sobą, dobrze? – A czy wam wolno? – Pyta się ostrożnie Murałow. – Wolno, wolno, pozwolili... więc zabierzecie? – Ależ rozumie się, Włodzimierzu Iljiczu, czyż mogłoby być inaczej? – Dyndnę do was, dobrze? – Czekamy. – Ale Iljicz nie zadzwonił. Z początku zadzwoniła po raz wtóry choroba, a potem – śmierć.

Całą tę dygresję wprowadziłem, by wytłumaczyć, jak to się stało, że pewnej niedzieli październikowej 1923-go roku znalazłem się w Zabołotje, wśród bagnisk i sitowia. W nocy było mroźno, siedziałem w szałasie, w wołkowych butach na nogach. Ale już od rana słońce dobrze grzało i bagnisko zaczęło tajać. Na wzgórzu czekał na nas samochód. Szofer Dawydow, z którym ramię przy ramieniu odbyliśmy całą wojnę domową, bardzo ciekaw był, jak zwykle, cośmy upolowali. Od czółna do samochodu trzeba było przejść najwyżej sto kroków. Zaledwie jednak stąpnąłem na bagnisko, odrazu znalazłem się nogami w zimnej wodzie. Zanim zdążyłem dobiec wielkimi susami do samochodu, nogi przemarzły mi zupełnie. Usiadłem obok Dawydowa i, zrzuciwszy obuwie, grzałem sobie nogi przy silniku. Mimo to nie uniknąłem przeziębienia. Musiałem położyć się. Po influency zjawiała się jakaś niewytłumaczona gorączka. Lekarze zabronili mi wstawać z łóżka. Przeleżałem pozostałą część jesieni i całą zimę. Chorowałem więc w czasie dyskusji w r. 1923-cim, wymierzonej przeciwko „trockizmowi”. Skutki rewolucji i wojny dadzą się przewidzieć, jednak nie można tego powiedzieć o skutkach jesiennego polowania na kaczki.

Lenin leżał w Górkach, a ja – w Kremlu. Spisek epigonów zataczał coraz szersze kręgi. Epigoni postępowali z początku bardzo ostrożnie, schlebiali mi ustawicznie, dodając jednak do każdej pochwały coraz to większe dawki trucizny. Nawet Zinowjew, najcierpliwszy z nich, każdą potwarz spowijał w tuziny rozmaitych omówień. – Wszystkim znany jest autorytet towarzysza Trockiego – powiedział 15-go grudnia (1923 r.) na zebraniu partyjnym w Piotrogradzie, – oraz położone przezeń zasługi. Nie mamy potrzeby rozwodzić się nad tem w naszym gronie. Ale błędy nie przestają być, mimo wszystko, błędami. Gdym ja błądził czasami, partja natychmiast przywoływała mnie do porządku... I tak dalej, wciąż w takim samym tchórzliwym, jednocześnie napastliwym tonie, który przez długi czas jeszcze dominował we wszystkich enuncjacjach spiskowców. Dopiero w miarę opanowywania poszczególnych stanowisk, ton opozycji, czującej już grunt pod nogami, staje się śmielszy.

Powołano do życia nową dziedzinę bardzo wymyślnego przemysłu: fabrykowano sztuczne reputacje, układano fantastyczne życiorysy, reklamowano wodzów z nominacji. Specjalną uwagą otoczono sprawę honorowego prezydium. Począwszy od Października, utarło się już, że na niezliczonej ilości zgromadzeń do honorowego prezydium wybierano Lenina i Trockiego. Skojarzenie tych dwóch nazwisk wrosło w mowę potoczną, spowszedniało już w artykułach dziennikarskich, wierszach, piosenkach ludowych. Trzeba więc było rozłączyć te nazwiska, chociażby w sposób mechaniczny, aby przeciwstawić je sobie później w sensie politycznym. Poczęto więc wybierać do prezydium wszystkich członków biura politycznego. Potem listę ich zaczęto układać według alfabety. Następnie zaniechano alfabety na rzecz nowej hierarchji wodzów. Na pierwszym miejscu stawiano teraz Zinowjewa. Piotrogród świecił tu przykładem. Po upływie pewnego czasu zaczęto wybierać honorowe prezydium bez Trockiego. Na zgromadzeniach wybuchały przeciwko temu żywiołowe protesty. Zdarzało się nieraz, że przewodniczący musiał tłumaczyć zgromadzonym, iż nazwisko moje opuszczono przez przeoczenie. Ale sprawozdania w dziennikach przemilczały, rozumie się, takie oświadczenia. Później pierwsze miejsce przeznaczono dla Stalina. Gdy przewodniczący nie domyślił się, co wszystko należało przeprowadzić na zgromadzeniu, dokonywano z reguły niezbędnych uzupełnień w sprawozdaniu dziennikarskiem. Robiono karjery i kończono je w zależności od takiego czy innego zgrupowania nazwisk w prezydium honorowym. Akcję tę, prowadzoną tak uporczywie i systematycznie, jak żadną inną, tłumaczono koniecznością zwalczania kultu wodzów”. W styczniu 1924 roku Preobrażenski powiedział epigonom na konferencji moskiewskiej co następuje: – Tak, jesteśmy wrogami kultu wodzów, ale nie możemy również zgodzić się na to, aby kult jednego wodza miał być zastąpiony przez kult innych wodzów, lecz tylko mniejszego kalibru.

„Ciężkie to były dni, – opowiada moja żona w swych pamiętnikach, – dni wytężonej walki, staczanej przez L. D. w biurze politycznym z członkami tego biura. Był sam jeden, chory, przeciwko wszystkim. Z powodu choroby L. D. posiedzenia odbywały się u nas w mieszkaniu. Siedziałam w sąsiednim pokoju sypialnym i słyszałam, jak L. D. przemawiał. W mowy te wkładał całe swe jestestwo, zdawało się, że każde takie przemówienie pochłania część jego sił, tyle w nich było „duszy”. I słyszałam ich oziębłe, obojętne odpowiedzi. Wszystko przecież było zgóry ukartowane, nie mieli więc o co się

denerwować. Po każdym takim posiedzeniu L. D. podnosiła się temperatura, wychodził z gabinetu zlany potem, rozbierał się i kładł do łóżka. Bieliznę i ubranie trzeba było suszyć, jakgdyby przemokły na ulewnym deszczu. Posiedzenia odbywały się wtedy często. Zbierali się w pokoju L. D., w którym leżał stary, spłowiały dywan. Śnił mi się on noc w noc w postaci żywej pantery: posiedzenia dzienne zamieniały się w nocy w dręczącą malignę. Taki był pierwszy etap walki, nim się jeszcze uzewnętrzniła”...

Podczas walki, która rozgorzała później pomiędzy Zinowjewem i Kamieniewem a Stalinem, sami uczestnicy spisku zdradzali wszystkie tajemnice tego okresu. A był to prawdziwy spisek. Stworzono tajne biuro polityczne (siódemka), w którego skład wchodziłi wszyscy członkowie oficjalnego biura politycznego, oprócz mnie, oraz Kujbyszew, obecny przewodniczący Najwyższej Rady Gospodarstwa Narodowego. Tutaj, w tym potajemnym ośrodku, zapadały zgóry decyzje we wszystkich sprawach. Uczestnicy jego byli związani ze sobą solidarną odpowiedzialnością. Zobowiązali się, że nie będą ze sobą wzajemnie polemizować, a jednocześnie mieli szukać pretekstów do urządzania wystąpień przeciwko mnie. W organizacjach lokalnych istniały takie same tajne ośrodki, złączone z moskiewską „siódmką” surową dyscypliną. Porozumiewano się zapomocą specjalnego szyfru. Była to harmonijnie zbudowana nielegalna organizacja w łonie partji, skierowana pierwiastkowo przeciwko jednej osobie. Odpowiedzialnych pracowników partyjnych i państwowych dobierano, stosując systematycznie jeden sprawdzian: przeciwko Trockiemu. Podczas przewlekłego „bezkrólewia”, wywołanego chorobą, akcję tę prowadzono bez wytchnienia, ale jednocześnie w sposób zamaskowany z zachowaniem wszelkich ostrożności, aby, na wypadek powrotu Lenina do zdrowia, móc pozostawić nietknięte wszystkie podminowane mosty. Spiskowcy porozumiewali się przy pomocy aluzji. Od kandydatów na takie czy inne stanowisko żądano, aby domyślili się o co chodzi. Kto się „domyślał” – szedł w górę. W ten sposób powstał odrębny rodzaj karjerowiczowstwa, nazwany później otwarciem „antyrockizmem”. Dopiero śmierć Lenina wyzwoliła ostatecznie tę konspirację, dała jej bowiem możliwość wypłynięcia na powierzchnię. Proces doboru osobowego objął również niższe szczeble. Jeżeli ktoś nie potrafił wylegitymować się, że jest antyrockistą, nie mógł liczyć na uzyskanie stanowiska dyrektora fabryki, ani sekretarza jacejki fabrycznej, ani prezesa gminnego komitetu wykonawczego, ani buchaltera, ani nawet maszynistki.

Protestujący przeciwko temu spiskowi członkowie partji stawali się ofiarami zdradzieckich ataków, pozorowanych ubocznymi, częstokroć zupełnie zmyślonymi, przyczynami. Natomiast chwiejne pod względem moralnym żywioły, które w czasie pierwszego pięciolecia władzy sowieckiej rugowano bez skrupułu z partji, asekurowały się teraz za cenę jednego wrogiego okrzyku, rzuconego pod adresem Trockiego. Od końca 1923-go roku podobną akcją wszczęto we wszystkich partjach, wchodzących w skład Międzynarodówki Komunistycznej: usuwano jednych wodzów i wyznaczano na ich miejsca innych, jedynie na podstawie ich stosunku do Trockiego. Odbywał się wyteżony sztuczny dobór nie najlepszych osobników, lecz najlepiej przystosowujących się. Ogólny kierunek sprowadzał się do zastępowania ludzi zdolnych i samodzielnych przez miernoty, zawdzięczające swe stanowisko jedynie bezwładowi istniejącego aparatu państwowego. A jako najdoskonalszy

wyraz miernoty, zawdzięczającej swą egzystencję temu właśnie aparatowi,
wzniósł się wysoko Stalin.

ROZDZIAŁ XLI

ŚMIERĆ LENINA I ZMIANY U STERU

Zadawano mi niejednokrotnie, a czasami nawet i teraz zadaje mi się jeszcze pytanie: jak to się stało, żeście stracili władzę? Pod tem pytaniem kryje się zazwyczaj naiwne pojęcie o władzy, jako o czemś w rodzaju przedmiotu materialnego, który można wypuścić z ręki lub zgubić, jak się gubi zegarek, czy notatnik. Gdy rewolucjoniści, którzy przewodzili przy zdobywaniu władzy, poczynają tracić ją w pewnym okresie – wszystko jedno, czy w sposób „pokojowy”, czy też wskutek katastrofy, – w istocie świadczy to o upadku wpływu pewnych idei i nastrojów na kierowniczą warstwę rewolucyjną, albo o zaniku nastrojów rewolucyjnych wśród mas, bądź też o jednym i drugim jednocześnie. Kierownicze kadry partji, która wyszła z podziemi, były ożywione dążeniami rewolucyjnymi. Wodzowie pierwszego okresu rewolucji nadawali tym dążeniom najdoskonalszy i najściślejszy wyraz, najdokładniej i najskuteczniej wcielali je w życie. Te właściwości czyniły z nich wodzów partji, a poprzez partje – klasy robotniczej, zaś poprzez klasę robotniczą – całego kraju. W taki to sposób określone osoby skupiały władzę w swem ręku. Ale idee pierwszego okresu rewolucji przestały stopniowo panować nad świadomością owej warstwy w partji, która sprawowała bezpośrednią władzę nad krajem. W samym kraju dokonywały się zmiany wewnętrzne, które w istocie swej nosiły charakter reakcji. Zmiany te w większym lub mniejszym stopniu ogarnęły również klasę robotniczą, nie wyłączając części zorganizowanej w partji. Warstwa, stanowiąca aparat władzy, wysunęła swe samoistne, odrębne cele i dążyła do podporządkowania rewolucji tym swoim celom. Pomiędzy wodzami, uosabiającymi dziejową linię klasy robotniczej i umiejacymi wznieść się ponad poziom aparatu, a samym aparatem – ogromnym, ociążalym, składającym się z najrozmaitszych żywiołów, z łatwością wchłaniającym przeciętnego komunistę – poczęły zaznaczać się pewne tarcia. Różnice te były początkowo raczej psychologicznej, aniżeli politycznej natury. Wpływ dnia wczorajszego był jeszcze nazbyt świeży, hasła października nie zdążyły jeszcze zwietrzeć, a autorytet wodzów z pierwszego okresu stał jeszcze bardzo wysoko. Ale pod osłoną form tradycyjnych wytwarzała się już inna psychologia. Perspektywy rewolucji międzynarodowej bladły coraz bardziej. Praca codzienna całkowicie pochłaniała ludzi. Nowe metody, które miały prowadzić do dawnego celu, stwarzały nowe cele, a przede wszystkim – nową psychologię. Tymczasowe warunki egzystencji stawały się w świadomości bardzo wielu ludzi stacją krańcową. Wytwarzał się nowy typ.

Rewolucjoniści ulepieni są właściwie z takiej samej gliny społecznej, jak i wszyscy inni ludzie. Muszą jednak posiadać jakieś wyraźne cechy osobiste, dzięki którym w biegu wydarzeń historycznych odłączyli się od reszty ludzi i stworzyli odrębną grupę. Obcowanie ze sobą, praca teoretyczna, walka pod

określonym sztandarem, karność zbiorowa, hart, zdobywany w obliczu grożących niebezpieczeństw, wszystko to kształtuje stopniowo typ rewolucjonisty. Można śmiało mówić o typie psychicznym bolszewika w przeciwstawieniu, dajmy na to, do typu mieńszewika. Oko posiadające pewne w tym kierunku wyrobienie, potrafi nawet po powierzchowności odróżnić bolszewika od mieńszewika, a odsetek omyłek będzie znikomy.

Nie należy wnosić z tego, żeby w bolszewiku wszystko i zawsze miało być bolszewickie. Wcielić w życie pewien określony pogląd na świat, podporządkować mu wszystkie dziedziny swej świadomości i uzgodnić z nim dziedzinę własnych uczuć – nie każdy potrafi tego dokonać, a raczej potrafią tylko nieliczne jednostki. Instynkt klasowy, który w krytycznych okresach zaostrza się nadzwyczaj, zastępuje masom robotniczym tę świadomą pracę, wykonywaną przez jednostki. W partii i w państwie istnieje jednak znaczna warstwa rewolucjonistów, którzy, mimo że wyszli przeważnie z łona tych mas, oderwali się już od nich dawno i, ze względu na zajmowane stanowiska, przeciwstawiają się im nawet. Instynkt klasowy zdążył już z tych ludzi wywietrzeć. Z drugiej strony, brak im teoretycznego punktu oparcia i szerszych horyzontów, aby mogli ogarnąć całokształt procesu. W psychologii ich pozostaje dużo nieobronnych miejsc, przez które – wraz ze zmianą warunków – przedostają się do ich świadomości obce i wrogie wpływy ideowe. W czasach walk podziemnych, powstań, wojny domowej, żywioły tego rodzaju spełniały tylko funkcje szeregowców partyjnych. Świadomość ich reagowała przeważnie na jeden tylko ton, nastawiony zresztą na kamerton partii. Ale gdy naprężenie zelżało i koczownicy rewolucji rozpoczęli żywot osiadły, w ludziach tych ocknęły się, odżyły i doszły do głosu cechy, niezmiernie charakterystyczne dla mieszczuchów, oraz sympatje i upodobania zadowolonych ze siebie gryzpiórków.

Poszczególne przypadkowe uwagi Kalinina, Woroszyłowa, Stalina, Rykowa zmuszały mnie częstokroć do zwiększania czujności. Skąd się to bierze? – zadawałem sobie pytanie. Z jakiego komina zalatuje ten swąd? Gdym przychodził na pierwsze lepsze zebranie, natrafiałem na rozmawiające ze sobą grupki, które częstokroć urywały natychmiast rozmowę. Rozmowy te nie były skierowane przeciwko mnie. Nie poruszano też nic sprzecznego z zasadami partii. Ale cechował je nastrój uspokojenia moralnego, zadowolenia z samego siebie i trywialności. Ludzie poczęli odczuwać potrzebę wywnętrzania się wobec bliźnich z tych swoich nowych nastrojów, wśród których, trzeba to wyznać, wcale niepoślednią rolę odgrywał pierwiastek plotki drobnomieszczańskiej. Dawniej krępowano się nie tylko wobec Lenina i mnie, ale również i wobec samych siebie. Jeśli, dajmy na to, Stalin wyrwał się czasami z jakąś trywialnością, Lenin, nie podnosząc nisko schylonej nad papierami głowy, spoglądał ostrożnie na zebranych, jakgdyby chcąc sprawdzić, czy jeszcze ktoś z obecnych odczuwa, jak nieznośne jest powiedzenie Stalina. Wystarczało nam, w takich wypadkach, przelotne spojrzenie, lub zmiana w odcieniu głosu, abyśmy stwierdzili naszą niezaprzeczną solidarność w podobnych ocenach psychologicznych.

Jeżeli nie brałem udziału w rozrywkach, które coraz bardziej zyskiwały sobie prawo obywatelstwa w zwyczajach nowej warstwy rządzącej, to bynajmniej nie ze względu na jakieś zasady natury moralnej, lecz tylko dlatego, że nie chciałem narażać się na udrękę nudy w najgorszym gatunku. Odwiedzanie się nawzajem, pilne chodzenie na balet, pijatyki zbiorowe,

połączone z obgadywaniem nieobecnych, nie stanowiły dla mnie żadnej atrakcji. Nowa warstwa kierownicza wyczuwała, że nie nadaje się do takiego trybu życia, to też nie usiłowano mnie nawet wciągnąć w krąg tych rozrywek. Z tych samych powodów rozmawiające grupki urywały na mój widok niejedną rozmowę, rozmawiający zaś rozpraszali się z pewnym zakłopotaniem i z uczuciem niechęci do mnie. To właśnie znaczyło w oczach wielu tracenie przezemnie władzy.

Poprzestaję tutaj na psychologicznej stronie sprawy, pomijając jej podkład społeczny, czyli zmiany anatomiczne, które zaszły w społeczności rewolucyjnej. Te właśnie zmiany wywierają, ma się rozumieć, wpływ decydujący. Ale stykamy się bezpośrednio nie z niemi, lecz z ich odbiciem psychologicznym. Wydarzenia wewnętrzne narastały w stosunkowo wolnym tempie, ułatwiając w ten sposób proces molekularnego przekształcania się wyższej warstwy i nie ujawniając wobec szerokich mas ludowych, dwóch nie dających się pogodzić pozycji. Należy dodać jeszcze, że nowe nastroje przez długi czas, a i po dziś dzień nawet, były przysłonięte tradycyjnymi formułkami. Tem trudniej więc było ustalić, jak głęboko sięgnął proces przekształcania się. Spisek Termidora z końca XVIII wieku, który dojrzał w poprzedzającym go przebiegu rewolucji, został dokonany od jednego zamachu i zakończył się krwawo. Nasz termidor nabrał przewlekłego charakteru. Miejsce gilotyny zajęła w nim intryga, może zresztą tylko do czasu. Systematyczne, zorganizowane na modłę pasa bez końca fałszowanie przeszłości, stało się nową bronią w ideowym arsenale oficjalnej partji. Choroba Lenina i wyczekiwanie na jego powrót do kierownictwa stwarzały stan nieokreślonego prowizorium, które trwało z przerwą przeszło dwa lata. Gdyby rozwój rewolucji szedł w górę, zwłoka byłaby na rękę opozycji. Ale rewolucja w skali międzynarodowej doświadczała jednej porażki za drugą i zwłoka wyszła na korzyść reformizmowi narodowemu, wzmacniając automatycznie biurokrację stalinowską w jej walce przeciwko mnie i moim przyjaciołom politycznym.

Nawskroś filisterska, prostacka i wręcz głupia naganka na teorię ciągłej rewolucji wzięła początek z tych właśnie źródeł psychologicznych. Plotkując przy kieliszku, albo powracając z przedstawienia baletowego, jeden zadowolony z siebie gryziپیórek mówił o mnie do innego zadowolonego z siebie gryziپیórka: – On ma tylko tę ciągłą rewolucję w głowie. – Łączą się z tem bezpośrednio zarzuty, dotyczące mojego wrogiego stosunku do arteli, moich skłonności indywidualistycznych, arystokracji i t. p. – „Nie wszystko przecież i nie zawsze należy się rewolucji, trzeba też i o sobie pomyśleć” – oto nastrój, który w języku potocznym znajdował wyraz w hasle: – „Precz z ciągłą rewolucją!” Protest przeciwko zbyt wielkim wymogom teoretycznym marksizmu i politycznym wymaganiom rewolucji nabierał dla tych ludzi stopniowo kształtów walki z „trockizmem”. Pod tą banderą dokonywało się w bolszewiku wyzwolenie mieszczaucha. Oto, na czem polegała utrata władzy przeze mnie i co określało formy, w których ta utrata nastąpiła.

Opowiedziałem już o tem, jak Lenin w przeddzień śmierci gotował się do zadania ciosu Stalinowi i jego sprzymierzeńcom, Dzierżyńskiemu i Ordżonikidzemu. Lenin cenił bardzo Dzierżyńskiego. Ochłodzenie stosunków nastąpiło, gdy Dzierżyński zrozumiał, że Lenin uznał go za niezdolnego do kierowniczej pracy gospodarczej. Ta okoliczność pchnęła właściwie Dzierżyńskiego ku Stalinowi. Lenin uważał więc za konieczne uderzyć w Dzierżyńskiego, jako w podporę Stalina. Ordżonikidzego zaś Lenin chciał

wydalić z partji za ujawnienie cech generał-gubernatorskich. Notatkę swoją, w której obiecywał bolszewikom gruzińskim, że poprze ich całkowicie przeciwko Stalinowi, Dzierżyńskiemu i Ordżonikidzemu, Lenin zaadresował do Mdiwaniego. Na losach tych czterech osób odbił się najjaskrawiej przewrót, dokonany w partji przez frakcję Stalina. Dzierżyński po śmierci Lenina stanął na czele Najwyższej Rady Gospodarstwa Narodowego, t. j. całego przemysłu państwowego. Ordżonikidze, kandydat do wydalenia z partji, stanął na czele Centralnej Komisji Kontrolującej. Stalin nie tylko, wbrew Leninowi, pozostał nadal na stanowisku sekretarza generalnego, ale otrzymał ponadto od aparatu niesłychane wprost pełnomocnictwa. Budu Mdiwani, wreszcie, z którym Lenin solidaryzował się wbrew Stalinowi, siedzi teraz w tobołskim więzieniu. Takiego „przetasowania” dokonano nie tylko w całym kierownictwie partji od góry do samego dołu, ale również i we wszystkich bez wyjątku partjach Międzynarodówki. Epokę epigonów dzieli od epoki Lenina oprócz przepaści ideowej również i doprowadzony do końca przewrót organizacyjny.

Stalin to główna sprężyna tego przewrotu. Obdarzony jest zmysłem praktycznym, wytrwałością, oraz uporem w dążeniu do wytkniętego celu. Jego widnokrąg polityczny jest bardzo wąski, poziom teoretyczny – niesłychanie niski. Skompilowana przezeń książka „Podstawy leninizmu”, w której usiłował oddać hołd tradycjom teoretycznym partji, roi się od sztubackich błędów. Nieznajomość języków obcych zmusza go do obserwowania życia politycznego innych krajów wyłącznie na podstawie relacji osób trzecich. Jest to umysłowość upartego empiryka, pozbawionego wyobraźni twórczej. W wyższych warstwach partji (w szerszych kołach nieznano go zupełnie) uważano zawsze, że nadaje się do obsadzenia drugo- i trzeciorzędnych ról. Okoliczność, że Stalin odgrywa teraz pierwszą rolę, jest charakterystyczna nie tyle dla niego samego, ile dla całego przejściowego okresu politycznego staczania się wdół. Helwecjusz powiedział w swoim czasie: „Każdy okres ma swoich wielkich ludzi, jeśli zaś ich nie ma – to ich zmyśla”. Stalinizm – to przedewszystkiem automatyczne funkcjonowanie bezosobowego aparatu na schyłku rewolucji.

Lenin zmarł 21-go stycznia 1924-go roku. Śmierć wyzwoliła go z cierpień fizycznych i moralnych. Stan zupełnej niezaradności, w którym się znajdował, a nadewszystko utrata mowy przy równoczesnem zachowaniu nieuszczuplonej świadomości, musiał Lenin poczytywać sobie za nieznośne upokorzenie. Nie mógł już dłużej znosić otaczających go lekarzy, ich tonu protekcyjnego, banalnych żartów, nieszczerzego dodawania otuchy. Póki władał jeszcze mową, zadawał lekarzom jakgdyby od niechcienia badawcze pytania, przyłapywał ich – niepostrzeżenie dla nich samych – na sprzecznościach, domagał się dodatkowych wyjaśnień i sam zaglądał do książek medycznych. I jak zawsze, tak też i tutaj, dążył przedewszystkiem do wyraźnego postawienia sprawy. Jedynym medykiem, którego tolerował jeszcze, był Fiodor Aleksandrowicz Guetier. Dobry lekarz i człowiek, pozbawiony wszelkiego dworackiego serwilizmu, był szczerze i prawdziwie po ludzku przywiązany do Lenina i Krupskiej. Gdy Lenin nie dopuszczał już do siebie innych lekarzy, Guetier miał do niego zawsze dostęp. Guetier przyjaźnił się jednocześnie bardzo z moją rodziną i był naszym domowym lekarzem przez wszystkie lata rewolucji.

Temu też zawdzięczam, żeśmy zawsze mieli najsumienniejsze i dokładnie przemyślane opinie o stanie zdrowia Włodzimierza Iljicza, które uzupełniały i korygowały biuletyny oficjalne.

Dopytywałem się nieraz doktora Guetier, czy w razie powrotu Lenina do zdrowia, intelekt jego zdoła zachować swą całkowitą moc. Guetier dawał taką mnie j-więcej odpowiedź: będzie się szybciej i bardziej nużył, nie będzie już tak dokładny w pracy, jak dawniej, ale wirtuoz pozostanie i nadal wirtuozem. W czasie, dzielącym pierwszy atak od drugiego, prognoza ta sprawdziła się całkowicie. Ku końcowi każdego posiedzenia biura politycznego Lenin sprawiał wrażenie śmiertelnie znużonego człowieka. Mięśnie twarzy wiotczały, przygasłe oczy traciły połysk, nawet potężne czoło wędło jakgdyby, ramiona zwisały ociężale – wyraz twarzy i całej postaci dawał się streścić jednym słowem: znużenie. W takich przykrych chwilach zdawało mi się, że Lenin jest skazany na śmierć. Ale już po jednej dobrze przespanej nocy odzyskiwał zpowrotem całą moc swego umysłu. Artykuły, napisane przez Lenina w przerwie pomiędzy dwoma atakami, dorównywały swym poziomem najlepszym jego pracom. Źródło było równie ożywcze, lecz było coraz słabiej. Nawet po drugim ataku Guetier nie tracił całkowicie nadziei. Ale stopniowo począł się bardziej ponuro zapatrywać na sytuację. Choroba stawała się przewlekłą. Ślepe siły przyrody nielitościwie wtrąciły wielkiego chorego w beznadziejną niemoc. Lenin nie mógł i nie powinien był pozostawać przy życiu jako inwalida. Ale mimo wszystko, nie traciliśmy jeszcze nadziei, że odzyska zdrowie.

Moja niedyspozycja nabrała tymczasem przewlekłego charakteru. „Za stanowczą poradą lekarzy – pisze N. I. Siedowa – L. D. przewieziono na wieś. Guetier odwiedzał często chorego, którym opiekował się troskliwie i serdecznie. Polityka nie interesowała go, bolał jednak bardzo nad nami, lecz nie wiedział, w jaki sposób ma dać wyraz swemu współczuciu. Wszczęta na L. D. naganka zaskoczyła go nieoczekiwanie. Nie rozumiał jej, wyczekiwał, dręczył się. W Archangielskiem powiedział mi, zaniepokojony, że trzeba L. D. koniecznie wywieźć do Suchumu. Zdecydowaliśmy się wreszcie na to. Daleka podróż przez Baku, Tyflis, Batum, przedłużała się jeszcze, dzięki zaspom śnieżnym. Ale droga wywierała na nas raczej wpływ uspakajający. W miarę tego, jak oddalaliśmy się od Moskwy, wyzwalaliśmy się stopniowo z przytłaczającej atmosfery, która nas tam ostatnio otaczała. Miałam jednak takie uczucie, jak-gdybym wiozła obłożnie chorego. Dręczyła mnie niepewność o to, jak ułoży się nasze życie w Suchumie, czy otoczenie nasze będzie składało się z przyjaciół, czy też z wrogów”.

Dzień 21-szy stycznia zastał nas na dworcu w Tyflisie w drodze do Suchumu. Siedziałem wraz z żoną w mej pracowni w wagonie, mając, jak zwykle podówczas, podniesioną temperaturę. Zapukawszy, wszedł mój oddany współpracownik, Sermuks, który towarzyszył mi do Suchumu. Z zachowania się jego i wyglądu, z jego zzielenia-tej twarzy, z kartki, którą mi podał, nie patrząc na mnie szklanemi oczami, wionęło na mnie katastrofą. Był to odcyfrowany telegram Stalina, donoszący o śmierci Lenina. Oddałem papier żonie, która zrozumiała już, co się stało...

Władze tyfliskie otrzymały niebawem taki sam telegram. Wiadomość o śmierci Lenina rozeszła się szybko. Połączyłem się z Kremlem zapomocą przewodu bezpośredniego. Na zadane pytanie otrzymałem taką odpowiedź:– „Pogrzeb w sobotę, i tak nie zdążycie na czas, radzimy nie przerywać kuracji”.

Zatem nie miałem wyboru. Pogrzeb odbył się w istocie dopiero w niedzielę, mógłbym więc niewątpliwie zdążyć na czas do Moskwy. Choć wyda się to wprost nieprawdopodobne, to jednak okłamano mnie, podając fałszywie dzień pogrzebu. Spiskowcy kombinowali sobie słusznie we właściwy im sposób, że nie przyjdzie mi nawet do głowy sprawdzać ich informacji, a później nietrudno już będzie wymyśleć jakiś wykręt. Przypominam tutaj, że o pierwszej chorobie Lenina dano mi znać dopiero na trzeci dzień. Była to więc metoda, polegająca na „zyskiwaniu tempa”.

Towarzysze tyfliscy domagali się, abym niezwłocznie zareagował na śmierć Lenina. Jednak jedynym moim życzeniem było wtedy, żeby mnie pozostawiono samego. Nie mogłem wziąć pióra do ręki. Krótki tekst depeszy moskiewskiej huczał mi wciąż w głowie. Zebrani towarzysze czekali jednak na odpowiedź. Mieli rację. Zatrzymano pociąg na pół godziny. Pisałem słowa pożegnania: „Lenin odszedł. Niema już Lenina”... Kilka napisanych odręcznie stron oddałem na telegraf.

„Przy jechaliśmy zupełnie rozbici, – pisze żona. – Suchum zobaczyliśmy po raz pierwszy. Mimozy stały w kwieciu – dużo ich tam jest. Wspaniałe palmy. Kamelje. Było to w styczniu, kiedy w Moskwie panowały wielkie mrozy, Abchazi zgotowali nam przyjazne przyjęcie. W jadalni domu wypoczynkowego wisiały obok siebie dwa portrety: jeden w żałobie – Włodzimierza Iljicza, drugi zaś – L. D. Chcieliśmy zdjąć ten drugi, nie mogliśmy się jednak zdecydować, obawialiśmy się bowiem, że będzie to wyglądało na demonstrację”.

Spędzałem w Suchumie długie dni, leżąc na balkonie, z twarzą zwróconą ku morzu. Choć był styczeń, na niebie gorzało jasne i gorące słońce. Pomiędzy balkonem a połyskującym morzem wystrzelał w górę szereg palm. Stałe poczucie, że mam podniesioną temperaturę, kojarzyło się z huczącą myślą o śmierci Lenina. Dokonywałem myślowo przeglądu oddzielnych etapów mego życia, wspominałem nasze spotkania z Leninem, rozdzwięki, polemiki, ponowne zbliżenia, naszą wspólną pracę. Poszczególne epizody rysowały mi się w pamięci z zadziwiającą dokładnością. Oddzielne fragmenty układały się stopniowo w coraz wyraźniejszą całość. O wiele lepiej widziałem teraz owych „uczniów”, co to dotrzymywali wierności swemu nauczycielowi nie w rzeczach wielkich, lecz w błahych. Wchłaniając w siebie tchnienie morza, asymilowałem jednocześnie całym mem jestestwem pewność i przeświadczenie, że racja historyczna w walce z epigonami jest po mojej stronie...

27 stycznia 1924 roku. Nad palmami, nad morzem, panowała jarząca się pod błękitną zasłoną cisza. Nagle przeszyły ją salwy. Strzelano gdzieś w dole, od strony morza. To Suchum salutował wodza, którego o tej właśnie godzinie chowano w Moskwie. Rozmyślałem o nim i o niewieście, która w ciągu wielu lat była mu towarzyszką życia i w nim znajdowała odbicie całego świata, a teraz grzebie jego ciało i musi czuć się zupełnie samotna wśród milionów, oplakujących go razem z nią, ale oplakujących nie tak, inaczej, niż ona. Rozmyślałem o Nadziei Konstantynównie Krupskiej. Pragnąłem posłać jej stąd wyrazy pozdrowienia, współczucia, serdeczności. Ale nie mogłem się na to zdobyć. Słowa wydawały mi się zbyt błahе w obliczu grozy tego, co się dokonało. Obawiałem się, że będą brzmiały, jak zdawkowa kondolencja. To też, gdy po upływie kilku dni otrzymałem niespodziewanie list od Nadziei Konstantynówny, uczucie prawdziwej wdzięczności wstrząsnęło mną do głębi.

A oto ten list:

„Drogi Lwie Dawidowiczu,

Piszę, aby opowiedzieć Wam, że mniej-więcej na miesiąc przed śmiercią, Włodzimierz Iljicz, przeglądając Waszą książkę, zatrzymał się na ustępie, zawierającym charakterystykę Marksa i Lenina, poprosił mnie, żebym przeczytała mu to miejsce, słuchał bardzo uważnie, a potem jeszcze raz je sam przeglądał.

I oto, co jeszcze chciałam Wam powiedzieć: ów stosunek W. I. do Was, który ukształtował się, gdyście przyjechali z Syberji do nas, do Londynu, W. I. zachował bez zmiany aż do samej śmierci.

Życzę Wam, Lwie Dawidowiczu, dużo siły i zdrowia i łączę mocny uścisk.
N. Krupskaja”.

W książce, którą Włodzimierz Iljicz przeglądał na miesiąc przed śmiercią, porównywałem Lenina z Marksem. Znałem doskonale stosunek Lenina do Marksa, przepojony wdzięczną miłością, którą uczeń darzy swego mistrza i nacechowany patosem dystansu. Bieg wydarzeń dziejowych sprawił, że stosunek mistrza do ucznia stał się stosunkiem teoretycznego poprzednika i duchowego protoplasty do pierwszego praktycznego wykonawcy. Wyłamywałem się w swym artykule z granic, zakreślonych przez ów tradycyjny patos dystansu. Marks i Lenin, tak bliscy sobie pod względem historycznym, a jednocześnie tak odmienni, stanowili w mojem pojęciu dwa najwynioślejsze szczyty duchowej potęgi człowieka. Sprawilo mi więc wielką radość, że Lenin, niezadługo przed śmiercią, czytał uważnie, a może nawet ze wzruszeniem, poświęcone mu przeze mnie zdania, albowiem skala Marksa i w jego oczach była również najpotężniejszą miarą, dającą się zastosować do jednostki ludzkiej.

Z niemniejszym wzruszeniem odczytywałem teraz list Krupskiej. Wymieniała w nim dwa krańcowe punkty naszych stosunków z Leninem: dzień październikowy 1902 roku, gdy, po ucieczce z Syberji, ściągnął Lenina wczesnym rankiem z jego twardego łoża londyńskiego, i koniec grudnia 1923 roku, gdy Lenin odczytywał dwukrotnie moją ocenę pracy jego życia. Między temi punktami przeszły dwa dziesiątki lat, wypełnionych początkowo wspólną pracą, następnie zażartą walką frakcyjną i wreszcie ponowną wspólną pracą, opartą teraz na wyższych historycznych podstawach. Według Hegla będzie to: teza, antyteza i synteza. Krupskaja dawała świadectwo, że Lenin, mimo przewlekłego okresu antytezy, zachował do mnie swój „londyński” stosunek: to znaczy stosunek gorącego poparcia i przyjaznych uczuć, opartych na wyższych podstawach historycznych. Gdyby nawet brakło innych dowodów, to jednak wszystkie razem wzięte foljały fałszerzy nie zdołałyby przeważyć niewielkiej karteczki, skreślonej przez Krupską po upływie kilku dni od śmierci Lenina.

„Ze znacznem opóźnieniem, spowodowanem przez zasy śnieżne, zaczęły nadchodzić gazety, zawierające przemówienia pogrzebowe, nekrologi, artykuły. Przyjaciele sądzili, że L. D. powróci z drogi do Moskwy, nikt nie domyślał, się nawet, że Stalin zamknął mu drogę swą depeszą. Przypominam sobie list, otrzymany przez nas w Suchumie od syna. Śmierć Lenina wstrząsnęła nim do głębi. Przeziębiony, z 40° gorączki, poszedł w swej

podszytej wiatrem kurtce, do sali kolumnowej, aby się pożegnać z Leninem i czekał, czekał z niecierpliwością na nasz przyjazd. Czuło się w tym liście gorzkie zdziwienie i nieśmiały wyrzut”. – Słowa te cytuję znów z notatek mojej żony.

Do Suchumu przyjechała delegacja Centralnego Komitetu, składająca się z Tomskiego, Frunzego, Piatakowa i Gusiewa. Delegacja ta miała uzgodnić ze mną zmiany w składzie osobowym komisariatu wojny. Była to w istocie tylko czecha komedja, gdyż dawno już, bez wszelkich skrupułów, dokonywano w wojskowości, za moimi plecami, licznych zmian personalnych. Chodziło teraz tylko o zachowanie pozorów.

Pierwszy cios w komisariacie wojny wymierzono Sklianskiemu. Na nim przede wszystkim wziął sobie Stalin odwet za swe niepowodzenia pod Carycynem, za swą klęskę na froncie południowym, za swą awanturę pod Lwowem. Intryga podniosła wysoko wężową głowę. Aby móc podkopać się pod Sklianskiego, a w dalszej perspektywie – i pode mnie – spiskowcy osadzili przed kilkoma miesiącami w komisariacie wojny Unszlichta, ambitnego i nieudolnego intryganta. Sklianskiego usunięto. Na jego miejsce wyznaczono Frunzego, który aż tej do chwili dowodził wojskami na Ukrainie. Frunze był poważną osobistością. Posiadał większy od Sklianskiego autorytet w partji, w przeszłości miał bowiem za sobą katorgę. Podczas wojny Frunze ujawnił, ponadto, niewątpliwe zdolności jako wódz. W charakterze administratora wojskowego był natomiast bez porównania słabszy od Sklianskiego. Entuzjazmował się oderwanymi konstrukcjami, nie znał się na ludziach i łatwo ulegał wpływom specjalistów, przeważnie drugorzędnych.

Chcę jednak dokończyć opowieści o Sklianskim. Przeniesiono go w sposób brutalny, t. j. właściwy Stalinowi, bez żadnych uprzednich rozmów, do pracy gospodarczej. Dzierżyński, który rad był pozbyć się Unszlichta, swego zastępcy w G. P. U., i uzyskać dla przemysłu pierwszorzędnego administratora w osobie Sklianskiego, postawił go na czele trustu sukienniczego. Sklianski wrzucił ramionami, lecz od razu oddał się z zapałem nowej pracy. Po upływie kilku miesięcy postanowił pojechać do Stanów Zjednoczonych, aby rozejrzeć się tam, poduczyć i zakupić maszyny. Przyszedł do mnie przed wyjazdem, żeby się pożegnać i poradzić. Pracowaliśmy z nim przez cały czas wojny domowej ramię przy ramieniu. Ale wtedy rozmawialiśmy ze sobą raczej o kompanjach, wysyłanych na front, regulaminach wojskowych, skróconych kursach dla czerwonych oficerów, o zapasach miedzi i glinu dla fabryk wojskowych, o kurtkach żołnierskich i dodatkach żywnościowych, anizeli o ściśle partyjnych sprawach. Obydwaj zbyt mało mieliśmy na to czasu. Gdy Lenin zachorował i intrygujący epigoni wysuwali stopniowo swe macki ku komisariatu wojny, zacząłem unikać wszelkich rozmów na tematy partyjne, zwłaszcza z pracownikami wojskowymi. Sytuacja była zupełnie nieokreślona, różnice zdań zarysowywały się dopiero nieznacznie, utworzenie się zaś frakcji w armji groziło zbyt wielkiem niebezpieczeństwem. Później byłem znów niezdrów. To też podczas owego spotkania ze Sklianskim w lecie 1925-go roku, gdym nie stał już na czele urzędu wojskowego, mogliśmy mówić i mówiliśmy o rozmaitych sprawach.

– Powiedzcie mi, – zapytał mnie Sklianski, – co zacz jest Stalin?

Sklianski sam znał dobrze Stalina. Chciał jednak, abym dał mu jego charakterystykę i wytłumaczył jednocześnie, jakie są przyczyny jego powodzenia. Zastanowiłem się.

– Stalin, – powiedziałem, – jest najwybitniejszą miernotą w naszej partii. Podczas owej rozmowy poznałem po raz pierwszy całą wagę tego określenia, nie tylko w sensie psychologicznym, ale również i społecznym. Po wyrazie twarzy Sklińskiego poznałem od razu, że dopomogłem memu rozmówcy do rozwikłania trudnego i poważnego zadania.

– Zdumienie ogarnia – odpowiedział Skliński, – jak to w ostatnich czasach we wszystkich dziedzinach przeciska się na pierwszy plan ten złoty środek, owa zadowolona ze siebie przeciętność. A w Stalinie wszystko to znajduje swego wodza. Skąd się to bierze?

– Jest to reakcja, która nastąpiła po wielkim społecznym i psychologicznym napięciu pierwszych lat rewolucji. Zwycięska kontrewolucja może mieć swoich wielkich ludzi. Ale pierwszy jej szczebel, termidor, wymaga przeciętności, nie widzących nic poza końcem swego nosa. Polityczna ślepotą jest właśnie źródłem ich siły, podobnie jak ślepotą konia w kieracie, który pewien jest, że idzie w górę, podczas gdy w istocie pcha tylko wdół pochyłą tarczę, poruszającą młyńskie koło. Koń, który nie stracił wzroku, niezdolny jest do takiej pracy.

Podczas tej rozmowy udało mi się po raz pierwszy ująć wyraźnie, w sposób, że tak powiem, fizycznie namacalny, zagadnienie termidora. Umówiliśmy się ze Sklińskim, że Powrócimy do tego tematu po jego przyjeździe z Ameryki.

Po niewielu tygodniach nadeszła depesza z wiadomością, że Skliński utonął w jednym z amerykańskich jezior podczas przejażdżki łódką. Życie ma niewyczerpany zapas kiepskich pomysłów.

Urnę z popiołami Sklińskiego przywieziono do Moskwy. Nikt nie wątpił, że zostanie umieszczona w murze, opasującym Kreml, na Krasnym placu, który stał się panteonem rewolucji. Ale sekretarz at C. K. postanowił pochować Sklińskiego za miastem. Złożona mi przez Sklińskiego pożegnalna wizyta została najwidoczniej zanotowana i policzona mu. Nienawiść przeniesiono na urnę z popiołami. Pomniejszenie Sklińskiego stanowiło ponadto część składową planu walki, wypowiedzianej zwycięskiemu dowództwu z czasu wojny domowej. Sądzę, że Skliński za życia nie zastanawiał się nad tem, gdzie zostanie pochowany. Ale uchwała C. K, nabierała cech politycznego i osobistego łajdactwa. Przewyciężyłem obrzydzenie i zadzwoniłem do Mołotowa. Uchwała nie uległa jednak zmianie. Historia i tę sprawę zrewiduje na swój sposób.

Na jesieni 1924-go roku znów zacząłem gorączkować. W tym właśnie czasie rozgorzała nowa dyskusja. Wywołano ją teraz zgóry, według uprzednio ułożonego planu. W Leningradzie, w Moskwie i na prowincji zwołano uprzednio setki i tysiące poufnych narad, mających na celu przygotowanie t. zw. „dyskusji”, czyli systematycznej i planowej naganki, tym razem już nie na opozycję, lecz na mnie osobiście. Gdy potajemną robotę przygotowawczą doprowadzono już do końca, na sygnał, dany przez „Prawdę”, rozpoczęła się jednocześnie ze wszystkich stron, ze wszystkich mównic, na wszystkich stronicach i szpaltach, we wszystkich zakątkach i dziurach kampanja przeciwko trockizmowi. Było to w swoim rodzaju wspaniałe widowisko. Potwarz i oszczerstwo zyskały pozory erupcji wulkanicznej. Na szerokie masy partyjne podziałało to, jak piorun z jasnego nieba. Leżałem w gorączce i

milczałem. Prasa i mówcy zajmowali się wyłącznie dezawuowaniem trockizmu. Nikt nie potrafił powiedzieć dokładnie, co to, właściwie znaczy. Dzień w dzień przytaczano rozmaite epizody z przeszłości lub cytaty polemiczne z artykułów Lenina, napisanych przed dwudziestu laty. Przekręcano przytem wszystko, skazano i plątano, a, co najważniejsza, podawano w taki sposób, jakgdyby to wszystko działo się dopiero wczoraj. Nikt nic nie rozumiał. Jeżeli działo się to rzeczywiście, to Lenin musiał przecież o tem wiedzieć. Wszak rewolucja październikowa miała miejsce już po tem wszystkim. Wszak po przewrocie była wojna domowa. Wszak Trocki tworzył z Leninem Międzynarodówkę Komunistyczną. Wszak portrety Trockiego wiszą wszędzie obok portretów Lenina. Wszak... Wszak... Ale potwarz i oszczerstwo tryskały wciąż, niby zimna lawa, przytłaczając mechanicznie świadomość i, co gorzej, wywierając niszczący wpływ na wolę.

Dotychczasowy stosunek do Lenina, jako do wodza rewolucji, zmieniono na stosunek do zwierzchnika hierarchji kościelnej. Na Krasnym placu, mimo moich protestów, wzniesiono mauzoleum, niegodne i obrażające świadomość rewolucyjną. Oficjalne książki o Leninie były też czymś w rodzaju tego mauzoleum. Myśli Lenina dzielono na poszczególne cytaty i wykorzystywano jako temat do obłudnych kazań. Zabalsamowane ciało stało się tarczą obronną w walce z żywym Leninem i – z Trockim. Masy były oszołomione, zdezorjentowane i nastraszone. W nieudolny sposób spreparowana strawa nabierała walorów politycznych, dzięki swej obfitości. Działała oszałamiająco, deprymująco i demoralizująco. Partję skazano na milczenie. Zapanował system całkowitej dyktatury aparatu nad partją. Innymi słowy: partja przestawała być partją.

Zrana przynoszono mi gazety do łóżka. Przeglądałem spis depeesz, tytuły artykułów i podpisy. Ludzi tych znałem aż nadto dobrze, wiedziałem doskonale, co myślą w duchu, co potrafią powiedzieć i co im kazano powiedzieć. Byli to przeważnie ludzie, których rewolucja zdążyła już wyczerpać. Byli wśród nich ograniczeni fanatycy, którzy dali się oszukać. Byli młodzi karierowicze, którzy usiłowali dowieść, że są nie do zastąpienia. Wszyscy przeczyli sobie samym i sobie nawzajem. A niemilknące oszczerstwa wciąż ryczały na szpaltach gazet potężnym głosem i wyły, jak opętane, przysyłając w ten sposób swe własne sprzeczności i swą wewnętrzną pustkę. Działały swą ilością.

„Drugi paroksyzm choroby L. D. – pisze N. I. Siedowa, – zbiega się z potworną naganką na niego, która dręczyła nas, niby najokrutniejsza choroba. Zdawało się, że „Prawda” ma jakieś niesłychanie wielkie stronice, że nie mają one właściwie końca: kłamał tu każdy wiersz, każda litera. L. D. zachowywał milczenie. Ale ile go ono kosztowało! Przyjaciele odwiedzali go w ciągu dnia, a czasami nawet i w nocy. Przypominam sobie, że ktoś spytał L. D., czy czytał dzisiejsze gazety. Odpowiedział, że wogóle nie czytuje gazet. I rzeczywiście, brał je tylko do ręki, przebiegał zaledwie oczami i odrzucał precz. Zdawało się, że jednym rzutem oka poznawał ich treść. Nadto dobrze znał kucharzy, pitraszących owe potrawy, na dobitkę, co dnia – te same. Czytanie gazet równało się w owych czasach „pendzlowaniu gardła zapomocą szczotki do lampy”, mawiał L. D. Można by się zmusić do tego zabiegu, gdyby L. D. miał zamiar odpowiadać. Ale wciąż zachowywał milczenie. Przeziębienie nie ustępowało wskutek ciężkiego stanu nerwów. L. D. zmizerniał i schudł bardzo. Unikaliśmy w rodzinie rozmów o nagance, ale nie mogliśmy też mówić o

czemś innym. Pamiętam, z jakim uczuciem udawałam się codziennie do pracy w Komisarjacie Ludowym Oświaty: zdawało mi się, że biegnę pomiędzy szeregami żołnierzy, smagana różgami. Ale nikt nie pozwolił sobie ani razu na jakieś uchybienie lub przykrą aluzję: obok nieprzyjaznego milczenia nielicznej grupki kierowniczej, wyczuwałam niewątpliwą sympatię większości pracowników. Partja żyła jakgdyby podwójnym życiem: wewnętrznym, ukrytym, i zewnętrznym, wystawionym na widok publiczny. Te dwa życia partji przeczyły sobie wzajemnie. Tylko nieliczni śmiałkowie zdobywali się na wypowiedzianie tego, co odczuwała i myślała przytłaczająca większość, która ukrywała swe sympatie za parawanem „jednomyślnych głosowań”.

Na ten właśnie czas przypada ogłoszenie mojego listu, adresowanego do Czcheidzego, a skierowanego przeciwko Leninowi. Epizod ten z kwietnia 1913-go roku miał miejsce w związku z przywłaszczeniem sobie przez legalną gazetę bolszewicką, wychodzącą w Petersburgu, nazwy mojego wiedeńskiego wydawnictwa: „Prawda, gazeta robotnicza”. Doprowadziło to do ostrego zatargu, w jakie obfituje życie emigracji. Napisałem do Czcheidzego, który przez pewien czas zajmował pośrednie stanowisko między mieńszewikami a bolszewikami. W liście mym dałem ujście oburzeniu na kierowniczy ośrodek bolszewicki i na Lenina. Po upływie dwóch, czy trzech tygodni sam na pewno poddałbym mój list cenzurze, a po upływie roku, czy dwóch uznałbym go niewątpliwie za osobliwość. Jednak losy tego listu były niepowszednie. Został przejęty przez departament policji i przeleżał w archiwum policyjnym aż do rewolucji październikowej. Po przewrocie dostał się do archiwum Instytutu historii partji. Lenin wiedział doskonale o jego istnieniu. Dla Lenina, zarówno jak i dla mnie, znaczył akurat tyle, co zeszłoroczny śnieg. W latach emigracji chyba wiele napisano najrozmaitszych listów! W roku 1924-ym epigoni wyciągnęli ten list z archiwum i rzucili go na łup partji, która podówczas składała się w trzech czwartych z zupełnie nowych ludzi. Nie było to rzeczą przypadku, że wybrano w tym celu miesiące, które nastąpiły bezpośrednio po śmierci Lenina. Był to z dwóch względów konieczny warunek. Po pierwsze, Lenin nie mógł już wstać, aby dać tym panom miano, na jakie sobie godnie zasłużyli. Po drugie, masy ludowe były pogrążone w głębokim żalu po stracie wodza. Nie mając zupełnie pojęcia o dniu wczorajszym partji, dowiedziały się o istnieniu wrogiej dla Lenina opinii Trockiego. Podziało to na nie oszałamiająco. Opinia o Leninie została napisana wprawdzie przed dwunastu laty. Ale chronologia ulotniła się wobec nagich cytat. Użytek, który epigoni zrobili z mojego listu do Czcheidzego, stanowi jedno z największych oszustw w dziejach świata. Dokumenty, sfałszowane przez reakcjonistów francuskich w czasie sprawy Dreyfusa, są niczem w porównaniu z tem oszustwem politycznym, do-konanem przez Stalina i jego kompanów.

Potwarz wtedy dopiero nabiera mocy, gdy czyni zadość jakiejś potrzebie historycznej. Nastąpiła chyba jakaś zmiana w stosunkach społecznych, czy w nastrojach politycznych, – rozważałem, – gdy istnieje tak wielki popyt na potwarz. Należy poddać analizie jej treść. Leżąc w łóżku, miałem na to czasu poddostatkiem. Skąd wziął się stawiany Trockiemu zarzut, że chce „obrabować chłopów”, – stara formułka, którą reakcyjni agrarjusze, chrześcijańscy socjaliści i faszyci zawsze wysuwają przeciwko socjalistom, a tem bardziej – przeciwko komunistom? Gdzie jest źródło tej zacieklej naganki na marksowską ideę ciągłej rewolucji? Skąd bierze się ta narodowa pyszałkowatość, obiecująca zbudować nasz własny socjalizm? Jakie warstwy

stwarzają popyt na te reakcyjne trywjalności? Skąd wreszcie wzięło się to obniżenie poziomu teoretycznego, oraz to ogłupienie polityczne i dlaczego zmiany te nastąpiły? Przerzucam, leżąc w łóżku, moje dawne artykuły i oko zatrzymuje się na następujących zdaniach, napisanych przeze mnie w roku 1909-ym, w czasach najzaciętszej reakcji stołypinowskiej:

„Gdy linja rozwoju historycznego podąży w górę, myśl społeczna staje się bardziej przenikliwa, odważniejsza i mędrsza. Chwyta wtedy wlot fakty i również wlot wiąże ją nicią uogólnienia. Gdy zaś linja polityczna opada ku dołowi, dziedzinę myśli społecznej opanowuje głupota. Nieoceniony dar uogólniania politycznego znika gdzieś bez śladu. Głupota staje się bezczelna i, szczerząc zęby, szydzi z każdej próby poważniejszych uogólnień. Wyczuwając, że jest sama jedna na placu, puszcza w ruch swe własne środki”. Jednym z głównych środków, stosowanych przez głupotę, jest właśnie potwarz.

Mówię do siebie: przeżywamy teraz okres reakcji. Odbywa się polityczne przesunięcie klas i w świadomości ich następują poważne zmiany. Po wielkiem naprężeniu, dokonywa się cofnięcie wstecz. Na jakiej rubieży się ono zatrzyma? O powrocie do punktu wyjścia, w każdym razie niema mowy. Ale nikt tej rubieży nie potrafi zgóry wskazać. Wyłoni się z walk, staczanych przez siły wewnętrzne. Należy sobie przedewszystkiem zdać sprawę z tego, co się dokonywa. Głębokie molekularne procesy reakcji występują nazewnątrz. Dążą one do likwidacji lub przynajmniej do osłabienia zależności pomiędzy świadomością społeczną, a ideami, hasłami i żywymi postaciami Października. Oto sens tego, co się dokonywa. Ale nie wpadajmy w subiektywizm. Nie grymaśmy i nie obrażajmy się na historję o to, że sprawy swe kieruje zawiłemi i krętemi drogami. Zdać sobie sprawę z tego, co się dokonywa i zrozumieć to – równa się zapewnieniu sobie połowy zwycięstwa.

ROZDZIAŁ XLII

OSTATNI OKRES WALK W ŁONIE PARTJI

W styczniu 1925-roku zwolniono mnie ze stanowiska komisarza ludowego wojny. Decyzja ta została starannie przygotowana przez poprzednią walkę. Oprócz tradycyji przewrotu październikowego, epigoni obawiali się najbardziej tradycyji wojny domowej i związku, który istniał pomiędzy mną a armją. Ustąpiłem z mego stanowiska w wojsku bez walki, ponieważ z pewnym uczuciem ulgi wewnętrznej, chciałem bowiem wyrwać w ten sposób z rąk przeciwników broń insynuacyji, rozsiewanych przez nich w sprawie moich rzekomych zamiarów wojskowych. Chcąc znaleźć usprawiedliwienie dla swych postępów, epigoni z początku zmyślali te moje fantastyczne zamiary, a potem sami potrochu zaczęli w nie wierzyć. Już począwszy od roku 1921-go moje zainteresowania osobiste zwracały się w innym kierunku. Wojna skończyła się, armja uległa redukcji z pięciu milionów trzechset tysięcy do sześciuset tysięcy. Praca w wojsku weszła na tory biurokratyczne. Na pierwszy plan wysunęły się zagadnienia gospodarcze, które, z chwilą zakończenia wojny, w znacznie większym stopniu pochłaniały mój czas i uwagę, aniżeli sprawy wojskowe.

W maju 1925-go roku, mianowano mnie przewodniczącym komitetu koncesyjnego, naczelnikiem urzędu elektrotechnicznego i przewodniczącym urzędu naukowo-technicznego do spraw przemysłu. Wszystkie te trzy dziedziny nie miały ze sobą żadnej łączności. Wyboru ich dokonano za moimi plecami, wychodząc ze swoistych założeń: należy odsunąć mnie od partji, przeciążyć pracą bieżącą, poddać szczególnej kontroli i t. d. Mimo to, starałem się sumiennie o stworzenie warunków, sprzyjających wspólnej pracy w tych nowych dla mnie okolicznościach. Rozpocząwszy pracę w trzech nieznanym mi instytucjach, oddałem się całkowicie moim obowiązkom. Najbardziej interesowały mnie instytuty naukowo-techniczne, które, dzięki scentralizowanemu charakterowi naszego przemysłu, nabrały dosyć znacznego rozmachu. Zwiedzałem gorliwie rozliczne laboratorja, z wielkim zaciekawieniem asystowałem przy doświadczeniach, wysłuchiwałem objaśnień najwybitniejszych uczonych, studjowałem w wolnych chwilach podręczniki chemji i hydrodynamiki. Z tem wszystkim czułem się napoły administratorem, napoły zaś studentem. Nosilem się wszak zamłodu z zamiarem wstąpienia na wydział fizyko-matematyczny. Zagadnienia przyrodnicze i technologiczne pozwalały mi ponieważ na wytchnienie od polityki. W charakterze naczelnika urzędu elektrotechnicznego zwiedzałem znajdujące się w budowie elektrownie i, między innymi, odbyłem podróż po Dnieprze, aby obejrzeć zakrojone na szeroką skalę roboty przygotowawcze do budowy projektowanej stacji wodno-elektrycznej. Dwuch przewoźników przewiozło mnie w rybackiej łódce poprzez wiry między porohami, starym szlakiem kozaków zaporoskich. Była to, rozumie się, tylko rozrywka sportowa. Ale dnieprowskie przedsięwzięcie obudziło we mnie głębokie zainteresowanie

zarówno z punktu widzenia gospodarczego, jak i technicznego. Aby uzyskać dokładną kalkulację kosztów budowy hydrostacji, powołałem amerykańskich rzeczoznawców i ekspertyzę ich uzupełniłem później jeszcze opinią rzeczoznawców niemieckich. Nową mą pracę usiłowałem kojarzyć nie tylko z bieżącymi zadaniami gospodarczymi, lecz również i z podstawowymi zagadnieniami socjalistycznymi. Zwalczając tępe narodowe nastawienie w sprawach gospodarczych („niepodległość” przez odrębność samowystarczalną) wysunęłem zagadnienie stworzenia systemu współczynników dla naszego i wszechświatowego gospodarstwa. Zadanie to wynikało z potrzeby posiadania właściwego poglądu na sytuację, istniejącą na rynku światowym. Należyta orientacja w tej dziedzinie była z kolei korzystna dla spraw przywozu, wywozu i polityki koncesyjnej. Zagadnienie współczynników porównawczych, wynikające z uznania przewagi wszechświatowych sił wytwórczych nad siłami narodowymi, znamionowało już samo przez się rozbrat i walkę ze wsteczną teorią „socjalizmu w jednym kraju”. Wygłaszałem referaty o sprawach, związanych z moją nową działalnością, wydawałem książki i broszury. Przeciwnicy moi nie mogli i nie chcieli dotrzymać mi placu na tym terenie. Określali tylko sytuację w ten sposób: Trocki stworzył sobie nowy teren walki. Urząd elektrotechniczny i instytuty naukowe przysparzały im teraz tyleż trosk, ile dawniej komisarjat wojny i czerwona armja. Aparat Stalina deptał mi po piętach. Każde moje praktyczne zamierzenie wywoływało natychmiast jakąś skomplikowaną intrygę zakulisową. Każde uogólnienie teoretyczne dawało pokarm kolportowanym przez nieuków mitom o istnieniu „trockizmu”. Dla mojej działalności praktycznej stworzono warunki nie do zniesienia. Mogę bez przesady powiedzieć, że lwia część twórczej pracy Stalina i jego pomocnika Mołotowa polegała na dążeniu do otoczenia mnie zwartem kołem zorganizowanego sabotażu. Uzyskanie niezbędnych środków stało się dla podwładnych mi instytucyj zadaniem prawie niewykonalnym. Osoby, pracujące w tych instytucjach, drżały o swój los lub, conajmniej, o swą karierę.

Próba uzyskania dla siebie wakacyj politycznych w ten sposób niewątpliwie spaliła na panewce. Epigoni nie mogli się już zatrzymać w połowie drogi. Zbyt lękali się tego, co sami uczynili. Zaciążyła nad nimi wczorajsza potwarz, domagając się dzisiaj coraz to nowych przeniewierstw. Zażądałem wreszcie, aby mnie zwolniono z urzędu elektrotechnicznego i instytutów naukowo-technicznych. Główny komitet koncesyjny dawał, bądź co bądź, mniejsze pole do jakichkolwiek intryg, chociażby dlatego, że o losie każdej koncesji decydowało biuro polityczne.

A tymczasem partja zbliżała się do nowego kryzysu. W pierwszym okresie walki, przeciwstawiała mi się „trójka”. Ale i jej samej daleko było do wewnętrznej zgody. Zarówno Zinowjew, jak i Kamieniew górowali bądź co bądź pod względem teoretycznym i politycznym nad Stalinem. Obydwum brakowało tylko owej bagatelki, która nazywa się charakterem. Horyzont ich bardziej międzynarodowy w porównaniu ze Stalinem, a uzyskany przez nich pod kierownictwem Lenina na emigracji, nie wzmacniał skądinąd ich pozycji, lecz, odwrotnie, ją osłabiał. W modzie było hasło samowystarczalnego rozwoju narodowego, to też starą formułkę rosyjskiego patriotyzmu – „czapkami zarzucimy” – tłumaczono teraz gorliwie na nowy język socjalistyczny. Usiłowania Zinowjewa i Kamieniewa, zmierzające do częściowego chociażby zachowania poglądów międzynarodowych, czyniły z nich w oczach burokracji „trockistów” gorszego gatunku. Dokładali więc

wszelkich starań, aby tem zaciętszą rozpętać przeciwko mnie kampanję, chcąc w ten sposób zrehabilitować się i wzmocnić zaufanie do siebie ze strony aparatu. Ale również i te wysiłki poszły na marne. Aparat przekonywał się coraz bardziej, że Stalin jest nieodrodną kością z jego kości. Zinowjewa i Kamieniewa przeciwstawiono niebawem Stalinowi, jako jego wrogów. Gdy ci zaś usiłowali zatarg, który powstał w łonie trójki, przenieść do Centralnego Komitetu, okazało się, że Stalin ma za sobą murowaną większość.

Kamieniew uchodził za oficjalnego przywódcę Moskwy. Ale po spustoszeniu dokonaniem przy współudziale Kamieniewa w moskiewskiej organizacji partyjnej w roku 1923, kiedy to większość postanowiła okazać poparcie opozycji, masa szeregowych komunistów moskiewskich zachowywała teraz ponure milczenie. Zaraz przy pierwszych próbach oparcia się Stalinowi, Kamieniew zawisnął w próżni. W Leningradzie sprawy wzięły jednak inny obrót. Komunistów leningradzkich dzieliła od opozycji z roku 1923-go ciężka pokrywa aparatu zinowjewskiego. Ale teraz i na nich przysłała kolej. Robotników leningradzkich zaniepokoiła orjentacja mająca na względzie zamożnego chłopca („kułaka”) oraz „socjalizm w jednym kraju”. Sprzeciw klasowy robotników zbiegł się frondą dygnitarską Zinowjewa. W ten to sposób powstała nowa opozycja, w której skład wchodziła początkowo Nadieżda Konstantynówna Krupskaja. Ku wielkiemu powszechnemu, a przede wszystkim, ich własnemu zdziwieniu, Zinowjew i Kamieniew musieli powtarzać w urywkach krytykę, stosowaną przez opozycję, to też zostali wkrótce zaliczeni do obozu „trockistów”. Niema w tem nic dziwnego, że jakaś bliższa łączność z Zinowjewem i Kamieniewem mogła w naszym środowisku uchodzić conajmniej za paradoks. Wśród opozycjonistów blok ten spotkał się z poważnymi sprzeciwami. Okazało się, że są nieliczni coprawda, opozycjoniści, którzy nawet uważali, że można zawrzeć blok ze Stalinem przeciwko Zinowjewowi i Kamieniewowi. Jeden z bliskich moich przyjaciół, Mraczkowski, stary rewolucjonista i jeden z najdzielniejszych dowódców wojskowych z czasu wojny domowej, wypowiedział się przeciwko zawieraniu jakichkolwiek bloków, dając klasyczne wprost umotywowanie swego stanowiska: – Stalin oszuka, Zinowjew zaś ucieknie. – Ale zagadnienia tego rodzaju ostatecznie rozwiązywane są na zasadzie ocen politycznych, a nie psychologicznych. Zinowjew i Kamieniew przyznali otwarcie, że „trockiści” mieli słuszość, zwalczając ich, począwszy od 1923 roku. Obaj przyjęli zasady naszej platformy politycznej. W tych warunkach nie można było odrzucić proponowanego bloku, gdy się jeszcze zważy, że za nimi stały tysiące leningradzkich robotników-rewolucjonistów.

Z Kamieniewem, poza posiedzeniami urzędowymi, nie spotykałem się przez trzy lata, t. j. od owej nocy, kiedy, wyjeżdżając do Gruzji, obiecał mi popierać stanowisko Lenina i moje, lecz przeszedł na stronę Stalina, gdy dowiedział się o ciężkim stanie zdrowia Lenina. Zaraz podczas pierwszego zetknięcia się ze mną, Kamieniew oświadczył: – Wystarczy, abyście ukazali się tylko wraz z Zinowjewem na mównicy, a partja odzyska natychmiast swój prawdziwy komitet centralny. – Ten biurokratyczny optymizm mógł we mnie wzbudzić tylko śmiech. Widać było, że Kamieniew nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie rozprężenie wywołała w partji trzyletnia destrukcyjna robota „trójki”. Wskazałem mu na to bez -wszelkich skrupułów i ogródek.

Odpyw rewolucji, który zaczął się w końcu roku 1923, czyli po klęsce ruchu rewolucyjnego w Niemczech, nabrał teraz międzynarodowego rozpędu.

W Rosji reakcja przeciwko październikowi rozpełtała się na dobre. Aparat partyjny orjentował się coraz bardziej naprawo. W takich warunkach dziecinnadą były wszelkie przypuszczenia, że wystarczy, że się zjednoczymy, aby zwycięstwo wpadło nam do rąk, niby dojrzały owoc. – Musimy być gotowi do strzału na dalszą metę, – nie przestawałem powtarzać Kamieniewowi i Zinowjewowi. – Trzeba przygotować się do poważnej i długotrwałej walki. – Nowi nasi sprzymierzeńcy w pierwszym zapale przyjęli mężnie tę formułkę. Ale zapалу tego starczyło na krótko. Wygasał nie z każdym dniem, lecz z każdą godziną. Opinia Mraczkowskiego okazała się zupełnie słuszna: Zinowjew ostatecznie uciekł. Ale nie zdołał uprowadzić ze sobą wszystkich swych towarzyszków ideowych. Podwójny odwrót Zinowjewa zadał, bądź co bądź, śmiertelny cios legendzie o istnienia trockizmu.

Na wiosnę r. 1926-go wyjechaliśmy z żoną do Berlina. Lekarze moskiewscy, nie mogąc ustalić przyczyny trapiącej mnie przewlekłej gorączki i nie chcąc ponosić całkowitej odpowiedzialności, oddawna już nalegali, abysmy wyjechali zagranicę. Ja również pragnęłem znaleźć wyjście z zaczarowanego koła, w którym się znalazłem: gorączka paraliżowała w najkrytyczniejszych chwilach moje ruchy, była więc najwierniejszym sprzymierzeńcem moich przeciwników. Sprawę mojego wyjazdu zagranicę rozpatrywało biuro polityczne, które powzięło uchwałę, stwierdzającą, że według posiadanych przez nie intormacyj, i, biorąc pod uwagę sytuację polityczną, uważa mój wyjazd za bardzo ryzykowne przedsięwzięcie, ostateczną decyzję w tej sprawie pozostawia jednak całkowicie mojemu uznaniu. Do uchwały biura dołączono opinię G. P. U., która wypadła ujemnie dla projektowanego przeze mnie wyjazdu. Biuro polityczne obawiało się najwidoczniej odpowiedzialności wobec partji na wypadek, gdyby zagranicą miała mnie spotkać jakaś niemiła przygoda. Myśl o przymusowym deportowaniu mnie zagranicę, a w szczególności – do Konstantynopola, nie zaświtała jeszcze podówczas w policyjnej głowie Stalina. Biuro polityczne mogło się też obawiać, że rozpocznę zagranicą akcję zjednoczenia tamtejszej opozycji. Zasięgnąwszy rady przyjaciół, postanowiłem wyjechać w każdym razie.

Z poselstwem niemieckim doszliśmy łatwo do porozumienia i w połowie kwietnia wyjechałem wraz z żoną, za paszportem dyplomatycznym, wystawionym na imię członka kolegium ukraińskiego komisariatu oświaty, Kuzmienko. Towarzyszyli nam: mój sekretarz Sermuks, były naczelnik mojego pociągu i pełnomocnik G.P.U. Pożegnanie z Zinowjewem i Kamieniewem było niemal wzruszające: nie mieli wielkiej ochoty zostawać sam na sam ze Stalinem.

Znałem dosyć dobrze w czasach przedwojennych Berlin Hohenzollernów. Miał swoiste oblicze, którego nie można było nazwać przyjemnym, aczkolwiek wielu znajdowało w niem pewne imponujące cechy, Berlin zmienił się bardzo. Zatracił zupełnie swoje oblicze, w każdym razie nie mogłem go się teraz doszukać. Miasto przychodziło powoli do siebie po długiej i ciężkiej chorobie, której towarzyszył szereg zabiegów chirurgicznych. Inflacja została już wprawdzie zlikwidowana, lecz ustabilizowana marka była tylko miernikiem powszechnego zubożenia. Wygląd ulic, sklepów, przechodniów świadczył o

ubóstwie, ale również i o niecierpliwem, częstokroć namiętnem dążeniu do podźwignięcia się. Ciężkie doświadczenia lat wojennych, klęski, oraz rabunek wersalski przyczyniły się do zwycięstwa, które nędza odniosła nad niemiecką skrupulatnością i zamiłowaniem czystości. Mrowisko ludzkie odbudowywało z uporem, ale bez zapału, swe przejścia, galerje i komory, stratowane przez obcas wojny. W rytmie ulicy, w ruchach i gestach przechodniów wyczuwało się jakieś tragiczne fatum: trudno i darmo, życie – to bezterminowe ciężkie roboty, trzeba znów wszystko zaczynać od samego początku.

Na przeciąg kilku tygodni zostałem przedmiotem obserwacji lekarskich w jednej z berlińskich klinik prywatnych. Lekarze, doszukując się przyczyn mojej zagadkowej gorączki, oddawali mnie sobie z rąk do rąk. Laryngolog postawił wreszcie hipotezę, że źródłem gorączki są migdały, które, jego zdaniem, należy wyciąć na wszelki wypadek. Diagności i terapeuci wahali się: byli to ludzie tyłów i w dodatku w starszym już wieku. Chirurg, mający za sobą doświadczenie wojny, miażdżył ich swą pogardą. Uważał, że usunięcie migdałów jest teraz mniej-więcej takim samym zabiegiem, jak zgolenie wąsów. Trzeba było się zgodzić.

Asystenci zamierzali, co prawda, związać mi ręce, lecz operator poprzestał na rękojmiach moralnego charakteru. W żartach, zapomocą których chirurg usiłował dodać mi otuchy, wyczuwało się wyraźnie napięcie i hamowany niepokój. Najprzykrzej było leżeć nieruchomo nawznak i krztusić się własną krwią. Zabieg trwał 40-50 minut. Wszystko skończyło się pomyślnie, jeśli nie brać w rachubę tego, że operacja okazała się zupełnie zbyteczna, gdyż gorączka po pewnym czasie znów powróciła.

W Berlinie, a właściwie w klinice, nie traciłem czasu nadaremnie. Zagłębiłem się w prasę niemiecką, od której, począwszy od sierpnia roku 1914-go, byłem prawie zupełnie oderwany. Przynoszono mi codziennie ze dwadzieścia niemieckich i kilka zagranicznych wydawnictw, które, po przeczytaniu, zrzucałem na podłogę. Odwiedzający mnie profesorowie musieli stąpać po kobiercu z pism najrozmaitszych kierunków. Po raz pierwszy, właściwie, usłyszałem wyraźnie całą gamę niemieckiej polityki republikańskiej. Nie znalazłem, co prawda, nic takiego, czego bym się nie spodziewał. Republika, jako podrzutek klęski wojennej, republikanie, jako skutek konieczności wersalskich, socjal-demokraci, jako wykonawcy testamentu zdławionej przez nich samej rewolucji listopadowej, Hindenburg, jako demokratyczny prezydent. Tak sobie właśnie te rzeczy mniej-więcej wyobrażałem. Tem niemniej rzeczą bardzo pouczającą było obejrzenie tego wszystkiego zbliska...

W dniu 1-ym maja jeździliśmy z żoną po mieście samochodem, zwiedzaliśmy najgłówniejsze dzielnice, przyglądaliśmy się pochodom, plakatom, słuchaliśmy przemówień, pojechaliśmy na Alexanderplatz, wmiszaliśmy się w tłum. Widziałem dużo bardziej imponujących i malowniczych pochodów majowych, ale oddawna już nie nadarzała mi się okazja, abym mógł poruszać się wśród manifestujących mas, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi i czując się cząsteczką bezimiennej całości, słuchając i obserwując. Raz tylko jeden towarzyszący nam współpracownik powiedział mi ostrożnie: – Spójrzcie, tam sprzedają wasze fotografie. – Ale z fotografii tych nikt nie poznałby członka kolegum komisariatu oświaty Kuzmienko. Na wypadek, gdyby kartki te miały dostać się do rąk hrabiego Westarpa, Hermana Mülera, Stresemanna, hrabiego Reventlowa, Hilferdinga, lub też kogokolwiek

innego z liczby przeciwników wpuszczenia mnie do Niemiec, poczytuję sobie za obowiązek zakomunikować im, że nie rzucałem żadnych godnych potępienia haseł, nie rozklejałem żadnych oburzających plakatów i że wogóle byłem tylko obserwatorem, który za kilka dni miał poddać się operacji.

Byliśmy też za miastem na święcie „kwitnienia drzew”, w którym brały udział nieprzeliczone tłumy. Mimo wiosennego nastroju, potęgowanego przez słońce i wino, szary cień ubiegłych lat przytłaczał uczestników zabawy. Wystarczyło przyjrzeć się im trochę uważniej, aby dostrzec, że wyglądają jak ludzie chorzy, bardzo powoli powracający do zdrowia: zabawa wymagała jeszcze od nich nadmiernych wysiłków. Spędziliśmy w tłumie kilka godzin, przyglądaliśmy się, rozmawialiśmy, jedliśmy parówki z tekturowych talerzyków, a nawet piliśmy piwo, którego smak zdążył już ulecieć nam z pamięci od 1917-go roku.

Odzyskiwałem szybko siły po operacji i gotowałem się już do wyjazdu. Aż niespodziewanie spotkała mnie przygoda, która do dziś dnia nie jest dla mnie zupełnie zrozumiała. Mniej-więcej na tydzień przed moim wyjazdem, w korytarzu kliniki zjawili się jacyś dwaj cywilni panowie o owej nieokreślonej powierzchowności, która w sposób zupełnie określony świadczy o zawodzie policjanta. Gdym wyjrzał przez okno na dziedziniec, zobaczyłem z pół tuzina conajmniej takich samych osobników, którzy, mimo to, że bardzo różnili się między sobą, byli jednak uderzająco do siebie podobni. Zwróciłem na nich uwagę Krestinskiemu, który właśnie był u mnie. Po kilku minutach zapukał jeden z asystentów i z polecenia swego profesora oświadczył mi z niepokojem, że gotuje się na mnie zamach. – Tuszę sobie, że nie ze strony policji? – zapytałem, wskazując na licznych agentów. Lekarz dał wyraz przypuszczeniu, że policja zgłosiła się, aby zapobiec zamachowi. Po upływie kilku minut przyszedł radca policji i oznajmił Krestinskiemu, że policja otrzymała rzeczywiście informacje o przygotowywanym na mnie zamachu i przedsięwzięła nadzwyczajne środki ostrożności. Poruszyło to całą klinikę. Siostry opowiadały jedna drugiej, oraz chorym, że w klinice znajduje się Trocki, wobec czego w nasz dom rzuca kilka bomb. Wytworzyła się atmosfera, niebardzo odpowiadająca potrzebom zakładu leczniczego. Ułożyłem się z Krestinskim, że przeniosę się zaraz do gmachu poselstwa sowieckiego. Ulicę przed kliniką zamknął kordon policji. Podczas przeprowadzki towarzyszyły mi samochody policyjne.

Wersja urzędowa brzmiała mniej-więcej tak: jeden z monarchistów niemieckich, aresztowanych w związku z wykryciem nowego spisku, zeznał rzekomo sędziemu śledczemu, że rosyjscy białogwardziści przygotowują na najbliższe dni zamach na Trockiego, który znajduje się w Berlinie. Należy nadmienić, że dyplomacja niemiecka, z którą uzgodniono mój wyjazd, świadomie nie zawiadomiła o nim policji, biorąc pod uwagę wielką ilość żywiołów monarchistycznych, znajdujących się w jej szeregach. Policja potraktowała z niedowierzaniem zeznanie aresztowanego monarchisty, sprawdziła jednak informacje, dotyczące mojego pobytu w klinice: ku wielkiemu jej zdumieniu, informacja ta okazała się prawdziwa. Ponieważ języka zasięgano również i przez profesorów, otrzymałem ostrzeżenie jednocześnie z dwóch stron: przez asystenta i przez radcę policji. Do dziś dnia nie wiem, ma się rozumieć, czy rzeczywiście planowano na mnie zamach i czy policja w istocie dowiedziała się o moim pobycie w Berlinie od aresztowanego monarchisty. Podejrzewam jednak, że sprawa była mniej skomplikowana.

Dyplomacja nie dotrzymała przypuszczalnie „tajemnicy”, policja zaś obraziła się o brak do niej zaufania i postanowiła zademonstrować może wobec Stresemanna, a może wobec mnie, że bez jej udziału nie można usunąć pomyślnie migdałów. Tak, czy owak, w klinice przewrócono wszystko do góry nogami, ja zaś, korzystając z potężnej obrony przed problematycznymi wrogami, przeniosłem się do sowieckiego poselstwa. Do prasy niemieckiej dotarły później słabe i dosyć niepewne odgłosy tej historii: najwidoczniej nikt nie chciał dać jej wiary.

Dni mojego pobytu w Berlinie zbiegły się ze znacznymi wydarzeniami w Europie: z powszechnym strejkem w Anglii i z przewrotem Piłsudskiego w Polsce. Obydwa te wydarzenia pogłębiły jeszcze bardziej różnice, dzielące mnie od epigonów, i przesądziły jeszcze burzliwszy rozwój naszej dalszej walki. Muszę więc poświęcić temu tematowi kilka słów.

Stalin, Bucharin, a początkowo również i Zinowjew uważali, że blok dyplomatyczny, zawarty pomiędzy kierownictwem sowieckich związków zawodowych a radą generalną angielskich trade-union'ów, jest szczytem ich polityki. Stalin z prowincjonalną krótkowzrocznością wyobrażał sobie, że Purcell i inni wodzowie trade-union'ów poprą, czy też gotowi są poprzeć republikę sowiecką przeciwko burżuazji angielskiej, gdy tego zajdzie potrzeba. Co się tyczy przywódców angielskich związków zawodowych, to trzeba uznać słuszność ich poglądu, że, wobec kryzysu kapitalizmu angielskiego i wzmagającego się niezadowolenia mas, dobrze jest posiadać tarczę na lewym skrzydle w postaci nie obowiązującej do niczego przyjaźni z przywódcami sowieckich związków zawodowych. Jedna i druga strona unikała przy tem jakiegoś wyraźniejszego postawienia sprawy, obawiając się najwięcej tego, że rzeczy mogą zostać nazwane po imieniu. Wielkie wypadki rozbijały już nieraz na miazgę rozmaite niezdrowe zamierzenia zgniłej polityki. Strejk powszechny w maju 1926-go roku stał się wielkiem zdarzeniem nie tylko w życiu Anglii, ale również i w wewnętrznym życiu naszej partji.

Losy Anglii po wojnie są nadzwyczaj ciekawe. Nagła zmiana, jaka zaszła w stanowisku wszechświatowem Anglii, nie mogła przejść bez śladu dla wewnętrznego ustosunkowania jej sił. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że gdyby nawet Europa, a wraz z nią Anglja, miała odzyskać równowagę społeczną na pewien dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, to Anglja zdoła ją odzyskać dopiero za cenę całego szeregu bardzo poważnych konfliktów i wstrząśnień. Uważałem za rzecz wielce prawdopodobną, że zatarg w przemyśle węglowym może właśnie w Anglii doprowadzić do strejku powszechnego. Z przesłanek tych wyciągałem wniosek, że w najbliższej przyszłości musi ujawnić się głęboka sprzeczność, zachodząca pomiędzy starymi organizacjami klasy robotniczej, a stojącymi przed nią nowymi zadaniami dziejowemi. W zimie i na wiosnę roku 1925-go napisałem na Kaukazie książkę na ten temat („Dokąd zmierza Anglja?”). Książka wymierzona była właściwie przeciwko oficjalnej koncepcji biura politycznego, oraz żywionym przez nie nadziejom na zwrot nalewo rady generalnej i na stopniowe, bez wstrząsów, przenikanie komunizmu do szeregów partji pracy i trade-union'ów. Poczęści chcąc uniknąć zbędnych komplikacyj, poczęści zaś, aby wypróbować moich przeciwników, dałem rękopis książki biuru politycznemu do przejrzania. Ponieważ jednak chodziło o prognozę, a nie o krytykę rzeczy już dawno dokonanych, przeto nikt z członków biura politycznego nie zdobył się na wypowiedzenie swego zdania o książce.

Przeszła ona szczęśliwie przez cenzurę i została wydrukowana bez żadnych zmian tak, jak ją napisałem. Wkrótce ukazała się też w tłumaczeniu angielskim. Oficjalni liderzy socjalizmu angielskiego potraktowali ją, jak fantazję cudzoziemca, nie znającego stosunków angielskich i marzącego o przeszczepieniu „rosyjskiego” strejku powszechnego na grunt wysp brytyjskich. Podobne opinie możnaby liczyć na tuziny, jeżeli nie na całe setki. Prym wśród nich dzierży sam Macdonald, któremu na konkursie banalności politycznej należy się niewątpliwie palma pierwszeństwa. A tymczasem, po upływie kilku miesięcy zaledwie, strejk górników rozrasta się w strejk powszechny. Nie liczyłem zupełnie na tak szybkie sprawdzenie się mojej przepowiedni. Jeżeli strejk powszechny był dowodem słuszności prognozy marksowskiej wbrew prymitywnym opiniom reformizmu angielskiego, to, z drugiej strony, postępowanie rady generalnej podczas strejku powszechnego przekreślało wszelkie nadzieje, pokładane przez Stalina w Purcell’u. Leżąc w klinice, zbierałem chciwie i kompletowałem wszystkie informacje, charakteryzujące przebieg strejku powszechnego, a przede wszystkim wzajemny stosunek, zachodzący pomiędzy masą a wodzami. Najbardziej oburzający charakter nosiły artykuły w moskiewskiej „Prawdzie”. Zmierzały przede wszystkim do zamaskowania bankructwa i ocalenia pozorów. Osiągnąć to można było tylko zapomocą cynicznego przekręcania faktów. Oszukiwanie mas jest dla polityka rewolucyjnego dowodem największego upadku ideowego!

Po powrocie do Moskwy zażądałem, aby blok z radą generalną został natychmiast zerwany. Zinowjew przyłączył się do mnie po nieuniknionych wahaniach. Radek był przeciwny zerwaniu. Stalin trzymał się uporczywie bloku, a nawet jego pozorów. Angielscy trade-unioniści przeczekali aż skończy się ostry kryzys wewnętrzny, poczem odtrącili swego hojnego, ale niemądrego sprzymierzeńca niekoniecznie uprzejmym ruchem nogi.

Niemniej godne uwagi wypadki zaszły równocześnie w Polsce. Gorączkowo szukając punktu wyjścia, drobno-mieszczanstwo wkroczyło na drogę powstania i podniosło Piłsudskiego na tarczy. Wódz partii komunistycznej Warski zdecydował, że nastaje oto „demokratyczna dyktatura proletariatu i włościństwa”, wezwał więc partję komunistyczną, aby przyszła Piłsudskiemu z pomocą. Warskie-go znałem oddawna. Za życia Róży Luxemburg mógł jeszcze zajmować jakieś stanowisko w szeregach rewolucji. Sam przez się był zawsze pustym miejscem. W roku 1924-ym Warski oświadczył po długich wahaniach, że zrozumiał wreszcie, jak dalece „trockizm”, czyli niedocenywanie roli włościństwa, jest szkodliwy dla dyktatury demokratycznej. Tytułem nagrody za posłuszeństwo został mianowany wodzem i wyczekiwał z niecierpliwością odpowiedniej chwili, aby móc popisać się ostrogami, otrzymanymi z takim opóźnieniem. W maju roku 1926-go skorzystał z nadarzającej się właśnie wyjątkowej wprost okazji, aby siebie okryć hańbą i splamić sztandar partyjny. Uszło mu to, ma się rozumieć, zupełnie bezkarnie: aparat stalinowski zasłonił go przed oburzeniem robotników polskich.

Walka w łonie partji rosyjskiej zaostrzała się w roku 1926-ym coraz bardziej. Na jesieni opozycja przedsięwzięła otwartą wycieczkę na zebraniach „jaczejek” partyjnych. Aparat odparł ją, broniąc się zajadle. Walkę ideową zastąpiono przez mechanikę administracyjną: zwoływano więc przez telefon biurokrację partyjną na zebrania „jaczejek” robotniczych, gromadzono w

jednym miejscu znaczne ilości samochodów, puszczano w ruch ryczące syreny, organizowano „kocią muzykę”, która gwizdem i krzykami witała ukazujących się na mównicy przedstawicieli opozycji. Rządząca frakcja wywierała nacisk zapomocą mechanicznego ześrodkowania swoich sił i groźby stosowanie represyj. Zanim masa partyjna zdążyła cokolwiek usłyszeć, zrozumieć i powiedzieć, stanęła już przerażona wobec perspektywy rozłamu i katastrofy. Opozycja musiała rozpocząć odwrót. Złożyliśmy 16-go października oświadczenie, w którym podkreślaliśmy, że uważamy poglądy nasze za słuszne i nie zrzekamy się prawa do dalszej walki o nie w obrębie organizacji partyjnej, rezygnujemy jednak z wystąpień, które mogłyby wywołać rozłam. Gdyśmy składali tę deklarację, chodziło nam nie o aparat, lecz o masę partyjną. Deklaracja dawała wyraz naszej gotowości do dalszego pozostawania w partji i do dalszej dla niej pracy. Aczkolwiek stalinowcy zaraz nazajutrz nie uszanowali warunków zawartego rozejmu, zyskaliśmy jednak na czasie. Zima roku 1926/27 przyniosła nam niejaki wytchnienie, które wykorzystaliśmy na pogłębienie teoretyczne całego szeregu zagadnień.

Zinowjew już na początku 1927-go roku gotów był, jeśli nie do natychmiastowej, to w każdym razie do stopniowej kapitulacji. Ale w tym samym czasie zaczęły się wstrząsające wypadki w Chinach. Zbrodniczość polityki Stalina rzucała się w oczy. Wydarzenia w Chinach odroczyły na pewien czas kapitulację Zinowjewa i tych wszystkich, którzy poszli potem w jego ślady.

Polityka, stosowana w Chinach przez epigonów, była pogwałceniem wszelkich tradycji bolszewizmu. Chińska partja komunistyczna została, wbrew swej woli, wcielona do burżuazyjnego stronnictwa Kuomintang i podporządkowana jego dyscyplinie wojskowej. Tworzenie sowietów zostało zabronione. Komunistom radzono wstrzymywać rozwój rewolucji rolnej i zaniechać zbrojenia robotników, o ile nie uzyskają na to pozwolenia burżuazji. Na długo przed pogromem robotników szanghajskich przez Czang-kaj-szeka, i skupieniem władzy w ręku klikki wojskowej, przestrzegaliśmy, że musi dojść do tego. Od roku 1925-go domagałem się wystąpienia komunistów z Kuomintangu. Polityka Stalina-Bucharina nie tylko przyśpieszała i ułatwiała porażkę rewolucji, ale co więcej, przy pomocy re-presyj, stosowanych przez aparat państwowy, zabezpieczała kontrewolucyjną robotę Czang-kaj-szeka przed naszą krytyką. Na zgromadzeniu partyjnym, które odbyło się w kwietniu roku 1927-go w sali kolumnowej, Stalin wciąż jeszcze kruszył kopje w obronie koalicji z Czang-kaj-szekiem, domagając się dla niego zaufania. Po upływie pięciu, czy sześciu dni od owego zgromadzenia, Czang-kaj-szek pogrążył robotników szanghajskich i partię komunistyczną w morzu krwi.

Partję ogarnęło podniecenie. Opozycja podniosła głowę. Lekceważąc wszelkie reguły konspiracji (podówczas musieliśmy już bronić w Moskwie robotników chińskich przed Czang-kaj-szekiem, stosując metody konspiracyjne), opozycjoniści przychodzili do mnie tuzinami do gmachu głównego komitetu koncesyjnego. Wielu młodym towarzyszom zdawało się, że oczywiste bankructwo polityki Stalina musi przyśpieszyć zwycięstwo opozycji. Przez pierwszych kilka dni po zamachu stanu Czang-kaj-szeka wylałem niejeden kubeł zimnej wody na zbyt gorące głowy młodych i nie samych tylko młodych przyjaciół. Dowodziłem, że opozycja pod żadnym pozorem nie może po-dźwignąć się dzięki *porażce* rewolucji chińskiej. Sprawdzenie się naszej przepowiedni zjedna nam tysiąc, pięć tysięcy, dziesięć

tysięcy nowych zwolenników. Dla milionów zaś decydującą wagę ma nie przepowiednia, lecz sam fakt klęski, która dotknęła proletarijat chiński. Po porażce rewolucji niemieckiej w roku 1923-im, po załamaniu się angielskiego strejku powszechnego w roku 1926-ym, to nowe niepowodzenie w Chinach może tylko wzmocnić w masach rozczarowanie do rewolucji międzynarodowej. A nie trzeba zapominać, że właśnie to rozczarowanie stanowi główne źródło psychiczne propagowanej przez Stalina polityki narodowego reformizmu.

Niebawem przekonaliśmy się, że, jako frakcja, wzmocniliśmy się istotnie, to jest zyskaliśmy na zwartości ideowej i liczbie zwolenników. Ale więzy, które łączyły nas z władzą, zostały przecięte mieczem Czang-kaj-szeka. Skompromitowanemu do reszty rosyjskiemu sprzymierzeńcowi jego, Stalinowi, nie pozostawało nic innego poza uzupełnieniem rozbicia robotników szanghajskich przez organizacyjne rozbicie opozycji w naszej partii. Jądro opozycji stanowiła grupa starych rewolucjonistów. Ale nie byliśmy już osamotnieni. Dokoła nas skupiały się setki i tysiące rewolucjonistów z nowego pokolenia, które rewolucja październikowa powołała dopiero do życia politycznego. Pokolenie to brało udział w wojnie domowej, stało naprawdę „na baczność” przed kolosalnym autorytetem leninowskiego Centralnego Komitetu, lecz dopiero od roku 1923-go zaczęło myśleć samodzielnie, krytykować, stosować metody marksizmu do nowych zmian rozwojowych i, co jest najtrudniejsze, zaprawiać się do brania na siebie odpowiedzialności za inicjatywę rewolucyjną. Tysiące takich młodych rewolucjonistów pogłębia dziś swe doświadczenia polityczne zapomocą studjów teoretycznych, którym poświęca się, siedząc pod rządami Stalina w więzieniach i na zesłaniu.

Podstawowa grupa opozycji z całą świadomością dążyła do takiego rozwiązania. Zbyt dobrze zdawaliśmy sobie sprawę, że idee nasze możemy wpoić nowemu pokoleniu robotników tylko drogą otwartej walki i nie cofając się przed żadnymi praktycznymi konsekwencjami, nigdy zaś stosując metody wybiegów dyplomatycznych, albo wpływów. Wiedzieliśmy, że czeka nas niewątpliwa porażka, która toruje nam jednak drogę do zwycięstwa w dalszej przyszłości.

Stosowanie siły fizycznej odgrywało zawsze i odgrywa po dziś dzień wielką rolę w dziejach ludzkości: czasami postępową, czasami wsteczną, w zależności od tego, jaka klasa i w imię jakich celów używa przemocy. Ale nie należy z tego wyciągać wniosku, że przez stosowanie przemocy dadzą się rozwiązać *wszystkie* zagadnienia i usunąć *wszystkie* przeszkody. Można przez użycie oręża wstrzymać rozwój postępowych tendencji historycznych, ale nie można zamknąć im raz na zawsze drogi. Oto dlaczego, gdy chodzi o walkę wielkich zasad, rewolucjonista może kierować się tą tylko jedną regułą: *fais ce que dois, advienne que pourra*.

W miarę tego, jak zbliżał się XV zjazd, wyznaczony na koniec 1927-go roku, partja odczuwała coraz bardziej, że znajduje się na rozdrożu historycznym. Szeregi jej ogarnął głęboki niepokój. Mimo potwornego teroru, w partji ocknęła się chęć wysłuchania opozycji. Można było skutecznie to tylko na drodze nielegalnej. Na rozmaitych krańcach Moskwy i Leningradu odbywały się potajemne zebrania robotników, robotnic, studentów, którzy przychodzili w liczbie 20 do 100 lub 200 osób, aby wysłuchać przedstawiciela

opozycji. W ciągu dnia bywałem na dwóch, trzech, czasami nawet na czterech takich zebraniach. Odbywały się one zazwyczaj w mieszkaniach robotniczych. Słuchacze wypełniali ściśle dwa małe pokoiki, mówca stał pośrodku, we drzwiach. Czasami wszyscy siedzieli na podłodze, częściej jednak, z braku miejsca, zebranie odbywało się na stojąco. Przedstawiciele komisji kontrolującej przychodzili nieraz na takie zebrania i domagali się od obecnych, aby się rozeszli. Proponowano im wzięcie udziału w dyskusji. Gdy przeszkadzali, wyrzucano ich za drzwi. Przez zebrania takie przewinęło się w Moskwie i Leningradzie ze 20.000 osób. Napływ wzrastał. Opozycja przygotowała bardzo zręcznie wielkie zgromadzenie w sali wyższej szkoły technicznej, którą opanowano od wnętrza. Salę wypełniło zgórą dwa tysiące osób. Wielki tłum pozostał jeszcze na ulicy. Usiłowania władz administracyjnych, aby nam przeszkodzić, okazały się daremne. Ja i Kamieniew przemawialiśmy prawie przez dwie godziny. Centralny Komitet wydał wreszcie odezwę do robotników, w której wskazywał na konieczność rozpędzenia zebrań opozycji, nie cofając się przed zastosowaniem siły. Odezwa ta była parawanem, zasłaniającym starannie przygotowywane napady na opozycję, których dokonywały bojówki pod kierunkiem G. P. U. Stalin parł do krwawego rozwiązania. Daliśmy sygnał, aby na pewien czas zaniechać urządzania dużych zebrań. Ale stało się to już po demonstracji z dnia 7-go listopada.

W październiku 1927-go roku, obrady Centralnego Komitetu wykonawczego odbywały się w Leningradzie. Z okazji obrad na cześć komitetu urządzono masową demonstrację. Dzięki przypadkowemu zbiegowi okoliczności, demonstracja ta wzięła zupełnie niespodziewany obrót. Wraz z Zinowjewem i jeszcze kilkoma osobami objeżdżaliśmy miasto w samochodzie, chcąc przekonać się, jak wielka jest demonstracja i jaki nastrój panuje wśród jej uczestników. Przejeżdżaliśmy pod koniec obok pałacu Taurydzkiego, przed którym na samochodach ciężarowych urządzono mównice dla członków Centralnego Komitetu wykonawczego. Samochód nasz utknął, zatrzymany przez kordon: dalej nie można było już przejechać. Nie zdążyliśmy nawet zastanowić się, jak wybrnąć z impasu, gdy komendant podbiegł do naszego samochodu i prosto z mostu zaproponował, że nas podprowadzi do mównicy. Zanim zdążyliśmy uporać się z własnymi wątpliwościami, dwa szeregi milicjantów już utorowały nam drogę do ostatniego, pustego jeszcze, samochodu ciężarowego. Gdy do mas dotarła wiadomość, że znajdujemy się na ostatniej mównicy, demonstracja zmieniła odrazu swe oblicze. Masy przechodziły obojętnie obok pierwszych ciężarówek, nie odpowiadając nawet na powitania, i podążały w naszym kierunku. Koło naszej ciężarówki powstał niebawem wielotysięczny zator. Robotnicy i czerwoni żołnierze zatrzymywali się, spoglądali w górę, krzyczeli słowa pozdrowienia i posuwali się naprzód dopiero pod niecierpliwym naciskiem tylnych szeregów. Oddział milicji, wysłany do naszego samochodu ciężarowego dla utrzymania porządku, zachowywał się zupełnie biernie, uległszy powszechnemu nastrojowi. W tłum rzucono setki najwierniejszych agentów aparatu stalinowskiego. Próbowali oni gwizdać, lecz zagłuszały ich zupełnie okrzyki sympatji. Im dłużej się to przeciągało, tem sytuacja stawała się przykrejsza dla oficjalnych kierowników demonstracji. Przewodniczący Wszechzwiązkowego Centralnego Komitetu - Wykonawczego opuścił wreszcie wraz z kilkoma najwybitniejszymi jego członkami pierwszą mównicę, którą otaczała przerażająca pustka, i wdrapał się

na naszą ciężarówkę, znajdującą się na szarym końcu i przeznaczoną dla najmniej godnych uwagi gości. Ale nawet i ten śmiały krok nie zdołał uratować sytuacji: tłum wywoływał uporczywie nazwiska, które bynajmniej nie należały do urzędowych gospodarzy uroczystości.

Zinowjew od razu wpadł w skrajny optymizm i spodziewał się wielkich skutków po manifestacji. Byłem w tej sprawie odmiennego zdania i nie podzielałem jego zbyt entuzjastycznej opinii. Niezadowolenie swe masy *robotnicze* Leningradu manifestowały w postaci platonicznej sympatii do przywódców opozycji, ale masy te nie potrafiłyby jeszcze przeszkodzić aparatowi, gdyby chciał się z nami rozprawić. Nie miałem pod tym względem żadnych złudzeń. Z drugiej zaś strony, manifestacja musiała przekonać sprawującą rządy frakcję o konieczności przyspieszenia ostatecznego porachunku z opozycją, aby postawić masy wobec już dokonanych faktów.

Następnym, wielce znamienym, objawem była demonstracja moskiewska z okazji dziesięciolecia przewrotu październikowego. W roli organizatorów demonstracji, autorów artykułów jubileuszowych i mówców występowały przeważnie osoby, które podczas przewrotu październikowego znajdowały się z tamtej strony barykady, albo też ukrywały się pod strzechą rodzinną, wyczekując na wyniki walki, i stanęły po stronie rewolucji dopiero po osiągnięciu przez nią niewątpliwego zwycięstwa.

Artykuły lub też nadawane przez radjo przemówienia, w których pochlebcy ci oskarżali mnie o zdradę rewolucji październikowej, wzbudzały we mnie raczej śmiech, aniżeli gorycz. Gdy rozumiemy dynamikę procesów dziejowych i widzimy jak przeciwników naszych porusza, niby marionetki, jakaś im samym nieznaną ręką, najohydniejsze nawet objawy podłości i przენiewierstwa nie wywierają na nas żadnego wrażenia.

Opozycjoniści postanowili, że wezmą udział w ogólnym pochodzie, niosąc swoje transparenty. Wypisane na nich hasła nie godziły bynajmniej w partję: „Skierujmy ogień ku prawicy – na kułaka, nepmana i biurokrate”, „Wykonajmy testament Lenina”, „Precz z oportunizmem, precz z rozłamem – niech żyje zjednoczona partja leninowska!” Hasła te stanowią dzisiaj urzędowe wyznanie wiary frakcji Stalina w walce, staczonej przez nią z prawicą. W dniu 7-ym listopada 1927-go roku transparenty opozycji z takimi napisami wydzierano ludziom z rąk i rwano na drobne kawałki, nad osobami zaś, które je niosły, znęcały się specjalnie po to zmobilizowane bojówki. Oficjalne kierownictwo pochodu nie omieszkowało wyzyskać doświadczenia demonstracji leningradzkiej: tym razem przygotowało się znacznie lepiej do obchodu. Znać było, że masy czują się jakoś nieswojo, że demonstrujące tłumy ogarnął jakiś niepokój. Nad wielkim tem zdezorjentowaniem i zaniepokojeniem skupieniem ludzkim górowały dwie czynne grupy: opozycja i aparat. Do walki z „trockistami” szły aparatowi z pomocą na ochotnika zdecydowanie nierewolucyjne, a poczęści nawet wręcz faszystowskie żywioły ulicy moskiewskiej. Jeden z milicjantów – pod pretekstem, że jest to ostrzeżenie – otwarcie strzelał do mojego samochodu. Ktoś kierował jego ręką. Pijany urzędnik straży ogniowej wskoczył na stopień mego samochodu i przy akompaniamencie najplugawszych przekleństw, stłukł w nim szybę. Kto umiał patrzeć, ten widział, że w dniu 7 listopada 27 roku odbywała się na ulicach Moskwy generalna próba termidora.

Podobna demonstracja odbyła się również w Leningradzie. Gdy Zinowjew z Radkiem przyjechali do Leningradu, zaatakował ich specjalny oddział i pod

pozorem obrony przed tłumem, zamknął na cały czas demonstracji w jakimś budynku. Zinowjew pisał do nas do Moskwy tego samego dnia: „Wszystkie dochodzące do mnie wiadomości przemawiają za tem, że sprawa nasza zyska tylko dzięki tym wybrykom. Jesteśmy niespokojni o to, co się u was działo. Nielegalne pogadanki z robotnikami idą nam tutaj doskonale. Wielka zmiana na naszą korzyść. Nie zamierzamy narazie stąd wyjeżdżać”. Był to ostatni wybuch energii opozycyjnej Zinowjewa. Nazajutrz był już w Moskwie i domagał się kapitulacji.

16-go listopada odebrał sobie życie Joffe. Śmierć jego wdarła się w rozwijającą się walkę.

Był to bardzo schorowany człowiek. Z Japonji, gdzie był posłem, przywieziono go w groźnym stanie. Za cenę wielkich wysiłków udało się uzyskać zgodę na wysłanie go zagranicę. Pobyt zagranicą trwał jednak zbyt krótko. Dał pomyślne, lecz niewystarczające, wyniki. Joffe został moim zastępcą w głównym Komitecie koncesyjnym. Kierował całą bieżącą pracą. Odczuwał bardzo boleśnie kryzys partji. Przeniewierstwem przejmował się najbardziej. Kilka razy zamierzał rzucić się energicznie w wir walki. Wstrzymywałem go, obawiając się o jego zdrowie. Kampanja z powodu „ciągłej rewolucji” szczególnie oburzała Joffego. Nie mógł w żaden sposób pogodzić się z niecnem szczuciem tych, którzy oddawna przewidzieli przebieg i charakter rewolucji, przez tych, którzy jedynie spożywali jej owoce. Joffe opowiedział mi treść swej rozmowy z Leninem, którą prowadził, zdaje się, w roku 1919-ym na temat „ciągłej rewolucji”. Lenin powiedział mu: – Tak. Okazało się, że Trocki ma słuszność. – Joffe chciał ogłosić tę rozmowę. Wstrzymywałem go od tego wszelkimi sposobami. Wyobrażałem sobie zgóry, jak go za to będą nurzać w błocie. Mimo zewnętrznych pozorów miękkości, cechowała Joffego jakaś swoista, bardzo nieustępliwa, wytrwałość. Po każdym wybuchu nieuctwa i przeniewierstwa politycznego, Joffe przychodził do mnie przygnębiony i oburzony i powtarzał: – Nie, trzeba koniecznie ogłosić. – Dowodziłem mu wciąż, że podobne „zeznania” pozostaną zupełnie bez skutku, że raczej należy zająć się kształceniem młodej generacji partyjnej i gotować się do strzału na dalszą metę.

Stan zdrowia Joffego, który nie zdołał wyleczyć się zagranicą, pogarszał się z dnia na dzień. Na jesieni musiał zaprzestać pracy, a potem położyć się do łóżka. Przyjaciele wszczęli znów sprawę wysłania go zagranicę. C. K. tym razem odmówił stanowczo. Stalinowcy zamierzali wysłać teraz opozycjonistów w zupełnie innym kierunku. Usunięcie mnie z Centralnego Komitetu, a następnie również i z partji, wstrząsnęło Joffem bardziej, niż kimkolwiek innym. Politycznemu i osobistemu oburzeniu towarzyszyło bolesne poczucie własnej bezsilności fizycznej. Joffe wyczuwał nieomylnie, że ważyły się losy rewolucji. Nie mógł już walczyć. A życie poza obrębem tej walki traciło dlań wszelki sens. Z przesłanek tych wyciągnął więc ostatni wniosek.

Nie mieszkałem już w Kremlu, lecz u mego przyjaciela Bieloborodowa, który wciąż jeszcze uchodził za kormsarza ludowego spraw wewnętrznych, aczkolwiek agenci G. P. U. deptali mu nieustannie po piętach. Bieloborodow znajdował się wówczas w swych ojczystych stronach, na Uralu, gdzie, walcząc z aparatem, próbował znaleźć drogę do robotników. Zadzwoiłem do mieszkania Joffego, aby dowiedzieć się o jego zdrowie. Joffe odezwał się sam: telefon stał przy łóżku. W tonie jego głosu – dopiero później zdałem sobie z

tego sprawę – było coś niezwykłego, niepokój i napięcie. Prosił, abym przyjechał do niego. Coś przeszkodziło mi w natychmiastowym spełnieniu jego prośby. Były to burzliwe czasy, do mieszkania Bieloborodowa przychodzili więc bez przerwy towarzysze dla naradzenia się w sprawach, niecierpiących zwłoki. Po godzinie, czy dwóch jakiś nieznajomy głos zatelefonował: – Adolf Abramowicz zastrzelił się. Na jego nocnym stoliku leży list, adresowany do was. – W mieszkaniu Bieloborodowa dyżurowało zawsze kilku wojskowych z opozycji. Towarzyszyli mi, gdym wychodził na miasto. Udaliśmy się spiesznie do Joffego. Gdyśmy zadzwonili i zapukali, spytano nas przez zamknięte drzwi o nazwisko i dopiero po pewnym czasie otworzono: za drzwiami odbywało się coś niewyraźnego. Od zalanej krwią poduszki odcinała się spokojna, niezwykle łagodna, twarz Joffego. Przy biurku jego gospodarował B., członek kolegium G. P. U. Listu na nocnym stoliku już nie było. Zażądałem od B, natychmiastowego zwrotu listu. B. mamrotał, że nie było żadnego listu. Wygląd jego i głos świadczyły o tym, że kłamie. Po upływie kilku minut do mieszkania zaczęli schodzić się przyjaciele ze wszystkich krańców miasta. Oficjalni przedstawiciele komisariatu spraw zagranicznych i instytucyj partyjnych czuli się osamotnieni w tłumie opozycjonistów. W ciągu nocy przez mieszkanie przewinęło się kilka tysięcy osób. Wiadomość o skradzionym liście rozeszła się po mieście. Dziennikarze cudzoziemscy rozesłali o tem depesze. Dalsze ukrywanie listu stało się niemożliwe. Rakowskiemu doręczono wkońcu jego fotograficzną odbitkę. Nie umiem wytłumaczyć sobie przyczyny, dla której list, napisany przez Joffego do mnie, zapieczętowany przezeń w kopercie z moim nazwiskiem, został doręczony Rakowskiemu i w dodatku nie w oryginale, lecz w odbitce fotograficznej. List Joffego – to jego dokładny wizerunek duchowy, ale wizerunek, zrobiony na pół godziny przed śmiercią. Joffe wiedział, jaki był mój stosunek do niego, łączyło go ze mną głębokie zaufanie wewnętrzne, dał mi więc prawo skreślenia w liście wszystkich ustępów, które uznam za nienadające się do ogłoszenia. Gdy nie udało się ukryć tego listu przed światem, cyniczny wróg usiłował nadaremnie wyzyskać na swoją korzyść te właśnie ustępy, które nie były przeznaczone do publikacji.

Joffe śmiercią swą chciał pomóc sprawie, której służył przez całe życie. Ręką, która za pół godziny miała wymierzyć strzał we własną skroń, spisywał ostatnie zeznania świadka i ostatnie rady przyjaciela. Oto, co napisał Joffe do mnie osobiście w swym pożegnalnym liście:

„Łączą mnie z Wami, drogi Lwie Dawidowiczu, dziesiątki lat wspólnej pracy i, śmiem przypuszczać, osobistej przyjaźni. Daje mi to prawo do powiedzenia Wam na pożegnanie, co wydaje mi się w Was błędnem. Nigdy nie wątpiłem, że wytknięta przez Was droga jest słuszna i, jak Wam wiadomo, przez dwadzieścia zgórą lat, od chwili „ciąglej rewolucji”, idę razem z Wami. Zawsze jednak byłem zdania, że brak Wam *nieugiętości, nieustępliwości* Lenina, jego gotowości do zupełnie samotnego kroczenia po drodze, którą uznał za słuszną, a która, w jego przewidywaniu, zyska większość dla siebie i zostanie w przyszłości uznana przez wszystkich za słuszną. Począwszy od roku 1905-go mieliście *zawsze politycznie racje* i nieraz już mówiłem Wam, iż na własne uszy słyszałem, jak Lenin przyznawał się do tego, że w 1905-ym roku *nie on, lecz Wy* mieliście słuszność. Nie kłamie się przed samą śmiercią, powtarzam więc Wam to jeszcze raz... Ale Wyście *wyrzekali się często swojej słuszności* w imię przecenianej przez Was ugody, gwoli osiągnięcia

kompromisu. Jest to błąd. Powtarzam: politycznie mieliście zawsze rację, a teraz macie *większą słusność, niż kiedykolwiek*. Partja zrozumie to kiedyś, a historia na pewno oceni. Nie obawiajcie się więc, gdy dziś opuści Was jeszcze ten i ów, lub tembardziej, gdy nie wszyscy przyjdą do Was tak prędko, jakbyśmy sobie tego życzyli. Macie słusność, ale rękojmią triumfu Waszej słusności będzie właśnie najdalej posunięta nieustępliwość, surowa prostolinijność, wyrzeczenie się wszelkich kompromisów, co stanowiło przecież zawsze tajemnicę zwycięstw, odnoszonych przez Iljicza. Nieraz już chciałem Wam to powiedzieć, ale zdobyłem się na to dopiero teraz, „na pożegnanie”.

Pogrzeb Joffego wyznaczono na dzień powszedni i na godzinę pracy, aby robotnicy moskiewscy nie mogli w nim wziąć udziału. Zebrało się jednak conajmniej dziesięć tysięcy osób i pogrzeb stał się poważną manifestacją opozycyjną.

Fracja Stalina robiła tymczasem przygotowania do zjazdu, dążąc do postawienia go wobec dokonanego faktu rozłamu. Tak zwanych wyborów na konferencje lokalne, które posyłały delegatów na zjazd, dokonano *przed* oficjalnym proklamowaniem z gruntu kłamliwej „dyskusji”, podczas której zorganizowane na sposób wojskowy oddziały gwizdzących osobników rozbiły zebrania, naśladując klasyczne wzory faszystów. Trudno sobie wogóle wyobrazić coś bardziej haniebnego od przygotowań do XV-go zjazdu. Zinowjew i jego grupa mogli się łatwo domyśleć, że zjazd będzie tylko ukoronowaniem politycznym owego pogromu fizycznego, który zaczął się na ulicach Moskwy i Leningradu w dziesiątą rocznicę przewrotu październikowego. Zinowjew i jego przyjaciele mieli teraz jedną jedyną troskę: kapitulować we właściwym czasie. Nie mogli przecież nie zdawać sobie sprawy z tego, że biurokraci stalinowscy uważali za prawdziwego wroga nie ich, opozycjonistów drugiego powołania, lecz złączone ze mną główne jądro opozycji. Spodziewali się, że jeśli nie uda im się zdobyć przychylności, to uzyskają przynajmniej przebaczenie, gdy zerwą ze mną demonstracyjnie w czasie XV-go zjazdu. Nie zorientowali się tylko, że przez powtórna zdradę dokonali właściwie swej politycznej likwidacji. Jeśli nawet osłabili czasowo naszą grupę tym ciosem, zadany w plecy, to siebie samych skazali na śmierć polityczną. XV zjazd uchwalił wydalenie z partji całej opozycji. Wydaleni przechodzili do dyspozycji G.P.U.

ROZDZIAŁ XLIII

ZESŁANIE

Przyłączam dosłownie opowiadanie żony o naszym zesłaniu do Azji Środkowej:

„Zrana 16-go stycznia 1928 r. pakujemy rzeczy. Mam gorączkę i zawroty głowy wskutek podniesionej temperatury i osłabienia. Otacza mnie chaos tylko co przywiezionych z Kremla rzeczy i rzeczy, które pakuje się do podróży. Zator z mebli, skrzynek, bielizny, książek, odwiedzających przyjaciół, którzy przychodzą się pożegnać. F. A. Guetier, nasz lekarz i przyjaciel, radził nam naiwnie, abyśmy ze względu na moje przeziębienie, odroczyli wyjazd. Nie mógł sobie, widocznie, wyobrazić, czym jest nasza podróż i że wszelkie jej odroczenie jest niemożliwe. Spodziewaliśmy się, iż w wagonie przyjdę prędzej do siebie, niż w domu w warunkach, które stwarzają „ostatnie dni” przed wyjazdem. Przed oczami migają coraz to nowe twarze, z których wiele widzę po raz pierwszy. Ściskają nam ręce, obejmują, wyrażają sympatię i współczucie... Chaos powiększają przyniesione kwiaty, książki, cukierki, ciepła odzież. Ostatni dzień, pełen drobnych trosk i zabiegów, naprężenia nerwów i podniecenia, zbliża się ku końcowi. Rzeczy odwieziono już na dworzec. Przyjaciele również się tam udali. Cała rodzina siedzi w stołowym pokoju, gotowi jesteśmy do wyjazdu, oczekujemy tylko agentów G. P. U. Spoglądam na zegarek... dziewiąta... pół do dziesiątej... Nikt nie nadchodzi. Dziesiąta. Jest to czas odejścia pociągu. Co się stało? Czy wyjazd nasz został odwołany? Dzwoni telefon. Zawiadamiają nas z G. P. U., bez podania przyczyn, że wyjazd nasz uległ odroczeniu. – Na jak długo? – zapytuje L. D. – Na dwa dni, – otrzymuje odpowiedź, – wyjazd pojutrze. – Po upływie pół godziny nadbiegają z wiadomościami z dworca, naprzód młodzież, potem Rakowski i inni. Na dworcu urządzono wielką demonstrację. Czekano na nas. Wznoszono okrzyki „Niech żyje Trocki”. Ale Trockiego wciąż nie było widać. Gdzież on może być? Przed przeznaczonym dla nas wagonem stał wzburzony tłum. Młodzi przyjaciele ustawili na dachu wagonu duży portret L. D., który przywitano entuzjastycznymi wiwatami. Pociąg drgnął. Jedno, drugie pchnięcie... i zatrzymał się naraz. Uczestnicy demonstracji wybiegli przed lokomotywę, uczepili się wagonów i zatrzymali pociąg, głośno domagając się Trockiego. W tłumie rozeszła się pogłoska, jakoby agenci G. P. U. wprowadzili L. D. niepostrzeżenie do wagonu i nie pozwalają mu teraz pokazać się odprowadzającym. Na dworcu panowało niesłychane wzburzenie. Doszło do starć z milicją i z agentami G. P. U., z jednej i z drugiej strony byli poszkodowani, dokonano aresztowań. Pociąg zatrzymano na półtorej godziny. Po pewnym czasie nasze bagaże przywieziono zpowrotem z dworca. Długi czas jeszcze przyjaciele dowiadywali się przez telefon, czy jesteśmy w domu i komunikowali nam szczegóły wydarzeń na dworcu. Było już dobrze po północy, gdy udaliśmy się na spoczynek. Po wzruszeniach ostatnich dni

spaliśmy do jedenastej zrana. Nkt nie dzwonił, panowała zupełna cisza. Żona starszego syna poszła do pracy: ma przecież przed sobą jeszcze dwa dni. Ale nie zdążyliśmy zjeść śniadania, jak rozległ się dzwonek – przyszła F. W. Biełoborodowa... po niej M. M. Joffe. Jeszcze jeden dzwonek – i do mieszkania wkroczyli agenci G. P. U. w uniformach i w cywilnym ubraniu. L. D. wręczono nakaz aresztowania i natychmiastowego wysłania pod konwojem do miejscowości Alma-Ata. A gdzież są owe dwa dni, o których zawiadomiono nas wczoraj z G. P. U.? Zatem nowe oszustwo! Zastosowano ten podstęp wojskowy, aby uniknąć ponownej demonstracji podczas wyjazdu. Telefon dzwoni bez przerwy. Ale przy telefonie stoi agent i, z dość dobroduszną miną, nie pozwala odpowiadać. Tylko dzięki przypadkowi udało się zawiadomić Biełoborodowa, że osaczyli nas agenci G. P. U. i pod przymusem chcą nas wywieźć do Alma-Ata. Dowiedzieliśmy się później, że „polityczne kierownictwo” akcją wysłania L. D., zostało powierzone Bucharinowi. Było to całkiem w stylu machinacyj stalinowskich... Agenci zdradzali niepokój, L. D. odmówił dobrowolnego wyjazdu. Skorzystał z pretekstu, aby całkowicie wyjaśnić sytuację. Chodzi o to, że biuro polityczne zesłaniu najwybitniejszych opozycjonistów usiłowało nadać pozory dobrowolnego układu. W takim świetle przedstawiano zesłanie robotnikom. Trzeba było rozwiązać tę legendę i obnażyć niesfalszowaną prawdę i to w formie, która nie pozwalałaby ani na przemilczenie, ani też na zniekształcenie. Takie względy kierowały L. D., gdy powziął decyzję, aby zmusić przeciwników do otwartego zastosowania przemocy. Zamknęliśmy się wraz z goszczącymi u nas dwiema niewiastami w jednym pokoju. Rokowania z agentami G. P. U. toczyły się przez zamknięte drzwi. Nie wiedzieli, jak mają postępować, wahali się, porozumiewali przez telefon ze swymi przełożonymi, otrzymali wkońcu wskazówki i oświadczyli, że wyłamią drzwi, gdyż muszą wykonać rozkaz. L. D. przez ten czas dyktował instrukcję, regulującą dalsze postępowanie opozycji. Nie otworzyliśmy drzwi. Nastąpiło uderzenie młotkiem, rozległ się brzęk rozbitej szyby i przez otwór wsunął ktoś ramię z mundurowym wyłogiem na rękawie. – Strzelajcie do mnie, towarzyszu Trocki, strzelajcie, – powtarzał z widocznym podnieceniem Kiszkin, były oficer, który nieraz towarzyszył L. D. podczas podróży na fronty. – Nie gadajcie głupstw, Kiszkin, – odpowiedział mu spokojnie L. D. – nikt nie ma zamiaru strzelać do was, róbcie, co do was należy. – Otwarto drzwi i do pokoju weszli podnieceni i zakłopotani agenci. Gdy ujrzeni, że L. D. nosi ranne pantofle, odszukali jego buciki i poczęli mu je wkładać na nogi. Przynieśli futro, czapkę... włożyli je. L. D. wzbrania się wyjść. Agenci wzięli go na ręce. Pośpieszyliśmy za nimi. Narzuciłam na siebie futro, włożyłam, śniegowce... Drzwi zatrzasnęły się za mną. Z za drzwi dolatuje hałas. Zatrzymuję okrzykiem konwój i żądam, aby wypuszczono synów: starszy ma jechać z nami na zesłanie. Drzwi otwierają się z trzaskiem, wybiegają nasi synowie, oraz nasi goście, Biełoborodowa i Joffe. Przedarli się przemocą. Sierioża zastosował swe sportowe chwytły. Liowa, zbiegając ze schodów, dzwoni do wszystkich mieszkań i woła: – Niosą towarzysza Trockiego. – Przerażone twarze migają w otwierających się drzwiach i na schodach. W domu tym mieszkają wyłącznie wybitniejsi pracownicy sowieccy. Samochód jest przepełniony, nogi Sierioży ledwie się mieszczą. Jedzie z nami również i Biełoborodowa. Jedziemy przez ulice Moskwy. Silny mróz. Sierioża jest bez czapki, w pośpiechu nie zdążył zabrać jej, wszyscy są bez kaloszy, bez rękawiczek, nie wzięliśmy ze sobą ani jednej

walizy, nawet podręcznej torby podróżnej, nic. Jedziemy nie w stronę dworca Kazańskiego, lecz w zupełnie innym kierunku, – okazuje się, że na dworzec Jarosławski. Sierioża usiłuje wyskoczyć z samochodu, aby wpaść do synowej do biura i powiedzieć jej, że nas wywożą przemocą. Agenci schwycili go mocno za ręce i zwrócili się do L. D. z prośbą o przekonanie Sierioży, aby nie wyskakiwał. Przyjechaliśmy na zupełnie pusty dworzec. Agenci, podobnie jak z mieszkania, wynieśli L. D. z samochodu na rękach. Liowa woła do pojedynczych kolejarzy: – Towarzysze, patrzcie, jak niosą towarzysza Trockiego. – Schwycił go za kołnierz agent G. P. U., który niegdyś towarzyszył L. D. podczas wycieczek myśliwskich. – Patrzcie tego szczeniaka, jak się wydziera, – zawołał beczelnie. W odpowiedzi na to Sierioża, ze zręcznością wytrawnego gimnastyka, wymierzył mu policzek. Jesteśmy już w wagonie. Przy oknach i drzwiach naszego przedziału stoją konwojenci. Pozostałe przedziały zajmują agenci G. P. U. Dokąd jedziemy? Nie wiemy. Rzeczy naszych nie przywieziono. Lokomotywa rusza, ciągnąc tylko nasz wagon. Godzina druga popołudniu. Okazuje się, że podążamy okólną drogą do małej, zapadłej stacji, gdzie mają nas dołączyć do pociągu pocztowego, odchodzącego z dworca Kazańskiego w Moskwie do Taszkientu. O piątej pożegnaliśmy się z Sieriożą i Bieloborodową: mieli wrócić do Moskwy idącym nam na spotkanie pociągiem. Jedziemy dalej. Miałam dreszcze. L. D. był w dobrym humorze, prawie wesół. Sytuacja wyjaśniła się. Otacza nas coraz spokojniejsza atmosfera. Konwój jest uprzedzająco grzeczny. Zawiadomiono nas, że bagaż wiezie następny pociąg, który dopędzi nas na stacji Frunze (koniec szlaku kolejowego), a więc dopiero na dziewiąty dzień podróży. Jedziemy bez bielizny i książek. Z jakim zamiłowaniem i troskliwością Sermuks wraz z Poznańskim pakowali książki, jak starannie je dobierali – jedne na drogę, inne na pierwszy okres pobytu na miejscu, do pracy, – jak skrupulatnie Sermuks, znający doskonale upodobania i nawyki L. D., spakował dlań przybory do pisania. Ileż to napodróżował się on z L. D. podczas rewolucji w charakterze stenografa i sekretarza. L. D., korzystając z braku telefonu i interesantów, pracował zawsze w drodze ze zdwojoną energią. Ta wzmożona praca z początku obciążała głównie Glazmana, a później – Sermuksa. Tym razem odbywaliśmy daleką podróż, nie mając ani jednej książki, bez ołówka i papieru. Sierioża przyniósł nam przed wyjazdem pracę Siemionowa-Tianszanskiego o Turkiestanie: mieliśmy zamiar zapoznać się z miejscem naszego przyszłego zamieszkania, które rysowało się w naszej wyobraźni w sposób dosyć nieokreślony. Ale również i Siemionow-Tianszanskij pozostał w Moskwie w walizce wraz z innymi rzeczami. Siedzieliśmy w wagonie, nie mając żadnych bagaży, jakgdybyśmy jechali z jednej dzielnicy miasta do drugiej. Wieczorem wyciągnęliśmy się na ławkach, podkładając ramiona pod głowy. Przy uchylonych drzwiach przedziału stała warta.

Cóż nas czekało dalej? Jaki charakter będzie miała nasza podróż? A jaki zesłanie? Jakie tam zastaniemy warunki? Początek nie zapowiadał nic dobrego. Mimo to byliśmy spokojni. Wagon kołysał się zlekka. Leżeliśmy wyciągnięci na ławkach. Niedomknięte drzwi były dla nas napomnieniem, że jesteśmy więźniami. Zmęczyły nas nieokreślona sytuacja, napięcie, niespodzianki, na których brak nie mogliśmy uskarżać się w ciągu ostatnich dni, i odpoczywaliśmy teraz. W wagonie panowała cisza. Konwój zachowywał milczenie. Czułam się niedobrze. L. D. wszelkimi sposobami starał się mi

ulżyć, nie dysponował jednak niczem, prócz dobrego humoru, który udzielał się również i mnie. Nie zwracaliśmy więcej uwagi na to, co nas otaczało, i rozkoszowaliśmy się spokojem. Liowa jechał w sąsiednim przedziale. W Moskwie oddawał się całkowicie pracy opozycyjnej. Pojechał teraz razem z nami na zesłanie, aby ulżyć naszej doli i nie zdążył pożegnać się nawet ze swoją żoną. Od owej chwili został naszym jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym. W wagonie było prawie zupełnie ciemno, świece stearynowe rzucały mdłe światło z nad drzwi. Posuwaliśmy się na wschód.

Im bardziej oddalaliśmy się od Moskwy, tem grzeczniejszy stawał się nasz konwój. W Samarze konwojenci kupili dla nas bieliznę na zmianę, mydło, proszek do zębów, szczotki i t. p. Obiady zamawiano dla nas i dla konwoju w stacyjnych restauracjach. L. D., przestrzegający zawsze ścisłej diety, jadł teraz wesoło wszystko, co podawano, i zachęcał do tego mnie i Liowę. Z podziwem i lękiem patrzyłam na niego. Każda z kupionych dla nas w Samarze rzeczy otrzymała w naszym gospodarstwie swoją nazwę: ręcznik imienia Mężyńskiego, skarpetki imienia Jagody (zastępcy Mężyńskiego) i t. p. Rzeczy, w ten sposób ochrzczone, miały weselszy charakter. Z powodu zasp śnieżnych, pociąg posuwał się naprzód ze znacznym opóźnieniem. Ale, mimo to, z każdym dniem wdzieraliśmy się coraz bardziej w głąb Azji.

L. D. zażądał przed wyjazdem, aby mu wolno było zabrać ze sobą dwóch swych dawnych współpracowników. Spotkał się z odmową. Wtedy Sermuks i Poznański postanowili, że pojedą samodzielnie tym samym, co i my, pociągiem. Ulokowali się w innym wagonie, byli świadkami demonstracji, ale pozostali na swych miejscach, przypuszczali bowiem, że i my też jedziemy tym pociągiem. Po pewnym czasie przekonali się, że nas nie ma, wysiedli na stacji w Arysi i czekali na nasz przyjazd następnym pociągiem. Tam też nastąpiło spotkanie: tylko Liowa, korzystający z pewnej swobody ruchów, widział się z nimi, ale wszyscyśmy cieszyli się bardzo. Przytaczam notatkę, napisaną podówczas przez syna: „Zrana udaję się na stację, może spotkam towarzyszy, o których niepokoimy się i rozmawiamy przez całą drogę. Okazuje się, że obydwoj są tutaj, siedzą przy stole w restauracji i grają w szachy. Ogarnęła mnie radość nie do opisanego. Daję im znak, żeby się do mnie nie zbliżali: po moim wejściu do restauracji zaczął się, jak zazwyczaj, ożywiony ruch agentów. Śpieszę do wagonu, aby dać znać o mem odkryciu. Radość powszechna. Nawet L. D. nie może gniewać się na nich, choć właściwie przekroczyli otrzymane instrukcje, gdyż, zamiast jechać dalej, oczekują nas w miejscu publicznym, wystawiając się w ten sposób niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Porozumiałem się z L. D., piszę kartkę, którą mam zamiar im oddać, gdy się ściemni. Otrzymują następujące dyspozycje: Poznański ma pojechać natychmiast do Taszkientu, i czekać na dalsze wskazówki. Sermuks, nie stykając się z nami, jedzie do Alma-Ata. Udało mi się, gdy przechodził obok Poznańskiego, wyznaczyć mu spotkanie za dworcem, w zacisznym, nieoświetlonym miejscu. Poznański przychodzi, początkowo nie możemy się znaleźć i gdy się wreszcie spotykamy, jesteśmy zdenerwowani, mówimy pośpiesznie, przerywamy sobie nawzajem. Powiadam mu: „Wyłamali drzwi, wynieśli na rękach”. Nie rozumie, kto wyłamał i dlaczego wynieśli. Na wyjaśnienia niema czasu, mogą nas przyłapać. Spotkanie z Poznańskim nie dało, właściwie, żadnego wyniku”...

Po odkryciu, dokonaniem przez syna w Arysi, jechaliśmy dalej, wiedząc, że tym samym pociągiem podąża oddany nam przyjaciel. Cieszyło nas to

niewymownie. Na dziesiąty dzień podróży otrzymaliśmy nasze bagaże: wyjęliśmy zaraz z walizy Siemionowa-Tianszanskiego. Czytamy z zaciekawieniem opisy przyrody w Alma-Ata, wiadomości, dotyczące ludności, sadów jabłoni i, co najważniejsza, wspaniałych polowań. L. D. z wielką satysfakcją otwiera zapakowane przez Sermuksa przybory do pisania. Na stację Frunze (Piszpek) przyjechaliśmy nad ranem. Jest to krańcowa stacja kolejowa. Był tęgi mróz. Biały, czysty, apetyczny śnieg, zalany potokami promieni słonecznych, błyszczał oślepiająco. Przyniesiono nam kozuchy i buty wołkowe. Dusiałam się niemal pod przytłaczającym ciężarem odzieży, ale mimo to było mi zimno podczas jazdy. Autobus posuwał się wolno naprzód po skrzypiącym, zaśnieżonym szlaku, mroźny wiatr szczypał w policzki. Zatrzymaliśmy się po przejechaniu trzydziestu kilometrów. Ciemno było, choć oko wykol. Zdawało się, że otacza nas śnieżna pustynia. Dwóch zakłopotanych konwojentów (eskorta nasza składała się z dwunastu, czy piętnastu osób) zbliżyło się do nas i uprzedziło, że nocleg będzie wcale „niezachwycający”. Wysiedliśmy z trudem, trafiwszy poomacku na niskie drzwi stacji pocztowej, weszliśmy do jej wnętrza i z uczuciem ulgi zrzuciliśmy ze siebie ciężkie kozuchy. W izbie nie palono, było więc zimno. Małe okienka zamarły zupełnie. W kącie stał wielki piec rosyjski, zimny, niestety, jak lód. Rozgrzewaliśmy się herbatą. Przegryźliśmy coś-nie-coś. Nawiązaliśmy rozmowę z gospodynią stacji, kozaczką. L. D. rozpytywał, jakie są warunki życia, zagadnął też o polowanie. Wszystko bardzo ciekawe, a co najważniejsze, nie wiadomo, jak się to skończy. Zaczęliśmy układać się do snu. Konwój rozlokował się w sąsiedniej izbie. Liowa położył się na ławie. L. D. i ja urządziliśmy sobie posłanie z kozuchów na wielkim stole. Gdyśmy już tak leżeli pod niskim sufitem, w ciemnej i zimnej izbie, roześmiałam się głośno: „Zupełnie nie przypomina to mieszkania w Kremlu!” L. D. i Liowa odpowiedzieli mi zgodnym śmiechem. O świcie wyruszyliśmy dalej. Mieliśmy przed sobą najtrudniejszą część drogi: przeprawę przez grzbiet górski – Kurdaj. Mróz był trzaskający. Pod nieznośnym ciężarem odzieży mieliśmy uczucie, jakby się mur na nas zawalił. Na następnym postoju rozmawialiśmy przy herbacie z szoferem i agentem G. P. U., który wyjechał z Alma-Ata na nasze spotkanie. Przed nami rozwierało się stopniowo, krok za krokiem, nieznanne nam dotychczas, przyszłe nasze życie. Samochód miał niełatwą drogę: szlak na dłuższych przestrzeniach przywalały grube warstwy nawianego śniegu. Szofer umiejętnie i zręcznie kierował maszyną, dobrze znał właściwości terenu i rozgrzewał się wódką. Mróz ku wieczorowi tężał coraz bardziej. Wiedząc, że w tej pustyni śnieżnej wszyscy są zależni od niego, szofer folgował sobie, krytykując w sposób dosyć bezceremonialny panujące porządki i władzę przełożoną... Siedząca obok niego władza z Alma-Ata usiłowała mu się nawet przypodobać: byleby tylko dowiózł. O trzeciej w nocy maszyna zatrzymała się wśród nieprzeniknionych ciemności. Przyjechaliśmy. Ale dokąd? Zatrzymaliśmy się, jak się okazało, na ulicy Gogola przed hotelem „Dżetysu”, który zdawał się naprawdę pamiętać czasy Gogola. Otrzymaliśmy dwa pokoiki. Sąsiednie numery zajmował konwój i miejscowi agenci G. P. U. Liowa sprawdzał bagaże – brakowały dwie walizy z bielizną i książkami: zawieruszyły się gdzieś po drodze, wśród śniegów. I znów nie mamy Siemionowa-Tianszanskiego! Zginęły mapy i książki L. D., o Chinach i Indjach, zginęły przybory do pisania. Piętnaście par oczu nie potrafiło dopilnować naszych waliz...

Liowa udał się z samego rana na zwiady. Obszedł miasto, zwiedził przede wszystkim pocztę i telegraf, które w naszym życiu zajęły teraz naczelne miejsce. Natrafił też i na aptekę. Szukał bez wytchnienia potrzebnych nam przedmiotów, stalówek, ołówków, chleba, masła, świec... Ani ja, ani L. D. przez kilka pierwszych dni nie opuszczaliśmy zupełnie pokoju, później dopiero zaczęliśmy wieczorami wychodzić na krótkie spacerunki. Ze światem zewnętrznym komunikowaliśmy się jedynie przez syna.

Obiady przynoszono nam z najbliższej jadłodajni. Liowa był przez cały dzień w ruchu. Oczekiwaliśmy go z niecierpliwością. Przynosił gazety, ciekawe informacje o zwyczajach i obyczajach, panujących w mieście. Niepokoił nas brak wiadomości o Sermuksie. Aż naraz, zrana czwartego dnia naszego pobytu w hotelu, dolatuje do nas z korytarza znajomy głos. Jakżeż był nam drogi! Chwytałyśmy z za drzwi dźwięki mowy Sermuksa, odgłosy jego kroków. Jego przyjazd otwierał nam nowe perspektywy. Otrzymał pokój naprzeciwko naszego. Gdy wyszła na korytarz, ukłonił mi się zdaleka... Nie mieliśmy jeszcze odwagi do nawiązania z nim rozmowy, ale cieszyliśmy się pocichu z jego obecności. Nazajutrz wpuściliśmy go ukradkiem do naszego pokoju, spieszenie opowiedzieliśmy o wszystkim, co zaszło, i porozumieliśmy się, jak ułożymy sobie wspólną przyszłość. Ale przyszłość ta okazała się bardzo krótkotrwała. Tego samego dnia o dziesiątej wieczorem nastąpiła rozgrywka. Cisza panowała w hotelu. Siedzieliśmy z L. D. w naszym pokoju, drzwi do nieograniczonego korytarza były uchylone, gdyż palący się u nas piecyk żelazny niezdolnie rozgrzewał powietrze. Liowa siedział w swoim pokoju. Usłyszeliśmy naraz w korytarzu ostrożne, ciche kroki nóg, stąpających w butach wołkowych. Wszyscy troje (gdyż Liowa również, jak się okazało, zwrócił na kroki uwagę, domyślając się, o co chodzi) przysłuchiwaliśmy się z zapartym oddechem, „Przyszli”, – błysnęło w świadomości. Słyszeliśmy jak ktoś, nie pukając, wszedł do pokoju Sermuksa, powiedział: – Pospieszcie się!, – jak Sermuks odpowiedział: – Czy mogę włożyć przynajmniej buty wołkowe? – Miał widocznie pantofle na nogach. Znow ledwo dosłyszalne, miękkie kroki. Za chwilę nic już nie zakłócało panującej ciszy. Portjer tylko zamknął później na klucz pokój, z którego wyprowadzono Sermuksa. Nie zobaczyliśmy go już więcej. Trzymano go przez kilka tygodni razem z przestępcami kryminalnymi w lochu G. P. U. w Alma-Ata na głodowej racji, potem wysłano do Moskwy, dając mu na wyżywienie po 25 kopiejek na dobę. Nie starczyło tego nawet na suchy chleb. Jakiś później dowiedzieli, Poznańskiego aresztowano jednocześnie w Taszkencie i odesłano również do Moskwy. Po upływie jakichś trzech miesięcy otrzymaliśmy od nich wiadomości, wysłane już z miejsc zesłania. Szczęśliwy traf zrzucił, że, gdy wieziono ich z Moskwy na wschód, znaleźli się obaj w tym samym wagonie, jeden naprzeciwko drugiego. Po krótkotrwałej rozłące, spotkali się, aby znow się rozstać: każdego z nich zesłano do innej miejscowości.

L. D. został więc pozbawiony swych współpracowników. Przeciwnicy wywarli na nich okrutną zemstę za to, że, idąc ręką w rękę z L. D., wiernie służyli rewolucji. Miłego i skromnego Glazmana doprowadzili jeszcze w 1924-ym roku do samobójstwa. Sermuksa i Poznańskiego zesłali. Butowa, cichego, pracowitego Butowa, aresztowali i, chcąc wymóc na nim fałszywe zeznania, zmusili go do przewlekłej głodówki, która zakończyła się śmiercią w szpitalu więziennym. W taki to sposób uległ doszczętnemu zniszczeniu ów „sekretny”, który, jako źródło wszelakiego zła, był nienawidzony przez

wrogów L. D. jakąś zaiste mistyczną nienawiścią. Wrogowie uważali, że L. D., znajdującemu się w odległym Alma-Ata, odebrano teraz ostatnią jego broń. Woroszyłow przechwalał się publicznie: – Gdyby miał tam umrzeć, to nawet wiadomość o jego śmierci nieprędko do nas dotrze, – ale L. D. nie został bynajmniej rozbrojony. Zjednoczyliśmy się w pracy we troje. Syn miał przede wszystkim utrzymywać stosunki ze światem zewnętrznym. Sprawował zarząd nad naszą korespondencją. L. D. nazywał go czasami ministrem spraw zagranicznych, czasami znów ministrem poczt i telegrafów. Korespondencja nasza osiągnęła wkrótce bardzo znaczne rozmiary i głównie obciążała Liowę. Do jego obowiązków należała też służba bezpieczeństwa. Wyszukiwał również materiały, niezbędne L. D. do jego prac: przewracał warstwy starych książek w bibliotece, wydostawał stare gazety, sporządzał wyciągi. Prowadził wszelkie pertraktacje z władzami miejscowymi, organizował polowania, dbał o psa myśliwskiego i o broń. Studjował ponadto pilnie geografję gospodarczą i uczył się języków...

Po upływie kilku tygodni od przyjazdu, L. D. pracował już bardzo intensywnie nad zagadnieniami naukowymi i politycznymi. Liowa wyszukał nam nawet później maszynistkę. G. P. U. zostawiło ją w spokoju, ale zobowiązało, niewątpliwie, do donoszenia o wszystkim, co pisała u nas. Ciekawa byłabym bardzo relacyj tej panienki, niezbyt doświadczonej w walce z trockizmem.

Śnieg w Alma-Ata był piękny, biały, czysty i suchy: nie tracił przez całą zimę swej świeżości, gdyż ruch kołowy i pieszy jest tam bardzo niewielki. Z wiosną miejsce śniegu zajmowały czerwone maki. Była ich tam niezliczona moc, olbrzymie kobierce rozpościerały się na dziesiątki kilometrów, cały step był zalany czerwienią. W lecie – jabłka, słynny produkt miejscowy, wielkie i też, jak maki, czerwone. W mieście brak było wodociągów, światła, brukowanych jezdni. W środku miasta, na brudnym targowisku wygrzewali się na słońcu Kirgizi, leżąc na stopniach sklepów i wyszukując na sobie insekty. Panowała tu okropna malarja. A i dzuma trafiała się również. W lecie – całe chmary wściekłych psów. Gazety donosiły o częstych wypadkach trądu, które notowano w tej okolicy... A jednak, mimo wszystko, lato przeszło pomyślnie. Wynajęliśmy u ogrodnika chałupę na podgórzu, skąd otwierał się rozległy widok na śnieżne szczyty, stanowiące odgałęzienia Tian-Szania. Wraz z gospodarzem i jego rodziną obserwowaliśmy dojrzewanie owoców i braliśmy czynny udział w zbiorach. Wygląd sadu zmieniał się kilkakrotnie. Pokrywało go białe kwiecie. Potem ciężkie drzewa pochylały się, opuszczając nisko ku ziemi gałęzie, podtrzymywane podpórkami. Potem owoce, tworząc wielobarwne kobierce, leżały pod drzewami na podściółkach ze słomy, drzewa zaś, wyzbywszy się brzemienia, podnosiły znów swe gałęzie ku górze. W sadzie unosił się zapach dojrzałych jabłek, dojrzałych gruszek, brzęczały pszczoły i osy. Smażyliśmy konfitury.

W czerwcu i w lipcu w sadzie, w domu, krytym trzciniową strzechą, wrzała gorączkowa praca, stukała bez przerwy maszyna do pisania – zjawisko zupełnie nieznanne w tych okolicach. L. D. dyktował swoją krytykę programu Międzynarodówki Komunistycznej, poprawiał maszynopis i znów dawał do przepisywania. Obfita poczta, nadchodziło bowiem 10-15 listów dziennie, przynosiła dużo rozmaitych tez, krytyk, polemik wewnętrznych, nowinek z Moskwy. Otrzymywaliśmy też liczne depesze treści politycznej, jako też telegraficzne zapytania o zdrowie. Wielkie zagadnienia w skali

wszechświatowej splatały się z drobnymi sprawami lokalnymi, które, zresztą, też wydawały się wielkie. Listy Sosnowskiego poruszały zawsze aktualne tematy, traktując je z właściwym autorowi rozmachem i bystrością. Świetne listy Rakowskiego przepisywaliśmy na maszynie i rozsyłaliśmy. Maleńki pokój ze zwisającym nad głową sufitem zastawiony był stołami, na których leżały stopy rękopisów, teczki, gazety, książki, wyciągi, wycinki. Liowa po całych dniach nie opuszczał swego pokoiku obok stajni: pisał na maszynie, poprawiał teksty, napisane przez maszynistkę, zaklejał koperty, nadawał i odbierał pocztę, wynajdywał potrzebne cytaty. Poczta dostarczała nam inwalida, przyjeżdżający konno z miasta. Częstość pod wieczór L. D. ze strzelbą i psem szedł w góry, czasami ja mu towarzyszyłam, czasami – Liowa. Wracaliśmy z przepiórkami, gołębiami, kurkami górskimi lub bażantami. Wszystko szło gładko aż do kolejnego paroksyzmu malarji.

Tak spędziliśmy rok w Alma-Ata, mieście trzęsień ziemi i powodzi, u stóp odgałęzień Tian-Szania, na pograniczu Chin, w odległości 250 kilometrów od kolei, a 4000 kilometrów od Moskwy, w towarzystwie listów, książek i przyrody.

Mimo to, żeśmy na każdym kroku natrafiali na ukrytych przyjaciół, – opowiadanie o tem jest przedwczesne – byliśmy zewnątrz zupełnie odcięci od otaczającej nas ludności, gdyż każdy, kto usiłował zbliżyć się do nas, ulegał karze, częstość bardzo surowej...”

Do opowieści żony dodam jeszcze kilka urywków, wyjętych z ówczesnych listów. 28-go lutego, wkrótce po przyjeździe, pisałem do kilku zesłanych przyjaciół: „W związku z mającym nastąpić przeniesieniem rządu Kazakstanu do Alma-Ata, wszystkie mieszkania zostały zarejestrowane. Dopiero wskutek depezy, które posyłałem do Moskwy pod adresem osób najwyżej postawionych, dano nam wreszcie mieszkanie po trzytygodniowym pobycie w hotelu. Musieliśmy kupić sobie coś-nie-coś z umeblowania, odrestaurować zrujnowaną kuchnię i wogóle poświęcić się budownictwu, co prawda poza programem, wytkniętym przez plan gospodarczy. Prace te należały wyłącznie do Natalji Iwanówny i do Liowy. Budownictwo nie zostało po dziś dzień ukończone, gdyż piec kuchenny nie rozgrzewa się...”

Dużo czasu poświęcam Azji, jej geografji, ekonomice, historii i t. p... Brak gazet w językach obcych daje się bardzo dotkliwie we znaki. Pisałem już tu i owdzie, prosząc o przysłanie nawet niezupełnie świeżych gazet. Poczta przychodzi tutaj z wielkiem opóźnieniem i, widocznie, bardzo nieregularnie...

Rola Indyjskiej Partji Komunistycznej jest bardzo niewyraźna. W gazetach pojawiły się depezy, donoszące o wystąpieniach w rozmaitych prowincjach „partij robotniczo-włościańskich”. Sama już nazwa wywołuje uzasadniony niepokój. Przecież i Kuomintang uznano w swoim czasie za partję robotniczo-włościańską. Oby nie było to powtórzeniem dawnych doświadczeń!

Antagonizm angielsko-amerykański uzewnętrznił się nareszcie wyraźnie. Teraz zarówno Stalin, jak i Bucharin zaczynają, zdaje się, pojmować, o co chodzi. Gazety nasze upraszczają jednak wielce sprawę, przedstawiając sytuację w taki sposób, jakgdyby antagonizm angielsko-amerykański, zaostrażając się nieustannie, musiał doprowadzić wprost do wybuchu wojny. Nie należy wątpić, że w stosunkach tych zajdą jeszcze nieraz poważne zmiany.

Wojna byłaby dla obydwu partnerów zbyt niebezpieczną zabawą. Dokonają obydwaj niejednego jeszcze wysiłku, aby dojść do porozumienia i utrwalenia pokoju. Ale naogół rozwój podąża olbrzymimi krokami ku krwawej rozgrywce.

W drodze przeczytałem po raz pierwszy pamflet Marksa p. t. „Pan Vogt”. Aby obalić z jaki tuzin oszczerczych twierdzeń Karola Vogta, Marks napisał całą książkę objętości dwustu stron ścisłego druku, do której zebrał uprzednio moc dokumentów, zeznań świadków i poddał krytycznej ocenie liczne bezpośrednio i pośrednio poszlaki. Gdybyśmy w taki sam sposób chcieli obalać oszczerstwa stalinowców, musielibyśmy, chyba, wydać encyklopedję, liczącą conajmniej z tysiąc tomów...”

W kwietniu donosiłem listownie „wtajemniczonym” o moich myśliwskich radościach i smutkach: „Udaliśmy się wraz z synem nad rzekę Ili w stanowczym zamiarze wyzyskania sezonu wiosennego do samego końca. Zabraliśmy tym razem ze sobą namioty, filce, futra i t. p., aby nocy nie spędzać w jurtach... Ale śnieg spadł znowu i znów zaczęły się mrozy. Dni te mogą nazwać dniami wielkich doświadczeń. W nocy mróz dosięgał 8-10 stopni. Mimo to, przez dziewięć dni nie weszliśmy ani razu do izby. Dzięki ciepłej bieliźnie i wielkiej obfitości zwierchniej ciepłej odzieży, zupełnie nie odczuwaliśmy chłodu. Buty zamarzały, jednak przez noc, trzeba je więc było rozgrzewać nad ogniskiem, gdyż inaczej nie dawały się wciągnąć na nogi. Przez pierwsze dni polowaliśmy na bagnisku, a później – na otwartym jeziorze. Ustawiłem sobie na kępie mały namiot, w którym spędzałem 12-14 godzin na dobę. Liowa wystawał w sitowiu pod drzewami.

Niesprzyjająca pogoda i niejednolity przelot ptactwa sprawiły, że polowanie nie udało nam się, jako takie. Przywieźliśmy ze sobą nie więcej, niż czterdzieści kilka kaczek i parę gęsi. A jednak wycieczka dała mi ogromne zadowolenie, którego istota polegała na tymczasowym powrocie do stanu barbarzyństwa. Przecież nieczęsto mamy okazję do doświadczania takich emocyj: spaliśmy na otwartym powietrzu, jedliśmy pod gołym niebem baraninę, ugotowaną w kuble, nie myśliśmy się, nie rozbieraliśmy się i dlatego też nie ubierali, spędzaliśmy całą prawie dobę na małym mostku wśród wody i sitowia: spadłem też z konia do rzeki (jedyne to był wypadek, kiedy musiałem rozebrać się pod gorącymi promieniami południowego słońca). Wróciłem do domu, nie przeziębivszy się nawet. A w domu przeziębivłem się zaraz nazajutrz po powrocie i przeleżałem w łóżku cały tydzień...

Zacząły nadchodzić gazety cudzoziemskie z Moskwy i od Rakowskiego z Astrachania. Otrzymałem dzisiaj list od niego. Opracowuje dla instytutu Marksa i Engelsa zagadnienie saint-simonizmu. Pisze, ponadto, wspomnienia. Kto zna choć trochę życie Rakowskiego, ten zdaje sobie sprawę z tego, jak ciekawe muszą być te pamiętniki”.

24-go maja pisałem do Preobrażeńskiego, który już wówczas chwiał się to w jedną, to w drugą stronę: „Otrzymałem Wasze tezy, ale nie napisałem o nich do nikogo ani jednego słowa. Onegdaj otrzymałem z Kałpaszowa następujący telegram: „Odrzucamy stanowczo propozycje i opinie Preobrażeńskiego. Odpowiedzcie natychmiast. Smiłga, Alskij, Nieczajew”. Wczoraj otrzymałem telegram z Ust’-Kulomu: „Uważamy, że propozycje Preobrażeńskiego są błędne. Biełoborodow. Walentinow”. Od Rakowskiego otrzymałem wczoraj list, w którym wcale Was nie chwali, stosunek swój zaś do stalinowskiego „lewego kursu” określa formułą angielską: „czekaj i czuwaj”. Wczoraj

otrzymałem też listy od Biëłoborodowa i Walentinowa. Obaj sã bardzo zaniepokojeni z powodu jakiejś epistoły, wysłanej przez Radka do Moskwy i utrzymanej w kwaśnym tonie. Sã wściekli z oburzenia. O ile treść listu Radka brzmi rzeczywiście tak, jak mi ją podano – solidaryzuję się z nimi całkowicie. Wszelką pobłażliwość w stosunku do impresjonistów uważam za niewskazaną.

Od powrotu z polowania, a więc od ostatnich dni marca, siedzę kamieniem w domu, mniej-więcej od 7-8 zrana do 10-tej wieczorem, z książką lub piórem w ręku. Zamierzam zrobić kilkudniową przerwę: polować teraz nie można, pojedziemy więc z Natalją Iwanówną i Sieriożą (bawi teraz tutaj) nad rzekę Ili, aby łowić ryby. Sprawozdanie z tej wyprawy otrzymacie w swoim czasie.

Czyście zrozumieli, co zaszło we Francji z wyborami? Ja narazie nic nie rozumiem. „Prawda” nie podała nawet ogólnej liczby głosujących w porównaniu z ubiegłymi wyborami, nie wiadomo więc, czy odsetek komunistów zwiększył się, czy też zmniejszył. Mam zamiar, zresztą, zbadać tę sprawę w pismach obcych i dopiero wtedy napiszę o tem”.

26-go maja napisałem do Michała Okudźawa, starego bolszewika gruzińskiego: „Gdy nowy kurs Stalina formułuje zadania, stojące przed partją, czyni niewątpliwie próbę zbliżenia się do naszego stanowiska. Ale w polityce decydującą wagę ma nie samo tylko co, lecz również *jak*, oraz *kto*. Rozstrzygające o losach rewolucji zapasy mamy jeszcze przed sobą...”

Zawsze byliśmy tego mniemania i powtarzaliśmy to już nieraz, że przebiegu staczania się politycznego frakcji rządzącej nie należy wyobrażać sobie w postaci wykresu, wykazującego nieustanny spadek. Boć nawet staczanie się nie odbywa się przecież w próżni, lecz w społeczeństwie klasowym, które cechują głębokie tarcia wewnętrzne. Masa, stanowiąca podwaliny partji, nie jest bynajmniej jednolitą brytą, lecz raczej, w lwiej swej części, pod względem politycznym stanowi materiał zupełnie surowy. Proces dalszego różniczkowania się tej masy pod naciskiem sił klasowych, działających zarówno z prawej, jak i z lewej strony, jest zjawiskiem nieuniknionem. Gwałtowne wydarzenia w ostatnim okresie życia naszej partji, których konsekwencje dają się nam obydwum we znaki, sã zaledwie uwerturą do dalszego rozwoju wypadków. Podobnie jak uwertura w operze daje nam w zwartej formie antycypowane tematy muzyczne z całej opery, tak też i nasza „uwertura” polityczna antycypowała owe melodje, które w następstwie rozwiną się w całej pełni i rozbrzmiewać będą przy udziale tręb miedzianych, kontrabasów, bębnow tudzież innych instrumentów poważnej muzyki klasowej. Rozwój wydarzeń dowodzi w sposób zupełnie niewątpliwy, że mieliśmy i mamy rację nie tylko wobec chorągiewek na dachu i wahadeł, czyli wobec takich Zinowjewów, Kamieniewów, Piatakowów i innych, ale również i wobec ukochanych przyjaciół na „lewicy”, tych ultra-lewicowych mętnych głów, o ile uwerturę biorą one za operę, sądzą, że wszystkie podstawowe procesy w partji i w państwie już dobiegły swego kresu i że termidor, o którym od nas dopiero się dowiedziały, stał się już faktem dokonany... Nie denerwować się i nie szarpać nadaremnie siebie i innych, lecz uczyć się, czekać, obserwować bystrem okiem i nie dopuszczać do tego, aby nasza linja polityczna miała pokryć się rdzą rozgoryczenia osobistego – oto jak powinniśmy dzisiaj postępować.”

Dnia 9-go czerwca umarła w Moskwie moja córka i gorąca zwolenniczka ideowa, Nina. Miała 26 lat. Męża jej aresztowano na krótko przed mojem zesłaniem. Kontynuowała robotę opozycyjną aż do chwili, kiedy musiała się

położyć. Nabawiła się suchot galopujących, które zabrały ją w ciągu kilku tygodni. Wysłany przez nią ze szpitala list wędrował do mnie przez 73 dni i doszedł już po jej śmierci.

Rakowski przysłał mi 16-go czerwca depeszę: „Wczoraj otrzymałem Twój list o ciężkiej chorobie Niny. Depeszowałem do Aleksandry Gieorgiewny (żona Rakowskiego) do Moskwy. Dziś dowiedziałem się z gazet, że Nina skończyła swą krótką drogę życiową i rewolucyjną. Jestem przy Tobie, drogi Przyjacielu, ciężko mi niewymownie, że dzieli nas odległość nie do przebycia. Ściskam Cię wielokrotnie i mocno. Krystjan”

Po upływie dwóch tygodni nadszedł list od Rakowskiego:

„Drogi Przyjacielu, boleję bardzo z powodu Ninki, Ciebie i Was wszystkich. Oddawna dźwigasz już krzyż rewolucyjnego marksisty, a teraz doświadczasz po raz pierwszy bezgranicznego bólu ojcowskiego. Jestem z Tobą całą duszą i smucę się, że tak daleko od Ciebie...”

Sierioża opowiadał Ci pewno, jakie bezsensowne środki zastosowano względem Twoich przyjaciół po tem, jak tak głupio postąpiono z Tobą w Moskwie. Przyszedłem do Waszego mieszkania w pół godziny po Twojem wyjeździe. W bawialni zastałem grono towarzyszków, przeważnie kobiet, wśród nich – Murałowa. Usłyszałem głos: – „Kto z obecnych jest obywatelem Rakowskim?” – „To ja, o co chodzi?” – „Proszę iść za mną”. – Wyprowadzają mnie przez korytarz do małego pokoju. Przed drzwiami kazano mi podnieść „ręce do góry”. Po zbadaniu zawartości moich kieszeni, zostałem aresztowany. Wypuszczono mnie o 5-ej. Morałowa, do którego zaraz po mnie zastosowano taką samą procedurę, zatrzymano do późna w nocy... – „Postradali głowy”, – powiedziałem do siebie i nie tyle byłem zły, ile wstydziłem się za swych własnych towarzyszków”.

Napisałem do Rakowskiego 14-go lipca:

„Drogi Krystianie Gieorgiewiczu, nie pisałem do Ciebie, zarówno jak i do innych przyjaciół, przez całą wieczność, poprzestając li tylko na rozsyłaniu garści materiałów. Po powrocie z nad Ili, gdzieśmy po raz pierwszy otrzymali wiadomość o ciężkim stanie Niny, wyjechaliśmy zaraz na lotnisko. Po kilku dniach nadeszła wiadomość o śmierci Niny. Rozumiesz, co to znaczy... Należało, jednak, nie tracąc czasu, przygotowywać nasze dokumenty na VI kongres Międzynarodówki Komunistycznej. Niełatwe było to zadanie. Ale z drugiej strony konieczność wykonania tej pracy, i to za wszelką cenę, odegrała rolę, przynoszącą ulgę kataplazmu. Dzięki tej pracy, łatwiej nam było dźwigać brzemień żałoby przez najcięższe pierwsze tygodnie.

Spodziewaliśmy się tutaj w lipcu przyjazdu Zinuszki (starszej córki). Ale musieliśmy sobie tego, niestety, odmówić. Guetier domagał się stanowczo, aby Zinuszkę ulokować niezwłocznie w sanatorium dla chorych na gruźlicę. Jest już chora oddawna, pielęgnowanie zaś Ninuszki w ciągu trzech miesięcy, kiedy lekarze już ją skazali na śmierć, nadwątliło bardzo jej zdrowie...

A teraz – o przygotowawczych pracach do kongresu. Postanowiłem rozpocząć od krytyki projektu programu w związku ze wszystkimi temi zagadnieniami, które przeciwstawiają nas oficjalnemu kierownictwu. W rezultacie powstała książka objętości 11 arkuszy druku. Zsumowałem w niej wszystko, co było owocem naszej pracy zbiorowej przez ostatnie pięć lat, gdy Lenin nie stał już u steru partji i gdy zapanował lekkomyślny epigonizm, który utrzymywał się początkowo z procentów ze starego kapitału, ale wkrótce zaczął wydatkować też i sam kapitał.

Z racji odezwy, skierowanej do kongresu, otrzymałem kilkadziesiąt listów i depesz. Obliczenia głosów nie dokonano jeszcze. W każdym razie ze stu conajmniej głosów, za tezami Preobrażenskigo opowiedziało się nie więcej, niż trzy...

Jest rzeczą bardzo możliwą, że blok zawarty przez Stalina z Bucharinem i Rykowem, zachowa jeszcze na tym kongresie zewnętrzne pozory jedności, aby dokonać ostatniego rozpaczliwego wysiłku przytłoczenia nas „raz na zawsze” kamieniem mogilnym. Ale ten właśnie ponowny wysiłek i niewątpliwa jego bezowocność może przyspieszyć znakomicie dokonywany się w łonie bloku proces zróżniczkowania, albowiem zaraz nazajutrz po kongresie wyłoni się nieubłagane pytanie: – „A co dalej?” Jaka będzie odpowiedź na to pytanie? Po zmarnowaniu w roku 1923 koniunktury rewolucyjnej w Niemczech, otrzymaliśmy tytułem kompensaty głęboki ultra-lewicowy zygzak w latach 1924-25. Ultra-lewicowy kurs Zinowjewa wyrósł na prawicowych drożdżach: walka ze zwolennikami uprzemysłowienia, romans z Radiczem i La Follette’em, Międzynarodówka Włociańska, Kuomintang i tak dalej. Gdy kierunek ultra-lewicowy skrzył kark, na tych samych prawicowych drożdżach wyrósł kurs prawicowy. Nie jest wcale wykluczone, że w następnym okresie będziemy świadkami ponownego odtworzenia tego samego procesu, ale już na szerszą skalę, czyli, że będziemy mieli do czynienia z nowym paroksyzmem *ultra-lewicowości, wyrastającej z tych samych przesłanek oportunistycznych*. Ukryte siły gospodarcze mogą jednak ten ultra-lewicowy kierunek ostro zahamować i nadać mu zdecydowanie prawicowe odchylenie”.

W sierpniu pisałem do szeregu towarzyszków:

„Zwróciliście na pewno uwagę na tę okoliczność, że nasze gazety nie notują wcale głosów prasy europejskiej i amerykańskiej na temat wypadków, zachodzących w łonie naszej partji. Już to samo każe przypuszczać, że głosy te nie odpowiadają potrzebom „nowego kursu”. Nie powoduję się teraz samymi tylko domysłami, lecz posiadam w ręku jaskrawe dowody. Towarzysz Andrejczyn przysłał mi stronę, wydartą z lutowego numeru amerykańskiego pisma „Nation”. Po krótkiej relacji o ostatnich wydarzeniach u nas, pisze ten najwybitniejszy organ kierunku lewicowo-demokratycznego co następuje:

„Wobec tego wszystkiego, narzuca się nam najważniejsze pytanie: kto jest kontynuatorem programu bolszewizmu w Rosji, kto zaś reprezentuje nieuniknioną reakcję przeciwko temu programowi. Czytelnik amerykański był zawsze zdania, że Lenin i Trocki reprezentują tę samą sprawę, a prasa konserwatywna, oraz mężowie stanu przyszli również do tego samego wniosku.

Nowojorski „Times” np. za główny powód do zadowolenia w dniu Nowego Roku uznał pomyślnie usunięcie Trockiego z partji komunistycznej, oświadczając przytem wprost, że wygnana opozycja była zwolenniczką utrwalenia tych idei i stosunków, które odcięły Rosję od zachodniej cywilizacji. Większość poważnych gazet europejskich pisała podobnie. Sir Austin Chamberlain, jak komunikują, oświadczył podczas konferencji genewskiej, że Anglja nie może wszcząć rokowań z Rosją z tego prostego powodu, że „Trockiego dotychczas nie postawiono pod murek”. Chamberlain powinien więc teraz być zadowolony z wygnania Trockiego... W każdym bądź razie, przedstawiciele reakcji w Europie, jednomyślnie uważają, że nie Stalin, lecz Trocki jest ich głównym komunistycznym wrogiem”. To jest dość wymowne, nieprawdaz?

Nieco statystyki z notatek mego syna. W okresie od kwietnia do października 1928 roku wysłaliśmy z Alma-Ata 800 listów politycznych, w tej liczbie cały szereg większych prac. Nadaliśmy około 550 depesz. Otrzymaliśmy przeszło 1000 listów politycznych, dużych i małych, i około 700 depesz, w większości wypadków zbiorowych. Wszystko to pochodziło głównie z obszaru zesłania, ale z zesłania listy przenikały również do kraju. Do rąk naszych w najlepszych miesiącach dochodziła nie więcej, niż połowa korespondencji. Ponadto otrzymaliśmy z Moskwy 8-9 tajnych przesyłek t. j. konspiracyjnych materiałów : listów, przysyłanych przez umyślnych posłańców. Tyle też wysłaliśmy do Moskwy. Tajna poczta utrzymywała nas au courant wszystkich spraw i pozwalała, chociaż ze znacznym opóźnieniem, reagować na ważniejsze wypadki.

Stan mego zdrowia ku jesieni pogorszył się. Wieści o tem dotarły do Moskwy. Robotnicy zaczęli na zebraniach zadawać pytania. Oficjalni sprawozdawcy nie znaleźli nic lepszego ponad odmalowywanie mego zdrowia w najbardziej tęczyowych barwach.

20-go września żona moja wystąpiła do ówczesnego sekretarza organizacji moskiewskiej, Uglanowa, następującą depeszę:

„W mowie swej na plenum moskiewskiego komitetu, wspominał o *rzekomej* chorobie męża mego L. D. Trockiego. W odpowiedzi na zaniepokojenie i protesty licznych towarzyszy, oświadczenie z oburzeniem: „Oto do jakich się uciekają sposobów!” Według Was więc, do niegodnych sposobów uciekają się nie ci, którzy deportują towarzyszy walk Lenina i skazują ich na choroby, lecz ci, którzy przeciwko temu protestują. Na jakiej zasadzie i jakim prawem komunikujecie partji, warstwom pracującym, całemu światu, że wiadomości o chorobie L. D. są kłamliwe? Przecież w ten sposób oszukujecie partję? W archiwum C. K. znajdują się opinie najwybitniejszych lekarzy o stanie zdrowia L. D. Konsylja tych lekarzy zbierały się nieraz z inicjatywy Włodzimierza Iljicza, odnoszącego się do zdrowia L. D. z największą troskliwością. Konsylja te, zwoływane również i po śmierci W. I., orzekły, że L. D. cierpi na colitis i, wywołaną z tą przemianą materji, podagrę. Być może, wiadomo Wam, że w maju 1926 roku L. D. poddał się w Berlinie operacji, aby pozbyć się dręczącej go w ciągu kilku lat podwyższonej temperatury, ale bezskutecznie. Colitis i podagra nie należą do chorób, które wyleczyć można, zwłaszcza w Alma-Ata. Choroby te czynią postępy z biegiem lat. Podtrzymywać zdrowie na pewnym poziomie można tylko przy regularnym trybie życia i regularnem leczeniu. Ani o jednym, ani o drugim nie może być mowy w Alma-Ata. Jaki régime i jakie leczenie są nieodzowne, możecie dowiedzieć się od ludowego komisarza zdrowia Siemaszki, który niejednokrotnie brał udział w konsyliach, zwoływanych z polecenia Włodzimierza Iljicza. Tutaj zaś L. D. padł ponadto ofiarą malarji, która, ze swej strony, oddziałuje i na colitis i na podagrę, wywołując okresami silne bóle głowy. Zdarzają się tygodnie i miesiące pomyślniejszego stanu zdrowia, po których następują tygodnie i miesiące ciężkich niedomagań. Taki jest rzeczywisty stan rzeczy. Skazaliście L. D. w myśl artykułu 58 jako „kontrewolucjonistę”. Gdybyście oświadczyli, że zdrowie L. D. Was nie interesuje, byłoby to zrozumiałe. W tym wypadku postępowanie Wasze odznaczałoby się tylko konsekwencją – tą gamą konsekwencją, która, o ile się jej nie zapobiegnie, doprowadzi nie tylko najlepszych rewolucjonistów, ale może doprowadzić i partję i rewolucję do grobu. Ale tutaj, widocznie pod

naciskiem powszechnej opinii robotników, nie staje wam odwagi na to, by być konsekwentnym. Zamiast powiedzieć, że choroba Trockiego jest Wam na rękę, albowiem może przeszkodzić mu myśleć i pisać, poproście przeczyć jej istnieniu. Podobnie postępują podczas swych wystąpień Kalinin, Mołotow i inni. Fakt, że *zmuszeni* jesteście dać na to pytanie odpowiedź masom i tak niegodnie się wykręcać, dowodzi, że klasa robotnicza nie wierzy politycznym oszczerstwom, rzucanym na Trockiego. Nie uwierzy również i Waszemu kłamstwu o stanie jego zdrowia.

N. I. Siedowa-Trocka”

ROZDZIAŁ XLIV

WYGNANIE

Od października w naszej sytuacji nastąpiła gwałtowna zmiana. Stosunki nasze ze współludźmi, przyjaciółmi, nawet krewnymi w Moskwie od razu się przerwały, listy i depesze zupełnie przestały dochodzić. Na moskiewskim telegrafie, jakieśmy dowiedzieli się innymi drogami, gromadziło się wiele setek adresowanych do mnie depesz, zwłaszcza w dniu rocznicy przewrotu październikowego. Pierścień, otaczający nas, zaciskał się coraz mocniej.

W ciągu roku 1928 opozycja, mimo nieokiełznanej naganki, wyraźnie wzrastała, zwłaszcza w wielkich przedsiębiorstwach przemysłowych. Doprowadziło to do zdwojenia represyj, w szczególności zaś do przerywania korespondencji zesłanych, nawet między sobą. Spodziewaliśmy się, że nastąpią za tem dalsze kroki tego rodzaju, i nie omyliłmy się.

16-go grudnia przybyły z Moskwy specjalny pełnomocnik G. P. U., zakomunikował mi w imieniu tej instytucji ultimatum: mam zaprzestać kierowania walką opozycji, o ile chcę uniknąć takich następstw, które doprowadzą do „izolowania mnie od życia politycznego”. Sprawa wydalenia zagranicę nie była przytem poruszana – o ile rozumiałem, szło o zastosowanie represyj w kraju. Odpowiedziałem na to „ultimatum” listem, adresowanym do C. K., partji i prezydium Międzynarodówki Komunistycznej. Uważam za potrzebne przytoczyć tu zasadniczą część tego listu:

„Dzisiaj, 16-go grudnia, pełnomocnik kolegium G. P. U., Wołynskij, zakomunikował mi ustnie w imieniu owego kolegium, poniższe ultimatum:

„Praca waszych zwolenników w kraju, – oświadczył mi tak prawie dsłownie, – przybrała w ostatnich czasach otwarcie kontrrewolucyjny charakter. Warunki, w jakich znajdujecie się w Alma-Ata, dają wam najzupełniejszą możliwość kierowania tą pracą. Ze względu na to, kolegium G. P. U. postanowiło zażądać od was kategorycznego zobowiązania się do zaprzestania waszej działalności, – w przeciwnym bowiem razie, kolegium zostanie zmuszone do zmiany warunków waszego bytu, w sensie zupełnego izolowania was od życia politycznego, w związku z czem powstanie również kwestja zmiany miejsca waszego pobytu”.

„Oświadczyłem pełnomocnikowi G. P. U., że mogę dać tylko pisemną odpowiedź i to w razie otrzymania odeń sformułowanego na piśmie ultimatum G. P. U. Odmowa udzielenia ustnej odpowiedzi wywołana była przekonaniem, opartem na doświadczeniu całej przeszłości, że słowa moje zostaną znów złośliwie przekręcone, celem wprowadzenia w błąd mas robotniczych S. S. S. R i całego świata.

„Niezależnie, jednak, od tego, jak postąpi w przyszłości kolegium G. P. U., nie grające w tej sprawie samodzielnej roli, lecz wykonywujące jedynie technicznie stare i oddawna mi znane postanowienie ściślejszej frakcji stalinowskiej, uważam za konieczne podać do wiadomości Centralnego Komitetu Wszechzwiązkowej Partji Komunistycznej i Komitetu

Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, co następuje:

„Zakomunikowane mi żądanie wyrzeczenia się działalności politycznej oznacza żądanie wyrzeczenia się walki o sprawę międzynarodowego proletariatu, którą bez przerwy prowadzę trzydzieści dwa lata, t. j. w ciągu mego całego świadomego życia. Usiłowanie przedstawienia tej działalności, jako kontrrewolucyjnej, pochodzi od tych, których oskarżam przed obliczem międzynarodowego proletariatu o zdeptanie zasad nauki Marksa i Lenina, o szkodzenie sprawie rewolucji światowej, o zerwanie z tradycjami i zapowiedziami Października, o nieświadome, lecz tem groźniejsze, przygotowywanie Termidora.

Wyrzeczenie się działalności politycznej znaczyłoby zaprzestanie walki ze ślepotą dzisiejszego kierownictwa Wszechzwiązkowej Partji Komunistycznej, które obiektywne trudności budowy socjalistycznej komplikuje coraz bardziej trudnościami politycznymi, zrodzonymi z oportunistycznej nieudolności do prowadzenia polityki proletariackiej na wielką historyczną skalę;

znaczyłoby wyrzeczenie się walki z dławiącym régime'em partyjnym, który odzwierciadla wzrastający ucisk wrogich klas, wywierany na proletariacką awangardę;

znaczyłoby bierne godzenie się z gospodarczą polityką oportunistów, która, podkopując i osłabiając fundamenty dyktatury proletariatu, powstrzymuje jego materialny i kulturalny rozrost, jednocześnie zaś zadaje bezlitosne ciosy związkowi robotników i pracujących włościan, tej podstawie władzy sowieckiej.

„Leninowska frakcja partji ponosi cios za ciosem od 23 roku, t. j. od bezprzykładnej klęski rewolucji niemieckiej. Siła tych ciosów wzrasta równolegle z późniejszymi klęskami międzynarodowego i sowieckiego proletariatu, wywoływanymi przez oportunistyczne kierownictwo.

Rozumowania teoretyczne i doświadczenie polityczne świadczą, że okres historycznego upadku, cofania się, t. j. reakcji, nastąpić może nie tylko po rewolucji burżuazyjnej, ale również i po proletariackiej. Od sześciu lat żyjemy w S. S. S. R w warunkach wzrastającej reakcji przeciw Październikowi i tem samem – torowania dróg dla termidora. Najoczywistszym i najzupełniejszym wykładnikiem tej reakcji w łonie partji jest dzika naganka i organizacyjne rozbicie lewego skrzydła.

W swych ostatnich usiłowaniach odparcia jawnych termidorzystów, stalinowska frakcja żyje okruciami i odpadkami idej opozycji. Twórczo jest ona bezsilna. Walka przeciw lewicy pozbawia ją wszelkiej równowagi. Jej praktyczna polityka pozbawiona jest punktu oparcia, jest fałszywa, sprzeczna, niepewna. Tak głośna kampanja przeciwko niebezpieczeństwu z prawej strony jest w trzech czwartych robotą na pokaz i służy przedewszystkiem do ukrycia przed masami całkowicie zgubnej wojny przeciwko oolszewikom-leninowcom. Burżuazja światowa i światowy mieńszewizm w jednaki sposób oświetlają tę wojnę: sędziowie ci dawno przyznali Stalinowi „historyczną słusność”.

Gdyby nie ta ślepa, tchórzliwa i bezpłodna polityk przystosowywania się do biurokracji i mieszczaństwa, sytuacja mas pracujących w dwunastym roku dyktatury byłaby bezporównania pomyślniejsza, obrona wojskowa byłaby nieskończenie mocniejsza i pewniejsza. Międzynarodówka Komunistyczna stałaby na całkiem innym poziomie i nie cofałaby się krok za krokiem przed zdradziecką i sprzedajną socjal-demokracją.

Nieuleczalna słabość reakcyjnego aparatu przy jego zewnętrznej potędze

polega na tem, że nie wie sam, co tworzy. Spełnia jedynie nakazy wrogich klas. Jest to największe historyczne przekleństwo, jakie może ciążyć nad frakcją, powstałą z rewolucji i podrywającą ją.

Olbrzymia siła historyczna opozycji przy jej zewnętrznej słabości polega w obecnej chwili na tem, że trzyma ona rękę na pulsie światowego procesu historycznego, wyraźnie widzi dynamikę sił klasowych, przewiduje dzień jutrzejszy i świadomie go przygotowuje. Wyrzeczenie się działalności politycznej oznaczałoby wyrzeczenie się przygotowań dnia jutrzejszego.

Groźba zmiany warunków mego bytu i izolowania mnie od działalności politycznej brzmi tak, jakbym teraz nie był zesłany do miejscowości, położonej o 4000 kilometrów od Moskwy, o 250 kilometrów od kolei i w takiej samej mniej-więcej odległości od granic pustynnych zachodnich prowincyj Chin, do miejscowości, gdzie najzłośliwsza malarja dzieli władzę z trądem i dżumą. Jakgdyby frakcja Stalina, której bezpośrednim organem jest G. P. U., nie uczyniła wszystkiego, co tylko może, dla izolowania mnie nie tylko od politycznego, ale i wszelkiego innego życia. Moskiewskie gazety dochodzą tu po upływie dziesięciu dni do miesiąca i później jeszcze. Listy otrzymuję w drodze rzadkiego wyjątku po upływie miesięcznego, czy nawet dwu i trzymiesięcznego przetrzymywania ich w skrzynkach G. P. U. i sekretarjatu C. K.

Dwaj najbliżsi moi współpracownicy z okresu wojny domowej, towarzysze Sermuks i Poznański, którzy dobrowolnie postanowili towarzyszyć mi na zesłanie, byli natychmiast po przyjeździe aresztowani, zamknięci w lochu razem z kryminalistami, poczem zesłani do odległych zakątków północy. List mej beznadziejnie chorej córki, którą usunęliście z partji i pozbawili pracy, szedł do mnie z moskiewskiej lecznicy 73 dni, tak, że odpowiedź moja nie zastała jej już przy życiu. List o ciężkich niedomaganiach drugiej córki, także usuniętej przez was z partji i pozbawionej pracy, otrzymałem miesiąc temu z Moskwy na 43 dzień od wysłania. Telegraficzne zapytania o zdrowie przeważnie nie dochodzą adresata. W takiej i gorszej jeszcze sytuacji znajdują się tysiące nieposzlakowanych bolszewików-leninowców, zasługi których wobec rewolucji Październikowej i międzynarodowego proletariatu nieskończenie przewyższają zasługi tych, którzy zamknęli ich lub zesłali.

Przygotowując nowe, coraz cięższe represje przeciwko opozycji, stalinowska frakcja miernot, tego Stalina, którego Lenin w „Testamencie” swym nazywał „brutalnym i nielojalnym”, wtedy, kiedy te jego cechy nie ujawniły się nawet w setnej części, ustawicznie usiłuje za pośrednictwem G. P. U. insynuować opozycji jakiś „związek” z wrogami dyktatury proletariatu. W ścisłym kółku dzisiejsi kierownicy mówią: – To potrzebne jest masom”. – Czasami zaś jeszcze cynicznej: – „To – dla głupców”. – Najbliższego mego współpracownika Georgja Wasiljewicza Butowa, zarządzającego sekretarjatem Rewolucyjnej Rady Wojskowej Republiki podczas całej wojny domowej, aresztowano i trzymano w niesłychanych warunkach, żądając od tego czystego i skromnego człowieka i nieskazitelnego członka partji potwierdzenia świadomie fałszywych, podrobionych, oszukańczych oskarżeń w duchu termidoryjskich amalgamatów. Butow odpowiedział bohaterką głodówką, trwającą około 50 dni, która doprowadziła go we wrześniu roku bieżącego do śmierci w więzieniu. Gwałty, bicie, tortury fizyczne i moralne stosuje się do najlepszych robotników-bolszewików za ich wierność hasłom Października. Takie są te ogólne warunki, które – według

słów kolegum G. P. U. – „nie przeszkadzają” dziś politycznej działalności opozycji, mojej zaś w szczególności.

Nędzna groźba zmiany dla mnie tych warunków w sensie dalszej izolacji nie oznacza nic innego, tylko decyzję frakcji Stalina zastąpienia zesłania przez więzienie. Decyzja ta, jak wyżej wspomniałem, nie jest dla mnie nowością. Zaznaczona w perspektywie już w 1924 roku, stopniowo zostaje wprowadzana w życie, poprzez cały szereg gradacyj, aby cichaczem przyzwyczaić zdławioną i oszukaną partję do stalinowskich metod, w których brutalna niełojalność dojrzała dziś do zatrutej biurokratycznej nieuczciwości.

W oświadczeniu, złożonym na VI kongresie, jakgdyby przewidując przedłożone mi dziś ultimatum, pisaliśmy dosłownie: – „Żądać od rewolucjonistów takiego wyrzeczenia się (działalności politycznej, t. j. służenia partji i rewolucji międzynarodowej) mógłby tylko ostatecznie skorumpowany biurokratyzm. Dawać tego rodzaju zobowiązania mogliby tylko pogardy godni renegaci”.

Nie mogę nic zmienić w tych słowach.

Każdemu, co jego. Wy chcecie w dalszym ciągu wprowadzać to, co wam inspirują wrogie proletarjatowi siły klasowe. My znamy nasz obowiązek. Spełnimy go do końca.

L. Trocki, 16 grudnia 1928 r., Alma-Ata”

Po tej odpowiedzi upłynął miesiąc bez zmian. Stosunki nasze ze światem zewnętrznym były całkowicie zerwane, między innymi również nielegalne stosunki z Moskwą. W ciągu stycznia otrzymywaliśmy tylko moskiewskie gazety. Im więcej pisały one o walce z prawicą, tem pewniej spodziewaliśmy się uderzenia przeciwko lewicy. Jest to metoda stalinowskiej polityki.

Moskiewski delegat G. P. U. Wołynskij pozostawał przez cały czas w Alma-Ata, oczekując instrukcyj. 20-go stycznia zjawił się u mnie w towarzystwie licznych uzbrojonych agentów G. P. U., którzy obstawili wszystkie wejścia i wyjścia, i przedstawił mi następujący wyciąg z protokołu G. P. U. z dnia 18 stycznia 1929 r.: „*Rozpatrzono*: Sprawę obywatela Trockiego, Lwa Dawidowicza, oskarżonego z art. 58/10 kodeksu karnego, o działalność kontrewolucyjną, ujawniającą się przez zorganizowanie nielegalnej antysowieckiej partji, której działalność w ostatnich czasach zmierzała do prowokowania wystąpień anty-sowieckich i przygotowania walki orężnej przeciw władzy sowieckiej. *Postanowiono*: Obywatela Trockiego, Lwa Dawidowicza, – wydalić z granic S. S. S. R.”.

Kiedy zażądano ode mnie pokwitowania, stwierdzającego, że zapoznałem się z treścią tego postanowienia, napisałem:

„Przestępne, co do istoty, i bezprawnego pod względem formy postanowienie G. P. U. zakomunikowano mi 20-go stycznia 1929 roku. Trocki”

Nazwałem decyzję tę przestępną, dlatego, że świadomie kłamliwie mówi o przygotowywaniu przeze mnie walki zbrojnej przeciw władzy sowieckiej. Formuła ta, potrzebna Stalinowi do usprawiedliwienia zesłania, sama przez się stanowi złośliwy podkop pod władzę sowiecką. Gdyby prawdą było, że opozycja, kierowana przez organizatorów rewolucji październikowej, budowniczych sowieckiej republiki i czerwonej armji, przygotowuje orężne obalenie władzy sowieckiej, oznaczałoby to samo przez się katastrofalną sytuację w kraju. Na szczęście formuła G. P. U. stanowi bezczelne zmyślenie.

Polityka opozycji nie ma nic wspólnego z przygotowywaniem walki zbrojnej. Opieramy się całkowicie na przeświadczeniu o głębokiej żywotności i elastyczności sowieckiego régime'u. Nasza droga jest drogą reformy wewnętrznej.

Na żądanie wyjawienia, jak i dokąd zamierzają mnie wydalić, otrzymałem odpowiedź, że zakomunikuje mi to w granicach Rosji europejskiej przedstawiciel G. P. U., który wyjedzie mi na spotkanie. W ciągu następnego dnia wrzała gorączkowa praca nad pakowaniem rzeczy, wyłącznie prawie rękopisów i książek. Zaznaczę mimochodem, że agenci G. P. U. nie zdradzali nawet cienia wrogości w stosunku do mnie. Wprost przeciwnie. 22-go o świcie wsiedliśmy z żoną, synem i konwojem do autobusu, który po gładko ubitej, zasypanej śniegiem drodze dowiózł nas do przełęczy górskiej Kurdaj. Na przełęczy były zasypane śniegiem i dał silny wiatr. Potężny traktor, który miał przeholować nas przez Kurdaj, ugrzązł w zaspach wraz z siedmioma samochodami, które ciągnął za sobą. Podczas zamieci śnieżnych na przełęczy zmarzło na śmierć siedmiu ludzi i wielka liczba koni. Trzeba było przesiąść się na sanie. Zużyliśmy przeszło siedem godzin, aby pozostawić za sobą 30 kilometrów. Wdłuż zasypanej śniegiem drogi porzuconych było wiele sani o podniesionych dyszlach, wiele ładunków dla budującej się turkiestańsko-syberyjskiej drogi, wiele rezerwoarów z naftą, zasypanych śniegiem. Ludzie i konie ukryli się przed śnieżnymi zawieruchami w pobliskich kirgiskich osiedlach zimowych. Za przełęczą wsiedliśmy znów do samochodu, a w Piszpeku – do wagonu kolejowego. Otrzymywane po drodze moskiewskie gazety świadczą o przygotowywaniu umysłów do wydalenia przywódcy opozycji zagranicę. W okręgu Aktjubinska otrzymujemy przewodem bezpośrednim zawiadomienie, że miejscem deportacji jest Konstantynopol. Żądam widzenia się z dwiema osobami z mej rodziny: mým drugim synem i synową, przebywającymi w Moskwie. Przywożą ich na stację Riazsk, gdzie podlegają temu samemu co my régime'owi. Nowy przedstawiciel G. P. U. Bułanow przekonywa mnie o dodatkich stronach pobytu w Konstantynopolu. Kategoriecznie zrzekam się ich. Bułanow pertraktuje przewodem bezpośrednim z Moskwą. Przewidziano tam wszystko, prócz przeszkód, wynikłych z mej odmowy dobrowolnego wyjazdu zagranicę. Pociąg, sprowadzony ze swej drogi, ospale posuwa się naprzód, poczem zatrzymuje się na ślepej bocznicy obok małego opuszczonego przystanku i zamiera tam wśród dwóch smug zagajnika. Tak mija dzień za dniem. Liczba puszek od konserw wokół naszego pociągu wzrasta. Wrony i sroki zbierają się coraz większemi gromadami w poszukiwaniu żywności. Dziko, głucho. Zajęcy tu niema: jesienią wybiła je groźna epidemia. Lis zato pozostawił swe ostrożne ślady aż do samego pociągu. Lokomotywa i jeden wagon codziennie jeżdżą do dużej stacji po obiad i gazety. W wagonie naszym panuje grypa. Odczytujemy raz po raz Anatola France'a i kurs historii Rosji Klinczewskiego. Po raz pierwszy zapoznaje się z Istratim. Mróz dochodzi do 38° Reaumur'a, lokomotywa nasza jeździ po szynach, żeby nie przymarznąć. W eterze nawołują się radjostacje, dopytując się, gdzie jesteście. Nie słyszymy tych pytań, gramy w szachy. Ale gdybyśmy je nawet usłyszeli, to i tak nie potrafilibyśmy na nie odpowiedzieć: przywiezieni tu nocą, nie wiemy sami, gdzie jesteście.

Tak przechodzi 12 dni i dwanaście nocy. Tutaj dowiedzieliśmy się z gazet o nowem aresztowaniu kilkuset osób, w ich liczbie 150 osób tak zwanego „trockistowskiego centrum”. Ogłoszone są nazwiska Kawtaradze, byłego

przewodniczącego rady komisarzy ludowych Gruzji, Mdiwaniego, byłego przedstawiciela handlowego S. S. S. R w Paryżu, Woronskiego, najlepszego z naszych krytyków literackich, i innych. Wszyscy zaś – byli to rdzenni działacze partji, organizatorzy przewrotu październikowego.

8-go lutego Bułanow oświadcza: mimo nalegań ze strony Moskwy, rząd niemiecki kategorycznie odmówił wpuszczenia was do Niemiec: dano mi ostateczny rozkaz, zawiezienia was do Konstantynopola. – Ale ja dobrowolnie nie pojedę i oświadczę to na tureckiej granicy. – To nic nie pomoże, mimo wszystko będziecie wywiezieni do Turcji. – To znaczy, że jesteście w porozumieniu z policją turecką co do przymusowego osiedlenia mnie w Turcji? – Wymijający gest: jesteście tylko wykonawcami.

Po dwunastu dobach postoju, lokomotywa rusza. Nasz mały pociąg powiększa się, w miarę zwiększania się konwoju. Podczas całej drogi, począwszy od Piszpeku, nie mieliśmy możliwości opuszczenia wagonu. Jedziemy teraz całą parą na południe. Zatrzymujemy się tylko na małych stacjach, aby nabrać wody i paliwa. Te krańcowe środki ostrożności wywołane są wspomnieniami moskiewskiej demonstracji, która odbyła się z racji mej wysyłki w styczniu 1928 r. Po drodze gazety przynoszą nam echa nowej wielkiej kampanji przeciw trockistom: Między wierszami majaczy walka wśród warstw kierowniczych w związku z mem wydaleniem. Stalinowska frakcja śpieszy się. Ma dosyć powodów ku temu. Musi przewycięzać nie tylko polityczne, ale i fizyczne przeszkody. Do wyjazdu z Odesy przeznaczono parowiec „Kalinin”. Ale uwiązł w lodach. Wszystkie wysiłki łamaczy lodów okazały się jałowe. Moskwa stała przy telegrafie i poganiała. Terminowo postawiono pod parą statek „Iljicz”. Do Odesy pociąg nasz przybył 10-go w nocy. Patrzałem przez okno na znane mi miejsca: w mieście tem spędziłem siedem lat mego szkolnego życia. Wagon nasz podstawiono do samego parowca. Był trzaskający mróz. Mimo głębokiej nocy, przystań otaczali agenci i wojska G. P. U. Tutaj trzeba się było pożegnać z młodszym synem i synową, dzielącymi nasze więzienie w ciągu dwóch ostatnich tygodni. Patrzyliśmy z okna wagonu na przeznaczony dla nas parowiec i przypominaliśmy sobie inny parowiec, który również odwoził nas nie według przeznaczenia. Było to w marcu 1917 roku, pod Halifaksem, kiedy brytyjscy marynarze wojskowi w oczach licznych pasażerów znieśli mnie na rękach z norweskiego parowca „Chrystjanjafiord”. Nasze kółko rodzinne składało się wówczas z tych samych osób, tylko wszyscy byliśmy młodszy o 12 lat.

„Iljicz” bez ładunku i bez pasażerów wypłynął z portu około 1-iej w nocy. Na przestrzeni 60 mil torował nam drogę łamacz lodów. Szalejąca tu burza zlekka tylko dotknęła nas swem skrzydłem. 12-go lutego wpłynęliśmy na wody Bosforu. Tureckiemu oficerowi policji, który w Bijuk-Derze wszedł na pokład celem skontrolowania pasażerów, – oprócz mojej rodziny i agentów G. P. U. na parowcu nie było innych pasażerów, – wręczyłem do przesłania prezydentowi tureckiej republiki, Kemalowi-Paszy, następujące oświadczenie:

„Szanowny Panie. U wrót Konstantynopola mam zaszczyt zakomunikować Panu, że na turecką granicę przybyłem wcale nie z własnej woli i że przekroczyć tę granicę mogę jedynie, poddając się przemocy.

Zechce Pan, Panie Prezydencie, przyjąć wyrazy odpowiadających temu uczuć. L. Trocki, dnia 12 lutego 1929 r.”

Oświadczenie to nie miało żadnych następstw. Parowiec udał się w dalszą drogę. Po 22-dwu dniowej podróży, przebywszy przestrzeń 6.000 kilometrów,

znaleźliśmy się w Konstantynopolu.

ROZDZIAŁ XLV

PLANETA BEZ WIZY

Jesteśmy w Konstantynopolu, narazie w budynku konsulatu, później – w prywatnym mieszkaniu. Oto kilka wierszy z notatek żony, dotyczących tego pierwszego okresu: „Nie warto, bodajże, zatrzymywać się na drobnych zdarzeniach, związanych z naszym osiedleniem się w Konstantynopolu: drobnych oszustwach i drobnych gwałtach. Przytoczę jeden tylko epizod. Jeszcze w pociągu, w drodze do Odesy, kiedy pełnomocnik G. P. U., Bułanow, rozwodził się nad wszelkiego rodzaju projektami (najzupełniej bezużytecznymi) na temat zapewnienia nam bezpieczeństwa zagranicą, L. D. przerwał mu: – Dajcie mi moich współpracowników, Sermuksa i Poznańskiego – to jedyny, choć trochę skuteczny, środek, – Bułanow zakomunikował natychmiast te słowa Moskwie. Na jednej z następnych stacyj triumfalnie przyniósł odpowiedź, otrzymaną bezpośrednim przewodem: G. P. U., t. j. biuro polityczne, wyraża swą zgodę. L. D. powiedział mu ze śmiechem: – I tak mnie oszukacie. – Bułanow, szczerze widocznie dotknięty, zawołał: – Wówczas nazwiecie mnie łotrem! – Pocóż mam was obrażać, – odpowiedział L. D. – przecież nie wy mnie oszukacie, tylko Stalin. – Po przyjeździe do Konstantynopola, L. D. spytał o Sermuksa i Poznańskiego. Przedstawiciel konsulatu, po kilku dniach przyniósł telegraficzną odpowiedź Moskwy: nie zostaną wypuszczeni z kraju. W podobny sposób załatwiano wszystko”.

Natychmiast po przyjeździe do Konstantynopola, runęła na nas, przez gazety, olbrzymia lawina pogłosek, przypuszczeń i plotek o naszym losie. Prasa nie uznaje luk w twych informacjach i nie krępuje się w pracy. Aby weszło jedno ziarno, przyroda rzuca na wiatr mnóstwo ziaren. Podobnie też postępuje prasa. Podchwytuje i roznosi pogłoski, mnożąc je bez końca. Setki i tysiące komunikatów zamierają, zanim umocni się wiarogodna wersja. Czasami zdarza się to dopiero po szeregu lat. Ale i tak się zdarza, że dla prawdy wogóle nie nadchodzi czas.

Co zwłaszcza uderza w tych wszystkich wypadkach, kiedy opinia publiczna jest czemś gorąco zainteresowana, to kłamliwość ludzka. Mówię o tem bez jakiegokolwiek bądź moralnego oburzenia, raczej jak badacz natury, stwierdzający pewien fakt. Potrzeba kłamstwa, zarówno jak i przyzwyczajenie doń, odzwierciadla przeciwieństwa naszego życia. Rzecby można, że gazety mówią prawdę raczej w drodze wyjątku. Niebardzo tem różnią się od poszczególnych jednostek. Są tylko ich megafonem.

Zola pisał o francuskiej prasie finansowej, że dzieli się na dwie grupy: sprzedają i tak zwaną „nieprzekupną”, t. j. taką, która sprzedaje się w wyjątkowych wypadkach i za bardzo wysoką cenę. Coś podobnego można powiedzieć o kłamliwości gazet wogóle. Żółta, brukowa prasa kłamie stale, nie zastanawiając się i nie oglądając. Gazety, jak „Times” albo „Temps”, mówią prawdę we wszystkich obojętnych i błahych okolicznościach, po to, aby móc w

razie potrzeby oszukać opinię publiczną z całym koniecznym autorytetem.

„Times” drukował w następstwie komunikaty o tem, że wyjechałem do Konstantynopola w porozumieniu ze Stalinem, aby przygotowywać na miejscu zbrojne opanowanie krajów Bliskiego Wschodu. Sześćioletnią walkę między mną i epigonami traktowano, jak zwyczajną komedję z zawczasu podzielonemi rolami. – Któż temu uwierzy? – spyta może jakiś optymista, – i omyli się. Wielu uwierzy. Być może, że Churchill nie uwierzy swojej gazecie. Clynes jednakże uwierzy na pewno, przynajmniej do połowy. Na tem właśnie polega mechanika kapitalistycznej demokracji, a raczej, to jest jedna z jej najistotniejszych sprężyn. Zaznaczani to jednak tylko mimochodem. O Clynes’ie powiem później.

Wkrótce po przybyciu do Konstantynopola przeczytałem w jednym z pism berlińskich mowę prezydenta Reichstagu, wygłoszoną przez niego z okazji dziesięciolecia weimarskiego zgromadzenia narodowego. Mowa kończyła się następującymi słowami: „Vielleicht kommen wir sogar dazu, Herrn Trotsky das freiheitliche Asyl zu geben (Lebh. Beifall bei der Mehrheit)”. Słowa p. Löbego były dla mnie czemś zupełnie nieoczekiwanem, ponieważ wszystko, co zaszło, pozwalało wnioskować, że rząd niemiecki rozstrzygnął kwestję mego wjazdu do Niemiec negatywnie. W każdym bądź razie tak twierdzili kategorycznie agenci rządu sowieckiego. 15 lutego przywołałem przedstawiciela G. P. U., towarzyszącego mi do Konstantynopola, i powiedziałem mu: – Zmuszony jestem do wnioskowania, że zostałem mylnie poinformowany. Mowa Löbego została wygłoszona 6 lutego. Z Odesy wyjechalśmy z wami do Turcji dopiero 10 lutego w nocy, a co za tem idzie, mowa Löbego była już wtedy znana w Moskwie. Polecam wam natychmiast zadeszować do Moskwy i zaproponować im, aby na podstawie mowy Löbego *naprawdę* zwrócili się do Berlina z prośbą o wizę dla mnie. Będzie to najmniej kompromitująca droga zlikwidowania tej intrygi, którą Stalin najwidoczniej osnuł wokół sprawy mego wjazdu do Niemiec. – Po upływie dwóch dni pełnomocnik G. P. U. przyniósł mi następującą odpowiedź: – Na moją depeszę do Moskwy otrzymałem tylko potwierdzenie wiadomości, że rząd niemiecki kategorycznie odmówił wizy jeszcze na początku lutego. Ponowne wystąpienie nie ma żadnego celu. Mowa Löbego ma nieobowiązujący charakter. Jeśli chcecie sprawdzić, zwróćcie się sami z prośbą o wizę.

Nie mogłem uwierzyć tym wywodom. Sądziłem, że prezydent Reichstagu powinien lepiej znać zamiary swej partji i swego rządu, niż agenci G. P. U. Tego samego dnia zadeszowałem do Löbego że, na zasadzie jego słów, zwróciłem się do konsulatu niemieckiego z prośbą o wizę. Demokratyczna i socjal-demokratyczna prasa nie bez złośliwości podkreślała okoliczność, że zwolennik dyktatury rewolucyjnej zmuszony jest szukać schronienia w demokratycznym państwie. Niektórzy wyrażali nawet nadzieję, że ta lekcja nauczy mnie wyżej cenić instytucje demokracji. Pozostawało mi tylko oczekiwać, jak w istocie będzie wyglądała owa lekcja.

Demokratyczne prawo azylu nie polega, naturalnie, na tem, że rząd okazuje gościnność wyznawcom tych samych co on poglądów, – czynił tak również i sułtan Abdul-Hamid. Również i nie na tem, że demokracja wpuszcza wygnańców jedynie za zgodą tego rządu, który ich wygnał. Prawo azylu (na papierze) polega na tem, że rząd daje schronienie również swym przeciwnikom pod warunkiem przestrzegania praw krajowych. Naturalnie, mogłem

przyjechać do Niemiec tylko jako nieubłagany przeciwnik socjal-demokratycznego rządu. Konstantynopolskiemu przedstawicielowi niemieckiej socjal-demokratycznej prasy, który zjawił się u mnie po wywiad, udzieliłem koniecznych wyjaśnień, które przytaczam tu w takiej postaci, w jakiej zanotowałem je natychmiast po rozmowie.

„Ponieważ zabiegam teraz o wpuszczenie mnie do Niemiec, gdzie większość rządu składa się z socjal-demokratów, przedewszystkiem winienem wyraźnie określić mój stosunek do socjal-demokracji. W tej dziedzinie nic nie uległo zmianie. Mój stosunek do socjal-demokracji pozostał taki sam, jak dawniej. Więcej nawet, walka moja z centralistyczną frakcją Stalina jest jedynie odzwierciedleniem ogólnej walki z socjal-demokracją. Niejasności czy niedomówienia niepotrzebne są ani wam, ani mnie.

Niektóre socjal-demokratyczne wydawnictwa usiłują wynaleźć sprzeczność między moim zasadniczym stanowiskiem w sprawie demokracji i moimi zabiegami o wpuszczenie mnie do Niemiec. Niema tu żadnej sprzeczności. My wcale nie „negujemy” demokracji, jak „negują” ją anarchiści (w słowach). Burżuazyjna demokracja stoi pod wieloma względami wyżej od poprzedzających ją form państwowych. Nie jest jednakże wieczna. Musi ustąpić miejsca socjalistycznemu społeczeństwu. Mostem do socjalistycznego społeczeństwa jest dyktatura proletariatu.

We wszystkich państwach kapitalistycznych komuniści biorą udział w walce parlamentarnej. Wykorzystanie prawa azylu niczem nie różni się od wykorzystania prawa wyborczego, wolności prasy, zebrań i t. p.”

O ile wiem, wywiad ten nie został opublikowany. Nic dziwnego. W socjal-demokratycznej prasie rozlegały się w owych czasach głosy o konieczności udzielenia mi prawa azylu. Jeden z socjal-demokratycznych adwokatów, dr. K. Rosenteid, z własnej inicjatywy podjął starania o zapewnienie mi prawa wjazdu do Niemiec. Jednakże, od razu natknął się na opór, ponieważ po upływie kilku dni otrzymałem od niego telegraficzne zapytanie, jakim ograniczeniom zgodziłbym się ewentualnie poddać podczas mego pobytu w Niemczech. Odpowiedziałem na to:

„Zamierzam żyć w najzupełniejszej izolacji, poza Berlinem, w żadnym wypadku nie występować na publicznych zebraniach, ograniczać się do działalności literackiej w ramach praw niemieckich”.

W ten sposób, chodziło już nie o *demokratyczne* prawo azylu, lecz o prawo pobytu w Niemczech na warunkach *wyjątkowych*. Treść lekcji demokracji, którą zamierzali mi udzielić przeciwnicy, odrazu się skurczyła. Sprawa jednak na tem się nie skończyła. Po upływie kilku dni otrzymałem telegraficzne zapytanie: czy nie zgodziłbym się przyjechać do Niemiec wyłącznie w celach leczniczych? Zadepeszowałem w odpowiedzi: „Proszę przynajmniej dać mi możliwość przeprowadzenia w Niemczech absolutnie niezbędnej dla mnie kuracji”. W ten sposób *prawo azylu* w tym etapie zwęziło się do *prawa do leczenia*. Wymieniłem szereg znanych niemieckich lekarzy, którzy leczyli mnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat, których pomoc była teraz dla mnie konieczniejsza, niż kiedykolwiek.

W okresie świąt Wielkanocnych, do prasy niemieckiej przeniknął nowy komunikat: w kołach rządowych panuje mniemanie, że Trocki nie jest jednak tak bardzo chory, aby bezwarunkowo wymagał pomocy lekarskiej lekarzy niemieckich i niemieckich uzdrowisk. 31-go marca depeszowałem do doktora Rosenfelda:

„Zgodnie z wiadomościami prasowymi jestem niedość beznadziejnie chory, aby otrzymać możliwość wjazdu do Niemiec. Pytam: czy Löbe proponował mi *prawo azylu*, czy *prawo cmentarza*? Gotów jestem poddać się dowolnym badaniom dowolnej komisji lekarskiej. Obowiązuję się po odbyciu kuracji wyjechać z Niemiec”.

W ten sposób, w ciągu kilku tygodni demokratyczna zasada poddana została trzykrotnej redukcji. Prawo azylu przekształciło się początkowo w prawo pobytu na warunkach wyjątkowych, potem – w prawo do leczenia, wreszcie – w prawo do cmentarza. Znaczyło to jednakże, że ocenić walory demokracji w całej rozciągłości mógłbym jedynie w charakterze nieboszczyka.

Odpowiedzi na moją depeszę nie otrzymałem. Przeczekawszy kilka dni, znów depeszowałem do Berlina: – „Uważam brak odpowiedzi za nieoljalną formę odmowy”.

Dopiero po tej depeszy otrzymałem 12-go kwietnia t. j. po upływie dwóch miesięcy, zawiadomienie, że rząd niemiecki odmówił mojej prośbie o prawo wjazdu. Nie pozostawało mi nic innego poza depeszowaniem do prezydenta Reichstagu Löbego: – „Żałuję, że nie dano mi możliwości praktycznego przestudjowania zalet demokratycznego prawa azylu. Trocki”

Oto krótka i pouczająca historia tego mego pierwszego usiłowania znalezienia w Europie „demokratycznej” wizy.

Jasne jest, że gdyby przyznano mi prawo azylu, to fakt ten w najslabszym nawet stopniu nie naraziłby na szwank marksowskiej historii państwa klasowego. Ustrój demokracji, wpływający nie z samowystarczalnych zasad, lecz z realnych potrzeb klasy rządzącej, siłą swej wewnętrznej logiki obejmuje i prawo azylu. Udzielenie schronienia proletarjackiemu rewolucjonście nie sprzeciwia się absolutnie burżuazyjnemu charakterowi demokracji. Teraz jednak argumentacja ta jest zbędna, ponieważ okazało się, że w Niemczech, rządzonych przez socjal-demokratów, nie obowiązuje żadne prawo schronienia.

Stalin proponował mi 16-go grudnia za pośrednictwem G. P. U. wyrzeczenie się działalności politycznej. Taki sam warunek wysunięty został ze strony niemieckiej, jako rzecz sama przez się zrozumiała, podczas roztrząsań w prasie zagadnienia prawa azylu. Znaczy to, że rząd Müllera-Stresemanna uważa za niebezpieczne i szkodliwe te same idee, przeciwko którym walczy Stalin i jego Thälmannowie. Stalin drogą dyplomatyczną, a Thälmannowie drogą agitacji żądali od socjal-demokratycznego rządu nie dopuszczenia mnie do Niemiec – sądzić należy, że w imię interesów proletarjackiej rewolucji. Z drugiego skrzydła Chamberlain, hrabia Westarp i im podobni, żądali, aby odmówiono mi wizy – w interesie ustroju kapitalistycznego. W ten sposób Hermann Müller mógł jednocześnie zadośćuczynić swym partnerom z prawicy i sojusznikom z lewicy. Rząd socjal-demokratyczny stał się ogniwem, łączącym wspólny front międzynarodowy przeciw rewolucyjnemu marksizmowi. Aby ujrzeć obraz tego wspólnego frontu, wystarczy zwrócić się do pierwszych wierszy manifestu komunistycznego Marksa i Engelsa: „Dla świętej naganki na tego upiora (komunizmu) połączyły się wszystkie siły starej Europy, – papież i car, Metternich i Guizot, francuscy radykali i niemieccy policjanci”. Imiona się zmieniły, treść pozostała jednak ta sama. To, że jako niemieccy policjanci występują dziś socjal-demokraci, najmniej wpływa na zmianę rzeczy. W istocie bowiem bronią tego samego, czego bronili policjanci Hohenzollerna.

Różnorodność przyczyn, dla których demokracje odmawiają wizy jest olbrzymia. Rząd norweski powoduje się wyłącznie względami mego bezpieczeństwa. Nigdy nie przypuszczałem, że mam w Oslo troskliwych przyjaciół na tak odpowiedzialnych stanowiskach. Rząd norweski uznaje, naturalnie, w całej rozciągłości prawo azylu, zupełnie tak samo, jak rząd niemiecki, francuski, angielski i wszystkie inne. Prawo azylu jest, jak wiadomo, świętą i niewzruszoną zasadą. Ale wygnaniec musi uprzednio przedstawić w Oslo dowód, że nikt go nie zabije. Wówczas okaże mu się gościnność... jeżeli, naturalnie, nie znajdą się inne przeszkody.

Dwukrotne dyskusje w Storthingu z racji wizy dla mnie stanowią niezrównany dokument polityczny. Odczytywanie go przynajmniej w połowie wynagrodziło mi odmowę wizy, o którą starali się dla mnie w Norwegii moi przyjaciele.

Premjer norweski w sprawie mojej wizy konferował, naturalnie, przede wszystkim z naczelnikiem policji śledczej, kompetencja którego w dziedzinie zasad demokratycznych – przyznaję to zgóry – jest bezsporna. Naczelnik policji śledczej, według opowiadania pana Mohwinkla, wyraził pogląd, że najrozsądniej będzie pozwolić wrogom Trockiego na rozprawienie się z nim poza terytorjum państwa norweskiego. Sformułowane to było mniej ściśle, myśl jednak była właśnie taka. Minister sprawiedliwości ze swojej strony wyjaśniał norweskiemu parlamentowi, że ochrona Trockiego byłaby zbyt wielkim ciężarem dla norweskiego budżetu. Zasada oszczędnej gospodarki państwowej, również jedna z bezspornych zasad demokratycznych, okazała się tym razem nieubłagane sprzeczna z prawem azylu. W każdym bądź razie wynika z tego, że najmniej szans uzyskania schronienia posiada ten, komu to jest najbardziej potrzebne.

Znacznie dowcipniej postąpił rząd francuski: poprostu powołał się na to, że nie odwołano rozporządzenia Malvy, tyżącego mego wydalenia z Francji. Przeszkoda nie do przewyciężenia na drodze demokracji. Opowiedziałem poprzednio, jak po owym wydaleniu i mimo nieodwołania rozporządzenia Malvy, rząd francuski oddał mi do dyspozycji swych oficerów, jak odwiedzali mnie francuscy deputowani, posłowie i jeden z ministrów-rezydentów. Widocznie jednak zjawiska te rozgrywały się w dwóch nieprzecinających się płaszczyznach. Teraz zaś sytuacja jest następująca: prawo azylu byłoby mi udzielone we Francji na pewno, gdyby w archiwum policji nie istniało rozporządzenie wydalenia mnie z Francji na żądanie carskiej dyplomacji. Wiadomo, że rozporządzenie policyjne jest czemś w rodzaju gwiazdy polarnej: niema możliwości ani skasowania go, ani przesunięcia na inne miejsce.

Tak czy inaczej, okazuje się, że prawo azylu wygnane zostało również i z Francji. Gdzież jest więc kraj, w którym prawo to znalazło... azyl? Może w Anglii?

5-go czerwca 1929 roku Niezależna partja robotnicza, której członkiem jest Macdonald, oficjalnie i z własnej inicjatywy zaprosiła mnie do Anglii na odczyt w szkole partyjnej. Zaproszenie, podpisane przez generalnego sekretarza partji, brzmiało „Nie możemy przypuszczać, aby, po utworzeniu się tu rządu robotniczego, nastęrczały się jakiegokolwiek trudności w związku z Waszym przyjazdem w tym celu do Anglii”. Tem niemniej, trudności się nastęrczyły. Nie dano mi nie tylko wystąpić z odczytem przed współideowcami Macdonalda, ale nawet skorzystać z pomocy angielskich lekarzy. Poprostu odmówiono mi wizy. Clynes, minister policji w rządzie

Labour-party, bronił odmowy tej w izbie. Wyjaśniał filozoficzną istotę demokracji z bezpośredniością, która przyniosłaby zaszczyt każdemu ministrowi Karola II. Prawo azylu, według Clynes'a, nie polega na prawie wygnańca do żądania azylu, lecz na prawie państwa do odmówienia schronienia. Określenie Clynes'a ciekawe jest z tego względu, że jednym zamachem likwiduje same podstawy tak zwanej demokracji. Prawo azylu w duchu Clynes'a istniało zawsze w carskiej Rosji. Kiedy szachowi perskiemu nie udało się powywieszać rewolucjonistów i musiał porzucić granice drogiej ojczyzny, Mikołaj II nie tylko udzielił mu prawa azylu, ale nawet dosyć komfortowo urządził go w Odesie. Żadnemu jednak z irlandzkich rewolucjonistów nie przychodziło do głowy szukać azylu w carskiej Rosji, konstytucję której całkowicie wyczerpywała zasada Clynes'a: obywatele powinni być zadowoleni z tego, co daje im, albo im zabiera władza państwowa. Mussolini udzielił niedawno afgańskiemu padyszachowi azylu, ściśle odpowiadającego tej samej zasadzie.

Pobożny minister Clynes powinien był przynajmniej wiedzieć, że demokracja przejęła w pewnym sensie prawo azylu z kościoła chrześcijańskiego, który – co prawda – odziedziczył je, wraz z wieloma innymi, od pogan. Ścigani przestępcy, skoro tylko wtargnęli do wnętrza świątyni, lub nawet czasami skoro zdołali dotknąć się kółka drzwi, byli zabezpieczeni przed pościgiem. W ten sposób kościół rozumiał prawo azylu, właśnie jako prawo ściganego do schronienia, a nie jako samowolę pogańskich duchownych i chrześcijańskich wróżów. Sądziłem dotychczas, że pobożni członkowie Labour-party, tak mało znający się na socjalizmie, powinni być przynajmniej lepszymi znawcami tradycji kościelnych. Teraz przekonałem się, że nawet na tem się nie znają.

Dlaczego, jednakże, Clynes zatrzymuje się na wstępie swej teorii prawa państwowego? Szkoda. Prawo azylu stanowi zaledwie część składową systemu demokracji. Ani historycznym pochodzeniem, ani charakterem prawnym nie różni się od wolności słowa, zebrań i t. p. Spodziewać się należy, że minister Clynes dojdzie wkrótce do wniosku, że wolność słowa nie oznacza prawa obywateli do wypowiedzania tych, czy innych myśli, lecz prawo państwa do zakazywania tego właśnie swym poddanym. W stosunku do wolności strejków, wniosek ten został już faktycznie powzięty przez prawodawstwo angielskie.

Pech Clynes'a polegał na tem, że zmuszony był głośno usprawiedliwiać swe poczynania, ponieważ w składzie frakcji parlamentarnej Labour-party znaleźli się posłowie, którzy zadali ministrowi, choć pełne szacunku, ale mimo to nieprzyjemne pytania. W takiej samej nieprzyjemnej sytuacji znalazł się i premier norweski. Niemiecki gabinet uniknął tej niewygody. W Reichstagu nie znalazł się ani jeden poseł, któryby zainteresował się prawem azylu. Fakt ten jest tembardziej godny uwagi, że, jak pamiętamy, przewodniczący Reichstagu, przy owacji większości, obiecał udzielić mi prawa azylu, wówczas, kiedy jeszcze o nie nie prosiłem.

Rewolucja październikowa nie głosiła abstrakcyjnych zasad demokracji, w ich liczbie i prawa azylu. Państwo sowieckie otwarcie opierało się na prawie dyktatury rewolucyjnej. Nie przeszkodziło to Vandervelde, podobnie, jak i innym socjal-demokratom, przyjeżdżać do Sowieckiej republiki i nawet występować w Moskwie w roli obrońców tych sił, które dokonywały zamachów terrorystycznych na kierowników rewolucji Październikowej.

Odwiedzali nas i dzisiejsi angielscy ministrowie. Nie pamiętam kto

wszystko przyjeżdżał, – nie mam pod ręką żadnych materiałów, – ale pamiętam, że w liczbie przyjeżdżających znajdował się Snowden i mrs. Snowden. Było to zapewne w 1920 roku. Nie przyjmowano ich poprostu jak turystów, lecz traktowano jak gości, co – bodaj-że – było nawet zbędne. Dawano im do dyspozycji łożę w Wielkim teatrze. Przypominam to sobie w związku z małym epizodem, który nie zaszkodzi tu opowiedzieć. Przyjechałem z frontu do Moskwy, bardzo daleki myślą od angielskich gości, nie wiedziałem nawet, kto są owi goście, ponieważ, zbyt pochłonięty innymi troskami, nie czytywałem prawie gazet. Na czele komisji, przyjmującej Snowdena, mrs. Snowden, zdaje się Bertama Russela, Williamsa i szereg innych osób, stał Łozowski. Zakomunikował mi telefonicznie, że komisja żąda, abym zjawił się w teatrze, w którym znajdują się angielscy goście. Usiłowałem uchylić się od tego, ale Łozowski obstawał przy tem, że jego komisja posiada wszelkie pełnomocnictwa od biura politycznego i że powinienem innym dawać przykład dyscypliny. Udałem się do teatru wbrew woli. W łoży znajdowało się około dziesięciu gości angielskich. Teatr był przepelniony. Na froncie odnosiliśmy zwycięstwa. Teatr bił gromkie brawa na cześć zwycięstw. Angielscy goście otoczyli mnie i również oklaskiwali. Wśród nich znajdował się mister Snowden. Teraz, naturalnie, wstydzi się tej przygody. Ale przekreślić jej nie można. A tymczasem ja również chciałbym ją przekreślić, jako, że „bratanie się” moje z labourzystami było nie tylko nieporozumieniem, lecz błędem politycznym. Uwolniwszy się jak najspieszniej od gości, udałem się do Lenina. Był podniecony: – Czy to prawda żeście się z tymi panami (Lenin użył innego słowa) pokazywali w łoży? – Powołałem się na Łozowskiego, na komisję C. K., na dyscyplinę, głównie zaś na to, że nie miałem pojęcia o tem, kim są ci goście. Lenin był oburzony na Łozowskiego i na całą wogóle komisję, ja zaś długo nie mogłem darować sobie mej nieostrożności.

Jeden z obecnych ministrów angielskich przyjeżdżał, zdaje się, kilkakrotnie do Moskwy, w każdym bądź razie odpoczywał w Sowieckiej republice, mieszkał na Kaukazie i odwiedzał mnie. To minister Lansbury. Ostatnim razem widziałem się z nim w Kisłowodsku. Proszono mnie natarczywie, abym wstąpił choć na kwadrans do Domu Wypoczynkowego, gdzie mieszkali członkowie naszej partji i kilku cudzoziemców. Przy dużym stole siedziało kilkadziesiąt osób. Było to coś w rodzaju skromnego bankietu. Pierwsze miejsce zajmował gość, Lansbury. Gość wygłosił po mojem przybyciu speech, poczem zaś zaśpiewał: „For he’s a jolly good fellow”. Oto, jakie uczucia wyrażał mister Lansbury pod moim adresem na Kaukazie. On również, prawdopodobnie, chciałby o tem zapomnieć...

Muszę powiedzieć, że rozpoczynawszy starania o wizę, specjalnemi depeszami przypomniałem Snowdenowi i Lansbury’emu, że korzystali z sowieckiej, a więc i mojej, gościnności. Wątpię, czy depesze te wywarły na nich wielkie wrażenie. Wspomnienia w polityce równie mało ważą, jak i demokratyczne zasady.

Mister Sidney Webb i mrs. Beatrice Webb złożyli mi w najuprzejmiejszy sposób i to całkiem niedawno, w początku maja 1929 roku, wizytę już w Prinkipo. Rozmawialiśmy o prawdopodobieństwie dojścia do władzy partji robotniczej. Zauważyłem mimochodem, że natychmiast po utworzeniu się rządu Macdonalda zażadam wizy. Mister Webb wypowiedział się w tym duchu, że rząd okazać się może niedość silny i, wskutek swej zależności od liberałów, niedość swobodny. Odpowiedziałem, że partja, która jest niedość

silna, aby odpowiadać za swoją działalność, nie ma prawa obejmowania władzy. Głęboka różnica między naszymi poglądami wcale nie wymagała nowego sprawdzianu. Webb znalazł się u władzy. Zażądałem wizy. Rząd Macdonalda odmówił mi jej, ale wcale nie dlatego, że liberali przeszkodzili mu w ujawnieniu jego demokratyzmu. Przeciwnie. Rząd Labour-party odmówił mi wizy, mimo protestów liberałów. Tego warjantu mister Webb nie przewidział. Należy zresztą zaznaczyć, że wówczas nie był jeszcze baronem Passfield.

Niektórych z tych ludzi znam osobiście. O innych sądzić mogę na zasadzie analogji. Zdaje mi się, że wyobrażam ich sobie dość trafnie. Ludzie ci wyniesieni zostali przez automatyczne rozrastanie się organizacji robotniczych, zwłaszcza po wojnie, i polityczne wyjąłowanie liberalizmu. Całkowicie utracili ów naiwny idealizm, który posiadali niektórzy z nich 25-30 lat temu.

Wzamian zato, przybyła im rutyna polityczna i umiejętność nieprzebierania w środkach. Ale, o ile idzie o horyzont polityczny, zostali tym, czym byli: lękliwymi drobno-mieszczanami, których metody myślenia są bez porównania bardziej zacofane, niż metody produkcji angielskiego przemysłu węglowego. Dzisiaj najbardziej obawiają się tego, że sfery dworskie i wielcy kapitaliści nie zechcą brać ich na serjo. Nic w tym dziwnego: przyszedłszy do władzy, zbyt bezpośrednio odczuwają własną słabość. Nie mają i nie mogą mieć tych zalet, jakie posiadają stare kliki rządowe, gdzie tradycja i rutyna rządzenia, przekazywane z pokolenia na pokolenie, zastępują niejednokrotnie rozum i zdolności. Ale nie posiadają również i tego, co mogłoby stanowić ich prawdziwą siłę, t. j. wiary w masy i w zdolność utrzymania się na własnych nogach. Lękają się mas, które wyniosły ich w górę, tak samo, jak obawiają się konserwatywnych klubów, olśniewających ich ubogą wyobraźnię swą wspaniałością. Aby usprawiedliwić swe dojście do władzy, wydaje się im rzeczą konieczną pokazanie starym klasom rządzącym, że nie są byle jakimi rewolucjonistami – uchowaj Boże, – nie, najzupełniej zasługują na zaufanie, oddani są kościołowi, królowi, izbie lordów, tytułom t. j. nie tylko świętej własności prywatnej, ale i wszystkim rupieciom wieków średnich. Odmowa wizy dla rewolucjonisty – to w rzeczywistości szczęśliwa dla nich okazja ujawnienia raz jeszcze swe czcigodności. Cieszę się bardzo, że dostarczyłem im tej okazji. I to zostanie w swoim czasie policzone. W polityce, jak w naturze, nic nie ginie...

Nie trzeba odznaczać się wielką wyobraźnią, aby odtworzyć sobie konferencję mister Clynes'a z podwładnym mu szefem policji politycznej. Podczas tej konferencji, Clynes czuje się, jak na egzaminie, i obawia się wydać egzaminatorowi nie dość mocnym, państwowym, konserwatywnym. Szef policji politycznej nie potrzebuje operować zbytnią pomysłowością, aby podpowiedzieć Clynes'owi takie postanowienie, które nazajutrz spotka się z pełnym uznaniem prasy konserwatywnej. Ale prasa konserwatywna nie chwali poprostu. Chwali zabójczo. Szydzi. Nie zadaje sobie trudu ukrywania swej pogardy dla ludzi, z takim poniżeniem szukających jej aprobaty. Nikt nie powie, na przykład, że „Daily Express” należy do najmądrzejszych instytucyj na świecie. Tem niemniej jednak gazeta ta znajduje bardzo jadowite wyrazy, kiedy chwali labour'ystowski rząd zato, że tak pieczołowicie osłonił „łatwo obrażającego się Macdonalda” przed obecnością cichego rewolucyjnego obserwatora.

I ci ludzie powołani są do położenia podwalin nowej społeczności ludzkiej?

Nie, stanowią tylko przedostatnią rezerwę starej społeczności. Mówię o przedostatniej, dlatego, że ostatnią są materialne represje.

Nie mogę nie przyznać, że stawienie się do apelu zachodnio-europejskich demokracji w sprawie prawa azylu, dało mi, poza wszystkim, sporo wesołych chwil. Wydawało mi się czasami, że oglądam „pan-europejską” inscenizację jednoaktowej komedji na temat zasad demokratycznych. Tekst mógłby być napisany przez Bernarda Shaw, gdyby do fabjańskiej cieczy, płynącej w jego żyłach, dodać choćby pięć procent krwi Jonathana Swifta. Ale, bez względu na to, ktoby stworzył tekst, sztuka byłaby wyjątkowo pouczająca: *Europa bez wizy*. O Ameryce niema co mówić. Stany Zjednoczone są nie tylko najsilniejszym, ale i najbardziej wystraszone krajem. Niedawno Hoover tłumaczył swą namiętność do rybołóstwa demokratycznym charakterem tej rozrywki. Jeśli tak jest – w co wątpię, – to jest to w każdym razie jeden z nielicznych przeżytków demokracji, które ocalały jeszcze w Stanach Zjednoczonych. Prawa azylu niema tam oddawna. *Europa i Ameryka bez wizy*. Ale te dwa kontynenty władają trzema pozostałymi. Znaczy to – *planeta bez wizy*.

Z różnych stron dowodzą mi, że niedowierzenie demokracji jest mym zasadniczym grzechem. Na temat ten napisano wiele artykułów, a nawet książek. Kiedy jednak proszę, aby dano mi niewielką pogładową lekcję demokracji, niema amatorów. Okazuje się, że planeta jest bez wizy. Dlaczego więc mam wierzyć, że bezporównania większe zagadnienie – spór między posiadaczami i nie-posiadającymi – zostanie rozstrzygnięte ze ścisłym przestrzeganiem form i zwyczajów demokracji?

A czyż dyktatura rewolucyjna dała te rezultaty, jakich się po niej spodziewano? – słyszę pytanie. Odpowiedzieć na nie można jedynie oceną doświadczeń rewolucji październikowej i próbą naszkicowania dalszych jej perspektyw. Dla takiej pracy niema miejsca na stronicach autobiografji. Postaram się dać na to odpowiedź w oddzielnej książce, nad którą pracowałem już podczas pobytu w Azji Centralnej. Jednakże nie mogę zakończyć tej powieści o mojem życiu, nie powiedziawszy, choćby w kilkudziesięciu wierszach, dlaczego najzupełniej i całkowicie pozostaję na dawnej drodze.

To, co zaszło w oczach mego pokolenia, które dziś dojrzało, lub też przybliży się do starości, można schematycznie przedstawić w ten sposób. W ciągu kilku lat dziesiątków – koniec ubiegłego wieku i początek obecnego, – ludność Europy podlegała surowej dyscyplinie przemysłu. Wszystkie strony wychowania społecznego podporządkowane były zasadzie pracy produktywnej. Dało to olbrzymie rezultaty i otworzyło jakgdyby przed ludźmi nowe możliwości. W istocie jednak doprowadziło to tylko do wojny. Coprawda, dzięki wojnie, ludzkość stwierdziła, że wbrew krakaniom anemicznej filozofji, wcale się nie degeneruje, lecz przeciwnie, jest pełna życia, sił, męstwa i przedsiębiorczości. Dzięki tej wojnie, ludzkość, z niespotykaną poprzednio wyrazistością, przekonała się również o swej technicznej potędze. Wyglądało to więc tak, jakby człowiek, chcąc przekonać się, czy ma zdrowe drogi oddechowe i przewód pokarmowy, zaczął przed lustrem podcinać sobie gardło brzytwą.

Po ukończeniu operacji lat 1914-1918, oświadczone, że odtąd najwyższym

obowiązkiem moralnym jest leczenie tych ran, zadawanie których uznawano za najwyższy moralny obowiązek w ciągu poprzednich czterech lat. Pracowitość i oszczędność znów zostały nie tylko przywrócone do praw, ale ujęte w stalowy gorset racjonalizacji. Tak zwaną „naprawą” kierują te same klasy, partje i nawet osoby, które kierowały burzeniem. Tam, gdzie zaszła zmiana ustroju politycznego, jak w Niemczech, przy naprawie grają pierwsze role ci, którzy przy burzeniu odgrywali role drugo-, lub trzeciorzędne. Na tem, właściwie, polega cała zmiana.

Wojna zmiotła całe pokolenie, jakby poto tylko, aby wywołać lukę w pamięci narodów, i aby nie dać nowemu pokoleniu zbyt bezpośrednio odczuć, że w istocie powtarza przeszłość tylko na wyższym historycznym poziomie, a co za tem idzie z groźniejszymi konsekwencjami.

Klasa robotnicza Rosji, pod kierownictwem bolszewików, uczyniła próbę przebudowania życia tak, aby wykluczyć możliwość perjodycznych ataków szaleńców, przeżywanych przez ludzkość, i założyć podwaliny wyższej kultury. Na tem polega sens rewolucji Październikowej. Naturalnie, zadanie, które sobie postawiła, nie zostało wykonane: jednakże to zadanie z samej swej istoty obliczone jest na szereg dziesięcioleci. Więcej jeszcze, rewolucję Październikową uważać należy za punkt wyjścia najnowszej historii ludzkości wogóle.

Pod koniec wojny trzydziestoletniej, reformacja niemiecka musiała być zapewne uważana za dzieło ludzi, zbiegłych z domu warjatów. Było tak nawet do pewnego stopnia: ludność Europy wyrwała się ze średniowiecznego klasztoru. Współczesne Niemcy, Anglja, Stany Zjednoczone i cała, zresztą, ludzkość byłyby jednak nie do pomyślenia bez reformacji wraz z nieprzeliczonemi ofiarami, które pociągnęła za sobą. Jeżeli wogóle dopuszczalne są ofiary – chociaż kogo pytaćby trzeba o pozwolenie? – to właśnie takie, które posuwają ludzkość naprzód.

To samo trzeba powiedzieć o rewolucji francuskiej. Pedant i reakcjonista o wąskim horyzoncie umysłowym, Taine, wyobrażał sobie, że dokonywa, Bóg wie, jak głębokiego odkrycia, stwierdzając, że w kilka lat po ścięciu Ludwika XVI, naród francuski był biedniejszy i nieszczęśliwszy, niż przy starym régime'ie. O to właśnie chodzi, że takich wypadków, jak wielka rewolucja francuska, nie wolno rozpatrywać w skali „kilku lat”. Bez wielkiej rewolucji cała nowa Francja nie byłaby możliwa, sam Taine zaś pozostałby pisarczykiem u jakiegoś dzierżawcy starego régime'u, zamiast oczerniać rewolucję, która otworzyła przed nim nową karierę.

Jeszcze większego dystansu historycznego wymaga rewolucja Październikowa. Obwiniać ją o to, że w ciągu 12 lat nie dała powszechnego pokoju i zamożności, mogą tylko beznadziejne matole. Jeśli wziąć skalę niemieckiej reformacji i rewolucji francuskiej, stanowiących dwa etapy rozwoju społeczeństwa burżuazyjnego, oddzielone okresem prawie trzech wieków, to wyrazić należy zdumienie, że zacofana i osamotniona Rosja, po 12 latach od przewrotu, zapewnia masom poziom życiowy, nie niższy, niż w przededniu wojny. Już choćby to tylko jest swego rodzaju cudem. Ale, naturalnie, nie na tem polega znaczenie rewolucji Październikowej. Jest ona próbą nowego ustroju społecznego, który będzie się zmieniał, przekształcał może nawet od podstaw. Będzie nosił całkiem inny charakter, oparty na fundamencie najnowszej techniki. Ale po całym szeregu dziesięcioleci, później zaś i stuleci, nowy ustrój społeczny oglądać się będzie na rewolucję

Październikową tak samo, jak ustrój burżuazyjny ogląda się na niemiecką reformację, czy rewolucję francuską. Jest to tak jasne, tak bezsporne, tak niewzruszone, że nawet profesorowie historii to rozumieją, co prawda, po upływie porządnej ilości lat.

No, a wasz osobisty los? – słyszę pytanie, w którym ciekawość łączy się z ironją. Nie wiele mogę dodać do tego, co powiedziałem już w tej książce. Nie mierzę procesu historycznego miarą osobistego losu. Przeciwnie, nie tylko obiektywnie oceniam mój los osobisty, ale także subiektywnie przeżywam w nierozdzielny związku z przebiegiem rozwoju społecznego.

Od czasu mego wygnania, czytałem nieraz w gazetach rozmyślania na temat „tragedji”, jaka mnie spotkała. Nie znam tragedji *osobistej*. Znam jedynie zmianę dwóch rozdziałów rewolucji. Pewna amerykańska gazeta, która wydrukowała mój artykuł, dodała doń głęboką uwagę w tym duchu, że mimo poniesionych przez autora ciosów, zachował, jak widać z artykułu, jasność myśli. Mogę dziwić się tylko filisterskiemu usiłowaniu ustanowienia związku między siłą rozumowania i stanowiskiem rządowem, między duchową równowagą i koniunkturą dnia. Nie znałem i nie znam takiej zależności. W więzieniu z książką, albo piórem w ręku przeżywałem takie same godziny najwyższego zadowolenia, jak i na masowych zebraniach rewolucji. Mechanikę władzy odczuwałem raczej, jak nieuniknione brzemię, niż jako satysfakcję duchową. Jednakże to wszystko krócej, zdaje się, określa cudze, mądre słowa.

26-go stycznia 1917 roku Róża Luxemburg pisała z więzienia do swej przyjaciółki:

„To całkowite pogrążenie się w trywialności dnia jest dla mnie wogóle niepojęte i nieznośne. Spójrz, naprzykład, jak Goethe ze spokojną wyższością wznosił się ponad okoliczności. Pomyśl tylko, co wszystko musiał on przeżyć: Wielką rewolucję francuską, która z małej odległości wydawała się zapewne krwawą i zupełnie bezcelową farsą, potem od 1793 do 1815 roku nieprzerwany łańcuch wojen... Nie wymagam, żebyś pisała wiersze, jak Goethe, ale jego pogląd na życie – uniwersalizm zainteresowań, wewnętrzną harmonję – każdy może sobie przyswoić, albo przynajmniej dążyć do niego. A gdybyś mi powiedziała: Goethe nie był przecież działaczem politycznym – to sędzę jednak, że właśnie działacz powinien dążyć do tego, aby stać ponad okolicznościami, w przeciwnym bowiem razie ugrzeźnie nosem we wszelkich śmieciach, – naturalnie, mam tu na myśli działacza w wielkim stylu...” (Str. 192-193).

Przepiękne słowa! W tych dniach przeczytałem je po raz pierwszy i odrazu uczyniły mi postać Róży Luxemburg bliższą i droższą, niż dawniej.

Poglądami, charakterem, odczuwaniem świata jest mi Proudhon, ten Robinson Crusoe socjalizmu, obcy. Proudhon jednak miał naturę działacza, był bezinteresowny duchowo, posiadał zdolność pogardzenia oficjalną opinią publiczną i, wreszcie, niewygasający ogień wielostronnych zainteresowań. Dawało mu to możność wywyższenia się ponad własne życie z jego wzlotami i upadkami, zarówno, jak i nad całą współczesną mu rzeczywistość.

26-go kwietnia 1852 roku Proudhon pisał z więzienia do jednego ze swych przyjaciół: „Ruch, bezwątpienia, nie jest ani regularny, ani prostoliniorny, tendencja jednak jest stała. To, co kolejno czyni każdy rząd na korzyść rewolucji, pozostaje niewzruszone. To, co usiłują czynić przeciwko niej, mija, jak obłok. Rozkoszuję się tem widowiskiem, którego każdy obraz rozumiem.

Przeżywam te zmiany w życiu świata, jakby mi dane było zgóry ich wyjaśnienie. To, co dławi innych, coraz bardziej wywyższa mnie, daje mi natchnienie i wzmacnia. Jakże więc chcecie, żebym oskarżał los, żalił się na ludzi i przeklinał ich? Los – śmieję się z niego. Co się zaś tyczy ludzi, to są oni zbyt nieokrzesani, zbyt niewolni, abym mógł czuć do nich żal”. (Grasset, str. 149).

Mimo pewnego posmaku kościelnego patosu, są to bardzo mądre słowa. Podpisuję się pod nimi.

KONIEC